

Monety, banknoty i inne środki wymiany

COLLOQUIA ANTHROPOLOGICA ET COMMUNICATIVA

Vol. 2

Redakcja naukowa

Piotr Kowalski

Sekretarz Redakcji

Katarzyna Konarska

Monety, banknoty i inne środki wymiany Pieniądz w dyskursach kultury

Pod redakcją
Piotra Kowalskiego

Wrocław 2010
Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego

Recenzent
JANINA HAJDUK-NIJAŁOWSKA
ZBIGNIEW LIBERA

Redaktor Wydawnictwa
BOŻENA DEMBIŃSKA

Projekt okładki
HANNA PARYŁAK

Na okładce
Quentin Matsys, *Skąpcy*, miedzioryt, XV–XVI w., © Duncan Walker

Opracowanie techniczne
ALICJA M. LEWIŃSKA

ACTA UNIVERSITATIS WRATISLAVIENSIS No 3204

© Copyright by Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego Sp. z o.o., Wrocław 2010

ISSN 0239-6661
ISBN 978-83-229-3093-9

Przygotowanie do druku: Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego Sp. z o.o.
Druk: TOTEM

Spis treści

FRANCISZEK M. ROSIŃSKI, Pieniądze i bogactwo w czasach biblijnych	7
---	---

Nieco historii

ADAM NOBIS, Od talara do dolara – historia globalna	21
JERZY BINIEWICZ, <i>Algorytm</i> Tomasza Kłosa, czyli o pieniądzu i arytmetyce kupieckiej słów kilka	39
MARIA BUJNICKA, Pieniądz w pismach klasyków i w mądrości ludowej	51
ADRIAN MIANECKI, O skarbach w wybranych podaniach ludowych	61
PIOTR KOWALSKI, „Zdrowia, szczęścia powinszować”. Słowo i magiczna wymiana	73

Potęga wymiany.

Kupić – sprzedać – skorumpować

HANNA JAXA-ROŻEN, Kobiety i pieniądze w twórczości eseistycznej Virginii Woolf i powieściach Jane Austen	99
VIOLETTA WRÓBLEWSKA, „Żądza pieniądza” w polskiej literaturze kryminalnej po 1989 roku	107
KRYSTYNA MODRZEJEWSKA, Pieniądze, szaleństwo i władza w dramacie Jeana Giraudoux <i>Wariatka z Chaillot</i>	117
JOLANTA ŁUGOWSKA, Motyw pieniądza w literacko-pedagogicznym dyskursie Janusza Korczaka	129
MAŁGORZATA CZAPIGA, O skarbach czyhających w labiryncie (<i>Stalker</i> Andrieja Tarkowskiego)	141
JĘDRZEJ MORAWIECKI, Pieniądz pieczęcią Antychrysta. O rosyjskich utopiach ekonomicznych na przykładzie Cerkwi „Najnowszego Testamentu”	153

Etyka i pieniądze

KATARZYNA KONARSKA, Prawdziwy reporter nie mieszka w Hiltonie. O potędze i marności pieniądza w ujęciu Ryszarda Kapuścińskiego	179
BARTOSZ JASTRZĘBSKI, Pieniądze w strukturze codzienności	187
JANUSZ BARAŃSKI, Potęga i urok zakupów	193

WŁODZIMIERZ KAROL PESSEL, Islandia – sprzedana wyspa. Przyczynek do antropologii gospodarczej	215
MAGDALENA MACHOWSKA, Wizerunek Cyganów rumuńskich żebrzących w Krakowie między 1990 a 2008 r. Szkic	233
STANISŁAW BEREŚ, Twórczość za pieniądze bezpieki	243
ROMAN WRÓBLEWSKI, <i>Podziękowania za wpłaty</i> – specyficzna rubryka gazet podziemnych	259
JACEK GRĘBOWIEC, O korzyściach z deklarowanej szczodrości. Pragmatyczna uprzejmość reklamy	267

FRANCISZEK M. ROSIŃSKI

Uniwersytet Wrocławski

Pieniądze i bogactwo w czasach biblijnych

O pieniądzach, majętności i bogactwie niejednokrotnie jest mowa już w najstarszych tekstach biblijnych, choć w różnych ujęciach znaczeniowych i wartościowaniu; czasem widzi się w nich dar Boży i widomy znak błogosławieństwa Najwyższego, a czasem dostrzega się związane z nimi ryzyko czy nawet niebezpieczeństwo nieetycznego postępowania człowieka; zarazem podkreśla się znaczenie tych dóbr i ich ograniczenie do wymiaru ziemskiego¹. W bogactwie jako takim widziano bowiem element stworzenia, które przecież pochodzi od Boga, a więc w swej istocie musi być dobre. Może On je też przydzielić, komu zechce, bo jest absolutnym władcą świata. Szczególnie w starszych tekstach biblijnych niejednokrotnie przewija się myśl, że bogactwo wiąże się z prawym postępowaniem i posłuszeństwem Bogu, podczas gdy ubóstwo świadczy o grzeszności danego człowieka. Tylko rzadko można spotkać wprost przeciwne zdania, np. u proroka Amosa, dla którego właśnie człowiek ubogi jest uczciwy². Zdawano sobie także sprawę, że nagromadzenie wielu dóbr wywołuje zazdrość innych, a u właściciela samozadowolenie i zadufanie, nieraz pyszałkowatość, chęć uzależnienia innych od siebie, a nawet nieliczenie się z Bogiem. Pismo św. niejednokrotnie ukazuje kruchość dostatku ziemskiego – szczególnie wymownym tego przykładem była utrata przez Hioba całej posiadłości. Zwłaszcza w literaturze mądrościowej wiele refleksji poświęcono temu zagadnieniu.

Wyraziściej problematykę bogactwa i pieniędzy ujmują pisma Nowego Testamentu, zwłaszcza ewangelie synoptyczne i listy Pawłowe. Choć nie brak w tych tekstach ostrych sformułowań skierowanych przeciw poleganiu w swym życiu na bogactwach, pieniądzach i dostatku, to nie należy ich jednak nadinterpretować w sensie pochwały ubóstwa i propagowania biedy, lecz np. w sensie wypowiedzi w Ewangelii Łukaszej: „raczej powinno się tłumaczyć zaniepokojeniem się z powodu ówczesnych problemów społecznych”³.

¹ H.L. Strack, F. Billerbeck, *Kommentar zum Neuen Testament aus Talmud und Midrasch*, t. 1, München 1965, s. 666, 820–827; t. 3, s. 655–657; t. 4, s. 1037–1039.

² W. Davis, *Wealth*, [w:] *The Encyclopedia of Religion*, red. M. Eliade, New York 1987, s. 361, 363.

³ A. v.d. Born, *Reichtum*, [w:] *Bibel-Lexikon*, red. H. Haag, Leipzig 1969, s. 1466–1467.

Trzeba jednak zauważyć, że kwestie związane z pieniędzmi i bogactwem nie są szczególnie często omawiane w księgach biblijnych, gdyż nie należą do głównych wątków historii zbawienia; np. w Listach Janowych czy Judy Tadeusza nawet nie ma słowa „pieniądze” czy „bogactwo” i ich derywatów. Wskazuje na to m.in. częstość występowania tych słów w Piśmie św.: termin „bogactwo” można spotkać 153 razy, „bogacz” 27 razy, „bogaty” 78 razy, „majątek” 46 razy, „majętność” 21 razy, „skarb” 77 razy, „skarbiec” 59 razy, „mamona” 4 razy, „pieniądz” 156 razy. Częściej jest mowa o „złocie” – 359 razy, słowo „złoty” zaś reprezentowane jest 197 razy. „Srebro”, choć było w zdecydowanie częstszym użytku, wymienione jest 274 razy, „srebrny” w 96 przypadkach, „srebrnik” zaś 10 razy. Są wymieniane też nazwy ówczesnych monet: „sykl” 130 razy, „denar” 17 razy, „talent” 77 razy, „mina” 18 razy, „drachma” 11 razy, „stater” raz, „as” dwukrotnie⁴.

Jak widać, autorzy biblijni nie byli obojętni na sprawy finansowe, majątkowe, ekonomiczne; konteksty zaś, w których jest o nich mowa, są bardzo zróżnicowane. Podobnie wartościowanie etyczne – w dużej mierze zależnie od danej sytuacji i zagadnienia – może być pozytywne, neutralne, często moralnie naganne, złe i powszechnie potępiane. Trzeba jednakże nadmienić, że w księgach świętych, choć nieraz jest w nich mowa o pieniądzu i bogactwie, to jednak nie poświęcono tej tematyce dłuższego wywodu dyskursywnego; są tylko poszczególne wypowiedzi, niekiedy w formie bardziej rozwiniętej refleksji czy przypowieści, które wymagają jednak bardzo oględnej interpretacji, uwzględniającej konkretnych adresatów, kontekst historyczny i dialogowy, oraz bardzo uważnej analizy. Nie można ich też nadinterpretowywać czy zbyt ekstrapolować pewnych wskazań. To, co obowiązywało uczniów, niekoniecznie odnosi się do „rzesz”. Jak słusznie zauważa H. Daniel-Rops, choć w Biblii nie ma usystematyzowanego prawodawstwa odnoszącego się do różnych sfer życia ekonomicznego i finansowego, „to jednak jego przepisy są dość wyraźne, by móc z nich wysnuć zasady moralne w odniesieniu do pieniądza oraz interesów. I rabbiowie nie omieszkali tego uczynić. Toteż Talmud formułuje wiele przepisów z tej dziedziny, zwłaszcza traktaty, które powstały w Babilonie, wielkim ośrodku handlowym”⁵.

W tekstach biblijnych jest mowa o różnych walorach i kategoriach bogactwa, nie tylko w sensie wartości wymiernihych, materialnych, lecz pełni różnego rodzaju dóbr życiowych, wśród których z czasem wyróżniano np. dobra doczesne, techniczne, prestiżowe, duchowe; często dodawano konkretną specyfikację – np. bogaty w mądrość, łaskę, sławę albo „obfitować będziesz w srebro i złoto”

⁴ Dane liczbowe dotyczą cytacji biblijnych w: J. Flis, *Konkordancja Starego i Nowego Testamentu do Biblii Tysiąclecia*, Warszawa 1991.

⁵ H. Daniel-Rops, *Życie codzienne w Palestynie w czasach Chrystusa*, Warszawa 1994, s. 227.

(Pwt 8, 13), lub Abraham był „bardzo zasobny w trzody, srebro i złoto” (Rdz 13, 2; 30, 43)⁶.

W starszych tekstach biblijnych chętnie widziano w bogactwie widomy znak szczególnego błogosławieństwa Bożego i nagrodę za prawe, zgodne z wolą Bożą życie. Podziwiano tych, którzy je osiągnęli; uważano je za specjalne wyróżnienie przez Jahwe, nawet jeśli dany człowiek osiągnął je pracą swoich rąk i pomysłowością. Stosunek do bogactwa był w owym czasie raczej pozytywny, nie stanowiło ono też dla nomadycznych i półnomadycznych mieszkańców dawnego Izraela jakiegoś większego problemu społecznego i życiowego, gdyż w owych czasach patriarchalnych nie było jeszcze drastycznych różnic między bogatymi i ubogimi. Także po zasiedleniu przez Izraelitów Kanaanu „każdy z nich otrzymuje od Boga swój dział. Cały zaś kraj jest własnością Boga i dlatego też własność poszczególnego człowieka znajduje się pod Jego opieką”. Należałoby nadmienić, że częściowo podobny stosunek do bogactwa (*ploutos*) spotykamy także w starszej literaturze greckiej; np. u Homera nie ma jeszcze rozdziwisku między bogactwem i cnotą, a „bogactwo stanowi ogólny wyraz szczęśliwego, błogosławionego przez bogów życia”. Odmienne podejście w tej sprawie prezentuje Sokrates, który za prawdziwe bogactwo poczytywał wiedzę i cnotę. Platon i Arystoteles oceniają bogactwa w relacji do państwa: jeśli mu nie służą, są nieczne. Stoicy różnicowali swe podejście do bogactwa: może ono dawać fałszywe poczucie bezpieczeństwa, skądinąd jednak daje człowiekowi możliwość rozwoju swej osobowości. Ważne, że w myśli greckiej nie spotyka się idei, iż bogatych ze względu na ubogich może spotkać odrzucenie⁷. Stosunek Greków do bogactwa wywarł pewien wpływ na ustosunkowanie się autorów literatury sapiensjonalnej i nowotestamentalnej do wartości ziemskich.

Analizując dawne dzieje Izraela, zwłaszcza w okresie przedkrólewskim za-uwazamy, że zdecydowanie większość dotyczy czasu, gdy wymiana, podobnie jak w innych społecznościach pierwotnych, była głównie barterowa – towar za towar. O najdłuższej i najstarszej fazie tych dziejów, okresie zbieracko-łowieckim, na kartach Biblii prawie nie ma śladu, pamięć o niej niemal całkowicie zatarła się w pamięci kolektywnej. Według starszych relacji biblijnych podstawową formą gospodarki było pasterstwo, które Biblia transponuje już do początków ludzkości: „Abel był pasterzem trzód, a Kain uprawiał ziemię”; „pierwociny swej trzody i z ich tłuszczu” Abel złożył w ofierze, którą Bóg przyjął, nie zaś płody roli Kaina (Rdz 4, 2–4). Miało to archetypiczny, rekomendujący sens dla społeczności izraelskiej. Jak wskazuje T. Schwieger: „ofiary ze zwierząt ceniono wyżej

⁶ Cytaty i sigła biblijne według *Pisma Świętego Starego i Nowego Testamentu* (Biblia Tysiąclecia), Poznań 1987.

⁷ F. Selzer, *Besitz – Ploutos*, [w:] *Theologisches Begriffslexikon*, t. 1, red. L. Coenen, H. Bietenhard, Wuppertal 1986, s. 101–102.

niż z roślin [...] była kwalitatywnie wartościowsza, godna Boga, sprawiająca Mu przyjemność”⁸.

W trzodach przeważały owce, kozy i bydło, później także osły i wielbłądy. Wielkie trzody owiec stanowiły wykładnik zamożności ich właściciela i były radością dla jego oczu (Rdz 13, 5; 24, 35; 32, 8; Hi 1, 32). Nawet królowie izraelscy byli właścicielami olbrzymich trzód (1 Krn 27, 31; Koh 2, 77); z nich składano także daninę władcy (2 Krl 3, 4); trzoda stanowiła też łup pożądany przez rozbójnicze plemiona. Trzeba wziąć pod uwagę, że ludy pasterskie często traktowały grabież trzód jako legalny „sposób pozyskiwania własności”⁹. W wymianie zarówno z ludnością osiadłą rolniczą i miejską, jak i z mieszkańcami innych społeczności sprzedawano trzodę i z niej produkty, po zasiedleniu Kanaanu przez Izraelitów także niektóre produkty rolne, jak oliwa, oliwki, wino, także niektóre wyroby włókiennicze i metalowe. Trzeba jednak wziąć pod uwagę, że kraj nie był zasobny ani w rozległe pastwiska stepowe, ani w większe połacie ziemi ornej, ani w bogate złoża surowców, a produkcja krajowa ledwo pokrywała potrzeby ludności miejscowej. Sytuację w czasach późniejszych częściowo ratował handel, kupiectwo, zwłaszcza zaś napływ pielgrzymów do Jerozolimy, dzięki czemu „z biegiem czasu nagromadziły się w świątyni olbrzymie skarby, które nęciły sąsiadów i zdobywców Palestyny”¹⁰.

Ale już w najstarszych tekstach biblijnych znajdują się też informacje o precjozach kruszczowych, o złocie i srebrze, które posiadali patriarchowie; np. „Abram był już bardzo zasobny w trzody, srebro i złoto” (Rdz 13, 2), a gdy posłał swego sługę-swata po żonę dla swego syna Izaaka, ten podarował wybrance „kolczyk złoty wagi pół sykla oraz włożył na jej ręce dwie bransolety złote ważące dziesięć syklów”, w domu zaś u jej rodziców „wyjawszy srebrne i złote klejnoty oraz szaty, dał je Rebecce; a bratu i matce jej ofiarował kosztowności” (Rdz 24, 22 i 53).

Cytaty te i im podobne nasuwają wiele pytań natury archeologicznej, numizmatycznej i zwyczajowej, np. jakiej epoki historycznej mogły dotyczyć owe zdarzenia, czy takie przedmioty luksusowe i precjoza pochodziły drogą wymiany z importu, od kiedy w dawnym Izraelu zaczęto dobywać rudy metali, wytapiać kruszce, zwłaszcza szlachetne, i dokonywać ich artystycznej obróbki.

Okazuje się, że żelazo, choć znane na Bliskim Wschodzie już przed 1200 r. p.n.e. w formie meteorytowej bądź uzyskiwane z rudy, to jednak było bardzo rzadkie, a ze względu na przypisywane mu właściwości magiczne wyrabiano z niego ozdoby i ceremonialną broń; dopiero ok. 1200 r. po odpowiednim procesie hartowania zaczęto produkować zeń narzędzia. Znacznie bardziej popularny

⁸ T. Schwegler, *Die biblische Urgeschichte*, München 1960, s. 121.

⁹ K. Moszyński, *Ludy pasterskie*, Kraków 1953, s. 30–32.

¹⁰ W. Grundmann, *Das palästinensische Judentum im Zeitraum zwischen der Erhebung der Makkabäer und dem Ende des Jüdischen Krieges*, [w:] *Umwelt des Christentums – Darstellung des neutestamentlichen Zeitalters*, t. 1, red. J. Leipoldt, W. Grundmann, Berlin 1985, s. 182.

był brąz, którego używano chętnie do wyrobu różnego rodzaju ozdób, naczyń i przedmiotów luksusowych. Prawdopodobnie do wytwarzania tych metali wykorzystywano miejscowe surowce, gdyż w Kanaanie „kamienie zawierają żelazo, a z jej gór wydobywa się miedź” (Pwt 8, 9). Natomiast srebro, cynę i ołów importowano z Tarszisz w południowej Hiszpanii: „srebro, żelazo, cynę i ołów dostarczano ci drogą wymiany za twe towary”. Natomiast z Edomu za pszenicę, wosk, miód, oliwę i balsam importowano „kamienie szlachetne, purpurę, różnobarwne tkaniny, bisior, korale i rubiny”, kupcy zaś z Szeby i Rama dostarczali „najlepszy balsam oraz wszelkiego rodzaju drogie kamienie i złoto”, a kupcy z dalekiej Mezopotamii i Saby handlowali „bogatymi sukniami, płaszczami z fioletowej purpury – różnokolorowymi materiałami i dywanami tkanymi wielobarwnie, skręcanyymi i mocnymi sznurami” (Ez 27, 12; 17–18; 22–24).

Jak widać, nieraz surowce i półprodukty metali szlachetnych pochodziły z dalekich stron; częściowo korzystano z pośrednictwa egipskiego, arabskiego i fenickiego. Luksusowe przyprawy i kadzidło, które szczególnie ważną rolę odgrywały w ceremoniale świątynnym, trzeba było też importować, podobnie jak luksusową kość słoniową, którą dalekomorska flota króla Salomona z ładunkiem złota i srebra co trzy lata przywoziła z Tarszisz (I Krl 10, 22). Ogromną ilość złota (120 talentów), bardzo dużo wonności oraz drogocennych kamieni przywoziła też temu władcy królowa Saby (I Krl 10, 10). Szczególnie cenione było jednak złoto, które przywoziła flota króla Hiram z legendarnego Ofiru; lokalizacja tej miejscowości jest niepewna – według różnych autorów miał się znajdować w Arabii, Afryce, Indiach, a nawet w odległej Sri Lance. Trochę szlachetnego kruszcu i szafirów pochodziło również z własnych kopalń, które znajdowały się na Synaju i w krainie Edomu; o takiej kopalni srebra na „odludziu” i miejscu, „gdzie płuczą złoto”, dobywane w sztolniach, z kamieni zawierających rudę miedzi, a także kamienie szlachetne oraz ziarenka złota, pisze językiem poetyckim Hiob (28, 1–11). Niewiele jednak można znaleźć w tym opisie danych o lokalizacji tej kopalni, używanym sprzęcie, cyklu produkcyjnym i górnikach, np. czy byli to Izraelici czy niewolnicy.

Według B.S.J. Isserlina proces oddzielania srebra od ołowiu drogą rafinacji metalurdcy izraelscy, zwłaszcza jerozolimscy, mieli dobrze opanowany, jak na to wskazuje Jer 6, 29–30 i Ez 22, 20–22, a także sztukę topienia złota i srebra celem oddzielenia zanieczyszczeń (Ml 3, 3). Uzyskiwany na miejscu czy z importu metal był przerabiany w warsztatach przez rękodzielników, fachowców i artystów, zarówno izraelskich, jak i specjalistów z innych krajów, np. Kananejczyków i Fenicjan, na wyroby wykwintne, luksusowe, zdobione drogimi kamieniami, jak również przedmioty potrzebne w świątyni, na dworze królewskim, w domach bogaczy, na eksport i coraz częściej w handlu – w formie sztabek, pierścieni czy języków. Część złotej i srebrnej biżuterii, zwłaszcza niektóre wyroby artystyczne, jak np. misterne sprzączki, sprowadzano przeważnie z zagranicy; jednak amulety w formie małego rulonika z płátka srebrnego z wypisanym imieniem Bożym,

które znaleziono w grobie w Jerozolimie, na pewno wykonał jakiś miejscowy rękodzielnik¹¹.

Złoto, srebro, niekiedy i inne cenności według Biblii odgrywały już za patriarchów istotną rolę w wymianie towarowej, chociaż przeważała wymiana barterowa. Na przykład według Rdz 23, 16–18 Abraham kupił urzędowo od Efrona Chetyty pole ze znajdującą się na nim jaskinią: „Abraham przystał na żądanie Efrona. Odważył więc Efronowi sumę, którą ten wymienił w obecności Chetytów: czterysta syklów srebra, jakie były wówczas w obiegu”. Charakterystyczne w tej transakcji jest „odważenie sumy”; albowiem przez długi okres funkcję „pieniędzy pełniły kawałki metalu szlachetnego o różnym kształcie (najczęściej w formie sztabek lub pierścieni) o różnej wielkości, które każdorazowo przy umowie kupna ważono specjalnymi odważnikami kamiennymi (Jer 32, 10)”. Dlatego odpowiednik hebrajskiego słowa „waży” nabrał znaczenia „płacić”, „sykl” zaś albo „szekel”, który pierwotnie był jednostką wagi, z czasem stał się najbardziej znaną i rozpowszechnioną jednostką płatniczą, w Izraelu używaną do dzisiaj. Najczęściej w handlu równoważnikiem wartości było srebro, które często stanowiło nawet odpowiednik „pieniędzy”¹².

System wymiany towaru na metal szlachetny, odważany na wadze każdorazowo przy sprzedaży i kupnie, nawet jeśli wielkość kęsów metalu była „normowana”, odbywał się głównie w kontaktach z obcokrajowcami, w większych miejscowościach i portach. Na wsi nadal wymieniano towar za towar. Forma wymiany towaru na złoto lub srebro szybko upowszechniła się jednak w wielkich cywilizacjach Bliskiego Wschodu i Egiptu, w których oddziaływaniu kulturowym, społecznym i politycznym znalazła się także Palestyna. Ze Wschodu przejęto także podział sześćdziesiątyn¹³, który pewną rolę odgrywa nawet jeszcze w dzisiejszej rachubie czasowej (minuty i sekundy). Kupcy niejednokrotnie w obrotach transakcyjnych z kawałkami różnej wielkości szlachetnego kruszcu radzili sobie w ten sposób, że nosili ze sobą wagę podręczną i odpowiednie odważniki kamienne, które przechowywali w woreczku lub w pasie; w czasach późniejszych korzystano też z odważników ołowianych; niekiedy miały one kształt świętych zwierząt. Z czasem dążono do ujednolicenia jednostek wagowych i przeliczników, by usprawnić kupiectwo i handel, zwłaszcza międzynarodowy. Stosunkowo szybko na Bliskim Wschodzie upowszechniła się jednostka wagowa sykl (szekel); tyryjski sykl ważył ok. 16,32 g, został przejęty także przez Izrael jako „święta waga”. Etymologicznie szekel wywodzi się ze słowa „szakál” – ważyć. Można nadmienić, że nawet w językach europejskich zachowała się na oznaczenie pew-

¹¹ B.S.J. Isserlin, *Das Volk der Bibel – Von den Anfängen bis zum Babylonischen Exil*, Mainz a.Rh. 2001, s. 164–168.

¹² J. Ebach, H. Schmoldt, *Geldwirtschaft*, [w:] *Reclams Bibellexikon*, red. K. Koch *et al.*, Stuttgart 2000, s. 164–165.

¹³ A. Krzyżanowska, *Pieniądz*, [w:] *Archeologia Palestyny*, red. L.W. Stefaniak, Lublin 1969, s. 675.

nych nominałów pieniężnych pamiętać o odważaniu metalu, jak w wypadku funta czy liry, rubla zaś – od „odrabiania” kawałka szlachetnego kruszcu¹⁴.

Nad stosowaniem właściwych norm wagowych, odważników i wprowadzeniem ewentualnych modyfikacji czuwali urzędnicy królewscy i władze świątynne. Widziano bowiem w posługiwaniu się uczciwą wagą sprawę o najwyższym znaczeniu, nad którą mają pieczę sam Jahwe i król: „Waga i szala to sprawa Pana, Jego dzieło – ciężarki we worku. Obrzydłe królom działanie nieprawe, bo tron się opiera na sprawiedliwości” (Prz 16, 11–12). Niejaki kłopot sprawiała w transakcjach pewna wariantywność wag, którą każdorazowo trzeba było uwzględnić; np. była waga „królewska”, o której wspomina m.in. 2 Sm 14, 26, albo też osobna waga świątynna („według wagi przybytku”); były one cięższe od wagi pospolitej. Nadto zachodziły też pewne różnice regionalne, a nawet sekularne; np. izraelski talent równał się 3000 szekli, natomiast mezopotamski talent 3600 szekli; mina kananejska równała się 50 szeklom, mezopotamska 60 szeklom. Podczas prac wykopaliskowych w Izraelu znaleziono wiele odważników wagowych. Zwykle są to okrągłe, jednostronnie spłaszczone kamyki, z których jednak wiele wykazuje ślady uszkodzeń i starcia wskutek długotrwałego używania, w wyniku czego nie mają już pierwotnego nominalnego ciężaru. W wypadku małych odważników jeszcze trudniej ustalić precyzyjnie wagę właściwą. Niektóre odważniki, zwłaszcza z przełomu VII i VI w. p.n.e., czyli z okresu późnego królestwa, są nawet specjalnie oznakowane symbolem ósemkowym, na górze otwartym. Przypuszczalnie były to odważniki urzędowo zatwierdzone. Na ich podstawie udało się ustalić, że szekel ważył 11,4 g; pewna grupa odważników szeklowych nosi napis „nsp”; ich waga wynosi od 8,7 do 10,9 g; prawdopodobnie chodziło o zwrócenie w ten sposób uwagi, że szekel królewski jest o jedną szóstą cięższy od zwykłego szekla pospolitego. Można też spotkać w Palestynie dość specyficzne odważniki, np. o kształcie zoomorficznym, m.in. skarabeusza, zwłaszcza w fazie przejściowej między okresem brązu i żelaza (ok. 1200 r.) i w IV w. p.n.e. Odważniki ołowiane spotyka się częściej dopiero w epoce hellenistyczno-rzymskiej¹⁵.

Najczęściej używanym metalem w transakcjach handlowych było srebro, zdecydowanie rzadziej złoto. Jednak kilka wieków jeszcze minęło, zanim pierwsze monety pojawiły się w Izraelu. Nastąpiło to dopiero po niewoli babilońskiej. Do tego też czasu w środowisku pasterskim i rolniczym dominował handel wymienny i zapłata w naturaliach, gdyż szlachetnego kruszcu w obiegu w dawnym Izraelu było niewiele, handel miał raczej charakter międzymiastowy i międzyregionalny. Włączenie się na większą skalę w wymianę międzynarodową nastąpiło dopiero za Salomona, jednak ustała ona znowu po rozpadzie państwa po jego śmierci. Stąd różne płatności, kontrybucje, należności uiszczano nieraz w natu-

¹⁴ H.A. Mertens, *Kleines Handbuch der Bibelkunde*, Düsseldorf 1969, s. 349–350; *Lexikon zur Bibel*, red. P. Rienecker, G. Maier, Wuppertal 1998, s. 539–541.

¹⁵ M. Ernst, *Gewichte*, [w:] *Die Bibel A–Z*, t. 1, red. M. Stubhann, Salzburg 1985, s. 239.

rze, np. produktami rolnymi, zwierzętami hodowanymi, cennymi przedmiotami. Władca niewypłacalny mógł za długi albo za cenę pokoju lub jako haracz odstąpić część swego terytorium lub kilka miast wraz z ich ludnością, która przeszła pod obce panowanie. Salomon na przykład, który zbudował sobie luksusowy pałac oraz wznosił centralne sanktuarium świątynne w Jerozolimie, nie mając płynności finansowej, zapłacił Hiramowi, królowi Tyru, który „dostarczał Salomonowi drzewa cedrowego i drzewa cyprysowego, i złota, stosownie do wszelkiego jego zapotrzebowania”, za to wszystko nie ekwiwalentem w postaci szlachetnego kruszcu, lecz dał mu „dwadzieścia miast w ziemi galilejskiej”. Nie spodobały się one jednak Hiramowi i nie był z tego ekwiwalentu zadowolony (1 Krl 9, 10–14). Podobnie faraon dał swojej córce – żonie Salomona – w wianie miasto Gezer, które kiedyś zdobył i spalił (1 Krl 9, 16). Ale jeszcze za czasów Jezusa dochody kapłanów jerozolimskich w dużej mierze stanowiły naturalia, podczas gdy najemni wojownicy Dawida już tysiąc lat wcześniej otrzymywali żołd pieniężny. Poddani obowiązkowe dostawy na zaopatrzenie dworu Salomona przekazywali w naturaliach, natomiast zwierzęta ofiarne za czasów Chrystusa trzeba było kupić za pieniądze. Jak widać, systemy barterowy i finansowy koegzystowały przez wiele wieków i dopiero od VI w. na Bliskim Wschodzie, za panowania perskiego, coraz bardziej zaczęła upowszechniać się gospodarka pieniężna¹⁶.

Z upowszechnianiem się gospodarki finansowej i nagromadzaniem przez władców, kupców i przedsiębiorcze jednostki coraz większych ilości złota i srebra powstał problem przechowywania swego bogactwa. Na „podręczne” potrzeby i operacje handlowe trzymano je w trzosach, na co wskazują m.in. słowa Jezusa skierowane do apostołów: „Nie zdobywajcie złota ani srebra, ani miedzi do swych trzosów!” (Mt 10, 9); znano też sakwy skórzane do przenoszenia większej ilości pieniędzy (Rdz 42, 35; Sb 1, 14; Iz 46, 6). Większe zasoby, „skarby”, przechowywano w „skarbcu”, o którym Biblia wspomina 56 razy. Taki skarb domowy celem zabezpieczenia go przed złodziejami albo podczas wojny lub przed ucieczką czy deportacją najczęściej chowano w dzbanie w ziemi; nie wszystkim dane było wrócić, stąd niekiedy jakiemuś szczęśliwcowi udało się znaleźć taki skarb ukryty w roli (Mt 13, 44). Większe walory deponowano w skarbcach królewskich albo świątynnych, które uważano za zdecydowanie bezpieczniejsze¹⁷.

Większych ośrodków kapitałowych w czasach biblijnych było na Wschodzie oraz w krajach hellenistycznych i w Imperium Rzymskim niewiele. Znajdowały się zwykle tylko na dworach królewskich lub przy wielkich świątyniach, do których spływały różne podatki, daniny, dary i cła. Taka sytuacja zachodziła też w Palestynie, tam świątynna skarbnica już od czasu sędziów pełniła funkcję „skarbcza Jahwe”. Gromadzono w niej też walory zdobyczne w czasie świętej wojny. Na przykład po zdobyciu i spaleniu Jerycha „tylko srebro i złoto, jak

¹⁶ H.A. Mertens, *Handbuch der Bibelkunde*, Düsseldorf 1984, s. 702–703.

¹⁷ *Ibidem*, s. 704.

i sprzęty z brązu i żelaza oddali do skarbcza domu Pańskiego” (Joz 6, 24). Jak widać, żelazo w tym wczesnym okresie, ze względu na jego rzadkość, zaliczano także do cenneści.

Dopiero w okresie hellenistycznym, mniej więcej od III w. p.n.e. w niektórych wielkich miastach, w których znajdowały się też mennice, powstały także banki i skarbcze. Zakładano również banki prywatne, zajmujące się różnego rodzaju przeliczeniami walorów, także międzynarodowych, zarządzaniem wkładami i depozytami, przekazami i rozliczeniami, kredytami i hipotekami. Największe centrum bankowe w starożytności znajdowało się w Atenach. Niemale znaczenie miały także banki świątynne; najślawniejszy z nich znajdował się przy świątyni Apollina na Delos, będący zarazem prywatnym bankiem Ptolemeusza. Z banków świątynnych korzystały nawet banki prywatne, które składały w nich większe depozyty i zaciągały pożyczki. Specyficzny, centralistyczny system bankowy rozwinął się w Egipcie; królewski urząd skarbowy pełnił funkcję banku centralnego, którego filie znajdowały się w całym kraju. Dzięki temu odbywał się nawet bezgotówkowy obrót międzybankowy. W czasach rzymskich banki przeprowadzały także aukcje i pełniły funkcje notarialne i maklerskie¹⁸.

Ale nawet bank świątynny czy królewski nie był do końca bezpieczny przed rabunkiem i chciwością. O chęci zagarnięcia skarbów świątynnych przez Heliodora, wysłannika królewskiego, podaje 2 Mch 3, 5–38. Choć arcykapłan Oniasz wyjaśnił mu, że „są to depozyty wdów i sierot [...] byłoby zaś w ogóle niemożliwą rzeczą uczynić krzywdę tym, którzy zawierzyli świętości miejsca oraz powadze i azyłowi świątyni szanowanej na całym świecie”, to jednak wysłannik Seleukosa IV Filopatora postanowił je przenieść do skarbcza swego pana, co jednak mu się nie udało i za co spotkała go sroga kara Boża.

O bardzo dziwnej sytuacji przechowywania wielkich kosztowności w grobach królewskich w obrębie Jerozolimy pisze Józef Flawiusz. Gdy Antioch zaczął oblegać Hirkana w Jerozolimie, „ten otworzył grób Dawida, który był najbogatszy z królów, i zabrał stamtąd skarb wartości ponad trzy tysiące talentów. Z sumy tej wypłacił Antiochowi trzysta talentów i skłonił go do zaniechania oblężenia, a za pozostałą część zaczął, jako pierwszy wśród Żydów, utrzymywać wojska najemne”¹⁹. Chodziło w tym przypadku o talenty srebra. Nadto Hirkan zaopatrzył szczerze jego armię i wspaniałomyślnie ugościł Antiocha w swej stolicy, a nawet zawarł z nim przymierze. Ale skarby w grobowcu Dawida jeszcze raz zostały splądrowane. „Otóż Herod, który wydał ogromne sumy i w samym królestwie, i poza nim [...] otworzył tedy grobowiec o nocnej porze i wszedł do niego, dobrawszy sobie najbardziej zaufanych przyjaciół, pilnie bacząc, aby nikt w mieście o tym się nie dowiedział. Nie znalazł tam jednak, podobnie jak Hirkan, złożonych pieniędzy, lecz wiele złotych przedmiotów i kosztowności i naturalnie wszyst-

¹⁸ M. Ernst, *Geld, Geldwirtschaft*, [w:] *Die Bibel A–Z...*, s. 226.

¹⁹ Józef Flawiusz, *Wojna żydowska*, Warszawa 1991, s. 61–62.

ko to zabrał”²⁰. Cała ta sprawa jest dość tajemnicza. Wiadomo, że w Babilonii, Egipcie i Kanaanie inwentarz grobowy jest nieraz bardzo bogaty, bywa wprost luksusowy; natomiast groby izraelskie są ubogie, kult zmarłych był stanowczo zakazany; w nekropoliach izraelskich można znaleźć zaledwie małe sprzęty, częściej różnego typu lampki oliwne i amulety²¹. Biblia o tym skarbcu grobowym nie wspomina; prawdopodobnie w grobach królewskich urządzono skrytkę na skarbiec królewski w niepewnych czasach.

Ale z pieniędzmi i innymi walorami może wiązać się również aspekt etyczny i religijny, mogący znacznie wykraczać poza ich wartość wymienną. Złoto, srebro, kosztowności mogą stanowić bowiem wyraz największego szacunku dla Boga, stąd przedmioty mające najbliższy kontakt z *sacrum* wykonywano ze szczerego złota, tkaniny zaś z najdroższych materiałów, Mędrcy przynoszą Bożemu Dziecięciu złoto, kadzidło i mirrę (Mt 2, 11), cenności składa się w ofierze w świątyni, niejednokrotnie nawet na dawnych monetach widniały religijne symbole²². Izraelici do składki na świątynię byli zobowiązani w świątynnej walucie, a ponieważ pielgrzymi przychodzili z różnych krajów, więc bankierzy dokonywali odpowiednich przeliczeń na dziedzincu świątynnym, co spotkało się z gwałtowną reakcją Chrystusa (J 2, 14–15). Nie chodziło Mu o likwidację daniny świątynnej, albowiem sam, a także za Piotra uścił statera (Mt 17, 24–27) poborcom tego podatku, ale o naruszenie świętości domu Bożego. Przekazanie pewnej ilości czy sumy pieniędzy stanowiło także formę zadośćuczynienia za wyrządzoną szkodę czy przewinienie, a także jałmużnę.

Jednak Biblia ukazuje także ambiwalentny charakter pieniędzy i bogactwa, czasem wprost ryzyko w obchodzeniu się z nimi. Na przykład Stary Testament przestrzega przed stosowaniem fałszywych miar i wag: „Będziesz miał ciężarek nie umniejszony i dokładny; będziesz miał efę nie umniejszoną i dokładną, abys długo żył na ziemi, którą ci daje Pan, Bóg twój; gdyż brzydzi się Pan każdym, który tak czyni, każdym, który postępuje niesprawiedliwie” (Pwt 25, 13–16; Mi 6, 11). Już wcześniej wydany też został zakaz pobierania procentu lub lichwy od rodaków (Kpł 25, 35–37; Pwt 23, 20). Natomiast „od obcego możesz się domagać, ale od brata nie będziesz żądał odsetek” (Pwt 23, 21). Zasady te stanowiły punkt wyjścia licznych komentarzy i późniejszych ustaleń finansowych i gospodarczych²³.

Ale pieniądze, bogactwo, zdobywanie majątności może też stanowić istotne zagrożenie życia duchowego człowieka i przesłonić mu wartości nadprzyrodzone.

²⁰ Józef Flawiusz, *Dawne dzieje Izraela*, Warszawa 1993, s. 587, 719–720.

²¹ K.J. Narr, *Geistiges Leben in der frühen und mittleren Altsteinzeit*, [w:] *Handbuch der Urgeschichte*, t. 1, red. K.J. Narr, Bern 1966, s. 158–168; M.B. Arndt, F.M. Rosiński, *Groby i zwyczaję pogrzebowe w dawnym Izraelu*, „Quaestiones Selectae” 2, 1995, s. 38–39.

²² D. Carpenter, *Money*, [w:] *Encyclopedia of Religion*, red. L. Jones, Detroit 2005, s. 6136–6138.

²³ H.L. Strack, P. Billerbeck, *op. cit.*, s. 348–353.

Może to postawić człowieka przed decyzją egzystencjalną: służyć Bogu albo mamonie; bo nie da się dwom panom służyć (Mt 6, 24; Łk 16, 13). Chrystus Pan niejednokrotnie nawiązywał do spraw ekonomicznych i walorów pieniężnych w swych przypowieściach, porównaniach, nauce. Nie potępiał bogactwa, ale wskazał, że trudno bogatym wejść do królestwa Bożego (10, 23–25), że należy sobie pozyskiwać za pomocą mamony dobra nadprzyrodzone, skarb w niebie, „aby gdy wszystko się skończy, przyjęto was do wiecznych przybytków” (Łk 16, 9–12). Bogacz z przypowieści znalazł się w otchłani, pogrążony w mękach, bo nie okazał żadnej pomocy nędzarzowi Łazarzowi, leżącemu u bramy jego pałacu (Łk 16, 19–31). Chrystus powołuje się na ówczesne ceny i monety; np. według Łk 12, 6 za pięć wróbli płaci się 2 asy (druga z kolei najmniejsza moneta rzymska), według Mt 10, 29 zaś dwa wróble sprzedaje się za 1 asa. Za swoją zdradę Judasz otrzymał 30 syklów świątynnych, tj. wielkość odszkodowania: „gdyby wół zabódl niewolnika lub niewolnicę, jego właściciel winien wypłacić ich panu trzydzieści syklów srebrnych, wół zaś będzie ukamienowany” (Wj 21, 32). Chrystus docenił wielkość ofiary ubogiej wdowy, która wrzuciła tylko dwa pieniążki – dwa lepta, monetki brązowe o małej wartości – do skarbony i stwierdza, że „ta uboga wdowa wrzuciła najwięcej ze wszystkich, którzy kładli do skarbony. Wszyscy bowiem wrzucali z tego, co im zbywało, ona zaś ze swego niedostatku wrzuciła wszystko, co miała, całe swe utrzymanie” (Mk 12, 41–44). Roboczo dniówka za pracę w winnicy wynosi według Mt 20, 2 jeden denar²⁴. Jak widać, Bóg stosuje inny przelicznik.

Pieniądze stanowiły również ważny faktor polityczny; kto miał władzę zwierzchnią, mógł bić monety. Aleksandrowi Wielkiemu udało się przekonać ówczesny cywilizowany świat o korzyściach wspólnej waluty; pieniądz z wyciśniętą królewską pieczęcią, o stałej wadze, zaczął rządzić handlem i życiem gospodarczym. Cła i myta, podatki i daniny odprowadzało się w twardej walucie. „W 332 r. p.n.e. prawo do bicia monet zostało ograniczone do oficjalnej mennicy Aleksandra i nie wydawano narodowej żydowskiej monety aż do czasów machabejskich”. Później znów Herod Wielki emitował monety, ale tylko o niższej wartości. W czasie wojny żydowskiej (66–67 n.e.) w obiegu były znowu żydowskie szekle, po stłumieniu powstania Rzymianie bili monety ukazujące upokorzonych Żydów klęczących i trzymających palmy, żydowski symbol narodowy²⁵.

W nowszych czasach biblijnych nie było jednak jednolitego systemu monetarnego; w obiegu były monety różnych państw, a nawet z różnych czasów, z czym sobie jednak zupełnie dobrze radzili bankierzy kantorów wymiennych. Na przykład w 63 r. p.n.e. Pompejusz wprowadził do Palestyny rzymską walutę, mimo to nadal były w obiegu monety greckie i hellenistyczne. Ewangelie wymieniają pięć różnych monet: talent i mina były jednostkami wagowymi, ale znano także

²⁴ M. Schneider, *Zwischen Geld und Güte*, Münster 2001, s. 34.

²⁵ W.R.F. Browning, *Słownik biblijny*, Warszawa 2009, s. 388–389.

złote talenty i miny. Przeliczniki na współczesną walutę są bardzo niepewne; według J.A. Thompsona „jeden talent był wart około 960 dolarów. Mina, waga srebra (por. Łk 19, 13 ns.) była warta około 16 dolarów. Pozostałe trzy jednostki pieniężne były zwykłą monetą obiegową. Jedna z nich, zwana w Nowym Testamencie »srebrnikiem«, »sztuką srebrną«, była w rzeczywistości srebrną drachmą i przedstawiała wartość około 16 centów (por. Łk 15, 8–9). Prócz tego była jeszcze w użyciu »moneta czynszowa«, czyli moneta dwudrachmowa, srebrny pieniądz wartości około 32 centów (por. Mt 17, 24), oraz wreszcie stater, srebrna tetradrachma (4 drachmy) wartości około 64 centów (por. Mt 17, 27)”²⁶. Monopol bicia srebrnych monet zarezerwowali sobie Rzymianie; najpospolitszy był srebrny denar bity w Rzymie, taki pokazano Chrystusowi, pytając Go, „czy wolno płacić Cezarowi podatek”; na denarze był napis (w tłumaczeniu): „Tyberiusz Cezar, August, Syn Boskiego Augusta”, co oczywiście ogromnie ich raziło.

Ilość posiadanych pieniędzy stawała się coraz bardziej wykładnikiem bogactwa, władzy, wpływów i prężności gospodarczej. Umożliwiała życie w dobrobycie i luksusie, a brak pieniędzy był świadectwem nędzy człowieka. Gospodarka pieniężna jaskrawiej uwidaczniała różnice ekonomiczne między bogatymi i ubogimi, tworzyła pokusę oceniania wartości ludzi według tego, ile kto posiadał pieniędzy.

²⁶ J.A. Thompson, *Biblia i archeologia*, Warszawa 1965, s. 230–231.

**Nieco
historii**

Od talara do dolara – historia globalna

Myślałem, że będzie to lokalna historia o globalnym zakończeniu. Zbigniew Żabiński o talarach pisze: „pierwsze tego rodzaju monety polecił wybić w 1479 r. arcyksiążę Maksymilian w Austrii, a w 1484 r. jego brat Zygmund w Tyrolu. Miały one być odpowiednikiem złotych guldenów o wartości 60 krajcarów”¹. Pojawienie się nowego pieniądza związane było z reformą monetarną arcyksięcia Zygmunta². Wydobywane w krajach alpejskich kruszce nabywali kupcy, którzy transportowali je do miast północnowłoskich. W tamtejszych mennicach z przywiezionego srebra czy złota bito dla nich lokalne monety. W weneckiej mennicy, *zecca*, otrzymywali np. złote dukaty czy srebrne grossi, za które dokonywali zakupów towarów włoskich lub przywiezionych do Wenecji ze wschodniej części Morza Śródziemnego, czasem były to produkty z Egiptu, Bliskiego Wschodu, a nawet z dalszych rejonów Azji. Za pieniądze uzyskane ze sprzedaży tkanin czy pieprzu w miastach Alp czy południowych Niemiec nabywali srebro czy złoto, by ponownie udać się do Wenecji na zakupy. W ten oto sposób Tyrol uczestniczył w wymianie handlowej między południem a północą Europy. Jednak za wybijanie monet trzeba było płacić. *Brassage* była opłatą dla mennicy za pracę, a *seignorage* dla władcy. Opłaty te różniły się w zależności od rodzaju kruszcu i wybijanych monet. Zmieniały się także z czasem. Choć były drobną częścią wartości kruszców, stanowiły jednak dla władców źródło dochodu³.

W 1477 r. arcyksiążę Zygmunt w mennicy Hall nakazał bicie nowych monet z lokalnego srebra. Bicie własnych monet umożliwiły dochody płynące z uczestnictwa w wymianie handlowej łączącej północną i południową Europę z krajami Bliskiego, Środkowego i Dalekiego Wschodu, ponieważ Tyrol leżał na ważnym szlaku handlowym łączącym Wenecję przez przełęcz Brenner i Innsbruck z miastami południowoniemieckimi i dalej miastami północnych Niemiec, Czech, Polski, Szampanii, Niderlandów... Jednocześnie sama emisja monet umożliwiała dodatkowe dochody z tytułu *seignorage*. Pierwszą większą monetą był pfunder warty 12 krajcarów, kolejną w 1484 r. była moneta nazywana połową guldengro-

¹ Z. Żabiński, *Rozwój systemów pieniężnych w Europie Zachodniej i Północnej*, Wrocław 1989, s. 42.

² http://www.oenb.at/en/ueber_die_oenb/geldmuseum/oesterr_geldgeschichte/neuzeit/on_the_threshold_to_the_modern_age_innovative_tyrol.jsp, 25.03.2009.

³ A.M. Stahl, *Zecca. The Mint of Venice in the Middle Ages*, Baltimore 2000, s. 497.

scha, a w 1486 pojawiła się następna, nazywana guldiner lub guldengroschen. Jej nazwa nawiązywała do złotego guldena, a także do srebrnego grosso. Grosso zaś było monetą, która pojawiła się po raz pierwszy w Wenecji ok. 1200 r. i zawierała ok. 2,18 g srebra⁴. Nazwaną ją *grosso*, duża, bo była większa od używanych wówczas denarów. Moneta, która pojawiła się w Tyrolu, była jednak znacznie większa niż *grosso*. Pierwszy guldengroschen-guldiner zawierał ok. 31,5 g srebra⁵, tyle by wartością odpowiadać złotemu guldenowi. W ten oto sposób pojawiły się nie tylko nowe monety, lecz także nowy wzorzec monety: moneta srebrna zawierająca ilość srebra równą wartości złota zawartego w guldenie. Wzorzec ten pojawił się jednak wraz z połówką guldengroscha, a więc przed samym gulden-groschem-guldinerem.

Wkrótce monety oparte na nowym wzorcu wybijają kolejne mennice, miasta, kraje, władcy: Berno (1494), Sitten (1498), Węgry (1499), Saksonia (1500), Salzburg (1504)⁶. Moneta pojawia się także w Czechach: „Prawo wybijania monety tej samej stopy uzyskał następnie w 1518 r. hr. Schlick, który wykorzystywał w tym celu złoża w Jachimowie (Joachimstal) w Czechach. Stąd jego monety zaczęto nazywać »Joachimstaler« lub krótko »Taler«, a więc talarami (w dawnej Polsce talerami)”⁷. Pojawia się nowa, kolejna nazwa – talary. Były one „wybijane w liczbie 8 sztuk z 1 marki kolońskiej srebra, a więc o ciężarze ok. 29,2 g, co przy próbie 15-lutowej (937 1/2) oznaczało, że zawierały 27,4 g czystego srebra”⁸. W przypadku niektórych mennic emisje monet były tak ograniczone, że mogły one pełnić raczej funkcje polityczne. Były nagrodą władcy dla urzędników za pracę albo stosowanym w dyplomacji prezentem dla innych władców. Talary, jak inne monety, były „ozdobą władcy i państwa”⁹. O pierwszych tyrolskich srebrnych guldinerach Żabiński pisze: „były to na razie monety pamiątkowe”¹⁰. Z drugiej jednak strony pojawiają się po pfunderze i połowce guldengroscha, co pozwala uznać je za element działań reformatorskich arcyksięcia Zygmunta, zmierzających do stworzenia nowych, dużych, srebrnych monet potrzebnych do celów handlowych.

Profesor Borys Paszkiewicz po lekturze pierwszej wersji tego tekstu w przekazanych mi uwagach wskazał na istotny kontekst, który należy uwzględnić, analizując przyczyny pojawienia się talara. Druga połowa XV w. to okres rozwoju handlu międzynarodowego, w którym ważną rolę odgrywał złoty floren z Flo-

⁴ *Ibidem*, s. 17.

⁵ <http://www.finder2.moneymuseum.com/frontend/coins/periods/coin.jsp?i>, 26.03.2009.

⁶ http://www.moneymuseum.com/standard_english/raeume/geld_machen/bank/geschichte/namen/taler/gotik/gotik.html, 25.03.2009.

⁷ Z. Żabiński, *op. cit.*, s. 42.

⁸ *Ibidem*. Por. także: *Silver Joachimsthaler of Stephen, count of Schlick*, http://www.british-museum.org/explore/highlights/highlight_object/..., 26.03.2009.

⁹ R. Kiersnowski, *Moneta w kulturze wieków średnich*, Warszawa 1988, s. 38–50.

¹⁰ Z. Żabiński, *op. cit.*, s. 42.

rencji, a następnie w licznych odmianach tłoczony w mennicach różnych krajów. Monety te nazywano także rozmaicie: florenami, dukatami, guldenami... Niedobory złota były przyczyną pojawiania się jego wersji zawierających mniejszą ilość kruszcu, a więc i posiadających mniejszą wartość. Innym rozwiązaniem było coraz częstsze odliczanie wartości złotych monet monetami srebrnymi o mniejszej wartości. W tych okolicznościach talar, duża moneta srebrna, wspomagał obsługę handlu międzynarodowego, bez konieczności odliczania większych kwot w drobniejszych monetach srebrnych. Okres poprzedzający pojawienie się guldinerów to nie tylko czas niedoboru monet złotych. Peter Spufford pisze o „późnośredniowiecznym głodzie monet”: „wraz z brakiem monet czarnych [miedzianych – A.N.] jak również białych srebrnych i złotych głód monet osiągnął swój najgorszy punkt we wczesnych latach 60. XV stulecia”¹¹. Brak monet w obiegu był przyczyną rozmaitych poważnych problemów zarówno na lokalnych rynkach, jak i w wymianie o bardziej rozległym zasięgu. Jednak: „Ogromne trudności z niedostatkiem monet i kredytu na początku lat 60. XV stulecia zniknęły bardzo szybko wraz z otwarciem nowych pokładów srebra”¹². To nowe srebro stało się dostępne dzięki nowym odkryciom złóż, między innymi w Schwaz w Tyrolu oraz w Schneeberg w Saksonii. Ważną rolę odegrały także innowacje techniczne dotyczące oczyszczania srebra i usuwania wody z kopalni. Umożliwiły one eksploatację pokładów dotychczas niedostępnych.

Gdy emisje nowych monet były coraz większe, zaczynały one odgrywać coraz większą rolę w wymianie handlowej. Srebrne talary wartością odpowiadały złotym guldenom i, tak jak te ostatnie, z powodu dużej wartości były rzadziej używane w codziennych miejskich transakcjach. Zbigniew Żabiński podaje szacunkową wartość talara dla Lipska w latach 1560–1569 na 29,62 trofy¹³, przy czym trofa to koszt żywności dostarczającej 3000 kalorii, czyli w przybliżeniu codzienne wyżywienie dorosłego człowieka. Zatem za 1 talara można było kupić żywność prawie na miesiąc. Talary były natomiast ważnym środkiem płatniczym w handlu z innymi miastami, krajami. Ich rola rosła wraz z rosnącym wydobywaniem srebra i coraz większą liczbą bitych monet: „J. Majer ocenia całość produkcji Jáchymova w okresie 1516–1601 na około 200 tys. kg srebra”; „W pierwszych latach XVI w. monopolistycznymi odbiorcami srebra z okręgu Jáchymova byli kupcy norymberscy, Jan Nützel i bardziej znany Jakub Wesler. Uzyskali oni od Schlików monopol na zakup srebra z Jáchymova. Ustało to w 1519 r., gdy Schlikowie założyli w Jáchymovie mennicę, gdzie rozpoczęli bić słynne tamtejsze talary [...]. Właśnie możliwość uzyskiwania srebra, odtąd już w monecie, skłoniła liczne firmy norymberskie i augsburskie, a wśród nich Fuggerów, Höchstetterów, Weslerów i innych, do inwestowania kapitałów w górnictwie srebrnym rejonu Jáchymova

¹¹ P. Spufford, *Money and Its Use in Medieval Europe*, Cambridge 2004, s. 362.

¹² *Ibidem*, s. 363.

¹³ Z. Żabiński, *op. cit.*, s. 12.

i w innych kopalniach czeskich”¹⁴. Pojawiają się tu nazwiska kupców niemieckich, osób bardzo ważnych nie tylko w wymianie handlowej, lecz w gospodarce i polityce ówczesnej Europy, a ich kontakty i wpływy sięgały odległych części kontynentu, o czym pisze Fernand Braudel¹⁵. Ilość srebra i bitych z niego monet, a także zaangażowanie najważniejszych rodów kupieckich umożliwiło coraz większą rolę talara w wymianie dalekosiężnej zarówno w Europie, jak i w kontaktach z krajami pozaeuropejskimi.

John Munro przedstawia wzrost wydobycia srebra w głównych kopalniach środkowej Europy w latach 1471–1550¹⁶. Łączne wydobycie wzrasta w tym okresie z 13 ton w pierwszej dekadzie do blisko 40 ton w ostatniej. Oczywiście srebro z tych kopalni krążyło w wymianie handlowej pod postacią różnych monet, a także sztab. Podsumowując w Abstrakcie swojego tekstu konsekwencje wzrostu wydobycia srebra dla gospodarki europejskiej, pisze: „było ono ważnym czynnikiem w odrodzeniu i ekspansji europejskiej ekonomii – i – pozwoliło na wielką ekspansję weneckiego handlu z Lewantem, umożliwiając otrzymywanie nie tylko azjatyckich przypraw, lecz także wielkich ilości syryjskiej bawełny potrzebnej dla przeżywającego boom niemieckiego przemysłu tekstylnego”, „główną tezę tego tekstu jest stwierdzenie, że boom w wydobyciu srebra wpierw w południowych Niemczech, a następnie w hiszpańskiej Ameryce przyniósł Europie korzyść przez umożliwienie ogromnego rozwoju prawdziwie globalnego handlu”¹⁷.

Określenie „lokalna historia o globalnym zakończeniu” jest przynajmniej z dwóch powodów niewłaściwe. Po pierwsze: już samo pojawienie się w Tyrolu monet opartych na nowym wzorcu, a więc połówek, a następnie całych guldenów, ujawnia spłot uwarunkowań lokalnych z tymi, które lokalnymi nazwać trudno. Stające się politycznym narzędziem budowania prestiżu władcy, monety wikłane były w politykę wewnętrzną i zewnętrzną. Ambiwalentny jest także kontekst ekonomiczny. Nowe monety dawały lokalnym elitom politycznym i gospodarczym nowe możliwości uczestniczenia w wymianie handlowej, która była elementem rozległej sieci powiązań łączącym ze sobą rozmaite części Europy z afrykańskimi i azjatyckimi wybrzeżami Morza Śródziemnego, a także z krajami leżącymi w bardziej odległych rejonach tych kontynentów. Po drugie: nasza historia bardzo szybko przestała być lokalna, a daleka jest przecież jeszcze od zakończenia. John Munro pisze, że niemieckie srebro umożliwiło Europie uczestniczenie w prawdziwie globalnym handlu.

¹⁴ M. Małowist, *Wschód a zachód Europy w XIII–XVI wieku*, Warszawa 1973, s. 330–331.

¹⁵ F. Braudel, *Kultura materialna, gospodarka, kapitalizm XV–XVIII wieku*, t. I–III, Warszawa 1992, indeks nazwisk.

¹⁶ J. Munro, *South German Silver, European Textiles, and Venetian Trade with the Levant and Ottoman Empire, c. 1370 to c. 1720: A Non-mercantilist Approach to the Balance of Payments Problem*, „Working Paper” nr 26, Toronto 2006, s. 51.

¹⁷ *Ibidem*.

Tu potrzebne jest kolejne uściślenie. W omawianym okresie możemy mówić o globalności w specyficznym znaczeniu. Marshall Hodgson pisze o „Afroeuro-azjatyckiej ekumenie, której Zachód był integralną częścią”¹⁸. Janet Abu-Lughod pisze o światowym systemie a.d. 1250–1350, także mając na myśli rozległą sieć powiązań komunikacyjnych (handlowych, politycznych, kulturowych) łączących ze sobą odległe rejony Afryki, Europy i Azji¹⁹. Autorka wskazuje jednak na liczne istotne różnice, z których powodu ten afroeuroazjatycki system światowy był odmienny od tego, jaki po odkryciu i podboju Ameryki zaczęli budować Europejczycy. Talary odegrały ważną rolę w handlu Europy z Afryką i Azją. Austriacka instrukcja mennicza z 7 XI 1750 r. ustalała dla nich nową, tzw. stopę konwencyjną. Z jednej marki wiedeńskiej (tj. 280,644 g) srebra próby 833 1/3 wybijano 10 talarów ważących 28,064 g i zawierających 23,387 g czystego srebra²⁰.

Szczególną rolę w handlu dalekosiężnym odegrały talary z portretem Marii Teresy, które były tłoczone od 1741 r., a po jej śmierci w 1780 r. z tą datą wykonywane są do dziś. W tym czasie w mennicach Austrii, a także w Birmingham, Bombaju, Brukseli, Florencji, Londynie, Mediolanie, Paryżu, Pradze, Rzymie, Wenecji wykonano ok. 800 milionów tych monet²¹. Niezależnie od tego, wykonywano mniej lub bardziej udane naśladownictwa, które oprócz alfabetu łacińskiego pierwowzoru zawierały inskrypcje arabskie lub greckie. Moneta ta stała się powszechnym środkiem płatniczym od północnej Afryki po Etiopię, Kenię, Tanzanię, Indie, Indonezję. Wtedy też dodatkowo umieszczano na niej oznaczenia legalizujące jej lokalne użycie. Talary noszą oznaczenia z Anglii, Azorów, Dżibuti, Indonezji, Mozambiku, Turcji, Półwyspu Arabskiego²². Do tych odległych rejonów talary docierały głównie za pośrednictwem krajów Lewantu, stąd w Europie nazywano je lewantyńskimi: „Talary Marii Teresy pojawiły się na Półwyspie Arabskim już dekadę po wybitciu pierwszych monet w Wiedniu, trafiły w ręce handlarzy kawy w Adenie i Mokce, którzy zaopatrywali kupców w Wiedniu przez Triest. Grecy, lewantyńscy, tureccy, żydowscy i ormiańscy kupcy także brali talary na swoje wyprawy do handlowych centrów Kairu, Aleksandrii, Algieru, Tunisu i Trypolii, skąd związki utrzymywane przez kupców arabskich rozciągały się na południe poprzez Saharę i do Arabii, Etiopii, Egiptu i Sudanu”²³. Jeszcze w latach 60. XX w. Clara Semple obserwowała ich wykorzystywanie na targach Afryki i Półwyspu Arabskiego jako środka płatniczego, jednostki wagowej, biżu-

¹⁸ M. Hodgson, *Rethinking World History*, Cambridge 1993, za A.G. Frank, *ReOrient. Global Economy in the Asian Age*, Berkeley 1998, s. 23.

¹⁹ J. Abu-Lughod, *Before European Hegemony. The World System A.D. 1250–1350*, New York 1991.

²⁰ Z. Żabiński, *op. cit.*, s. 53.

²¹ Ch.L. Krause, C. Mishler, *Standard Catalog of World Coins*, San Diego 1997, s. 122.

²² <http://www.theresia.name/en/index/html>, 30.03.2009.

²³ P. Harrigan, *Tales of a Thaler*, „Saudi Aramco World” 54, nr 1, s. 3, <http://www.saudiaramcoworld.com/issue/200301/tales.of.a.thaler.html>.

terii czy surowca do jej wyrobu²⁴. Kevin Rushby opisuje, jak na targu Tahl w północnym Jemenie widział mężczyznę płacącego srebrnymi talarami Marii Teresy za kałasznikowa i amunicję²⁵. Historia tych monet jest globalna w tym znaczeniu, że staje się ona częścią globalnej ekumeny kulturowej rozciągającej się wokół Oceanu Indyjskiego, którą przedstawia Janet Abu-Lughod²⁶, a piszą o niej także Chaudhuri²⁷, Braudel²⁸, Frank²⁹, McNeill. Dla tego ostatniego ta afroeuroazjatycka ekumena była przede wszystkim siecią komunikacji ekonomicznej, politycznej i kulturowej, której szlakami od stuleci przemieszczali się kupcy, a wraz z nimi towary, języki, religie, oddziaływania i idee polityczne, sztuka³⁰.

A jednak talary Marii Teresy używane na targach Afryki i Azji jeszcze po II wojnie światowej to już historia inna od tej, która jest tematem tego tekstu. Witold Garbaczewski pisze: „Zdobywając kolejne rynki, przyjmował tam talar różne nazwy. W Rosji np. zwany był jefimkiem, we Francji – jacondale, w Szwecji nosił nazwę dalera (riksdalera), w Ameryce – dolara”³¹. Aby jednak dotrzeć do amerykańskiego dolara, musimy udać się do XV-wiecznej Hiszpanii, gdzie Don Fernando i Doña Ysabel, królowie katoliccy, 13 czerwca 1497 r. swoim „Ordenanza” reformowali system monetarny królestw – Kastylii i Aragonii: „Zatem, polecamy i rozkazujemy, aby we wszystkich naszych mennicach były bite inne srebrne monety nazywane realami. Powinno ich przypadać 67 reali na markę, nie mniej. Czystość winna wynosić 11 dineros i 4 greny, nie mniej”³². Co do czystości próby srebra, to 12 dinarów oznaczało srebro czyste. A skoro każdy dinar dzielił się na 24 greny, to na tej podstawie Muñoz wyznacza próbę monet na .930. Wagę każdej z nich określa na 3,4335 g. „Ordenanza” uściśla, że chodzi o markę kolońską, która zawierała ok. 233,8 g³³. Tak wyznaczona marka podzielona na 67 daje 3,48955 g. Być może wzorowana na marce kolońskiej marca de Castilla różniła się jednak od niej nieznacznie. Przyjmijmy zatem za autorem, że na reala przypadało więc ok. 3,4335 g srebra wysokiej próby .930. Wkrótce tłoczono także monety 4- i 8-realowe. Te ostatnie później nazwane zostały peso i miały ważyć

²⁴ C. Semple, *A Silver Legend. The Story of the Marie Theresa Thaler*, Barzan 2004.

²⁵ K. Rushby, *A Fistful of Thalers*, „The Guardian”, 14 January 2006, <http://www.guardian.co.uk/books/2006/jan/14/featuresreviews.guardianreview23>.

²⁶ J. Abu-Lughod, *op. cit.*

²⁷ K.N. Chaudhuri, *Trade and Civilisation in the Indian Ocean. An Economic History from the Rise of Islam to 1750*, Cambridge 1985.

²⁸ F. Braudel, *op. cit.*

²⁹ A.G. Frank, *op. cit.*

³⁰ W.H. McNeil, *The Changing Shape of World History*, <http://www.hartford-hwp.com/archives/10/041.html>, 3.04.2008.

³¹ W. Garbaczewski, *Jak powstał talar?*, <http://www.nbpportal.pl/pl/np/numizmatyka/historia-monet/nowozytznosc>, 30.03.2009.

³² L.M. Muñoz, *A Coin Called Peso*, s. 1, <http://www.chicagocoinclub.org/projects/PiN/ccp.html>, 19.02.2008.

³³ Z. Żabiński, *op. cit.*, s. 14.

odpowiednią wielokrotność reala, czyli ok. 27,5 g, zawierając przy tym ok. 25,5 g srebra. W ten oto sposób 8-realowe monety, zawierając zbliżoną do talarów ilość srebra, stają się ich odpowiednikami. Ciekawe, że kupcy arabscy talary Marii Teresy nazywali riyal nimsawi, czyli austriackie reale³⁴. Historie guldinerów, talarów, reali i dolarów przeplatają się, wzajemnie na siebie wpływając.

Kolejny etap naszej historii zaczyna się, gdy Hiszpanie ze srebra wydobywanego w podbitej przez siebie Ameryce zaczynają bić monety w zakładanych tam mennicach. Początkowo od 1536 r. w Mexico, później w Santo Domingo, Limie, La Placie, Potosi, Panamie, Cartagenie, Bogocie, Cuzco, Guatemali, Santiago, Popayan. Dużą część tej produkcji stanowiły ośmiorealówki. Zachowane do dziś egzemplarze różnią się wagą z powodu zniszczenia i niedoskonałości ówczesnej techniki menniczej i ważą od 26,2 g do 27,6 g³⁵. Monety te, tak jak srebro wydobywane w olbrzymich ilościach w Ameryce, zaczęły odgrywać istotną rolę w imperialnej i kolonialnej polityce Hiszpanii zarówno w Europie, jak i Ameryce, Afryce, Azji. Z Ameryki srebro w sztabach czy monetach docierało przez Atlantyk do Hiszpanii, z niej zaś do różnych krajów Europy i dalej na wschód do Azji Bliskiej, Środkowej i Dalekiej, zatrzymując się w Chinach. Znacznie mniejsza część srebra z Ameryki docierała przez Pacyfik do hiszpańskich Filipin, a stamtąd do Chin, zamykając prawdziwie globalny tor obiegu, którym w przeciwnym kierunku płynęły rozmaite nabywane za srebro dobra i usługi. W Europie srebrem Hiszpanie opłacali żołnierzy stacjonujących w różnych częściach kontynentu, głównie w Niderlandach. Spłacali także długi zaciągane na potrzeby istnienia administracji centralnej i kolonialnej u kupców i bankierów miast północnych Włoch, południowych Niemiec i Niderlandów. W Chinach płacono srebrem za tkaniny, ceramikę, przyprawę. Świat obiegało amerykańskie srebro w ogromnej ilości, która z czasem się zwiększyła. W XVI w. z Ameryki wywieziono 17 tys. ton, w XVII w. 27 tys., w XVIII w. 54 tys. ton³⁶.

Wykorzystywane w różnych częściach świata w olbrzymich ilościach hiszpańskie reale traktować można jako wskaźnik, ale także jako narzędzie światowej polityki Hiszpanii. Fernand Braudel donosi o licznych transakcjach czy przesyłkach zawierających 70 tys. lub 280 tys. realów³⁷. Wskazuje na rozmaite miejsca, w których reale pełniły ważną funkcję. Na przykład Algier ok. 1580 r., w którym „Monety te wiodły prym na rynkach i były jednym z najważniejszych towarów eksportowanych do Turcji, gdzie wysyłano pełne skrzynie reali”, „do Turcji reale nadchodzą nawet z Polski, przywożone wielkimi wozami kursującymi między Lwowem a Stambułem”³⁸. Braudel, jak Frank, podkreśla jednak, że te lokalne

³⁴ P. Harrigan, *op. cit.*, s. 1.

³⁵ *Spanish Cob Coins*, <http://www.newworldtreasures.com/cobs>, 18.02.2008.

³⁶ A.G. Frank, *op. cit.*, map 3.1.

³⁷ F. Braudel, *Morze Śródziemne i świat śródziemnomorski w epoce Filipa II*, t. I, przeł. T. Mrówczyński, M. Ochab, Warszawa 2004, s. 509, 511.

³⁸ *Ibidem*, s. 518–519.

transakcje i wymiany są częścią globalnego przepływu: „Oś Italia–Chiny, która rozpoczyna się w Ameryce i obiega świat dookoła bądź przez Morze Śródziemne, bądź przez Przylądek Dobrej Nadziei, jest strukturą, czymś trwałym, wyraźną linią światowej gospodarki, linią, która zatrze się dopiero na początku XX wieku”³⁹. Pisz o tym także Kiriti Chaudhuri: „Srebrne monety ze znakami imperialnej Hiszpanii oraz mennic Meksyku i Peru obecne były w każdym ważnym handlowym porcie od Aleksandrii, Basry, Mocha do Manili i Kantonu. Ośmiorealowe monety stały się akceptowaną międzynarodową walutą”⁴⁰. Mamy zatem kolejną, już drugą globalną historię. Pierwsza dotyczyła afroeuroazjatyckiej ekumeny, której Europa była – jak przedstawiają to McNeill, Frank, Abu-Lughod – peryferyjną częścią. Druga to zawiła i złożona historia europejskiej kolonizacji i podboju świata przez kolejno dominujące kolonialne potęgi: portugalską, hiszpańską, holenderską, francuską, angielską. Pozostawmy jednak, jak pierwszą, także tę drugą globalną historię i udajmy się na peryferia ówczesnego świata, do angielskich kolonii w Ameryce Północnej.

W pierwszych angielskich koloniach także używano hiszpańskich reali z Meksyku czy Peru. Ośmiorealowe monety określane były przez angielskich kolonistów jako dollar. Dollar jest angielską formą niderlandzkiego daalder, które z kolei jest tłumaczeniem górnoniemieckiego thaler (wyjaśnienia te także zawdzięczam prof. Borysowi Paszkiewiczowi). Samo słowo dollar pojawiło się już wcześniej. Król Szkocji Jakub VI zlecił emisję w latach 1567–1571 dużej monety wartej 30 szylingów, którą nazywano Sword Dollar, z powodu rysunku umieszczonego na awersie, a w 1578 r. pojawiła się kolejna, Double Merk nazywana Thistle Dollar⁴¹. Wagę pierwszego Act of Privy Council z czerwca 1567 r. ustalał na 472,5 grenu Troy⁴². Była to zatem duża srebrna moneta. Gren to używana wówczas jednostka wagowa, którą określano między innymi jako średniej wielkości ziarno jęczmienia ze środka kłosa. Przyjmując wagę grenu na ok. 0,0648 g⁴³, uzyskujemy wagę monety, czyli ok. 30,6 g. Z kolei Akt Parlamentu Szkocji z 25 lipca 1578 r. ustalał wagę Thistle Dollara na 344,5 grenu Troy, czyli ok. 22,3 g. Próba obu ustalona została jako „11 części do 1 części stopu”⁴⁴. Po przeliczeniu na system dziesiętny otrzymujemy wysoką próbę .909⁴⁵.

³⁹ *Ibidem*, s. 523.

⁴⁰ K.N. Chaudhuri, *op. cit.*, s. 97.

⁴¹ R. Giedroyc, *The History of the United States Silver Dollar*, http://www.coinfacts.com/historical_notes/history_of_the_silver_dollar, 26.03.2009.

⁴² R.W. Cochran-Patrick, *Notes of Some Unpublished Records of the Coinages of James VI*, s. 389, http://www.ads.ahds.ac.uk/catalogue/adsdata/PSAS_2002/pdf/vol_010/10_225_239.pdf, 26.03.2009.

⁴³ Z. Żabiński, *op. cit.*, s. 14.

⁴⁴ J. Robertson, *A Handbook to the Coinage of Scotland*, London 1878, s. 82. Por. R.W. Cochran-Patrick, *op. cit.*, s. 389–390.

⁴⁵ National Museum Scotland, *Two Merk Piece*, <http://www.nms.scran.ac.uk/database/record.php?usi=000-100-050-905-C>, 26.03.2009.

Używane w angielskich koloniach 8-realówki o wadze zbliżonej do tych szkockich dolarów także nazywano dolarami. Jednak do pojawienia się tej nazwy w Ameryce przyczyniły się zapewne niderlandzkie daaldery, a nie niewielka emisja monet szkockich, które nie odgrywały istotnej roli w wymianie międzynarodowej. Hiszpańskie monety odgrywały w angielskiej Ameryce ważną rolę. Polityka angielskiej metropolii wobec jej amerykańskich posiadłości starała się ograniczać ich ekonomiczną samodzielność, by prowadzić wymianę handlową korzystną dla Anglii. W tym celu między innymi ograniczano wywóz pieniądza z Anglii do Ameryki. Rezultatem była mała ilość monet angielskich w Ameryce: pensów, szylingów, funtów. Niedobory te uzupełniano w wymianie handlowej z koloniami hiszpańskimi, która w części odbywała się pod postacią nielegalnego przemytu przez Karaiby, ponieważ zarówno Anglia, jak i Hiszpania starały się ograniczać, a nawet zabraniać tych bezpośrednich kontaktów, by nie uszczuplały one korzyści płynących z ekonomicznej eksploatacji kolonii. Mimo zakazów i ograniczeń hiszpańskie dolary dostawały się do angielskich kolonii, zwiększając ich ekonomiczną niezależność. Zebrany w Filadelfii Continental Congress w 1775 r. podjął decyzję o emisji *continental currency*. Z braku srebra były to papierowe pieniądze, których wartość określano w hiszpańskich srebrnych dolarach⁴⁶. Dziesięć lat później, 6 lipca 1785 r., już Congress of the Confederation of the United States jednogłośnie uznał dolara za nową walutę nowego państwa⁴⁷. W ten oto sposób hiszpańskie reale stały się środkiem wykorzystywanym do uzyskania niezależności ekonomicznej i niepodległości politycznej nowego państwa.

Dopiero 2 kwietnia 1792 r. Kongres przyjął „An Act establishing a Mint, and regulating the Coins of the United States”, w którym znalazły się ustalenia umożliwiające emisję własnych dolarów. Postanowiono, że każdy dolar ma być „równy wartości będących w obiegu hiszpańskich milled dollar i każdy zawierać ma 371 4/16 grena czystego srebra”⁴⁸, co daje ok. 24,057 g czystego srebra. Pierwsze dolary, które wyprodukowano w mennicy w Filadelfii w 1794 r., nazywane są z powodu rysunku Flowing Hair: „ważyły 26,96 g srebra próby .8924 w stopie z miedzią [...] Monety 8-realowe z hiszpańskich kolonii Ameryki od 1772 r. ważyły 27,07 g srebra próby .903. Wiedząc o tym, Kongres zezwolił na ich używanie, zrównując je w wartości z nowymi dolarami tak, by te ostatnie krążyły z dyskontem do dolarów hiszpańskich”⁴⁹. Nowe amerykańskie dolary zawierały więc ok. 24,06 g czystego srebra, a te ówczesne hiszpańskie ok. 24,44 g, zatem na każdym nowym dolarze chciano „zaoszczędzić” ok. 0,38 g srebra. W 1885 r.

⁴⁶ Money Museum, <http://finder2.moneymuseum.com/frontend/images/coins/hires/9397...>, 26.03.2009.

⁴⁷ *History of the U.S. Silver Dollars*, <http://www.coinace.com/Silver-Denominations-Rare-Coins.aspx>, 31.05.2008.

⁴⁸ *An Act establishing a Mint, and regulating the Coins of the United States*, s. 2, <http://www.landru.i-link-2.net/monques/coinageact.html>, 7.09.2008.

⁴⁹ R. Giedroyc, *op. cit.*

pojawiły się tzw. Morgan Dollars, w których zmieniono próbę i wagę monet, tak by nie zmienić ilości zawartego w nich srebra: ważyły 26,73 g srebra próby .900, zawierając zgodnie z decyzją Kongresu 24,057 g srebra⁵⁰. Tłoczono je do 1921 r., kiedy zastąpił je Peace Dollar o innym rysunku, ale z tą samą wagą, próbą i zawartością srebra⁵¹. Te z kolei produkowane były do 1935 r., kiedy zastąpione zostały pieniądzem papierowym. W 1933 r. zaprzestano także emisji dolarów w monetach złotych. W 1792 r. dopuszczono tłoczenie dolarów także i w złocie i nazwano je Eagles: „każdy o wartości 10 dolarów”⁵². Oprócz 10-dolarówek w złocie bite były także inne monety. Najdłużej, bo do 1933 r., 10-dolarówki i 20-dolarówki. Obie w próbie .900. Pierwsze zawierały ok. 15 g złota, drugie ok. 30 g, zatem na 1 dolara przypadało ok. 1,5 g złota. Złote monety także zostały w obiegu zastąpione pieniądzem papierowym. Do 1964 r. emitowano nadal obiegowe monety srebrne próby .900 o wartości: 50, 25 i 10 centów, aż zastąpiono je produkowanymi do dziś monetami z miedzioniklu.

Prezydent USA Franklin D. Roosevelt 5 kwietnia 1933 r. podjął decyzję określoną jako The Gold Confiscation, która wraz z kolejnymi aktami prawnymi zabraniała, poza określonymi wyjątkami, posiadania złota przez obywateli i firmy amerykańskie: „Wszystkie osoby są niniejszym zobowiązane dostarczyć do 1 maja 1933 r. do banku Rezerwy Federalnej [...] wszystkie złote monety, złote sztaby i certyfikaty złota posiadane obecnie lub nabyte do 28 kwietnia 1933 r.”⁵³. Decyzje te były związane z działaniami władz amerykańskich zmierzającymi do rozwiązania problemów zapoczątkowanych przez kryzys gospodarczy lat trzydziestych. Jedną z licznych konsekwencji tych decyzji było wycofywanie z obiegu złotych dolarówek, które wraz ze złotem przejętym od obywateli i firm, zasiliły zapasy złota Rezerwy Federalnej Stanów Zjednoczonych. Gold Reserve Act z 30 stycznia 1934 r. zmienił wartość dolara w stosunku do złota. Oficjalna cena uncji Troy złota (tj. 31,1 g) została podniesiona z 20,67 dolara do 35 dolarów, co oznaczało dewaluację dolara. Złota 20-dolarowa moneta była teraz warta ok. 35 papierowych dolarów. Kolejną konsekwencją było to, iż odtąd wymiany papierowych dolarów na złoto mogli domagać się tylko ich zagraniczni posiadacze. Obywatele i firmy amerykańskie musiały zadowolić się pieniądzem papierowym.

Jak pamiętamy, papierową postać miały emitowane od 1775 r. dolary kontynentalne, jednak uległy one hiperinflacji i zostały usunięte z obiegu. Pod koniec XVIII stulecia w obiegu pojawiły się dolary w złocie i srebrze. Podczas wojny domowej, aby zdobyć środki potrzebne na jej prowadzenie, Legal Tender Act z 1862 r.

⁵⁰ *Morgan Silver Dollar*, http://www.silver-coins.org/1885_morgan_dollar.html, 29.11.2008.

⁵¹ *Peace Dollar*, http://www.silver-coins.org/1926_peace_dollar.html, 29.11.2008.

⁵² *An Act establishing a Mint...*, s. 2.

⁵³ F.D. Roosevelt, *Presidential Executive Order 6102*, <http://www.the-privateer.com/1933-gold-confiscation.html>, 2.04.2009.

wprowadzał i sankcjonował emisję papierowych American U.S. Notes⁵⁴. Federal Reserve Act z 1913 r. upoważniał z kolei Federal Reserve Banks do emisji własnych not, które są do dnia dzisiejszego powszechnymi w obiegu dolarowymi banknotami od 1 dolara do wyższych nominałów⁵⁵. Poza notami U.S. oraz notami Rezerwy Federalnej w obiegu były także, grafiką je naśladowujące, certyfikaty srebra i złota. Choć od not różniły się tylko nazwą, były zobowiązaniem United States Treasury do wymiany na dolarowe monety, odpowiednio, srebrne lub złote. Pierwsze usankcjonował Act of Congress z 28 lutego 1878 r.⁵⁶, ale w 1964 r., wraz z końcem emisji srebrnego bilonu, zaprzestano także wymiany certyfikatów srebra na dolary w srebrnych monetach. Certyfikaty zaś złota zostały autoryzowane 3 marca 1863 r.⁵⁷, a zakończenie ich wymiany na złoto i wprowadzenie w 1933 r. zakazu ich posiadania było jedną z konsekwencji działań reformatorskich administracji Roosevelta. Dziś w obiegu pozostają jedynie noty Rezerwy Federalnej Stanów Zjednoczonych Ameryki, które do 1971 r. mogły być na żądanie zagranicznych posiadaczy wymieniane na złoto przez Rezerwę Federalną po utrzymywanym przez USA oficjalnym kursie dolara do złota. Gdy na początku lat 70. USA zrezygnowały z ustalonego kursu dolara do złota, walutę amerykańską wymieniać można na inne waluty zgodnie ze zmieniającymi się kursami wyznaczanymi na walutowym rynku jak na każdym innym przez popyt i podaż.

Rezygnacja z wymienialności na złoto przez USA własnej waluty na początku lat 70. miała swoje ważne globalne przyczyny i konsekwencje, i tu spotykamy się z następną już globalną historią. To historia wyłaniania się kolejnego już w dziejach świata globalnego centrum i rozwoju jego globalnych funkcji i dominacji. Historia amerykańskiego dolara jest częścią tej globalnej historii. Globalne znaczenie dolara traktować można jako wskaźnik globalnej roli Stanów Zjednoczonych. Jest ono rezultatem światowej pozycji tego państwa. Jednak dolar był i jest także ważnym narzędziem władzy umożliwiającej uzyskanie i utrzymywanie pozycji globalnego centrum.

Jeżeli będziemy pamiętać, że U.S. dolar powstał jako imitacja hiszpańskiego dolara, wtedy jasne stanie się także i to, że od początku była to waluta o znaczeniu międzynarodowym, a może właściwsze byłoby określenie międzykontynentalnym. Wiązało się to z sytuacją angielskich kolonii w Ameryce, które od początku uzależnione były od zaopatrzenia w drodze wymiany handlowej z Europą, Ameryką Południową, Afryką, Azją. Tkaniny i narzędzia z Europy, melasa, rum,

⁵⁴ *Six Kinds of United States Paper Currency, United States Notes*, <http://www.fresian.com/notes.html>, 23.02.2009.

⁵⁵ *Six Kinds of United States Paper Currency, Federal Reserve Bank Notes*, <http://www.fresian.com/notes.html>, 23.02.2009.

⁵⁶ *Six Kinds of United States Paper Currency, Silver Certificates*, <http://www.fresian.com/notes.html>, 23.02.2009.

⁵⁷ *Six Kinds of United States Paper Currency, Gold Certificates*, <http://www.fresian.com/notes.html>, 23.02.2009.

srebro i złoto z Ameryki Południowej, niewolnicy z Afryki, tkaniny, ceramika, przyprawy z Azji były ważnym warunkiem najpierw kolonizacji, a następnie rozwoju gospodarczego i społecznego niepodległego państwa⁵⁸. Ważnym środkiem płatniczym było hiszpańskie peso, określane mianem hiszpańskich dolarów, czyli 8-realówki bite w hiszpańskiej Ameryce z tamtejszego srebra. Dlatego po proklamowaniu niepodległości przez angielskie kolonie i po ustanowieniu własnego dolara zawierającego nieco mniej srebra niż hiszpański, Amerykanie musieli bić specjalne trade dollars zawierające 420 grenów srebra próby .900, o czym informował umieszczony na rewersie napis⁵⁹. Monety te ważyły 27,2 g i zawierały ok. 24,5 g srebra, czyli tyle, ile dolary hiszpańskie. Dzięki temu kupcy amerykańscy mogli płacić nimi m.in. w Azji, np. w Chinach, dokąd hiszpańska waluta docierała przez Manilę od początków hiszpańskiej kolonizacji w Ameryce i Azji.

Do handlu z Azją własne dolary bili także Anglicy. W 1804 r. pojawiła się moneta z podobizną Jerzego III i z podwójnym określeniem nominału: 1 dolar, czyli inaczej 5 szylingów⁶⁰. US dolar od początku dzielił się w systemie metrycznym na 100 centów. Dolar angielski wyceniony na 5 szylingów był więc angielską koroną. Na potrzeby azjatyckiego handlu Anglicy emitowali dolary także później. W 1908 r. nominał określony jest już tylko jako „one dollar” i jest to jedyny napis w alfabecie łacińskim. Na jednej stronie umieszczono postać symbolizującą brytyjskie imperium, na drugiej zaś inskrypcje w alfabecie arabskim i piśmie chińskim. Moneta ważyła 26,957 g srebra próby .900, czyli zawierała ok. 24,3 g czystego srebra, co zbliżało ją do dolarów hiszpańskich⁶¹. Swoje własne handlowe dolary bili także Francuzi. Były to piastry o wadze 27 g srebra próby .900, czyli zawierały 24,3 g czystego srebra⁶². Japończycy z kolei bili jeny o wadze 26,9568 g próby .900, zawierające ok. 24,26 g czystego srebra⁶³. Chińczycy bili dolary o wadze 26,90 g próby .900, czyli zawierały one 24,21 g czystego srebra⁶⁴. Monety różnie wyglądały, różnie też się nazywały. Nosiły na sobie inskrypcje w różnych językach i pismach. Zawierały jednak podobną ilość srebra w podobnej próbie, zatem ważyły podobnie i to był komunikat czytelny w rozległej sieci komunikacji obejmującej rozmaite kontynenty, kultury, języki, pisma. Czytelny tak, by umożliwiać kontakt, komunikację, wymianę towarów, usług, a wraz z nimi innych treści kulturowych. Dolary amerykańskie od początku uczestniczyły w tym globalnym handlu, który w XIX w. przybierał stale na znaczeniu.

⁵⁸ A.G. Frank, *op. cit.*, map 2.2.

⁵⁹ 1876 Silver Trade Dollar, http://www.silver-coins.org/1876_trade_dollar.html, 29.11.2008.

⁶⁰ Bank of England Dollar, <http://www.bankofcanada.ca/en/review/images/autumn-96.jpg>, 26.03.2009.

⁶¹ Trade Coins, <http://www.australian-threepence.com/blog/2009/03/trade-coins.html>, 16.03.2009.

⁶² Ch.L. Krause, C. Mishler, *op. cit.*, s. 623.

⁶³ *Ibidem*, s. 960.

⁶⁴ *Ibidem*, s. 308.

Znaczenie amerykańskiej waluty w handlu światowym zwiększa się po I i po II wojnie światowej, gdy dolar amerykański stopniowo zastępuje walutę globalną, jaką stał się w 2. połowie XIX w. funt brytyjski. Zniszczona dwiema światowymi wojnami gospodarka brytyjska przestała być globalnym centrum, a sama stała się uzależniona od pożyczek i inwestycji amerykańskich. Stany Zjednoczone stopniowo zwiększały swoje ekonomiczne, polityczne i kulturowe znaczenie globalne. Odgrywając coraz większą rolę w kreowaniu nowego globalnego porządku, czyniły z siebie nowe globalne centrum. To kolejna globalna i bardzo złożona historia pełna ważnych wydarzeń, jak chociażby lipcowe spotkanie z 1944 r. w hotelu Mount Washington w Bretton Woods, w USA, gdzie delegaci 44 państw alianckich ustalili elementy nowego monetarnego porządku światowego. Niestety, to kolejna historia, którą musimy tu pominąć, odsyłając jedynie do prac jej właśnie poświęconych⁶⁵. Zatrzymajmy się na przełomie lat 60. i 70. XX w. To okres gwałtownego rozwoju depozytów i transakcji finansowych na rynkach walutowych. W 1979 r. transakcje te szacuje się na kwotę 17,5 biliona dolarów, czyli 11 razy więcej, niż wynosiła wtedy wymiana handlowa szacowana na 1,5 biliona dolarów. Gilpin określa to mianem „globalnej finansowej rewolucji”⁶⁶. Szczególnie gwałtowny rozwój depozytów i transakcji finansowych z udziałem amerykańskiego dolara nastąpił w Londynie. Rząd Stanów Zjednoczonych miał ograniczone możliwości wpływu na ten coraz bardziej rozwijający się rynek, na którym handlowano jego pieniądzem, i w tych okolicznościach: „W rezultacie tego gwałtownego rozwoju w 1971 r. rząd USA został zmuszony do porzucenia sztywno określonego standardu wymiany dolara na złoto”⁶⁷. Arrighi zaznacza, że uformowanie się europejskiego rynku dolara było „niezamierzonym wynikiem ekspansji amerykańskiego reżimu akumulacji”⁶⁸, a rezygnacja z ustalonej w złocie wartości dolara była reakcją na wymykanie się tego rynku spod amerykańskiej kontroli. Najpierw dokonano dewaluacji dolara, zwiększając przyjętą w 1934 r. cenę uncji złota ustaloną na 35 dolarów, a następnie, na początku 1975 r., rząd amerykański zezwolił na kształtowanie ceny złota i ceny dolara przez rynek walut i złota.

Utrzymywany około czterech dekad sztywny kurs dolara do złota decyzją amerykańskiego rządu umożliwił utrzymywanie sztywnych kursów wymiany innych walut, także decyzjami rządowymi. W rezultacie ukształtował się międzynarodowy system, w którym wartość rozmaitych walut określano w dolarach, wartość zaś tych ostatnich wyrażana była i uzasadniana wartością złota. Skoro rząd USA

⁶⁵ G. Arrighi, *The Long Twentieth Century. Money, Power, and the Origins of Our Times*, London 2002; J. Osterhammel, N.P. Petersson, *Globalization. A Short History*, przeł. D. Geyer, Princeton 2005.

⁶⁶ R. Gilpin, *The Political Economy of International Relations*, Princeton 1987, s. 144, cyt. za G. Arrighi, *op. cit.*, s. 300.

⁶⁷ G. Arrighi, *op. cit.*, s. 301.

⁶⁸ *Ibidem*.

zobowiązywał się do wymiany 35 dolarów na uncję złota, to wyznaczał tym samym wartość dolara na ok. 1,125 g złota. Pamiętajmy, że po konfiskacie złota przez Roosevelta było to zobowiązanie jedynie wobec posiadaczy dolarów niebędących obywatelami USA. Rezygnacja z wymienialności dolara na złoto była więc rezygnacją przez rząd USA z przyjętego wcześniej zobowiązania i miała swoje dalsze globalne konsekwencje. Dotychczasowy system walutowy oparty na złocie stał się systemem opartym na amerykańskim dolarze. *Pure gold standard* został zamieniony na *pure dollar standard*. Tym samym dolar amerykański stał się w szczególnym sensie walutą światową, podobnie jak kiedyś były nią złoto i srebro. Z emitowaniem przez władzę pieniądza wiązały się zawsze rozmaite przywileje. Jednak emitując pieniądz globalny, rząd USA uzyskał szczególny, globalny *seignorage*. Jedną z konsekwencji była coraz większa emisja powszechnie przyjmowanego i akceptowanego na świecie dolara. Rząd USA (a za nim i rządy innych krajów), zamiast bilansować wpływy i wydatki, zaczął zwiększać emisję pieniądza i innych papierów wartościowych na rozmaite potrzeby, zwiększając swoje zadłużenie⁶⁹.

Doprowadziło to do dalszej ekspansji rynku finansowego. Coraz większy kapitał transferowany był głównie do zachodniej Europy i Japonii: „rezultatem była *belle époque* ery Reagana”⁷⁰ charakteryzująca się dalszym gwałtownym wzrostem depozytów i transakcji na rynkach finansowych. Arrighi, powołując się na Braudela, pisze, że sytuacja ta oznaczać może zmierzch globalnej dominacji USA. Przytacza także Kevina Philipsa, który wypowiada się w podobnie braudelowskim tonie: „Nadmierne zaangażowanie w operacje finansowe i tolerancja zadłużenia są wyraźnie typowe dla wielkich potęg ekonomicznych w ich końcowych etapach”⁷¹. Konsekwencją ogromnej emisji dolara jest także inflacja i spadek jego wartości. Jednak to także staje się narzędziem amerykańskiej polityki wewnętrznej i globalnej. Zmniejszanie wartości dolara przyczynia się do rozwoju amerykańskiego eksportu, w tym także do utrzymywania bezrobocia na niskim poziomie, pozwala także na obniżanie wartości nominowanego w dolarach amerykańskiego zadłużenia⁷². Gdy Reagan obejmował prezydenturę, deficyt budżetu federalnego wynosił 74 miliardy, a całkowity dług narodowy 1 bilion. W 1991 r. sam deficyt federalny wzrósł do ponad 300 miliardów⁷³. Wszystko przy redukcji rezerw złota w latach 1950–1972 o ponad połowę⁷⁴. W rezultacie: „Dotychczasowy główny światowy pożyczkodawca [...] stał się głównym światowym pożyczkobiorcą”⁷⁵.

⁶⁹ D.P. Calleo, *The Imperious Economy*, Cambridge 1982.

⁷⁰ G. Arrighi, *op. cit.*, s. 314.

⁷¹ K. Philips, *Boiling Point. Republicans, Democrats, and the Decline of Middle-class Prosperity*, New York 1993, s. 194, cyt. za *ibidem*, s. 315.

⁷² G. Arrighi, *op. cit.*, s. 309–314.

⁷³ *Ibidem*, s. 317.

⁷⁴ *Ibidem*, fig. 18.

⁷⁵ K. Philips, *Boiling Point. Republicans, Democrats, and the Decline of Middle-class Prosperity*, New York 1993, s. 220, cyt. za G. Arrighi, *op. cit.*, s. 317.

Niechcianą konsekwencją wzrostu amerykańskiego zadłużenia i związanej z tym emisji pieniądza jest ujawniający się coraz częściej kryzys zaufania do dolara. W październiku 1979 r.: „banki, banki centralne, inni inwestorzy [...] przestali akceptować dolara jako walutę uniwersalną”⁷⁶. Od tego czasu problemy te pojawiały się w różnych okolicznościach i miały charakter przejściowy. W innym wypadku taki kryzys zaufania „mógłby zniszczyć całą strukturę amerykańskiego zadłużenia i światową sieć akumulacji kapitału, na której bogactwo i władza USA opiera się bardziej niż kiedykolwiek”⁷⁷. Kolejną konsekwencją ekspansji finansowej końca XX w. jest „proces emancypacji wyłaniającego się reżimu akumulacji kapitału Azji Wschodniej wobec starego reżimu Stanów Zjednoczonych”⁷⁸. Ale to być może także już inna globalna historia, która nie jest przedmiotem naszego zainteresowania.

Wróćmy do dzisiejszej sytuacji amerykańskiego dolara. Dziś nie jest to już pieniądz kruszcowy, srebrny lub złoty. W ogromnej mierze nie jest to także pieniądz w formie papierowej, lecz coraz częściej przybiera postać elektronicznych zapisów podobnie jak wiele innych walut: „Suma pieniężna jest więc w dzisiejszych czasach wielkością abstrakcyjną, a w szczególności jest prawem podmiotowym do dokonywania zapłat”⁷⁹. Jak pisze autor, jest to pieniądz naprawdę wolny, bo uwolniony od związku z: kruszcami, innymi wartościami materialnymi, papierowymi znakami pieniężnymi. Taki „Pieniądz wolny daje państwu szerokie możliwości manipulowania jednostką pieniężną i masą sum pieniężnych”⁸⁰.

Uwagi te w szczególny sposób odnoszą się do dzisiejszego dolara amerykańskiego, który jest walutą globalną. Dolar jest dziś ważnym instrumentem globalnej polityki i władzy Stanów Zjednoczonych. Nawet amerykańskie zadłużenie we własnej walucie stało się ważnym instrumentem globalnej dominacji tego kraju. Zadłużenie to nadal narasta w ogromnym tempie, zmieniając strukturę globalnego zadłużenia. W 2000 r. zadłużenie USA stanowiło 61% światowego długu, natomiast największa część światowych oszczędności, 24%, była własnością Japonii. W 2007 r. USA nadal były głównym dłużnikiem świata. Jednak największa część światowych oszczędności, tj. 21%, była własnością Chińskiej Republiki Ludowej. Japonia zaś zajmowała drugie miejsce, posiadając 13% światowych oszczędności⁸¹. Największe na świecie oszczędności obu azjatyckich krajów są w znacznej mierze wynikiem amerykańskiego zadłużenia, a ich znaczną część stanowią dolary i rozmaite amerykańskie papiery dłużne. Można byłoby oczekiwać, iż tym samym

⁷⁶ M. Moffitt, *The World's Money. International Banking from Bretton Woods to the Brink of Insolvency*, New York 1983, s. 196.

⁷⁷ G. Arrighi, *op. cit.*, s. 317.

⁷⁸ *Ibidem*, s. 351, por. także fig. 23.

⁷⁹ Z. Żabiński, *op. cit.*, s. 16.

⁸⁰ *Ibidem*, s. 17.

⁸¹ P. Poole *et al.*, *Emerging Markets Primal Knowledge. Shifting Fortunes*, HSBC Global Research, Macro Strategy, June 2008, s. 31.

wzrastać będzie ekonomiczna i polityczna zależność USA od swoich głównych azjatyckich kredytodawców, co może być przyczyną erozji pozycji globalnego centrum. Tymczasem amerykańskie zadłużenie jest chyba raczej instrumentem globalnej władzy USA także, a może przede wszystkim, wobec własnych kredytodawców, zgodnie z zasadą sformułowaną przez Johna Connally'ego (minister skarbu za prezydentury Nixona): „to nasza waluta, ale wasze zmartwienie”⁸². Instrumentem takiej władzy jest nadal określanie emisji własnego pieniądza i jego wartości. Zwiększanie ilości amerykańskiego dolara pozwala spłacać długi, a obniżanie wartości tej waluty pozwala przy okazji zmniejszyć realną wartość tego zadłużenia. Działania takie zmniejszać mogą jednak zaufanie do amerykańskiej waluty, zwiększając niepewność na globalnym rynku finansowym, a także niezadowolenie amerykańskich kredytodawców. Przykładem może być wypowiedź chińskiego polityka: „Wen Jiabao, premier Chin, powołując się na fakt, że 70% chińskich rezerw walutowych, wynoszących dwa biliony jest przetrzymywany w dolarach, powiedział: »Prawdę mówiąc, jestem trochę zaniepokojony. Domagam się, żeby Stany Zjednoczone utrzymały zdolność kredytową, by mogły dotrzymać obietnic i zagwarantować bezpieczeństwo chińskich aktywów«”⁸³.

Jak zatem widzimy, dolar przebył długą drogę od srebra i złota po długi istniejące w formie elektronicznych zapisów. Jeszcze dłuższą drogę przebył pewien typ monety opartej na wzorcu ustanowionym groszem guldenowym w Tyrolu pod koniec XV w. Właściwie od samego początku historia tego wzorca była rezultatem splotu uwarunkowań lokalnych i globalnych. Ponadto, chyba lepiej tu mówić nie o globalnej, lecz globalnych historiach, różnych, aczkolwiek rozmaicie ze sobą powiązanych. Czasem pewne historie, niczym kłacz, dają początek różnym, odmiennym historiom. Jak historia tyrolskiego guldira, która staje się później historią lewantyńskiego talara Marii Teresy, ale także historią hiszpańskiego, a następnie amerykańskiego dolara, a też bardzo wieloma historiami takich europejskich pieniędzy, jak między innymi: niemiecki Vereinstaler, duński Gyldengroschen, szwedzki Riksdaler, angielska korona czy polski talar. Innym razem odmienne historie spotykają się, wspólnie dookreślając zachodzące wydarzenia i procesy. Jak produkowane w Chinach dolary jako rezultat docierających w tak olbrzymich ilościach dolarów początkowo hiszpańskich, a następnie amerykańskich, angielskich, a także innych monet opartych na wzorcu dolara, jak japońskie jeny czy piastry z francuskich Indochin. Wraz ze zmieniającymi się globalnymi historiami zmieniał się także świat, którego są one częściami. Inny był świat globalnej ekumeny kulturowej rozciągającej się wokół Oceanu Indyjskiego na długo przed europejską hegemonią. Inny porządek światowy powstał w rezultacie europejskiego kolonializmu. W tym świecie najważniejszy stał się

⁸² K. Guha, *Światowa waluta może stać się amerykańskim problemem*, „Financial Times”, <http://www.waluty.onet.pl/14,1450850,,3254,ft.html>, 10.11.2007.

⁸³ D. Pilling, *Chiny rzucają wyzwanie dolarowi*, „Financial Times”, <http://www.onet.pl>, 2.04.2009.

Ocean Atlantycki, a po sukcesji europejskich potęg ostatnim hegemonem są Stany Zjednoczone. Wielu autorów (Janet Abu-Lughod⁸⁴, Andre Gunder Frank⁸⁵, Giovanni Arrighi⁸⁶, Fareed Zakaria⁸⁷) wskazuje jednak, że żyjemy już w innym porządku światowym, w którym najważniejszy jest Ocean Spokojny. Ocean, wokół którego skoncentrowany jest największy na świecie kapitał, produkcja i państwa odgrywające coraz większą rolę w kształtowaniu globalnego ładu. Jak pisze Arrighi: „W 1980 r. wartość handlu pacyficznego stała się większa niż atlantyckiego, a do końca dekady była już półtora razy większa”⁸⁸. Nadal rośnie globalne znaczenie Pacyfiku, zmieniając strukturę świata. I tak oto globalna historia pewnego monetarnego wzorca okazuje się częścią historii zmieniającego się globalnego porządku.

Podziękowanie: jestem bardzo wdzięczny Panu Profesorowi Borysowi Paszkiewiczowi z Instytutu Archeologii Uniwersytetu Wrocławskiego za wnikliwą lekturę pierwszej wersji tego tekstu i przekazane mi bardzo pomocne uwagi.

⁸⁴ J. Abu-Lughod, *op. cit.*

⁸⁵ A.G. Frank, *op. cit.*

⁸⁶ G. Arrighi, *op. cit.*

⁸⁷ F. Zakaria, *The Post-American World*, New York 2008.

⁸⁸ G. Arrighi, *op. cit.*, s. 337.

JERZY BINIEWICZ
Uniwersytet Wrocławski

Algorytm Tomasza Kłosa, czyli o pieniądzu i arytmetyce kupieckiej słów kilka

Charakterystyczną właściwością nauki doby renesansu są jej żywe powiązania z praktyką. Codzienność rodząca różne problemy, żywo przeobrażające się relacje społeczno-gospodarcze stawiały coraz więcej pytań, pobudzając rozwój nauki w różnych dziedzinach: miernictwie, żeglarstwie, kartografii, geografii, historiografii, budownictwie czy medycynie. Badacze praktycy, bystrzy obserwatorzy świata, niezniewoleni przez scholastykę uniwersytetów¹, niepodporządkowani spekulatywnym tradycjom nauki arystotelesowskiej, widząc potrzebę nowych rozwiązań w życiu człowieka, dostrzegali jednocześnie wagę refleksji, która pozwalała projektować obraz rzeczywistości, formułować sady uogólniające. Zespolenie problematyki teoretycznej z praktyczną (np. matematyka czy przyrodoznawstwo renesansowe) stało się siłą sprawczą nauki², która doprowadziła do przekształcenia dawnych kanonów, uformowania się nowych sposobów postrzegania i referowania rzeczywistości. Nauka renesansowa była zapowiedzią nowego modelu nauki, który ukształtował się dopiero w następnym stuleciu³.

Analiza szesnastowiecznych polskich tekstów matematycznych w pełni potwierdza tezę o przejściowym charakterze nauki europejskiej, o pozostawaniu między dawnym a nowym, między średniowiecznymi jeszcze kanonami wiedzy a rodzącym się nowym modelem nauki⁴. Przedmiotem zainteresowania arytmetyki i geometrii jest przede wszystkim próba rozwiązywania konkretnych problemów, przed którymi stoją praktycy gospodarki – mierniczowie, budowniczowie czy kupcy. Matematyka zatem pełni funkcję służebną wobec gospodarki, głównie po to jest wykładana i nauczana. Jednocześnie kształtowanie się nowych relacji gospodarczo-społecznych (pojawienie się licznych obserwacji praktycznych) ożywiająco wpłynęło na proces udoskonalania technik arytmetycznych i geome-

¹ M. Bąk, *Powstanie i rozwój terminologii nauk ścisłych*, Wrocław 1984, s. 32.

² B. Suchodolski (red.), *Historia nauki polskiej*, t. 1, Warszawa-Wrocław-Kraków 1970, s. 274.

³ *Ibidem*, s. 274–275.

⁴ *Ibidem*, s. 275.

trycznych. Zmiany zachodzące w strukturze przedmiotowej praktyki materialnej zrodziły potrzebę poszukiwania formuł uogólniających, pozwalających zapanaować nad zmiennym żywiołem natury, sprostać wymogom nowych warunków życia. Instrumentem pozwalającym zrealizować ów zamiar był dyskurs naukowy niosący pogłębioną refleksję o świecie, przekładający abstrakcję myślenia naukowego na projekty konkretnych rozwiązań praktycznych. Matematyka okazała się narzędziem pozwalającym głęboko wnikać w strukturę zdarzeń, wytworzyć modele je opisujące, poruszać się w sferze rozważań wyabstrahowanych. Sięgnięcie po język arytmetyki czy geometrycznych form umożliwiło powiązanie nieregularnych, niestandardizowanych obiektów ze ściśle określonymi pojęciami abstrakcji matematycznej⁵.

Oczekiwania gospodarki na rzetelne opracowania z zakresu arytmetyki zaspokajane były w Polsce przez liczne opracowania, które w masowym nakładzie pojawiły się na rynku księgarskim na przełomie XV i XVI stulecia. Niektóre z nich stały się nawet podręcznikami uniwersyteckimi. W XVI w. pojawiły się pierwsze polskie traktaty arytmetyczne, które zyskały rychło uznanie wśród czytelników, czego oczywistym potwierdzeniem jest fakt ich wielokrotnych wznowień⁶.

W 1538 r. w Krakowie ukazała się drukiem niepozorna książeczka, której autorem był ksiądz Tomasz Kłos: *Algoritmus: to iest nauka Liczby, Polską rzeczą wydana*. W drugiej połowie XVI stulecia polski czytelnik otrzymał dwa traktaty matematyczne pisane w rodzimym języku: dzieło Bernarda Wojewódki *Algorhythm, to jest nauka liczby* (1553) oraz podręcznik geometrii, będący jednocześnie popularnym wykładem *Elementów* Euklidesa, napisany przez Stanisława Grzebskiego – *Geometria to jest miernicka nauka* (1566).

Dzieło Tomasza Kłosa, jeśli rozpatrujemy kwestię kształtowania się polskiego piśmiennictwa naukowego, naukowo-dydaktycznego, rodzenia się polskiej terminologii naukowej, kształtowania form gatunkowych właściwych dyskursowi naukowemu, naukowo-dydaktycznemu, musi być postrzegane jako pionierski przekaz, niezwykle ważny dla polskiej kultury, rozwoju cywilizacyjnego Polski⁷.

Algorytm Kłosa nie był wyjątkiem (jak już wspomniano) w naukowo-dydaktycznym piśmiennictwie europejskim. Na przykład w Niemczech ukazały się na przełomie XV i XVI stulecia stosunkowo liczne podręczniki arytmetyki adresowane do praktyków gospodarki, zawierające algorytmy, czyli reguły arytmetyczne pozwalające stosunkowo szybko przeprowadzać różnorodne operacje obliczeniowe. Już w 1482 r. Ulrich Wagner wydał drukiem dziełko pt. *Bamberger Rechenbuch*, w 1503 r. Gregor Reisch opublikował tekst pt. *Margarita philosophi-*

⁵ W. Ozon, *Powstanie fizyki matematycznej*, Opole 1993, s. 70.

⁶ B. Suchodolski (red.), *op. cit.*, s. 275.

⁷ Zob. S. Gajda, *Wprowadzenie do teorii terminu*, Opole 1990; W. Więśław, *Matematyka i jej historia*, Opole 1997.

cum für das Rechnen auf Linien, a w 1514 r. czytelnik w Niemczech otrzymał kolejny tekst: *Rechenbiechlin auf der Linien mit Rechen pfeningen*. O popularności tego typu publikacji świadczy fakt, że jeszcze na przełomie XVI i XVII w. drukowano w Niemczech algorytmy matematyczne, przykładem jest dzieło Andreasa Reinharda *Drei Register Aritmetischer ahnfeng zur Practic* (1599).

Książki propagujące arytmetykę kupiecką znane były także i w innych krajach Europy, np. we Francji – *La regle de troys rebourne* (Trenchart, 1568, 1578), *La Regle Arebourne* (Coutereels, 1631) czy w Anglii – *Regula Detri Conversa* (Thierfelder, 1587).

Pojawienie się algorytmów matematycznych w szesnastowiecznej Europie należy postrzegać w szerszej perspektywie. Otóż w świecie praktyki materialnej średniowiecza nie było przedmiotów o wspólnych właściwościach, powtarzalnych, identycznych, standaryzowanych. Niewątpliwie wpływało to na myślenie badaczy, którzy rozumieli, jak ważną kwestią jest przyjęcie jednego, wspólnego danej społeczności komunikacyjnej, systemu miar, dzięki któremu możliwe jest porównywanie, mierzenie, uogólnianie – tworzenie formuł abstrakcyjnych wyrażonych za pomocą języka analizy matematycznej. Rozumiano, że cechy charakterystyczne, które można ująć ujednoliconym metrycznym systemem, są porównywalne. Zdawano sobie sprawę, że miarę, którą da się wyodrębnić w samodzielne określenie, w abstrakcyjną relację między przedmiotami, można wyrażać jako wielkość, a wtedy świat zmiennej natury byłby poddany opisowi matematyki, co ułatwiając przepływ informacji, upraszczając komunikację, niewątpliwie udrożniłoby relacje ekonomiczne.

Naturalny charakter gospodarki w szesnastowiecznej Europie (produkcja materialna nastawiona była na zaspokajanie własnych potrzeb, wytwory procesu produkcji nie były znormalizowane, standaryzowane) powodował, że porównanie, mierzenie było utrudnione. Jak uciążliwym był problemem dla badaczy, którzy chcieli sformułować ogólne dyrektywy badawcze, brak powszechnie przyjętego systemu metrycznego świadczy m.in. wypowiedź Stanisława Grzepskiego (*Geometria*, 1566), twórcy pierwszego polskiego traktatu mierniczego:

Miara też nie wszędzie iednaka iest: w Prusiech, w Mazowszu, w Litwie na włóki mierzą, w Wielkiej Polsce na szlaby, w Małej Polsce i na Rusi na łany. Włoka iest pruska miara, przetoż też ią zową Chelmieńską Włoką, tak jako łan w Polsce zową francuskim łanem, przeto że to iest francuska miara i z Francyjey tu musiał przyść. O włóce przedzey powiem, iako w Mazowszu mierzą, a potom o łanie, iako mierzą w Polsce. Miernicy w Mazowszu używają łockia kupieckiego, iaki sye zachowa w którym powiecie. Pręt miernicki iest na półosma łockia kupieckiego, a sznur miernicki iest na dziesięci prętów⁸.

Struktura przedmiotowa gospodarki naturalnej nie poddawała się ilościowemu opisowi. Istnienie niestandaryzowanych wytworów produkcji powodowało, że nie mogły w tym świecie ustalić się abstrakcyjne jednostki określające

⁸ S. Grzepski, *Geometria*, cyt. za W. Więśław, *op. cit.*, s. 285.

stosunki ilościowe. Badania poświęcone kształtowaniu się relacji gospodarczych w szesnastowiecznej Polsce pokazują, że nawet w najbardziej skomercjonalizowanej w średniowieczu produkcji zbóż nie istniał ujednolicony system określeń ilościowych, nie pojawił się jako jednostka miary abstrakcyjny korzec⁹. Praktycy gospodarki posługiwali się różnymi jednostkami przeliczeniowymi. Analiza obiektów nieznormalizowanych, niepoddanych standaryzacji miała charakter wyłącznie jakościowy, jako że wzory miar były różne.

Stanisław Grzepski w cytowanym już *Geometrze*, mówiąc o włóce chełmieńskiej, zauważa, że ma ona 30 morgów, 90 wężysk, 900 prętów, 9000 kopanek. Identyczne przeliczenia odnajdziemy w pierwszym polskim tekście technicznym, opublikowanym w 1573 r., noszącym tytuł: *O sprawie, sypaniu, wymierzaniu i rybieniu stawów* Olbrychta Strumieńskiego¹⁰:

Szychta jest morawskim łokciem wymierzona, a w nią poczytają jedenaście. Tych szychet w powroziech cztery. A w powroźcu łokci morawskich, które w Rusi zową arsynamy 44. A tak się z tymi szychtami a z powroźcami sprawują iako u nas z laską i z pręty i z sztuczną robotą.

Jeszcze w XVIII w. polscy matematycy zwracali uwagę na trudność w standaryzowaniu wytworów kultury materialnej, niemożność poddania ich aksjomatyzacji z powodu braku znormalizowanego systemu metrycznego:

tak Reguła na nie generalna, nie tak z przepisu Rachmistrzów, iako bardziey, z codzienney praktyki, zebrać się może, a zwłaszcza w naszym Kraiu, gdzie w kaźdey prawie Prowincyi nazwiska, proporcye miar są różniące się między sobą. Których specyfikacyą obszerniey tu wyrażać, za rzecz mniej potrzebą osądziłem, aż póki zupełna w całym Państwie tak monety, iako wag, y miar, nie nastąpi koekwacya, y ieden wszędzie walor¹¹.

W szesnastowiecznej Europie wraz z ożywieniem gospodarki obserwuje się proces wypierania handlu barterowego przez handel oparty na pieniądzu. Gospodarka, której smarem, swoistą siłą napędową stawał się pieniądz, napotkała nieoczekiwane utrudnienie w postaci funkcjonowania w obiegu różnorodnych jednostek monetarnych (oraz różnych jednostek miar), co w sposób oczywisty utrudniało bezkolizyjną wymianę towarów i usług. Dlatego też coraz bardziej oczywista stawała się potrzeba wytworzenia skutecznych metod pozwalających szybko przeliczać różne jednostki miar, efektywnie prowadzić rozliczenia rachunkowe. *Algorytm* Kłosa odpowiada na zapotrzebowanie praktyków gospodarki, przybliża metody analizy arytmetycznej, poglądowo tłumaczy mechanizm techniki rachunkowej. Wiarygodny metodologicznie sposób przeliczania różnych jednostek zaproponowany przez Kłosa dawał praktykom do ręki skuteczne narzędzie pracy.

⁹ W. Kula, *Teoria ekonomiczna ustroju feudalnego*, Warszawa 1970, s. 192.

¹⁰ O. Strumieński, *O sprawie, sypaniu, wymierzaniu i rybieniu stawów*, oprac. K. Kwaśniewska-Mżyk, Opole 1987, s. 95.

¹¹ P. Skaradkiewicz, *Arytmetyka czyli nauka o rachunkach sposobem łatwym, y do wyższej Matematyki Reguł przystosowanym z Autorów wybornych zebrana*, Warszawa 1776, s. 7.

Brak ogólnie aprobowanego systemu miar utrudniał ekonomiczno-matematyczne operacje; w *Algorytmie* Tomasza Kłosa pojawiło się kilkadziesiąt jednostek miar¹², którymi posługiwano się w szesnastowiecznym Krakowie, np.:

- denar (łac. *denarius*) = ‘jednostka ciężaru wynosząca 1/16 łuta’;
- gran (łac. *granum* = ziarno) = ‘jednostka masy, 1/4 karata złota’;
- łut (n. Lot) = ‘jednostka miary wynosząca 1/32 funta’;
- karat (wł. *carato*) = ‘miara zawartości złota w stopach’;
- kwint (łac. *quinta* = piąta) = ‘jednostka miary wynosząca 1/4 łuta’;
- marka (n. *Mark*) = ‘ciężar srebra lub złota równy 1/2 funta, jednostka pieniężna równoważna 48 groszom’;
- skojec (śrdw.-łac. *scotus*) = ‘jednostka miary wynosząca 1/24 grzywny’.

Mnogość różnych jednostek miar sprawiała, że autor *Algorytmu* zmuszony był przybliżyć polskiemu praktykowi (rzemieślnikowi, kupcowi) reguły przeliczania (algorytm działań arytmetycznych), aby możliwa była kooperacja w procesie wytwarzania, wymiany handlowej, np. jeden funt był ekwiwalentem trzydziestu dwóch łutów, dwadzieścia sześć funtów zaś stanowiło jeden kamień, pięć i pół kamienia równało się jednemu cetnarowi. Proces przeliczania jednostek miar, pozornie prosty, był jednak niezwykle skomplikowany i żmudny¹³, np. ustalenie, jaką wartość przeliczeniową ma 6 i 1/2 złotego, 14 wierdunków, 19 groszy i 20 pieniędzy, wymagało następującej operacji: 20 pieniędzy stanowi 1 grosz oraz 2 pieniądze, a 6 i 1/2 złotego to 30 groszy pomnożone przez 6 i 1/2, czyli 195 groszy; 14 wierdunków to 168 groszy. Gdy dodamy do uzyskanego wyniku 20 groszy, uzyskamy 383 grosze oraz 2 pieniądze. A że 48 groszy stanowi 1 grzywnę, zatem 383 grosze dają 7 grzywien 1 zł 17 groszy oraz 2 pieniądze.

O skali trudności, przed którą stawał kupiec w szesnastowiecznym Krakowie, najlepiej świadczy złożoność zadań, które w swoim tekście referował Kłos¹⁴:

– Jeden kupował we Wrocławiu 4 cen. wosku, kosztuje 1 kam. 2 zł. 1/2 orta węgierskiego, wiół do Norberku i strawił 20 zł. węgierskich, a 16 kamieni wrocławskich czynią 3 cen. norberskie; i sprzedał 1 cen. w Norberku za 18 zł. ryńskich, a 4 zł. ryńskie czynią 3 zł. węgierskie; wiele zyskał zł. węgierskich na nim. Czyni 33 zł. 2 i 1/2 orta;

– 2 pien. tureckie czynią 4 węgierskie, a 6 węg. czynią 16 litewskich, a 4 litewskie czynią 9 polskich. Jest pytanie wiele polskich czynią 13 tureckich pien.

W szesnastowiecznej Europie funkcjonował kruszcowy system monetarny, którego podstawą były dwa metale – złoto i srebro. Ustalona relacja złota do srebra zapewniała stabilność bimetalicznego systemu monetarnego. Złote i srebrne monety uczestniczyły w obiegu pieniężnym. W Polsce doby renesansu podstawę

¹² Zob. T. Kłos, *Algoritmus to iest nauka liczby: Polską rzeczą wydana przez Xiędza Tomasza Kłosa*, [w:] *Biblioteka pisarzy polskich*, oprac. M. Baraniecki, Kraków 1889.

¹³ *Ibidem*.

¹⁴ T. Kłos, *Algoritmus to iest nauka liczby: Polską rzeczą wydana przez Xiędza Tomasza Kłosa*, Kraków 1583.

kruszcowego systemu monetarnego stanowiły grosze (monety srebrne) oraz floreny nazywane złotymi.

Kłos w *Algorytmie*, mówiąc o złotych monetach¹⁵, używa nazw „złoty”, „wielki złoty”, „czerwony złoty”, „złoty reński”. „Złoty”, czyli „złoty polski” (nazwy „wielki złoty”, „czerwony złoty”), jest w jego książeczce traktowany jako punkt odniesienia w obliczeniach, idealna jednostka monetarna, jednostka przeliczeniowa. W XIV i XV stuleciu w Polsce złotym nazywano złote dukaty bite za granicą. Uchwała sejmu Rzeczypospolitej (1496) ustaliła kurs złotego na 30 groszy. W ten sposób ukonstytuowało się określenie jednostki równej 30 groszom jako złoty polski. Nazwy „czerwony złoty”, „wielki złoty” w *Algorytmie* Kłosa oznaczają złote monety będące w owym czasie w obiegu w królestwie – dukaty, floreny (floren – złota moneta bita na Węgrzech, rozpowszechniona w Polsce od czasów Kazimierza Wielkiego).

W *Algorytmie* jest także mowa o złotym reńskim, czyli myńcy norymberskiej (myńca, czyli moneta), której wartość określa relacja: 32 zł polskie to 30 zł reńskich. Myńca norymberska – o czym informuje Kłos – składa się z 20 szelągów, a każdy szeląg jest równowartością 12 halerzy. Kłos wspomina jednocześnie o złotej monecie – złotym litewskim, ustalając jego relację do złotego w stosunku 3:4, oraz o złotym węgierskim, którego wartość względem złotego reńskiego ustalona jest według przelicznika: „a cztery złote ryńskie czynią 3 złote węgierskie”. Autor *Algorytmu* odnotowuje także istnienie złotego wrocławskiego, którego wartość wycenia na 33 grosze. Złote monety bite przez mennicę we Wrocławiu, który w XVI stuleciu był miastem słynącym z bogactw, musiały być w obiegu w środkowej Europie, cyrkulowały zatem także w Krakowie:

W roku 1517, na mocy osobnego zezwolenia królewskiego udzielonego wpierw na lat dzie sięć, miasto realizuje dawne, lecz zapomniane uprawnienia przyznane mu jeszcze w 1360 roku, podejmując emisję pierwszych złotych monet. Z mennicy miejskiej wychodzą rokrocznie emisje dukatów z wizerunkiem patrona miasta na stemplu. Zapęniają one przeważnie skarbcie miejscowego patrycjatu lub odpływają za granicę¹⁶.

Kłos, przybliżając czytelnikowi zasady przeliczania jednostek monetarnych, wspomina o istnieniu na rynku pieniężnym złotych monet o niższej wartości – kęsych złotych:

tu przez: wielkie rozumieć należy zwykłe czerwone złote, zaś przez kęsę monety złote obce, nieco mniejsze niż owe złote czerwone.

Proporcye

Wielkie złote	kęsę złote	ryńskie
30	32	32 ¹⁷ .

¹⁵ Zob. T. Kłos, *Algoritmus to iest nauka liczby...* (wyd. 1889).

¹⁶ *Od monety wrocławskiej do dolnośląskiej*, wstęp M. Haisig, Wrocław 2004, s. 7.

¹⁷ T. Kłos, *Algoritmus to iest nauka liczby...* (wyd. 1583).

W *Algorytmie* Kłosa bardzo często jest mowa o groszu. W XV i XVI stuleciu w środkowej Europie najpopularniejszą monetą obiegową, ale także i przeliczeniową, był grosz praski (łac. *grossus pragensis*, czes. *pražský groš*), czyli srebrna moneta czeska wprowadzona przez Wacława II. Była bity do 1547 r. O wartości grosza praskiego przesądzał prosty fakt – zasobność złóż srebra w Kutnej Horze. Władcy Czech bili monetę cenioną z racji swej stabilnej wartości. W środkowej Europie żaden kraj nie dysponował takimi zasobami kruszcu, co sprawiło, że grosz praski, przez długi czas nie ulegając dewaluacji, był najpopularniejszą monetą obiegową i przeliczeniową w średniowiecznej Polsce.

W szesnastowiecznym Krakowie były w obiegu różne grosze, o różnej wartości. Transakcje zawierano nie tylko w groszach praskich (grosz bity w mennicy wrocławskiej czy krakowskiej w XV i XVI w.). Płacono różnymi monetami, skoro tak wiele nominałów było w obiegu. W groszach praskich była wyrażona wartość.

Główną ideą wprowadzenia grosza było ujednolicenie systemu monetarnego, którego grosz stał się jedną z podstawowych jednostek obliczeniowych, a realną funkcję monety pełnił grosz praski. Kłos używa nazw „grosz płaski”, „grosz biały”, „grosz szeroki”, „grosz litewski”, „grosz polski”, na określenie jednostek monetarnych, z którymi miał do czynienia ówczesny kupiec. Kłos mówi o różnej wartości groszy, np. 37 groszy białych stanowi 32 grosze polskie. Z kolei grosz litewski odpowiada 1 i 1/4 grosza polskiego.

Algorytm Kłosa przynosi także informacje o jednostkach pieniężnych o niższym nominale: „pieniądzach” („pieniążkach”). Mnogość monet (bitych przez mennice w środkowej Europie czy Turcji), z którymi miał do czynienia kupiec czy rzemieślnik w szesnastowiecznym Krakowie, sprawiała, że Kłos jednostek monetarnych o mniejszej wartości już nie specyfikuje, nie wyodrębnia ich za pomocą osobnych nazw, wskazuje jedynie na pochodzenie poszczególnych monet:

2 pien. tureckie czynią 4 węgierskie, a 6 węg. czynią 16 litewskich, a 4 litewskie czynią 9 polskich. Jest pytanie wiele polskich czynią 13 tureckich pien¹⁸.

W *Algorytmie* mowa jest także o jednostkach wag (grzywna, skojec), które w średniowiecznej Europie były także traktowane jako wartości przeliczeniowe jednostek pieniężnych¹⁹, zatem o grzywnach albo markach. Wartość przeliczeniowa grzywny przedstawia się następująco: 1 grzywna to 4 wierdunki (równowartość 12 groszy) albo 24 skojce (skojec składa się z 4 kwart, a każda z nich równa jest 1 półgroszowi). Skojec jako jednostka wagi miał wartość następującą: 3 skojce równają się 1 łutowi (jednostka miary wynosząca 1/32 funta).

Przenikanie się dwóch systemów podziału jednostek miar, oczywiście dla praktyków, rodziło jednak tekst trudny w odbiorze stawiający odbiorcy wysokie wymagania merytoryczne i komunikacyjne: „30 mr. srebra 6 ł. 3 kwinty i niesie

¹⁸ *Ibidem*.

¹⁹ Zob. T. Kłos, *Algoritmus to iest nauka liczby...* (wyd. 1889).

1 mr. 15 ł. 1 kwint czystego; [...] a 1 łot jest 4 kwinty, a 1 kwint 4 den. a 1 mr. jest 24 skojce i 96 kwart a 1 skocieć 4 kwarty”²⁰.

Kłos doskonale zdawał sobie sprawę, że docelowym odbiorcą jego przekazu nie jest uczony, np. profesor uniwersytetu, dla niego podstawy arytmetyki nie są bowiem żadnym problemem natury poznawczej, lecz praktyk, który funkcjonując w świecie wielości jednostek miar, oczekiwać będzie przekazu przybliżającego mu w przystępny sposób abstrakcję języka matematyki, dzięki czemu będzie mógł zapanować nad niesfornym żywiołem materii.

Algorytm Kłosa otwiera język dyskursu naukowo-dydaktycznego na nowy obszar komunikacji – potoczne doświadczenie świata, poddane zdroworozsądkowej kategoryzacji, zostaje skonfrontowane z naukową aparaturą pojęciową, klasyfikacją ukazującą nową perspektywę poznawczą, relacjonującą nowe korelacje między doświadczanym a oznaczanym.

Kłos w swojej przedmowie do swojej pracy przypomniał odbiorcy, że ład liczb, które są znakami pewnego porządku, zajmują określone miejsce w układzie liczb, jest oczywistym potwierdzeniem ładu świata, ma swoje źródło w transcendensie.

Uwagi wstępne Kłosa wzmacniają przekonanie, że nauka jest sposobem odkrywania zasad porządkujących rzeczywistość, że wszelkie działania poznawcze człowieka, nawet jeśli w swojej codzienności nie dostrzega on ładu świata, są w istocie sposobem zdobywania władzy, ujarzmienia materii, docierania do prawd ostatecznych:

Wszakże tego y sam rozum dokazuie człowieczy, iż liczba jest nauka barzo zacna i pożyteczna. Zacność iey z tąd się ukazuie, iż wszystkie od początku stworzone pod czystym rządem i pod pewną liczbą są postanowiony. Bowiem i ten który wszystko stworzył: nie chciał się z liczby wyłamać, gdyż iako iedność iest początek wszelkiej liczby dalszey, tak też on, od którego wszystkie rzeczy początek mają, chciał się pod iednością istności zamknąć, a żadney rownej drużyny z sobą nie mieć [...] A dlatego ieden iest pan Bog. Jeden świat. Jedno słońce. Jeden Księżyc [...] Wszakże ta iedność z czymkolwiek się złączy, dwoie czyni, któraż oto dwoica początek wszelkiego mnożenia iest wezwania, bowiem ona zależy w złączeniu dwoiey iedności [...] Potym jest troica, pierwsza liczba nierówna, wszakoż sama w sobie doskonała, bowiem początek, szrodek i dokonanie w sobie zamyka i wszystkie insze liczby doskonałe (iako jest sześcioro i dziewięcioro etc.) z niey się rodzą [...] Nasze też modlitwy trzy kroć pana Boga pospolicie powtarzamy, bowiem i on sam jest w troicy iedyny²¹.

Czytelnik *Algorytmu*, który borykać się musiał na co dzień z wielością miar, mnogością jednostek pieniężnych, zapoznając się ze słowem wstępnym inicjującym wykład arytmetyki kupieckiej, odkrywał zupełnie nowy wymiar refleksji o świecie. Dyskurs naukowo-dydaktyczny otwierał go na zupełnie nowy świat. Fakty w nim powszechnie, potocznie doświadczane podlegają nowemu opisowi,

²⁰ T. Kłos, *Algoritmus to iest nauka liczby...* (wyd. 1583).

²¹ *Ibidem*.

w którym rzeczywistość ujęta za pomocą nowego języka odkrywa przed nim zupełnie nowe oblicze. Nauka w tej opowieści jawi się jako autorytet – jako źródło poznania, rzetelny metodologicznie oraz wiarygodny epistemologicznie opis świata, narzędzie dominacji umożliwiające zapanowanie nad materią faktów, odnalezienie w algorytmie arytmetycznym formułę pozwalającą scalać obraz świata, przynoszącą kojącą pewność jego poznawalności.

Kłos, chcąc dotrzeć do odbiorcy z precyzyjną formułą rachunkową, musiał zapoznać go z terminologią arytmetyczną, wdrożyć do myślenia abstrakcyjnego, przyzwyczaić do wykładu, w którym nie mówi się o konkretnych desygnatach (ortach, złotych, myńcach, groszach, markach itd.). Obraz świata w dyskursie naukowo-dydaktycznym jest bowiem kodowany za pomocą terminów naukowych, które są znakami ogniw systemu pojęciowego wyłonionego w wyniku określonych procedur definiowania i klasyfikowania nietożsamych z mechanizmami taksonomizacji wiedzy potocznej, np. nominacje „łamana liczba”, „frakta”, „licznik”, „mianowacz”, „mianowanie” w wywodzie Kłosa²²:

iestli pirwszy i trzeci termin: ma rozne mianowanie, tedy ie obroć na iedno mianowanie

Rozumiey iako masz umniejszać fraktę, gdy licznik i mianowacz są w cetnie na ostatniey linijey albo spacium, albo w figurze iako gdyby ta ostatnia frakta

Gdy frakta żadnym obyczaiem nie może równo zejść przez którąkolwiek liczbę, tedy ią tak zostaw za łamaną liczbę, iako to niżej stoi

Łamana liczba pisze się dwoistemi figurami: wierzchnią i spodnią, a między nią linija jest przeciągniona

Gdy ta żadnym obyczaiem nie może równo zejść przez którąkolwiek liczbę, tedy ią tak zostaw za łamaną liczbę, jako tu niżej stoi $\frac{5}{3} | \frac{5}{9} | \frac{11}{6} | \frac{13}{67} | \frac{19}{71} | \frac{23}{73} |$

Została frakta $\frac{10}{30}$, odejmi po cyfrze, zostanie $\frac{1}{3}$.

Kłos, dokonując transferu wiedzy naukowej do poziomu wiedzy potocznej, stanął przed istotnym problemem przełożenia obrazu świata kodowanego za pomocą terminologii naukowej (która jest znakiem abstrakcji operacji arytmetycznych) na wizję rzeczywistości będącą efektem wiedzy praktycznej, wyrastającej z bezpośredniego (potocznego) doświadczenia życiowego praktyków gospodarki, którzy kierują się w swoich poczynaniach zdrowym rozsądkiem (np. rozważania dotyczące liczby ułamkowej, por. procedura dzielenia całości na części):

Poczyna sie wtora część o regule detri w całej i łamanej liczbie.

Łamana liczba pisze się dwoistemi figurami: wierzchnią i spodnią, a między nią jest linia przeciągniona. Wierzchnią zowią licznik, a spodnią mianowacz. Społem się wymawiają, od wierzchniey poczynając, z tym słowem kończąc: część albo część²³.

Abstrakcyjne operacje arytmetyczne, gdy odbiorca ma do czynienia tylko z liczbami („Ku lepszemu wyrozumieniu tego figurę z liniami obacz”), Kłos obudowuje wykładem, w którym liczby nie są abstrakcją, mają konkretny wymiar

²² *Ibidem*.

²³ *Ibidem*.

poznawczy, uświadamiają odbiorcy, na czym polega abstrahowanie matematyczne (np. figura arytmetyczna zilustrowana przykładem):

Ku lepszemu wyrozumieniu tego figurę z liniami obacz	
Dziesięćkroć tysiąc tysięcy	Osma
Pięćkroć tysiąc tysięcy	
Tysiąc tysięcy	Siodma
Pięćset tysięcy	
Sto tysięcy	Szosta
Pięćdziesiąt tysięcy	
Dziesięć tysięcy	Piąta
Pięć tysięcy	
Tysiąc	Czwarta [...] linia
Pięćset	

[...] Przykłady tego

Dał pan słudze 1305 złotych. Sługa wydał z tych pieniędzy 689 złotych, odiawszy: zostanie 616.

Takież, gdy chcesz należeć wiele lat ktoremu zapisowi albo kronice, położ lata idące od Bożego Narodzenia iako tu. Polacy wiarę krześcijańską przijeli lata Bożego Narodzenia 965. Położ na liniach lata teraz idące 1537. Od których odeymi 965. Zostanie 570²⁴.

Kłos, mając na uwadze, że czytelnikiem jego dzieła będzie praktyk pragnący poznać podstawy wiedzy arytmetycznej, niemający przygotowania merytorycznego do wnikania w tajniki wiedzy i że w związku z tym trudno mu będzie zaznajomić się z abstrakcyjnym planem pojęciowym, uwzględnił w swej strategii komunikacyjnej zastosowanie takich środków wyrazu, które ułatwią odbiór złożonych kwestii. Niewątpliwie narzędziem usprawniającym proces komunikacji, pozwalającym skonstruować jasny, czytelny wykład były graficzne środki poglądowe.

Kłos, tworząc swój wykład arytmetyki kupieckiej, wpisywał się w obowiązujący w ówczesnej Europie schemat wykładu (zob. architektonika tekstu, narzędzia kodowania obrazu świata w książce Andreasa Reinharda *Drei Register Arithmetischer ahnfeng zur Practic*, 1599), zdawał się rozumieć, że tabele, schematy są pojemnym semantycznie środkiem kodowania różnego rodzaju relacji. Wykład w *Algorytmie* jest prowadzony równolegle – na dwóch przenikających się polach informacyjnych, tzn. leksykalnym (naturalnym) oraz graficznym (sformalizowanym).

Tabele oraz diagramy są segmentami wykładu nacechowanymi formalnie – Kłos świadomie wyodrębniał je w tekście, sygnalizował za pomocą stosownych wewnętrznych odsyłaczy ich miejsce w strukturze wyводу: „Ku lepszemu wyrozumieniu tego figurę z liniami obacz”. Odpowiednie zagospodarowanie przestrzeni tekstu powodowało, że powstał tekst wielopłaszczyznowy (dwukodowy – leksykalny i graficzny), jednak przejrzysty: zapis graficzny stał się operatorem integracji, identyfikacji treści niesionych przez przekaz, np. tłumacząc zasady rachunku, tworzył Kłos poglądowe diagramy, które można było z powodzeniem

²⁴ *Ibidem*.

stosować w konkretnych przeliczeniach kupieckich. Tabele czy wzory operacji arytmetycznych, kondensując treść (pełniąc funkcję poglądowych instrukcji działań), stawały się istotnym źródłem poznania, uświadamiały odbiorcy praktykowi żywy związek poznania potocznego z poznaniem naukowym, rodziły zaufanie do wiedzy, uwiarygodniały przekaz.

Owa różnorodność form przekazu jest oczywistą zaletą z komunikacyjnego punktu widzenia. Czytelnik otrzymywał przekaz precyzyjny, jednoznaczny; plan graficzny uściślał przekaz leksykalny, czyniąc go zarazem łatwiejszym w odbiorze. Formalne rozbicie struktury tekstu na dwa paralelne pola tekstowe (informacyjne), ułatwiając odbiór przekazu, pozwalało odbiorcy zintegrować treści niesione przez przekaz. Odbiorca dopiero zaznajamiający się z podstawami arytmetyki łatwiej zapewne mógł przyswoić nowe dla siebie treści, podane za pomocą nieznanego mu języka, jeśli otrzymywał formalnie wyodrębniony schemat prezentacji, który dawał czytelny, obrazowy wgląd w złożoność analizowanego problemu.

Podsumowując rozważania dotyczące pierwszej polskiej arytmetyki kupieckiej, będącej propozycją przeliczania różnych jednostek miar, należy zauważyć, że *Algorytm* Kłosa, który przynosi wytłumaczenie mechanizmu techniki rachunkowej, jest niezwykle frapującym dokumentem, pokazuje bowiem, jak w rodzącym się w XVI stuleciu dyskursie naukowo-dydaktycznym przenika się refleksja naukowa z poznaniem potocznym.

Poznanie potoczne dokonuje się w toku praktyki życiowej i ma empiryczny charakter. Jego celem jest wiedza praktyczna, dzięki której można rozwiązać konkretne problemy, zracjonalizować, przetworzyć potoczne doświadczenie. Kryterium prawdziwości w odniesieniu do wiedzy potocznej sprowadzone jest do intuicyjnej oczywistości, a zasadniczą kategorią porządkującą jest niewątpliwie zdrowy rozsądek. Potocznie ujmując świat, informacje o obiektach przekazujemy w syntetycznej postaci, natomiast w poznaniu naukowym abstrahuje się – dzięki zastosowaniu wyspecjalizowanych środków, zweryfikowanych metod – aspekty obiektu, co sprawia, że pojęcie naukowe staje się przydatnym instrumentem opisu świata w refleksji naukowej, lecz jednocześnie oddala się od praktyki, potocznego doświadczenia rzeczywistości²⁵.

Opowieść o pieniądzach, realnie istniejących obiektach, brzęczącej srebrnej czy złotej monecie, którą szesnastowieczny kupiec krakowski codziennie miał w ręku, przemieniła się w *Algorytmie* w refleksję o abstrakcyjnych obiektach arytmetyki kupieckiej, a proste przeliczenia różnych nominałów stały się ujętymi w algorytm abstrakcyjnymi schematami działania.

²⁵ S. Gajda, *op. cit.*, s. 26.

MARIA BUJNICKA
Uniwersytet Śląski

Pieniądz w pismach klasyków i w mądrości ludowej

Kultura europejska wyrasta z dwóch źródeł: myśli grecko-rzymskiej i judeochrześcijańskiej. W pierwszej części wywodu zajmę się oceną roli pieniądza płynącą z tych dwóch źródeł. W drugiej – jak te oceny rozkładały się w pismach klasyków ekonomii i socjologii XIX w.: Karola Marksa i Fryderyka Engelsa z jednej strony oraz Ferdynanda Tönniesa i Georga Simmla z drugiej. W części ostatniej spróbuję powiedzieć, co z tego wszystkiego osadziło się w przysłowiach, sentencjach, mądrościach ludowych. Oczywiście: piszę to w pierwszej połowie roku 2009, więc naturalną ramę modalną stwarza tu współczesny globalny kryzys ekonomiczny, bankowy, pieniężny prowadzący do rewizji utartych poglądów czy rerewizji, to znaczy powrotu do poglądów niedawno odrzuconych. Końcowa refleksja mówi o nieuchronnej względności wszystkich ocen i prawd dotyczących nie tylko pieniądza, ale także mojego wywodu na jego temat.

1. Ocena pieniądza w myśli grecko-rzymskiej i judeochrześcijańskiej

Taki tytuł mógłby zapowiadać gruby tom, tu zamierzam jednak ograniczyć się do sprawdzenia tego, co z tej myśli o pieniądzu „ucukrowało się”, wykrystalizowało i odcodziło w różnych antologiach „skrzydlatych słów”, sentencji, aforyzmów, na serii „Skrzydlatych słów” Henryka Markiewicza i Andrzeja Romanowskiego kończąc. Na tej bardzo wybiórczej podstawie można przyjąć, że w myśli grecko-rzymskiej w ocenie pieniądza, oczywiście pieniądza w dawnym znaczeniu, dominowały dwie postawy – moralistyczna i pragmatyczna. Pierwsza i częstsza prowadziła do ukazania zgubnych skutków pieniądza. Anakreont w pieśni *Trudny los* pisał: „Ten [kto wynalazł pieniądz] zrodził nienawiść między braćmi / i niechęć do rodziców: / wzniecił mord i spór / I – co najgorsze – zamknął / drogę do naszych serc” (przekł. własny z przekł. niemieckiego G. Jordana). Sofokles w usta Kreona wkłada takie oskarżenie: „Bo nie ma gorszej dla ludzi potęgi, / Jak pieniądz: on to i miasta rozburza, / On to wypiera ze zagród i domu, / On prawe

duśże krzywi i popycha / Do szpetnych kroków i nieprawych czynów. / Zbrodni on wszelkiej ludzkości jest mistrzem / I drogowskazem we wszelkiej sromocie” (przeł. K. Morawski). Nie inaczej jest u Rzymian. Horacy w satyrze *Hoc quoque, Tiresia* (ks. 2, 5, 8) tak każe mówić Odysowi pozbawionemu całego majątku przez zalotników: „Ród, cnota bez majątku mniej od morskiej trawy znaczą” (przekład tego i pozostałych fragmentów Horacego – S. Gołębiowski). W liście *Prima dicte mihi* (ks. 1, 1), będącym wykładem nauk moralnych starzejącego się autora, powie podobnie: „Pieniądze, o rodacy, Kwiryci, są pierwsze, po nich dopiero cnota”. Tamże w liście szóstym pisze, że za pieniądze wszystko można kupić: „Przyjaźń, kredyt, posażną żonę, znakomity / ród, urodę król Pieniądz gotuje dla ciebie”. Ale u Rzymian rodzi się też pojęcie i ocena pieniądza jako abstrakcyjnego czynnika rządzącego światem – na przykład w tym powiedzeniu cesarza Wespazjana przytoczonym przez Swetoniusza – „pieniądz nie cuchnie” – jest jednaki czy to z opłat za kloaki, czy z uprawy winnic. Publiusz Cyrus wręcz hiperbolizuje jego moc: „Tylko pieniądz jest władcą całego świata”. Także w pismach Cyserona pieniądz jawi się już jako nerw rzeczy, sprężyna rzeczy – *nervus rerum*.

W kulturze judeochrześcijańskiej pieniądz inaczej oceniany jest w Starym Testamencie, inaczej w Nowym. W Starym Testamencie bogactwo jest wyrazem opieki boskiej nad wiernym i nagrodą za pobożność (historia Abrahama, Izaaka, Jakuba)¹. Skłoniło to Georga Simmla, autora jednego z pierwszych traktatów filozoficzno-socjologicznych, do określenia szczególnego stosunku między Żydem, Bogiem i pieniądzem. W wynaturzonej relacji pieniądz stał się celem:

Wrodzone usposobienie narodu od tysiącleci przywykłego do wznoszenia wzroku ku Najwyższej Istocie, do umieszczania w niej – w szczególności dlatego, że posiadała ona jedynie bardzo względną transcendencję – ostatecznego celu i punktu zbiegania się wszelkich konkretnych spraw – musiało w obszarze ekonomicznym skłaniać do oddania się tej wartości, która ofiarowuje się jako spajająca jedność oraz punkt komunikacji wszelkich szeregów celowościowych².

O ile więc przekaz Starego Testamentu streścić można hasłem: „Bóg ubogaca swoich wiernych”, to przekaz Nowego Testamentu zawiera się w hasło – „Bóg albo pieniądz” (tak brzmią tytuły akapitów w *Słowniku teologii biblijnej*, s. 88–89). To hasło najlepiej wyrażają powszechnie znane cytaty z Ewangelii św. Mateusza: „Nikt nie może dwom panom służyć [...] Nie możecie Bogu służyć i Mamonie” (6, 24) lub św. Łukasza „nikt z was, kto nie wyrzeka się wszystkiego, co posiada, nie może być moim uczniem” (Łk 14, 33) i – na koniec najpowszechniej znane: „łatwiej jest przejść wielbłądowi przez ucho igielne niż bogatemu wejść do Królestwa Niebieskiego” (Mt 19, 23).

W parze z tymi naukami szły inne nakazy: „darmo otrzymaliście, darmo dawajcie!” (Mt 10, 8–9), „Sprzedajcie wasze mienie i dajcie jałmużnę” (Łk 12,

¹ Zob. *bogactwo*, [hasło w:] *Słownik teologii biblijnej*, red. X. Leon-Dufour, Poznań 1985.

² G. Simmel, *Filozofia pieniądza*, przekł. i posł. A. Przyłębski, Poznań 1997, s. 208.

33), „Idź, sprzedaj wszystko co masz, i rozdaj ubogim” (Mk 10, 21). Choć przecież w opowieści o „darach” bogactwo otrzymane należy pomnażać! (ale oznaczało to – pracować, a zarobione pieniądze rozdawać pomiędzy tych, którzy ich nie mają!).

Widzimy więc, że nie tylko starożytni, ale i nauka judeochrześcijańska ma kłopoty z moralną oceną pieniądza. Święty Klemens Aleksandryjski, jeden z pierwszych egzegetów Pisma św. – w II w. napisze rozprawkę pod znamienitym tytułem *Czy człowiek bogaty może być zbawiony?*, w której próbuje dowieść, że tak – a ubóstwo jest nieszczęściem, cierpieniem i może zagrażać moralności społeczeństwa³.

2. Pieniądz w pismach Marksa i Engelsa, Tönniesa i Simmla

W pismach Marksa i Engelsa przetrwała grecko-rzymska i chrześcijańska niechęć do pieniądza. Obaj są w dużej mierze wytworem dziewiętnastowiecznej niemieckiej *Bildung*, w której literatura i antyk odgrywały istotną rolę. Uważa się, że właśnie literatura jest trzecim źródłem marksizmu, obok filozofii i ekonomii. Nie bez znaczenia jest i to, że obaj w młodości parali się literaturą i do końca życia interesowali się utworami literackimi, pisali o nich rozprawy krytyczne. Nie dziwi więc, że kiedy oceniają rolę pieniądza, często sięgają po cytaty z literatury, ale oczywiście, zawsze z perspektywy koncepcji społecznej, ekonomicznej, przekonania, że kapitalizm jest formą przejściową. W *Manifestie komunistycznym* (1948) pisali:

Wraz z rozwojem wielkiego przemysłu wysuwa się spod nóg burżuazji sama podstawa, na której wytwarza ona i przywłaszcza produkty. Wytwarza ona przede wszystkim swoich własnych grabarzy. Jej zagłada i zwycięstwo proletariatu są jednakowo nieuniknione⁴.

Ironia historii sprawiła, że to gospodarka socjalistyczna czy też komunistyczna wytworzyła klasę robotniczą jako swego grabarza, ale nie wiadomo, czy prognozy Marksa i Engelsa nie sprawdzą się w jakiś inny, nieprzewidziany sposób. Jeden z publicystów obecny kryzys kwituje artykułem zatytułowanym *Karola Marksa zemsta zza grobu*⁵, a konferencja w marcu tego roku w Londynie (nb. w miejscu, w którym przed 150 laty Marks przygotowywał się do napisania *Kapitału*), zatytułowana „O idei komunizmu”, głosiła ustami Alaina Badiou i Slavoją Žižka tezę, że komunizm jest horyzontem wszelkiej współczesnej myśli

³ Zob. J. Ossowski, *Niebo dla bogaczy*, [w:] *Pieniądz w literaturze i teatrze*, materiały z symposium, red. J. Bachórz, Sopot 2000, s. 29–39.

⁴ K. Marks, *Dziela*, t. 4, Warszawa 1963, s. 527.

⁵ Ch. Hitchens, *Karola Marksa zemsta zza grobu*, „Europa” 22.03.2009, nr 259.

lewicowej, i to komunizm nie tylko w wydaniu teoretycznym Marksa i Engelsa, ale i praktycznym – Lenina⁶.

Wróćmy wszakże do Marksa. Już w *Ekonomiczno-filozoficznych manuskryptach* (1844), a więc przed *Manifestem*, mówiąc o „wszechmocy istoty” pieniądza, nazywa go pogardliwie „rajfurem” i by dobitniej wyrazić jego potęgę i przekleństwo, którego jest sprawcą, cytuje Szekspira (*Tymon Ateńczyk*) i Goethego (słowa Mefista z *Fausta*). Nie inaczej jest w *Kapitale* (1867). Tu pieniądz nie ma dobrej opinii, bo właśnie przemienił się w kapitał z wszelkimi tego procesu ujemnymi skutkami: stał się narzędziem wyzysku zarówno w cyrkularnym obrocie: pieniądz–towar–pieniądz, jak i w obrocie pieniądz–pieniądz, czyli w lichwie. Kiedy Marks potępią lichwę, sięga po cytaty z *Republiki* Arystotelesa:

lichwa słusznie jest znienawidzona, gdyż pieniądz sam jest tu źródłem dochodu, a nie służy do tego, do czego został wynaleziony. Albowiem powstał on dla wymiany towarów, procent zaś robi z pieniądza większą ilość pieniędzy⁷.

Kiedy indziej odwołuje się do kazań Marcina Lutra i z lubością przypomina jego zalecenia: „I jeżeli łamię się kołem i ścina zabójców, morderców i podpalaczy, to o ileż słuszniej należałoby łamać kołem, żyły wypruwać [...] przepędzać, wyklinać i ścinać wszystkich lichwiarzy”⁸. Notabene nasz Benedykt Chmielowski w *Nowych Atenach* też proponował krótki proces: „żywcem ich palić należy”⁹.

Głównym problemem w *Kapitale* była jednak pierwsza cyrkulacja: pieniądz–towar–pieniądz, w której towarem była siła robocza sprzedawana przez proletariusza i opłacana poniżej wytworzonej wartości. Wtedy pojawia się przytoczony cytat z *Antygony* Sofoklesa czy cytaty z Biblii, aluzja do obrazu „Wielkiej Nierządnicy” z Apokalipsy św. Jana („była odziana w purpurę i szkarłat, cała zdobna w złoto, drogie kamienie i perły, miała w swej ręce złoty puchar pełen obrzydliwości i brudów swego nierządu. A na jej czole wypisano imię – tajemnica: Wielki Babilon” – 17, 4–5).

Kapitalizm jest tym Wielkim Babilonem skazanym na zagładę. Warto może dodać w tym momencie, że to odwołanie się do Pisma Świętego przez autora *Kapitału* było ze wszech miar trafne nie tylko dla jego retorycznej urody, ale ze względów perswazyjno-emocjonalnych. Trzeba pamiętać bowiem, że w środowiskach robotniczych częściej podniety rewolucyjne czerpano z Biblii niż z pism klasyków (pamiętnik robotnika, bohatera powieści Lucjana Rudnickiego *Stare i nowe*, m.in. o takiej lekturze Biblii opowiada!).

⁶ D. Kubacki, *Trzy dni, które (nie) wstrząsnęły światem. Czy w czasach kryzysu intelektualni zdolają tchnąć życie w ideę komunizmu?*, „Europa” 4.04.2009, nr 161.

⁷ K. Marks, *Dziela*, t. 23, *Kapitał. Krytyka ekonomii politycznej*, t. 1, *Proces wytwarzania kapitału*, przeł. O. Szechter, Warszawa 1968, s. 190–191.

⁸ *Ibidem*, s. 707.

⁹ B. Chmielowski, *Nowe Ateny*, Kraków 1968, s. 355.

Najczęściej jednak Marks poszukuje efektownych cytatów „ilustrujących” jego teorię u uwielbianego przez siebie Szekspira. Oto przywołuje postać Żyda Shylocka z *Kupca weneckiego*, który jest lichwiarzem i symbolem nienawistnika, gotowym zrezygnować z pieniędzy, byle usunąć rywala w interesach – Antonia. Zobowiązanie – w wypadku niespłacenia długu przez Antonia – uprawniało Shylocka do wycięcia funta mięsa z ciała Antonia, i Shylock, gdy dług nie został spłacony w określonym terminie, upiera się: „Tak jest, oddaj piersi, / tak mówi oblig”¹⁰. Podobnie kapitalista uzasadnia zatrudnianie dzieci: oblig to oblig, wszystko zgodnie z prawem. Shylocka spotyka zasłużona kara: straci majątek i córkę, która wyszła za chrześcijanina, i wprawdzie daruje mu się życie, ale co to za życie, mówi Shylock: „Zabraliście mi życie, skoro zabraliście środki do życia”¹¹. W takiej właśnie sytuacji jest robotnik w kapitalizmie, kiedy traci pracę, bo nie jest przyuczony do ciągłej zmiany kwalifikacji. Kiedy Marks będzie mówił o pieniądzu jako czynniku zacierającym różnice, bo wszystko na niego się przelicza – podobnie jak we wczesnych *Ekonomiczno-filozoficznych manuskryptach* – sięgnie do innej sztuki Szekspira, *Tymon Ateńczyk*, gdyż jak twierdzi: „Szekspir świetnie przedstawia istotę pieniądza”. Bohater tytułowy tego dramatu stracił majątek, a z nim wszystko: przyjaciół, honory, znaczenie. Pełen gniewu i rozpacz wybuchnie taką tyradą przytoczoną przez Marksa: „Cóż to jest złoto? Żółte i świejące, / Kosztowne złoto? / Toć odrobina jego zmienić zdolna / Czarne na białe, szpetne na urodne, / A złe na dobre, podłe na szlachetne, / Starość na młodość, tchórza na rycerza”, i kończy przekleństwem: „Przeklęty prochu, świata wszetecznico, / Ziarno niezgody między narodami”¹². Innym źródłem cytatów był Goethe, zwłaszcza jego *Faust*, gdy na przykład samopowielającą się wartość kapitału Marks porówna do szалу miłosnego opisanego przez Goethego¹³, czy gdy opisywać będzie dwie sprzeczne ze sobą dusze kapitalisty: jedną, która dąży do gromadzenia pieniędzy, drugą do używania¹⁴.

Inaczej Ferdinand Tönnies, przedstawiciel „socjologii humanistycznej”¹⁵ – on nie w literaturze, lecz filozofii Tomasza Hobbesa szuka argumentów i cytatów, a ten, jak pamiętamy, nie miał złudzeń co do człowieka. Wiedział, że jego istotą jest ciągle współzawodnictwo, ściganie się z innymi. „Zrezygnować z biegu – to umrzeć”, pisał, a jest to bieg także po uznanie dzięki zgromadzonemu bogactwu: „Czcigodne są też bogactwa jako znaki mocy, która je osiągnęła. I podarki, wydatki, wspaniałość domów czy strojów itp. są czcigodne jako znaki bogactwa”¹⁶. Tönnies, w swoim fundamentalnym dziele *Wspólnota i stowarzy-*

¹⁰ K. Marks, *Dziela*, t. 23, s. 335.

¹¹ *Ibidem*, s. 580.

¹² *Ibidem*, s. 551–552.

¹³ *Ibidem*, s. 226.

¹⁴ *Ibidem*, s. 708.

¹⁵ Zob. J. Szacki, *Historia myśli socjologicznej*, Warszawa 1981, s. 13.

¹⁶ R. Tokarczyk, *Hobbes*, Warszawa 1987, s. 256, 269.

szenie rozwój społeczeństwa dzieli na dwa etapy: komunistycznej wspólnoty (*Gemeinschaft*) i socjalistycznego stowarzyszenia (*Gesellschaft*). Może i ta pierwsza faza była szczęśliwsza, ale zmiana jest nieuchronna; proces jest „nieustającym postępem a zarazem upadkiem i przez to źródłem sprzeczności”¹⁷.

Pisał to w roku 1887, odwołując się często do Marksa, ale jego prognozy są inne:

Wielkie miasto i stan stowarzyszenia w ogóle oznaczają deprawację i śmierć ludu, który nadaremnie doszukuje się siły w swojej liczebności i wierzy, że tylko rewolta pozwoli mu uwolnić się od biedy. Nauka pobierana w szkołach i czerpana z gazet daje masom uświadomienie. Zyskana świadomość klasowa prowadzi do walki klasowej. Walka klasowa niszczy stowarzyszenie i państwo, które chce przebudować. A ponieważ cała kultura uosobiona jest w cywilizacji stowarzyszenia i państwa, przewrót taki oznacza koniec kultury¹⁸.

Jak dla wspólnoty charakterystyczna jest wieś, ziemia, wola naturalna; tak dla stowarzyszenia – miasto, pieniądz, wola arbitralna. Ostatni etap, który jego zdaniem czeka nas jeszcze – mimo wspomnianych perturbacji wywołanych walką klasową – to „miasto-świat”. Jest ono tak zapowiadane: będzie to

miasto światowe, które jest ekstraktem nie tylko stowarzyszenia narodowego, ale wszystkich ludów, całego ‘świata’. Miasto światowe rozporządza nieskończone mocnym pieniądzem i kapitałem, może produkować towary i teorie naukowe dla całej kuli ziemskiej, ustanawiać prawa i opinie obowiązujące wszystkie narody. Miasto światowe reprezentuje światowy rynek i światową wymianę, w nim skupia się światowy przemysł, jego gazety czyta cały świat, do niego dążą ludzie ze wszystkich stron globu w poszukiwaniu pieniędzy i uciech [...]”¹⁹.

Dzisiaj nazywamy to globalizacją. Nowoczesne pojęcie pieniądza jako pewnej abstrakcji jest wytworem stowarzyszenia, a nie wspólnoty.

Pieniądz papierowy jest abstrakcyjną ideą, wytworzoną przez stowarzyszenie, które puszcza go w obieg, nadając mu określony kurs. Albowiem pojęcie wartości zawiera się w pojęciu stowarzyszenia jako konieczna treść jego woli²⁰.

Stowarzyszenie jest więc wytworem posiadaczy pieniądza, „istnieje ze względu na nich, jest ich narzędziem”²¹. Lichwa, budząca tak emocjonalny sprzeciw Marksa i Engelsa, tu jest po prostu normalną transakcją: sprzedażą pieniądza na kredyt²². „Obligacja jest towarem absolutnie doskonałym”²³, zapewniającym właścicielowi stałą przyjemność pobierania odsetek, a dodatkowo dającym poczucie władzy nad wierzycielem, który ma niby wolną wolę, ale jest ona znie-

¹⁷ F. Tönnies, *Wspólnota i stowarzyszenie. Rozprawa o komunizmie i socjalizmie jako empirycznych formach kultury*, przeł. M. Łukasiewicz, Warszawa 1988, s. 333.

¹⁸ *Ibidem* 327.

¹⁹ *Ibidem*, s. 323.

²⁰ *Ibidem*, s. 74–75.

²¹ *Ibidem*, s. 93.

²² *Ibidem*, s. 78.

²³ *Ibidem*, s. 79.

siona wolą arbitralną obligu²⁴. Niechęć do pieniądza, przeklinanie go jest więc wyrazem nieprzystosowania do współczesności, niezdolności do „biegu, który jest życiem”, jak twierdził Hobbes. Przeklęty przez Szekspira i Marksa Shylock ma rację.

Dziewiętnastowieczną myśl o pieniądzu kończy i podsumowuje Georg Simmel *Filozofią pieniądza* (1900). Podobnie jak Tönnies, daleki był od potępień. Wpisał pieniądz w swoją filozofię życia: istotą życia jest wymiana, ona rodzi wartość, a pieniądz jest „czystą formą wymienności”, „reifikacją ogólnej formy istnienia”²⁵. „Życie – pisze – odnalazło w pieniądzu zarówno działający nośnik, jak i symbol odzwierciedlający jego formę i dynamikę”²⁶. Wreszcie, to pieniądz wywołał dwie charakterystyczne cechy myśli nowoczesnej: zdolność do abstrakcji i relatywizm. „Rozwój intelektualnych zdolności abstrakcyjnych charakteryzuje czas, w którym pieniądz staje się coraz bardziej czystym symbolem, którego wartość właśnie jest nieistotna”²⁷; abstrakcja sprawiła, że pieniądz mógł stać się celem, bogiem, była o tym już mowa. Ale z drugiej strony, pieniądz prowadził do relatywizacji: „Im bardziej życie społeczeństwa zdominowane zostało przez gospodarkę pieniężną, tym silniej i wyraźniej w świadomości odciska się relatywistyczny charakter bytu” – pisze Simmel²⁸.

Daremnie więc szukalibyśmy u niego odwołań do literatury, chociaż sam był miłośnikiem jej i znawcą, skoro napisał książkę poświęconą Goethemu. Odwrotnie, to *Filozofia pieniądza* inspirowała pisarzy. Jeden przykład. Juliusz Kaden-Bandrowski był entuzjastą i propagatorem tej książki (choć Karol Irzykowski, inny, rzeczywisty, znawca Simmela, zgryźliwie mówił, że Kaden niewiele z tej książki zrozumiał: „Wnet jednak okazało się, co Kaden-Bandrowski wyrozumiał z Simmela: że wszystko na świecie, klęska, cnota, zbrodnia itp. mają swój wykładnik w pieniądzu. Czyli: jest świństwem”²⁹). Ostatni tom Kadenowskiego *Mateusza Bigdy*, z którego zachowały się tylko fragmenty, nosił tytuł *Jedwabny węzeł*, a tym węzłem ma być pieniądz i seks, wymiana pieniądza i seksu, tak Kaden widział swoją filozofię życia. Ale planował nowy cykl poświęcony roli pieniądza i miał on mieć tytuł *Białe skrzydła*, cykl przeciwstawiony napisanym wcześniej *Czarnym skrzydłom*. Jak zwykle, zapowiedziany jest ten cykl już we wcześniejszych powieściach, w *Mateuszu Bigdzie*, podobnie jak ten cykl zapowiedziany był *Czarnymi skrzydłami* i był ich kontynuacją. Już w pierwszym tomie *Mateusza Bigdy*, w *Grunie*, tym gruntem okazuje się pieniądz. Plenipotent Strzegorz objaśnia Deptule: „Można śmiało powiedzieć, że dziś dzięki ogromnej ekspan-

²⁴ *Ibidem*, s. 246.

²⁵ G. Simmel, *op. cit.*, s. 93.

²⁶ *Ibidem*, s. 488.

²⁷ *Ibidem*, s. 116.

²⁸ *Ibidem*, s. 487–488.

²⁹ K. Irzykowski, *Notatki z życia. Obserwacje i motywy*, Warszawa 1964, s. 307; podobnie na s. 426.

sji pieniądza, obalającej wszelkie przesady, kasty czy hierarchie, rzeczywiście – duch święty rządzi światem [...] Ach, pieniądz – to duch święty!”³⁰. W innym miejscu poseł Drażek mówi młodemu Kozie: jest pan młody i masz pan idee, ale

Dla mnie to już za późno. Mnie to już nie wypada. Ja już powinienem mieć ideę za sobą, odrobioną już dawno, a przy sobie mieć teraz siłę. Innymi słowy mnie wypada mieć teraz – forszę. Być bogatym. Mieć i posiadać – zupełnie, jak się patrzy. Inaczej nie da rady i inaczej nie da rady w żadnym sejmie³¹.

Z kolei lider socjalistyczny Mieniewski, pożyczając od Kostryniowej 40 tysięcy dolarów (na procent!), by założyć „Bank Robotniczy”, trzymając w ręku ten plik dolarów, wypowiada taką tyradę:

Ma tu pani przed sobą ów pot strasznej krainy naszej, krainy czarnych skrzydeł dymu, huku i śmierci. No więc – tak, no: kapitał. Kapitał ten nie tylko zapewni pani teraz najspokojniejszą egzystencję. [...] Kapitał ten, puszczony w obieg drogami pracy naszych wielkich demokratycznych organizatorów obiegu pieniężnego – przyczyni się chociażby tylko wedle swej sumy, do stopniowego rozwinięcia nad światem całkiem odmiennych, zapewniam panią, białych, srebrzystych skrzydeł...³²

Oczywiście, pieniądze te przepadną – i zostaną odzyskane przez seks: odda je zakochany w Kostryniowej Deptuła, tak Juliusz Kaden-Bandrowski widzi bowiem Simmlowski proces wymiany rządzącej życiem.

3. Mądrość ludowa o pieniądzu

Jeśli przyjąć za Tönniesem, że tak zwana mądrość ludowa związana jest z fazą wspólnoty, a nie z fazą stowarzyszenia, to jasne się staje, że trudno oczekiwać od niej nowoczesnego pojęcia pieniądza. Jego pojęcie będzie reliktem myślenia antycznego czy chrześcijańskiego. Jeśli więc Samuel Adalberg we wstępie do *Księgi przysłów polskich* (1894) pisał o filozofii i mądrości ludowej w nich zawartej, to Julian Krzyżanowski we wstępie do pierwszego tomu *Nowej księgi przysłów i wyrażeń przysłowiowych polskich* (1969) słusznie kwestionował ten sąd: tak zwana mądrość ludowa jest „skamieliną językową” urobioną z dawnych przekazów. Inna rzecz, że to przetworzenie dawnych przekazów kultury wysokiej przez kulturę ludową powraca w dzisiejszej kulturze zhomogenizowanej – synonimy pieniądza: „forsa”, „flota”, „kasiora” itd., pojawiają się na ulicy i w środkach masowego przekazu; tytuł tematycznego numeru „Dekady Literackiej” (2009, nr 1–2) brzmi *Forsa wprawia w ruch ten świat*, co jest dalekim echem Cycerońskiego *pecunia – nervus rerum*.

³⁰ J. Kaden-Bandrowski, *Grunt*, Kraków 1965, s. 140.

³¹ *Ibidem*, s. 210.

³² *Ibidem*, s. 267.

We wspomnianej *Nowej księdze przysłów* hasło „pieniądz” reprezentowane jest przez 163 przykłady, nie licząc wariantów³³. Niektóre przykłady są wersjami przysłów antycznych i średniowiecznych. Wspomniany w pierwszej części cytat z Horacego *virtus post nummos* znajdzie swój odpowiednik w przysłowiu „Pieniędzy pilniej niż cnoty” (120) i w siedmiu wariantach na ten temat. Słowa Wespazjana przytoczone przez Swetoniusza *pecunia non olet* – odpowiednik „Pieniądz nie śmierdzi” (84) i piętnaście innych wersji. Te przysłowia, tak jak dawne przykłady, można dzielić na oceniające i pragmatyczne, a dodatkowo na sprzeczne. Oceniające to na przykład takie: „Bodaj ten z piekła nie wyszedł, co pieniądze wymyślił” (5), „Lepszy człowiek bez pieniędzy niż pieniądze bez człowieka” (48), „Pieniądz to śmierć” (109), „Za pieniędzmi wszystko złe” (156) itd. Przysłowia o charakterze pragmatycznym mówią za Wespazjanem, że „Pieniądz nie śmierdzi” czy że „Pieniądze lica nie mają” (100), czyli że są pewną abstrakcją, która równie dobrze służy dobru jak i złu – i tych przysłów pragmatycznych jest najwięcej. Czytamy więc, że „Bez pieniędzy ani rusz” (1), „Człek bez pieniędzy jak ciało bez duszy: dusza precz, człek trup” (14), „Jak nie ma pieniędzy i barwnych kiecek, to z pewnością do grobu zanieś wianeczek” (21) itd. Ale są też przysłowia sprzeczne ze sobą, z jednej strony na przykład: „Na pieniądzach świat nie stoi” (63), z drugiej coś wręcz odwrotnego: „Pieniądz rządzi światem” (87). Z jednej strony „Pieniądze, skarby, dobre mienie minie, sława poćciwa, to na wieki słynie” (108), z drugiej: „Kto ma pieniądze, ma wszystko” (30) czy: „Nie imię, tylko pieniądze zdobią człowieka” (69).

Tak zwana mądrość ludowa dzieli z wszelką inną mądrością – także tą najbardziej wysublimowaną – ten sam los: zawierają one w sobie dostatecznie dużo sprzecznych racji, by móc dowieść słuszności każdego stanowiska, że pieniądz jest przekleństwem i że jest najwyższym dobrem, że jest szatanem i bogiem, śmiercią i życiem. Można ubolewać, że nie ma ostatecznej prawdy, można – jak Simmel – dowodzić, że to właśnie abstrakcyjny pieniądz wprowadził relatywizm, że jest czystą abstrakcją wymiany, a wymiana – to życie. Wymiana – czyli następstwo różnicy, bo któż wymieniałby to samo na to samo? A więc tak czy owak – światem rządzi dissens, jak dowodzą postmoderniści (np. François Lyotard), a nie konsens (jak dowodzi np. Jürgen Habermas). Pochwała pieniądza ma sens tylko na tle przekleństwa pieniądza i odwrotnie. Fundamentem jest różnica. Ale tej tezy, z przyczyn wyłożonych wyżej, także nie można traktować jako ostatecznej prawdy. Ostateczna prawda, gdyby istniała, nie wyzwalałaby, lecz zniewalała.

³³ J. Krzyżanowski, *Pieniądz*, [hasło w:] *Nowa księga przysłów i wyrażeń przysłowiowych polskich*, t. I–IV, Warszawa 1969. W dalszej części tekstu numeracja, która się pojawia, dotyczy numerów poszczególnych przysłów wspomnianego hasła.

ADRIAN MIANECKI
Uniwersytet Mikołaja Kopernika

O skarbach w wybranych podaniach ludowych

Zasadniczym celem niniejszego artykułu jest próba odpowiedzi na pytanie, dlaczego struktura świata przedstawionego (zwłaszcza w zakresie kreacji przestrzeni oraz typów postaci i rodzaju działań przez nie podejmowanych) popularnej grupy podań związanych z wątkami T 8010 *Udaremnione wydobyć skarbu* i T 8014 *Palące się pieniądze* (a w pewnym stopniu także z T 8012 *Diabelskie złoto* i T 8013 *Dziecko w zaklętym skarbcu*¹) zdaje się wyłamywać z reguł określających światopogląd tradycyjny (przede wszystkim fundamentalnej opozycji *orbis exterior*–*orbis interior* wraz ze wszystkimi niesionymi przez nią treściami), którego „oczekiwaną” realizację odnajdujemy w wielu innych podaniach. Ujmując to znacznie krócej: co sprawia, że wymienione przekazy różnią się, w opinii piszącego te słowa, od innych podań², będących zwykle w pełni koherentną aktualizacją owego szczególnego, ludowego oglądu rzeczywistości? Odpowiedź na to pytanie będzie wymagała wyjścia poza same przekazy, odwołania się do sfery symbolicznej i wierzeniowej charakterystycznej dla społeczności tradycyjnej, a więc uaktywnienia antropologicznego (lub historyczno-antropologicznego) poziomu interpretacji³. W żadnym razie nie jest naszą ambicją wieloaspektowa

¹ Numeracja wątków według: J. Krzyżanowski, *Polska bajka ludowa w układzie systematycznym*, t. 1–2, Wrocław 1962–1963.

² Nie podejmując się w tym miejscu z oczywistych powodów budowy pełnego wzorca gatunkowego właściwego podaniom ludowym, pozwalamy sobie odesłać zainteresowanych do podstawowych w tym zakresie prac: J. Hajduk, *Z życia ustnej tradycji podaniowej*, „Literatura Ludowa” 1974, nr 4/5; *eadem*, *Temat śpiącego wojska w folklorze polskim. Próba typologii*, Opole 1980; *eadem*, *Wstęp*, [w:] *Nie wszystko bajka. Polskie ludowe podania historyczne*, Warszawa 1983; D. Simonides, *Bajka i podanie jako podstawowe gatunki tradycyjnej prozy ludowej*, Zeszyty Naukowe Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Opolu, Historia Literatury V, Opole 1968; *eadem*, *Memorat i fabulat we współczesnej folklorystyce*, [w:] *Literatura popularna – folklor – język*, t. 2, red. W. Nawrocki, M. Waliński, Katowice 1981; *eadem*, *Nobilitacja podania wierzeniowego jako przedmiotu badań*, [w:] *Śląskie miscellanea. Literatura – folklor*, red. D. Simonides, J. Zaremba, Wrocław 1980; *eadem*, *Śląski horror. O diablach, skarbnikach, utopcach i innych strachach*, Katowice 1984; *eadem*, *Z zagadnień gatunków opowiadań ludowych*, Zeszyty Naukowe Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Opolu, Historia Literatury IX, Opole 1972.

³ Przesłanki teoretyczne dla tego sposobu ujęcia problemu zob. P. Kowalski, *Współczesny folklor i folklorystyka. O przedmiocie poznania w dzisiejszych badaniach folklorystycznych*, Wrocław 1990, zwłaszcza podrozdział *Folklorystyka i model systemowego poznania kultury*.

analiza zajmującej nas motywiki, uwzględniająca całokształt lub choćby poważną część materiałów zgromadzonych przez folklorystów, a jedynie próbą rekonstrukcji znaczenia pojedynczego motywu, występującego w tekstach w pewnym, naszym zdaniem dość zaskakującym, kontekście.

Jakkolwiek więc w poniższym szkicu interesować nas będzie nie tyle bogactwo w ogóle i sposoby jego uobecniania w folklorze, ile najbardziej chyba stereotypowe ujęcie skarbów jako pewnej ilości kruszcu czy pieniędzy zamkniętych w pojemniku lub pomieszczeniu, to jednak trudno pominąć milczeniem, iż tradycyjna literatura ludowa jest przepełniona motywami związanymi z najszerszej rozumianym dobrobytem. Wynika to po części z tego, że drogocенności – ich utrata lub zdobycie – to jeden z podstawowych sposobów wyrażania marzeń ludu, ale i projekcji moralnego ładu świata. W literaturze ustnej, pełniącej m.in. funkcję kompensacyjną, jak w soczewce można śledzić przemożną chęć zrzućenia, przynajmniej w sferze wyobraźni, pęt obezwładniającej nędzy materialnej. Jednocześnie w folklorze to właśnie dobry bohater (lub postać, z jaką słuchacze powinni się utożsamić) zdobywa pół królestwa, magiczną, w nieskończoność napełniającą się sakiewkę lub wciąż powracającego do kieszeni talara, wspierany jest przez zwierzęta wykonane z drogocennych kruszców, odnajduje złote jabłonie, wynosi z podziemi skrzynie napełnione klejnotami itd. Zły natomiast zostaje ostatecznie pozbawiony tych dóbr.

W jednej z najważniejszych prac poświęconych typologii folkloru polskiego, w partiach dotyczących teoretycznych podstaw wyodrębniania gatunków opowieści ludowych, Jolanta Ługowska pisała: „jeśli dla teoretyka literatury zajęcie się genologią jest wynikiem wyboru jednego z wielu pól badawczych literaturoznawstwa, to dla folklorysty »bycie genologiem« staje się warsztatową koniecznością”⁴. Dla naszych poszukiwań oznacza to, że omawiając na gruncie tradycyjnej twórczości słownej określony motyw, nie można tego czynić w oderwaniu od gatunku, w którym się on uobecnia. Innymi słowy – dany motyw może inaczej funkcjonować i co innego znaczyć (w sensie kulturowym) w zależności od gatunku narracji, co w rezultacie oznacza, że jego analiza powinna zawsze przebiegać w perspektywie poetyki przekazu zwykle determinowanej przez określony kontekst. To „genologiczne” warunkowanie naszej wyobraźni i sądów obecne jest po dziś dzień. Współcześnie – tak jak dawniej – istnieje duża grupa ludzi obdarzających całkowitym zaufaniem historii o spotkaniach człowieka z istotami demonicznymi, czego świadkami byliśmy np. jesienią 1999 r., kiedy, według zapewnień wielu, ulicami Ostrowa Wielkopolskiego przechadzał się diabeł, wypytując napotkanych przechodniów, która jest godzina, a otrzymawszy odpowiedź, mówił: „jutro o tej porze zginiesz”⁵, lub we wrześniu 2007, gdy trwo-

⁴ J. Ługowska, *W świecie ludowych opowiadań. Teksty, gatunki, intencje narracyjne*, Wrocław 1993, s. 23.

⁵ M. Galicki, *Szatan prasowy*, „Polityka” 9.10.1999.

gę w sercach okolicznych mieszkańców siał grasujący w podwąbrzeskich lasach wilkołak, „zżerający krowy w dziesięć minut”⁶. Ale nikt ze współczesnych – tak jak i raczej nikt z dawniej żyjących – nie opowie na poważnie historii o spotkaniu z, powiedzmy, złotą kaczka. Powód jest jeden: istoty demoniczne to postacie genetycznie związane z materiałem podaniowym prezentującym autentyczną sferę wierzeniową, natomiast złota kaczka, jakkolwiek też postać niezwykle, to bohaterka bajki, a więc narracji fikcyjnej, niezadłużającej się w „namacalnym” korelacie kulturowym.

Oczywiście to, co powiedzieliśmy, w żadnym razie nie oznacza, że określony gatunek folkloru generuje sobie tylko właściwy zestaw motywów. Na gruncie literatury oralnej jest to zupełnie niemożliwe z uwagi na wiele właściwości ją określających, zarówno dotyczących sposobu jej istnienia (kolektywności, wariantowości, sytuacyjności, spontaniczności, anonimowości itd.)⁷, jak i szczegółowych zasad budujących i organizujących poetykę przekazu ustnego, takich jak np. kontaminacja, a więc włączanie do danego utworu fragmentu lub całości innego⁸, czy transformacja gatunkowa sprawiająca, że określone fabuły i ich składowe pod wpływem różnorodnych czynników zmieniają swój status genologiczny⁹. Na ową „mobilność” motywów mają też ogromny wpływ zmiany zachodzące w obrębie badanej kultury¹⁰. Z drugiej strony, należy mieć na uwadze, iż poszczególne gatunki niejednokrotnie preferują określoną tematykę lub „mówią” nam o niej więcej (lub mniej), bardziej (lub mniej) wyczerpująco, w każdym razie – inaczej, wikłając ją w inne konteksty. Wszak obraz diabła w anegdotach ludowych i obraz diabła w podaniach – to jednak często dwa różne (mniejsza w tej chwili, w jakim stopniu) wizerunki; próba rekonstrukcji tradycyjnej demonologii ludowej – wróćmy do tego przykładu – oparta na materiale wyłącznie bajkowym doprowadziłaby do wyników nie do końca miarodajnych, a na pewno uboższych, ponieważ bajka zwykle pomija dużo z realnie istniejącej obyczajowości, w tym konkretnym wypadku: wiele informacji dotyczących zachowań mających na celu ochronę lub skuteczną walkę z istotą demoniczną (uobecnianych w podaniach). Spotykamy się tu z problemem chyba dotąd szerzej nie opisanym na gruncie polskim, mianowicie zakresu zjawiska „przepływu” motywów, tzn. czy jest tak,

⁶ M. Chylińska, *Noc wilkołaka nadejdzie wkrótce?*, „Nowości” 19.09.2007.

⁷ J. Bartmiński, *Folklor i jego wewnętrzne zróżnicowanie*, [w:] *idem, Folklor – język – poetyka*, Wrocław 1990.

⁸ J. Bartmiński, *Ludowy styl artystyczny*, [w:] *Encyklopedia kultury polskiej XX wieku*, t. 2. *Współczesny język polski*, red. J. Bartmiński, Wrocław 1993.

⁹ J. Hajduk-Nijakowska, *Transformacje gatunkowe w prozie folklorystycznej*, [w:] *Literatura popularna – folklor – język*, red. W. Nawrocki, M. Waliński, Katowice 1981.

¹⁰ J. Hajduk-Nijakowska, *Współczesne opowieści wierzeniowe*, [w:] *W co wierzymy?*, red. W. Pawluczuk, Łomża 2007; *eadem*, *Świat po Czarnobylu. Kulturowe kreowanie wyobrażeń na temat katastrofy*, [w:] *Czego się boimy?*, red. W. Pawluczuk, S. Zagórski, Łomża 2008; *eadem*, *Żywiół i forma. Folklorystyczne mechanizmy osławiania traumy*, Opole 2005, zwł. rozdz. *Człowiek wobec żywiółów i folklorystyczne mechanizmy osławiania traumy popowodziowej*.

że folklor, wyobrażenia ludu, znajdującego się w określonym momencie historycznym, dopuszcza pełną wolność wymiany i uobecniania motywów, które genetycznie, genologicznie, kulturowo wreszcie właściwe są poszczególnym typom i gatunkom opowieści (jeśli takie w ogóle istnieją), czy też są jakieś granice omawianej wymienności? Odpowiedzi na to pytanie nie potrafimy udzielić, ale gdyby istniały jakieś ograniczenia, to naturalna byłaby próba opisanie, jakie motywy przypisane jednemu gatunkowi pojawiają się w innym i co jest tego przyczyną – a więc ukazanie sieci powiązań i uwikłań każdego objawiającego się w folklorze elementu z całokształtem kultury ludowej. Z oczywistych względów trudno jednak liczyć, by tego rodzaju opracowanie szybko powstało¹¹. Powróćmy zatem do głównego wątku rozważań.

Motywów wykonanych ze złota jest w bajce prawdziwy bezlik – złote zamki i pałace, złote postacie i zwierzęta, złote przedmioty i rośliny. Nie jest to w gruncie rzeczy bardzo zaskakujące: bajka dzieje się „dawno, dawno temu”, „za górami, za lasami”, a więc w myśl światopoglądu tradycyjnego w zaświatach, strefie poza granicami ludzkiego, uporządkowanego świata, w którym wszystko jest lub może być nadzwyczajne i cudowne. Tradycja takiego ujmowania zaświatów (wykorzystywania tego kruszcu lub barwy w kreacji rzeczywistości przedstawionej) jest w kulturze europejskiej bardzo stara, czego świadectwem jest znana historia o królu Minosie czy staroskandynawska *Edda poetycka*, ukazująca siedzibę boskich Asów w dolinie Idavell, w której wszystko było ze złota. Także tytułowy motyw skarbów występuje często, ale, co zwraca uwagę, są one zdobywane przez główną postać fabuły poniekąd przy okazji, jako nagroda za dokonanie heroicznych czynów i wypełnienie określonych zadań. Ich zdobycie jest swoistym przypieczętowaniem ostatecznego zwycięstwa postaci głównej i nie ma szczególnego wymiaru aksjologicznego, tzn. droga do nich wiodąca (sposoby osiągnięcia wspomnianego sukcesu, którego miarą jest napełnienie sakiewki) niekoniecznie musi wieść przez postępowanie w każdym calu cnotliwe i zgodne z poczuciem moralności – nawet tradycyjnym, które niejednokrotnie ma niewiele wspólnego z etyką chrześcijańską. Nieco inaczej jest w legendzie, w której skarby występują rzadziej (co nie jest tu bez znaczenia, jeśli będziemy pamiętać, że legenda to gatunek opowieści obdarzanych wiarą w ich prawdziwość), a ich zdobycie lub utrata zawsze ma wymiar etyczny i dydaktyczny; jest nagrodą lub karą za dobre (lub złe) czyny i intencje, co pozwala odbiorcom tych fabuł wyciągnąć umoralniającą naukę na temat jakiegoś aspektu ludzkiej egzystencji i zachęcić do wcielenia jej w życie. Dokumentuje to np. nawiązujący do opowieści o kwiecie paproci wątek T 763A *Śmierć pod ciężarem złota*, w którym bohater, krytykujący Boga za niesprawiedliwość, odnajduje w noc świętojańską skarb, gubi go jednak

¹¹ Co nie zmienia faktu, że powstają prace podejmujące trud takiego systemowego opisu kultury tradycyjnej. Należą tu w pierwszej kolejności lubelski *Słownik stereotypów i symboli ludowych* oraz inicjatywy P. Kowalskiego – *Leksykon. Znaki świata. Omen, przesąd, znaczenie* oraz serie *Stromata Anthropologica* i *Colloquia Anthropologica et Communicativa*.

zachłanność – ginie pod ciężarem znalezionych monet; T 763 *Skarb gubi tych, co go znaleźli*, w jakim bohaterowie lekceważą ostrzeżenie pustelnika i przywłaszczają sobie znalezione pieniądze, ale ogarnięci chciwością pozbawiają się sobie wzajemnie życia; T 750D *Pan Bóg gościem* i T 750G *Król nocuje u biedaka*, opowiadające o tym, jak to Bóg lub król w przebraniu dziada starali się o gościnę u bogacza i biedaka, a znajdując schronienie tylko u ubogiego gospodarza, nagrodzili go majątkiem. To ostatnie wiąże się z faktem, iż w legendzie „szlachetność prezentowanej postaci jest [...] na ogół odwrotnie proporcjonalna do wielkości posiadanego przez nią majątku”¹².

I tu jednak, podobnie jak w bajce, skarby nie są zwykle celem działań postaci – to tylko pewna figura, środek perswazji mający przekonać słuchających, że najzwyczajniej opłaca się być dobrym. Z najciekawszym i najbardziej plastycznym ujęciem tytułowego motywu spotkamy się jednak w podaniach. Wynika to między innymi stąd, że „skarby w garncu” to zwykle czynnik motoryczny tego typu fabuły, podstawowy cel poczyną bohatera, a przy tym element różnorodnie kształtowany i osadzany w kontekstach bardzo charakterystycznych dla światopoglądu tradycyjnego. Dwa przykłady:

Jeden [utopiec] mieszkoł tu w tym dole wele drogi, a jakby przechodzowoł wto w nocy a nie przeżegnoł sie, to wom go smykoł jak tego starego Sikory co sie roz gdziesik ożarł na gorzole i zapomniół sie przeżegnać. Zasmyczył go na te groble wele stawu a jak sie rano obudził, to nad studnią leżoł i o włos nie wpodł.

Roz też ten stary Sikora w nocy jechoł ze swoim chuderlawym koniem i fura zostawił, a mały człowieczek piyknie go prosił, żeby go przekludził. Sikora wziął jego graty na fura i przekludził go z przykopy wele stawu hen na łąki. Człowiek mu pięknie podziękowoł i nasypoł mu pełno czopka złotych. Stary Sikora tak okropnie sie radowoł, że se jutro zaś chroboka zaleje, prędko wrócił do domu, ani z babą nie robił ostudy, jeno szedł spać. Jak sie rano obudził i zajrzoł do czopki, zamiast pełno złotych, w czopce miół pełno kobielinców¹³.

Chłop z pewnej wsi pod Bytowem szedł przez swoje pole. Po drodze spotkał diabła, który powiedział do niego: „Wszystko, co znajdziesz na drodze, weź ze sobą, a wyjdzie ci to na dobre”. Wkrótce chłop zobaczył dwie kupki ludzkich odchodów. Przeszedł obok nich bez uwagi i dopiero przeszedłszy milę zawrócił i powędrował do domu z powrotem. Znalazł już tylko jedną kupkę. Podniósł ją w chusteczce i zaniósł do domu. Nieczystości przemieniły się wkrótce w czyste złoto¹⁴.

¹² E. Ferfecka, *Struktura świata przedstawionego polskiej legendy ludowej*, Toruń 2000, s. 22, komputeropis pracy doktorskiej napisanej pod kierunkiem J.M. Kasjana, recenzenci J. Ługowska, A. Staniszewski. Dziękuję autorce za możliwość skorzystania z jej, niepublikowanej dotąd, pracy. O umoralniających i dydaktycznych funkcjach legendy zob. E. Kosowska, *Legenda. Kanon i transformacje. Św. Jerzy w polskiej kulturze ludowej*, Wrocław 1985; A.E. Woźniak, *Podanie i legenda. Z badań nad rosyjską prozą ludową*, Lublin 1988.

¹³ *Gadka za gadką. 300 podań, bajek i anegdot z Górnego Śląska*, zeb. i oprac. D. Simonides, J. Ligęza, Opole 1975, s. 58–59; Antonina Piasecka (ur. w 1901 r.), Rydułtowy, pow. Wodzisław Śląski.

¹⁴ W. Łysiak, *Diabelskie sprawy. Podania, legendy i bajki z Pomorza Zachodniego*, Międzychód 1998, s. 113, nr 201, *Diabeł obdarowuje chłopca*. Źródło: *Sagen und Shnurren aus Ostpommern*, „Ostpommersche heima. Beilage der Zeitung für Ostpommern” 1930, nr 26, s. 1, *Der Teufel beschenkt einen Bauern*.

Jak wiadomo, jednym z fundamentów światopoglądu tradycyjnego jest heterogeniczne traktowanie przestrzeni, a ściślej biorąc – dzielenie jej na dwie podstawowe części: świat oswojony, ludzki, bezpieczny, z wyraźnie określonym centrum, w którym panują prawa zgodne z porządkiem boskim, i leżący poza granicami człowieczej ekumeny świat obcy, znajdujący się we władzy istot złych, demonicznych, pozbawiony jakichkolwiek punktów orientacyjnych (a więc m.in. porządkującego przestrzeń centrum), świat rządzący się prawami odwrotnymi do tych określających „naszą” rzeczywistość. Transformacja, jakiej podlegają skarby w przywołanych narracjach – niezmiernie często spotykana w folklorze – jest więc prostą konsekwencją owego szczególnego, archaicznego oglądu otaczającego świata: to, co „tam” – na pustkowiu, w zaświatach – jest cennym skarbem, w świecie „naszym” jest bezwartościowe, ale jednocześnie śmieci pochodzące ze sfery poza granicami uporządkowanego Kosmosu, demonicznej, „u nas” stają się drogocенnościami. Wspomniany podział przestrzeni, co wielokrotnie już opisywano, jest ważnym elementem dualistycznego światopoglądu kosmicznego właściwego społecznościom tradycyjnym. Ów światopogląd sprawia, że cała rzeczywistość postrzegana czy opisywana jest przez pary opozycyjnych jakości układających się w dwa paralelne, choć biegunowo różnie waloryzowane, łańcuchy symboliczno-skojarzeniowe. Zdecydowanie pozytywnie wartościowane są np.: Bóg, swoje, ludzkie, góra, życie, Słońce, ogień, dzień, hałas, prawe, męskie, starość; zdecydowanie negatywnie zaś: Diabeł, obce, demoniczne, dół, śmierć, Księżyc, woda, noc, cisza, lewe, żeńskie, młodość. Przypominamy o tych dość oczywistych na gruncie kulturoznawstwa sprawach z jednego powodu: otóż istnieje bardzo popularna grupa podań, która na pierwszy rzut oka zdaje się wyłamywać z tego dychotomicznego sposobu porządkowania świata, a tym samym zaprzeczać temu, co wiemy o tradycyjnej wierzeniowości i jej bezpośredniej projekcji – o folklorze. Najpierw kilka przykładów:

Przy drodze z Buszyna do Podgór leży głęboki wąwóz. W nim jest ukryty skarb. W określonym czasie nocami, między jedenastą a dwunastą godziną, płonie tam skarb. Wówczas nad tym miejscem można zobaczyć jasne płomienie. Ten kto zbliży się tam w milczeniu i rzuci do ognia jakiś przedmiot, następnego dnia będzie mógł wyjąć sobie ten skarb. Ale diabeł na wszelkie sposoby usiłuje w tym przeszkodzić i zmusić człowieka do mówienia. Dawno temu już zmarły chłop z Buszyna próbował wydobyć ten skarb, lecz nie zachował milczenia. Dlatego jego próba się nie powiedziała¹⁵.

Koło Karzcina dawniej rósł dąb, którego pień obumarł. Ten pień był wewnątrz pusty. W tej dziupli często paliły się pieniądze, których pilnował straszliwy pies. To był sam diabeł. Kiedyś ktoś wrzucił do środka swój pantofel, ale strażnik skarbu odrzucił go z powrotem¹⁶.

¹⁵ *Ibidem*, s. 103, nr 180, *Skarb koło Buszyna*. Źródło: K. Rosenow, *Sagen des Kreises Schlanen*, Darłowo 1927, s. 107, *Der Schatz In der Matteskuhle bei Bussin*.

¹⁶ *Ibidem*, s. 103, nr 181, *Skarb w wydrążonym dębie*. Źródło: O. Knoop, *Volkswagen, Erzählungen, Aberglauben, Gebräuche und Märchen aus dem östlichen Hinterpommern*, Poznań 1885, s. 73, *Der Schatz In der chochle Eiche*.

Dziewczyna, która służyła u chłopca w Brzeźniaku, gdy późnym wieczorem wracała do domu z pracy na polu, wśród pagórków porośniętych krzakami nad brzegiem strumienia zobaczyła skaczące w górę i w dół światelko. Ogień taki wskazywał, że w pobliżu palą się pieniądze. Taki skarb można wydobyć tylko, gdy wrzuci się do niego drewniany but. Nie można się lękać i czegokolwiek powiedzieć, a wówczas wszystko się uda.

Punktualnie o jedenastej była na miejscu. Pod krzakiem znalazła nieckowate zagłębienie, w którym osobliwym blaskiem żarzyły się węgle. Skaczące światelko rozchodziło się na wszystkie strony. Już chciała podnieść pantofel i wrzucić go w ogień, gdy koło dołu zobaczyła mężczyznę. Po końskim kopycie i kogucich piórach rozpoznała diabła. Pozdrowił ją przyjacielsko: „Dobry wieczór!” i zaczął mieszać w węglach. Dziewczyna nie odpowiedziała, wiedziała bowiem, że węgle są samymi błyszczącymi sztukami złota. Jej chciwość wzrosła i znowu zabrała się, by wykonać ostateczny rzut. Diabeł zwrócił ku niej swe oblicze, tak straszne i przerażające, jakby chciał ją pożreć. Także tym razem pozostała nieustraszona i milcząca. Nagle zobaczyła nadciągającą furę siana. Zaprzężona była do niej para myszy, a diabeł powoził. To zjawisko wydało się jej tak zabawne, że zaczęła się śmiać. Natychmiast pojazd, diabeł i ogień przepadły. Głuchy łoskot zdradził, że pieniądze pograżyły się w otchłani¹⁷.

W zasadzie na każdym poziomie konstrukcji świata przedstawionego tych podań odnajdujemy elementy, które w sensie symboliczno-religijnym są sprzeczne do tego stopnia, że narracje te sprawiają wrażenie konglomeratów luźnych motywów, które zostały połączone w całość w sposób zupełnie przypadkowy przez mało uzdolnionego i słabo znającego tradycję gawędziarza. Jednak niezmierna popularność tego wątku w folklorze polskim skłania do podjęcia próby odnalezienia jakiegoś porządku w tym chaosie. Zaczniemy od owych sprzeczności¹⁸.

Pustkowie, na którym toczy się zazwyczaj akcja podań, jest przestrzenią nieorientowaną, amorficzną, sferą, w której człowiek błądzi, narażając się na spotkanie ze śmiertelnie groźnymi demonami. W omawianych przekazach dobitnie akcentowana jest jednak obecność drzewa, przy którym (lub wprost w nim) został ukryty skarb. Najczęściej jest to po prostu „jakieś” drzewo, ale bywa wspomniany też jego gatunek – zwykle dąb lub lipa, czasami jesion, leszczyna lub wierzba. Jeśli nie ma mowy o drzewie, pojawia się wzmianka o kamieniu albo pagórku. W porządku mitycznym, tak charakterystycznym dla myślenia archaicznego, motywy drzewa, kamienia i góry oznaczają zawsze wytyczenie centrum; z niego wyprowadzane są kierunki świata, a tym samym uporządkowany, oswojony i przynależący do sfery ludzkiej Kosmos. Wymienione drzewa (zwłaszcza dąb i lipa) mają bardzo szczególne sakralne (i pozytywne!) znaczenie, wywodzące się jeszcze z czasów pogańskich, kiedy otaczano je powszechną czcią – miejsca,

¹⁷ *Ibidem*, s. 104, nr 183, *O płonących pieniądzach*. Źródło: A. Haas, O. Knoop, *Neue Volks-sagen aus Pommern*, „Blätter für Pommersche Volkskunde” 1900, nr 4, s. 52, *Vom Geldluttern*.

¹⁸ W poniższej analizie symboliczno-religijnej elementów struktury świata podań opieram się na ustaleniach Piotra Kowalskiego, *Leksykon. Znaki świata. Omen, przesąd, znaczenie*, Warszawa 1998. Zob. zwł. hasła: *Apotropaeion*, *Brzoza*, *Centrum*, *Cisza/hałas*, *Dąb*, *Dom*, *Drzewo*, *Dym*, *Góra*, *Granica*, *Jabłoń*, *Jajko*, *Jaskinia*, *Jesion*, *Kalectwo*, *Kamień*, *Kierunek*, *Kolor*, *Komin*, *Leszczyna*, *Lipa*, *Obcy*, *Ogień*, *Piec*, *Piorun*, *Pomyłka w obrzędzie*, *Popiół*, *Pustkowie*, *Wierzba*, *Źródło*.

w których rosną, są miejscami epifanii, otwarcia na świętość, umożliwiającymi przekroczenie rubieży świata śmiertelników, „zaspokojenie potrzeby poznania prawdy i stanowienie nowego ładu bądź odbudowywanie dawnego”¹⁹, niejednokrotnie miejscami obrzędów mających na celu zmianę statusu człowieka (jego ponowne „narodziny” w nowej sytuacji społecznej) lub stanu świata. Co więcej, ich symbolika ściśle wiąże się z siłami płodnościowymi, których źródła tkwią w podziemiach – warto tu podkreślić, że według niektórych narracji drzewa te znajdują się w sąsiedztwie bijących z głębin strumyków, a przede wszystkim w nieckach terenu, lub że skarby trzeba wydobyć spomiędzy ich korzeni (lub też same pojawiają się co jakiś czas na powierzchni), co tylko wzmacnia ich związek z podziemnymi mocami odpowiedzialnymi za cykliczne odnawianie życia. Koresponduje z tym przypisywanie omawianym drzewom wielu właściwości leczniczych – np. przeciągnięcie człowieka chorego przez dziuplę dębu oznaczało w sensie wierzeniowym jego odrodzenie, a więc przyjęcie postaci pozbawionej wszelkich skaz, w tym – choroby. Z tych samych powodów kojarzono też je z ogniskiem domowym i życiem rodzinnym (zwłaszcza lipę). W omawianych podaniach mamy więc *orbis exterior*, który ma centrum i ściśle wiąże się z siłami życiodajnymi.

Przedstawiony w podaniach ogień także jest w zasadzie motywem niespodziewanym, nie jest to bowiem błady ogień zwodzący zagubionych wędrowców na manowce ani pełgające ognisko zbójców, na jakich miał nieszczęście natrafić zdrożony podróżnik, lecz ogień – tradycja wyraźnie to podkreśla – o niebywałej jasności, intensywności i temperaturze. W płaszczyźnie symbolicznej jest to więc ogień wprowadzający boski (ludzki) porządek, związany z siłami solarnymi i właściwościami oczyszczającymi, a przez to przywołujący rzeczywistość kosmogoniczną – pierwszą i najświętszą, z której wszystko wyprowadza swój początek. Znamienne, że w podaniach ogień płonie przy drzewie (lub w dziupli drzewa), które – podobnie jak kamień i góra – w wielu religiach tradycyjnych jest obrazem, motywem reprezentującym strukturę czy organizację Wszechświata. Z ognia śmiałek wyciąga skarby i znosi je do domu, wbrew oczekiwaniom skarby te nie zmieniają się w bezwartościowe śmieci. Niekiedy nadmienia się, że poszukiwacz wyciąga rozżarzone węgle, ale ta przemiana (żar–skarby) nie ma walorów przemiany, jeśli można tak powiedzieć, antynomicznej, ponieważ zarówno ogień, jak i drogocенności znajdują się w tym samym szeregu pozytywnie konotowanych jakości, o jakich wspominaliśmy. Nie koniec jednak na tym: po powrocie do „naszego” świata domownicy stają się zamożni, ich życie ulega zasadniczemu przewartościowaniu, a więc następuje swoiste odrodzenie, przybierające postać całkowitej zmiany statusu społecznego rodziny śmiałka. Sporadycznie zdobyte skarby zostają ukryte, ale zwraca uwagę miejsce – jest to albo najbliższe sąsiedztwo pieca, a więc centralnego (znowu!) miejsca w domu, który

¹⁹ *Ibidem*, s. 78.

sam w sobie jest w wierzeniowości tradycyjnej „mikrokosmosem”, przestrzenią „najbardziej oswojoną”, a więc o najbardziej pozytywnym sakralnie nacechowaniu, dodatkowo tuż przy płomieniu (ponownie!), albo w stodole, czyli budynku, co może zaskakujące, dawniej religijnie mocno powiązanim z żywiołem ognia, czego ślady można znaleźć w średniowiecznych tekstach kościelnych piętnujących zachowania nawiązujące do pogańskiej czci ognia: „[wielu kapłanów] występowało przeciw czczeniu ognia w szczególności pod owinem, czyli miejscem gdzie suszono ziarno”²⁰. W podaniach mamy więc do czynienia najwyraźniej z ogniem kosmogonicznym, znajdującym się początkowo w centrum zaświatów, a później w środku Kosmosu, mającym moc rekreacji rzeczywistości, ale – nie mającym mocy odpędzenia siedzącego przy nim demona.

Postać diabła zamieszkującego pustkowie poza ekumeną jest motywem jak najbardziej na miejscu. Niemniej jednak, zdumiewa rola i otoczenie, w jakim jest ukazany. Nie sposób nie zauważyć, że diabeł pełni funkcję strażnika ognia, a przede wszystkim egzekutora szczególnego zachowania śmiałka, który podjął próbę zdobycia skarbów. Trudno mówić, by rola „egzaminatora”, jakkolwiek surowego, stawiała diabła w bezwzględnie negatywnej perspektywie, w jakiej zwykle jest ukazany w podaniach – o tym jednak za chwilę. Diabeł „nie powinien” też siedzieć przy dębie czy lipie, ponieważ są to niezwykle silne apotropeiony, zabezpieczające ludzi przed siłami nadzmysłowymi, a zwłaszcza „nie powinien” znieść blasku – i wszystkiego, co niesie on ze sobą w sensie symbolicznym – rzuconego przez omówiony ogień. Wydaje się więc, że motyw diabła jest genetycznie późny, być może powstał w wyniku prostej zbitki skojarzeniowej: ogień – piekło – diabeł, a konieczność wprowadzenia tej postaci do fabuł omawianego zespołu przekazów wyniknęła z potrzeby przekonującego (uprawdopodobnianie to zabieg znamieny dla poetyki podań ludowych) uzasadnienia szczególnych wymagań stawianych ludziom, którzy zdobyli się na odwagę sięgnięcia po skarby.

Co musi zrobić człowiek, by pojąć „skarb w garncu”? Przede wszystkim musi wykazać się pełną koncentracją na celu, absolutnym milczeniem i śmiertelną ciszą swych poczynąń. Przymiotnik, jakim się posłużyliśmy, nie jest przypadkowy, albowiem „cisza [...] należy do podstawowych (obok ciemności, bezruchu) metonimicznych przedstawień śmierci”²¹. Żaden dźwięk nie może dobrać się z jego gardła, nawet jeśli jest to tylko śmiech. Śmiech, mimo że to dźwięk nieartykułowany, przynależy do świata ludzi, a – najwyraźniej – trzeba wyzbyć się wszystkiego, co ludzkie, by sięgnąć w płomienie po skarby. Ogniewi trzeba złożyć ofiarę – może nią być choćby but, co zgodne jest z tradycyjną strukturą wszelkiej wymiany, która nie może mieć, jak powiedziałaby to Stanisław Lem, sumy niezerowej – zawsze, by coś uzyskać, trzeba coś dać w zamian (przywodzi to zresztą na myśl ogólną zasadę aktu kreacji – społeczności tradycyjne nie znają

²⁰ A. Gieysztor, *Mitologia słowiańska*, Warszawa 2006, s. 171.

²¹ P. Kowalski, *op. cit.*, s. 67.

tworzenia *ex nihilo*, na początku musi być jakiś materiał, substancja wyjściowa). But czy chodak nie są jednak ofiarami przypadkowymi – zdjęcie buta oznacza, że człowiek będzie utykał, a to na poziomie symbolicznym prowadzi nas ku kulawości i kalectwu, podstawowym atrybutom wszelkich istot demonicznych²². Te dwa elementy – cisza i kalectwo – prowadzą do wniosku, że człowiek musi wyprzeć się swej natury, musi przejść na stronę śmierci i sił demonicznych, by zdobyć skarby. Jednak tego rodzaju postępowanie jest uzasadnione jedynie w momentach zetknięcia się ludzi z najwyższym *sacrum* lub z najbardziej przełomowymi momentami w życiu. Najwyraźniej więc za tym tak przyziemnym motywem jak stos dukatów w kociołku kryje się głębsza treść.

Polisemiczność i palimpsestowość folkloru umożliwia wysunięcie na równych prawach kilku przypuszczeń dotyczących znaczenia symbolicznego „skarbów w garncu”. Wszystkie omówione dotąd motywy odnoszą się do najbardziej fundamentalnych aspektów religijności tradycyjnej. Zwraca uwagę, że na najbardziej podstawowym poziomie związane są one z siłami życiodajnymi, zapewniającymi płodność, a w porządku mitycznym – odrodzeniem świata, kosmogonią. Być może omówione podania wpisują się w topikę prometejską, ale nie dzięki recepcji tradycji literackiej, lecz dzięki wspólnemu, niezwykle archaicznemu dziedzictwu indoeuropejskiemu – zdobycie skarbów byłoby więc wtedy bardzo dalekim echem mitu o zdobyciu (wykradzeniu?) ognia. Strukturę świata przedstawionego tłumaczyć też można jako tekstową aktualizację schematu obrzędu inicjacyjnego – odnalezienie skarbów byłoby w takim wypadku fabularyzowanym wariantem osiągnięcia nowego statusu społecznego (a więc, według światopoglądu tradycyjnego, swoistego odrodzenia). Problem ten omawiano już na podstawie bajki magicznej, pomijając dotąd materiał podaniowy, o jakim przyjęło się myśleć – zwykle słusznie – że jest to repertuar odzwierciedlający przede wszystkim wierzeniowe „tu i teraz”, ale niekoniecznie sprzyjający przekazywaniu struktur długiego trwania²³. Jest jeszcze inna dopuszczalna wykładnia – być może w perspektywie historycznej motyw skarbów w kociołkach, glinianych garnkach i dzbanach, a więc złoto w, kolokwialnie rzecz ujmując, skorupach, zastąpił wyobrażenie znacznie bardziej archaiczne. Trop ten zdają się nasuwać trzy drobne przekazy: „Pewien chłop z Wrzącej słyszał, że w pewnym miejscu przy dębie palą się pieniądze, toteż chciał wydobyć ten skarb”²⁴; „Ziemia została stworzona

²² R. Ganszyniec, *Noszenie jednego buta w starożytności*, „Lud”, t. 37, 1947; J., R. Tomiccy, *Drzewo życia. Ludowa wizja świata i człowieka*, Warszawa 1975, s. 36.

²³ E. Mielecinski, *Poetyka mitu*, przeł. J. Dancygier, Warszawa 1981, s. 282; V. Wróblewska, *Inicjacyjny charakter baśni literackich*, [w:] *Z problemów prozy. Powieść inicjacyjna*, red. W. Gutowski, E. Owczarz, Toruń 2003.

²⁴ W. Łysiak, *Diabelskie sprawy*, s. 116, nr 207, *Diabelskie pieniądze ze wsi Wrząca*. Źródło: O. Knoop, *Allerhand Sherz, Neckereinen, Reime und Erzählungen über pommersche Orte und ihre Bewohner*, „Baltische Studien”, t. 35, 1885, s. 124–125.

z wielkiego jaja, które leżało na niebotycznym drzewie”²⁵, i jeszcze jeden, bardzo lapidarny, łączący przy tym oba powyższe obrazy: „W okolicy Żnina syn miotłarza znalazł w świętym gaju złote jaje i sprzedał je złotnikowi w Żninie, mieście wielkim i bogatym”²⁶. Mówiąc wprost: skarby to tak naprawdę pierwotnie jajo kosmiczne, a podania o zdobyciu złota (przynajmniej ich część) to pogłos pierwotnego słowiańskiego mitu kosmogonicznego. Mitu, który nie mógł przetrwać w swej oryginalnej wersji, bo utracił oparcie zarówno w systemie religijnym, jak i strukturze obrzędowej, ale przetrwał – wciąż popularny – choć ukryty w „ogrodzie nieplewionym” podań, z rzadka penetrowanym przez badaczy, przywdziewając szatę lokalnej codzienności wyrażającej się w pojawiających się nazwach lokalnych, nazwiskach bohaterów i opisach szczegółów topograficznych okolicy. Taka interpretacja tłumaczyłaby zarówno występowanie rozbudowanej symboliki związanej z płodnością i kosmogonią, szczególne zachowanie się poszukiwacza skarbów, który stykałby się z zarodkiem świata, jak i symboliczno-wierzeniowe sprzeczności w strukturze świata przedstawionego sprawiające, że omawiane narracje wydawały się całkowicie wyłamywać z poetyki „zwykłych” podań wierzeniowych czy historycznych. W pewnym sensie poszukiwacz skarbów byłby więc nie tyle podróżnikiem w przestrzeni, ile w czasie – cofającym się do chwili stworzenia Kosmosu. Jest więc może tak, iż jeśli na gruncie tradycyjnej kultury ludowej mówimy o skarbach, czyli „monetach, banknotach i innych środkach wymiany”, to tak naprawdę w ostatniej linii mówimy o narodzinach życia, siłach, które stworzyły świat, o najwyższej świętości uobecniającej się u zarania czasu, a więc – o początku wszechrzeczy.

²⁵ A. Petrow, *Lud ziemi dobrzyńskiej, jego charakter, mowa, zwyczaje, obrzędy, pieśni, przysłowia, zagadki itp.*, „Zbiór Wiadomości do Antropologii Krajowej”, t. 2, 1878, s. 125.

²⁶ W. Łysiak, *Diabeł Wenecki. Podania i bajki z Pałuk*, Międzychód 1997, s. 129, nr 182; *Złote jaje*. Źródło: E. Callier, *Słownik geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich*, t. 12, red. B. Chlebowski, Warszawa 1892, s. 63.

„Zdrowia, szczęścia powinszować”. Słowo i magiczna wymiana

W kulturze archaicznej kategoria prawdy nie miała zastosowania, bo w jej ramach nie dawało się ustalić zgodności sądu i stanu rzeczywistości. Nie można było tego dokonać, ponieważ słowa i język były w innej relacji do rzeczywistości: język był w pewnym sensie aspektem rzeczywistości i nie był w niej rozróżnialny. Nie można było zakładać możliwości odniesienia do dyskursu metonimiczno-przedmiotowego, Grice'owskich kategorii konwersacyjnych. A przecież jedynie gdy można mówić o zasadzie kooperacji, negocjowalności kodów i rozpoznania sytuacji komunikacyjnej, sens ma stosowanie arystotelesowskiej kategorii prawdy i fałszu czy rozprawianie o szczerości, bezpośredniości bądź ich braku czy konwencjonalności. Wymaga to także innego niż w kulturze magicznej zdefiniowania jednostki, wyodrębnienia jej, klasyfikowania itd.

Taki status języka o charakterze przedmiotowo-metonimicznym musiał pozostawać w związku ze specyficznym statusem jednostki, która z trudem zyskiwała „imienność”, wykraczała stopniowo ponad kolektywność, najpierw przez świadomość rodu, z czasem zaś wybijając się na jednostkową, egzystencjalną odrębność. Poświadczenia takiego stosunku do słowa, zwłaszcza tak szczególnego jak imię, znaleźć można w badaniach antropologicznych, w których analizując system nazewniczy kultur plemiennych, zauważono, że

Albo imiona własne już są operatorami klasowymi, albo przynoszą rozwiązania tymczasowe w oczekiwaniu na moment klasyfikacji, a więc zawsze reprezentują klasę na najniższym poziomie. W sytuacji skrajnej [...] są one już tylko środkami – chwilowo pozaklasowymi – kształtowania klas, albo też są cechami opartymi na logicznych możliwościach systemu, tzn. na jego zdolności dostarczania w stosownym czasie klasy temu, komu się ona należy¹.

Gdy milczące źródła epok najdawniejszych nie mogą zaoferować wiedzy pewnej na temat historii świadomości indywiduum, poszukiwać jej trzeba w świadectwach tkwiących w strukturach języka albo też utrwalone są w normach gatunków poezji oralnej, zwłaszcza tych przypisanych do zdarzeń o szczególnej dramaturgii.

¹ C. Lévi-Strauss, *Myśl nieoswojona*, przeł. A. Zajączkowski, Warszawa 2001, s. 263.

Lamentacja oznacza fenomenalny akt bycia „z drugim człowiekiem”. Człowiek oplakujący, była nim w kulturze ludowej kobieta, to ktoś przeprowadzający wspólnotę w inny wymiar. Człowiek ten to nie tylko swoiste medium między „tym” a „tamtym” światem, ale przede wszystkim ktoś, kto łączy wspólnotę żywych, do której zmarły już nie należy, która musi przewyciężyć pustkę po nim, ocalić wizerunek w zbiorowej pamięci. Zmarły przechodzi do pamięci wspólnoty, do jej snów i leków².

Lamentacje należą do kultury, która zaczyna dostrzegać odrębność jednostkowego losu, ale przecież wciąż w jej regułach – choćby w szczególnej roli kobiety – tkwi pamięć o zobowiązaniach innych, istotnych dla całej wspólnoty. To przecież o nią trzeba zadbać w pierwszej kolejności, przeprowadzić ją przez zabiegi puryfikacyjne, uporządkować po brutalnym wtargnięciu tego, co transgresywne, co wnosi chaos do bezpiecznej ekumeny. Oplakując zmarłego, dostrzega się potrzebę pożegnania, ale trudno rozstrzygnąć, jak ważna w tych działaniach pozostawała magiczna jednorodność słowa i działania, słowa przylegającego do rzeczywistości, nieoddzielonego jeszcze w ramach różnych zobowiązań życia praktycznego.

Dopiero gdy specyfikują się praktyki komunikacyjne, a jednostki zyskują określony status w strukturze społecznej, świadomość własnej odrębności, zaczynają się także gry o społeczne miejsce, hierarchizację, negocjowanie praw i podporządkowania... Wtedy też możliwe są takie działania, jak np. pochlebstwo, które

jest rodzajem umowy, niejawnej, zapisanej między wierszami, funkcjonującej wówczas, gdy ktoś schlebia, a ktoś inny na to przyzwala. Jeśli komuś pochlebiam, a on skwapliwie przyjmuje moje słowa za dobrą monetę, znaczy to, że w skrytości ducha godzi się powziąć o mnie lepszą opinię. Przymierze Boga z Izraelitami było wymianą, w której w zamian za oddawaną Mu przez Izraelitów cześć Bóg przyznał im wyższą pozycję w porządku wszechświata³.

Takie transakcyjne traktowanie relacji między Bogiem a człowiekiem, jakie rozwijało się, z czasem przybierając coraz bardziej skomplikowane kształty, a nawet w średniowiecznej myśli mieszczańskiej coraz bardziej arytmetycznego wymiaru (np. w postaci taryfy grzechów i odpowiednich za nie kar), jest zapisem relacji między ludźmi, a także relacji człowieka i reszty świata.

W kulturze o zróżnicowanych praktykach komunikacyjnych, wczesnonowoczesnej i nowożytnej, w świecie zdominowanym przez normy politycznej poprawności, a wcześniej przez zasady mieszczańskiej stosowności, życzenia kojarzą się wyłącznie z dwornym zachowaniem i układnym składaniem gratulacji, wręczaniem laurki czy konwencjonalnymi powinszowaniami. Konwenans wyznacza indeks sytuacji, w jakich dokonuje się takiej czynności, ale też wskazuje na

² R. Sulima, *Słowo i etos. Szkice o kulturze*, Kraków 1992, s. 83.

³ R. Stengel, *Dzieje pochlebstwa, czyli komplementy na sprzedaż*, przeł. M. Szubert, Warszawa 2002, s. 76.

jej zasadniczo „pozytywny” charakter. Nawet nie zakładając osiągnięcia dzięki życzeniom koniecznej zmiany w świecie, liczy się na to, że sprawi przyjemność adresatowi wypowiedzi.

W dyskursie magicznym życzenie-wypowiedziane słowo, towarzyszący mu gest, a czasem i rekwizyt, budują sytuację, w której dojść ma do zmiany – może to być również zmiana na gorsze dla adresata czy rzeczywistości. Rytuał słowny, którym się posługiwano, ma „charakter swoistej triady werbalno-przedmiotowo-akcjonalnej; w niektórych wypadkach ogranicza się do diady słowno-zachowania. O ludowych rytuałach słownych, takich jak klątwa, można powiedzieć, że są mówieniem-działaniem, któremu czasem towarzyszy użycie rekwizytów”⁴. Gwarancją skuteczności wypowiadanych słów jest zarówno wybrzmienie samej formuły, jak i zadbanie o to, by wszystko rozegrało się w okolicznościach bardzo precyzyjnie zdefiniowanych w ramach specyficznej magicznej wizji świata, w której

Słowo rozstrzyga o możliwości. Słowo jest aktem, postawą, stawianiem się na wezwanie, wykonywaniem mocy. W każdym słowie jest coś twórczego [...] Słowo zawsze jest czarem: budzi niebezpieczną lub dobroczynną moc. Kto wypowiada się, ten wywiera wpływ, lecz także się naraża. Dlatego nazwy są konieczne, ale i niebezpieczne [...] Słowo jest mocą decydującą. Kto wypowiada słowa, wprawia w ruch moce⁵.

Dzieje się tak, ponieważ

mowa magiczna zarówno symbolizuje to, do czego się semantycznie odnosi, jak jednocześnie pozostaje z symbolizowanym stanem rzeczy w stosunku przedmiotowo-metonicznym – wpływa nań przyczynowo lub jest jego częścią (w sensie fizycznym). Tak więc podmiot wypowiadając określone słowo nie tylko uświadamia sobie dany obiekt lub zjawisko („uobecnia” je niejako), ale równocześnie stara się nań oddziaływać⁶.

Działania magiczne są skuteczne w ramach kultury, gdzie osadzone są w takiej wizji świata, w której język i rzeczywistość nie podlegają zasadniczym różnieniom:

Zarówno myślenie typu magicznego, jak i mowa magiczna dzielą jedną generalną cechę: nie mają charakteru myślowo-refleksyjnego, ale raczej uobecniają zjawiska i są jednoczesną w nich partycypacją. Wartości realizowane w ramach mowy i działania magicznego należą przede wszystkim do porządku metoniczno-przedmiotowego i – jako takie – poddają się ludzkiemu oddziaływaniu⁷.

Życzenie – np. w postaci żądania opuszczenia ciała przez chorobę, która w nim „zamieszkała” czy raczej się zagnieżdżyła – pojawiało się często w ma-

⁴ A. Engelking, *Kłątwa. Rzecz o ludowej magii słowa*, Wrocław 2000, s. 68.

⁵ G. van der Leeuw, *Fenomenologia religii*, przeł. J. Prokopiuk, Warszawa 1978, s. 448–449.

⁶ M. Buchowski, W. Burszta, *O założeniach interpretacji antropologicznej*, Warszawa 1992, s. 39.

⁷ W. Burszta, *Język a kultura w myśli etnologicznej*, Wrocław 1986, s. 75.

gicznych procedurach leczniczych⁸. Najczęściej ma językową postać imperatywu, „strukturę wokatywno-imperatywną”, co skądinąd jest oczywiste, nawet wtedy, gdy wypowiedź nie ma takiej dokładnie formy gramatycznej (np. wołacza). Wystarczy však przywołanie nazwy, aby zakładać pojawienie się jej desygnatu na mocy relacji metonimiczno-przedmiotowych. Imperatywność opiera się więc na obecnym w akcie wypowiedzenia żądaniu: „Stań się!” czy optatywnym „niech”.

Życzenie jest elementem innych działań, w których części werbalnej aktu komunikacyjnego dominuje funkcja perlokucyjna, a adresatem nie musi być jedynie człowiek, lecz także antropomorfizowana natura czy np. pieczywo: „Rośnij chlebie, jak słońce na niebie”, „Bocian kiszka, przynieś mi braciszka”, „Biedronecko, leć do nieba, a przyslij mi kawałek chleba”, „Weź, myszko, ząb kościany, a daj mi żelazny!”⁹.

W praktykach słownych kultur ludowych sprawczość pojawiała się także nieintencjonalnie: samo wypowiedzenie „życzenia”, wydawać by się mogło zupełnie niewinne, „konwersacyjne”, może okazać się wystarczającym warunkiem, aby uruchomiony został proces zmian. Było tak we wspomnieniu o tym, co stało się, gdy pewna starsza kobieta na Podlasiu zadumała się nad perspektywą małżeństwa swego wnuka:

Była tu jedna panna, taka piękna! Tak mi się podobała, że ja zażyczyła: „Żeb ona była dla naszego Andrzejka! Jaki nasz Andrzejko dobry!” – chociaż ona miała narzeczonego. I jak tylko się zobaczyli, to się poženili!¹⁰

Najbardziej dramatyczne formy życzeń w kulturze magicznej, w tym również w synkretycznej kulturze ludowej odnaleźć można wśród działań przeciwko ludziom. Przyjmowały one postać wypowiedzeń „żądająco-życzących” oraz wypowiedzeń „zaklinająco-życzących”¹¹. Ich składnik werbalny przybierał najczęściej postać jednej z kilku podstawowych formuł performatywnych, np.: „bodaj ktoś kogoś skarał” („A bodaj Cię Pan Bóg skarał”, „Bogdaj Ci jasne słońeczko nie świeciło!”, „A bodaj ich cholera wydusiła”), „Bodajesz zdechł”, „A żebyś ty się w kamień obrócił”, „Żeby on spokoju nie zaznał”. Kłątwa mogą też być wypowiedzenia imperatywne: „Idź do chorobnika!”, „Będziesz się całe życie trzęsła czy będzie wiatr, czy nie”, „Wolałabym cię w trumnie widzieć niż z nią przy ołtarzu”¹².

Działania takie są ‘złorzeczeniami’ czy kłátwami, a więc życzeniami, które mają przynieść komuś (czemuś) szkodę. Idzie więc o sytuację klęcia, która

⁸ Zob. np. S. Czernik, *Trzy zorze dziewicze. Wśród zamawiań i zaklęć*, Łódź 1984.

⁹ Przykłady z A. Chudzik, *Mowne zachowania magiczne w ujęciu pragmatyczno-kognitywnym*, Kraków 2002.

¹⁰ Cyt. za A. Engelking, *op. cit.*, s. 91.

¹¹ *Ibidem*, s. 210–228. Przykłady z tejże pracy.

¹² Zob. np. W. Gaj-Piotrowski, *Kultura społeczna ludu z okolic Rozwadowa*, Wrocław 1967, s. 287–289.

słownikowo znaczy tyle co ‘złorzeczyć’, ‘przeklinać’, ‘źle życzyć’, *maledicere*, ale także blisko z tym powiązane funkcjonalnie ‘używać wyrazów obelżywych’; to także ‘wymyślać’ na kogoś w zdenerwowaniu, w gniewie.

Te ogólne mechanizmy w kulturze magicznej nabierają bardziej konkretnego znaczenia. Ów substytut działania – magiczny czy terapeutyczny – stanowi o samej istocie życzenia, zarówno dobrego, jak i złego. Ich rozumienie wymaga wskazania na legitymizację samej skuteczności:

ludowa wizja świata zna dwa rodzaje przekleństwa. Jedno [...] wiąże się ze stojącą na straży porządku i sprawiedliwości mocą boską i jest narzędziem słusznej kary wobec tych, którzy porządek ten naruszają. Jest rytuałem porządkującym świat. Drugie przekleństwo [...] wiąże się z przeciwnikiem Boga, z negatywnym biegunem sacrum, z siłami chaotyzującymi świat. Kto takie przekleństwo wypowiada, tym samym powołuje te siły do działania i sam oddaje się w ich władanie. Staje się przekleństwem¹³.

Terapeutyczny substytut działania w przypadku procedur życzeniowo-apatropicznych występuje wtedy, gdy wypowiedziane słowa czy wykonane gesty podejmowane były w sytuacjach, którym przypisywano walor graniczności. I tak, między nocą a dniem, świtaniem albo przed zaśnięciem, na granicy dnia i nocy, wygłaszano szczególne teksty – przypominały one modlitwę, odwoływały się niekiedy do wzorca modlitwy kanonicznej, ale jednak na *imprimatur* liczyć z całą pewnością nie mogły. Czesław Hernas, poszukując humanistycznej perspektywy interpretacyjnej, stwierdził, że samotne, ciche powtarzanie modlitewki czyniło z niej swoisty „słowo-trankwilizator” – środek psychologicznego wsparcia, ukojenia wobec lęków nadciągającej nocy i zagrożeń rozpoczynającego się dnia¹⁴. W kulturze magicznej uspokajanie wymagało raczej oparcia w środkach bardziej konkretnych, „rzeczywistych”, niż subtelna gra autosugestii. W świecie doświadczanym w całej jego ewidentności potrzebny był środek magicznej ochrony, apotropeion, który wyznaczyłby zaporę przeciw personalizowanym (czy animizowanym) lękom. Potrzebny jest amulet, talizman, słowo-przedmiot w funkcji performatywnej, modlitewka poprzedzana często bezpośrednim określeniem sposobu działania tekstu – „Kto ten pocióreczek mowio do świantego Mikołaja, / Nigdy w piekle nie postowo”:

Święty Mikołaju,
Mosz kluczyki z raju.
Zamknij komore psu wścieklemu,
Wilkowi leśnemu.
Aby bydłatek, cielątek nie drapali,
Krewki nie chlipali,

¹³ A. Engelking, *op. cit.*, s. 120.

¹⁴ C. Hernas, *Upadająca kultura*, Wstęp, [w:] F. Kotuła, *Znaki przeszłości. Odchodzące ślady zatrzymać w pamięci*, Warszawa 1976, s. 18–19. Zob. także A. Brzozowska-Krajka, *Miedzy magią a religią. O modlitewkach ludowych*, [w:] *Folklor – sacrum – religia*, red. J. Bartmiński, M. Jasińska-Wojtkowska, Lublin 1995.

Kości po boru, po lesie nie roznosili.
Przysła grzeszna dusza do rańskich wrót;
Zapukała w rańskie wrota.
Duszo, duszo, cego pukosz?
A bo mu Nojświętszo Panna dary obiecała.
Najświętszo Panienka siedzi za stolikiem,
Trzyma swego Synacka najmilejszego.
Na tem stoliku kielich stoi,
W ten kielichu krew niewinno,
Która z Baranka Bożego wypłynęła.
Wyganiajcie bydlątecka, cielątecka
Na zieloną łąkę:
Pod Pana Jezusa rękę,
Pod świętego Mikołaja loseckę,
Aby wilki krewki nie chlipały,
Kości po lesie nie roznosiły¹⁵.

Modlitewka ulokowana w czasie granicznym, w chwili przejścia między różnymi statusami, w stanie pośrednim, liminalnym¹⁶, zbudowana jest z zastosowaniem tak ważnej dla poetyki działań magicznych (i religijnych) „rytualnej funkcji powtórzenia”¹⁷. Zawiera także obrazy, które służą restytucji innej rzeczywistości, przywołania mitologicznych precedensów, „rzeczywistego” usytuowania świata przedstawionego (i jednocześnie tego pozatekstowego, w którym odbywa się akt wygłaszania modlitewki) *in illo tempore*. Mogą to być przywołania symboliki przedchrześcijańskiej albo fragmenty o wyraźnie apokryficznym charakterze. Dzięki umiejscowieniu w sferze graniczności, znajdowaniu się „pomiędzy”, a więc otwarcia na to, co transgresywne, tamten czas zostaje też nałożony na dzianie *hic et nunc*. Magiczna skuteczność modlitewki wynikała z performatywności samego aktu komunikacyjnego, który ma ontologicznie skomplikowaną naturę, jako że zdecydowanie wykracza poza werbalne powiadomienie, angażując w swoje działanie wiele elementów specyficznie definiowanej rzeczywistości. I tu pojawia się przypomnienie dawnych mechanizmów przedmiotowo-metonicznych: obraz zdarzeń, jakie nastąpiły w jakimś mitycznym początku (kosmiczny praoocean czy opowieść o Chrystusie), nie jest tylko przypomnieniem tamtych sytuacji, lecz ich „rzeczywistym” przywołaniem, aktualizacją tu i teraz. Gdy już w ten sposób są, utożsamiają się z aktualnym stanem rzeczy – są wszak

¹⁵ Modlitwa do św. Mikołaja zanotowana w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku w Rzeszowskim, F. Kotula, *op. cit.*, s. 373–374.

¹⁶ Zob. V. Turner, *Gry społeczne, pola i metafory. Symboliczne działanie w społeczeństwie*, przeł. W. Usakiewicz, Kraków 2005; *idem*, *Od rytuału do teatru. Powaga zabawy*, przeł. M. i J. Dziekanowie, Warszawa 2005.

¹⁷ J. Bartmiński zwraca uwagę na funkcję powtórzenia i ogólniej rytmu w poetyce sakrosfery jako swoistych odpowiedników tekstowych *sacrum* i sposobów jego przedstawiania. Zob. *idem*, *O rytualnej funkcji powtórzenia. Przyczynek do poetyki sacrum*, [w:] *idem*, *Folklor – język – poetyka*, Wrocław 1990.

teraz i odnosić się tym samym mogą do nieszczęśliwej sekwencji wypadków, którym trzeba zaradzić.

Przytoczone przykłady pochodzą z czasów nowożytnych – apokryficzne wątki i obrazy w nich zawarte wskazują na efekty procesu synkretyzacji kultury, związanej z rozdzielaniem się różnych domen komunikacyjnych i zmianą dominant w obrazie świata¹⁸. Konkurowanie wzorców, czasem wspierane instytucjonalnie (np. przez działania edukacyjne i cenzorskie Kościoła), wyraźnie z czasem upośledza rolę struktur symbolicznej eksplikacji świata, mimo wszystko jednak nie może jej wykluczyć. W kulturze ludowej co najmniej do XIX w. oba systemy eksplikacji świata w pewnym sensie równoważyły i koegzystowały, choć myślenie religijne i edukacja stopniowo spychały niekiedy myślenie magiczne do podziemia, do sfer nieoficjalności, działań grzesznych, a nawet przestępczych¹⁹.

Słowne zawłaszczanie świata dokonywało się jednak także i w obszarze działań religijnych. Można ślady takich przeświadczeń znaleźć u podstaw gestów prośbnych, ale i żądań adresowanych do Boga czy świętych, w negocjowaniu warunków boskiej interwencji przez modlitwy, obietnice, śluby, a ostatecznie – przez czynności (dary) o charakterze wotywnym²⁰. XIX-wieczni ludoznawcy w zwyczajach związanych ze świętowaniem Wielkanocy odnajdywali obecne według nich ślady wierzeń pogańskich, a w radosnych, wspólnych życzeniach chcieli widzieć relikty kultu słońca:

Pożywanie święconego jajka jest treścią, głównym symbolem obchodu, jak przy łamaniu opłatka na Wigilię kołędową, gospodarstwo częstuje nim każdego gościa, życząc szczęśliwego Alleluja i wszelkich pomyślności w życiu. Zwyczaj to starożytny, sięgający owych wieków, kiedy oddawano jeszcze cześć siłom natury [...] W wielu miejscach, gdzie nawet nie wiedzą o zwyczaju święconego, dzielą się jajkiem. Zdaje się, że ubóstwienie słońca było wspólnym wszystkim religiom; jaje, ten symbol życia w zarodku, składano na ofiarę promiennemu bogu²¹.

Dla Lucjana Siemieńskiego i współczesnych sprawa była oczywista – wielkanocne życzenia składane przy spożywaniu jajka są wciąż żywym reliktem najdawniejszych solarnych wierzeń, i choć straciły pierwotne sensy, oswojone, przemyślane i przepracowane przez Kościół, to nadal odgrywają ważną rolę integrującą wiejską społeczność i dodającą jej entuzjazmu, radości, mocy wital-

¹⁸ O koncepcji różnicowania społecznych praktyk komunikacyjnych zob. M. Buchowski, W.J. Burszta, *op. cit.*

¹⁹ Z. Libera, *Znachor w tradycjach ludowych i popularnych XIX–XX wieku*, Wrocław 2003.

²⁰ Wciąż aktualne pozostają pochodzące z lat dwudziestych ubiegłego stulecia ustalenia S. Czarnowskiego, *Religijność ludu polskiego*. Zob. studia empiryczne poświęcone religijności mirakularnej: H. Czachorowski, *Cuda, wizjonerzy i pielgrzymi. Studium religijności mirakularnej końca XX wieku w Polsce*, Warszawa 2003. Por. także P. Kowalski, *Prośba do Pana Boga. Rzecz o gestach wotywnych*, Wrocław 1994.

²¹ Z. Gloger, *Rok polski w życiu, tradycji i pieśni*, Warszawa 1900, s. 182.

nych itp. Dla XIX-wiecznych poetów i myślicieli, nawet krytycznie nastawionych do romantycznych mitologizacji współczesnego ludu, oczywiście wydawało się, że pewne wyobrażenia, zachowania czy teksty mają jeszcze przedchrześcijańską genealogię. Nawet Ryszard Berwiński, sceptycznie nastawiony do fascynacji mądrością ludową, wymieniał przykłady powtarzania się tego rodzaju sytuacji. Wyraźnie też wskazywał, iż na kształt aktualny literatury ludowej dominujący wpływ miał Kościół, przekształcając, adaptując, mieszając wątki i wyobrażenia zgodnie ze swoimi potrzebami doktrynalnymi i obyczajowo-politycznymi²². Badacz wyprowadzał stąd wnioski metodyczne dotyczące badań folkloru, wskazywał też na to, że ludoznawcze fascynacje dawnością zbyt często są bezkrytyczne i zideologizowane, zapośredniczone choćby przez niemiecką filozofię idealistyczną. A przecież należy wyraźnie podkreślić fakt historycznego nawarstwiania repertuaru i wyobrażeń spowodowanych agresywnym działaniem Kościoła, zwłaszcza zaś od czasów kontrreformacji. Przedchrześcijańska wyobraźnia według krytyka przekształcała się więc zgodnie z potrzebami doktryny i wpisywała – jak można powiedzieć, posługując się innym już językiem – w element dyskursu dominacji. Uruchomione niegdyś przekształcenia ludowej wyobraźni prowadziły do tworzenia się nowych mechanizmów wewnątrz kulturowych. Życzenia, które w kulturze magicznej w mniemaniu jej mieszkańców służyć mogły osiągnięciu praktycznych efektów, a więc do realnego przekształcania świata, coraz wyraźniej nabierały charakteru działań etykietałnych, wyczerpując swoje skutki na poziomie organizacji społecznej (np. jako element integracji czy stabilizowania społecznego ładu). Patrząc na XIX-wieczną kulturę ludową, krytyk nie miał wątpliwości: ani nie jest ona magiczna (co równało się dyskwalifikacji z uwagi na nielogiczność z punktu widzenia naukowego światopoglądu), ani też religijna czy racjonalna.

Życzenia i czynność ich składania w świecie synkretyzmu religijno-magicznego kultury ludowej najpełniejszą realizację zyskiwały w kilku najważniejszych świętach cyklu rocznego i cyklu życia człowieka. W różnej postaci obecne były w wielu praktykach, w których uchwytany jest komponent magiczny, takich jak leczenie, rzucanie uroków i odczynianie, ale też i działania produkcyjne.

Obrzędowość wigilijna dostarcza szczególnie wyrazistego materiału do określenia specyfiki magicznego składania życzeń. Zgodnie z poetyką świętowania i logiką rytu przejścia wszystko rozgrywa się w specyficznym zdefiniowanym czasoprzestrzeni. Święto jednak dzieje się w marginalnej fazie *rite de passage*, po dokonaniu czynności, które ostatecznie zawieszają normy codzienności. Dla Wigilii wskazać można wiele znaków zawieszenia – przed jej rozpoczęciem obowiązują wiele zakazów, których złamanie mogłoby przynieść niepożądane

²² R. Berwiński, *Studia o gusłach, czarach, zabobonach i przesądach ludowych*, t. 2, Poznań 1862, s. 210.

zmiany (z reglamentacją odwiedzin, zabronionymi czynnościami gospodarskimi itd.). Sygnałem rozpoczęcia samego święta jest pojawienie się na niebie pierwszej gwiazdy. Choć podejmowano próby historycznego uzasadnienia upamiętniającego znaczenia obserwacji nieba²³, wystarczy sięgnąć do logiki myślenia mitycznego – gdy możliwe staje się obserwowanie gwiazd, to można przypisać takiej sytuacji funkcje delimitacyjne: rozdzielenia dnia i nocy. Nie chodzi jednak o samo „zegarowe” porządkowanie, lecz o wyznaczenie granicy, jaką trzeba w pewnych sytuacjach przekraczać. Świat dzienny jest bowiem światem ekumeny, porządku, wyznaczonych kierunków, w którym każdy element rzeczywistości ma swoje jednoznacznie przypisane miejsce. To właśnie w takich okolicznościach sprawdza się skuteczność siatki taksonomicznej, jaka ogarnia wszystko, rozstrzygając o przynależności każdej istoty, zwierzęcia, rośliny, zjawiska do jednej tylko kategorii: można mieć tylko jedną definicję siebie. Noc znosi powinności taksonomii. To przecież czas mroku: nawet jeżeli nie jest on fizycznie aż tak głęboki, to symbolicznie noc, mrok i dalej – cisza należą do licznych przedstawień zaświatów, a więc także krainy śmierci. Zaświaty zaś stanowią swoistą odwróconą rzeczywistość, są zaprzeczeniem tego, co najbardziej podstawowe w świecie człowieka: ich porządek wydaje się antyporządkiem, jest chaosem, zawieszeniem ograniczeń ludzkiej kondycji. Człowiek w zetknięciu z takim zaświatem przeżywa traumę najgłębszą: nie może w nim się odnaleźć, pozostawiony bez przewodnika może tylko błądzić, pełen bezzadności oczekiwać na kogoś, kto wskaże drogę niczym owej dusza, co to „z ciała wyleciała na zielonej łące stała”. Bezkręś łąki także przywołuje przedstawienie krainy nieodróżnicowania, braku jakichkolwiek punktów orientacyjnych.

Czasoprzestrzeń obrzędu, co Wigilia plastycznie pokazuje, ma właśnie taki zaświatowy, wyłączony z porządku codzienności charakter. Wiele można przytaczać wykładników tej sytuacji: najpierw to gwiazdna delimitacja nocy, potem specyficzny dobór potraw, poczynając od nakazów postu i symboliki poszczególnych potraw bądź ich składników (np. grzyby, które pochodzą z lasu, obszaru niepokojącego i „chaotycznego”, w dodatku często pojawiają się nakazy ich zbierania o świtanie, na granicy między nocą i dniem). Są też sygnały mediacyjności, choćby potrawy, w których charakterystyce jest ułatwienie przejścia między światami (taką funkcję spełniał alkohol, te same znaczenia przypisane są mاکowi, którego halucynogenne właściwości znane były od wieków). Jeszcze jeden ważny element warto przytoczyć – oto zwierzęta zwykłe w tę niezwykłą noc rozmawiać ludzkim głosem. To oczywiście tylko skrót – nie o taką językową kompetencję chodzi, lecz raczej o to, że wszyscy – i zwierzęta, i ludzie – mówią tym samym głosem. Wszystkie podziały zostały zawieszone, świat cały znalazł się na powrót w stanie chaosu czy też może nieodróżnicowania, ład codzienny uległ czasowej destrukuralizacji.

²³ Zob. J. Włodarczyk, *Tajemnice gwiazdy betlejemskiej*, Warszawa 2005.

Oto zaczęła się noc, do której światła niebieskie przecież należą i zaczyna się misterium przemiany – bo przecież po powrocie z fazy marginalnej rytu przejścia, po powtórным przekroczeniu granicy między światami, znów musi obowiązywać ta zawieszona czasowo siatka taksonomiczna, choć świat, ludzie, zwierzęta będą już jakby nieco odmienieni – choćby przez to, że wszystko doznać powinno rewitalizacji, wypełnione mocami, które się zużyły w poprzednim cyklu rocznym.

Czym są życzenia składane w takich okolicznościach? Co mogą oznaczać, czego tak naprawdę dotyczyć? A przede wszystkim, na czym opiera się nie tylko nadzieja, przeświadczenie o ich skuteczności? Być może pytania te, postawione w odniesieniu do świąt, nazywanych także godami, bo przypadały przecież w chwili, gdy stary rok się kończył i narodzić się miał nowy (to oczywiście wyraźny punkt graniczny, osobliwy *limes*), w ogóle nie ma sensu. Choć nie wiadomo, kiedy pojawił się ani kiedy upowszechnił zwyczaj składania życzeń, w samej logice zdarzeń obrzędowych nie bardzo jest na nie miejsce (podobnie jak na ofiarowywanie prezentów w naszym znaczeniu).

Do niezwykłych właściwości czasoprzestrzeni obrzędu należy to, że zawieszone w niej są ograniczenia ludzkiej kondycji, a więc przede wszystkim wszelkie zróżnicowania, jakie organizują życie człowieka w jego codzienności. Taki stan rzeczy w społeczności nazywa się *communitas*. To swoista antystruktura, czasowe „zrównanie” wszystkich członków społeczności – w tym przypadku uczestników święta, tych, którzy razem zasiadają do wigilijnej wieszczy.

Raczej pierwotnie w czasie święta nie składa się sobie wzajemnie życzeń, ponieważ jego sensem jest troska o to, co wyłoni się z niego już po wyjściu z fazy marginalnej, po opuszczeniu czasoprzestrzeni obrzędowej – ma to być odnowiony świat, generalnie przemieniony, wypełniony energią itd. Gesty, jakie się wówczas wykonuje, służą więc nie jednostkom z osobna, lecz wszystkim. Niezwykła rola wśród tych gestów przypada, rzecz jasna, słowu, które „ciałem się stało”. Wynika to z samej istoty słowa w kulturze magicznej, słowa, które ma szczególną moc kreacyjną właśnie w trakcie trwania obrzędu. Działa tu wszakże ten sam mechanizm, jaki przedstawiony został w Księdze Rodzaju: Bóg rozdzielał poszczególne elementy chaosu, w samym raju, w towarzystwie Adama, nazywał zwierzęta i tym samym oddzielał je od siebie (Rdz 1, 1–31). To, co było niezróżnicowane, stawało się podzielone według zasad siatki taksonomicznej. Zostało zanurzone w czas, którego zresztą w samym obrzędzie także być nie powinno²⁴.

Życzenia, gesty życzliwości wobec innych współbiesiadników oczywiście musiały się pojawić. Zapewne trzeba byłoby w tym zobaczyć efekt stopniowego

²⁴ Zawieszenie ograniczeń ludzkiej kondycji, a więc przede wszystkim konsekwencji wpływającego czasu, charakteryzuje fazę marginalną obrzędów przejścia, jest też właściwością doświadczenia święta w znaczeniu religijnym, zob. ks. Z. Adamek, „*Bezczas*” w *teofanicznych obrazach Bożego Narodzenia*, [w:] *Z kołędą przez wieki. Kołеды w Polsce i w krajach słowiańskich*, red. T. Budrewicz, S. Kozia, J. Okoń, Tarnów 1996.

krystalizowania się świadomości odrębności jednostek, choć nie można zbyt wiele na ten temat powiedzieć. Życzenia składać warto, bo skoro z chaosu po święcie wyłonić się ma odnowiony świat, to w takich okolicznościach wygłoszone życzenie będzie musiało się sprawdzić. Nie przypadkiem wśród zaleceń towarzyszących świętu pojawia się także nakaz „czystych intencji”. To konsekwentne: szykując się do święta, należy wszak wyzbyć się wszystkiego, co ma moc dzielącą, różnicującą, tworzącą bariery złych emocji (warto zwrócić uwagę na to, że podobne oczekiwanie towarzyszyło moribundowi, człowiekowi przygotowującemu się na spotkanie ze śmiercią). Wejście w obrzęd bez rytu puryfikacyjnego, znoszącego ograniczenia codzienności, mogło wszak prowadzić do utrwalenia tych podziałów i przeniesienia ich do następnej fazy poświęceń. Gdy więc pojawiają się życzenia, muszą one być wygłaszane w takich właśnie okolicznościach: czystości intencji. Życzenia wpisują się wtedy w poetykę wymiany darów, wśród których jedyny, o jaki naprawdę warto się troszczyć, to właśnie słowo, reszta jest przecież konsekwencją posłużenia się nim w funkcji kreacyjnej. Nawet dzieciom (w kulturze tradycyjnej to oczywiste – może nawet trzeba byłoby powiedzieć: szczególnie dzieciom²⁵) prezentów się nie daje.

Kto jeszcze zatrudniony może być do składania życzeń, a być może – kto wcześniej miał uprawnienie do składania darów, wśród których słowom nadawano tak wysoką rangę? Najlepiej gdyby były to „osoby”, czy może raczej „istoty”, które bardziej przynależą do owej szczególnej czasoprzestrzeni obrzędu niż wszyscy inni uczestnicy. Taką rolę odgrywać mogą przybysze z zewnątrz, których albo przedstawia się w tekstach i są wtedy symbolicznie uobecnieni, albo też rzeczywiście pojawiają się w różnych osobliwych postaciach. W kulturze nowożytnej przybierają oni postać przebierańców, osobliwej grupy, wędrującej i przychodzącej do domostw nocą. Wśród nich są postaci znane z opowieści biblijnej, są upostaciowaniu obcy, jak dziwne stwory, hybrydy zwierzęco-ludzkie.

Życzenia i słowne dary, w zamian za dary bardziej wymierne, przekazywali kołędnicy. Same kołеды życzące, jak podkreślają badacze, oprócz takich działań jak błogosławieństwa, klątwy czy zamawiania, stanowiły szczególnego rodzaju, osadzone w precyzyjnie zdefiniowanych kontekstach wykonawczych, praktyki magiczne²⁶.

W ludowych obrzędach kołędowania²⁷ ważne miejsce zajmowały pieśni o charakterze znacznie odbiegającym od wyobrażeń Kościoła, część nawet z nich

²⁵ Status dziecka, zob. E. Nowina-Sroczyńska, *Przezroczyście ramiona ojca. Studium etnologiczne o magicznych dzieciach*, Łódź 1997.

²⁶ P. Caraman, *Obrzęd kołędowania u Słowian i Rumunów*, Kraków 1933.

²⁷ Kołеды i kołędowanie mają swoją obszerną literaturę, w której uporządkowano zarówno materię tekstową, jak i obrzędową. Badacze wskazują także na kilka różnych postaci kołędowania o charakterze życzącym (np. szczodraki i szczodrowanie, kołеды noworoczne, wielkanocne itd.). Koncentrując się na samej czynności składania życzeń, pomijam te oczywiste dla folklorystów odmienności. Zob. *Kołędowanie na Lubelszczyźnie*, red. J. Bartmiński, C. Hernas, Wrocław 1986;

budziła poważne wątpliwości i wywoływała działania represyjne. Jak można podejrzewać, w niewielkim stopniu przynosiło to oczekiwane efekty – dawny repertuar życzący i tak utrzymywał się długo w żywej tradycji, niekiedy poddawany pewnym chrystianizacyjnym obróbkom, bywało i tak, że to chrześcijaństwo, w tym zasoby tekstów śpiewanych, poddawały się folkloryzacji.

Pytanie o sens kolęd życzących znaleźć może rozwiązanie w macierzystym dla nich kontekście kultury magicznej²⁸, nie zaś przez odniesienie do kwestii teologicznych. Pieśni te wpisane były w serie działań osadzonych wśród gestów wykonywanych w granicznym momencie cyklu rocznego. Niepewność, jaka jest udziałem każdego człowieka, ale także całego Kosmosu, w takich chwilach wynika z faktu przechodzenia do nowego cyklu, znajdowania się w miejscu przełomu, kiedy stary rok już się zakończył, wyczerpał swoje moce, a nowy jeszcze się nie pojawił; nadzieja towarzysząca oczekiwaniu na nowe łączy się wtedy z lękiem o to, jakie to nowe będzie. Życzenia składane wtedy są tekstami i gestami, które mają się ziścić tak, jak spełniają się wróżby i przepowiednie. Słowo, nazwa, życzenie w takim momencie wypowiedziane stają się ciałem, bo właśnie wtedy, w punkcie początkowym, wszystko zaczyna zyskiwać trwałe kształty.

Oprócz repertuaru religijnego czy jasełkowego pojawia się wówczas kolęda życząca, opowiadająca o zbliżających się nowych dniach – różne grupy odbiorców, odpowiadające różnicowaniom zawodowym, stanowym czy płciowym, zostają w nich obdarowane słowami, które zapewnić mają powodzenie i szczęście.

Zakończenie każdej kolędy jest prawie zawsze życzeniem. Po skończeniu kolędy następują życzenia, jakby w celu wzmocnienia jej lub raczej wytłumaczenia i dopełnienia, idą one równolegle z tym, o czym mówi kolęda, streszczając „in abstracto” to, co nam kolęda przedstawiła „in concreto”. Tak więc w kolędzie dla gospodarza, która opiewa dom, gospodarstwo i pole, ukazując je w stanie najpomyślniejszym, zakończenie ma za przedmiot te same rzeczy [...] Tak samo w kolędach dla młodzieńca, które często opiewają małżeństwo bohatera, zakończenie będzie zawierało prawie zawsze życzenia szczęśliwego ożenku, oczywiście oprócz zwykłych życzeń zdrowia i szczęścia, które są wspólne wszystkim kolędom [...]”²⁹.

Opisany teatrzyk kolędowy wymagał już przekładu tego, o czym traktowały poszczególne pieśni, na język zrozumiały dla odbiorców. Świadczy to, że procedury symbolicznej interpretacji, a więc lekcja magicznego świata, dla większości audytorium były już niedostępne. Wygląda to tak, jakby po obejrzanym spektaklu wykonawcy, zabiegając o życzliwość widzów, opowiadali im przedstawienie, streszczając tak, aby kolędowe życzenia, jakim jest opis dobrobytu w gospodarstwie, przekształcić w formę pochlebstwa, chwalby, dobrze usposabiającej tych, których się odwiedziło. To już raczej sytuacja inscenizacyjna, bardziej o charakterze towarzyskiego spotkania niż przykład rzeczywistych działań performatyw-

Polskie kolędy ludowe. Antologia, zebrał, wstępem, komentarzami i przypisami opatrzył J. Bartmiński, Kraków 2002; *Z kolędą przez wieki...*

²⁸ H. Kapelański, *O turze zlatorogim. Szkice kolędowe*, Warszawa 1991.

²⁹ P. Caraman, *op. cit.*, s. 155–156.

nych, próby wpłynięcia na rzeczywistość. I dla samych kolędników, i dla całej reszty społeczności inscenizacja jest przede wszystkim kwestią posługiwania się specyficznym, wyodrębnionych w komunikacji społecznej i w ramach kulturowej kompetencji kodem teatralnym³⁰, nie zaś zdarzeniem obrzędowym o misteryjnym sensie. Uczestnictwo polega więc na doświadczeniu wspólnoty w znaczeniu „towarzyskim” i w dużym stopniu realizuje się w wymiarze ludycznym.

O czym więc traktują, czym są kolędy życzące?

Kolędy te pojawiały się w repertuarze wędrujących przez wsie kolędników-przebierańców, ale wykonywano teksty o tym charakterze nie tylko w okresie Godów, tzn. od Wigilii Bożego Narodzenia do święta Epifanii. Śpiewano podobne pieśni także w okresie wielkanocnym, a według o wiele skromniejszych informacji, jakimi dysponujemy współcześnie, także i w innych momentach przełomowych, kończenia i rozpoczynania nowego cyklu wegetacyjnego. W czasie przejściowym, a więc w owym momencie zawieszenia, chwilowego nieodróżnicowania, z którego na powrót wyłonić się mają kształty i porządek, między starym a nowym rokiem za pomocą odpowiednich słów i gestów starano się zadbać o to, by rozpoczynający się nowy czas obfitował we wszelakie dobra, by zbiory były dobre, ludzie zdrowi, zwierzęta chowały się z pożytkiem dla gospodarzy itd.:

Na szczęście, na zdrowie, na ten Nowy Rok,
Zeby się urodziła kapusta i groch,
Żyto jak koryto,
Owiesek jak pański piesek,
Tatarka jak pańska kucharka,
Rzepa jak nalepa,
Korpiele jak ruskie gordziele,
Zimioki jak grodkowskie chodoki,
Pszenica jak rękawica,
Żeby był snop przy snopie,
Kopa przy kopie.
Gospodarz między kopami,
Jak miesiąc między gwiazdami;
Żeby się wom rodziły bycki i cielicki,
Jako w lesie bucki i jedlicki³¹.

Przytoczony przykład wydaje się oczywisty: to kolęda adresowana do gospodarza, któremu życzy się powodzenia w rozpoczynającym się właśnie roku. Sama struktura, wykorzystane motywy, a nawet obrazowanie tego tekstu, a wielu innych w wyższym stopniu, wskazuje jednak na to, że przekaz nie był wcale

³⁰ Zob. E. Dąbrowska, *Teatr, jakiego nie znamy. Rzecz o śląskich inscenizacjach obrzędowych*, Opole 1989.

³¹ F. Kotuła, *Folklor słowny osobliwy Lasowiaków, Rzeszowiaków i Podgórczan*, Lublin 1969, s. 122–123. W innym tekście znanym powszechnie zobaczyć można te same tendencje: „Aby mu miły Bóg dał, na to lato, / Aby mu się waliło, kopa na kopę, / Brog na brog, stodoła na stodołę [...]”.

taki prosty i pierwotnie funkcjonował w ramach odmiennego dyskursu kulturowego, wymagającego stosowania innych procedur symbolicznej interpretacji. W oczy rzucają się dwie cechy życzeń: ich niezwykła konkretność, drobiazgowość wyliczenia inwentarza poświadczanych pożytków, a także – niezwykła hiperbolizacja, nadmiar w obrazie upragnionej obfitości dóbr. Choć w formie optatywnej ('niech') życzenie wyraźnie gra drobiazgowością przedstawienia, która wydaje się pozostałością po magicznej formule prezentacji stanu przyszłego (pożądanego), jako już istniejącego.

W Kieleckiem na przełomie XIX i XX w. w czasie odwiedzin kołędników usłyszeć można było kołędę adresowaną do panien:

A na onej górze
Stoi jabłonecka,
Hej, nam hej! Kołęda!
Na tej jabłonecce
Zielone listeczka
Przemądre kwiatecka
Hej, nam hej! Kołęda!
Na tej jabłonecce
Siedm jabłuszek było,
Hej, nam hej! Kołęda!
Co wiaterek puchnie,
To jabłusko buchnie.
Hej, nam hej! Kołęda!
A Marysia wstała,
Jabłka pozbierała.
Hej, nam hej! Kołęda!
A wstawajże, wstawaj,
Kasieniu do prawa,
Hej, nam hej! Kołęda!
A ka-z-ęści nam ty
Jabłuska podziała?
Hej, nam hej! Kołęda!

Tu następuje wyliczenie osób, którym dała po jabłku, mianowicie ojcu, matce, bratu, siostrze, ciotce, szóste jabłko dała temu, komu rozumiała, a siódme, powiada w piosence: „sobie tocnę (potoczę), sama na nim skocnę (skoczę)”³².

Jabłoń, drzewo, które rośnie na górze, panna, jabłuszka, które trafiają do różnych osób, wreszcie taka dziwna figura: sama panna sobie ostatnie jabłuszek potoczy, a nawet na nim skoczy, sugeruje skojarzenia osobliwie sformułowanych życzeń pomyślności. Brzmia tu przecież wyraźnie ślady symboliki erotycznej, wpisanej w uroczy, ale też nacechowany obraz świata z centralnie umieszczonym owocującym drzewem. A pytanie o to, gdzie panna podziała jabłuszka, w innych

³² Ks. W. Sierakowski, *Materiały do etnografii ludu polskiego z okolic Kielc*, do druku przygotowali L. Michalska-Bracha, K. Bracha, Kielce 2000, s. (24).

pieśniach brzmi niekiedy bardziej dramatycznie i odsyła do bardzo konkretnych zdarzeń.

Zapisany wielokrotnie i w różnych wariantach tekst *Złoty płużek* może dobrze zilustrować przechodzenie od tradycji magicznych do dyskursu religijnego:

Słuchaj gospodarzu; słuchaj gospodarzu,
Co ci opowiemy, czym cię ucieszymy.
Że na twoji roli, że na twoji roli
Złoty płużek stoi, złoty płużek stoi.
Aże przy tym płużku, ażę przy tym płużku
Cztery konie w cużku, na złotym łańcuszku.
Powstań, płużku, powstań; powstań, płużku, powstań,
Niech pośniadujemy, skibe uorzemy.
Od samego Lwowa, od samego Lwowa,
Aże do Krakowa, ażę do Krakowa.
A na tej skibeczce, a na tej skibeczce
Sto kopeczek stanie, sto kopeczek stanie.
Będiesz sobie chodził, będziesz sobie chodził
Między kopeczkami,
Jakoby miesiącek, jakoby miesiącek
Między gwiazdeczkami, między gwiazdeczkami.

I drugi wariant tej kolędy, w którym pojawiają się inne wątki, ilustrujące proces mieszania różnych porządków tekstowych i dyskursywnych:

Słuchajcie, gospodarzu; słuchajcie gospodarzu,
Co wam opowiemy, co wam opowiemy.
Że na twojej roli, że na twojej roli
Coś będziemy siali, coś będziemy siali.
Owies i pszeniczkę; owies i pszeniczkę,
Proso, kukuryczkę; proso, kukuryczkę.
Słuchajcie, gospodarzu, słuchajcie gospodarzu,
Co wam opowiemy, co wam opowiemy.
Że na twojej roli, że na twojej roli
Złoty płużek stoi, złoty płużek stoi.
A za tym płużeczkiem, a za tym płużeczkiem
Święty Józef chodzi, święty Józef chodzi.
Najświętsza Panienka; Najświętsza Panienka
Ze śniadaniem bieży, ze śniadaniem bieży.
Józefie, nie orajcie, Józefie nie orajcie,
Siąǳcie, pośniadajcie; siąǳcie, pośniadajcie.
Śniadać nie będziemy, śniadać nie będziemy,
Skibkę oborzemy, skibkę oborzemy.
Skibkę oborali, skibkę oborali,
Siedli, pośniadali; siedli, pośniadali³³

³³ Zapisy wg B. Gałązka, *Kolędy regionu krośnieńskiego*, Krosno 2004, s. 361–362. Zob. także np. w S. Czernik, *op. cit.*, s. 21.

Życzenia powodzenia w nadchodzącym roku przywołują obraz orki, której dokonują albo nieznani oracze, albo biorą w niej udział postaci święte. W dodatku jeszcze pojawiają się niezwykle akcesoria: złoty pług, w pierwszym wariancie złoty łańcuch, którym prowadzi się cztery konie. Kolor złoty ma swoją bogatą symbolikę w symbolice mitycznej i ludowej, jak choćby w koledzie o turze złotorogim³⁴; pług jako taki pojawia się nie tylko w symbolice gospodarczej, ale także i erotycznej, podobnie jak inne narzędzie – kosa i koszenie. Wyraźnie pobrzmiewa w tych tekstach echo dawnych sposobów dobrego życzenia, w którym główną rolę spełniają najszerzej rozumiane działania związane z wegetacją, plennością, ale także i płodnością. Drugi wariant tekstu wprowadza jeszcze niezwykłą anegdotę – w tym inicjującym sukcesy produkcyjne, ale też i ogólnie – powiększanie powodzenia, stanu posiadania, płodności, bierze udział Święta Rodzina. Tego rodzaju apokryficzność w tekstach życzących czy formułach magicznych tekstów ludowych pojawia się często. Nie chodzi tylko o dodanie elementu chrześcijańskiego, ale o podstawową zasadę, że „Aby powiedzieć cokolwiek, trzeba powiedzieć wszystko od początku”³⁵. W myśli magicznej tylko w ten sposób można usankcjonować istniejący stan rzeczy, ale też wpłynąć na kształt, jaki przybierze świat, gdy wyjdzie z czasu przemiany. Opowiadając o tym, co zdarzyło się *in illo tempore*, robiąc to w sytuacji obrzędowego otwarcia na tamten świat, w świątecznej *communitas*, w istocie dokonuje się rekreacji tamtego czasu. Przywołując, aktualizuje się sakralny precedens, który odnosi się tym samym także do tego, co rozgrywa się *hic et nunc*. Przyszłe powodzenie nadejdzie dlatego, że bieg zdarzeń powtórzy to, co działo się onegdaj, albo inaczej – co wydarzyło się na początku, w momencie gdy świat wypełniały moce i potencje zawsze obecne w punkcie inicjalnym.

Warto przytoczyć tekst w XIX w. zanotowany przez J. Rogera. Znowu będzie w nim wiele złota, motyw orki, ale też i motywy wyraźnie odwołujące się do wyobrażeń liturgicznych. Najpierw jest inicjująca kukułka, potem wezwanie gospodarza, na którego czekają wielkie zmiany w gospodarstwie – zwraca uwagę dokonana forma prezentacji: to nie życzenia, lecz fakty. Wymieniając jako już istniejące to, co się ma stać, tym większą ma się nadzieję, że tak się sprawy potoczą. Potem jest motyw orki, wydobywania bryły złota, ufundowania kielicha, z którego – i tu już wkracza porządek apokryficznego naruszenia chronologii, piją Jezus i Matka Boska:

Kukułeczka zakukała, halleluja!
Gospodarza przebudziła, halleluja!
Powstań, powstań, gospodarzu, halleluja!
Miły domowy szafarzu, halleluja!
Pochódź, pochódź po oborze, halleluja!

³⁴ H. Kapelański, *op. cit.* O ludowych funkcjach motywu złota zob. np. S. Czernik, *Stare złoto. O polskiej pieśni ludowej*, Warszawa 1962.

³⁵ R. Sulima, *op. cit.*, s. 30.

Bo w oborze Bóg dał dobrze, halleluja!
Krowiczka się ocielila, halleluja!
Parę wołków położyła, halleluja!
A gdzież je postawiamy, halleluja!
A jakieś im miana damy, halleluja!
Niech jednemu złoty różek, halleluja!
A drugiemu srebrny różek, halleluja!
Kiej je pięknie przystrojemy, halleluja!
Cóż na nie zrobić każemy? halleluja!
Wyjechali w czarne pole, halleluja!
Chcieli orać twarde role, halleluja!
Zawadzili pierwszą skibę, halleluja!
Wyorali złotą bryłę, halleluja!
Kajż to złoto podziemy? halleluja!
Cóż z niego zrobić każemy? halleluja!
Złoty kielich, dwie pateny, halleluja!
Z napisami z tej przyczyny, halleluja!
Kajż ten kielich podziemy? halleluja!
Do kościoła zaniesiemy, halleluja!
A kajż go tam postawiemy? halleluja!
Na ołtarzu przy lichtarzu, halleluja!
Któż tam z niego będzie pijał? halleluja!
Któż tam z niego będzie pijał? halleluja!
Sam Pan Jezus z aniołami, halleluja!
Matka Boska z panienkami, halleluja!
Same świece zajaśniały, halleluja!
Kielichowi rade były, halleluja!
Same organy zagrały, halleluja!
Kielichowi rade były, halleluja!
Same dzwony zadzwoniły, halleluja!
Kielichowi rade były, halleluja!³⁶

Teksty nie są już magiczne – są zapisem pewnego etapu procesu adaptacji starych magicznych jeszcze formuł obrzędowych, magicznych na potrzeby inscenizacji i eksplikacji chrześcijańskiej. Zapewne sam proces przekształceń kolęd życzących tak, żeby zasadniczo zmienił się sposób ich lektury, musiał być długi. Wśród zapisów staropolskich tych przemian można przywołać np. Macieja Zajcownika *Ludycje wieśne* (1543), przedstawiające obyczaj związany z lokalnym świętem wiosny (właściwie: nowym rokiem). W samym obyczaju wyraźnie obecne były formuły magiczne. Ich pozostałością jest specyficzna forma podawcza: życzenia dla gospodarza i gospodyni formułowane były w czasie teraźniejszym: oferowały więc „obraz spełniony”, zgodnie z poetyką formuły magicznej taka aktualizacja pokrywała się z mechanizmem reaktualizacji czasu mitycznego, który nakładał się na współczesność.

³⁶ *Pieśni ludu polskiego w Górnym Śląsku z muzyką*, zebrał i wydał J. Roger, Wrocław 1863, s. 242.

Stopniowo więc dokonuje się „przekład formuł magicznych na kod formuł modlitewnych”, a w dalszej konsekwencji

tradycyjna hiperbola magiczna straciła swoje funkcje, przekształca się więc z postulatu w opis i tekst przechodzi do kręgu pieśni epickich, natomiast jedynym nosicielem życzeń staje się formuła chrześcijańska, złożona *expressis verbis* – bez szyfru. Lud przejmuje nową formułę (także na inne okazje życzeń), stary tekst traci obrzędową semantykę³⁷.

I choć „Prawidłowości tej zawdzięczamy trwałość wielu zwyczajów i tekstów ludowych, które traciły swój sens obrzędowy, a nabierały charakteru dekoratywnego”³⁸, to jednocześnie otwarta została droga do estetyzacji formuł, do wpisanania ich w poetykę zabawy czy inscenizacji, a także narzucenia reguł etykiety w procesie ich wykonania i odbioru.

Co jednak można jeszcze wywnioskować o dawniejszych przesłaniach tekstów, które znalazły się w towarzystwie bez wątplenia późniejszych kolęd religijnych i włączane były w porządek świąt Bożego Narodzenia, choć może lepiej byłoby, myśląc o obrzędowości ludowej, mówić o Świątach Godnich, o czasie między 24 grudnia a 3 stycznia, między Wigilią a Epifanią?

Właściwą i podstawową funkcją kolędowania było więc sprawienie, by przyszłość okazała się łaskawa, by nie brakowało niczego w codziennym życiu mieszkańców wsi. Tę samą troskę znaleźć można w różnych obrzędowych zachowaniach, w których w grę o bezpieczne i pełne obfitości przetrwanie kolejnego roku angażowano także zwierzęta o nadanych im funkcjach magicznych. Te magiczne „rekwizyty”, zmityzowane stwory, przez swoją hybrydowość, pośredniczyły w transakcjach z zaświatami, życzenia formułowane z ich udziałem mogły się spełniać właśnie z uwagi na to, że to z owego obszaru transgresji, z tamtego świata pochodziły moce niezbędne do nadania kształtu pożądanego świata (więc także – plenności roślinom, płodności zwierzętom, ogólnemu „darzeniu się” itd.). Przy „chodzeniu z kozą” tak życzo gospodarzowi:

Gdzie koza chodzi,
tam się żytko rodzi.
Gdzie koza rogiem,
tam żytko brogiem³⁹.

Życzenia zdrowia zawarte także były w powinszowaniach świątecznych związanych z Bożym Narodzeniem, jak też dniem Nowego Roku. Tak np. w Beskidzie Żywieckim w drugim dniu świąt Bożego Narodzenia (św. Szczepan – 26 XII⁴⁰) gospodarze, wzajemnie się odwiedzając w celu złożenia życzeń, „sypali po kątach owsem”, mówiąc:

³⁷ C. Hernas, *W kalinowym lesie*, t. 1, *U źródeł folklorystyki polskiej*, Warszawa 1965, s. 110.

³⁸ *Ibidem*, s. 111.

³⁹ *Kolędowanie na Lubelszczyźnie...*, s. 39.

⁴⁰ „Na Święty Szczepan, każdy sobie pan” – w ludowym obyczaju był to termin zawierania nowych bądź odnawiania kontraktów. Kończyło się święto, czas nieodróżnicowania, wygaszania umów, należało więc i w społecznym wymiarze zadbać o to, żeby zapanował porządek.

Na scynszie, na zdrowie
Na to Boże Narodzeni
Byście byli zdrowi, weseli
Jako w niebie janieli...
Tak wom Boże dej!

Podobne teksty, o wyraźnie „wiosennym” charakterze mogły pojawiać się w innych terminach, jako że były różne terminy rozpoczynania nowego cyklu rocznego. Jeżeli bowiem tak istotną rolę w tekstach życzących odgrywają gesty, które można byłoby umownie nazwać „magią dobrego początku”, zaklinania powodzenia, a więc płodności i plenności, to powinno się analogicznych materiałów poszukiwać w okolicach tych czasów przemiany, jakie funkcjonowały do średniowiecza u różnych ludów. A trzeba pamiętać, że Frankowie do VII w. rozpoczynali nowy rok w marcu, potem zaś liczyli go od maja, do VIII stulecia w Wenecji, podobnie jak u Słowian wschodnich, utrzymywał się „styl marcowy” (25 marca: Zwiastowanie Najświętszej Marii); w Rosji dopiero Piotr Wielki wprowadził reformę juliańską i nowy rok zaczynał się 1 stycznia. Obszary zależne od Bizancjum liczyły nowy rok od 21 września. W dodatku jeszcze chaos pogłębiało średniowieczne kojarzenie początku roku z Bożym Narodzeniem, czyli dniem 25 grudnia (styl *a Nativitate*). Ostatecznie dopiero pod koniec XVII w. (i to nie wszędzie) w chrześcijaństwie ujednolicono datę początku roku⁴¹.

W okresie wielkanocnym w bardziej lub mniej schrystianizowanej formie wykonywano teksty o archaicznym charakterze, często w trakcie obrzędów o jednoznacznie wegetacyjnej symbolice – takich jak chodzenie z gaikiem, które niekiedy nazywano nawet „nowym latkiem”, topienie marzanny czy chodzenie z dyngusem.

W życzeniach bożonarodzeniowych, noworocznych czy wielkanocnych chodziło o to samo: winszowanie powodzenia oznaczało wszelki przyrost majątności – zarówno w postaci urodzaju na polach, przybytku w stajniach i oborach, może także i pieniędzy. Najważniejsze było utożsamienie sukcesu, nadziei na spełnienie się świątecznych obietnic, z płodnością. Panny powinny marzyć o zamążpójściu, rodziny o przybywaniu potomków. Erotyka, czasem nawet niezbyt elegancko skrywana, towarzyszyła kolędowaniu, podobnie jak wszystkim innym świętom w kulturze ludowej.

W kolędowaniu pojawiał się także niezbędny element: dziękowania za dary, jakie otrzymywano od przyjmujących winszowanie. O obecności tego wątku mówi się już w szesnastowiecznych *Ludycjach wieśnych*, w których wyliczone zostały poszczególne elementy wizyty kolędników: 1. „zopytania przed kolędą”, 2. „gospodarska kolęda”, 3. „dzięki za podarze gospodarzowi”, 4. „gospodynie kolęda”, 5. „dzięki za podarze gospodynie”⁴². Co jednak znaczyły te sekwen-

⁴¹ Z. Zwoźniak, *Kalendarze*, Warszawa 1980, s. 76–78.

⁴² A. Rombowski, *Ludycje wieśne. Zabytek literatury ludowej z połowy XVI wieku*, Wrocław 1953, s. 22–26.

cje i dary? Raczej nie były jeszcze podziękowaniami za zabawę, lecz rewanżem za dar słowa, w nadziei, że życzenia przecież powinny się spełnić, powinny ziścić się obrazy przedstawione w kolędzie życzącej.

Zygmunt Gloger w *Encyklopedii staropolskiej* opowiedział o tym, jak dawniej wyglądało składanie życzeń noworocznych i jak wpisywali się w te obyczaje wędrujący po wsi, ale zaglądający także do dworu czy na plebanię, młodociani kolędnicy (konsekwentnie w zapisach etnograficznych pojawia się zakaz uczestniczenia w grupie kolędniczej mężczyzn żonatych):

Starzy Polacy na Nowy Rok witali go słowami: „Bóg cię stykaj”, co znaczyło polecenie opieki Bożej. Kapłan w kościele po kazaniu winszował parafianom i kolatorowi Nowego Roku, a po nabożeństwie przyjmował sam powinszowania na plebani. Wiedzano w ogóle komu czego życzyć, więc umysł i grzeczność, część lub wdzięczność, serce i afekt sąsiedzki, siły się na dowcip. Dzieci i żaczkowie szkolni prawili rodzicom i nauczycielom powinszowania prozą lub rymem, po polsku lub po łacinie. Gdy dawniej szkoły mieściły się przy klasztorach. Bywało wiele ubogich dzieci, które uczono tam bezpłatnie i dawano im mieszkanie, a poczciwi ludzie żywili. Wyrobił się więc zwyczaj, że Ci uczniowie przychodzili codziennie z własnymi garnuszkami po obiad lub wieszczę, a na Nowy Rok, zebrawszy się w gromadki, obchodzili wszystkie domy, winszowali „Nowego Lata” i starali się zaśpiewać coś takiego, co by domowników rozśmieszyło i zabawiło. Oto początek żartobliwej ich kolędy:

Mości gospodarzu, domowy szafarzu,
Nie bądź tak ośpały, każ nam dać gorzały
Dobrej z alembika, i do niej piernika.
Hej, kolęda, kolęda!

.....

Mościa gospodyni, domowa mistrzyni,
Okaż swoją łaskę, każ dać masła faskę,
Jeżeliś nie sknera, daj i kopę sera.
Hej kolęda, kolęda!⁴³

Wypraszanie onegdaj wiązało się zapewne z magiczną funkcją daru: za słowo, któremu przypisuje się kreacyjną funkcję, podziękowaniem mógł być tylko inny dar; to kwestia specyficznej ekonomiki magicznej, która wpisywała się w specyficzną czasoprzestrzeń obrzędową. Obdarowani słowem odwzajemniali się przybyzszom, osobliwym przebierańcom, postaciom hybrydycznym itd., które reprezentowały odwrócony porządek zaświatów. Respektowanie zasady *do ut des* było niezbędne do skuteczności takiego spotkania i kreowania *communitas*. Zasada ta miała oczywiście także i inną ekonomikę, która stopniowo wysuwała się na pierwszy plan – Gloger nie ma już wątpliwości, choć teza taka nie jest wcale oczywista – winszowanie i kolędowanie przeniknęło na wieś (szczodraki) z obyczajów miejskich, solidarnościowych, pomocy dla ubogich. Podobnie i dorosli obchodzili domostwa jako przebierańcy w celu pozyskania funduszy. Mniej jednak istotne jest rozstrzygnięcie kierunku przenikania zachowań, ważniejsze

⁴³ Z. Gloger, *Encyklopedia staropolska*, t. 3, Warszawa 1900–1903, s. 267.

jest spostrzeżenie, iż zapewne rosnąca rola wypraszania, łącznie z pogrózkami dla ociągających się gospodarzy, wiąże się z zasadniczą przemianą charakteru samego kolędowania, co z kolei jest pochodną stopniowego przekształcania się kulturowego dyskursu i obrazu świata.

Trudno bez wahania przyjąć opinię współczesnych folklorystów, którzy uważają, że jeszcze po II wojnie światowej na Śląsku (zapewne nie tylko) wyczekiwano z niepokojem na kolędników, ponieważ pominięcie przez nich jakiegoś domostwa spowodziłoby na mieszkańców prawdziwy niepokój, „martwiliby się, że czeka ich ciężki rok”⁴⁴. Wydaje się raczej, że ich lęk miałby przede wszystkim społeczne, a nie magiczne podłoże – mogli poczuć się pominięci, a przez to spostonowani, obrażeni, mogliby odczytać taki gest jako objaw lekceważenia, nie zaś zagrożenie porządku ich świata.

Już w międzywojniu K. Moszyński pisał przecież o kolędowaniu jako obrzędowym widowisku dramatycznym, jako swoistej inscenizacji, która w dodatku jego zdaniem ulegała nieuniknionej i nieodwracalnej degradacji, ostatecznie spadając do roli zabawy odgrywanej przez dzieci⁴⁵ ku ucieście dorosłych bądź ich dobremu samopoczuciu, gdy będą mogli okazać swoje miłosierdzie. Mogło też być jeszcze inaczej: w wielu regionach Polski w obyczajowości ludowej upowszechnił się zwyczaj delegowania dziecka do spełnienia szczególnej funkcji „kolędnika”: to ono stawało przed wszystkimi i składało życzenia ojcu, a potem wszystkim pozostałym uczestnikom wieczery wigilijnej. Nic tu już nie zostało z magicznego obrzędu – to raczej przykład działań bliskich poezji rodzinnej, a może też potrzebom mieszczańskim, w których wierszyk wygłoszony przez dziecko, chwalebna adresowania do pana domu, księdza, nauczyciela wpisywały się w autoprezentację rodziny, która mogła pochwalić się uzdolnionym potomkiem.

Gdy obrzęd zaczyna być traktowany przez wykonawców i odbiorców w kategoriach steatralizowanych, gdy rozpoznają konwencję, elementy konstrukcyjne, gdy staje się ich udziałem „świadomość formy”⁴⁶, ostatecznie, po długim procesie przekształceń, dawne obrzędowe misterium, z nadzieją na osiągnięcie przez partycypację w nim (bo oczywiście w misterium chodzić może wyłącznie o *participation mystique*⁴⁷), pożądaných skutków, zamienia się w widowisko o charakterze ludycznym. Jego sens zamyka się wtedy na wypełnianiu powinności społecznych (pozyskiwanie darów przez kolędników), towarzyskich (wspólnie spędzony czas) i etykietalnych (bardziej znaczące jest pominięcie w kolędowej zabawie niż obecność u kogoś kolędników).

⁴⁴ T. Smolińska, *Czas świąteczny na scenie. O współczesnym kolędowaniu konkursowym w Polsce*, [w:] *Z kolędą przez wieki...*, s. 355.

⁴⁵ K. Moszyński, *Kultura ludowa Słowian*, t. 2, cz. 2, Warszawa 1968, s. 288.

⁴⁶ W. Pawluczuk, *Żywioł i forma*, Warszawa 1978.

⁴⁷ Tę wątpliwość co do stopnia steatralizowania jednej z form obrzędowych przedstawili np. J. Adamowski, J. Bartmiński, „*Herody*” lubelskie – między misterium a kolędą życzącą, [w:] *Kolędowanie na Lubelszczyźnie...*

Dzisiejsze życzenia bożonarodzeniowe i noworoczne, ale także i wielkanocne, nie mogą już liczyć, że ich oddziaływanie wykroczy poza konwenans i etykietę. Nie ma powrotu do magicznej funkcji słowa i wchodzenia w skomplikowaną relację wymiany darów. Przy wigilijnym stole, przy łamaniu się opłatkiem, składa się życzenia takie same jak te, które pojawiają się przy każdej innej okazji. Może więcej patosu, może więcej konwensu towarzyszy gestom świątecznym, bo jak powiedział swego czasu rebe Tewje w *Skrzypku na dachu*: Tradycja!

Gdy więc przychodzi wypisywać świąteczne kartki, to z trudem udaje się znaleźć inne formułki niż te tak dobrze znane z wielokrotnego użycia albo czasem usłużnie wydrukowane na gotowych do wysłania blankietach. Wystarczy opatrzyć je podpisem i dokonać aktu złożenia życzeń. Korzystający z dostępu do Internetu mogą także wysłać gotowe życzenia wybrane z przygotowanych przez liczne portale zestawów kolorowych kartek z winszowaniem od najprostszych po rozbudowane, „poetyckie” dziełka własne bądź wzięte z dorobku wybitnych autorów:

Cudownie Śnieżnych i radosnych Świąt Bożego Narodzenia, mnóstwa prezentów pod choinką oraz szampańskiej zabawy w sylwestrową noc życzy [...]

Najserdeczniejsze życzenia miłej wieczery wigilijnej w świątecznym nastroju oraz szczęścia i radości w nadchodzącym Nowym Roku przesyła [...]

Łamiąc się wigilijnym opłatkiem, życzymy Wam dużo spokoju, radości i zdrowia

Radosnych Świąt, smacznego karpia, wielu prezentów od Gwiazdora i obfitych łask Bożej dzieciny w Nowym Roku⁴⁸

W dzień Bożego Narodzenia
Zawsze składa się życzenia
I my nasze też składamy
Wszystkim tym, których kochamy⁴⁹

Nowy Rok nadzieję niesie i pragnienia budzi
Może będzie trochę lepiej dla świata i ludzi
Więcej będzie życzliwości, uśmiechów na twarzy
Przybędzie pieniędzy i spełnionych marzeń
Przyjaciół serdecznych, spokoju na świecie
Mądrych ludzi w rządzie niech ten rok przyniesie
(T. Sobestjańczuk)⁵⁰

Można posłużyć się jeszcze wygodniejszą formą i w zależności od operatora telefonii komórkowej, zdecydowanie tańszą: sięgnąć do internetowych zasó-

⁴⁸ E. Jędrzejko, M. Kita, *Z najlepszymi życzeniami, czyli o dobrych życzeniach i języku życzliwym*, Warszawa 2002, s. 94.

⁴⁹ *Ibidem*, s. 96.

⁵⁰ *Ibidem*, s. 95.

bów gotowych SMS-ów. Sto sześćdziesiąt znaków przewidzianych na tę formę komunikacji okazuje się często wygodnym ograniczeniem – nie trzeba niczego wymyślać, nie trzeba przesadnie manifestować emocji i rangi życzącej formuły. Akt składania życzeń kończy się na poświadczeniu pamięci, na samym akcie, a wymiana, tak ważna w dawnych sytuacjach, ogranicza się do przesłania kartki, e-maila, SMS-a. To tylko zrównoważona wymiana znaków-przedmiotów.

Potęga wymiany.

Kupić –

sprzedać –

skorumpować

HANNA JAXA-ROŻEN
Uniwersytet Wrocławski

Kobiety i pieniądze w twórczości eseistycznej Virginii Woolf i powieściach Jane Austen

...kobieta musi mieć pieniądze i własny pokój, jeśli ma uprawiać twórczość literacką¹.

Dlaczego jedna płeć jest tak bogata, druga zaś tak biedna? Jaki wpływ na twórczość literacką ma ubóstwo? (WP, s. 43)

Na co dzień pieniądź wydaje się czymś przyziemnym, partykularnym i, зда-
wałoby się, osadzonym w ściśle określonej sferze – ekonomii. Tymczasem, jak
zauważa Georg Simmel, pieniądź można też potraktować jak soczewkę, w której
ogniskują się najistotniejsze procesy życia społecznego i dlatego jego zdaniem
nie przynależy on wyłącznie do ekonomii:

Punkt widzenia jednej nauki nie wyczerpuje nigdy całości rzeczywistości, opiera się bo-
wiem na podziale pracy. Podobnie to, że dwaj ludzie wymieniają ze sobą produkty, nie jest wcale
faktem wyłącznie ekonomicznym. Bo fakt taki, tzn. fakt, którego cała treść wyczerpywałaby się
w ekonomii, w ogóle nie istnieje. Wymianę tę można równie dobrze potraktować jako fakt psycho-
logiczny, etyczny, a nawet estetyczny².

Georg Simmel proponuje w swoich rozważaniach znacznie więcej – miano-
wicie taką filozofię pieniądza, którą można potraktować nawet jako ogólną teo-
rię kultury, a przynajmniej teorię życia społeczno-historycznego. Innymi słowy,
Simmel uważa, że opierając się na kategorii pieniądza, można opisywać zarów-
no zjawiska społeczne (w każdym ich przejawie oraz okresie historycznym), jak
i dokonywać oglądu kultury:

pieniądz jest jedynie środkiem, materiałem albo przykładem służącym do przedstawienia powi-
azań, które zachodzą między najbardziej zewnętrznymi, realistycznymi, przypadkowymi zjawi-
skami a najbardziej idealnymi potencjami istnienia, najgłębszymi prądami indywidualnego życia

¹ V. Woolf, *Własny pokój*, przeł. A. Graff, Warszawa 1997, s. 20, (dalej: WP i numer strony).

² G. Simmel, *Filozofia pieniądza*, przekł. i posłowie A. Przyłębski, Poznań 1997, s. 10–11.

oraz historii. Sens całości jest wyłącznie taki, by pociągnąć linię łączącą powierzchniowy obszar zjawisk ekonomicznych z ostatecznymi wartościami i znaczeniami wszystkiego, co ludzkie³.

Idąc za myślą Georga Simmla, zadaniem niniejszego tekstu będzie przyjrzenie się życiu społecznemu i sytuacji kobiet w twórczości Jane Austen⁴ oraz w eseistyce Virginii Woolf (*Własny pokój* i *Trzy gwinee*⁵). Kategorią, przez którą dokonamy tego oglądu, będzie właśnie pieniądź.

Feministyczny program Virginii Woolf kształtował się przez całe jej życie i ma przede wszystkim charakter literacki. Za podstawowy tekst dla feministycznej krytyki literackiej uznaje się jej esej *Własny pokój*. Jest to zapis konsekwentnego wywodu myślowego, jaki podejmuje autorka, w chwili gdy otrzymuje propozycję wygłoszenia wykładu pt. *Kobiety i twórczość*. Zastanawiając się nad tym, co właściwie powinien obejmować wykład, Woolf uświadamia sobie i czytelnikom, że w gruncie rzeczy wykład musi zawierać pytanie o same kobiety – jakie są, jaka jest ich twórczość i co na ten temat piszą inni. Ponad tymi wszystkimi założeniami tkwi jednak stwierdzenie wyższego rzędu, podstawowe, bez którego cały wykład i jakiegokolwiek inne rozważania nie mają sensu – mianowicie żeby zajmować się jakąkolwiek twórczością, najpierw trzeba mieć zapewniony byt materialny. Ale to nie wszystko, potrzebne jest jeszcze miejsce do pracy, przestrzeń, która należy wyłącznie do nas (tytułowy własny pokój). Takie zestawienie akcentów jest ciekawe samo w sobie i charakterystyczne dla pisarki – jak wynika z jej pism, samodzielność ekonomiczną Virginia Woolf zawsze stawiała wyżej od wszelkich praw politycznych:

Wieść o spadku dotarła do mnie pewnego wieczora, w tym samym mniej więcej czasie, gdy kobiety otrzymały prawo głosu. Do mojej skrzynki wpadł list od adwokata i dowiedziałam się, że ciotka zapisała mi pięćset funtów rocznie aż do końca moich dni. Przyznam, że z tych dwu rzeczy – prawa głosu i pieniędzy – pieniądze wydały mi się nieporównanie bardziej istotne. (WP, s. 55)

Równie jasno pisarka formułuje tezę o tym, iż tylko w wypadku zabezpieczonego stałego dochodu można mówić o rzeczywistej niezależności, która z kolei umożliwia prawdziwą twórczość: „Wolność intelektualna jest zależna od rzeczy materialnych. Poezja jest zależna od wolności intelektualnej” (WP, s. 130). Zatem według Woolf, dopiero jeśli te warunki zostaną spełnione, będzie możliwa twór-

³ *Ibidem*, s. 11.

⁴ Wykorzystane zostaną następujące powieści Jane Austen: *Emma*, przeł. J. Dmochowska, Warszawa 2002 (dalej: E i numer strony); *Duma i uprzedzenie*, przeł. A. Przedpeńska-Trzeciakowska, Warszawa 2002 (dalej: DU i numer strony); *Mansfield Park*, przeł. H. Pasierska, Warszawa 2008 (dalej: MP i numer strony); *Opactwo Northanger*, przeł. E. Partyka, Warszawa 2008 (dalej: ON i numer strony); *Perswazje*, przeł. E. Partyka, Warszawa 1996 (dalej: P i numer strony); *Rozważna i romantyczna*, przeł. A. Przedpeńska-Trzeciakowska, Warszawa 1996 (dalej: RR i numer strony).

⁵ V. Woolf, *Własny pokój. Trzy gwinee*, przeł. E. Krasieńska, Warszawa 2002 (dalej: TG i numer strony).

czość i samorealizacja kobiet. A i tak będzie to dopiero początek długiej i trudnej drogi – dalej bowiem, nawet po ich spełnieniu, czeka kobietę walka. Najpierw z samą sobą, bo decyzja pisania nie jest wcale łatwa, wymaga odwagi zabicia w sobie domowego anioła, który każe bezustannie się poświęcać i rezygnować ze wszystkiego na rzecz rodziny, pozbyć się męskiego podmiotu, który nieustannie rzuca cień na rzeczywistość. Potem zaś trzeba przekonać innych, że kobieca twórczość i tematyka mają w ogóle sens – sklep obwieszony wstążkami jest równie ciekawy jak przełęcz w Andach, życie ekspedientki może być ciekawsze niż kolejna biografia Napoleona, a to, co dzieje się między dwiema kobietami w pustym pokoju – po prostu fascynujące. Wysiłek rzeczywiście karkołomny, jednak z twórczości Virginii Woolf wynika, że w imię własnej wolności trzeba i warto taki trud podjąć.

Izabela Filipiak⁶ wstęp do wspomnianej książki Virginii Woolf zatytułowała *Własny pokój, własna twórczość* i zamiast tradycyjnie rozumianego wstępu są to raczej wariacje na temat utworu Woolf, rodzaj tekstu nadpisanego nad tekstem. Filipiak posługuje się w nim przykładem, emblematem, aby pokazać, jak mimo wszystko niedaleko jesteśmy od wydarzeń z początku wieku. Otóż nawiązując do opisów posiłków – wytwornego w college'u męskim i więcej niż skromnego w żeńskim – Izabela Filipiak przywołuje z pamięci własną z dwoma kolegami wizytę u pewnego profesora i skromny poczęstunek tamże. Jednak akurat nie jego skromność jest przedmiotem rozważań, a pojawiająca się w pewnym momencie propozycja profesora, żeby „Izunia obrała po kartofelku dla wszystkich obecnych panów”. Izunia oczywiście odmówiła, a najbardziej ubodła ją nawet nie sama propozycja, lecz fakt, że jej bunt został potraktowany jak fochy rozkapryszonego dziecka – innymi słowy, nie została uznana za partnera do dyskusji ani w ważnych „naukowych” sprawach, ani nawet w tych dotyczących codziennej egzystencji. W gruncie rzeczy ten epizod odpowiada na pytanie o aktualność książki Virginii Woolf. Czy przypadkiem nie jest to arystokratyczna ramota, która potwornie się zestarzała? Filipiak mówi wprost, że sedno, rzecz najważniejsza, potrzeba wolności obyczajowej, twórczej, podmiotowej jest wciąż taka sama i jak najbardziej aktualna. Zmieniły się nieco realia obyczajowe, ale problem pozostał dokładnie ten sam. Według Izabeli Filipiak dziś jeszcze wyraźniej widać, że potrzebny jest nie tylko własny pokój i zabezpieczenie materialne, ale coś znacznie ważniejszego: własna przestrzeń, wewnętrzna wolność, która to dopiero jest podstawą kreatywności i twórczości. Mamy obowiązek być istotami kreatywnymi i nie musi być to twórczość artystyczna, raczej chodzi o samą egzystencję, o fascynujące, piękne życie w każdym jego przejawie.

Virginia Woolf i Izabela Filipiak mówią zatem o tym samym: o ogromnej potrzebie podmiotowości, która nie może się uzewnętrznic, dopóki nie ma odpowiednich warunków. Żeby powtórzyć, „odpowiednie warunki” nie oznaczają

⁶ I. Filipiak, *Własny pokój, własna twórczość*, [w:] WP, s. 5–18.

tylko spokojnego miejsca potrzebnego do pracy pisarskiej. Chodzi raczej o uwe wnętrzenie własnej przestrzeni, która jest podstawą wolności, a więc kreatywności człowieka – podstawą jego pełnego egzystowania.

Swoją myśl z *Własnego pokoju* Virginia Woolf kontynuuje w eseju *Trzy gwinee*, zresztą oba omawiane teksty publicystyczne powstały w bardzo ważnym historycznym angielskim kontekście. Bardzo przy tym charakterystyczna i potwierdzająca diagnozę auterek co do hierarchii ważności kobiecych potrzeb jest kolejność, w jakiej uzyskiwano ustępstwa: oto w latach sześćdziesiątych XIX w. kobiety dopuszczono do wyższych uczelni, w 1882 r. zamężne kobiety otrzymały prawo posiadania własnego majątku, a dopiero w 1919 zniesiono ustawę o zakazie pracy kobiet w wolnych zawodach! Ukoronowaniem tych postępów na drodze uznania kobiet za pełne istoty ludzkie stało się uzyskanie przez nie w 1928 r. praw wyborczych.

W porównaniu z wcześniejszym *Własnym pokojem* w *Trzech gwineach* ton polemiki wyraźnie się zaostrza, a pretekstem do napisania eseju jest odpowiedź autorki na list zaangażowanego antywojennie mężczyzny, zwracającego się z prośbą o wsparcie zarówno moralne, jak i finansowe na rzecz organizacji, w której działa. Virginia Woolf dokonuje miazdzącej krytyki tej prośby: po pierwsze poddaje bezlitosnemu osądowi istniejący patriarchalny porządek społeczny, po drugie, konstatuje, że jedyne, co kobiety mogą zrobić przy braku pieniędzy i wpływów politycznych, to w dalszym ciągu kształcić się i bronić własnej niezależności. Jak pisze Ewa Krasińska, *Trzy gwinee* to w gruncie rzeczy

Apel do świątłych kobiet, na których, jako na potencjalnych beneficjentkach zmian otwierających im drogę do edukacji i finansowej niezależności, spoczywa obowiązek stworzenia modelu samodzielnie myślącej przedstawicielki ich płci, zdolnej świadomie oddziaływać na otaczający ją świat, nie jest już wezwaniem do znalezienia dla siebie równoprawnej pozycji, lecz wołaniem o szukanie własnej, osobnej drogi⁷.

Przy okazji tego wielkiego przesłania pisarka diagnozuje sytuację kobiet z perspektywy historycznej. Obserwacją podstawową pozostaje, że kobiety zawsze były zależne od mężczyzn i nie mogły zarabiać na swoje utrzymanie. Jediną możliwością zapewnienia sobie dostatniej przyszłości i pomysłu na życie było wyjście za mąż.

Małżeństwo, a więc sztuka harmonijnego współżycia z wybraną osobą – jedyny praktycznie zawód, jaki od zarania dziejów aż do 1919 roku kobietom wolno było uprawiać – musiało nas wiele w tej dziedzinie nauczyć. (TG, s. 150)

To właśnie w tym momencie racjonalna publicystyka Woolf idealnie łączy się z obyczajowymi powieściami Jane Austen. W zasadzie wszystkie książki tej ostatniej przedstawiają bowiem precyzyjną fotografię obowiązujących społecznych zwyczajów i opowiadają o tym, jak to

⁷ E. Krasińska, *Wstęp*, [w:] TG, s. 7.

Umysł młodej panny formowano z myślą o małżeństwie. Z myślą o przyszłym małżeństwie brzdąkała na pianinie, ale nie mogła grać w orkiestrze; rysowała niewinne scenki rodzajowe, ale nie mogła szkicować aktów; czytała niektóre książki, ale nie mogła czytać innych; czarowała i konwersowała. (TG, s. 192)

Oczywiście przesadą byłoby twierdzenie, że Jane Austen poddała gruntownej krytyce angielskie społeczeństwo początku XIX w., w tym stosunek do kobiet i sposób wychowania dziewcząt. Powieści tej autorki są po prostu świetnym przykładem, historycznym niemal świadectwem tego, co poddaje krytyce Virginia Woolf ponad sto lat później. Jane Austen jest mistrzynią w opisywaniu codzienności:

Duży dom i mały dom, proszona herbatka, proszony obiad, a od czasu do czasu piknik. Życie uwarunkowane cennymi koneksjami i odpowiednimi dochodami; błotniste drogi, przemoczone stopy, u pań pewna skłonność do zmęczenia; troszkę zasad na dodatek, odrobina znaczenia i wykształcenie stosowne dla rodzin z wyższej klasy średniej, zamieszkających na prowincji. Występek, przygoda, namiętność zostały wyłączone. Ale z całej tej jednostajności, z całej tej przyziemności autorka nie unika niczego i niczego nie uroni⁸.

W powieściach Jane Austen spotykamy galerię różnych postaci kobiecych i pojawiają się one na różnych planach – od pierwszego po epizodyczny, najbardziej odległy i niemalże niewidoczny. Łączy je jedno: uwikłanie w małżeństwo. Wszystkie one albo są pannami na wydaniu, albo mają córki, które należy jak najkorzystniej (czyli bogato i z odpowiednimi koneksjami) wydać za mąż, albo też oddają się ulubionemu i skomplikowanemu zajęciu, jakim jest swatanie innych. Sztuką jest dobranie pary zgodnie z przymiotami charakteru, a zwłaszcza majątku (drobne odstępstwa są dopuszczalne). Wszystkie one żyją bowiem w świecie, w którym zrobienie dobrej partii uważane jest za najbardziej pożądaną sukces życiowy.

Na przykład Emma, tytułowa bohaterka jednej z powieści, uwielbia bawić się w swatkę i na prośbę ojca, aby tego nie robiła, odpowiada:

– Przrzekam ci, papo, że nie uczynię tego nigdy dla siebie, ale nie mogę się wyrzec tej przyjemności, gdy chodzi o innych. To najlepsza zabawa, jaka istnieć może! (E, s. 12)

Emma Woodhouse może sobie na to pozwolić – jest bogata, dobrze urodzona i żyje bez specjalnych trosk. W zasadzie nie musi nawet wychodzić za mąż, aby poprawić swój status. W rozmowie z Harriet, młodszą i niedoświadczoną przyjaciółką, mówi:

– Nie szukam majątku, nie szukam celu w życiu, nie pragnę wielkiej pozycji [...]; tu, w oczach mojego ojca, jestem zawsze pierwsza i mam zawsze rację. [...]

– Wszystko jedno, zostać starą panną to przecież okropne.

– Nic się nie bój, Harriet, nie będę ubogą starą panną, a tylko ubóstwo sprawia, że staropaniństwo wywołuje wzgardę. Kobieta samotna, o bardzo ograniczonych środkach, wydaje się zwykłe

⁸ V. Woolf, *Jane Austen*, [w:] *eadem, Pochyła wieża. Eseje literackie*, wyb., oprac., przekł. A. Ambros *et al.*, Warszawa 1977, s. 110.

śmieszna, niemiła starą panną, a młodzież będzie jej dokuczać po prostu dla zabawy. Ale kobieta samotna i majątna wzbudza zawsze szacunek i może być równie rozsądna i miła w towarzystwie jak mężatka! (E, s. 90–91)

Inaczej ma się sprawa w książce *Duma i uprzedzenie*. Powszechnie swatanie urasta tu do rangi życia i śmierci, ponieważ państwo Bennet mają aż pięć córek na wydaniu. Nic dziwnego, że oceniają znajomych przez pryzmat majątku i pojawienie się nowego sąsiada komentują następująco:

- Jak się nazywa?
- Bingley.
- Żonaty czy kawaler?
- Och, kawaler, mój drogi, oczywiście. Kawaler z dużym majątkiem – cztery czy pięć tysięcy funtów rocznie. Pomyśl, jakie to szczęście dla naszych dziewcząt! (DU, s. 5–6)

Dla pani Bennet jest oczywiste, że bogaty sąsiad ożeni się z którąś z jej córek, trzeba tylko odpowiednio o to zadbać (zaprosić nowego sąsiada na obiad, zaprezentować córki na balu). Oto pole, na którym nieprowadzące wojen kobiety wykazują się niezrównanym zmysłem strategicznym, planując długofalowe kampanie, wykorzystujące wszelkie dostępne środki. Protesty na nic się zdadzą, jak ogólnie wiadomo, szukanie partnera życiowego dla niezamężnych panien, zwłaszcza tych, które ocierają się o staropanieństwo, było z dawien dawna przywilejem matek, ciotek i przyjaciółek, ale też ich zobowiązaniem wobec patriarchalnego ładu świata, który zamieszkują.

W tym konkretnym przypadku Jane Austen przedstawia nam zasadę majoratu, inaczej primogenitury, która nakazywała przekazanie ziemi oraz ordynacji najstarszemu synowi, zapobiegającej podziałowi włości czy ich częściowej sprzedaży. W przypadku braku męskiego potomka dziedziczył najbliższy krewny w linii męskiej. Stąd problem pastora Benneta z zabezpieczeniem córek i żony po swojej śmierci. W jego sytuacji tylko odpowiedni mariaż mógł zapewnić córkom dostatnią, godną przyszłość. Ten sam problem podnoszony jest też w powieści *Rozważna i romantyczna*, historii dwóch siostr (trzecia, najmłodsza Małgorzata, pozostaje na drugim planie) – rozsądnej Eleonory i romantycznej Marianny Dashwood. Oto syn z pierwszego małżeństwa John odziedziczył cały majątek ojca, a zabezpieczenie przyrodnych siostr i macochy było wyłącznie aktem dobrej woli, a nie obowiązkiem prawnym. Co prawda, Henry Dashwood na łożu śmierci wymógł obietnicę zaopiekowania się rodziną, ale skąpy syn (choć początkowo planował szczodry gest, powiększający majątek siostr) z jeszcze bardziej skąpą małżonką w zasadzie jej nie spełnili, wykorzystując brak konkretnych propozycji dotyczących majątku, jako że na gruncie obowiązującego prawa żadnych tego rodzaju rozporządzeń być nie mogło.

Powieści Jane Austen obfitują także w postaci tzw. ubogich krewnych. Jedną z nich jest Fanny Price, która w wieku dziesięciu lat przyjechała do bogatych wujostwa do Mansfield Park, by wychowywać się z kuzynami. Oczywiście, nie

jest traktowana na równych prawach z kuzynkami, na każdym kroku daje jej się odczuć, że z powodu urodzenia i braku pieniędzy jest kimś gorszym. Fanny zresztą nie ma co do tego żadnych wątpliwości i nie oczekuje zbyt wiele. I jak to u Jane Austen: mimo że

Bez wątpienia jednak na świecie żyje znacznie mniej mężczyzn posiadających fortunę niż pięknych kobiet, które na nich zasługują. (MP, s. 5)

skromność i dobry charakter zostają nagrodzone – Fanny poślubia bogatego kuzyna. Podobnie rzecz ma się z Katarzyną Morland, bohaterką powieści *Opactwo Northanger*. Siedemnastoletnia córka pastora, bez specjalnego posagu, której podstawową cechą jest zwyczajność w jak najlepszym tego słowa znaczeniu – ani zbyt mądra, ani głupia, z marnym wykształceniem, za to sympatyczna i z dobrym charakterem, wielbicielka gotyckich romansów, co jest powodem perypetii i nieporozumień, poślubia Henry’ego Tilneya, syna generała, właściciela opactwa Northanger. W jego ustach znajdujemy znakomite porównanie:

Moim zdaniem kontredans to symbol małżeństwa. I w tańcu, i w małżeństwie obowiązują przede wszystkim wierność i uprzejmość. [...] Zgodzi się pani z tym, że w obu przypadkach mężczyźnie przysługuje prawo wyboru, a kobieta może najwyżej odmówić. W obu przypadkach chodzi o związek kobiety i mężczyzny, który obu stronom przynosi korzyści. (ON, s. 55)

W ostatniej zaś ukończonej powieści *Perswazje* Anna Elliot, średnia córka baroneta sir Waltera Elliota, przed laty odrzuciła za namową lady Russel (opiekunki i przyjaciółki po śmierci matki) oświadczyń kapitana Wentwortha, który nie posiadał majątku i koneksji zapewniających awans. Bardzo tego żałuje i spotykając go ponownie, stwierdza po pierwsze, że uczucie nie minęło, i po drugie, że przed laty popełniła wielki błąd, nie oddając mu swej ręki. Virginia Woolf o tej książce Jane Austen pisze następująco:

Jest w *Perswazjach* szczególne piękno i szczególna martwota. Martwota, która tak często zaznacza etap przejściowy między dwoma różnymi okresami. Pisarka jest trochę znudzona. Zbyt dokładnie poznała już obyczaje swego świata, już ich nie dostrzega na nowo. [...] Satyra jest szorstka; Jane Austen nie odczuwa już z taką świeżością śmieszności codziennego życia⁹.

Można wywnioskować, że zmieniła się postawa wobec życia Jane Austen. Pod koniec swej twórczości przestaje ona chować się za maską reporterki – obserwuje i przekazuje już nie tylko fakty, jak to było do tej pory, ale zaczyna ujawniać też uczucia. Autorka nie wycofuje się poza wydarzenia i w związku z tym możemy odnaleźć takie refleksje, jak ta:

My [kobiety] nie zapominamy o was [mężczyznach] tak szybko, jak wy o nas. To zapewne bardziej nasze fatum niż zasługa. Nie możemy nic na to poradzić. Żyjemy w domu, w spokoju, z dala od ludzi i jesteśmy wydane na pastwę naszych własnych uczuć. Wy musicie działać. Macie swoją profesję, swoje cele, swoje sprawy, które wciągają was w świat. A liczne zajęcia i szybkie zmiany zacierają wspomnienia. (P, s. 278)

⁹ *Ibidem*, s. 114–115.

lub ta:

Mężczyźni mają nad nami tę przewagę, że sami opowiadają swoje dzieje. Zawsze otrzymywali lepsze wykształcenie i częściej chwyтали za pióro. (P, s. 280)

To właśnie tę myśl rozwinie w swej eseistyce ponad sto lat później Virginia Woolf. Zanalizuje powody takiego stanu rzeczy, aby ostatecznie stwierdzić:

Córka klasy oświeconej nie musi już roztaczać osobistego uroku, żeby od ojca lub brata uzyskać pieniądze. I może swobodnie wyrażać swoje poglądy, odkąd rodzina nie może za karę pozbawić jej pieniędzy. [...] Słowem, nie musi potakiwać – może krytykować. Może nareszcie wywierać bezinteresowny wpływ na innych. (TG, s. 165)

Oczywiście, sama Woolf nie uważała, że jest to koniec drogi. Jak podkreślała, uzyskanie możliwości działania jest tylko warunkiem początkowym twórczej wolności – warunkiem niewystarczającym, ale koniecznym. Stąd też powracająca w jej publicystyce kwestia pieniędzy, stąd symboliczny tytuł *Trzy gwinee*. Same w sobie niczego jeszcze nie zapewniają, lecz bez nich kobieca twórczość po prostu nie byłaby możliwa.

„Żądza pieniądza” w polskiej literaturze kryminalnej po 1989 roku

„Żądza pieniądza i inne żądze”¹, jak mawiał detektyw z powieści Irka Grina *Pan Szatan* (2007), z oczywistych względów wyznaczają bieg zdarzeń w każdym kryminale. Zazwyczaj pragnienie zaspokojenia swych żądz – finansowych, seksualnych, magiczno-rytualnych, wynikających np. z przynależności do jakiejś sekty, czy emocjonalnych, chociażby z uczucia zemsty, wiedzie bohatera w obszar czynów bezprawnych, nie wyłączając morderstwa. Efektem tego rodzaju działań staje się przewidywalny – z perspektywy czytelnika – tok wypadków, przekładający się na jeden z typowych dla powieści kryminalnej modeli fabularnych. Pierwszy wyznacza układ: żądza – zaspokojenie żądzy, czyli przestępstwo – śledztwo – wyjaśnienie przestępstwa – ukaranie winnego. Z kolei drugi, dominujący w literaturze współczesnej, rozwija się wedle schematu: przestępstwo – śledztwo – wyjaśnienie przestępstwa, tj. odkrywanie leżącej u jego podstaw żądzy – kara.

Bez względu na przyjęty wzorzec konstrukcyjny zdarzeń niebagatelną rolę w całej serii literackich przestępstw odgrywa pieniądz i nie tylko z tego powodu, że dzięki niemu można zaspokoić wszystkie inne nietypowe pragnienia, łącznie ze zleceniem morderstwa. Tego rodzaju działanie zostaje podjęte m.in. w powieści *Komisarz Maciejewski* (2007) Marcina Wrońskiego, w której bandyci za namową znanego adwokata, obawiającego się demaskacji swych niecznych czynów, zabijają cenzora lokalnej gazety, wychodzącego od prostytutki, przy okazji przywłaszczając znaczną kwotę będącą w posiadaniu denata².

Bez obrazu pieniądza w literaturze kryminalnej można zaobserwować, jak zmienia się jego rola społeczna, a tym samym jego aksjologia, znacznie wykraczająca poza wartość mierzoną ekonomicznie. Doskonale pokazuje tę przemianę rodzima twórczość kryminalna powstała po 1989 r., uznanym za początek

¹ I. Grin, *Pan Szatan*, Warszawa 2007, s. 247.

² Zob. M. Wroński, *Komisarz Maciejewski. Morderstwo pod cenzurą*, Poznań 2007, s. 82–83.

transformacji społeczno-politycznej i kulturowej naszego kraju³. Aby jednak dostrzec tę zmianę, przekładającą się i na poetykę kryminału, warto przypomnieć, że przed interesującym nas momentem dziejowym jedynie nieliczne utwory i to głównie ze zideologizowanego nurtu powieści milicyjnych, promujących wzorcowy obraz milicji obywatelskiej⁴, pokazywały zbrodnię na tle rabunkowym. Pieniądze w państwie demokracji ludowej z założenia posiadali w takim samym stopniu wszyscy uczciwie pracujący Polacy, w związku z czym zbrodnia z powodów finansowych była bezzasadna bądź mogli się jej dopuszczać co najwyżej „wrogowie ludu”. Ci z kolei, jak przedstawiały przestępców kryminalne historie doby komunizmu, łakomili się przede wszystkim na majątek wspólny. Na przykład w opowieści Andrzeja Piwowarczyka *Stary zegar* (1956) łupem złodziei padają zdeponowane w Ministerstwie Kultury zabytkowe, cenne przedmioty, a z kolei w *Królewnie* (1956) tegoż autora – przechowywane w magazynach bele materiału przeznaczonego na odzież. Zdarza się, że w ręce bandytów dostają się i pieniądze, ale z reguły pochodzą one z napadu na bankowy konwój, przewożący wypłaty dla robotników, co przedstawia Kazimierz Kwaśniewski⁵ w *Zbrodniarzu i pannie* (1965), albo pozyskiwane są w wyniku morderstwa nieuczciwego dyrektora fabryki, jak w innej powieści Kwaśniewskiego – *Śmierć i Kowalski* (1962). Warto podkreślić zwłaszcza w tym ostatnim wypadku ciekawy z ideologicznego punktu widzenia typ ofiary – „nieuczciwy dyrektor fabryki”, jako że w powieści milicyjnej poszkodowani nie rekrutowali się z grona zwykłych, spokojnych obywateli, tylko z osób naruszających socjalistyczny porządek społeczny, m.in. przez defraudowanie publicznych funduszy. W ten sposób śmierć w tym wypadku, co zaabstrahować może nieco paradoksalnie, była na swój sposób sprowokowana i usprawiedliwiona politycznie.

Najważniejsze jednak wydaje się, że w kryminałach przed 1989 r. kwestia pieniędzy, skądinąd ważna dla przestępców, stawała się drugorzędna dla przeciętnych obywateli, podobnie jak dla przedstawicieli prawa, którzy w swej pracy korzystali z wszelkich możliwych, ale raczej pozafinansowych środków, jak narada robocza (praca w kolektywie) czy wywiad środowiskowy (oparty na donosicielstwie).

Inaczej sytuacja przedstawia się w kryminałach czasów transformacji. W kontekście dostępnych utworów o tematyce przestępczej można powiedzieć, iż pieniądź stał się w takim samym stopniu ważny dla wszystkich – dla zwykłych

³ Zob. m.in. M. Golka, *Transformacja systemowa a kultura w Polsce po 1989 roku. Studia i szkice*, Warszawa 1997; P. Czapliński, *Ślady przełomu. O prozie polskiej 1976–1996*, Kraków 1997.

⁴ S. Barańczak, *Polska powieść milicyjna. Dominacja funkcji perswazyjnej a problemy gatunkowe*, [w:] *W kręgu literatury Polski Ludowej*, red. M. Stępień, Warszawa 1975, s. 270–316; J. Jastrzębski, *Czas relaksu. O literaturze masowej i jej okolicach*, Wrocław 1982, s. 199.

⁵ Jeden z pseudonimów Macieja Słomczyńskiego, znanego głównie jako Joe Alex.

ludzi, dla śledczych, i z oczywistych względów dla bandytów. Stał się obiektem powszechnego pożądania.

Dla bohaterów epizodycznych – zwykle świadków w śledztwie – pieniądze funkcjonują w planie realnym jako forma zarobku za pracę, czasami za zajęcie, które wkracza w obszar bezprawia, m.in. za prostytutkę. Niemal trudno znaleźć kryminał, w którym nie pojawia się kobieta lekkich obyczajów, coraz częściej zwana *call girl*, zmuszona życiową sytuacją lub naciskami wywieranymi przez swego partnera do świadczenia usług seksualnych za pieniądze. Zwykle gra ona rolę świadka zbrodni, jak we wspomnianym utworze Wrońskiego, bywa, że staje się ofiarą mordercy, np. w *Dżumie w Breslau* (2007) Marka Krajewskiego, a niekiedy okazuje się pośrednikiem między przestępcą a policją, co występuje w powieści *Bogini z labradoru* (2007) Konrada Lewandowskiego. W tym ostatnim przypadku, jak podsumowuje związki prostytutek z kryminalistą narrator – „Ich absolutną lojalność musiały gwarantować nie tylko pieniądze”⁶, lecz i obietnice szczęścia czy filmowej kariery. Rzadko, ale jednak zdarza się, że prostytutka odgrywa istotną – z fabularnego punktu widzenia – rolę, jak w przywoływanej na początku tekstu historii Irka Grina. W *Panu Szatanie* piękna i uwodzicielska Maria towarzyszy detektywowi w toku śledztwa, a nawet je współfinansuje, jako że sprawa dotyczy wyjaśnienia śmierci jej ulubionego klienta. (Widać w tej kreacji postaci pewien sygnał społecznej zmiany nastawienia do tego typu zarobkowania, jako że we wcześniejszych powieściach o zbrodniach mowy nie było o pozytywnym wydźwięku działań kobiety sprzedajnej, albowiem sama jej profesja była potępiona).

Co ciekawe, w tym nurcie pogoni za pieniądzem mieści się nierzadko obecna na kartach współczesnych powieści kryminalnych miłość równie sprzedajna, ale mieszcząca się w granicach prawa. Chodzi o sytuację, gdy młoda kobieta godzi się na związek z dużo starszym, ale majątnym mężczyzną. Taki układ oparty na wymianie jest powszechnie społecznie akceptowany, czemu dają wyraz nawet wypowiedzi odnarratorskie:

Świat jest tak zbudowany, że kobiety zawsze będą łgnęły do pieniędzy, nic nie szkodzi, że majątki są zwykle w rękach starszych od nich mężczyzn. Uroda facetów ma znaczenie drugorzędne, jeśli nie trzeciorzędne. Przynajmniej jest taka ogólnoludzka tendencja⁷.

Jeszcze częściej pieniądź pojawia się w kryminałach jako temat marzeń i rozmów o bogactwie, które z bliżej nieokreślonych powodów omija zainteresowanych. Doskonale oddają tę „powszechną społeczną prawdę” słowa niezadowolonej ze swego życia hotelowej recepcjonistki z cytowanej już powieści Adrianny Ewy Stawskiej *Śmierć w klasztorze* (2007): „pieniądze, na ten przykład, to mają nie ci, co powinni. Nawet wydać ich nie umieją, na niczym się nie znają [...]”⁸.

⁶ K. Lewandowski, *Bogini z labradoru*, Wrocław 2007, s. 190.

⁷ A.E. Stawska, *Śmierć w klasztorze*, Kraków 2007, s. 205.

⁸ *Ibidem*, s. 173.

Co sprytniejsza i bardziej świadoma część społeczeństwa, reprezentowana w kryminale zwykle także przez bohaterów epizodycznych, zdobywa pożądane pieniądze w sposób legalny, korzystając z różnego typu dotacji oferowanych przez państwowe czy unijne instytucje. Barwnie przedstawił tę nową dla polskiej rzeczywistości możliwość pozyskiwania finansowych środków Marcin Świetlicki w powieści *Jedenaście* (2008), w wypowiedzi pana Wiesława:

Dzwoni kiedyś do mnie, wyobraź sobie, jeden frend i mówi: „jest kaska do wyjęcia”. I opowiada, że z okazji Roku Wyspiańskiego prezydent miasta może dofinansować różne projekty związane z tym całym Wyspiańskim. Ja już miałem wcześniej cynk, że się różne zespoły nasadziły na tego Staszka i zagrały koncert z piosenkami napisanymi do tych jego, pożał się Boże, wierszy. I że ma wyjść płyta z tymi piosenkami. Elegancko. No to, pomyślałem szybkoitko, czemu ja nie mógłbym trochę tej kaski uszczyknąć? Ciach-ciach przygotowałem CV i aplikację wysmażyłem jak należy, że mam taki projekt, że zrobię awatary postaci z tej jego sztuki *Wesele* w sekondlajfie. I ciach-ciach prezydent dofinansował, ja te chochoły i Rachele zaprojektowałem i chodzą po sekondlajfie i recytują co lepsze kawałki z tego *Wesela*. Robota żadna, a trochę pieniążka rzeczywiście wpadło⁹.

W przeciwieństwie do bohaterów drugiego czy trzeciego planu, jedynie marzących o dużych pieniądzach lub zdobywających je różnymi mniej lub bardziej dopuszczalnymi przez prawo metodami, bohaterowie pierwszoplanowi – szczególnie przedstawiciele wymiaru sprawiedliwości, silnie odczuwają niedobór środków finansowych, zwłaszcza w pracy. Zdarzają się historie, w których zainteresowany sam musi troszczyć się nawet o wynagrodzenie, jak w powieści Stanisława Bieleckiego *Stara klasa* (1997). Główny jej protagonista – pracownik agencji ochrony, wielokrotnie w trakcie czynności śledczych dzwoni do swego szefa i domaga się, by dopilnował podpisania umowy-zlecenia z nowym klientem, który powierzył mu sprawę odnalezienia swej zaginionej żony, gdyż w przeciwnym wypadku straci swój zarobek, a ponadto będzie miał kłopoty z urzędem skarbowym¹⁰. W *Żniwiarzu* (2006) Gai Grzegorzewskiej wprost kupuje się usługi detektywa, oferując kwotę rozwiewającą wszelkie jego skrupuły: „niczego innego teraz nie pragnę, jak odnalezienia mordercy mojej córki Agnieszki. [...] Jeśli się pani podejmie tego zadania, żądam całkowitego rozwiązania sprawy. Jestem gotowa zapłacić za to 100 000 złotych”¹¹. Natomiast w *Panu Szatanie* dziennikarze śledczy decydują się na rozwiązanie „diabelskiej” zagadki za 200 000 dolarów¹².

Z kolei w kryminałach w odmianie retro, zazwyczaj idealizujących wymiar sprawiedliwości z przeszłości, nierzadko podkreśla się brak policyjnych finansów, co utrudnia rzetelne wykonanie powierzonych pracy. Skrajnym przykładem jest wspomniana powieść Maciejewskiego, wyraźnie aluzyjnie nawiązująca

⁹ M. Świetlicki, *Jedenaście*, Kraków 2008, s. 106.

¹⁰ M. Bielecki (Stanisław Bieniasz), *Stara klasa*, Katowice 1997, s. 86, 92.

¹¹ G. Grzegorzewska, *Żniwiarz*, Kraków 2006, s. 9.

¹² I. Grin, *op. cit.*, s. 57.

do współczesnej kondycji służb mundurowych. Śledczy nie tylko nie otrzymują zwrotu poniesionych kosztów za skorzystanie z drożki niezbędnej do przewiezienia ważnych dokumentów do komisariatu¹³ i straszy się ich zabraniami dodatków do pensji¹⁴, ale mają do dyspozycji jedną ryzę papieru na rok, a w razie jej zużycia muszą zakupić papier potrzebny do pisania raportów we własnym zakresie¹⁵. Tytułowy bohater natomiast oszczędza codziennie 80 groszy na dojazd tramwajem do miejsca pracy, by potem zebraną w ten sposób kwotę przeznaczyć na wódkę¹⁶.

Gdy policjanci borykają się z problemami finansowymi, marząc jedynie o ich likwidacji, ich antagoniści raczej nie odczuwają niedostatku pieniędzy. Drugorzędną kwestią pozostaje w tym kontekście ich źródło, chociaż z pewnością nie należy ono do uczciwych, co obrazują enigmatyczne niekiedy sceny przedstawiające ich pozyskiwanie, jak w powieści Macieja Malickiego *Kogo nie znam* (2007): „Przy stole pod ścianą siedział największy łysy z dwiema panienkami – starszą i młodszą. Od czasu do czasu wpadali mniejsi – wręczali mu paczki banknotów. Ważył je w dłoni i skrupulatnie przeliczał”¹⁷.

Co niebagatelne, pieniądz, choć pożądaný, przestał być dla przestępców celem samym w sobie. Motorem akcji nowego kryminału rzadko bywa więc marzenie przestępcy o posiadaniu niezliczonych bogactw, co najwyżej w niektórych kryminałach utrzymanych w konwencji tradycyjnej prozy detektywistycznej, gdy podejmuje się morderstwa dla zysku. Wtedy ofiarą napadu staje się osoba majątna, posiadająca przy sobie sporą kwotę (np. M. Bielecki, *Stara klasa*), bądź taka, po której śmierci zainteresowany dziedziczy majątek (np. M. Bel, *Co go przeraziło?*, 2007; A. Pacholski, *Człowiek o stu twarzach*, 2006). Motywacja finansowa nieobca jest również współczesnym stylizacjom na powieść milicyjną, chociażby w historii Ryszarda Ćwirleja, *Trzynasty dzień tygodnia* (2007), w której mordowani i obrabowywani są kolejno wszyscy członkowie lokalnej „Solidarności”, posiadający dolary przekazane z Zachodu na opozycyjną działalność organizacji¹⁸.

Jednak w większości powstających po 1989 r. historii o przestępczym świecie okazuje się, że pieniądz jest co prawda niezastąpionym składnikiem bezprawnych działań, ale zasadniczy cel kryminalnego aktu kryje się zupełnie gdzie indziej – w planowanym spektakularnym zamachu terrorystycznym (np. Irek Grin, *Pan Szatan*; Konrad Laguna, *Trzeci czwartek listopada*, 2003), w próbie uprowadzenia głowy państwa (np. marszałka Piłsudskiego w *Bogini z labradoru* Konrada Lewandowskiego), w odnalezieniu i przywłaszczeniu pożydowskich skarbów

¹³ M. Wroński, *op. cit.*, s. 36–37.

¹⁴ *Ibidem*, s. 183.

¹⁵ *Ibidem*, s. 42–43.

¹⁶ *Ibidem*, s. 8.

¹⁷ M. Malicki, *Kogo nie znam*, Kraków 2007, s. 21.

¹⁸ R. Ćwirlej, *Trzynasty dzień tygodnia*, Zakrzewo 2007.

skrywanych w podziemiach lubelskiego zamku (Marcin Wroński, *Komisarz Maciejewski*), w mordzie rytualnym (Marek Krajewski, *Widma w mieście Breslau*, 2005; Tomasz Piątek, *Bagno*, 2004) bądź w chęci rozbudowania w legalnym klubie nielegalnego „imperium” świadczącego nietypowe usługi o charakterze seksualno-narkotykowym (Gaja Grzegorzewska, *Noc z czwartku na niedzielę*, 2007). Pieniądz staje się w tym kontekście w mniejszym stopniu celem, a bardziej pożądanym narzędziem manipulacji, regulacji ludzkich zachowań i środkiem zdobywania bardziej przydatnych w akcji innych instrumentów.

W świetle przedstawionych przykładów można mówić o szeroko rozumianym kryminalnym akcie wymiany, polegającym na tym, iż za pieniądze otrzymuje się dobra o wartości niewymiernej pod względem finansowym, jak chociażby niezbędne dla sprawy informacje czy nietypowe usługi. Z reguły wymiana w kryminałach ma charakter wymuszony, ale zdarza się w części z nich, zwykle gdy mowa o śledczych, że akt wymiany ma charakter dobrowolny, dwustronny, jakby zgodnie z tzw. zasadą wzajemności, wpisującą się w system świadczeń całościowych¹⁹. Wedle tej zasady, autorstwa Marcela Maussa, odwołującej się do pierwotnej wymiany dóbr i usług, istnieje niepisane prawo odwzajemnienia otrzymanego daru, choć nie jest wymagana natychmiastowość czy identyczność świadczeń²⁰. Z taką sytuacją mamy do czynienia we współczesnym kryminale, gdy np. osoba potrzebująca pieniędzy w zamian za pewną sumę oddaje „rzecz” nieprzedstawiającą dla niej istotniejszej wartości. Chociażby w powieści Jacka Rębacza *Zakopane: sezon na samobójców* (2006) osiedłowy pijacek, zadowolając się drobną kwotą pozwalającą mu na zaspokojenie swej podstawowej, tj. alkoholowej potrzeby, przekazuje zaprzyjaźnionemu prywatnemu detektywowi informacje o porwaniu poszukiwanej córki ministra, co zdecydowanie przyspiesza przebieg całego śledztwa. Sam występuje zresztą z taką inicjatywą, a obie strony transakcji opartej na wymianie są usatysfakcjonowane osiągniętymi korzyściami. W nurt ten wpisują się też kryminalne akty wymiany z cyklu o Breslau, autorstwa Krajewskiego, w którym prostytutki i ich opiekunowie nie są specjalnie niepokojeni przez policję, ponieważ oddają im część zarobków lub świadczą darmowe usługi seksualne²¹.

Inaczej przedstawia się sytuacja w opowieściach prezentujących wymiany wymuszone, gdy jedna ze stron zostaje nakłonią siłą do współpracy bądź do zbycia na rzecz przestępcy posiadanego przez nią przedmiotu, w czym również widać wyraźne działanie surowego prawa wzajemności. „Odmowa dawania, zaniechanie zaproszenia lub odmowa przyjęcia są równoważne wypowiedze-

¹⁹ M. Mauss, *Szkic o darze*, przeł. K. Pomian, [w:] *Antropologia widowisk*, red. L. Kolankiewicz, Warszawa 2005, s. 63.

²⁰ Zob. S. Szynkiewicz, *Zasada wzajemności*, [hasło w:] *Słownik etnologiczny. Terminy ogólne*, red. Z. Staszczak, Warszawa-Poznań 1987, s. 378.

²¹ M. Krajewski, *Dżuma w Breslau*, Wrocław 2007, s. 15–16.

niu wojny; jest to odrzucenie związku i wspólnoty”²². W kryminale brak zgody na współpracę z przestępcami oznacza po prostu śmierć bądź nękanie odmawiającego, czego dowodzi przywołany już przykład osiedlowego pijaczka, chętnie współpracującego z detektywem, ale zdecydowanie odrzucającego propozycję świadczenia usług informatorskich przestępcom, co wiedzie w efekcie do zabójstwa bezdomnego.

Specyfika szantażu w kryminalnej historii polega na tym, że zastraszona osoba, wyzbywając się pożądanego przez drugą stronę obiektu, otrzymuje czasami w zamian pieniądze, bywa, że znaczne kwoty, bez możliwości odmowy ich przyjęcia. W ten sposób dwukrotne przymuszenie, tj. oddanie wbrew woli posiadanej rzeczy bądź wyświadczenie przysługi i równie wbrew woli przyjęcie pieniędzy, staje się pozornym aktem wymiany. Pozornym, gdyż wymiana ma wyraźnie charakter przestępczy i jej celem staje się uwikłanie niewinnej osoby w kryminalną sprawę, aby nie działała ona na szkodę bandyty. W rzeczywistości służy więc włączeniu pierwszej „ofiary”, z którą mamy w tym wypadku do czynienia, w tzw. wspólnotę przestępczą, czyli grupę osób świadczących sobie wzajemnie usługi natury kryminalnej bądź wiodące do ich realizacji.

Niekiedy bohaterowi udaje się z układu przymusu wypłatać, jak w przywołanej powieści Grina *Pan Szatan*. Prywatny detektyw Józef Dyduch, były zakonnik, zostaje wciągnięty w przemyślną intrygę rozwiązywania zagadki śmierci swych kolegów – dziennikarzy śledczych. Kiedy dociera do domniemanych zleceniodawców morderstw, ci proponują mu ogromną, bliżej nieokreśloną kwotę za nietypową pracę – ma dowieść do Warszawy 12-letniego chłopca, „czarnego francuskiego muzułmanina”²³, i dopilnować, by wystąpił on z orędziem w trakcie europejskiego kongresu dziecięcego w Pałacu Kultury i Nauki, choć nie ma takiego punktu w oficjalnym planie uroczystości. Odmowa współpracy nie wchodzi w grę, gdyż śledczy zdaje sobie sprawę z zagrożenia, jakie ona ze sobą niesie. Zresztą, przestępcy są niezwykle przebiegli – aby przymusowe kontakty „zacieśnić”, uciekają się do szantażu, uprowadzając dwie ważne dla Dyducha kobiety: narzeczoną Matyldę oraz wspomnianą już prostytutkę Marię, przyjaciółkę nieżyjącego przyjaciela. Za tę specyficzną pracę detektyw otrzymuje znaczne sumy w dolarach, pierwszą ratę w gotówce²⁴, drugą w formie przelewu na specjalne konto²⁵. I tu ujawnia się kolejna, nowa właściwość kryminalnego pieniądza, odbijająca jego kondycję również w świecie rzeczywistym – jego wirtualność. Swoista niewidzialność środków płatniczych przepływających z konta na konto, ich niewymierność w stosunku do usług, za które są przekazywane, sprawia, że pieniądź – jak twierdzi autor teorii symulaków – sam staje się „towarem” osią-

²² M. Mauss, *op. cit.*, s. 67.

²³ I. Grin, *op. cit.*, s. 249.

²⁴ *Ibidem*, s. 130.

²⁵ *Ibidem*, s. 250.

gającym status znaku, wymykającym się wartości użytkowej²⁶. „Uwolniony się spod władzy rynku, pieniądz staje się symulakrem autonomicznym, pozbawiony funkcji komunikacyjnej i wyzutyk z wszelkiego znaczenia odnoszącego się do wymiany, sam staje się przekazem, który wymienia się sam na siebie”²⁷.

W kontekście omawianej kryminalnej akcji nie do końca wiadomo, kto płaci i ile, nie wiemy dokładnie za co, gdyż przewóz chłopca do Polski nie wydaje się zbyt skomplikowanym zadaniem, do tego godnym wysokiego honorarium. Dopiero finał tak naprawdę ujawnia właściwy cel podróży, a tym samym rzeczywisty charakter powierzonej funkcji, i wyjaśnia związaną z nią sutą zapłatę. W zakończeniu omawianej historii bohater orientuje się bowiem, że malec pod luźną szatą ma materiał wybuchowy i jego prawdziwym zadaniem jest dokonanie samobójczego zamachu terrorystycznego, mającego doprowadzić do śmierci tysięcy małych parlamentarzystów. Wbrew „umowie” detektyw morduje więc chłopca – strzela mu w głowę w sali wypełnionej dziećmi, wybierając „mniejsze zło”. W związku z tym, że zasada wzajemności z racji wymuszenia od początku miała charakter negatywny, tragiczny incydent jedynie unaocznia jej niewłaściwość.

Z przestępczej wymiany wymyka się także, chociaż w inny sposób, bohater przywoływanej już powieści Wrońskiego *Komisarz Maciejewski* – profesor Achajczyk, historyk sztuki, który zaangażowany do opieki nad pracami konserwatorskimi w podziemiach lubelskiego zamczyska i dobrze za to opłacany, z czasem orientuje się, że w rzeczywistości jest pionkiem użytym do nieczystej gry nastawionej na zagrabienie pożydowskiego mienia. Gdy pragnie z umowy się wycofać, proponuje mu się w ramach „nagrody” dodatkowe, niemałe pieniądze, a gdy odmawia, podejmuje się próby zabójstwa. Jak była o tym mowa, nie można dobrowolnie zrezygnować z członkostwa we wspólnocie przestępczej bez żadnych konsekwencji, czego profesor jest zresztą świadomy:

Oczywiście, przeszło mi przez głowę, że mogę wziąć pieniądze, zapewnić sobie spokój i środki do końca życia. Jednak poznałem nieco tych ludzi i dobrze wiem, że na tym by nie po-przestali. Mieliby mnie jak na widelcu i wynaleźliby sposób, żeby pograżyć, a siebie postawić poza podejrzeniem. Proszę pana, tu chodzi o kwoty, którymi każdy się udławi [...]”²⁸.

Jedyną formą definitywnej odmowy współpracy w takiej sytuacji okazuje się jego ucieczka poza granice kraju.

W większości wypadków ludzie nie odmawiają współpracy z przestępcami, gdyż żąda pieniądza przysyłania zdrowy rozsądek i neutralizuje strach przed bezprawnym działaniem. Jak silny jest to bodziec, pokazuje nawet kreacja śledczego w nowych polskich kryminałach, która znacznie odbiega od wzorcowego typu nieskazitelnego detektywa. Wbrew pozorom, nawet pozytywni boha-

²⁶ J. Baudrillard, *Wymiana symboliczna i śmierć*, przeł. S. Królak, Warszawa 2007, s. 33.

²⁷ *Ibidem*.

²⁸ M. Wroński, *op. cit.*, s. 223.

terowie, z jakimi mamy tu do czynienia, nie są pozbawieni „żądzy pieniądza”, chociaż w większym stopniu nad nią panują. Komisarz Maciejewski z utworu Wrońskiego w trakcie przeszukania mieszkania denata znajduje plik banknotów, które dyskretnie zatrzymuje, by następnie ich część wydać na własne potrzeby, część na pokrycie kosztów związanych ze śledztwem, a resztę podrzucić nielubianemu współpracownikowi, aby oskarżyć go o przywłaszczenie mienia ofiary. Przywołani już policjanci z tzw. obyczajówki w *Dżumie z Breslau* Krajewskiego, przymykając oczy na grzeszki urzędników i alfonsów, otrzymują pewien procent ich zarobków. Detektyw z historii Irka Grina bez specjalnych skrupułów wydaje natomiast pozyskane w nietypowy sposób pieniądze na różne przyjemności, tłumacząc to działaniem z premedytacją, mającym uwiarygodnić jego osobę w oczach opłacających go terrorystów. Jak sam twierdził:

miałem plan! Tylko brakowało mi kilku danych. Odnosiłem wrażenie, że właśnie tutaj pozostałe elementy tajemnicy zaczną się ujawniać i wpasowywać w koncept złoczyńców. W zamysł, którego stałem się dobrze naoliwionym (przez pieniądze) trybikiem. Z drugiej strony moja rola wciąż zdawała się niejasna, co powinno mnie niepokoić, ale nie niepokoiło, bo jestem człowiekiem, który nie nauczył się martwić na zapas²⁹.

Jak łatwo więc zauważyć, „żądza pieniądza”, w mniejszym lub większym stopniu, ogarnia wszystkich bohaterów kryminału – od tych epizodycznych, przez drugo- aż po trzecioplanowych, jednych zatrzymując w sferze marzeń o bogactwie, drugich skłaniając do szukania nowych źródeł zarabkowania czy pozyskiwania środków z legalnych funduszy, a niektórych popychając do niemoralnych lub co najmniej dwuznacznych działań. Rodzi się więc pytanie, z jakich powodów wszyscy uczestniczą w pogoni za pieniądzem, sprzedając siebie, swe ciało, uznawane wartości, dopuszczając się najgorszych zbrodni, łącznie z bratobójstwem, jak w powieści *Noc z czwartku na niedzielę*. Odpowiedź zdaje się równie banalna jak postawione pytanie. Po 1989 r., kiedy rozpoczął się proces transformacji, także w sferze konsumpcji, pieniądź zaczął być postrzegany w Polsce jako miernik ludzkiej wartości, wyznacznik sukcesu i osobistego szczęścia. Uwierzono w jego sprawczą, cudowną moc, dzięki której można zmieniać i siebie, i świat:

Pieniądź posiada właściwość nabywania wszystkiego, właściwość przyswajania sobie wszystkich przedmiotów, jest więc przedmiotem *par excellence* [...] Siła moja jest tak wielka, jak wielka jest siła pieniądza [...] Nie osobowość moja określa więc, czym jestem i na co mnie stać. Jestem brzydki, ale mogę sobie kupić najpiękniejszą kobietę. A więc nie jestem brzydki, bo działanie brzydoty, jej siłę odstraszającą zniweczył pieniądź. Sam jestem chromy, ale pieniądź dostarczy mi 24 nóg; a więc nie jestem chromy [...] Czyż więc moje pieniądze nie zamieniają wszystkich moich niemożności w przeciwieństwo?³⁰

Brak pieniędzy w związku ze społecznym wyobrażeniem o jego wszechmocnej roli rodzi frustrację i przekonanie, że ci, którzy je mają w nadmiarze,

²⁹ I. Grin, *op. cit.*, s. 247.

³⁰ Cyt. za U. Eco, *Historia brzydoty*, Poznań 2007, s. 12.

mogli je pozyskać jedynie w nieuczciwy sposób, wkraczając w obszar działań przestępczych. Już samo posiadanie bogactwa staje się więc w powszechnej opinii moralnie podejrzane, co nie zmienia faktu, że jest powszechnie pożądane. „Żądza pieniądza” i w polskiej rzeczywistości, i w kryminałach, które o niej opowiadają, jest bowiem tak naprawdę żądzą przyjemności, ale w większym stopniu żądzą władzy, żądzą panowania nad światem i ludźmi, a co najmniej nad swoim życiem, z którego bohaterowie kryminału rzadko bywają zadowoleni, jak jedna z bohaterek powieści Gai Grzegorzewskiej: „plany tej kobiety sięgały daleko w przyszłość. Chciała pieniędzy i chciała władzy. Przy okazji zauważyła, że może się też łatwo pozbyć męża, obciążając go swymi zbrodniami [...]”³¹.

Fikcyjni ludzie z kryminału, podobnie jak ci prawdziwi, wierzą bowiem, iż jedynie dzięki pieniądзом dotychczasowe życie można wymienić na lepszy, a co najmniej inny model.

³¹ G. Grzegorzewska, *Noc z czwartku na niedzielę*, Kraków 2007, s. 193.

KRYSTYNA MODRZEJEWSKA
Uniwersytet Opolski

Pieniądze, szaleństwo i władza w dramacie Jeana Giraudoux *Wariatka z Chaillot*

Zresztą rzeczywistość nigdy nikogo nie interesowała. Jest miejscem odczarowania, miejscem, w którym symulakra gromadzenia zostaje przeciwstawiona śmierci. Nic gorszego. Niekiedy właśnie czające się w tle wyobrażenie katastrofy sprawia, iż rzeczywistość, prawda zaczynają fascynować¹.

Grożąca katastrofa stanowi siłę napędową zdarzenia dramatycznego w sztuce *Wariatka z Chaillot* (*La Folle de Chaillot*, 1945), ostatnim dramacie Jeana Giraudoux (1882–1944), francuskiego dramaturga, dokończonym przez Louis Jouveta. Autor, wielokrotnie zabierający głos w sprawach istotnych, jako dyplomata dostrzegał lepiej niż inni zagrożenia pojawiające się na horyzoncie. Jasność widzenia połączona z ogromną erudycją intelektualisty i urokiem osobistym sprawiały, że jego wypowiedzi cieszyły się ogromnym zainteresowaniem współczesnych, podobnie jak jego sztuki teatralne, oczekiwane z dużą nadzieją i niecierpliwością przez paryską publiczność². Tym razem zdarzenie dramatyczne Giraudoux wykreował wokół śmiertelnego zagrożenia dla kultury, groźby całkowitego zniszczenia Paryża w związku z odkryciem roponośnych złóż pod jego ulicami. Tytułowa wariatka, Aurelia, wraz z trzema koleżankami uratuje Paryż.

Już lista postaci dramatu wyraźnie wskazuje przyjęty przez autora porządek świata. Występują obok siebie postaci mające cechy-wyróżniki pewnych kategorii społecznych, między innymi: Prezes, Baron, Szmaciarz, Sprzedawca sznurowadeł, Makler, Żongler, Rentier, Elegant, Prospektor, Boy, Starszy felczer Jadin, Ratownik, Policjant, Gość antypatyczny, Robotnik kanalizacyjny, Prezesi rad nadzorczych, Zrzeszeni prospektorzy, Przedstawiciele narodu, Przedstawiciele Zrzeszenia Agencji Reklamowych, Przewodnicy. Taki dobór reprezentantów paryskiego świata wyraźnie pokazuje stanowisko autora, zawsze z ironią

¹ J. Baudrillard, *O uwodzeniu*, przeł. J. Margański, Warszawa 2005, s. 48.

² Por. J. Body, *Jean Giraudoux*, Paris 2004, „Cahiers Jean Giraudoux” 19, Paris 1990.

traktującego przedstawicieli władzy³, którzy i tym razem pokazani są jako postaci płaskie i często anonimowe. Natomiast władzę realną mają przedstawiciele paryskiego marginesu, postaci barwne, pogłębione, zróżnicowane, co sprawia, że mamy do czynienia z wizją świata *à rebours*, a szaleństwo tytułowej bohaterki otwiera pole wyobraźni, przyzwalając na zachowania niekonwencjonalne i rozwiązania nieoczekiwane⁴.

Sztukę rozpoczyna rozmowa Prezesa i Barona na tarasie kawiarni u Francisa na placu Alma w Paryżu, gdzie pragną uczcić historyczny dzień założenia nowej spółki. Delektują się specjalnym gatunkiem porta, palą cygara z monogramem prezesa, co Baron komentuje:

Czuję się jak w jakiejś bajce arabskiej. Zdaje mi się, że to jeden z tych poranków w Bagdadzie, kiedy złodzieje zawierają znajomość i zanim wyruszą na nowo próbować szczęścia, opowiadają sobie swoje życie⁵.

Środowisko biznesu Giraudoux portretuje z dużą bewzględnością. Już w pierwszej scenie Jan Hipolit baron Tommard opowiada Prezesowi jednym tchem swoje pięćdziesięcioletnie życie, w którym najważniejsze były transakcje sprzedaży rodzinnych majątków jego przyjaciółek:

Wymieniałem nazwy miejscowości na imiona, Essarts na Memenę, Maladrerie na Linde, Durandière na Daisy. Im bardziej były francuskie nazwy miejscowości, tym bardziej egzotyczne stawały się imiona. Mój ostatni folwark nazywał się Frotteau, ostatnie imię brzmiało Anoczka. (W, 606)

W okresie mniej pomyślnym musiał, korzystając z pośrednictwa pewnego księgarza, pisać tłumaczenia i rozwiązywać zadania uczniom z liceum Jansona. „Ta pilność w odrabianiu lekcji”, którą nie odznaczał się w dzieciństwie, przyniosła mu nagrodę obiecywaną wzorowym uczniom w czytankach. Został przedstawiony Prezesowi, który uznał na podstawie brzmienia jego nazwiska, że byłby „godnym albo przynajmniej wygodnym” dla spółki, którą dziś zakłada, członkiem rady nadzorczej.

Swoje życie opowiada Prezes, Emil Durachon, rozpoczynając od obrazu zaharowanej matki:

Moja matka, Ernestyna Durachon, wypruwała sobie żyły, aby mieć na opłacenie mojego internatu i szkoły. Nie widziałem jej nigdy inaczej, jak przykucniętą i myjącą podłogę. Kiedy ją w pamięci stawiam na nogi, nie mogę nawet rozpoznać jej twarzy, która wtedy patrzy mściwie i pluje na mnie. (W, 606–607)

³ Por. sceny na dworze królewskim w dramacie Jeana Giraudoux *Ondyna*.

⁴ Szaleństwo pozwala na pokazanie relacji niemożliwych do wyświetlenia w zwykłym porządku, co lapidarnie ujmuje J. Baudrillard (*Symulakry i symulacja*, przeł. S. Królak, Warszawa 2005, s. 15): „Nic nie ulega zmianie, gdy społeczeństwo rozbija zwierciadło szaleństwa”.

⁵ J. Giraudoux, *Wariatka z Chaillot*, przeł. M. Żurowski, [w]: *idem, Teatr*, Warszawa 1957, s. 605. Cytaty z tego wydania oznaczone w tekście (W, numer strony).

Nie wiadomo, dlaczego wyrzuca z siebie od razu, w pierwszej rozmowie, informacje o niechlubnej przeszłości, jakby nie zależało mu na korzystnym wizerunku w oczach rozmówcy. Zachowuje się tak, jakby nie obejmowały go kryteria powszechnego wartościowania. Wyznaje, że został usunięty z internatu, gdyż założył wypożyczalnię wydawnictw pornograficznych, żądając od kolegów wysokich opłat za korzystanie z niej. Do Paryża przybył, by „podpatrzeć sposoby sławnych ludzi”. Wspomina początek kariery, gdy jako goniec w gazecie „Fronde” zanosił martwe psy na cmentarz zwierząt w Asnières. Następnie pracował u Sary Bernhardt, u której przestało mu się powodzić, „odkąd chlebobawczyni zaczęła liczyć swoje walizki”. Potem rozczarowany i rozgoryczony, kradł opony u mistrza kolarstwa Jacquelina. Jak powiada, „stosunki ze sławą nic [mu] nie dały” (W, 607). Biedny, głodny i upokorzony zwrócił się ku twarzom bez nazwiska i w ten sposób zdobył powodzenie:

Pierwsza z tych wymokłych twarzy, spotkana między pasażerami metra, nastręczyła mi mój pierwszy prawdziwy zarobek – tysiąc franków za puszczenie w obieg fałszywych pięciofrankówek. Druga, tak samo nijaka [...] wywołała rozkwit mojego talentu powierzając mi kierownictwo imprezy, która polegała na sprzedawaniu niedziałających baterijek elektrycznych. Zrozumiałem już wszystko. Odtąd nie trzeba mi było nic więcej, jak tylko korzystając ze szczęśliwych okazji powierzać swój los każdej takiej twarzy bez życia [...] dzięki temu jestem tym, czym pan mnie dziś widzi, prezesem jedenastu spółek, członkiem pięćdziesięciu dwóch rad nadzorczych, właścicielem tyluż kont bankowych i niebawem dyrektorem światowej firmy, w której pan chciał przyjąć stanowisko. (W, 607)

Poufne wyznania uczestników spotkania zwiążą ich tajemnicą i zmuszą niejako do jej zachowania także w ich wspólnym przedsięwzięciu. Zwierzenia te potwierdzą cechy ich działania, wcześniej sygnalizowane w autoprezentacjach: spowodowanie katastrofy transportowca, ubezpieczonego powyżej swojej wartości, szantaż ze skutkiem samobójczym, sprzeniewierzenie powierzonego mienia. Jean Giraudoux jest bezwzględny w obnażaniu nieuczciwości i braku jakichkolwiek zasad moralnych w powiększaniu majątku. Ich wypowiedzi to kwintesencja porządku świata, w którym oszustwo i brak skrupułów pozwalają zdobyć bogactwo i mieć wpływ na bieg zdarzeń, by sprzyjał pomnażaniu się ich majątku. Rozmowa Prezesa z Baronem pokazuje reguły działania członków spółki. Na pytanie Barona, czy byłoby niedyskrecją zdradzenie charakteru przedsięwzięcia, w którym deklaruje swój udział, Prezes odpowiada:

Żadną niedyskrecją, ale też nie jest to rzecz praktykowana. Pierwszy raz widzę członka rady nadzorczej, który interesuje się takimi sprawami. (W, 608)

Pytany o kapitał, produkcję i perspektywy oraz złoza, Prezes cierpliwie i wyczerpująco wyjaśnia zasady i priorytety nowo powstałego przedsięwzięcia:

Drogi baronie, musi pan zrozumieć, że nowo powstającej spółce akcyjnej nie jest potrzebny obiekt działalności, lecz tylko nazwa. My, działacze na niwie handlowej, nigdy nie wyrządzamy naszym udziałowcom zniewagi, jaką by było przypuszczenie, że deklarując swoje udziały, mają

oni na widoku cele merkantylne, a nie swobodną grę wyobraźni. Dogodzić ich wyobraźni – to jedyna nasza ambicja. Nie popełniamy błędu powieściopisarzy, którzy mając gotowy tytuł uważają, że powinni jeszcze dodatkowo napisać powieść. (W, 609)

Wśród gości kawiarni pojawia się twarz, jaką przed chwilą opisywał Prezes, „martwa jak kamień”:

kamień węgielny ludzkiego sprytu, ludzkiej zachłanności i uporu. Kamień milowy na szlakach hazardu, stali, rozpusty, fosfatów. Takimi kamieniami znaczone są etapy kariery zbrodni, kryminału i władzy... (W, 609)

Prezes opowiada o swoich zasadach, podkreślając, że o ile nie zwierza się ani żonie, ani córce, ani przyjacielom, ani urzędnikom, o tyle rozmawia bardzo otwarcie z nieznanymi, których mu zsyła przypadek i którzy dają mu gwarancje

w postaci twarzy bez życia. Te wykrzywione wargi, te oczy patrzące w bok, są w naszej dziedzi nie rękojmą lojalności, naszej lojalności. (W, 609)

Bardzo plastycznie opisuje cechy charakterystyczne bogaczy, „rycerzy fortuny”, jak ich nazywa, „matowość cery i trupi odbłask na twarzy” (W, 610). Jego wywód, zakłócony pojawieniem się Głuchoniemego i Sprzedawcy sznurowadeł, przerywa wyznanie:

Panie baronie, nie mam prawa wydawać panu poleceń. Jedyną rzeczą, którą mogę uczynić – i tym się zajmujemy na naszym pierwszym zebraniu – jest ustalenie wysokości żetonów za pański udział w posiedzeniach oraz ewentualnie oddanie panu do dyspozycji samochodu. Okoliczności zmuszają mnie wszakże, abym pana prosił jak najuprzejmiej o poniesienie jakichkolwiek zakupów u tego człowieka. (W, 611–612)

Życzenie wyrażone jest tak wykwinie, że Baron nie może mu się oprzeć. Następuje po nim monolog wyrażający pogardę dla sprzedawcy sznurowadeł i jemu podobnych:

To plugastwo żyje w swoim ohydny świecie, dzięki któremu daje sobie radę bez nas. Sprzedawcy sznurowadeł mają tam klientów, którzy chodzą boso, handlarze krawatów obsługują włóczków noszących swetry pod szyję, handlarze zabawkami sprzedają nakręcane kaczki tragarzom z hal. Stąd to szyderstwo w ich głosie, ta beczelność spojrzenia. Stąd ich skandaliczna niezależność. Niech pan tego nie popiera. (W, 612)

Widać wyraźnie, że ci pogardzani handlarze z podziemnego paryskiego świata mają coś, czego brak ludziom o zamożności i statusie Prezesa. Niezależność i zaradność drobnych sprzedawców jest wartością, której Prezes zazdrości im tak bardzo, że nie może mówić o tym tonem obojętnym.

Nie tylko osoby, ale także mechanizmy funkcjonowania kapitalistycznego świata, opartego na zysku jako wartości nadrzędnej, ukazane są w dramacie jednoznacznie negatywnie. Procedury planowania i dokonywania operacji giełdowych wyjawia Makler:

Primo: emisja. Akcje są *al pari*, sto za sto. Wartość akcji zwyczajnie ustalam na sto dziesięć, czyli tyle co akcje założycielskie, dzięki czemu mogę je odsprzedać po sto dwadzieścia, a po spro-

wokowanej przez nas panice, kurs ustala się na dziewięćdziesiąt jeden i jedna piąta punktu... Nasi agenci rozpuszczają delikatną pogłoskę o wojnie. Poruszenie wśród klienteli, a my wykupujemy. (W, 612)

Makler nosi nazwisko Chopin, Georges. Cynicznie wyznaje, że dzięki nazwisku kompozytora słyszy często: „pianista nas sprzedał”, „pianista zarobił na dwa lata”, „strzelajcie do pianisty”. Potrafi on ulokować kapitał tak, by pomnażał się satysfakcjonująco:

Za pośrednictwem tytularnego inspektora finansów, kierującego robotami publicznymi, podpisuję pożyczkę inwestycyjną i przenoszę na subwencje rzepakowe ubezpieczenia robotnicze przewidziane dla budowy zapór wodnych w Masywie Centralnym. Całą resztę zastrzeżoną dla drobnej oszczędności dostaje Bank Powszechny i Kredyt Lyoński, które nam bonifikują dziesięć procent od ustawowych odsetek. Pozostaje fundusz nieruchomości, który można by księgować w operacjach bieżących, wtedy jednak podlegałby podatkowi od kapitału dochodowego... (W, 613–614)

Dynamikę i rozmach wizji Maklera, dalekowzroczność planów, znajomość rynku inwestycyjnego i planu zagospodarowania przestrzennego, znajomość różnego rodzaju posunięć, pozwalających wyeliminować lub zminimalizować ryzyko transakcji, udział w przedsięwzięciu inspektora finansów, „który jest stałym delegatem przy tymczasowej komisji tekstyliów”, przerzucenie rezerwy dozwolonej dla bawełny na węgiel brunatny, zachwycają Rentiera. Oddaje do dyspozycji maklera siebie i swoje oszczędności z komentarzem: „Oddaję w pańskie ręce duszę i ciało!” (W, 614). Deklaruje wdzięczność do grobowej deski, mimo kąśliwych uwag Maklera, że nie musi niczego podpisywać jako osoba niebędąca akcjonariuszem.

Nowo powstała spółka akcyjna powinna mieć nazwę jasną i niedwuznaczną. Nadano jej miano „Towarzystwo Eksploatacji Złóż Paryskich”. Barwne opowiadanie nowo poznanego człowieka sukcesu zawiera magiczne słowo „prospekcja”, które wzbudziło duże uznanie zebranych, co wykorzystuje Prezes:

Prospekcja, poszukiwanie złóż! [...] to właśnie dzisiaj rządzi światem! Prospekcja wynajduje we wnętrzościach ziemi rezerwy gazu lub metalu, które stanowią najsolidniejszy fundament dla jedynego związku między ludźmi, jaki uznaje nasza epoka, zmęczona narodowymi i patriarchalnymi formami organizacji – dla spółki akcyjnej! Pan prospektor przynosi nam nieocenioną ideę! Proponuję, żebyśmy umieścili naszą firmę na terenie prospekcji. (W, 618)

Prezes proponuje, by poszukiwano złóż pod ulicami Paryża. Prospektor jest przekonany o istnieniu „miliardów pod brukiem Paryża”, gdyż „Paryż jest miejscem najmniej zbadanym przez prospektorów”. Giraudoux wykpiwa tu bezmyślność ludzi kierujących się jedynie chęcią zysku. W rozmowie wspólników pojawiają się ekolodzy jako przeszkoda w realizacji planów prospekcji. Prezes zapewnia, że ma dobre kontakty z władzami miasta i na pewno uzyska wymagane pozwolenie „choćby to miało być w samym środku Ogrodu Tuileryjskiego” (W, 620). Nie robi na nim wrażenia wątpliwość Prospektora:

W każdej dzielnicy, gdzie mi zalatuje naftą, żelazem, platyną, przeszkadzają mi dużo silniejsze wyziewy zmarłych pokoleń albo żywych namiętności, i te wyziewy rozpędzają tamte albo je zagłuszają. (W, 620)

Pojawia się Wariatka z Chaillot, w stroju wielkiej damy, w jedwabnej spódnicy z ogonem, podpiętym parą metalowych szczypczyków do wieszania bielizny, w pantoflach w stylu Ludwika XIII, w kapeluszu „à la Maria Antonina”, na łańcuszku lorgnon, kamea, koszyk na zakupy w rękę. Jej obecność tak przeszkadza zebranym, że polecają kelnerowi ją usunąć. Jego stanowcza odmowa oraz szacunek, z jakim zwraca się do Wariatki, wprowadza zebranych w jeszcze większą irytację. Potrącony przez nią kieliszek, wylana na spodnie Prezesa zawartość, wywołują w nim atak wściekłości:

To są nasi prawdziwi wrogowie, baronie! Powinniśmy się ich pozbyć z Paryża, nie zwlekając ani chwili! Przepędzić te kukły tak do siebie niepodobne barwą, wzrostem, ruchami! Cóż bowiem jest jedyną gwarancją, jedyną podstawą świata naprawdę nowoczesnego? Jednolity typ człowieka pracy – ta sama twarz, to samo ubranie, te same gesty i słowa u każdego. (W, 625)

Jest to szczególnie irytujące w dzielnicy ekskluzywnej, w której mieszka „największa w Paryżu liczba dyrektorów i miliarderów, wypelzają i paradują na naszych oczach te duchy kuglarstwa, żonglerstwa, szalbierstwa”.

Świadomy jest zagrożenia wynikającego z dobrego humoru nędzarzy, pogardliwego i bezczelnego zachowania służby, gdy „szaleństwo cieszy się szacunkiem i sympatią” (W, 625).

Rozwój wypadków potwierdza, że grupy nieformalne zdominowały kawiarnię. To one budzą szacunek w dzielnicy. Bogaci w świecie dramatu zostaną przez przebiegłą wariatkę sprowadzeni do podziemia i tam unicestwieni. Ona podejmuje najważniejsze decyzje, przy udziale Szmaciarza. Jej podwójny status, raz jest wariatką, raz Aurelią, postacią serio, bez ekstrawagancji, pozwala autorowi na granie konwencją. To postaci półświatka, w zwykłym świecie zmarginalizowane lub nawet odrzucone, w dramacie Giraudoux wygłaszają kwestie dotyczące radości życia. Tak zwane ważne postaci są do siebie bardzo podobne. Jednakowo ubrane i jednakowo bezduszne. Ich filozofia jest bardzo prosta: pomnażać majątek, nie bacząc na zniszczenia, jakie z tego wynikają.

Przykładem potwierdzającym porządek świata *à rebours* jest postać policjanta. W każdej rzeczywistości gwarantuje on porządek. W dramacie Giraudoux Wariatka wzywa posterunkowego, by potwierdził, że jest jej do twarzy z irysem przypiętym do ubrania oraz by uznał, że Piotr jest „dużo ładniejszy od Adolfa Bertaut” (W, 635). Zazwyczaj obywatele tłumaczą się przed policjantami z popełnionych wykroczeń. W dramacie Giraudoux sytuacja jest odwrotna. Widać to bardzo wyraźnie, kiedy policjant, chcąc spisać dane niedoszłego topielca, zostaje skarcony przez Wariatkę:

Co mu z tego przyjdzie? Czy on nie będzie mógł się utopić, kiedy się dowie swojej daty urodzenia? [...] Proszę schować notes i pocieszyć go... [...] Strażnicy porządku społecznego powinni

zachwalać życie tym, którzy chcą się zabić [...] Wy gilotynujecie morderców. Przepędzacie handlarzy warzyw z miejsc, gdzie nie ma postoju. Nie pozwalacie, żeby dzieci pisały na murach. Więc widocznie podoba wam się życie czynne, szlachetne i czyste... Niech mu pan powie... Właśnie funkcjonariusze, którzy organizują życie, mają obowiązek go bronić... Co to za strażnik porządku, który nie stoi na straży życia... (W, 636)

Policjant posłusznie wykonuje polecenie Wariatki i usiłuje zachęcić Piotra do życia:

Samobójstwo, panie Fabrycy [zdaniem Wariatki: „W południe wszyscy mężczyźni mają na imię Fabrycy” – przyp. K.M.] jest zbrodnią przeciwko państwu. Każdy samobójca oznacza ubytek jednego żołnierza, ubytek jednego płatnika podatków... (W, 637)

Wariatka nie zaakceptuje takiego sposobu ukazywania radości życia. Dalej prowokuje policjanta do wyznań, pytając: „Kim pan jest: urzędnikiem skarbowym czy miłośnikiem życia?” (W, 637). Uzyskuje szczerą odpowiedź o jego namiętności do gry w pikietę. Wariatka jednak staje się napastliwa:

Czy w zakresie rozkoszy to jest wszystko, czym policja może się pochwalić? [...] Nie jest pan wart pensji, którą panu płacą, panie posterunkowy. Założę się, że żaden młody człowiek, który postanowił popełnić samobójstwo, nie zmieni zamiaru pod pańskim wpływem. (W, 638)

Piotr, ufając Wariatce, opowiada jej o planach Prezesa i Prospektora, którzy chcą zburzyć Paryż, by znaleźć naftę. A zrobią z nią: „To, co się robi z nafty. Nędzę. Wojnę. Brzydotę. Świat nieszczęśliwy” (W, 648).

Władza pokazana jest w dramacie w kilku aspektach. Występują obok siebie protagoniści reprezentujący władzę nominalną w różnych jej postaciach oraz realną, opartą na autorytecie. Władzę nominalną symbolizuje w dramacie mundur policjanta, frak i cylinder, a także posiadana fortuna, stanowiąca o możliwości wpływania na losy świata. Władzę realną uosabia Szmaciarz, bardzo ważna postać dramatu, *porte-parole* autora. To on opowiada między innymi o degradacji wartości współczesnego świata. Stosowane przez niego uproszczenia nie umniejszają wagi jego obserwacji dotyczących bogaczy:

Na ulicy z gołą głową, a jak gdzie wchodzą, wkładają kapelusz. Mówią prawie nie otwierając ust. Nie biegają, nie spieszą się. Nigdy nie widać, żeby się pocili. Uderzają papierosem o papierośnicę, zanim zapalą. Głośno jak sto diabłów. Mają zmarszczki i torby pod oczami, jakich my nie mamy. Można by pomyśleć, że mają inne grzechy główne niż my. Mają nasze kobiety, ale w ozdobniejszych i bardziej rozmaitych wydaniach. Kupili manekiny z wystaw sklepowych, razem z futrami, i za dopłatą kazali je ożywić. To są ich żony. (W, 650)

Zajęcie biznesmenów oraz ich zachowanie Szmaciarz opisuje z sarkazmem:

Nie mają żadnego fachu. Kiedy się spotykają, mówią szeptem i podają sobie z ręki do ręki banknoty po pięć tysięcy. Można ich zobaczyć koło giełdy, ale nie wykrzykują cen; koło domów przeznaczonych na rozbiórkę, ale nie pracują [...] Dawniej wydawało się, że towary, że sztuki teatralne same się sprzedają, same się przedstawiają. Teraz wszystko, co się je, wszystko, co się ogląda, co się kombinuje, i wino też, i przedstawienia, ma swoich alfonsów, którzy to wszystko wyprowadzają na ulicę i pilnują tego, a sami nic nie robią. Tak, tak, pani hrabino, to są alfonsy

[...] świat jest pełen alfonsów. Oni wszystkim rządzą i wszystko psują [...] Każdy artykuł ma swojego alfonsa. I dlatego wszystko drożeje, pani hrabino. Pani, na przykład, pije białe wino z likierem cassis. Z każdego franka, którego pani płaci, dwa centymy bierze alfons od białego wina, dwa – alfons od likieru. (W, 651)

Ten bardzo trafny, dowcipny komentarz dotyczący mechanizmów gospodarki rynkowej, postrzeganych przez konsumentów ponad pół wieku temu, nie stracił na aktualności. Jako człowiek teatru Giraudoux ze szczególną troską przyglądał się kulturze. Niepokojem napawało go dostrzeganie wszechobecności reguł wolnego rynku, także w tej dziedzinie. Kultura, z natury swojej, nie może bez negatywnych konsekwencji dla jakości pełnienia swojej misji poddać się regułom opisywanym przez zysk i stratę. Giraudoux jako wizjoner okazał się nie tylko bardzo odważny. Jego prognozy wygłaszane przez Szmaciarza na temat dominacji kapitału, ekonomii w rządzeniu światem sprawdziły się i wyraźnie widać ich konsekwencje zwłaszcza w kontekście kryzysu:

nadchodzi czas niewolników. My jesteśmy ostatni ludzie wolni [...] Śpiewak będzie musiał ułożyć się z alfonsiem od piosenek, a ja z alfonsiem od koszy na śmiecie. Inaczej nie damy rady. (W, 651)

Nawet dla Wariatki wizja prezentowana jest tak przykra, że chciałaby natychmiast uwolnić świat od tych wszystkich niepożądanych osób, do których należą:

Prezesa rad nadzorczych, dyrektorzy administracyjni, sekretarze generalni przedsiębiorstw, deputowani z departamentu Alpy Nadmorskie wybrani do komisji budżetu marokańskiego, sekwestраторzy państwowi, pan Duplat-Vergorat, bez zawodu... Pan Iks z agencji reklamy itd., itd.... (W, 653)

Policjant ostrzega ją, że zadanie jej utrudni przede wszystkim ich zdolność do metamorfozy:

Oni mają węch. Nam, w policji, nigdy nic się z nimi nie udaje. Wystarczy zbliżyć się do nich, a już zmieniają postać. Podchodzę do dyrektora administracyjnego, a z niego tymczasem robi się prezes; do prezesa, a to już jest prezes honorowy; do maklera pracującego na report, ale okazuje się, że to makler terminowy; podchodzę do deputowanego, a on właśnie zostaje ministrem... (W, 653)

Wariatka znalazła na nich sposób. Pojęła prostą zależność wynikającą z chciwości, której towarzyszy głupota. Na naradzie wariatek, od której zależy szczęście ludzkości, uświadamia im: „Nie można się łudzić, że ktoś oprócz nas zechce nauczyć świat rozumu” (W, 674).

W teatrze Jeana Giraudoux władza, i to zarówno ta mundurowa, jak i ta wynikająca z wysokiej pozycji zajmowanej w hierarchii społecznej za sprawą posiadanego majątku, zostaje wyszydzona i skompromitowana. Akcentuje to wyraźnie postać inteligentnego i barwnego Szmaciarza. Dzięki swoim przymiotom, niezależności, filozofii życiowej, umiejętności dystansowania się wobec wartości narzuconych to on reprezentuje w dramacie władzę rzeczywistą. To Szmaciarz

gra na giełdzie, i to w sposób oryginalny, niepoddający się jakiegokolwiek logice finansowej. Na pytanie Aurelii o powód sprzedania akcji „Dolnej Amazonki” po tysiąc franków oraz obniżenia ich kursu w ciągu tygodnia na trzydzieści trzy, Szmaciarz z wdziękiem odpowiada:

Żeby pani zrobić przyjemność, pani hrabino. To mój jedyny cel w życiu. Robić przyjemność damom. Żeby uwolnić od pieniędzy ludzi, którzy je mają. (W, 692)

Szmaciarz staje się coraz bardziej pewny siebie, nie przyjmuje żadnych argumentów:

Do mnie należą wszystkie kobiety. Mając pieniądze można je zdobyć wszystkie, oczywiście nie licząc pań tu obecnych. Chude za pomocą tłustej gęsiej wątróbki, tłuste – perłami. Jeżeli trafi się oporna, owijam ją w nurki. Ona się szamoce, ale jednocześnie wciąga rękawy. Do tej, która prędko chodzi, wołam, że dostanie rolls-royce’a, i ona w tejże chwili zwalnia kroku, stawia stópkę przy stópcie. Rozkosznie małą stópkę. Trzeba już tylko wyciągnąć rękę, żeby ją zagarnąć. (W, 693)

Tej wypowiedzi Szmaciarza nie akceptuje ani Sprzedawca sznurowadeł, nazywając go łajdakiem, ani Żongler, przypominając mu, że Irma-pomywaczka już raz „dała mu szkołę”. Szmaciarz jest głęboko przekonany, że jako miliarder bez trudu zdobędzie serce Irmy. Kontynuuje swój cyniczny wywód:

Oto, do czego prowadzą pieniądze. Ale co pani ma im do zarzucenia? Pieniądze i uczciwość to jedno i to samo. Ci, co nie mają pieniędzy i chcą robić interesy, są nieuczciwymi aferzystami. Jeżeli tak się nazywa człowieka interesu, który nie ma pieniędzy, to znaczy, że pieniądze są zaletą, a nie wadą. (W, 694)

Sprowokowany przez Aurelię Szmaciarz opowiada o swoich projektach zainwestowania pieniędzy z nafty w Chaillot. Planuje nabycie zamku w Chambord, będzie utrzymywał tancerki z Opery Komicznej, zakupi konie do biegów z przeszkodami oraz obrazy na drzewie, na marmurze, bardziej solidne od tych na płótnie, które miał dotąd. Kończy opowiadanie o planach, że kupi sobie Irmę. Także dyskusja między wariatkami doprowadzi do konkluzji, że światem rządzi pieniądz, dlatego Aurelia pragnie unicestwić wszystkich tych,

co są sprawcami głodu na całej ziemi, co kradną nasze boa, przygotowują wojnę, biorą prowizje, dostają stanowiska nie mając odpowiednich dyplomów, ci, co demoralizują młodzież. (W, 676–677).

Nietrudno tu dostrzec korespondencję Giraudoux z refleksjami Baudrillarda na temat kapitału, który, zdaniem autora *Symulakrów i symulacji*, nigdy nie był związany umową ze społeczeństwem, nad którym panuje. Stanowił natomiast „rodzaj czarnoksiężstwa stosunków społecznych”, będąc wyzwaniem wobec społeczeństwa i jak na wyzwanie należy na niego odpowiedzieć, podjąć w zgodzie z prawem symbolicznym⁶. W sztuce Giraudoux wariatki symulują proces boga-

⁶ J. Baudrillard, *Symulakry i symulacja...*, s. 23.

czy, ponieważ trzeba zachować procedury postępowania osądzającego. Oskarżenia, jak w każdym procesie sądowym, mają prawo do obrony oraz do adwokata. Z powodu pośpiechu oraz braku kandydatów do tej roli wariatki angażują Szmaciarza, któremu Józefina przypomina:

Pański obowiązek polega właśnie na tym, żeby dla obrony swoich klientów posługiwać się najbardziej nieuczciwymi sposobami. Kłamstwem. Oszczerstwem. (W, 687)

Proces sądowy, niezależnie, w jakiej sprawie się toczy, zawsze jest rodzajem eksplozji, uwidaczniając w niezwykle skondensowanej formie nie tylko motywy wewnętrzne prowadzące ludzi do takich, a nie innych zachowań. Sam proces przypomina teatr. Lista osób dramatu i przypisane im role są znane przed rozpoczęciem: sędzia, prokurator, oskarżony, obrońca. Przebieg procesu przypomina strukturę dramatu, akcja dochodzi do punktu kulminacyjnego, ma rozwiązanie. Procesy sądowe odbywają się we wszystkich krajach na całym świecie. Zawsze jednak dla ich przebiegu są ważne obowiązujące granice prawa i indywidualnej odpowiedzialności za popełnione czyny. Każdy proces, tak jak wymiar sprawiedliwości, odzwierciedla charakter swoich czasów. I dlatego Szmaciarz w roli obrońcy jest bardzo interesujący. Jego mowa oskarżycielsko-obrończa wpisuje się w ambiwalencję świata poetyckiego dramatu. Na początku wypiera się, jakoby lubił pieniądze:

Ja – pieniądze, pani hrabino? Ach niestety, to one mnie uwielbiają! To one mnie wytropiły na łonie uczciwej rodziny z Pré-Saint-Gervais i podrzuciły mi w koszu na śmieci dziesięciokilową sztabę złota. Para starych zelówek bardziej by mi się wtedy przydała [...] Pieniądze to złodziejstwo i kanciarstwo, ja ich nie cierpię, ja się nimi brzydzę, ale one mnie kochają. Widocznie jest we mnie coś takiego, co je przyciąga. One nie lubią ludzi delikatnych, a ja jestem ordynarny. Nie lubią inteligentnych – ja jestem kretyn. Nie lubią uczuciowych – ja jestem egoista. Dlatego też nie dały mi spokoju aż do czterystu miliardów. I już mnie nie wypuszczą z objęć. Jestem bogaczem idealnym. Wcale nie czuję z tego powodu dumy, ale to jest fakt. (W, 689–690)

Opowiada o pierwszych transakcjach i niezależnym od siebie wzbogacaniu się z powodu gwałtownego wzrostu cen, a także o naturalnym samopomnażaniu się kapitału:

Ja robię wszystko, co mogę, żeby się ich pozbyć [...] Nam bogaczom najtrudniej jest nie mieć pieniędzy! One nie chcą się od nas odczepić! Jeżeli postawię na beznadziejnego konia, on wygrywa o dwadzieścia długości. Jeżeli gram na loterii i wybiorę bilet z niedobrą liczbą, to na ten bilet padnie główna wygrana. Z kosztownymi kamieniami mam ten sam problem, co ze złotem. Ile razy wrzucę do Sekwany diament, tyle razy odnajdę go w płotce, którą mi podaje do stołu mój maître d'hôtel. Dziesięć diamentów, dziesięć płotek. Dając głuchoniememu centyma nie pozbędę się przecież moich miliardów. Więc co ja zrobiłem złego? (W, 690–691)

Szmaciarz w roli prezesa zostaje sprowokowany niedorzecznymi, jego zdaniem, pytaniami (o nazwy kwiatów, imiona tancerek), staje się coraz śmielszy w swoich wypowiedziach:

Ja jestem członkiem dwustu rodzin! [...] Nie ma zakazów, które by obowiązywały członków dwustu rodzin! Ani praw! Nie wiecie, z kim macie do czynienia! [...] Członkom dwustu rodzin, proszę pań, wolno jest wypiąć tyłek, a ludzie wtedy się uśmiechają i całują, jakby to była twarz. Całują w tyłek. Oni tego nie potrzebują, ale są tacy, co im się chcą podlizzać. (W, 696)

Te dwieście rodzin stanowiło cel walki politycznej Frontu Narodowego w kampanii wyborczej w 1936 r. Chodzi o dwustu najbogatszych akcjonariuszy Banque de France, banku prywatnego, którzy swoimi działaniami mafijnymi, notorycznymi aferami związanymi z malwersacjami, zabójstwami, bulwersowali społeczeństwo, stanowiąc, przez skuteczne unikanie konsekwencji swoich działań poza prawem, państwo w państwie⁷.

Obnażając bezlitośnie mechanizmy współczesnego świata, Jean Giraudoux okazał się nie tylko baczny obserwator, ale też wizjonerem, którego talenty potwierdził Tadeusz Kowzan, powołując się na notatkę prasową w „Figaro-Economie” z 7 czerwca 1988 r., informującą o wydaniu zezwolenia trzem spółkom: Total, Elf-Aquitaine i British Petroleum, zamierzającym prowadzić poszukiwania na terenie Paryża⁸.

⁷ Por. M. Besson-Herlin, opracowanie not do dramatu w wydaniu Pleiade, J. Giraudoux, *Théâtre complet*, Paris 1982, s. 1785.

⁸ T. Kowzan, *‘La Folle de Chaillot’: Gérontologie, écologie, sémiologie*, [w:] *La Guerre de Troie a-t-elle eu lieu?* Actes du colloque international de Bursa, Tours 1992, s. 46.

JOLANTA ŁUGOWSKA
Uniwersytet Wrocławski

Motyw pieniądza w literacko-pedagogicznym dyskursie Janusza Korczaka

W indywidualnym doświadczeniu każdego dziecka osobliwie ważny wydaje się moment, gdy uświadamia sobie ono istnienie pieniędzy, próbuje zrozumieć ich funkcję, siłę nabywczą, konsekwencje posługiwania się nimi w przestrzeni społecznej. Wiedza ta bardzo często oznacza pierwsze poważne zderzenie się małego człowieka z bezwzględnymi realiami życia, szczególnie wówczas, gdy dowiaduje się on, że to właśnie brak pieniędzy uniemożliwia rodzicom spełnienie jakiejś jego prośby, związanej na przykład z zakupem upragnionej zabawki. Odpowiednie środki finansowe dają więc możliwość realizacji własnych celów i zamierzeń, ale mogą też ograniczać, a nawet zniewalać, gdy stają się celem samym w sobie. Zrozumienie ambiwalentnej w istocie natury pieniądza, świadomość szans, ale także i zagrożeń, jakie on stwarza, wiązano więc niejako od zawsze z realizowanym w różnych systemach pedagogiki społecznej programem socjalizacji jednostki, z jej przygotowaniem do odpowiedzialnego uczestniczenia w życiu zbiorowości. Nie dziwi zatem obecność tematyki związanej ze środkami płatniczymi w najwcześniejszych oryginalnych utworach literackich przeznaczonych dla dziecięcego odbiorcy, w szczególności sposób eksponujących treści dydaktyczne i moralizatorskie, przy wyzyskaniu formy zretoryzowanego dialogu, w którym dorosły pełniący funkcję mentora cierpliwie i wyczerpująco odpowiada na pytania zadawane przez dziecko. Przypomnijmy w tym miejscu jedną z takich edukacyjnych rozmów, jakie prowadzi kilkuletnia bohaterka *Wiązania Helenki* (1823) Klementyny z Tańskich Hoffmanowej ze swoją mamą:

Mamo! A pieniądze z czego się robią? – Pieniądze robią się ze złota, ze srebra i z miedzi. Złoto, srebro i miedź Bóg głęboko w ziemię schował. Ludzie je wykopali. Topią je w ogniu, czyszczą i robią z nich małe i duże pieniądze. Pieniądze są bardzo dobrą rzeczą. Pieniądze trzeba ochraniać, bo ciężko przychodzą. Tata się dobrze napracować musi, nim dużo pieniędzy zbierze. Pieniądze można dać ubogiemu. Za pieniądze chleba, sukienek, książek, zabawek dostanie. Ale nie trzeba kochać pieniędzy, nie trzeba ich więcej lubić jak wszystko; bo jest wiele rzeczy, których za pieniądze dostać nie można. – Jakich to rzeczy, Mamo? – Rzeczy najdroższych: zdrowia, rozumu, cnoty, przyjaciół i szczęścia [...] Pamiętaj więc Helenko, pamiętaj to na całe życie. Pieniądze

są dobrą rzeczą, ale daleko jest lepiej być zdrową, mieć rozum, być dobrą i kochaną od Boga i od ludzi, niż mieć pieniądze¹.

Uwzględnianie problematyki pieniądza w szerszej refleksji o charakterze edukacyjnym, próba włączenia jej w preferowaną przez autora-wychowawcę hierarchię wartości, ustalenie relacji między wartościami materialnymi i w szczególności sposób postulowanymi w ramach pedagogiki społecznej niematerialnymi wydaje się więc niejako „naturalnym” sposobem ujmowania interesującego nas zagadnienia w przekazie literackim tworzonym z myślą o dziecięcym odbiorcy, o jego pouczeniu i moralnym zbudowaniu. „Dydaktyzm niepokonany”² na trwałe wpisany w ten model twórczości decyduje jednak zazwyczaj nie tylko o aksjologicznej klarowności przesłania (pieniądze nie są wartością nadrzędną ani samodzielną), ale także o swoistej symplifikacji literackiego komunikatu, a co za tym idzie – o widocznej powierzchowności ujęcia kwestii pieniądza, pozostającego w tym typie dyskursu abstrakcyjnym symbolem pozbawionym uchwytnej, zrozumiałej dla dziecka treści. Tak było w czasach Klementyny z Tańskich Hoffmanowej, ale także i sto lat później, gdy dzieła swe tworzył Janusz Korczak:

Wprawdzie literatura międzywojnia wprowadziła wiele nowych problemów: społecznych, psychologicznych, politycznych, etnicznych, jednak zagadnienia ekonomiczne prezentowały się w niej dość blado, charakteryzując się przewagą albo półbaśniowych, albo naiwno-dydaktycznych stereotypów. Te pierwsze rozwiązują kłopoty ekonomiczne bohaterów przez wprowadzenie cudownego protektora, nieoczekiwanego spadku, bogatych krewnych [...] Te drugie kontynuują (skądinąd chwalebny) pozytywistyczny etos pracy i przedsiębiorczości, ukazując drogę od ubóstwa do dostatku często skonstrastowaną z degradacją antybohatera, który próżniactwem doprowadza się do nędzy³.

Na tak zarysowanym tle zdecydowanie wyróżnia się fenomen pisarstwa Janusza Korczaka, którego teksty odczytać można, jak sugerują Joanna Papużyńska i Janusz Beksiak, z punktu widzenia współczesnej ekonomii, odnajdując w nich ślady nawiązania do znanych teorii ekonomicznych, a nawet do konkretnych rozpraw, które mogły być znane autorowi *Kajtusia czarodzieja*⁴. Godne uwagi wydaje się więc zainteresowanie Starego Doktora kwestiami ekonomicznymi związanymi z posługiwaniem się pieniędzmi, zagadnieniami podejmowanymi

¹ K. z Tańskich Hoffmanowa, *Wiązanie Helenki*, cyt. za I. Kaniowska-Lewańska, *Literatura dla dzieci i młodzieży do roku 1864. Zarys monograficzny, materiały*, Warszawa 1980, s. 202.

² Por. R. Waksmund, *Niepokonany dydaktyzm*, [w:] *Od literatury dla dzieci do literatury dziecięcej*, Wrocław 2000, s. 391–423.

³ J. Beksiak, J. Papużyńska, *Nauki ekonomiczne w powieściach Janusza Korczaka*, [w:] *Ocalone królestwo. Twórczość dla dzieci – perspektywy badawcze – problemy animacji*, red. G. Leszczyński, D. Świerczyńska-Jelonek, M. Zając, Warszawa 2009, s. 41.

⁴ Por.: „Za wywodami zawartymi w *Bankructwie małego Dżeka* czujemy któryś z ówczesnych poważnych podręczników ekonomii, zaś inspiracją niektórych wątków *Króla Macjusia Pierwszego* pośrednio lub bezpośrednio pochodzi z głośnej pracy Johna Maynarda Keynesa *The economic consequences of the peace* (z 1919 r.)”, *ibidem*, s. 49.

przez niego zarówno w skali makrospołecznej⁵, jak i w odniesieniu do realiów życia swych wychowanków. W opublikowanych w 1930 r. *Prawidłach życia* pisze autor:

No tak: trzeba umieć zarabiać, ale i wydawać też. Znałem takich: co ma, zaraz musi wydać na byle co. Nawet pożyczą i wcale nie myślą, żeby oddać. Czasem starszy jest lekkomyślny, a młodszy właśnie uważny. Dziesięć lat prowadzę kasę pożyczkową i jeżeli się okaże, że młodzi chcą czytać książki naukowe, napiszę książkę, jak kto pożyczą, jak oddaje i na co wydaje albo oszczędza, składa; żeby kupić coś takiego, co drogo kosztuje, na przykład łyżwy, zegarek, rower albo na podarunek dla ojca i mamy⁶.

Mimo że zapowiadana przez Korczaka osobna „naukowa” książka poświęcona wyłącznie kwestiom finansowym nie powstała, lektura różnego rodzaju tekstów Starego Doktora – zarówno pedagogicznych i publicystycznych, jak i literackich – zdaje się potwierdzać stałe zainteresowanie pisarza zagadnieniami pieniądza, ujmowanymi przez niego w szerszym kontekście reguł życia społecznego i włączonymi w całokształt postulowanego i realizowanego przez niego programu wychowawczego. Opisuując sytuację dziecka i jego status w rodzinie, zwraca często uwagę na stan jego swoistego niedoinformowania czy wręcz poznawczej izolacji od spraw, jakimi żyją dorośli. „[Dziecko] Nie zna trudności i powikłań dorosłego życia, nie wie, skąd płyną okresy naszych podnieceń, zniechęceń i znudzeń [...] Nie zna dojrzałych porażek i bankructw [...] Sądzi, że życie jest proste i łatwe. Jest tatuś, jest mama; ojciec zarabia, mama kupuje”⁷. Konsekwencją braku wiedzy o twardych realiach egzystencji okazuje się jednak często uprzedmiotowienie dziecka, pozbawienie go prawa do decydowania o tym, co jest dla niego niezbędne – to dorośli według swego uznania zaspokajają jego materialne potrzeby, skazując go często na status podrzędny nawet wobec otrzymującego swą jałmużnę żebraka, w odróżnieniu od którego „dziecko nie ma nic własnego, musi zdać sprawę z każdego otrzymanego za darmo do użytku przedmiotu”⁸, a wcześniej zasłużyć nań, wyprosić czy wyłudzić, albowiem „nic mu się nie należy”, a wszystko zależy od dobrej woli opiekuna. „Przez nędzę dziecka i łaskę materialnej zależności – znieprawiony jest stosunek dorosłych do dzieci”⁹ konkluduje Korczak i jako zdeterminowany obrońca praw „ludu małego” wiąże prawo dziecka do dysponowania własnym mieniem z przynależnym mu

⁵ „Bo dlaczego nie drukują więcej papierowych pieniędzy, co to są podatki, co robi minister finansów, jak jeden kraj pożyczka drugiemu? Ja bym nawet chciał wytłumaczyć, ale sam dobrze nie wiem. Zresztą niewielka pociecha wiedzieć, jeżeli nie można nic poradzić, bo nie od nas zależy”, J. Korczak, *Prawidła życia. Pedagogika dla młodzieży i dorosłych*, [w:] *idem, Dzieła*, t. XI, cz. I, red. A. Lewin, Warszawa 2003, s. 55.

⁶ *Ibidem*, s. 52.

⁷ J. Korczak, *Prawo dziecka do szacunku*, [w:] *idem, Dzieła*, t. VII, red. S. Wołoszyn, Warszawa 1993, s. 432.

⁸ *Ibidem*, s. 431.

⁹ *Ibidem*, s. 432.

prawem do szacunku, do uznania jego podmiotowości i statusu bycia człowiekiem „już dziś”, a nie dopiero w bliżej nieokreślonej przyszłości. Samodzielność w podejmowaniu decyzji dotyczących kupna, sprzedaży czy wymiany określonych dóbr nie oznacza jednak w dyskursie literacko-pedagogicznym Korczaka przyznania dziecku prawa do pełnej swobody w realizacji własnych potrzeb – zarówno tych uzasadnionych kondycją niedorosłego człowieka, jak i przelotnych zachcianek. Wiąże się bowiem z koniecznością przyswojenia sobie przez wychowanka, w dostępnym mu zakresie, podstawowych reguł ekonomicznych, przede wszystkim wiedzy o rynkowej cenie poszczególnych przedmiotów, a także z potrzebą – w konkretnych sytuacjach życiowych – przeprowadzenia swoistej kalkulacji, zmierzającej do odpowiedzi na pytanie: co jest ważniejsze – pióro czy scyzoryk i czy mnie na to stać? W jednym z reportaży wakacyjnych, opowiadających o pobycie grupy żydowskich chłopców na koloniach letnich w Michałowie, czytamy:

Rano piekarz przywozi chleb i listy z poczty. Listy oddaje się chłopcom dopiero po śniadaniu. Bo kto list otrzyma, ten z wielkiej radości już mleka pić nie chce, kto nie otrzyma listu ten znów mleka nie pije z wielkiego frasunku. A pamiętać należy, że otwarta karta sześć groszy kosztuje, to jest tyle prawie, ile funt chleba; nie tak więc często dostawali chłopcy wiadomości z domu¹⁰.

Wzmianka o cenie karty pocztowej, porównanej z ceną chleba, nie pojawia się w *Jośkach*, *Mośkach* i *Srulach* przypadkowo – Stary Doktor jak niewielu autorów piszących dla dzieci w szczególnie sposób dbał o realistyczne zaprezentowanie tła zdarzeń, z uwzględnieniem charakterystycznych detali, ujrzanych – co warto podkreślić – w wyraźnie zarysowanej perspektywie, w tym przypadku określonej przez punkt widzenia dzieci rodziców ubogich (a do takich z reguły należeli wychowankowie Korczaka), zdobywających i pogłębiających wiedzę o sile nabywczej pieniądza w konfrontacji z trudami codziennego życia. Wiedza o sile nabywczej i mechanizmie działania pieniądza umiejętnie wykorzystana w procesie wychowania i socjalizacji – jak sugeruje Korczak – prowadzić przy tym może do rezygnacji z postawy roszczeniowej, do rozumnego samoograniczenia:

Dziecko chce wiedzieć i ma prawo wiedzieć, bo zmartwienie rodziców nawet więcej je boli. Zresztą w rodzinach ubogich wiedzą dzieci, dlaczego raz jest cały obiad, a raz tylko chleb i herbatka mało cukrzona, wiedzą, ile kosztuje zelówka i nowa czapka. Wiedzą, że jest lepiej, gdy ojciec nawet mniej zarabia, ale zarobek jest pewny¹¹.

W zakładach opiekuńczych natomiast – jak wskazuje na to przykład tekstu z *Naszej Gazety* – świadomość finansowych trudności, z jakimi borykają się dorośli, wzbudzić może wśród wychowanków dojrzałe poczucie współodpowiedzialności i współdecydowania wyrażone w użytej tu liczbie mnogiej:

¹⁰ J. Korczak, *Moški, Joški i Srule*, [w:] *idem, Dzieła*, t. V, red. A. Lewin, Warszawa 1997, s. 41.

¹¹ J. Korczak, *Prawidła życia*, s. 53–54.

Mamy jeszcze dwa zmartwienia. Pierwsze zmartwienie, że nie mogliśmy kupić węgla, a drugie zmartwienie znów z kartoflami. Płacimy za ziemniaki drogo i nie mamy żadnego zapasu [...] Musimy bardzo oszczędzać, żeby potem nie zostać z pustymi workami i zimnymi piecami¹².

Jednym z istotnych elementów programu wychowawczego Korczaka, wyrażonego *explicite* w rozprawach pedagogicznych, a także realizowanego w kierowanych przez niego zakładach opiekuńczych, było przygotowanie wychowanka do życia „tu i teraz”, do funkcjonowania w określonej rzeczywistości społecznej, z właściwymi jej prawami i ograniczeniami, do czego niezbędne jest – jego zdaniem – jak najwcześniejsze przyswojenie sobie przez dziecko rudymentów wiedzy ekonomicznej.

W najpełniejszy chyba sposób ideę tę wyraził pisarz w adresowanym do młodego odbiorcy utworze *Bankructwo małego Dżeka* (1924), określonym przez niego na samym wstępie mianem „powieści amerykańskiej”, a zarazem „powieści finansowej”. Jej protagonista – Dżek Fulton – urodził się więc i mieszka w Ameryce i do realiów amerykańskich odnosi się pisarz, snując swą opowieść o trudnych przejściach, wzlotach i upadkach młodego bohatera. Decyzja umieszczenia akcji powieści w świecie w pewnym sensie egzotycznym, a w każdym razie nieprzystawalnym do własnych doświadczeń autora, zaskakująca zapewne dla czytelnika przyzwyczajonego do swoistego idiolektu Korczaka opartego na werystycznej prawdzie opisu, gwarantowanej własnym doświadczeniem pisarza, wymagała więc specjalnego uwiarygodnienia:

Nigdy jeszcze nie byłem w Ameryce, więc kiedy zacząłem pisać tę amerykańską powieść finansową, musiałem wiedzieć, jakie tam są na wszystko ceny. Ale mam w Ameryce znajomą dziewczynkę, więc prosiłem, żeby napisała, ile co kosztuje. Bo kto chce napisać książkę, a nie zna się wcale, musi zapytać tych, którzy wiedzą. I to się nazywa – robić studia do powieści. Więc i ja robiłem studia¹³.

Niezależnie od tego, czy wspomniana przez Korczaka jego amerykańska korespondentka istniała naprawdę, czy też należy jedynie do świata fikcji literackiej, uważna lektura powieści potwierdza skrupulatne przygotowanie pisarza do opisu realiów rynku amerykańskiego w zakresie wyznaczonym przez reguły popytu i zainteresowania młodego konsumenta. Protagonista powieści, Dżek Fulton, równie dobrze jak wspomniani wcześniej bohaterowie opowiadań kolonijnych orientuje się w cenach rynkowych interesujących go przedmiotów, dokonuje niezbędnych obliczeń, porównuje oferty różnych sklepów, często też, jak i inni niebogaci chłopcy, zmuszony jest zrezygnować z zakupu. Powiedzieć przy tym można, że w swoistej „mikroskali” świat Dżeka niewiele różni się od świata bohaterów usytuowanych w realiach polskiego międzywojnia; bo też tradycyjny przedmiot zainteresowań dzieci i nastolatków, bez względu na czas, miejsce

¹² J. Korczak, *Z naszego domu*, [w:] *idem, Dzieła*, t. XI, cz. I, s. 221–222.

¹³ J. Korczak, *Bankructwo małego Dżeka*, [w:] *idem, Dzieła*, t. IX, red. H. Kirchner, Warszawa 1994, s. 47.

i społeczno-polityczne uwarunkowania, to przecież zabawki, książki, słodczyce, przybory szkolne, różne, jak powiedzielibyśmy dziś, gadżety, jakimi lubią otaczać się młodzi ludzie. Wszędzie też odmienne są preferencje dzieci i dorosłych:

I w ogóle rodzice, którzy się znają na zakupach własnych, nie bardzo rozumieją, co jest konieczne dla dzieci. [...] Znam przypadek, gdzie matka całkiem poważnie dowodziła, że lepiej kupić szalik na szyję, niż parę gołębi, że ważniejsze są kalosze niż żyźwy¹⁴.

Na tym poziomie opisu świata przedstawionego różnica między bohaterami opowiadań kolonijnych a protagonistami *Bankructwa...* zdaje się sprowadzać do tego, że jedni z nich posługują się w swych obliczeniach złotówkami i groszami, drudzy – dolarami i centami. Pozostaje więc nadal niewyjaśniona kwestia „amerykańskości” *Bankructwa małego Dżeka*, sprowadzająca się do odpowiedzi na pytanie o cel przeniesienia miejsca zdarzeń z realiów polskich w amerykańskie, intrygujący w przypadku autora, któremu tak bliskie wydają się założenia wspartego na osobistym doświadczeniu swoistego „małego realizmu”, pisarza w szczególny sposób dbającego przecież o wiarygodność każdego użytego rekwizytu. Jak się zdaje, kluczem do wyjaśnienia tej intrygującej kwestii jest uświadomienie sobie wieloznaczności i wielopoziomowości interesującego nas dzieła. Na płaszczyźnie fabularnej jest to więc opowieść o serii zdarzeń zainicjowanych otrzymaniem przez głównego bohatera niespodziewanego prezentu od dziadka – jednego dolara, którym, zgodnie z wolą rodziców, chłopiec może dysponować w wybrany przez siebie sposób. Zgodnie z decyzją Dżeka ów dolar staje się „kapitałem zakładowym” szkolnej kooperatywy, która rozwijać będzie i wzbogacać swą działalność aż do nieszczęśliwego zdarzenia kradzieży rowerów zakupionych za wspólne pieniądze, oznaczającego poważne kłopoty finansowe, prowadzące do „niewypłacalności” głównego bohatera i jego bankructwa. Na tę stosunkowo prostą fabułę nakłada się jednak swoista „historia wewnętrzna”, odzwierciedlająca proces stopniowego dojrzewania bohatera, wzbogacania jego wiedzy o otaczającym świecie, przebiegająca – z formalnego punktu widzenia – według wzorca szczególnie produktywnego w tym typie pisarstwa powieści rozwojowej¹⁵. Zauważyć w niej można dwa równoległe rozwijające się wątki, jeden z nich inspirowany jest intelektualną dociekliwością bohatera, drugi natomiast jego etyczną wrażliwością. Małego Dżeka, który wbrew oczekiwaniom ojca chciałby w przyszłości zostać kupcem, interesuje więc wszystko, co może mieć związek z wymarzonym zawodem. Nie poprzestaje przy tym na własnej obserwacji, aktywnie szuka kompetentnych informatorów i przewodników po nieznanym jeszcze świecie. Przystępując do zakładania kooperatywy, zgłębia tajemnice ksiąg wpływów i wydatków, a także księgi magazynowej, dowiaduje się, na czym polega kalkulacja i zawodowe ryzyko podejmowane w handlu, czym zajmuje się

¹⁴ *Ibidem*, s. 54.

¹⁵ Por. H. Orłowski, *Stereotyp fabularny niemieckiej powieści rozwojowej*, [w:] *Poetyka i historia*, red. J. Trzynadłowski, Wrocław 1968.

komisja rewizyjna i na czym polega sprzedaż na kredyt. Borykając się z kłopotami finansowymi, chce zdobyć wiedzę na temat sposobu działania banków handlowych i kas pożyczkowych, nawet wobec ostatecznej katastrofy chciałby poznać znaczenie nowo usłyszanego „finansowego wyrazu” – asekuracja. Najbardziej kompetentną a zarazem życzliwą pomocą służy mu w tym zakresie właściciel niewielkiego sklepu, mister Taft, odbywający z młodym adeptem sztuki kupieckiej długie rozmowy, w czasie których cierpliwie odpowiada na zadawane przez interlokutora pytania, traktując go z pełną powagą i nie dziwiąc się, tak jak matka jednego z kolegów Dżeka, „na co dzieciakowi mogą być potrzebne pieniądze”¹⁶. Dzięki niemu młody bohater nie tylko poznaje nowe fachowe pojęcia i ich znaczenia, ale też dowiaduje się, że „dobrze kupować jest tak samo trudno, jak dobrze napisać wypracowanie albo dyktando”¹⁷, uczy się więc trudnej sztuki roztropności i cierpliwości w prowadzeniu interesów, a także odpowiedzialności za powierzone sobie fundusze. Rozmowy z panem Taftem oraz metodą „prób i błędów” zdobywane doświadczenie własne ułatwiają mu również zrozumienie praw rynku – mechanizmu podaży i popytu, nie do końca przewidywalnych preferencji, czasem wręcz kapryśnych zachowań konsumentów, wpływają też na docenienie przez niego znaczenia na początku traktowanej niechętnie reklamy. Opowiadając historię szkolnej kooperatywy, stale konfrontuje więc autor zdarzenia, w których uczestniczą fikcyjni bohaterowie, z rzeczywistymi modelami zachowań realnych konsumentów, wyjaśniając przy okazji „wiele podstawowych problemów, które składają się na swego rodzaju propedeutykę ekonomii”¹⁸. Nietrafne byłoby jednak sprowadzenie zdarzeń fabularnych *Bankructwa małego Dżeka* do egzemplifikacji wykładu o działaniu praw rynkowych. Inicjacyjna przygoda Dżeka to przecież nie tylko „poznawanie” i „dowiadywanie się”, ale też przeżywanie i podejmowane „na gorąco” próby oceny obserwowanych zdarzeń. Prowadząc szkolną kooperatywę i obserwując różne zachowania związane ze swoistym rytuałem kupna-sprzedaży, przekonuje się bohater, że „jest handel uczciwy, solidny i handel szachrajski, spekulacyjny, że jest towar dobry i tandeta”¹⁹, że nigdy nie jest się wystarczająco ubezpieczonym wobec działań nieuczciwych kontrahentów, a gorzką, lecz niezbędną wiedzę zdobywa się na podstawie własnych doświadczeń, jak powiada bowiem mister Taft: „kto nic nie robi, ten nie popełnia błędów, ale się też nie uczy”²⁰. Odkrywanie etycznych aspektów transakcji pieniężnych w doświadczeniu wewnętrznym bohatera łączy się z próbą skonfrontowania własnych opinii i ocen ze stanowiskiem ojca – solidnego rzemieślnika, zasadniczo niechętnego i nieufnego wobec przedstawicieli fachu kupieckiego: „Ja od najmłodszych lat sprzedawałem jedno tylko: pracę. Co moje

¹⁶ J. Korczak, *Bankructwo małego Dżeka*, s. 138.

¹⁷ *Ibidem*, s. 53.

¹⁸ J. Beksiak, J. Papużyńska, *op. cit.*, s. 42.

¹⁹ J. Korczak, *Bankructwo małego Dżeka*, s. 131.

²⁰ *Ibidem*.

ręce zrobiły, inni już sprzedawali. Kupować też mało kupuję, więc się na tym nie znam”²¹. Wobec takiego stanowiska ojca, kochanego przecież i szanowanego za prawość i niezłomność wyznawanych zasad, w sposób szczególny stara się więc Dżek wykonywać podjęte zadania z rozwagą i uczciwością, kierując się, powiedzieć można, dobrem społecznym, a unikając egoizmu i prywaty. Otrzymana od dziadka kwota, wydająca się chłopcu niezwykłym bogactwem, nie zostaje więc w najmniejszym nawet stopniu uszczuplona sprawunkami „na potrzeby własne”, święteczna zaś loteria fantowa przygotowana przez Dżeka dzięki „okazyjnemu” zakupowi upragnionych przez dzieci przedmiotów u bogatego właściciela hurtowni kończy się natomiast radosnym „rozdawnictwem” fantów i prezentów członkom kooperatywy z pominięciem samego inicjatora tej wspólniejszej zabawy, a nawet jego małej siostrzyczki, której przypada w udziale jedynie niewielka laleczka za dwa centy, co przypomina bohaterowi często powtarzaną przez ojca maksymę: „To trudno: jak człowiek ma obowiązki, na wiele rzeczy nie może sobie pozwolić”²². Mimo niewątpliwych zalet Dżeka – jest on chłopcem nad wiek poważnym i odpowiedzialnym, prawdomównym i uczciwym – a także jego oddania sprawom małej klasowej społeczności, nie zawsze jego poczynania, też te podejmowane w interesie ogółu, bywają należycie oceniane. Często doświadcza więc bohater niewdzięczności, niezadowolenia, a nawet fałszywych oskarżeń i nieuzasadnionych podejrzeń. Już na początku swej przygody ze szkolną kooperatywą dotknięty brakiem zaufania ze strony pana Tafta, a nawet podejrzeniem, że okazanego dolara ukradł rodzicom, słyszy więc od matki, że pieniądze, choć w życiu niezbędne, nie zawsze przynoszą człowiekowi szczęście, i myśli, że przyjdzie mu jeszcze wielokrotnie w swej pamięci przywoływać. Są wreszcie w *Bankructwie małego Dżeka* refleksje zdecydowanie nie na dziecięcą miarę. Pojawi się tu bowiem intrygujący epizod spotkania z Dżekiem Dalem, dawnym podopiecznym mister Tafta, po latach zaś właścicielem ogromnej hurtowni, w którego historii nie sposób nie dostrzec wyraźnej aluzji do krzepiącego amerykańskiego mitu o życiowym i społecznym awansie „od pucybuta do milionera”. Być może właśnie ten popularny również w Polsce symbol finansowego sukcesu nasunął Korczakowi pomysł przeniesienia fabuły *Bankructwa...* w realia amerykańskie, umożliwiające pełniejsze zaprezentowanie przez pisarza interesujących go kwestii ekonomicznych, a zarazem ukazanie ich w perspektywie etycznej. Charakterystyczne, że Dżek Fulton nie traktuje historii życia swego imiennika jako swoistej prefiguracji własnych losów, nie zachęca go ona do naśladownictwa, inspiruje natomiast do głębokiego namysłu zwieńczonego pytaniem, którego nie odważył się zadać wprost swemu dorosłemu przyjacielowi: „Dlaczego mister Taft, który nauczył Dżeka Dala, jak zostać bogaczem, sam jest tak biedny?”²³.

²¹ *Ibidem*, s. 111.

²² *Ibidem*, s. 113.

²³ *Ibidem*, s. 117.

Być może odpowiedzią na niezadane przez bohatera pytanie jest sformułowana niejako „na marginesie” refleksja mister Tafta: „Są ludzie, którzy wiedzą tylko, co im potrzebne, i pamiętają tylko, co im przynosi korzyść”²⁴.

Bolesną konfrontacją młodzieńczych iluzji z realiami życia okazuje się też historia „dziecka na tronie” opowiedziana przy użyciu konwencji baśniowej w słynnym dziele Korczaka *Król Maciuś Pierwszy* (1923). Zgłaszane przez młodocianego władcę propozycje reform, mających poprawić los małych obywateli Maciusiowego państwa, od początku zderzają się więc z ekonomicznym rachunkiem i „dorosłymi” racjami ministrów, stale odwołujących się w rozmowach z królem do obiektywnych uwarunkowań i finansowych ograniczeń, nawet w sprawie pozornie tak prostej jak podarowanie wszystkim dzieciom ich ulubionego przysmaku:

Muszę zrobić jakąś reformę: niech jutro każdy uczeń dostanie w szkole funt czekolady. – Za dużo – powiedział minister zdrowia. – Najwyżej ćwierć funta. – To niech będzie ćwierć funta. – W państwie całym mamy pięć milionów uczniów – powiedział minister oświaty. – Jeśli mają dostać czekoladę łobuzy i leniuchy... – Wszyscy ! – zawołał Maciuś – wszyscy bez wyjątku²⁵.

Maciuś jako całkowity jeszcze ignorant w kwestiach ekonomicznych, a także „logistycznych” związanych z realizacją swego pomysłu czuje się przy tym zawiedziony, że obiecana czekolada nie dotarła do dzieci – tak jak się spodziewał – już na drugi dzień: „oni obiecali, że dadzą za trzy tygodnie, a dali dopiero po dwóch przeszło miesiącach”²⁶. Nieproste okazało się też spełnienie prośby jednej z dziewczynek o największą na świecie lalkę, której wykonanie należało dopiero zlecić wybranemu fabrykantowi, a następnie sprostac jego finansowym oczekiwaniom. Król Maciuś, próbując realizować postulaty i spełniać liczne prośby dzieci, a zarazem niejako na co dzień zmuszany do konfrontacji własnych życzeń z nieubłaganą logiką wywodów swych ministrów, przyswaja sobie jednak w coraz większym stopniu rudymenty myślenia ekonomicznego, czego spektakularnym dowodem wydaje się nieoczekiwane w jego ustach pytanie: „a ile to będzie kosztowało?”, zadane specjalistom od pirotechniki, przygotowującym fajerwerki ku uciesze „dzikich królów” przebywających na zjeździe monarchów w stolicy jego państwa. „Metrykalnie” jeszcze dziecięcy, a przecież już świadomy obiektywnych trudności i ograniczeń król Maciuś godzi się więc na tę atrakcję „z ciężkim sercem”, rozumując: „To trudno. Już później będzie się oszczędzało. A teraz trzeba przecież coś ciekawego pokazać i czarnym królom”²⁷. Dramatycznie przyspieszone dojrzewanie bohatera tej niezwyklej baśni²⁸ oznacza więc kon-

²⁴ *Ibidem*, s. 116.

²⁵ J. Korczak, *Król Maciuś Pierwszy. Król Maciuś na wyspie bezludnej*, [w:] *idem, Dzieła*, t. VIII, red. H. Kirchner, Warszawa 1992, s. 79.

²⁶ *Ibidem*, s. 98.

²⁷ *Ibidem*, s. 164.

²⁸ Mamy tu w istocie do czynienia z tzw. baśnią synkretyczną, w której wzorzec gatunkowy baśni, jako jeden z kilku użytych w utworze, wyzyskany został w sposób selektywny, ograniczony

frontację z kłopotami i udrękami towarzyszącymi sprawowaniu władzy, łączy się z poczuciem odpowiedzialności za podejmowane decyzje. Wiele z nich, co warto podkreślić, ma też wymiar ekonomiczny. Mały Maciuś, który *incognito* przedziera się na front, by bronić swej ojczyzny, szybko przekonuje się więc, że prowadzenie wojny to nie tylko bohaterskie czyny żołnierzy, ale także koleje, pieniądze, suchary i buty dla wojska. Jej zakończenie natomiast nie ogranicza się bynajmniej do tryumfального przejazdu ulicami stolicy. Tu właśnie niedoświadczony mały władca ponosi dyplomatyczną porażkę, wspaniałomyślnie godząc się na zawarcie pokoju bez nałożenia kontrybucji, co w przyszłości pogrąży jego kraj w biedzie, a także zmusi rząd do zaciągnięcia zagranicznych pożyczek. Zastanawiająco często, jeśli uwzględnimy charakter wyzyskanej przez Korczaka konwencji, stawia przy tym autor swego bohatera wobec konkretnych problemów finansowych, związanych przede wszystkim z poszukiwaniem funduszy niezbędnych do przeprowadzenia zaplanowanych przez niego reform, a więc na przykład z budową domów, w których dzieci mogłyby spędzać wakacje, czy ogrodów zoologicznych z egzotycznymi zwierzętami. Nie waha się też pisarz przed odsłonięciem w utworze adresowanym do młodego odbiorcy różnego rodzaju dewiacji i patologii, których źródłem jest nadmierna chęć bogacenia się z pogwałceniem wszelkich norm etycznych i reguł prawnych. Bohater tej przejmującej, czasem mrocznej baśni doświadczy więc nie tylko niełojalności, podstępów i zdrady, a nawet próby zamachu na własne życie, ale też dowie się, w bolesny dla siebie sposób, na czym polega malwersacja oraz korupcja urzędników państwowych, jakiej nie oparł się jego przyjaciel Felek. *Król Maciuś Pierwszy* czytany „linearnie” to więc *sui generis* baśń bez happy endu, w której decydująca okazuje się... rzeczywistość; albowiem to właśnie „obiektywne” reguły ekonomiczne modyfikują bądź wykazują nierealność pomysłów młodego reformatora, uniemożliwiając ich realizację. Opowieść o królu Maciusiu odsłonić jednak może, zwłaszcza przed czytelnikiem dorosłym²⁹, inne jeszcze sensy, precyzyjnie odczytane przez autorów cytowanego już studium *Nauki ekonomiczne w powieściach Janusza Korczaka*:

Rozsiane po całym tekście *Króla Maciusia Pierwszego* wtręty ekonomiczne (i zresztą polityczne również) możemy też traktować jako elementy gry literackiej [...] Możemy doszukiwać się w nich aluzji do toczących się po I wojnie światowej ekonomicznych i społecznych dyskusji poruszających takie problemy jak rozliczanie strat wojennych, równy podział dóbr, darmowe świadczenia socjalne, eksport siły roboczej z przeludnionych krajów do krajów kolonialnych, go-

do swego rodzaju cytatów baśniowej tradycji, a także do charakterystycznego sposobu opowiadania i typowych dla tego gatunku środków stylistycznych. Por. J. Ługowska, *Baśń w twórczości Korczaka*, [w:] Janusz Korczak. Pisarz – wychowawca – myśliciel, red. H. Kirchner, Warszawa 1997.

²⁹ Na „podwójny” adres *Króla Maciusia* w nieco przekorny sposób zwraca uwagę Korczak w przedmowie do swego dzieła (s. 7): „Dorośli wcale nie powinni czytać mojej powieści, bo są w niej rozdziały niestosowne, więc nie zrozumieją i będą się wyśmiewali. Ale jak chcą koniecznie, niech spróbują. Przecież dorosłym nie można zabronić, bo nie posłuchają – i co im kto zrobi?”.

spodarcze znaczenie dostępu do morza i inne. To niemal katalog problemów nie tylko dla Polski, lecz całego wstrząsanego paroksyzmami przewrotów i naiwnych ideałów powojennego świata, któremu Korczak przygląda się z niezwykłą przenikliwością i sceptycyzmem, co nadaje powieści szerszy wymiar antyutopii i swoistej satyry na szlachetne pomysły uszczęśliwiania ludzkości³⁰.

Szukając odpowiedzi na pytanie o przyczynę podjęcia przez Korczaka w jego dziełach – zarówno o charakterze pedagogiczno-publicystycznym, jak i skierowanych do młodego odbiorcy – szeroko zakrojonej tematyki związanej z pieniądzem i jego miejscem w społecznej rzeczywistości, warto zauważyć, że mieści się ona w kręgu zagadnień najściślej połączonych z główną w pedagogice Korczaka kwestią stosunku dorosłych do dziecka. „Nie wszystkie dzieci są głupie, że nie wiedzą, co robić z pieniędzmi”³¹, powiada bohater *Bankructwa...*, dodając: „w ogóle dzieci nawet jak kupują, są często lekceważone”³². W wypowiedziach tych rozpoznajemy oskarżycielski ton Starego Doktora, domagającego się dla dziecka szacunku, zrozumienia jego poznawczego wysiłku, przyznania mu także prawa do popełniania błędów. Dziecko jest „pełnym” i „całkowitym” człowiekiem już teraz, ma więc prawo uczestniczenia w różnych formach i przejawach życia społecznego, a więc także tych, które związane są z posługiwaniem się pieniędzmi. Podejmowane przez młodych ludzi różnego rodzaju akcje kupna-sprzedaży okazać się przy tym mogą specyficzną szkołą życia, w której ujawniają się cechy charakteru i indywidualne predyspozycje (wspaniałomyślność Maciusia, rozważa i przezorność Dżeka, naiwność i beztroska Pennela, który „pieniędzy miał strasznie dużo, ale kupował tylko, jak go ktoś namówił”³³), stwarzające – zarówno w świecie fikcji literackiej, jak i w sferze postulowanej przez Korczaka pedagogiki – także szanse korekcyjnego oddziaływania na wychowanek. Stąd przedstawiona w jedynej chyba w naszej literaturze dla dzieci „powieści finansowej” przygoda Dżeka ze szkolną kooperatywą nie jest zabawą (tej Korczak nie cenił zbyt wysoko i często przeciwstawiał życiowej *praxis*³⁴), lecz w pełni realnym, czasem bolesnym doświadczeniem, przez które przeprowadza Stary Doktor swego bohatera, nie tając przed nim także trudnych i ciemnych stron życia.

³⁰ J. Beksiak, J. Papużyńska, *op. cit.*, s. 48.

³¹ J. Korczak, *Bankructwo małego Dżeka*, s. 178.

³² *Ibidem*, s. 48.

³³ *Ibidem*, s. 72.

³⁴ Por.: „Zabawa jest nie tyle żywiołem dziecka, ile jedyną dziedziną, gdzie mu zezwalamy na inicjatywę w węższym lub szerszym zakresie [...] Ile w zabawach dzieci jest gorzkiej świadomości o brakach rzeczywistego życia i bolesnej doń tęsknoty. Kijek nie jest dla dziecka koniem, ono w braku prawdziwego musi się pogodzić z drewnianym [...] Które odda kuca za konia na biegunach?”, J. Korczak, *Jak kochać dziecko*, [w:] *idem, Dzieła*, t. VII, s. 83–84; zob. też J. Papużyńska, *Podkultura dziecięca w twórczości Janusza Korczaka*, [w:] *Janusz Korczak. Pi-sarz...*, s. 152–165.

MAŁGORZATA CZAPIGA

Uniwersytet Jagielloński

O skarbach czyhających w labiryncie (*Stalker* Andrieja Tarkowskiego)

A przecież wciąż przyciąga strefa ogrodzona. I ogrodzona – nie bez celu – chcemy wierzyć. To nie my w Zonie – to nam odebrana Zona. Nam ją niepewnym, ale własnym krokiem mierzyć.

J. Kaczmarek, *Stalker*

Wydzielona, tajemnicza przestrzeń Zony tworzy obraz, który wpisuje się w długą tradycję wyobrażeń czy toposów miejsca nieznanego i niepokojącego, choć jednocześnie kuszącego i przyciągającego. Niezależnie od tego, czy przybierze ono postać góry położonej na krańcu świata, jaskini niezmierzonej i mrocznej, chaty w leśnych ostępach czy czarodziejskiego zamku, paląca potrzeba wędrówki do miejsc ledwo przeczutych w marzeniach jest motywem powracającym w mitach, powieściach, filmach. Droga do owego miejsca – i to też stały element wyobrażenia – bywa zwodnicza i pełna pozornych skrótów, gubiąca się w zawiłościach i rozwidleniach, mroczna i bez końca. Pielgrzymowi do świętości miejsc wydzielonych przyjdzie zmierzyć się z niepokojami, lękami, zwątpieniami i trudami mozolnej wyprawy, by wreszcie odnaleźć swoje przeznaczenie. Czy będzie to zagadka, niespodzianka czy nagroda? Jaki będzie skarb pątnika czekający na niego w centrum labiryntu ułudy? W taką właśnie podróż wyruszają bohaterowie filmu Andrieja Tarkowskiego *Stalker*.

Czym jest miejsce, do którego zmierzają? Strefa nazywana jest cudem, choć właściwie nie wiadomo, komu ów cud przypisać. Tajemniczy teren ogrodzony policyjnym kordonem i dozorowany przez strażników, odkąd zaczęli w nim ginąć ludzie, jest swoistym wariantem mitycznego ogrodu, o którym mówi się, że zawiera, a może nawet sam stanowi nieokreśloną potencję. Tu wszystko może się wydarzyć. Jego charakter określa raczej brak – w Zonie nie mieszkają żadeni ludzie, nie ma w niej zwierząt. Pozornie panuje w nim zupełna cisza i nieludzki bezruch. Jest jednak inaczej: Strefa jest raczej pewnego rodzaju nadstatkiem niż brakiem – jej przestrzeń, mimo że ograniczona drutami i strażnikami, wewnątrz otwiera się na jakieś inne, nieznanne wymiary, może pochłaniać ludzi i przed-

mioty, a więc coś z nimi robić! I cisza okazuje się melodią szmerów wody, wiatru i sekretnych głosów przynależnych do niej samej. I wreszcie jest największy jej sekret – Komnata, do której pielgrzymują bohaterowie – miejsce, w którym spełniają się najskrytsze marzenia, to sam środek tego świętego i przekłętego ogrodu i być może droga prowadząca zupełnie dokąś indziej.

Gdy tak spojrzeć na Strefę, to raczej poza nią odnajdziemy świat pełen martwoty, bezradności i spustoszenia. Dla tytułowego bohatera to przestrzeń ostatecznie zamknięta i słoczona: to więzienie. Szczególny, niejasny status ma pokazywany w kolorze sepii ubogi dom Stalkera – z rozchodzącą się drewnianą podłogą, lichym piecykiem i stołem kuchennym, na którym przedmioty dzwonią wprowione w ruch przejeżdżającym niedaleko pociągiem. To także nędzny bar, w którym wędrowcy piją piwo przed podróżą. Migotające trupiobiałe światło jarzeniówki, stoły bez krzeseł, błyszczące, zimne szkło kufla i obsługujący ich barman w białym fartuchu, przypominającym bardziej lekarski uniform czy kaftan rzeźnicki. Moment wyruszenia w drogę jest zawsze trudny: na granicy między nocą a dniem, na granicy światów, świt bardziej ma kolor i smak schyłku niż nadziei. Obrazu dopełniają w końcu zamglone, pełne błota i nieczystości postindustrialne budynki otaczające Strefę – dymiące kominy, brudne szyby, ceglane mokre i liszajowate mury. Mijając tę szarą rzeczywistość, bohaterowie wjeżdżają dreżyną w zupełnie inny świat, zostawiając za sobą rytmiczny stukot i codzienność przypominającą skład złomu.

Za linią demarkacyjną Strefa wita ich bujną, tryskającą witalnością zielenią. Pozrywane linie wysokiego napięcia, obalone drewniane słupy, porzucony zarzewiały samochód świadczą o tym, jak bardzo zapomniany przez Boga i ludzi jest ten świat. Trzej wędrowcy siedzą jeszcze w bezruchu na dreźnie, gdy odzywa się Stalker: „No i jesteśmy... nareszcie w domu”.

To odwrócenie porządków – nazwanie domem, czyli miejscem poczucia bezpieczeństwa, spełnienia, spokoju, Strefy – będzie miało dalsze konsekwencje. Bohaterów dziwi, że mimo bujnej roślinności nie czuć tu zapachu kwiatów. To nie przypadek, że Strefa jest przede wszystkim wielką – choć osobiwą – łąką.

Łąka nie tylko jako wyobrażenie ulokowana była poza ekumeną, a człowiek pojawiał się w jej granicach tylko w szczególnych okolicznościach. Łąka jest bezdrożna, ma cechy dziewiczej nietykalności, pewnego odrealnienia, ale jednak sugeruje to pewnego rodzaju odrębność:

Obszar poza granicą oswojonego świata śmiertelników jest doświadczany jako domena obcości, która jednocześnie oznacza sakralność. Starożytna łacińska formuła *sacer esto* stanowiła pierwotnie słowny element rytuału wyklęcia, tzn. wyłączenia ze wspólnoty i skazania na straszną karę umieszczenia człowieka (a także zwierzęcia czy przedmiotu) poza prawami ludzkimi¹.

¹ W. Lengauer, *Religijność starożytnych Greków*, Warszawa 1994.

Być może przez swój zaświatowy charakter Strefa przejmuje cechy „tamtego” porządku i dlatego kwiaty nie pachną tu jak w zwykłym świecie?² Zapach należy wszak do wykładników biologicznego wymiaru istnienia. Jeśli tak, to nie powinna też dziwić utrudniona droga, którą przemierzać będą wędrowcy.

Bohaterowie – Pisarz i Profesor – prowadzeni są przez szczególnego przewodnika przez obszary poza ekumeną, przez Stalkera. Młody mężczyzna jeszcze przed rozpoczęciem wyprawy pieczołowicie się do niej przygotowuje. Pod koniec nocy, o świcie, podejmuje pierwsze czynności zbliżające go do spotkania ze Strefą. Pora ta wydaje się nieprzypadkowa³. To noc właśnie jest najbardziej uprawnionym czasem na kontakt z Tamtym światem, bo otwiera możliwość na spotkanie z nieznanym *sacrum* czy mocami demonicznymi. Choć sama wędrówka bohaterów odbywa się przede wszystkim za dnia, wejście do Zony następuje u kresu nocy, wczesnym świtem. Stalker po przebudzeniu obmywa się wodą, z namaszczeniem rytualnych ablucji przed kontaktem ze świętością i wyrusza na jej spotkanie na czczo. Opuszcza dom, ludzkie siedziby, bar przypominający demoniczne przejście w inną rzeczywistość i z wiarą i nadzieją podejmuje się wskazania drogi do skarbu Pisarzowi i Profesorowi.

Wędrowcy są niczym ucieleśnienie Kierkegaardowskiej triady – trzech form czy trzech faz życia. Pisarz-estetyk szukać będzie magicznego lekarstwa na swą pisarską niemoc⁴. Rozmawiając z towarzyszami, wyznaje, że idzie prosić o natchnienie, choć wyraźnie czuć, że jego intencje niepoparte są wiarą w siebie, w literaturę, w sztukę w ogóle. Leszek Kołakowski przedstawia charakterystykę fazy estetycznej, w którą idealnie wpisuje się zblazowany, odgrywający swój cynizm, ale przecież pozbawiony mocy twórczych Pisarz:

jednostka na samej sobie się skupia, szuka prywatnego zaspokojenia i rozkoszy. Nie żyje tak mocą jakiegoś aktu wyboru; jest to, przeciwnie, odmowa wyboru. Ale na dnie estetycznej uciechy czai się utajona rozpacz⁵.

Pisarz wyraźnie i jakby z nieco przesadną zachłannością oddaje się smakowaniu wszelkich uciech życia. Przed wyruszeniem do Strefy spotyka się z piękną młodą kobietą, prowadząc rozmowę o sprawach fascynujących i tajemniczych, jak Trójkąt Bermudzki czy UFO, ale w rzeczywistości nie uczestnicząc w niej.

² Więcej o symbolice łąki – zob. M. Czapiga, *Ludowa łąka (krajobraz symboliczny i praktyczne pożytki)*, [w:] *Symbolika łąki i pastwiska w dawnych wierzeniach*, red. J. Jurewicz, M. Kapeliś, Warszawa 2009.

³ Zob. *noc*, [hasło w:] P. Kowalski, *Leksykon znaki świata. Omen, przesąd, znaczenie*, Warszawa-Wrocław 1998, s. 351–356.

⁴ Figura pozbawionego mocy twórczych, jałowego twórcy, w kulturze współczesnej zasługuje na odrębne omówienie. Można poprzestać na kilku przykładach. Zrazu przypomina on bowiem Króla Rybaka z opowieści o Graalu (J.L. Weston, *Legenda o Graalu*, przeł. A.H. Bogucka; Warszawa 1974), którego tragiczny wariant przedstawił Eliot w *Ziemi jałowej*. Podobną kreację stworzył S. King w powieści *Łśnienie*, zekranizowanej przez S. Kubricka.

⁵ L. Kołakowski, *O co nas pytają wielcy filozofowie*, Kraków 2008, s. 42.

Nie obchodzą go podejmowane sprawy, a największą uwagę skupia na urodzie towarzyski, a przy spotkaniu ze Stalkerem nie potrafi jej nawet przedstawić – nie zna jej imienia, bo nie jest ono tu wcale ważne. Nieodłącznym towarzyszem Pisarza jest też alkohol, który zabiera nawet do Strefy. Jego egzystencja zamyka się w więzieniu potrzeb zmysłów i uczuć, choć sam przekonany jest, że wszystko to jest wyrazem jego wolności. W poczuciu tym tkwi tylko do pewnego czasu. Z podświadomości wyłania się niekiedy melancholijna myśl o bezforemności własnego życia.

Co więcej, im bardziej człowiek uświadamia sobie, że żyje w miejscu, które Kierkegaard nazywa piwnicą domu, tym bardziej wydany jest „rozpaczy”. Stwierdza bowiem, że na poziomie, na którym się znajduje, nie ma ratunku ani zbawienia. Stoi przeto w obliczu alternatywy. Albo musi trwać w rozpaczy na poziomie estetycznym, albo musi przejść na następny szczebel, przez akt wyboru, zaangażowanie się. Samo myślenie nic tu nie pomoże, jest to kwestia wyboru albo-albo⁶.

Estetykowi brak oparcia w uniwersalnych regułach moralnych i wierze religijnej, choć przeczuwa w sobie tę niezapełniającą się niczym, nienazywalną pustkę. Pisarz przed Komnatą przemawia głosem twardym i mrocznym:

Jeszcze jeden eksperyment. Eksperymenty, fakty, najwyższa prawda. Nie ma czegoś takiego jak fakty. Zwłaszcza tutaj. To wszystko jest czymś idiotycznym wynalazkiem. Nie czujecie tego? Ale wy oczywiście musicie dowiedzieć się, kto wynalazł. I po co. I na co wam ta wiedza? Czyje sumienie to obciąża? Moje? Nie mam sumienia. Mam tylko nerwy. Jedna kanalia mnie zwymyśla i cierpię. Inna mnie pochwali, znowu cierpię. Włóż w to serce i duszę, oni pożrą i serce, i duszę. [...] Chciałem ich zmienić, ale to oni zmienili mnie. Uczynili mnie na swój obraz i podobieństwo. Kiedyś przyszłość była kontynuacją teraźniejszości, zmiany wyłaniały się zza horyzontu. Teraz przyszłość i teraźniejszość to jedno.

Na tym wyższym poziomie wydaje się Profesor – odpowiednik Kierkegaardowskiego etyka. Poddaje się on ogólnie przyjętym normom moralnym i prawom społecznym, słucha jednocześnie głosu powszechnego rozumu, co zapewnia mu poczucie spójności własnego życia. Prostym wyznacznikiem osiągnięcia formy etycznej życia jest małżeństwo, które pociąga za sobą konieczność wyrzeczenia się pociągu erotycznego, chwilowych namiętności i wejścia w pewną instytucję etyczną jako wynik logiki rozumu. Profesor jest żonaty, ale z kolei jego rozpacz ma i tu swoje źródło. W rozmowie telefonicznej ze współpracownikiem padają gorzkie słowa prawdy o zdradzie żony z przyjacielem.

Stadium etycznemu bliska jest też postawa heroiczna bohatera tragicznego. Kierkegaard pisał, że „Tragiczny bohater wyrzeka się sam siebie dla wyrażenia ogólności”⁷. Towarzysze wyprawy podejrzewają Profesora o chęć scjentystycznego zbadania Strefy i żądę sławy tego, który pierwszy zmierzy, zważy, prze-

⁶ F. Copleston, *Historia filozofii*, t. 7: *Od Fichtego do Nietzschego*, przeł. J. Łoziński, Warszawa 2006, s. 295.

⁷ S.A. Kierkegaard, *Bojaźń i drżenie*, przeł. J. Iwaszkiewicz, Warszawa 1969, s. 81.

testuje jej właściwości. Myślą, że jego plecak zawiera niezbędne ku temu narzędzia. Zdając sobie sprawę z tego, czym jest i do czego służy Komnata, Pisarz kpi z Profesora i nazywa jego wynalazek „przysługą do badania ludzkiej duszy. Duszometrem”. Prawda okazuje się zupełnie inna. Naukowiec, spuszczaając oczy, mówi: „To tylko bomba. Dwadzieścia kiloton”.

Profesor z grupą przyjaciół naukowców skonstruował instrument śmierci, ale unicestwić chciał właśnie Strefę. Niepojęta, tajemnicza, obca przestrzeń pochłaniająca ludzkie istnienia potraktowana została jak każdy Inny, który wymyka się taksonomicznym powinnościom rozumu. Nie mogąc znaleźć dla niej miejsca w ekumenie, bo ze względu na swój charakter nie wpisywała się w nią, naukowcy postanowili rozwiązać problem własnym sposobem – odseparować ją od „bezpiecznej” społeczności, ostatecznie jednak zniszczyć. Z czasem wycofali się ze swojego pomysłu i ukryli bombę w miejscu Profesorowi nieznanym, uznając Strefę za cud i mimo wszystko część przyrody. Przeczuliwali prawdopodobnie jego silne motywacje heroiczne. Sam mówi: „dopóki ta zaraza jest dostępna dla byle łotra, nie zaznam snu ani spokoju”.

Kierkegaard zwraca uwagę, że dla świadomości etycznej znamienna jest wiara w samowystarczalność człowieka, stąd brak myśli o kategorii grzechu. Zakwestionowanie tej wiary umożliwia przejście do kolejnego stadium życia. Profesor ma jednak wątpliwości, czy dobrze robi, i ostatecznie nie detonuje bomby przed Komnatą. O ile dla postawy estetycznej antytezą było uświadomienie sobie tkwienia w rozpacz, o tyle dla etyka przeciwnym biegunem będzie świadomość grzeszności. Przewyciężyć ją można tylko dzięki aktowi wiary.

Obaj bohaterowie tkwią w głębokim kryzysie i błogosławiony stan, na który liczą w Komnacie, jest dla nich perspektywą bardzo kuszącą. Chcą zrealizować swoje zamiary w imię wolności, ale znacznie bardziej się jej lękają – przecież przyjemniej i bezpieczniej jest być niewolnikiem własnych złudzeń.

Podejmują jednak próbę – wyprawę, której przewodzi „rycerz wiary” Stalker. Człowiek w XX w. – pisał włoski filozof – odkrył, że wszelkie wzorce pochodzą od niego samego:

Człowiek naraz odkrył, że wzorce, w które do tego dnia wierzył, na które się zapatrywał, na których kształtował swoje życie, żyją co prawda życiem własnym, ale zaistniały dlatego, że on sam stworzył je w swoim umyśle i wciąż utrzymywał przy życiu za pośrednictwem swojej wiary. Kiedy doszło do tego odkrycia, wzorce utraciły światło, pociemniały, wygasły. Bogowie, mity, zasady metafizyczne – słowem, te wzorce, co do których człowiek dotąd miał pewność, że sam się z nich wywodzi, od tego dnia zmieniły się, stały się czymś, co wywodzi się od niego, od człowieka⁸.

Stalker chce dać wiarę w coś innego, chce przywrócić nadzieję rozzarowanym pustką towarzyszom, chce udowodnić, że Strefa posiada swój skarb – Kom-

⁸ A. Savinio, *Wyjście z labiryntu. Szkice rozproszone z lat 1943–1952*, przeł. S. Kasprzysiak, Warszawa 2001, s. 50–51.

natę ze swoją fascynującą mocą, za którą podświadomie tęsknią Pisarz i Profesor. Pragnienie to jest w gruncie rzeczy pragnieniem nieskończoności – takiej jak z *Pieśni Maldorora*:

Pewnego dnia moja matka, spoglądając szklistymi oczami, rzekła: „Kiedy leżąc już w łóżku usłyszysz szczekanie psów na polach, schowaj się pod kołdrę i nie szydź z tego, co robią – są trawione nienasyconym głodem nieskończoności, jak ty, jak ja, jak wszyscy ludzie o twarzy bladej i wydłużonej” [...] Uszanowałam wolę zmarłej. Podobnie jak psy, chcę nieskończoności... I nie mogę, nie mogę zaspokoić tej potrzeby!⁹

Nieprzypadkowo może milczącym cieniem wyprawy trzech bohaterów zostaje czarny wilczur, pies, może demoniczny, a może atrybut każdego *psychopompa*?¹⁰

Stalker proponuje wędrowkę, która ma odmienić towarzyszy wyprawy – w sensie dosłownym, przez spełnienie życzeń w Komnacie, ale i w szerszym rozumieniu, pozwoli im odrodzić się na nowo. Już od średniowiecza utrudniona droga pielgrzymów, wędrowców prowadziła do miejsc, w których zostawali oni uleczeni przez kontakt z *sacrum*. Droga bohaterów *Stalkera* przywołuje konotacje z trudną próbą drogi labiryntowej. W jej trakcie Stalker daje towarzyszom wskazówki:

Będę prowadził. Zboczenie z drogi może wiele kosztować.

W Strefie im dłuższa droga, tym bezpieczniejsza.

Strefa to bardzo skomplikowany system pułapek i wszystkie są śmiertelne. Nie wiem, co się tu dzieje, kiedy nie ma ludzi, ale kiedy ktoś się pojawi, wprawia Strefę w ruch. Stare pułapki znikają i pojawiają się nowe. Bezpieczne miejsca okazują się nie do przejścia. Ścieżka raz jest prosta i łatwa, a to znowu płacze się i gubi. Taka jest Strefa.

Przestrzeń Strefy musi być więc cały czas sondowana przez pielgrzymów, którzy rzucają przewleczone przez muterki bandaż przed siebie i sprawdzają, czy nie znika on w jej nieznanych wymiarach. Strefa ma mnóstwo niewidzialnych krętych ścieżek, po których niczym nie Ariadny prowadzą wskazówki Stalkera. Podróży towarzyszy zapał i ciekawość przemierzających labirynt, ale też zniechęcenie i rozdrażnienie wynikające z wciąż narastających przeszkód i niepewnego finału:

Pokonanie mozolnej drogi jest trudne właśnie dlatego, że podróżujący po labiryncie raz po raz doświadcza zawodu. Za każdym razem kiedy mu się wydaje, że już, już przybliżył się do celu, ten oddala się od niego gwałtownie, prowadząc w przeciwnym kierunku. W taki sposób podróż w labiryncie staje się powoli przełamywaniem własnej słabości, chęci pójścia na skróty, złamania reguł. Dzięki temu też to, co na początku wydawało się zwykłym celem, urasta do rangi

⁹ *Ibidem*, s. 41–42.

¹⁰ Seweryn Kuśmierczyk, łącząc postać Stalkera z kategorią jurodiwych, wspomina, że symbolem przynależności do jurodiwości był w kulturze prawosławnej Rusi pies. Zob. S. Kuśmierczyk, *Stalker jako ikona*, [w:] *idem, Zagubieni w drodze. Film fabularny jako obraz doświadczenia wewnętrznego*, Warszawa 1999, s. 61.

miejsca szczególnego. Dotrzeć do środka labiryntu to złamać jego tajemnicę, wdrzeć się w nią, odszukać drogę do właściwego celu, pokonać własne słabości¹¹.

Pisarz, wyraźnie zniechęcony zawłościami prowadzącymi do Komnaty, łamie reguły podróży i na własną odpowiedzialność postanawia pójść na skróty, choć *Stalker* ostrzega go, że „w Strefie trzeba z szacunkiem, inaczej pokarze”. Wiatr wzmaga się, słychać kolejne kroki Pisarza, miękko stąpającego po zielonej trawie. Towarzysząc wędrowcowi, jakby zza jego pleców, widać, jak ostry kontur jego głowy rysuje się na tle rozmytej w oddali Komnaty. Delikatny powiew zmienia się w silny wiatr, a jego szum miesza się ze złowieszczym krakaniem wron. Wśród niepokojącego zgłętku słychać stanowcze: „Stój! Ani kroku!”.

Zdezorientowani mężczyźni podejrzewają siebie nawzajem o wypowiedzenie tych słów. To Strefa, adaptująca się do stanów znajdujących się w jej przestrzeniach ludzi, zatrzymała Pisarza w pół drogi. Pośpiesznie i nerwowo wraca do towarzyszy. Krótsza droga okazała się i tym razem fałszywym złudzeniem labiryntu. Strzeżone centrum może być osiągnięte tylko przez wybranych i w żaden inny niż z góry zaplanowany sposób. Jak pisał Eliade:

W języku religijnym labirynt zamykał dostęp obcym duchom, demonom pustyni, śmierci [...] Labirynt miał za zadanie obronę centrum w ścisłym i pierwotnym znaczeniu tego słowa. To znaczy przedstawiał tajemniczy obrzęd wstępowania do świątyni, do nieśmiertelności, do absolutnej rzeczywistości¹².

Labirynt to przestrzeń, którą możemy postrzegać z dwóch perspektyw¹³. W oczach Dedala-konstruktoru bądź oglądającego „z góry” jawi się on jako prze-myślny system, idealnie zaplanowana układanka wielu elementów; z perspektywy Tezeusza na plan pierwszy wysuwa się złowieszcza, osaczająca przestrzeń, której tajemnice – skarby czy potwory – są wielką niewiadomą. Ujawnia się tu zatem paradoks formy labiryntowej, w której Kosmos i Chaos stanowią jedność, ostatecznie wyłaniający się sens zależy od perspektywy patrzącego. Bohaterowie *Stalkera* poddają się tym ambiwalentnym wrażeniom – dla Pisarza i Profesora Strefa, choć zamknięta i otoczona drutami, od wewnątrz zdaje się niezmiernie duża, a kolejne w niej drogi mnożą się w nieskończoność. Choć niezmiernie duży, labirynt staje się więzieniem ciała i umysłu.

Choć cały czas mają wrażenie, że zbliżają się do celu (wyjścia), wciąż coś ich od oczekiwanego momentu oswobodzenia oddala. W rzeczywistości ten upragniony cel nigdy nie jest blisko, ponieważ w perspektywie kolejnych przeszkód traci swą ostateczną wartość¹⁴.

¹¹ J. Hańderek, *W labiryncie*, [w:] *Prawda, samopoznanie, wdzięk*, red. M. Kudelska, M. Ruchel, Kraków 2008, s. 89.

¹² M. Eliade, *Traktat o historii religii*, przeł. J. Wierusz-Kowalski, Warszawa 2000, s. 403.

¹³ Zob. W.B. Faris, *Labyrinths of Language. Symbolic Landscape and Narrative Design in Modern Fiction*, Baltimore-London 1988, s. 4.

¹⁴ H. Kubicka, *Biblioteka jako labirynt, świątynia, cmentarz i grób w „Imieniu róży” Umberto Eco*, Acta Universitatis Wratislaviensis No 3046, Literatura i Kultura Popularna XIV, Wrocław 2008, s. 25.

Strefa jest też właściwie miejscem świętym, a te zawsze muszą być wyodrębnione z otoczenia i strzeżone przez tajemne siły¹⁵. Nic dziwnego – skrywa ją przecież tajemnicę, a droga do niej prowadząca stanowi jednocześnie ścieżkę wtajemniczenia. Stalker tak właśnie traktuje Strefę. Po wejściu do niej oddaje jej swoisty hołd – oddala się od towarzyszy i z adoracją klęka w wysokiej, soczystej trawie, by położyć się w niej i objąć ją rękami, jakby w tym akcie próbując przywitać się i wielbić jej niezmierzone przestrzenie. Stalker jest jej wiernym wyznawcą i tak postrzegany jest też przez obu mężczyzn. Profesor mówi: „Bycie stalkerem to rodzaj powołania”. W oczach towarzyszy uchodzi za dziwaka, podejrzewają go nawet o mistyfikację. Jak w piosence Jacka Kaczmarskiego: „Może nas wiedzie szalbierz chciwy paru groszy?”. Nie pojmują motywów działania mężczyzny, nie ufają mu. W złości wykrzykują obelgi hardymi głosami, zarzucając mu dwulicowość: napawanie się władzą i wiedzą o tajemnicy. Stalker próbuje się bronić krzykiem zdumienia:

Wszystko, co mam, jest tutaj. Rozumiecie! Tutaj! W Strefie! Moje szczęście, moja wolność, szacunek do samego siebie, wszystko tutaj! Przyprowadzam tu takich jak ja, zrozpaczonych i cierpiących. Ludzi, którzy nie mają nadziei.

Seweryn Kuśmierczyk pisze o tym, że postać Stalkera bliska jest jurodiwemu, tak zresztą bezpośrednio nazywa go Pisarz¹⁶. Towarzysze nie rozpoznają w nim posłańca Absolutu, przewodnika do skarbu labiryntu, tak jak uczniowie nie rozpoznali Chrystusa w drodze do Emaus. Nieprzypadkowo Stalker szepcze w stanie przemierzania snu z jawą słowa z *Ewangelii według św. Łukasza*, celowo jakby opuszczając konkretyzujące nazwy własne:

Tego samego dnia dwaj z nich byli w drodze do wsi... oddalonej o sześćdziesiąt kilometrów... Rozmawiali oni ze sobą o tym wszystkim, co się wydarzyło. Gdy tak rozmawiali i rozprawiali ze sobą... przybliżył się i siedł z nimi. Lecz oczy ich były niejako na uwięzi, tak że Go nie poznali. On zaś ich zapytał: „Cóż to za rozmowy prowadzicie ze sobą w drodze?” Zatrzymali się smutni. A jeden z nich imieniem...¹⁷

Stalker wciela na nowo symbol ofiary. Sam składa ofiarę z całego swojego życia. Od dziecka wyszydzany i nierozumiany przez otoczenie, odnajduje miłość kobiety, dla której w równym stopniu staje się najwyższym szczęściem, jak i przekleństwem. Owocem tej miłości staje się Martyszka – kaleka córka, potwierdzenie piętna „Chrystusowego szaleńca”. Pisarz i Profesor wspominają o tym, że dziecko jest chrome z powodu posłannictwa ojca. Stalker bywa w Strefie, zbliża się do *sacrum*, igrając z nieznaną mocą. Nie pierwszy to przypadek, gdy bezpośredni kontakt ze świętością będzie miał konsekwencję w chromaniu. Motyw ten przywołuje na przykład biblijna historia o Jakubie walczącym z Aniołem:

¹⁵ M. Eliade, *Sacrum, mit, historia*, przeł. A. Tatarkiewicz, Warszawa 1993, s. 52.

¹⁶ S. Kuśmierczyk, *op. cit.*, s. 55.

¹⁷ Łk 24, 13–18.

Gdy zaś wrócił i został sam jeden, ktoś zmagał się z nim aż do wschodu jutrzeńki, a widząc, że nie może go pokonać, dotknął jego stawu biodrowego i wywichnął Jakubowi ten staw podczas zmagania się z nim. A wreszcie rzekł: „Puść mnie, bo już wschodzi zorza!” Jakub odpowiedział: „Nie puszczę cię, dopóki mi nie pobłogosławisz!” Wtedy [tamten] go zapytał: „Jakie masz imię?” On zaś rzekł: „Jakub”. Powiedział: „Odtąd nie będziesz się zwać Jakub, lecz Izrael, bo walczyłeś z Bogiem i z ludźmi, i zwyciężyłeś”. Potem Jakub rzekł: „Powiedz mi, proszę, jakie jest Two imię?” Ale on odpowiedział: „Czemu pytasz mnie o imię?” – i pobłogosławił go na owym miejscu. Jakub dał temu miejscu nazwę Penuel, mówiąc: „Mimo że widziałem Boga twarzą w twarz, jednak ocaliłem me życie”. Słońce już wschodziło, gdy Jakub przechodził przez Penuel, utykając na nogę. Dlatego Izraelici nie jadają po dzień dzisiejszy ścięgna, które jest w stawie biodrowym, gdyż Jakub został porażony w staw biodrowy, w to właśnie ścięgno¹⁸.

Stalker jest Kierkegaardowskim „rycerzem wiary”, bo gotów był na złożenie ofiary z własnej rodziny. Wszystko poświęcił – jakkolwiek rozumianemu – Absolutowi. Kierkegaard wykorzystuje jako symbol ofiarę Abrahama, który nie zawahał się poświęcić swojego syna w imię miłości Boga, choć logika i rozum podpowiadałyby zupełnie odmienne rozwiązania. Deprecjonowany jest rozum, wywyższona wola. I tylko w kategoriach wiary możliwe jest zrozumienie motywacji Abrahama. Jak pisze Leszek Kołakowski:

Abraham jest albo rycerzem wiary, albo mordercą własnego dziecka. W ludzkich zwykłych kategoriach jest mordercą. Ale w jego przypadku następuje zawieszenie tego co etyczne, co uniwersalnie ważne. Teraz wiemy, że jednostka poszczególna, Bogu oddana, stoi ponad tym co etyczne, co niezwykle ważne [...] Wiara jest pasją niesprawdzalnej do gatunku jednostki. Jest też zgodą na to, co jest absurdem lub paradoksem dla rozumu¹⁹.

Stalker wydaje się odmieńcem, to jednak nie powinno dziwić, gdyż stan ten często towarzyszy podróżom, w których „szaleństwo jest tylko jedną z wielu przygód między ostatecznym przeznaczeniem”²⁰. Jego powołanie wyklucza go właściwie ze społeczności „normalnych”, co dokonuje się przez niemożliwość wykonywania swojej funkcji społecznej. Stalker jest tylko niby-ojcem i niby-mężem, o którym mówi się, że to „skazany, wieczny więzień”. Nierozpoznany, wieczny tułacz Strefy prowadzi swych towarzyszy przede wszystkim po to, żeby mogli wejrzeć w samych siebie. Modli się:

Niech będzie tak, jak miało być. Niech uwierzą. I niech się śmieją ze swoich namiętności. Ponieważ to, co nazywają namiętnością, tak naprawdę nie jest emocjonalną energią, lecz tylko tarciami między ich duszami a światem zewnętrznym. I, co najważniejsze, niech uwierzą w siebie samych.

Bohaterowie docierają do centrum labiryntu szczęśliwie, bo bez dramatycznych wydarzeń, ale czym będzie zdobyty skarb? Czy Komnata stanie się

¹⁸ Rdz, 32, 25–32.

¹⁹ L. Kołakowski, *op. cit.*, s. 43.

²⁰ A.E. Korczakowska, *Wędrowka w szaleństwo na przykładzie wędrowki Lancelota*, [w:] *Podróżnicy, fundatorzy, święci*, red. T. Ratajczak, Poznań 2008, s. 39.

ich szczęściem? Stalker uprzedza, opowiadając historię swojego przewodnika po Strefie, że:

nie każde życzenie się tu spełnia, ale tylko te najskrytsze. Nie to, co wypowiadasz na głos... Spełnia się tylko to pragnienie, które leży w twojej naturze, w głębi twojej duszy, o którym nie wiesz.

Dlatego jego nauczyciel – Jeżozwierz – po stracie brata poszedł do Komnaty prosić o wskrzeszenie, a po powrocie do domu stał się bajecznie bogaty. W labiryncie czekało go odkrycie o własnym „Ja”. W rzeczywistości nie pragnął wcale przede wszystkim ocalenia brata, lecz pieniędzy. Okazało się, że mityczny Minotaur, bohater rytu inicjacyjnego, odrodził się w jego postaci, bo:

Ostateczna wiedza to znajomość samego siebie, zrozumienie własnego ja, rozważone we własnym sumieniu. Jest to głęboka racja częstego znajdowania zwierciadła w głębi labiryntu; tak więc człowiek, który długo błąkał się w gmatwaninach drogi, gdy osiągnął ostatecznie cel swych wędrówek, odkrywa, że ostateczna tajemnica jego poszukiwań, *deus absconditus*, lub potwór, to on sam²¹.

Pisarz i Profesor nie wchodzą do Komnaty. Boją się siebie i tego, co czai się w głębi ich własnych dusz. Boją się skarbu, który mógłby ich porazić. Ucielesnienie najskrytszych marzeń zrodzonych z cierpienia i tęsknoty jest tyle kuszące, co nieprzewidywalne, więc przerażające. Brak dojrzałości i ostateczna porażka próby labiryntu odbiera im prawo do centralnego miejsca bezpowrotnie. Otchłanie podświadomości każe im się zatrzymać w miejscu, w którym na wyciągnięcie ręki mają skarb. Jak pisze Aleksander Mień:

Tarkowski mówi nie o kontakcie z problematycznymi mieszkańcami innych planet lub o przyszłości, ale o Kontakcie w najgłębszym sensie tego słowa – między ludźmi, między człowiekiem i przyrodą, między nimi i samym Bytem [...] Kontakt jest konieczny. Został jednak w fatalny sposób naruszony. W istocie jest to dramat ludzkiej samotności i braku kontaktu²².

Pisarz i Profesor szukali tylko swego, „bez ducha”, z cynizmem, pragmatyzmem, otepieniem ruszyli na spotkanie fascynującej mocy, podejmując indywidualny wysiłek, mimo to skarb czekający, a raczej czyhający w labiryncie okazał się gorką prawdą. Z nią zmierzyć musiał się też Stalker, rozczerowany pielgrzymami ścieżek Strefy, którym chciał przywrócić nadzieję. Rozstając się z Pisarzem i Profesorem, wraca do baru, od którego zaczęła się wyprawa. Gdyby nie obecność czarnego wilczura, trudno byłoby o pewność, że cała historia nie była jedynie projekcją szalonego umysłu. Ale Stalker bierze Martyszkę na ramię i razem z żoną wracają do swojego niecodziennego domu, wypełnionego książkami, sztuczkami córki i dźwiękiem brzęczącego szkła. Odkrycie, że „nikt nie wierzy, nie tylko ci dwaj. Nikt!”, przyjdzie mu przecierpieć.

²¹ P. Santarcangeli, *Księga labiryntu*, Warszawa 1982, s. 210.

²² A. Mień, *Kontakt*, „Kwartalnik Filmowy” 1995, nr 9–10, s. 200.

Pilnie strzeżony skarb labiryntu nie zawsze może powinien być odkryty?
Bo być może:

prawda, którą znaleźć mam – to stół z kamienia,
Z którego przedmiot modłów spadł – nietknięty dłonią?

W stukocie kół transportu – Aria Beethovena?

Bezdenna toń – a nad bezdenną tonią

Twarz własna – co przegląda się w przestrzeniach?

J. Kaczmarek, *Stalker*

Pieniądz pieczęcią Antychrysta. O rosyjskich utopiach ekonomicznych na przykładzie Cerkwi „Najnowszego Testamentu”

Powieść o Gorie i Złoczastiji to rosyjska przypowieść o synu marnotrawnym. Oto młodzieniec nie słucha rad rodziców – chodzi do karczmy, nocuje w odludnych miejscach, popija z nieznajomymi, miesza trunki¹, trwoni pieniądze. Na złą drogę sprowadziło go *Gorie* Licho, Niedola-Zły Los. Młodzian – trawiony wstydem – rusza w świat, próbuje się ustatkować, ulega jednak znów podszeptom podstępnej złej siły, zastawiającej na niego kolejne pułapki. Marnotrawny syn dorabia się, ponownie traci majątek, jedyną ucieczką przed Lichem zdaje się samobójstwo. Ostatecznie młodzieniec odnajduje schronienie w klasztorze. Wydaje się, że w tej podręcznikowej, rzadko dziś głębiej analizowanej siedemnastowiecznej przypowieści w większości interpretacji znika z pola widzenia religijno-społeczne podłoże schematu perswazyjnego tekstu², który stał się dla studentów filologii rosyjskiej wielu uczelni zamrożonym eksponatem, ustawianym w szeregu z innymi, najbardziej popularnymi wytworami rosyjskiego folkloru³. Tymczasem przypowieść intryguje z dwóch co najmniej powodów – po pierwsze ze względu na motyw samobójstwa, słabo dostrzegany przez polskich sławistów, choć częsty dla folkloru rosyjskiego, po drugie zaś – co bardziej istotne dla naszego wywodu – z powodu forteli, do jakich ucieka się uosobienie Zła, by zdezorientować, manipulować i uzależnić młodzieńca. *Gorie* pojawia się oto we śnie jako anioł i namawia głównego bohatera do rozdania majątku ubogim. Zgodnie z wymową per-

¹ Młodzieniec wybiera przy tym rzeczywiście fatalną kombinację, zapijając wino piwem (N.K. Guzdij, *Istorija drevnej russkoj literatury*, Moskwa 1966, s. 404).

² W przypowieści akcentowane są zwykle wątki indywidualistyczne, świadczące o zrywaniu ze średniowieczną konwencją literacką (*Litieraturnyj enciklopedičeskij słowar'*, red. W.M. Kożenikowa, P.A. Nikołajewa, Moskwa 1987, s. 282).

³ O trwałej obecności tekstu w programie dydaktycznym świadczą mogą liczne opracowania i spisy lektur, np. I. Malej, *Kanon lektur wraz z komentarzem bibliograficznym dla studentów filologii słowiańskiej*, Wrocław 2001; a także: <http://www.ifw.uni.opole.pl/.../SYLLABUSY-FILOLOGIA-ROSYJSKA-OD-PODSTAW.doc>; http://www.ujk.edu.pl/ifs/przedmioty_rosang_p_stac.doc.

swazyjną uleganie podszeptom aniołów, rezygnowanie z rozsądku, ignorowanie rad rodziców czy osób starszych – stabilniej usadowionych w strukturze społecznej – jest działaniem złym. Diabelska wydaje się anarchistyczna włóczęga, indywidualne poszukiwanie drogi życiowej, własne, niereglamentowane kontakty z „nocnym światem”⁴. Niepokojący obraz świata, zapelnianego przez stworzenia wydające się dobre, a należące do Diabła, namawiające do czynów z pozoru głęboko chrześcijańskich, a zrównanych ostatecznie z pijaństwem i hulanką, może być interpretowany jako więcej niż li tylko stop wcześniejszego, pogańskiego folkloru z późniejszymi próbami adaptacji tekstów ludowych na potrzeby bardziej usystematyzowanej perswazji. Stanie się tak szczególnie, jeśli osadzimy tekst w kontekście specyfiki rosyjskiej herezji, wraz z tradycją indywidualnych poszukiwań, sięgających samych początków chrześcijańskiej Rusi.

Wspomniany tekst wpisuje się bowiem w szerszą opozycję: *cerkiew-instytucjonalizm, pieniądze, ład dostatek, car vs indywidualne poszukiwanie, anarchizacja, chaos, błędzenie*.

Ta sama opozycja zaczęła być jednak odwrotnie waloryzowana przez schizmatyków, starowierców i innych członków dysydenckich grup religijnych, którzy wybór drogi życiowej mogą przedstawiać w sposób następujący: *Cerkiew-car-pieniądze-Antychryst-marność-sujeta vs Prawdziwe Królestwo Chrystusowe-wiara-indywidualne poszukiwanie, ucieczka przed Antychrystem*.

Możemy wreszcie to samo przeciwstawieństwo ująć w sposób bardziej neutralny: *państwo, car, pieniądze, rozsądne życie w ramach insytucji vs duchowny poisk, Istina⁵, prawda ontologiczna*.

Opozycję ową znajdziemy bez trudu w opisach kolejnych ruchów religijnych i sekt, zarówno tych konstruowanych od wewnątrz (jawnie zaangażowanych ideologicznie), jak i pretendujących do neutralnych, obiektywizujących, choć uwikłanych w strategię poszczególnych grup interesów, takich jak: carat, Rosyjska Cerkiew Prawosławna, Kościół katolicki czy administracja radziecka. Co interesujące, jeśli pójść za współczesnymi rosyjskimi teoriami i przyjąć pryzmat Anny Glinzikowej, która uważa reformy Nikona i bunt protopopa Awwakuma za początek rosyjskiej reformacji, to u zarania tego buntu i reform odnajdziemy utopijne elementy antyinstytucjonalne i antypaństwowe⁶. Wśród wielu starowierców, których ojcem – z patosem i pewną przesadą – nazywa się

⁴ Owe kontakty moglibyśmy nazwać również za Luckmannem „doświadczeniem transcendencji”, J. Mariański, *Sekularyzacja i desekularyzacja w nowoczesnym społeczeństwie*, Lublin 2006, s. 118.

⁵ *Истина* rozumiana jest tu jako prawda ontologiczna, która znajduje się „poza człowiekiem”, której „dostępuje się poprzez objawienie, bądź w wariacie naukowym – odkrywa. *Истина* jest niepodważalna, wieczna, raz na zawsze ustalona (tyle że ukryta). Słowo *prawda* oznacza zaś prawdę ludzką, »względna, podważalną, która może być fałszowana« (zob. *Mentalność rosyjska*, red. A. Lazari, Katowice 1995).

⁶ A. Glinzikowa, *Raskol ili sryw „Russkoj Rieformacji”?*, Moskwa 2008.

Awwakuma – dominującą wizją staje się bowiem Królestwo Antychrysta, wraz z takimi atrybutami, jak paszport, pieniądze (stanowiące diabelską pieczęć); czasem postulowano czy postuluje się, także odrzucanie jakiejkolwiek modernizacji (a więc np. nieprzechodzenie przez mosty, które także zostały przez Antychrysta stworzone). Postawy charakterystyczne już dla Rosji carskiej przetrwały również rewolucję 1917 r. i zachowały swą ciągłość do tej pory⁷. Istotnym – choć niejedynym – argumentem konstytuowania świata członków sekt wyrosłych na tradycji starowierczej pozostało przy tym rozumowanie: „pieniądze legitymizują system, a systemem zarządza Antychryst”, co w sferze symbolicznej automatycznie wymusza kontestację nie tylko państwowej, instytucjonalnej obrzędowości, ale także aparatu fiskalnego i innych struktur państwowych, nawet jeśli na poziomie doraźnych, praktycznych działań ruchy będą zawierać kompromis z rzeczywistością zewnętrzną⁸.

Rozproszone komuny, reprodukujące taką wizję symboliczną, będą ciągle budować „świat w świecie” bądź „państwo w państwie”, mające istnieć „wnie dieńieżnoy sistemy”, a więc poza systemem monetarnym (będzie się tak działo w każdym razie w pierwszym, najbardziej radykalnym etapie ich funkcjonowania, w którym do budowania tożsamości grupy najważniejsze jest scementowanie nowej wizji symbolicznej po konwersji). Tak radykalne decyzje, gwałtowne zmiany stylu życia, poprzedzone konfliktem wartości identyfikowanych jako pośrednie bądź ostateczne i rewaloryzacją znaczących obszarów sfery symbolicznej wydają się w Rosji ciągle aktualne. Rosyjska herezja ewoluuje więc przez wieki, pulsuje, trudna do uchwycenia we własnej wewnętrznej dynamice, tym trudniejsza, wzięwszy pod uwagę bardzo nieprecyzyjną klasyfikację grup religijnych, mieszanych często z postawami, światopoglądem, indywidualnymi zachowaniami w ramach określonych ruchów, a także tymi występującymi bez wyraźnego

⁷ Mowa na przykład o biegunach (to raczej postawa występująca wśród starowierców niż jednorodna grupa religijna), których literacką wizję przywołuje Olga Tokarczuk, czy o sekcje stranników, wędrowców poszukujących Państwa Opońskiego, Prawdziwego Królestwa Chrystusowego. O obecnej kondycji innych sekt – także przedrewolucyjnych – pisze Roman Michajłowicz Kon', *Wwiedienije w siektowiedienije*, Niżgorod 2008. Zob. także A.A. Ożyganowa, J.W. Filippow, *Nowaja rieligioznost' w sowremiennoy Rossii: uczenija, formy, praktiki*, Moskwa 2006; a także *Wlijanije rieligii na obszczestwo i licznost'*, red. A.A. Bielik, Moskwa 2007; o nowych ruchach religijnych z lat 80. i 90. możemy przeczytać również w znacznie bardziej kontrowersyjnej metodologicznie, chociaż zasługującej na uwagę ze względu na tematykę pozycji: B. Błagowieszczenskij, Lin von Pal, *Tajny „Opus Dei” i drugich siekt. Istorija i ritualy*, Sankt-Pietierburg 2007; współczesne sekty rosyjskie, niezwiązane już z tradycją starowierczą, zostały opisane w książkach: W.I. Charitonowa, A.A. Ożyganowa, N.A. Kupriaszyna, *W poiskach duchownosti i zdorowja. Nowyje rieligioznyje dwizenija, nieoszamanizm, gorodskoj szamanizm*, Moskwa 2008; S.W. Sokołowski, *Miennonity Altaja*, Moskwa 1996.

⁸ Starowiercze korzenie nie oznaczają automatycznie, że komuny religijne mają jedynie podłoże wiejskie i ludowe. Na przenikanie ludowości i salonów zwraca uwagę Michaił Epsztejn, *Nowoje siektanstwo. Tipy rieligiozno-filosofskich umonastrojenij w Rossii (1970–1980-e gody)*, Samara 2005, s. 235.

związku z określoną sektą⁹. Pozostawiwszy jednak na marginesie owe kłopoty typologiczne, można bez trudu podać przykłady ciągłego reprodukowania wspomnianej wizji symbolicznej. Oto w roku 2002 spotkałem w Kraju Krasnojarskim Wołodę Strannika, który – jak twierdził – postanowił poszukiwać *Istiny*, znalazł w gazecie ogłoszenie o założeniu kolektywu podróżniczego i przez dwa lata wędrował ze swymi współbraćmi, nocując w stogach siana, pracując dorywczo w fabrykach, przede wszystkim zaś łowiąc ślady Prawdziwego Królestwa Chrystusowego. Wołodę znalazłem już po wyjściu z kolektywu. Chodził on tym razem po tajdze w Zonie, obszarze skolonizowanym przez inną współczesną sektę, nazywaną Cerkwią „Najnowszego Testamentu”, założoną na początku lat 90. przez Siergieja Toropa – byłego pracownika milicji drogowej. Torop przybrał imię Wissarion, ogłosił się Chrystusem, pielgrzymował po obszarach byłego ZSRR, ostatecznie zaś w połowie lat 90. osiedlił się z wiernymi w lesie na południu Kraju Krasnojarskiego, starając się stworzyć „Państwo w Państwie”, żyć bez użycia pieniędzy i „dekodować złą informację”, od tysiącleci odkładaną w naszych komórkach przez „Carstwo Gwałtu”. Owo „Państwo w Państwie” nazywane jest Zoną, która składa się z pięciu wiosek i mniejszych chutorów, rozlokowanych wzdłuż drogi. Dwa dni marszu od pierwszej wioski rozlokowane jest Nowe Jeruzalem, nazywane także Miastem Słońca bądź – częściej – po prostu Miastem, za którym znajduje się Niebiański Klasztor, Góra Sucha i położony na jej szczycie dom Wissariona.

Obserwowana dynamika grupy wydaje się przy tym wyznaczać takie okresy, jak:

- założenie sekty, pierwsza pielgrzymka, skupianie wiernych i budowanie wspólnoty wraz z jej sferą symboliczną,
- wyjście w tajgę, okres pionierstwa w Zonie, tj. budowanie Państwa w Państwie, wraz z radykalnym odcięciem od świata zewnętrznego i odrzuceniem atrybutów Antychrysta (książki, filmy, pieniądze, także dieta, ubiór itd.),
- okres kompromisu, asymilacji, częściowego powrotu do zewnętrznego systemu finansowego i osłabienia sfery symbolicznej gruntującej tożsamość Zony, połączone z dużą dynamiką demograficzną, stratyfikacją i segmentacją, napływem nowych, bardziej liberalnie i usługowo nastawionych członków sekty.

⁹ Piszę o tym w: J. Morawiecki, *Bezczas i utopia bajki w sektach rosyjskich*, Ad fontes VIII: *Tempus fugit?*, publikacja pokonferencyjna Interdyscyplinarnych Spotkań Historycznych, w druku; nie oznacza to, że nie da się dokonać periodyzacji rozwoju sekt rosyjskich. Roboczo mogliśmy wskazać etapy – do protopopa Awwakuma, rozkwit ruchów starowierczych, XIX-wieczne sekty protestanckie, naturalne i sztuczne ugrupowania wyrosłe na gruncie ideologii komunistycznej, pieriestrojka (ponowna fascynacja ezoteryką, docieranie do specfondów, wyprawy na Altaj...), po 1991 zaś – rozkwit grup New Age – rodzimych i importowanych. Takie periodyzacje nie mogą być jednak uniwersalne dla wszystkich ruchów religijnych, szczególnie tych niechrześcijańskich, mających odmienną dynamikę.

Sygnalizowany kontekst historyczny pozwala ująć naszą opowieść w ramy raportu z *case study*, swobodnego studium przypadku będącego egzemplifikacją ogólniejszej tendencji urzeczywistniania rosyjskich utopii ekonomicznych, opisem ucieczki z Królestwa Antychrysta, budowania wrót do „raju utraconego”¹⁰, przedśionka do Państwa Opońskiego. W wymiarze empirycznym obserwacja obrazuje próbę stworzenia realnej alternatywy społecznej i ekonomicznej, której mechanizmy są legitymizowane przez ośrodek monopolizujący władzę symboliczną i wzywający do natychmiastowej konwersji, odnowienia i przemiany religijnej, wymuszającej całkowitą zmianę stylu życia i przyjęcie silnie spolaryzowanej wizji Zona/Klasztor (+) vs Świat/Antychryst (-)¹¹. Tekst ukazuje więc próbę zbudowania obszaru cementującego tożsamość pionierów Wspólnoty, wspólny *exodus* do „prawdziwego, czystego świata”, następnie zaś powrót do Carstwa Siły i Pieniądza – „sojusz z diabłem” i jego konsekwencje. Poniższy opis winien być traktowany w kategoriach bezpośredniego raportu z socjologicznych badań empirycznych, budowanego na podstawie wywiadów pogłębionych, obserwacji nieuczestniczącej i uczestniczącej, prowadzonej podczas pięciu wypraw do Zony, organizowanych w latach 1999–2004, zawężonych tu do aspektu budowania struktury ekonomicznej przez grupę i rozbieżności pomiędzy wizją postulowaną a rzeczywistością. Po etapie badań terenowych poddałem materiał głębszej analizie, mającej przyporządkować wyseparowane wskaźniki do bardziej globalnych zmiennych, wyznaczających dynamikę przemian religijnych i kulturowych w Rosji. Ową analizę, wykraczającą już poza sferę ekonomii, pozwolę sobie w niniejszym tekście jedynie zasygnalizować w końcowych jego partiach.

Gdybyśmy jednak próbowali ująć dynamikę przemian symbolicznych w sekcie w kategorii charakteryzujące strukturę społeczną, to opisane już etapy moglibyśmy raz jeszcze scharakteryzować, dzieląc rozwój grupy na Okres Euforii¹²: więzi bezpośredniej, neofickiego fanatyzmu, wraz z potrzebą utopizmu i natychmiastowego wcielania ideologii w rzeczywistość, a także na Okres Realnego Wissarionizmu¹³, wraz z nieuchronną instytucjonalizacją, stratyfikacją ekono-

¹⁰ Tadeusz Paleczny pisze o fatalizmie aktów „zrzucania z siebie jarzma społecznego przymusu. Zdecydowana większość tych prób jest skazana z góry na niepowodzenie. Kontestatorzy – w ucieczce od jednego rodzaju zniewolenia – popadają w inny”, *idem, Kontestacja: Formy buntu we współczesnym społeczeństwie*, Kraków 1997, <http://www.isr.wsmip.uj.edu.pl/publikacje/kontestacja.htm>; Paleczny zwraca przy tym uwagę na progresywną funkcję kontestacji, w tym sekt. Jednostki kontestujące są bowiem według niego „dla kultur tym, czym drożdże dla wina” (*ibidem*).

¹¹ Taka polaryzacja jest charakterystyczna nie tylko dla sekt, ale także tych obszarów Kościoła, które mogą być określone jako instytucja totalna, zob. M. Kempczyńska, *Życie w zakonnie żeńskim jako studium socjologiczne. Badania obrazu świata przed, w trakcie i po konwersji na przykładzie wywiadów z członkiniami wybranych instytutów zakonnych Archidiecezji Wrocławskiej*, Wrocław 2009 (praca licencjacka pisana pod kierunkiem J. Morawieckiego).

¹² O Okresie Euforii mówią sami pionierzy w sekcie.

¹³ Tej nazwy wissarionowcy wewnątrz sekty nie używają.

miczną, sygnalizowaną już segmentacją społeczną, rozbieżnością między etosem pionierstwa a realnymi wskaźnikami ekonomicznymi, pomiędzy motywacją wejścia a dynamiką przemian. Okres „realny” to także budowanie projektu turystycznego, mediatyzacja sekty, przemieszczenie sceny aktorów społecznych, ukierunkowanie jej na zewnątrz, a także anomia wśród pionierów, motywowanych silnie etosem kolonizacji tajgi i budowy Nowego Świata.

Sygnalizowana dynamika wskazuje na realne napięcie pomiędzy wspólnotowością a zrzeszeniowością, Weberowską racjonalną biurokracją, które wydaje się nieuchronne w przypadku każdych bardziej długofalowych działań kontestacyjnych¹⁴. Co jednak znamienne, eksperyment Cerkwi „Najnowszego Testamentu” budzi żywe zainteresowanie rosyjskich naukowców, którzy często starają się ekstrapolować dynamikę przemian na rzeczywistość rosyjską, ale także światową, traktując niekiedy sekty jako grupy progresywne, testujące alternatywy ekonomiczne. I tak, po moim wystąpieniu na I Kongresie Globalistycznym w Moskwie Siergiej Anatolewicz Burjanow, badacz związany z Fundacją Helsińską¹⁵, pytał, czy ruch wissarionowców wypracował w Zonie mechanizmy, które pozwoliłyby na przetrwanie po wielkim kryzysie ekonomicznym. O samowystarczalność, niezależność od systemu finansowego (a więc wyjście z Królestwa Antychrysta) pytali także inni członkowie kongresu¹⁶. Niektórzy rosyjscy badacze, instrumentalnie odwracając dialektykę marksistowską, starali się udowodnić, że erozja sekty jest dowodem na wyższość kapitalizmu nad komunizmem¹⁷. W.I. Charitonowa z Rosyjskiej Akademii Nauk, która obserwuje kolejne etapy rozwoju Cerkwi „Najnowszego Testamentu”, oceniła liberalizację ekonomiczną i obyczajową, połączoną z komercjalizacją sekty i powrotem do systemu finansowego jako zjawisko jednoznacznie pozytywne, tłumacząc jego przyczyny bardzo prosto. Wissarion – jak stwierdziła Charitonowa, odwołując się do słynnej maksymy Leninowskiej – zrozumiał, że *tak żyć nie l’zja*, dlatego powrócił do Świata¹⁸.

Bez względu jednak na ocenę przejścia od wspólnotowości do Weberowskiej biurokracji, a może przejście od niej do ponowoczesnego „uśmiechniętego”

¹⁴ T. Paleczny, *Typy tożsamości kulturowej a procesy globalizacji*, <http://www.isr.wsmip.uj.edu.pl/publikacje/typy.doc>.

¹⁵ Por. S.A. Burjanow, *Ksienofobija, nietierpimost’ i diskriminacija po motiwam rieligiji ili ubieżdzenij w subjektach Rossijskoj Fiedieraciji*, Moskwa 2007.

¹⁶ Międzynarodny naukowy kongres Globalistika 2009, 20–23 maja 2009; zob. także J. Morawiecki, *O problemach adaptowania globalnych teorii socjologii religijnej pri issledowaniji sowriemennych russkich siekt*, [w:] *Matierijały Międzynarodnogo naucznoego kongriessa „Globalistika 2009”: puti wychoda iz globalnogo krizisa i modeli nowogo miroustrojstwa*, red. I.I. Abylgazijew, A.A. Akajew, Moskwa 2009, t. I, s. 494–497.

¹⁷ Na takie tendencje zwracał uwagę doradca prezydenta Chakasji do spraw religijnych Nikołaj Stiepanowicz Wołkow, przyjmujący ekspedycje naukowe z Moskwy.

¹⁸ Rozmowa prywatna w Rosyjskiej Akademii Nauk, Moskwa, 21 maja 2009 r. O sekcje wissarionowców Charitonowa pisze także w: *Fieniks iz piepla?*, Moskwa 2006.

konsumeryzmu¹⁹, należy stwierdzić, że specyfika ekonomiczna Wspólnoty budzi dużą ciekawość osób werbowanych, mediów i obserwatorów zewnętrznych. Ludzie Świata zwracają przy tym uwagę przede wszystkim na utopijność wizji deklarowanej, starają się odnaleźć w niej defekt, często również domniemują oszustwa i wykorzystywanie wiernych przez elity Wspólnoty. W ten sposób powielają stereotyp sekty toksycznej. Ośrodek władzy symbolicznej stara się tę wizję przetworzyć. Podobnie jak w innych przypadkach, także tutaj nie ukrywa części defektów, jak zwykle tłumaczy je jednak okresem przejściowym i niezrozumieniem nauk Wissariona. Również tym razem podkreślana jest niekompatybilność Zony i jej otoczenia. W sekcie mówi się o nowej ekonomii i Nowym Świecie. Podkreśla się przy tym odmiennosć Zony i komun funkcjonujących na Zachodzie: Zona wedle tego opisu może wyjść z systemu finansowego i stworzyć niezależne struktury ekonomiczne, dlatego że jej centralnym punktem jest Chrystus, pozwalający na wydostanie się z nieczystego Świata. Jednak nawet osoby zbliżone do ośrodka władzy symbolicznej eksponują trudności w adaptacji do nowych warunków. Oto jak wygląda rozmowa Igora Nowikowa (agitatora, głoszącego Słowo poza Zoną) z matką i jej koleżanką w Petersburgu:

LARYSA: No tak, u was jest inaczej niż tam [tj. we wspominatej wcześniej w rozmowie niemieckiej komunie ekologicznej – dop. J.M.]. Wy możecie zbierać jagody, grzyby, a tam nie ma lasów, nie ma gliny. Wy zbieracie orzechy cedrowe i już.

IGOR NOWIKOW: My też musimy płacić, wzięliśmy ziemię w dzierżawę na 49 lat.

L: Jak państwo z was pieniądze bierze, to wy też powinniście państwo doić. Inaczej nas zaduszą. Macie tam jakiegoś ekonomistę?

I: Oczywiście, że tak. Związek Mistrzów załatwia sprawy z urzędem podatkowym. Produjemy olej cedrowy, balsam pichtowy. Fiedia Łosiew przygotował mi 10 butelek, miałem odebrać w Czeremszance.

L: No i gdzie one?

I: Przeszedłem bez odpoczynku 50 km, wsiadłem do autobusu i zasnąłem. Przejechałem Czeremszańkę, obudziłem się dopiero w Kuraginie na dworcu. Takie życie nasze, Larysko.

L: Dobrze życie.

I: Trudne. Tutaj patrzysz na wszystko inaczej.

L: Zdaje się takie dobre, wesołe.

I: Ale od wewnątrz każdy dzień okazuje się wielkim trudem, a i relacje nieproste²⁰.

Ta rozmowa, prowadzona w warunkach częściowego choćby zaufania pomiędzy rozmówcami, nie wykracza poza oficjalną politykę sekty. Trudności uszlachetniają, a jednocześnie czynią wizję bardziej wiarygodną i namacalną.

¹⁹ Na pozytywny aspekt konsumeryzmu, budowany w opozycji do dominujących krytycznych opisów socjologicznych aspektów konsumpcji „nie-ludzi”, zwracają uwagę Tomasz Szlendak i Krzysztof Pietrowicz, relacjonując propozycję Gilles’a Lipovetskiego, *idem*, *Kultura konsumpcji jako kultura wyzwolenia? Między krytyką konsumeryzmu a społeczeństwem opartym na modzie*, „Kultura i Społeczeństwo”, lipiec–wrzesień 2005, s. 85–121.

²⁰ Zapis do filmu dokumentalnego *Syberyjski przewodnik*, niewykorzystany w ostatecznej wersji obrazu (reż. M. Migas, J. Morawiecki, Studio Filmowe „Kalejdoskop”, 2005).

Zgodnie z tą prawidłowością opisuje „okres przejściowy” na przykład Wadim Riedkin, apostoł Wissariona, współtwórca wizji kanonicznej sekty:

Tego nie da się zrobić w jeden rok. To inteligencja miejska. Żyliśmy w blokach, nie znaliśmy ziemi. Trzeba czasu, by nauczyć się uprawy, szycia odzieży, butów. To czas przejściowy, to nasza pieriestrojka. Człowiek musi się nauczyć żyć poza systemem finansowym. Tajga daje wszystko: jagody, olej, orzechy cedrowe. Wystarczy pracować. Pieriestrojka musi nabrać pędu [...] Wyroby przez nas produkowane mogą być wymieniane albo sprzedawane światu. Na przykład jeżełi garnki są robione na zamówienie Świata, bierze się za nie pieniądze, na przykład na kupno biletów dla kogoś, kto jedzie w Świat. Bo to okres przejściowy. Nie jestem prorokiem, ale myślę, że pieriestrojka potrwa dwa, trzy lata. Tyle zajmie nauka uprawy, tak, żebyśmy byli w stanie nakarmić i siebie i tych, którzy do nas przyjadą później, nie mając zupełnie niczego. Na to potrzeba jeszcze dwóch, trzech lat²¹.

Wadim Riedkin, jak sam przyznaje – prorokiem nie jest. Prognoza współkreatora polityki sekty się nie potwierdziła. Wypowiedź pochodzi z wywiadu przeprowadzonego w 1999 r. Od tego czasu nieprawidłowości i odstępstwa od wizji docelowej tłumaczone „okresem przejściowym” się nasiliły. Sekta zintensyfikowała kontakty ze Światem i powróciła do systemu finansowego. Mimo to wychodzenie z obiegu monetarnego, uniezależnienie się od Świata pozostaje trwałym elementem wizji kanonicznej. Warunkiem osiągnięcia zbliżenia się do wizji utopijnej jest przy tym nie tylko walka z egoizmem, ale też niesprecyzowane bliżej fizyczne dostosowanie organizmu do nowych warunków. Oto jak o „okresie przejściowym” mówi respondent bardzo zbliżony do ośrodka władzy sekty:

Żeby wyjść z systemu, stać się samodzielnym, na to potrzebny jest czas, na to niejeden dzień potrzebny. Na to musimy się przestroić także fizycznie. Ale jak się już nauczymy dobrze z tym żyć, kiedy się będziemy do tego odpowiednio odnosić... Wtedy, czy tamten system istnieć będzie, czy nie przetrwa – nie ma znaczenia. Czuję, że to doskonale, że tu jestem; czysto fizycznie. To prawdziwa szkoła życia²².

Odstępstwa od wizji kanonicznej po raz kolejny są więc łączone z niedoskonałością poszczególnych mieszkańców i z wezwaniem do wytężonej pracy – zarówno nad przebudowywaniem własnej psychiki i „energetycznego modelu organizmu”, jak i pracy kolektywnej na budowach. Respondenci uplasowani wysoko w hierarchii sekty podkreślają przy tym dobre samopoczucie, dobrą kondycję fizyczną²³ (element ten nie pojawia się w wypowiedziach respondentów mieszkających poza Miastem i oddalonych od ośrodka władzy symbolicznej, chyba że taka wypowiedź będzie stymulowana odpowiednim pytaniem). Wypowiedź mieści w sobie typowe elementy wizji deklarowanej (np. sformułowanie: „szkoła życia”). Wpisuje się ona również w rozpowszechnioną wśród wissarionow-

²¹ Oficjalny wywiad z Wadimem Riedkinem (I wyjazd, 1999 r.).

²² Rozmowa prywatna z Jurą Garncarzem w Nowym Jeruzalem (IV wyjazd, 2004 r.).

²³ Mówią o tym na przykład Anatolij Pszenaj (który przeniósł się z Miasta do dolnej wioski ze względu na powikłania chorobowej, ale współtworzy politykę sekty), Wadim Riedkin czy Wołodia Skomorochow.

ców, choć bardzo mglistą, koncepcję katastroficzną: „będziemy żyć w Zonie bez względu na kondycję systemu zewnętrznego. Musimy przebudować organizm i zbudować Nowy Świat, który przetrwa katastrofę cywilizacyjną”. Katastrofa owa nie jest jednak konkretnie zdefiniowana i nie wiadomo, czy zdarzy się za życia wissarionowców.

Opis trudności „okresu przejściowego” przenoszony jest zwykle w czas przeszły, podczas gdy nieprawidłowości ciągle obecne we Wspólnocie najczęściej nie są opisywane, dlatego że dotyczą Rodziny Wioskowej i jako takie nazywane są „problemem wewnętrznym”. Problemy owe są więc łączone z embargiem informacyjnym na opis zebrań kolektywów wioskowych (każda osada w Zonie tworzy komunę, wspólnie organizuje pracę i totalizuje życie prywatne, poddając je ocenie kolektywu). O dawnych próbach wprowadzania w życie wizji utopijnych przedstawiciele ośrodka władzy symbolicznej mówią na przykład tak:

Oj było. Najbardziej fantastyczne projekty dostawały finansowanie z kasy wspólnoty. Walili las, zakupywali co się da, potem ktoś przerywał, las został, pieniądze w błoto. Tak musiało być. By ludzi zjednoczyć. Inaczej – jak widać – nie dało się²⁴.

Omawiany typ wypowiedzi reprezentowany jest nie tylko w rozmowach prywatnych, ale też w komunikatach zewnętrznych, adresowanych na przykład do pielgrzymów:

Najpierw było fajnie. Były pieniądze, można było pić herbatę z konfiturami, przesiadywać u sąsiadów. Zająć do sklepu, kupić kaszę. Potem pieniądze się zaczęły kończyć. A Nauczyciel mówił: otwierajcie pracownie. Zamiast tego powstały projekty fantastyczne, kował, powiedzmy, wziął sto tysięcy, kupił las, a potem porzucił pomysł, las zgnił, nikomu już niepotrzebny. Widać potrzebny był taki czas, zaryć kupę forsy w ziemi. Ha, ha!²⁵

Zauważmy, że w obu wypowiedziach pojawia się charakterystyczny zwrot: „tak musiało być”, który pozwala na ugruntowanie wizji kanonicznej – nieprawidłowości są naturalne, nie podważają kierunku rozwoju, ale budują „prawdziwą szkołę”, nazywaną także „twardą szkołą”.

W opisach codzienności sfera ekonomiczna wiąże się głównie z problematyką wspominanych Rodzin Wioskowych, zyskiwaniem statusu mistrza i kolektywnymi budowlami. Wypowiedzi zbliżone do wizji kanonicznej eksponują przy tym wizję globalną, losy jednostkowe umieszczane są w kontekście światowym, a nawet kosmicznym. Zbliżony do ośrodka władzy symbolicznej Wołodia Skomorochow mówi:

Tu obowiązuje dla mężczyzn jedno prawo. Zostać mistrzem swoich rąk. Mężczyzna ma rękami swymi zarobić na chleb powszedni, nakarmić dzieci, rodzinę. Kilka tygodni temu Nauczyciel rzekł: przenieś się z tajgi, w której żyłeś dwa lata, idź do Rodziny Pietropawłowskiej. Kazał mi zawęzić swoje zainteresowania, bo umiem wszystko, ale umieć wszystko – znaczy – nie umieć

²⁴ Rozmowa z Igorem Nowikowem w Nowym Jeruzalem (IV wyjazd, 2004 r.).

²⁵ Rozmowa Igora Nowikowa z pielgrzymami w Miasteczku Namiotowym Nowego Jeruzalem (V wyjazd, 2004 r.).

niczego. Kiedyś dwanaście lat swego życia poświęciłem ogrodnictwu cieplarnianemu i sadownictwu, teraz widzę, że muszę dzielić się doświadczeniem ze swymi braćmi, z siostrami mymi. Przyszedł czas przygotowań do wiosny, czas siewu. W tym roku będziemy świadkiem zdarzeń, które skłonią ludzi, by dotknęli dłońmi swymi ziemi. Ziemia-Matuszka, nasza karmicielka, daje siły życiowe, potrzebne nam wszystkim. Siły te trzeba czerpać bez pośredników. Posiać ziarno i otrzymać plon. Będę podlewać, siał, uprawiać ziemię, tak by być później w stanie ocenić prawidłowo zdarzenia, które nastąpią. Nie jest żadnym sekretem, że zdarzenia na ziemi wykraczają daleko poza poziom planetarny. Człowiek musi nauczyć się brać od ziemi pokarm. I tak ma wyglądać moja przyszłość²⁶.

Prezentowany cytat pozwala wyróżnić typowe elementy wizji deklarowanej: rolę mężczyzny jako żywiciela własnej rodziny, odgórne wyznaczanie miejsca w sekcie przez Nauczyciela, mglisty element katastroficzny (wydarzenia globalne), mit Ziemi-Matuszki, etos pracy, kontakt z naturą, kontekst planetarny. Te same prawidłowości odnajdujemy w wypowiedzi Święty Władimirskiej – gwiazdy disco, wyjątkowo uprzywilejowanej we Wspólnocie. W sferze deklarowanej podkreśla ona nie tylko omawiany już fakt dzielenia się majątkiem z innymi, ale także wyjście z systemu finansowego i zerwanie z dotychczasowym stylem życia:

PYTANIE: A teraz dostaje pani tantiemy?

ŚWIĘTA: Nie, co wy. Nie mamy już pieniędzy. No może trochę mamy, ale już od nich odchodzimy, sami się żywimy, w tym roku zaczynamy uprawiać soję.

Za elektryczność jeszcze płacimy, ale na przykład w Mieście mają już słoneczne baterie. Będziemy wytwarzać len, może i jedwab. Musimy wyzwolić się w pełni od państwa. Żyć samodzielnie. Bo patrząc na to, co dzieje się wkoło, nie można oczekiwać niczego dobrego²⁷.

Prezentowana wizja nie jest zgodna ze stanem faktycznym (Święta nie wyszła z systemu finansowego). Uprawy soi, o których respondentka mówi w wywiadzie z 1999 r., w kolejnych latach nie stały się znaczącym elementem diety wissarionowców (jeśli soja pojawia się na ich stołach, jest głównie kupowana w wiejskich sklepach, nie pochodzi z miejscowych upraw). Baterie słoneczne – jak wskazuje obserwacja z kolejnych wyjazdów – zaczynają być traktowane nie jako możliwość uniezależnienia się od Świata, ale jako jedyne dostępne źródło energii na nowo kolonizowanych, nieelektryfikowanych obszarach. Tezę tę potwierdza następujący fakt: prawie nikt z wiernych nie odchodzi od energii elektrycznej z sieci na rzecz baterii słonecznych w dolnych wioskach. Baterie słoneczne pojawiają się tylko głęboko w tajdze²⁸. Źródła alternatywne, wykorzystywane przez ośrodek władzy symbolicznej do celów propagandowych (ikona

²⁶ Wywiad radiowy z Wołodą Skomorochowem w Czeremszance (I wyjazd, 1999 r.).

²⁷ Wywiad powrotowy ze Świętą Władimirską w Czeremszance (I wyjazd, 1999 r.).

²⁸ Wyjątkiem jest tutaj dom Toli Psenaj, zbudowany w zelektryfikowanej Czeremszance. Dom czerpie energię jedynie z baterii słonecznych. Dzieje się tak jednak nie dlatego, że Psenaj chce uniezależnić się od Świata. Respondent mówi, że dzieje się tak głównie w związku z małą wydolnością energetyczną zbyt przeciążonej sieci, do której nie będą już przyłączane nowe budowane domy (obserwacja z V wyjazdu, 2004 r.).

Nowego Świata) świadczą o dużej sprawności organizacyjnej sekty, nie są jednak elementem rzeczywistej strategii Wspólnoty uniezależnienia się od Świata (jak sugeruje to na przykład Świeta Władimirska).

Nie oznacza to, że żaden z elementów wizji deklarowanej nie znajduje odzwierciedlenia w faktycznych zależnościach ekonomicznych sekty. Badanie mechanizmów ekonomicznych było jednak wyjątkowo utrudnione ze względu na embargo informacyjne obejmujące sfery rzeczywistości bezpośrednio powiązane z ekonomią. Starając się opisać całościowe źródła finansowania sekty, możemy wymienić niektóre z nich, niemożliwe okazało się jednak określenie ich udziału procentowego. Nie możemy też arbitralnie stwierdzić, czy badania wyłoniły wszystkie źródła. Bez wątpienia jednak znaczącym elementem finansowania sekty są dobrowolne wpłaty wiernych wprowadzających się do Zony (wejście do Wspólnoty nie wiąże się z przymusem oddania całego majątku, tym bardziej że oprócz Nowego Jeruzalem wierni zakupują samodzielnie domy, których właścicielami formalnie pozostają). Znaczącym źródłem finansowania sekty były bez wątpienia datki sympatyków skupionych w kilkudziesięciu centrach stworzonych w miastach Rosji i byłego ZSRR (choćby omawiane centrum w Petersburgu). Zwiększenie liczby mieszkańców Zony z deklarowanych dwóch do pięciu tysięcy wiąże się z jednoczesnym odpływem sympatyków z centrów w Świecie. W centrach pozostali głównie emeryci i osoby niezdolne do mieszkania w Zonie. Budżet sekty zasilają również w coraz większym stopniu wpływy z działalności sakroturystycznej. Należy przy tym zaznaczyć, że z jednej strony infrastruktura sakroturystyczna jest coraz bardziej rozbudowywana, z drugiej jednak organizatorzy Świeta Plonów (jednego z dwóch najważniejszych świat wissarionowców) przyznają, że liczba gości zewnętrznych zmniejszyła się w 2004 r. nawet o połowę wobec roku poprzedniego (podawane liczby są bardzo niedokładne, nie wiadomo też, czy tendencja zniżkowa jest trwała). Bez wątpienia obrona strategii finansowa wymaga precyzyjnej polityki PR i reklamowania sekty przez media zewnętrzne, co też – jak wykazują badania – jest jednym z podstawowych elementów polityki Wspólnoty.

Wyjazdy członków władzy sekty i *tourné* Wissariona po Świecie (to jest głównie po Rosji i w mniejszym stopniu po Europie) poprzedzane jest badaniem rynku przez wysłanników – takich jak w przypadku naszej analizy Igor Nowikow – a także rozmowami z „ludźmi Świata” (podczas każdej naszej wizyty przedstawiciele ośrodka władzy symbolicznej pytali na przykład o nastroje w Polsce i zastanawiali się, czy Polacy są już gotowi przyjąć Dobrą Nowinę). Samo *tourné* organizowane jest przy współpracy sympatyków sekty działających w Świecie. Miejscami spotkań są często prestiżowe instytucje (uczelnie, teatry, nieczynne cerkwie), co z jednej strony jest wykorzystywane do celów propagandowych przez władze sekty, z drugiej zaś stanowi również potencjał marketingowy wykorzystywany przez zewnętrzne instytucje: Chrystus-milicjant jest bardzo atrakcyjny dla mass mediów, zaproszenie go okazuje się więc korzyst-

ne na przykład dla rosyjskiej uczelni. Opisywany mechanizm można jednak tłumaczyć nie tylko urynkowaniem mass mediów, ale także specyfiką społeczeństwa rosyjskiego. Dyskurs rosyjski jest o wiele bardziej nasycony elementami ezoterycznymi, paranormalnymi i alternatywą religijną. W Polsce organizowanie *tournée* Wissariona byłoby zapewne o wiele bardziej ryzykowne, wiązałoby się bowiem z uwikłaniem autorytetu instytucji w mocno spolaryzowaną dyskusję sprowadzaną do opozycji: większościowy, zinstytucjonalizowany Kościół jako element systemu (+) kontra anarchizujące, toksyczne, stygmatyzowane sekty (–). Nie rozważając w tym miejscu słuszności takiej opozycji, pozostajmy przy konstatacji jej istnienia w warunkach polskich i znacznie słabszego jej funkcjonowania w rzeczywistości rosyjskiej.

Istotnym elementem polityki ekonomicznej sekty jest niewątpliwie współpraca z władzami państwowymi – zarówno na szczeblu lokalnym, jak i centralnym. Tendencja owa nie jest nowa – stanowiła ona od wieków czynnik, od którego uzależniona była trwałość danego ruchu religijnego w Rosji. Dzięki takiej współpracy wissarionowcy wykorzystali proces transformacji państwowej do uzyskania wyjątkowo korzystnych warunków dzierżawy ziemi w Zonie i zakupili od wojska na przykład baterie słoneczne, radiostacje czy linie telefoniczne i centrale, pozwalające na zbudowanie sieci telekomunikacyjnej pomiędzy Miastem a Górą²⁹. Jak sygnalizowano w poprzednich partiach naszej pracy, współpraca z władzami pozwalała na organizowanie pierwszych *tournée* Wissariona (władze sekty przyznają, że wykorzystywały środki transportu i lokal rosyjskiego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych)³⁰ i na zabezpieczanie imprez masowych (np. zakup paliwa przez sektę na potrzeby milicjantów). Mikołaj Stiepanowicz Wołkow – ówczesny doradca prezydenta Chakasji do spraw religijnych, mówi również o darmowych akademikach dla dzieci wissarionowców, które studiują w Abakanie³¹.

Na poziomie jednostkowym sytuacja ekonomiczna respondenta zależy w dużym stopniu od konkretnych uzgodnień określających kontrakt zawierany pomiędzy respondentem a Wspólnotą. Sytuacją pożądaną jest wejście wiernych do Rodziny Wioskowej i oddawanie wspólnocie wszelkich ruchomości. Sytuacja postulowana nie zawsze pokrywa się z rzeczywistością. Analiza specyfiki Rodzin Wioskowych wykazała też różnicę w sytuacji materialnej zwykłych członków Rodzin i tych, którzy uzyskali status Mistrza Rzemiosła. Mistrzowie – namaszczani przez Nauczyciela lub kolektywy wioskowe – są ważnym elementem wizji kanonicznej, stanowią oni ikonę budowy Nowego Świata, pozwalającego na uniezależnienie się od środowiska zewnętrznego. Oto jak swoją pracę opisuje Walery Aleksandrowicz Gawriła, szewc Miasta:

²⁹ Rozmowa z Kolą Piatakowym podczas wyjścia z Miasta na Górę (III wyjazd, 2002 r.).

³⁰ Mówi o tym podczas oficjalnego wywiadu także pracownik rosyjskich specstżb Mikołaj Polikarpowicz (I wyjazd, 1999 r.).

³¹ Służbowa rozmowa z Mikołajem Stiepanowiczem Wołkowem (IV wyjazd, 2004 r.).

Jestem szewcem. Szyję rzadko kiedy, zwykle naprawiam obuwie braciom i siostram, żeby chodzili po tajdze w jakich takich butach. Bo warunki tu ekstremalne, obuwie miastowe nie wytrzymuje. Tu potrzebne są buty turystyczno-sportowe. Klimat w tajdze specyficzny, silne zmiany temperatury, buty nie wytrzymują nawet sezonu. W sprzedaży dobrych butów prawie nie ma, a jak są, to nie na kieszeń naszych chłopaków. Trzeba naprawiać to, co jest. A zimą walonki szyję, bo średnio bywa tu wtedy minus trzydzieści do czterdziestu. A potem wszystko trochę taje, buty przemakają, trzeba suszyć, nawet walonki nie wytrzymują, ściągają się, kurczą. Pracy mam dużo. Potrzebne obuwie, które wytrzyma temperaturę, a jednocześnie na długo starcza, w różnych warunkach, i śnieg, i deszcz. Swego czasu miałem w Minusinsku mały zakład, produkowałem obuwie sportowo-turystyczne. Wytrzymało sezon, dwa i też padało. Nic to, myślę, że z czasem wszystko będzie dobrze, zaczniemy szyć porządne buty, nie tylko naprawiać, ale i szyć³².

Wedle deklaracji respondenta praca finansowana jest dzięki pomocy Świata, sporadycznie również ze środków Miasta:

Materiały przysyłają bracia i siostry z miast, ja też od czasu do czasu robię zakupy. Biorę do tysiąca decymetrów skóry, tak na dwadzieścia par. Skóra najdłużej wytrzymuje.

PYTANIE: A jeżeli chcę, żebyście zrobili mi buty? Jak to konkretnie wygląda?

GAWRIŁA: Przychodziecie do mnie, mówicie: „Chciałoby się chodzić w takim a takim modelu”. Są katalogi, wzory. Zapisujemy życzenie, objaśniam proces produkcji, mierzę nogę i jeśli mam materiały – szyję. Oczywiście bezpłatnie! Jak mógłbym wziąć zapłatę? To tak jakbym powiedział żonie: „dawaj pieniądze, to uszyję ci buty”. Przychodzi mój brat, siostra moja, ja szyję. A materiały kupowane są za pieniądze całej Rodziny³³.

Opisywana sytuacja wydaje się pokrywać z rzeczywistymi mechanizmami ekonomicznymi sekty, dotyczy jednak głównie Miasta. Wspólnotowość ekonomiczna dolnych wiosek staje się jednak coraz bardziej mglista. I tak mieszkaniec drugiej wioski Czeremszanki Andriej Zajikin, który w 1999 roku deklarował chęć całkowitego wyjścia z systemu finansowego Świata, trzy lata później nie mówi już tak zdecydowanie o „energii negatywnej pieniądza”:

PYTANIE: A ty stolarką zajmujesz się dla Rodziny? Bezpłatnie?

ANDRIEJ ZAJIKIN: To zależy od warunków. Jak ludzie przyjeżdżają, mają jeszcze środki, można wtedy za pieniądze. Teraz zaczyna się próba – wymiana produktów, bo tam na południu w Kuraginie więcej owoców. A na razie jeszcze jesteśmy zanurzeni w pieniądzu – kupowanie materiałów... Wszystko tańsze znacznie niż na zewnątrz, ale jeszcze ten system jest. Tylko wewnątrz Rodziny nie ma. Ale zamówienia zewnętrzne... Nie tak strasznie... Bo robisz to nie dla pieniędzy, a dla bliźniego³⁴.

Mimo to część respondentów, szczególnie pionierów biorących udział w kolonizacji tajgi i budujących Zonę, mówi o realnej ofercie i dużych trudnościach

³² Wywiad radiowy z Walerym Aleksandrowiczem Gawriłą (I wyjazd, 1999 r.). Jak wykazuje obserwacja z kolejnych wyjazdów, Gawriła przestał być szewcem miejskim. Podczas IV wyjazdu w 2004 r. w mieście nie było osoby reperującej buty. Napraw dokonywano we własnym zakresie.

³³ *Ibidem*.

³⁴ Wywiad „powrotowy” (panelowy) z Andriejem Zajikinem w Czeremszance (III wyjazd, 2002 r.).

w adaptacji do warunków życia w komunie Miasta. Trudności owe interpretowane są jako „walka z egoizmem” i prawdziwy sprawdzian wiary. Anatolij Pszenaj mówi:

Przyjechałem tutaj, zostałem bez pieniędzy, lekko przyszło rozstać się z samochodem. Tego wyrzec się było łatwo. Ale kiedy pozostały tylko narzędzia, te podstawowe, bracia zaczęli przychodzić, mówić: „Tola, daj”. A mnie aż ścisnęło, myślę: „jakże to, dam, a mi nic nie zostanie”. Miałem dwie baterie słoneczne, a u niektórych braci ni jednej. Wiesz, że trzeba oddać, ale żal, światła i na dwóch bateriach za mało. Pojąłem, że to dla mnie nieprosty szczebelek. Świadomie oddałem baterię, rozdałem wszystkie akumulatory. Dopiero teraz, po pół roku, kupiłem sobie akumulator, pojawiło się światło. To szkoła nieprosta. Zgadzasz się z tym, co napisane, ale żyć tak niełatwo. Kiedy człowiek oddaje ostatnie, to naprawdę wierzy³⁵.

To poświęcenie dotyczy jednak głównie wcześniejszego okresu rozwoju sekty – przed ujawnieniem stratyfikacji ekonomicznej, ukonstytucjonalizowaniem nierówności i uczynieniem z niej elementu wizji kanonicznej. Obserwacja uczestnicząca, prowadzona pięć lat później, wykazuje bowiem, co następuje:

Pierwszy tydzień pobytu w Zonie:

Odwiedziliśmy Tolę Pszenaja. Nie mieszka w Mieście. Po ciężkiej chorobie przeniósł się do Żurawłowa, teraz zaś znów do Zony: do Czeremszanki. Wybudował dom i szkołę, którą oddał dla wioski. Zachował uprzywilejowaną pozycję w sekcie. Wydaje się żyć ofiarnie, angażuje się w sprawy Wspólnoty. Jednocześnie pozostaje w dobrej sytuacji materialnej, nie ma już mowy o całkowitej wspólnotocie ruchomości w ramach jednej Rodziny. Podczas rozmowy mówi jednak, że materia zniewala, trzeba żyć całkowicie dla innych.

[...]

Drugi tydzień pobytu:

Jesteśmy znów w Czeremszance. Tola Pszenaj został okradziony: znikły baterie słoneczne, akumulatory, rower, biżuteria żony, kosztowności. Tola komentuje wydarzenie następująco: „to twarda szkoła”. Zdarzenie pokazuje jednak relatywny charakter wspólnotowości – skradzione artykuły były w Zonie dobrem luksusowym, świadczącym o uprzywilejowaniu Toli w sekcie.

[...]

Jesteśmy w Chutorze Chlebnego. Witia Chlebnój, pionier Zony, *outsider*, który na własne życzenie opuścił Miasto i założył osadę będącą stacją przeładunkową na Drodze Zimowej, wymienia z nami wieści o nowych wydarzeniach w Zonie. Kiedy słyszy o kradzieży u Pszenaja, jest bardzo rozbawiony. Długo się śmieje³⁶.

Przytoczona obserwacja nie oznacza jednak, że komunია dóbr została zredukowana jedynie do sfery deklarowanej. Jest ona ciągle zjawiskiem realnym, charakterystycznym – jak się wydaje – przede wszystkim dla członków Rodzin Wioskowych niemających uprzywilejowanej pozycji we Wspólnocie. Wymiar owej komunii wydaje się zależny od indywidualnego podejścia wiernych, a także od presji, jakiej są oni poddawani w ramach kolektywu. Wspólnotę dóbr w wymiarze codziennym może ilustrować następująca scenka, zarejestrowana przypadkowo podczas prowadzenia wywiadu powrotnego z Paszą z Czeremszanki.

³⁵ Wywiad radiowy z Anatolijem Pszenajem w Nowym Jeruzalem (I wyjazd, 1999 r.).

³⁶ Notatka z obserwacji uczestniczącej (V wyjazd, 2004 r.).

Wywiad został przerwany przez wejście Sierioży. Na ganku przeprowadzona została następująca rozmowa:

Wchodzi SIERIOŻA: Pasza, drewna wziąć chcieliśmy. Masz jakieś belki? Braliśmy je kiedyś.

PASZA: A tobie dwóipółmetrowe starczą? Grubych nie potrzebujesz? Są jeszcze dwie pięćmetrowe. Koło magazynu.

SIERIOŻA: To znaczy mogę tam wybrać?

PASZA: Oczywiście. Tylko nie te okorowane. A może właśnie te miałeś na myśli?

SIERIOŻA: Tak, tak, tak.

PASZA: Ja je chciałem, Sierioża, wykorzystać na ogrodzenie. Ale jeśli ci potrzebne, weź. Ja je chciałem rozpiłować wzdłuż i wykorzystać...

OLA (żona Paszy): Bierz je.

PASZA: Tak, bierz, bierz³⁷.

Prezentowana sytuacja jest o tyle specyficzna, że Pasza nie jest nawet członkiem Rodziny Wioskowej. Został z niej wykluczony. Mimo to dzieli się budulcem, co można wiązać z silną wiarą respondenta w naukę Wissariona i z jego ofiarnością na rzecz grupy.

W rozmowie prowadzonej trzy lata wcześniej Pasza w następujący sposób opisywał wspólnotę Rodziny Wioskowej:

Każdy z nas ma swoją działkę, oprócz tego wspólnie dzierżawimy od administracji ziemię, sadzimy tam kartofle, rzodkiew, kaszę gryczaną. Zasada jest taka: jako mistrz-rzemieślnik powinienś umieć wyżywić się sam ze swojej działki. Jednak gdy potrzebujemy twoich rąk: nie uprawiaj ziemi, w zamian za pracę damy ci pożywienie, byś mógł w pełni poświęcić się swemu zajęciu³⁸.

W kolejnym wywiadzie respondent doprecyzowuje charakter wspólnotowości plonów w ramach Rodziny Wioskowej:

Jak powiedzieć, czy mamy swoje plony... Jest wydzielone pole Rodziny, z niego urodzaj umownie zespolony. Choć każdy ma na tym polu wydzielone 15–30 arów, komu ile, ile kto potrzebuje dla Rodziny Przyrodzonej [naturalnej – J.M.]. To wydzierżawione od państwa, niezależnie od administracji miejscowej – około czterdziestu hektarów. Wzięliśmy to po prostu na siebie jako farmerzy. I na tych działkach mamy sianokosy dla zwierząt. No i pola.

PYTANIE: I jak? Po zbiorach wydziela się każdemu, czy jest wspólny magazyn?

PASZA: Wspólnego nie ma. Widzisz, w Rodzinie umownie przyjmuje się, że wszystko jest wspólne. Ale nie sypie się wszystkiego w jedno miejsce, żeby w przypadku jakiejś klęski nie zgniło czy nie spłonęło wszystko naraz. To jest w domach, u każdego bliźniego. Ale jeśli pojawia się potrzeba, od razu się dzielisz, bez dwóch zdań. To naturalne, zbiory są wspólne, pomagaj bliźnim. A i u innych bliźnich [tych poza Wioskową Rodziną – J.M.]... Oni funkcjonują w podobny sposób, tyle że nie jest to tak naturalne i jednorodne.

PYTANIE: A powiedz, Pasza, na przykład u was, w Czeremszance, czy wam udało już się wyjść z Systemu Jednostki Monetarnej czy...

PASZA: Nie, na razie się nie udało. Dokładnie do poprzedniego miesiąca zarabialiśmy na całą Rodzinę. Określaliśmy, ile musimy kupić produktów na miesiąc i zdobywaliśmy środki... Czynili to głównie Mistrzowie. Zarabiali ciosając domy, stolarką...

³⁷ Wywiad „powrotowy” z Paszą z Czeremszanki (III wyjazd, 2002 r.).

³⁸ Wywiad radiowy z Paszą z Czeremszanki (I wyjazd, 1999 r.).

PYTANIE: Dla miejscowych czy dla Kuragina?

PASZA: Jakie zamówienie wpadło. Bez różnicy. Głównie buduje się teraz dla nowych wie-
rzących, co przyjeżdżają. Choć i dla miejscowych – sklep przygotowywali... Ale teraz Wołodia
Jądrowy schodził z Góry, znasz go pewnie? Pełni takie funkcje jak Budowniczy Cerkwi, przeka-
zuje wszystkie potrzeby, życzenia Wspólnoty... Jak zszedł do nas, jak to powiedzieć... Przekazał
takie życzenie, by cały nasz trud zamieniać nie na pieniądź, a od razu na produkty. Możliwy taki
kierunek, by zgrać się z miejscową ludnością, od razu ustalać, czego nam trzeba: tyle mąki, tyle
kaszy. Bo podstawa: nasze pola. A potem patrzymy, co jest nam potrzebne do rozwoju rzemiosła.
A potem dodatki do żywności – trochę oleju, kaszy właśnie³⁹.

Kolejnym aspektem ekonomii sekty są źródła finansowe budżetów rodzin-
nych (mowa nie o Rodzinach Wioskowych, lecz o tzw. rodzinach naturalnych).
Podczas adaptacji do warunków Zony wierni utrzymują się częściowo z pienię-
dzy pochodzących ze sprzedaży mieszkań⁴⁰. Posiadający odpowiednie upraw-
nienia pobierają renty, emerytury i świadczenia wojskowe. Niektórzy z nich
decydują się na wejście do Rodzin Wioskowych, oddają emerytury i korzystają
na przykład ze wspólnej kasy chorobowej, tworzonej w ramach konkretnej wsi.
Rodzina Wioskowa może wydzielić wiernemu środki na budowę domu – zwykle
są one niewystarczające jako jedyne źródło finansowania budowy. Jeśli wierni
nie mają innych możliwości finansowania inwestycji, decydują się na budowanie
domu czasowego (wykonywanego na przykład z płótna albo ze styropianu i płyt
wiórowych). W kontaktach ze Światem zewnętrznym takie warunki mieszkani-
owe nie są wiązane przez respondentów z cnotą ubóstwa. Uważane są one za rzecz
wstydliwą, którą należy ukryć. Wierni nie pozwalają więc fotografować prowi-
zorycznych domów, przekonani, że zezwalając na ukazanie własnego poświęce-
nia i pionierskich warunków życia, przyczynią się do dekonstrukcji kanonicznej
wizji „wspaniałego” Nowego Świata.

Podczas pierwszych wyjazdów wierni podkreślali zwykle własne niezależ-
nianie się od systemu finansowego, mówili, że zarówno oni, jaki ich dzieci mogą
obyć się bez pieniędzy⁴¹. Jeśli mówili o pracy zarobkowej, to głównie w kontek-
ście przejściowych trudności w utrzymaniu Wspólnoty i konieczności zakupu
materiałów potrzebnych do pracy Mistrza Rzemiosła⁴². Podczas kolejnych wy-
jazdów można odnotować coraz więcej przypadków zasilania domowych budże-
tów pieniędzmi pochodzącymi ze sprzedaży produktów na rzecz Świata bądź też
pracą za pieniądze dla podmiotów zewnętrznych – na przykład w „leschozach”⁴³.

³⁹ Wywiad „powrotowy” z Paszą z Czeremszanki (III wyjazd, 2002 r.).

⁴⁰ Mówi o tym np. Igor Nowikow (IV wyjazd, 2004 r.).

⁴¹ Wołodia Bagajew mówi na przykład w wywiadzie radiowym: „Zbieram w tajdze wiadro
żurawiny, starcza, żeby kupić dzieciom na dwa lata zeszyty, długopisy i tak dalej” (I wyjazd, 1999 r.).

⁴² Malarz Żenia Kornilcew, prowadzący w Mieście lekcje plastyki, mówi w wywiadzie ra-
diowym: „Pieniądże ze sprzedaży [obrazów – dop. J.M.] idą na farby dla dzieci, na kredę, na pa-
pier, stoliki. Wszystko jest drogie” (I wyjazd, 1999 r.).

⁴³ Rodzina Puchariewych z Żarowska handluje na przykład sztucznymi kwiatami. Liuda
kwiaty produkuje, Tola sprzedaje je w Abakanie. Uzyskiwane skromne środki pomagają w doraź-

Wcześniej postawa taka była uważana za niezgodną z doktryną Wissariona, który wytyczył tendencję do uniezależniania się od pieniędzy (jak pamiętamy, Wadim Riedkin deklarował nawet, że pełne uniezależnienie nastąpi w 2001–2002 r.). Rozluźnienie rygorów wspólnotowych, zaznaczanie stratyfikacji i konflikt ekonomiczny pomiędzy interesem gospodarstw domowych (to jest „rodziny naturalnej”) a Rodziną Wioskową godzi bezpośrednio w sferę symboliczną wiernych. W związku z uświadomieniem konfliktu interesów jednostki i Wspólnoty wierni budują wizję dualistyczną (interes własny – / interes ogółu +), niektórzy otwarcie deklarują niepokój i trudności związane z wytyczaniem ścieżki duchowego rozwoju. Pasza z Czeremszanki tak komentuje fakt wykluczenia z Rodziny Czeremszańskiej i poprawy własnej sytuacji materialnej:

PYTANIE: A powiedz, Pasza, jak ty się poczułeś, jak stało się to wszystko z Rodziną Jedyną? Pomyślałeś, coś tam i wziąłeś się za swoje, czy jak?

PASZA: Jak powiedzieć... Z jednej strony... Nie wiem, na ile w sobie tych naszych pojęć doświadczasz. Ale mamy duszę i mamy przyrodzony świat egoistyczny. I to, co wygodne dla egoizmu, nie całkiem dobre dla rozwoju duszy. A więc poczułem, że egoizmowi zrobiło się źle. Bez wątpienia zrobiło mi się źle – sam układałem swój dzień pracy, zajmuję się tym, czym chcę się zajmować, odpoczywam wtedy, kiedy mam na to ochotę. Mogę poświęcić czas dla dzieci, dla gości. Jeśli bym był teraz w Rodzinie – nie miałbym takiej możliwości, bo tam o wszystkim decyduje Rodzina, a człowiek, wchodząc w tę organizację, całkowicie się jej oddaje. I to już troska Rodziny, by w człowieku nie było napięcia w związku z decyzjami, jakie Rodzina podejmuje. A jako że wszyscyśmy niedojrzali, ja tej troski zupełnie nie czułem. To, czego Rodzina wymagała ode mnie – doświadczałem tego bardzo realnie i silnie. A to, że Rodzina o mnie się troszczy, czułem... Jak to ująć... Nie tak silnie, powiedzmy tak. To też wynika z mojego egoizmu. Bo gdybym bardziej myślał o ludziach, nie odczułbym takiego niedostatku troski o mnie. I bez wątpienia po tym, jak zostałem wykluczony z Rodziny, zrobiło się znacznie źle – tak psychicznie, jak i fizycznie. Tym bardziej że długo nie mogłem się zająć własnym gospodarstwem, a teraz mogę poświęcić na to czasu tyle, ile tylko trzeba⁴⁴.

Ten sam informator mówi o zróżnicowaniu ekonomicznym poszczególnych osad Zony:

Czeremszanka ma swoją specyfikę. To jak stolica, jak Moskwa. Splot dróg administracyjno-gospodarczych. Dlatego Rodzina Jedyna jest obciążona wieloma dodatkowymi zadaniami – przyjęcie gości, masa muzyków. W Rodzinie jest nas trzydziestu mężczyzn. A jeśli na przykład w Żarowsku jest tylko trzech Mistrzów, reszta może zajmować się budową⁴⁵.

Pasza z Czeremszanki wymienia również kolejny defekt struktury ekonomicznej, dostrzegany także przez innych respondentów. Jest nim konflikt pomię-

nym utrzymaniu gospodarstwa (IV wyjazd, 2004). Walera – mąż Chinki z Pietropawłówki – przyznaje, że jego żona pracuje jako bioenergoterapeutka u miejscowych, niewierzących mieszkańców okolicznych wsi (III wyjazd, 2002 r.). Wadim Riedkin mówi zaś w oficjalnej rozmowie: „Nie blokujemy nikomu dalszej edukacji. Każdy może przecież zarobić pieniądze w przedsiębiorstwie leśnym i wyjechać studiować na przykład do Abakanu” (III wyjazd, 2002 r.).

⁴⁴ Wywiad powrotny z Paszą z Czeremszanki (III wyjazd, 2002 r.).

⁴⁵ *Ibidem*.

dzy interesami całej Wspólnoty (wezwania na wspólny trud, kierowane z Góry przez Nauczyciela) a interesem Rodziny Wioskowej. Góra oczekuje przyspieszenia kolektywnych budów – zarówno na rzecz Miasta, jak i spektakularnej rozbudowy infrastruktury poszczególnych wiosek. Jak podaje respondent, odgórny postulat ujawnia konflikt ról – roli ucznia Wissariona, roli członka wioskowego kolektywu i ojca rodziny, dbającego o działkę i odpowiedzialnego w oczach Wspólnoty za zapewnienie bytu sobie, żonie i dzieciom. Praktyczne wypełnianie roli członka wioskowego kolektywu wiąże się z kolei z niezamierzonym i niepożądanym przebudowaniem przestrzeni świata przedstawionego wiernych, jej atomizacją powodowaną konfliktem interesu kolejnych wiosek:

Warto by budować dużo, ale nie udaje się. Taka specyfika. A do tego: tu wezwanie na Górę, tu do Pietropawłówki, hangar budować, ten, w którym wstrecza z Nauczycielem była ostatnia. No i pół masa. W Żarowsku nie ma takiej obfitości sianokosów, żniw i tak dalej. Tam budować łatwiej. Tak mi się wydaje. Oni mają pod bokiem tajgę, dwieście metrów do drzew. My na wycinkę musimy daleko jechać. Oni mają swojego leśnika, z którym łatwiej się dogadać. A tu znacznie ciężiej⁴⁶.

Jak wynika z prezentowanej wypowiedzi, istotnym elementem wpływającym na funkcjonowanie poszczególnych osad Zony jest układ wsi z przedstawicielem lokalnej administracji. Jest to kolejny element rzeczywistej struktury ekonomicznej stojący w konflikcie z deklarowaną wizją wraz z jej postulatem uniezależniania się od Świata⁴⁷.

Kolejne wyjazdy wskazują też na świadome oddalanie się respondentów od modelu deklarowanego, które mieści się w szerszej strategii uników wobec ośrodka władzy sekty. Dzieje się tak zarówno w przypadku wissarionowców oddalonych od centrum władzy⁴⁸, jak i osób uprzywilejowanych materialnie we Wspólnocie i współtworzących system symboliczny sekty⁴⁹.

⁴⁶ Wywiad „powrotowy” z Paszą z Czeremszanki (III wyjazd, 2002 r.).

⁴⁷ Jako przykład skrajny można podać przypadek zięcia jednego z respondentów, który zaczął współpracować z miejscowymi strukturami przestępczymi, zajmującymi się nielegalną sprzedażą drewna z tajgi do Chin.

⁴⁸ Przykładem może być notatka z dzienniczka obserwacji uczestniczącej:

„Nauczyciel podjął decyzję, że Tola Puchariew ma wrócić do Rodziny Wioskowej, mimo wcześniejszego wykluczenia (Rodzina Żarowska zdecydowała o jego wykluczeniu, bo Tola za wolno pracował). Żona Toli [Luda Puchariewa] nie zgodziła się na powrót do Rodziny Wioskowej, w której każde gospodarstwo musi wpłacać do wspólnej kasy 2,5 tysiąca rubli miesięcznie.

Wniosek 1: O ile w Mieście, które jest najbardziej zbliżone do ośrodka władzy, sekta ingeruje we wszystkie dziedziny życia wiernych i komunikaty przypisywane Nauczycielowi mają charakter ostatecznych rozstrzygnięć, o tyle w ośrodkach oddalonych od centrum strategia mieszkańców coraz bardziej różni się z wizją deklarowaną.

Wniosek 2: Reguła Rodziny Żarowskiej stoi w jawnej sprzeczności z postulatami o odejściu od jednostki monetarnej”.

⁴⁹ Jako przykład omawianej tendencji można podać wspomniany już przypadek powrotu na scenę Święty Włodimirskiej:

Ta tendencja powoduje z kolei poczucie frustracji u części pionierów, którzy zaczynają interpretować zmiany we Wspólnocie jako odstępstwo od wizji kano-nicznej. Sasza Brusinow mówi na przykład:

Wielkie stresy będą. Bo trzeba przyspieszyć. Że zdołamy wypełnić plan, być niezależnymi. Aleśmy wypadli z drogi. Weź choćby zakup nasion. Jak nie będziemy w stanie się sami zabezpieczyć... A mało kto dba o to, by były nasiona i marchwi, i buraka, i reszty. Liczą, że da się je kupić. A jak to się ma do niezależności? My niby tam tworzymy, a po wsiach połowa się rozlatuje. To źle⁵⁰.

Należy przy tym zaznaczyć, że także w tym przypadku jasna artykulacja niepokoju o kierunek rozwoju Wspólnoty dotyczy jedynie jednostkowych przypadków. Mimo to – zgodnie z postawioną tezą o charakterze mowy ezopowej we Wspólnocie – przypadki owe możemy traktować jako wskaźnik o wiele wyższej wartości zmiennej, niż sugerowałyby prosta analiza ilościowa. Sam fakt otwartej artykulacji wątpliwości w pojedynczych rozmowach świadczy o zdecydowanie większej liczbie przypadków osób zaniepokojonych kierunkiem rozwoju Wspólnoty. Osoby te nie precyzują owej rozbieżności w związku z przewidywanymi sankcjami negatywnymi ze strony Wspólnoty, a także w związku z konfliktem ról – mogą się o to niepokoić jako gospodarze, głowy własnych rodzin, nie mają jednak do tego prawa jako wierni. Rola wiernego jest zaś rolą dominującą. Kolejnym, najwyraźniejszym przykładem wspomnianego zjawiska może być następujący przypadek:

Mirżan jest w Pietropawłowce dopiero od trzech lat. Wcześniej mieszkał na Górze. Zszedł na dół ze względu na chorobę żony (częsty przypadek – również z powodu choroby musieli opuścić Miasto inni pionierzy – np. Pszenaj czy Brusinow). Mirżan mówi, że chce dawać innym i czynić Dobro. Tyle że żeby dawać Dobro bezinteresownie, musi przez pół roku popracować dla siebie, by widzieć, że ma pełną spiżarnię, że dzieci będą miały co jeść. Wtedy kolejną połowę roku może, poświęcić dla innych. „W przeciwnym razie zawsze będziesz oczekiwać: nawet jeśli nie, że zapłaci bezpośrednio obdarowywany, to że pieniądze przyjdą skądinąd. To nie jest bezinteresowne życie” – mówi.

Wniosek: część wiernych dostrzega rozbieżność pomiędzy wizją kanoniczną a własną wizją Zony. Rozbieżność owa godzi bezpośrednio w wizję symboliczną i podważa fundamenty tożsamości mieszkańców Zony⁵¹.

Przypadek Mirżana jest bardzo wyrazistym przykładem omawianej tendencji. Jak wykazują badania z kolejnego (piątego) wyjazdu, Mirżan wyjechał wraz z rodziną z sekty.

PYTANIE: A jakie pieśni śpiewacie? Pamiętam, rozmawialiśmy, że dla kobiety występy na scenie to nie to, że powinna się zawsze zajmować domem. I wtedy nie było mowy o żadnych pieśniach, nawet pieśniach o Wissarionie...

SWIETA: Mniej było. No tak, tak. Wtedy twórczością zajmowałam się o tyle, o ile. Mało. A teraz od dwóch lat kontynuuję znów pracę twórczą, siedzę w studiu, wydaję albumy: dziecięce, estradowe. Będę pisać i duchowe. Próbuje łączyć dom i twórczość, to nie jest łatwe, ale na tyle, na ile się udaje... Jakoś idzie (III wyjazd, 2002 r.).

⁵⁰ Wywiad „powrotowy” z Saszą Brusinowym (IV wyjazd, 2004 r.).

⁵¹ Obserwacja uczestnicząca z IV wyjazdu (2004 r.).

Dobłą ilustracją świadomości tego, w jakim stopniu utopijna wizja jest rozbieżna z rzeczywistym kierunkiem rozwoju sekty, może być wypowiedź Saszki Brusinowa, który wydaje się w bardzo trafny sposób oceniać sytuację wiernych:

Zachwyceni [ideą – J.M.] często zapominaliśmy, cóż znaczy nie zależeć. Możesz żyć w pieniądzu i od niego nie być zależnym. A możesz być bez nich, a pozostawać w ich niewoli⁵².

Podobnie jak w innych przypadkach, tak również tutaj dostrzegane defekty struktury wiązane są nie tyle z podważaniem wiarygodności ikony centralnej, ile z oskarżeniem o brak wierności Chrystusowi. Dzieje się tak szczególnie w wypowiedziach respondentów współtworzących ośrodek władzy symbolicznej (jak zauważyliśmy, jest to jedyny zidentyfikowany przez nas mechanizm, który pozwala na zachowanie tożsamości i ugruntowanie sensu własnej egzystencji we Wspólnocie). I tak – Igor Nowikow opisuje ewidentne przejawy odejścia od utopijnej wizji równości, jednocześnie jednak wierzy, że w przyszłości nierówności zostaną zniwelowane:

Ludzie ciągle pytają. A odpowiedzi zostały wypowiedziane w Piśmie już sześć lat temu.

Ot, sytuacja, 6 lat temu było spotkanie, Nauczyciel daje odpowiedź: „Zanim powiesz o czymś »moje«, pomyśl sto razy, czy warto to wypowiedzieć. Musicie się nauczyć rozstrzygać wszystko razem”. I ot sytuacja: zachodzę do brata, mówię: daj, Witia, wideomagnetofon dla pożytku społecznego, chcemy obejrzeć komedię. A on: nie mogę pozwolić na to, byś wyniósł z domu, bo możecie zepsuć wideo. Ja na to: słuchaj, ty uważasz, że to twoje wideo?

A on: tak, to mi mama ze Świata podarowała.

Przeczytałem mu te wersy, mówię: dalej uważasz, że ty coś tu posiadasz?

On: tak, dalej tak uważam.

I to pytanie podnoszę na zebraniu – by cała rodzina pojęła, czy można używać słowa „moje”.

Czas mija, sześć lat odpowiedzi, ludzie zapominają. Jakby to mi przysłał magnetofon, powiedziałbym na gorszowie [tj. miejskim zebraniu – dop. J.M.]: rebiata, zostawiam u siebie, bo nie mam żadnej muzyki. Oni by rozpatrzyli sprawę: – dobra, zostaw u siebie. Ale jak mam drugi, to się do tego przyznaję, oddaję innym⁵³.

Dobrym uzupełnieniem opisywanej wypowiedzi mogą być spostrzeżenia poczynione podczas obserwacji uczestniczącej w Mieście:

Towarzyszymy Igorowi Nowikowi. Odwiedził Budowniczego Cerkwi. Mówił, że porozmawia z nim o wspólnej własności i indywidualnym gromadzeniu dóbr materialnych przez część mieszkańców Miasta.

Na miejscu Igor sprawy nie poruszył. Grał z Budowniczym w rzutki.

Budowniczy planuje dobudować sobie drugie piętro, żona mówi, że na parterze jest im zbyt niewygodnie, potrzebują przestrzeni do pracy. Jest wyraźnie dumna z domu. Dom jest bogato urządzony. Na stole leżą ciasteczka – niezgodne z dietą wegańską. Żona tłumaczy, że trzyma je tylko dla kota.

⁵² Wywiad „powrotowy” z Saszą Brusinowym (IV wyjazd, 2004 r.).

⁵³ Rozmowa prywatna z Igorem Nowikowem w Nowym Jerozalemie (V wyjazd, 2004 r.).

Po spotkaniu Igor mówi, że o podejściu do wspólnej własności porozmawia jednak na ogólnym zebraniu. Poruszy na nim także kwestię oglądania przez wiernych świeckich programów telewizyjnych, które „niosą energię negatywną”.

Rezultatów jego apelu nie znamy. Realnej zmiany nie odnotowaliśmy.

Wniosek: Stratyfikacja ekonomiczna wewnątrz grupy pogłębia się, powodując coraz silniejszą rozbieżność rzeczywistej sytuacji wobec wizji kanonicznej. Prezentowana sytuacja nie ma odpowiedników w materiale z pierwszych wyjazdów. W 1999 roku wierni mówili o realnych przypadkach wyzbywania się własności – teraz mówi się o tym głównie wycieczkom oprowadzanym po Mieście. Domy wissarionowców w Nowym Jeruzalem są teoretycznie wspólne, w praktyce jednak sekta ewoluuje, odtwarzając stratyfikację ze Świata – elita jest uprzywilejowana już nie tylko pod względem komunikacyjnym (dostęp do ikony centralnej i możliwość wyjazdów na zewnątrz), ale także na przykład pod względem żywieniowym i lokalowym (niektórzy wierni oddaleni od ośrodka władzy, chociaż mieszkający w Mieście, od pięciu lat żyją na przykład w niedogranych zimą namiotach). Wcześniejsza większa homogenizacja ekonomiczna powodowana była pionierskimi warunkami i wspólnotą pracy przy karczowaniu tajgi i budowaniu domów. Wraz z rozbudową infrastruktury następuje segmentacja i rozluźnienie więzi wewnątrz grupy⁵⁴.

Podobnych wniosków dostarczają inne obserwowane zdarzenia. Wraz z komercjalizacją sekty i ujawnianiem rzeczywistych struktur władzy i uprzywilejowania asceza przestała być ogólnie uznawaną cnotą. Jest ona ciągle wartością pozytywną wizji kanonicznej. Ma to jednak coraz mniejsze przełożenie na realne zachowania. Część wiernych nie tylko rezygnuje z utopijnej wizji ubóstwa i ascetyzmu, ale też przestaje o niej mówić. Wcześniej w wypowiedziach respondentów pojawiało się często pozytywne wartościowanie wyrażane za pomocą opisów – „on je tylko surowe warzywa”, oznaczające w praktyce: „on jest bliżej Prawdy (*Istina*), on wierniej podąża za Nauczycielem”. Obserwacje z IV i V wyjazdu wykazały zdecydowanie poluzowanie rygoru i uzasadnianie odstępstw od wizji kanonicznej indywidualnymi potrzebami, a także poprawą efektywności pełnienia funkcji na rzecz grupy. Współtworzący elitę sekty Budowniczy Cerkwi dobudowuje więc piętro, by „móc lepiej pracować” (tak samo jak Wissarion mieszka na Górze i nie bierze udziału w pracach fizycznych, by „móc zajmować się Wszechświatem”). Stratyfikacja materialna uzasadniana jest specjalizacją, koniecznością zapewnienia komfortu kadrze zarządzającej i specjalistom (Mistrzom Rzemiosła). Dostęp zaś do elity jest blokowany z jednej strony przez kontrolowane zarządzanie ikoną centralną (tylko najbliżsi uczniowie „wiedzą, co powiedział Wissarion”), z drugiej zaś przez zarządzanie pracą i wyznaczanie takich zadań, które w praktyce utrudniają awansowanie w hierarchii i zyskanie mistrzowskiego statusu. Nie rozstrzygamy tutaj, czy budowanie takiej struktury jest intencjonalne, niemniej bez względu na to, w jakim stopniu prowadzona polityka jest usystematyzowana, możemy jednoznacznie stwierdzić, że ośrodek decyzyjny sekty w skuteczny sposób centralizuje władzę i umożliwia segmen-

⁵⁴ Obserwacja uczestnicząca (wyjazd IV, 2004 r.).

tację Wspólnoty, niezgodną z wizją kanoniczną, pozwalającą jednak na trwałe zarządzanie grupą.

W dalszej perspektywie wiąże się z tym jednak niepożądane przez ośrodek władzy osłabienie ikonografii i co za tym idzie – tożsamości Wspólnoty. Ikonomia owa oparta jest bowiem nie tylko na symbolice chrześcijańskiej, ale przede wszystkim na spolaryzowanym rozróżnieniu projekcji Zony i Świata. Kierunek transformacji podważa wiarygodność owej opozycji. O ile upośledzenie części członków grupy mogło bowiem być usprawiedliwione wyższą koniecznością, ofiarą, poświęceniem dla Nowego Świata i Chrystusa, o tyle jednak włączanie do wizji kanonicznej elementów realnej stratyfikacji godzi w samą wizję Nowego Świata.

W sekcie coraz bardziej dostrzegalne są zjawiska przypisywane do tej pory ujemnie wartościowanemu otoczeniu zewnętrznemu (–).

Jednym z przykładów omawianej tendencji może być następująca obserwacja:

Kończy się pierwszy tydzień wyjazdu dokumentacyjnego na potrzeby filmu. Jesteśmy w Mieście. Podsumowuję dotychczasowy pobyt. W drogę do Miasta ruszyliśmy w trójkę: Maciek Migas – współreżyser, Radek Ładczuk – operator, i ja. Producent Piotr Śliwiński został w dolnych wioskach. Ja pełnię rolę tłumacza i przewodnika po rzeczywistości Zony. Staram się, byśmy nie byli identyfikowani jako obcy. Te zabiegi rodzą napięcia i nieporozumienia. Doszliśmy dziś do Wagonczika – jednego z dwóch punktów przeładunkowych w drodze do Nowego Jeruzalem. W Wagoncziku pokłóciliśmy się z Radkiem – z banalnej przyczyny. Nalegałem, by Radek ukrył czekoladę, którą jadł po drodze. On się z tym nie godził, dyskutowaliśmy tę sprawę, kiedy zeszliśmy na Zimową Drogę. Radek zarzucił mi hipokryzję w podejściu do wissarionowców i budowanie nieprawdziwego wizerunku własnej osoby.

Wniosek 1: Cała sytuacja skłania do refleksji nad własnym sposobem penetracji Zony i słuszności obranej strategii. Działania kamuflujące mogą rzeczywistość stwarzać wrażenie sztucznej asymilacji i nieszczerości. Opisywane napięcie wskazuje jednak na zmianę rzeczywistości Zony, której w pierwszej chwili nie dostrzegłem. Przebudowie ulega sfera symboliczna sekty. Na przykład czekolada przestaje być ikoną innego świata, dlatego że sami wierni zliberalizowali dietę i kupują czekoladę. Teraz słodczyce są prawdopodobnie nie tyle znakiem obcości, ile zamożności wewnątrz Wspólnoty. Te zmiany – sięgające znacznie głębiej – zaczynam rozumieć po kilku dniach od zdarzenia.

Wniosek 2: Moje kamuflowanie znaków obcości odnosiło się przede wszystkim do osób mi towarzyszących – tak działało się i podczas poprzednich wyjazdów, kiedy Maciek i Filip palili papierosy w Zonie, albo kiedy jedliśmy mleko skondensowane, chcąc uczyć „po cichu” urodziny. Ogólna strategia polegała nie tylko na ukrywaniu odmienności, ale przede wszystkim na rzeczywistej próbie przyjęcia stylu życia wiernych: wegańskiej diety, pieszych podróży, uczestnictwa w modlitwach do Nauczyciela etc. Kamuflowanie wiązało się głównie z koniecznością doraźnego maskowania naszych słabości. Tak działało się w momentach, kiedy nie potrafiliśmy zrezygnować z atrybutów Świata (diety, używek, a także gdy nie mogliśmy wytrzymać inwazyjnej presji doktryny uśmiechu i łagodności). Napięcie z Radkiem wiąże się z innym odcodowywaniem rzeczywistości – Radek wszedł do nowej Zony, której odmienna wobec Świata sfera symboliczna zaczyna ulegać częściowej erozji. Ja natomiast tej erozji nie zauważyłem i przyjąłem dotychczas wypracowaną strategię, do której akceptacji starałem się nakłonić towarzyszy podróży⁵⁵.

⁵⁵ Notatka z obserwacji uczestniczącej (IV wyjazd, 2004 r.).

Jednocześnie zjawiskiem ukrywanym przez ośrodek władzy symbolicznej jest pogłębiająca się stratyfikacja ekonomiczna Wspólnoty. Nieartykułowanym zjawiskiem pozostaje także konflikt ról ucznia Wissariona, roli członka wioskowego kolektywu i ojca rodziny, dbającego o działkę i odpowiedzialnego w oczach Wspólnoty za zapewnienie bytu sobie, żonie i dzieciom.

Ponadto, analiza życia codziennego wiernych wskazuje na przemieszczenie sceny życia społecznego, zorientowanie rozgrywania ról na zewnątrz (w kierunku gości ze Świata), na budowanie projektu turystycznego, przekształcanie Zony w religijny, zmediatyzowany skansen. Co znamienne – na utrzymanie takiego kierunku rozwoju zorientowany jest zarówno ośrodek władzy sekty, jak i środowisko zewnętrzne – zainteresowane wchłonięciem Zony bądź zawarciem wspólnego sojuszu symbolicznego i partycypacją w zyskach. Próby adaptacji sekt rosyjskich do środowiska zewnętrznego nie są nowe – najbardziej spektakularnymi ich przykładami wydają się organizowane na początku XX w. zjazdy popowców i bezpopowców, wspólne, skoordynowane próby ich legalizacji, konsolidacji i wejścia do sfery publicznej. Nowy wydaje się natomiast – zgodny z globalnymi opisami – ponowoczesny charakter Wspólnoty, turystyczny, usługowy projekt świata i niezwykle szybkie konsumowanie pokonwersyjnej sfery symbolicznej, będącej kilkanaście lat wcześniej bazą i motorem kontestacji świata zewnętrznego. Erozja sfery symbolicznej i osłabienie tożsamości pionierów nie oznacza przy tym zupełnego rozpadu społeczności, lecz zmianę jej charakteru na wymienny, masowy, urynkwiony, mniej trwały. Przykład wissarionowców wydaje się wskazywać na korelację między dynamiką zmian grupy kontestacyjnej a rozwojem turystyki. Innymi słowy: sakroturystyka wydaje się wyraźnie przyspieszać moment przejścia ze sfery wspólnotowości do instytucjonalizacji, biurokratyzacji⁵⁶.

W opisie ekonomicznego rozwoju sekty potwierdzają się również ogólniejsze teorie specjalizacji komunikacyjnej. Współczesne opisy ekonomiczne sugerują, że nowoczesne, urynkwione społeczeństwa tworzą wyspecjalizowane grupy docelowe. Po części dzieje się tak w przypadku opisywanej przez nas sekty. Pierwsze, podstawowe komunikaty, przygotowywane dla osób z zewnątrz, przedstawiają bowiem Wspólnotę nie tyle jako krainę Chrystusową, ile jako osadę ekologiczną spełniającą określone oczekiwania konsumpcyjne⁵⁷. Sam zaś milicjant-Chrystus staje się centralnym rekwizytem projektowanej wizji. Innego rodzaju komuni-

⁵⁶ Ta zależność zdaje się potwierdzać prawo Parkinsona, zgodnie z którym „każdy wzrost wielkości jakiegokolwiek części jakiejś organizacji (grupy) powoduje inne wzrosty w strukturze organizacyjnej grupy”, J. Turowski, *Socjologia. Małe struktury społeczne*, Lublin 2001, s. 81.

⁵⁷ Działanie grupy zorientowane na zewnątrz mieściłoby się więc nie tyle w opisie sekt czy denominacji, ile nowoczesnych grup kultowych (takich jak zwolennicy popularnego również wśród wissarionowców Sai Baby), które są „typowym przykładem grup usługowych, hurtem bądź detalicznie dostarczających doświadczenie [...] by poradzić sobie z konkurencją, stosując rozmaite ulgi, zniżki, ułatwienia w handlowych stosunkach z liderem, także z przedmiotem swego kulto-

katy są z kolei kierowane do wiernych – w tym przypadku przekaz podkreśla elementy ezoteryczne, religijne, a także katastroficzne. Dalszemu zróżnicowaniu ulegają doraźne przekazy, których perswazja zorientowana jest na przywrócenie porządku czy wezwanie do wspólnej pracy – w tym przypadku komunikaty zorientowane są na konkretne osady i wsie. Badania wskazują też, że wierni w zależności od swoich poglądów i sytuacji życiowej kierowani są do konkretnych siół i pasiołków. Takie działania mogłyby potwierdzać (po)nowoczesny charakter Wspólnoty, na co wskazuje dodatkowo sama ewolucja grupy w kierunku turystycznym⁵⁸. Homogenizacja komunikatów wewnątrz grup docelowych wydaje się przy tym zjawiskiem szerszym, z którym musi się także mierzyć na przykład Kościół katolicki, adresujący własne przekazy i konsolidujący wiernych w zależności od bardziej precyzyjnie niż do tej pory określonych zmiennych (miejsce zamieszkania i przynależność do parafii może przestać być tutaj czynnikiem dominującym)⁵⁹. Taka specjalizacja może jednak oznaczać osłabienie wspólnoty wewnątrz parafii – w każdym razie w tradycyjnym rozumieniu formalnej, arbitralnej przynależności do niej. Owo osłabienie – przejawiające się na przykład przez bardziej konsumpcyjny wybór atrakcyjnych czy jasnych z punktu widzenia wiernego kazań – może być więc rekompensowane przez budowanie poczucia wspólnotowości na nowym gruncie, wspólnych interesów, przedsięwzięć, zaangażowania w działalność aktywnego ośrodka katolickiego działającego na gruncie społecznym. Może ono jednak także oznaczać budowanie nowych wspólnot – homogenicznych pod względem wieku, wykształcenia czy stylu życia. Tak zaprojektowane działania wydają się w krótkofalowej perspektywie zapewniać większą skuteczność w zarządzaniu grupami. Przykład Cerkwi „Najnowszego Testamentu” wydaje się więc użyteczny do tworzenia szerszych opisów kościołów i ruchów religijnych – również w naszej rzeczywistości.

wego zainteresowania”, A. Wójtowicz, *Współczesna socjologia religii. Założenia, idee, programy*, Tyczyn 2004, s. 307.

⁵⁸ O konsekwencji takich przemian pisze m.in. Tadeusz Paleczny, który jednak stwierdza, że „turystyka przyczynia się pośrednio i bezpośrednio do wzrostu różnorodności i złożoności każdego systemu kulturowego zarówno w wymiarze lokalnym, jak i globalnym”, *idem, Interpersonalne stosunki międzykulturowe*, Kraków 2007, s. 243. O ile jednak nasza obserwacja potwierdza osłabienie wspólnotowości na rzecz zrzeszeniowości, o tyle nie wydaje się, by etap komercjalizacji Wspólnoty i rozwój przemysłu turystycznego katalizował „transfer kulturowy, prowadzący do wzrostu różnorodności zachowań”, bardziej roszczeniowi w swojej masie goście zewnętrzni nie wydają się bowiem „przynosić z sobą gotowości do zmiany własnego życia” (*ibidem*). Owa zmiana jest rzeczywiście oczekiwana, ale raczej na poziomie pewnego pakietu zaprojektowanych doznań, a nie całkowitej konwersji. O projektowanej percepcji i oczekiwaniach turystów pisze Anna Wieczorkiewicz (*eadem, Projekt turystycznego świata*, „Kultura i Społeczeństwo”, styczeń–marzec 2005, s. 95–122).

⁵⁹ O kryzysie parafii terytorialnych pisze na przykład Janusz Mariański, który jednak uważa, że duszpasterstwo „ruchome”, specjalistyczne, „uzupełnia dość dobrze duszpasterstwo parafialne”. Mariański zwraca uwagę na podstawowe znaczenie parafii, która jest miejscem wstępnej socjalizacji religijnej, *idem, Religia i Kościół między tradycją i ponowoczesnością. Studium socjologiczne*, Kraków 1997, s. 267.

Etyka i pieniądze

KATARZYNA KONARSKA

Uniwersytet Wrocławski

Prawdziwy reporter nie mieszka w Hiltonie. O potędze i marności pieniądza w ujęciu Ryszarda Kapuścińskiego

Istotną cechą wielkiego i szlachetnego umysłu jest, że nie dba o nagrodę za dobrodziejstwa, lecz o nie same, i że po złych doświadczeniach wciąż szuka dobrego człowieka. Czy byłoby czymś chwalebny niesienie pomocy wielu ludziom, gdyby nikt nie zawiódł nas? Lecz prawdziwą cnotą jest właśnie świadczenie dobrodziejstw bezinteresownych, za które człowiek wspaniałomyślny bierze nagrodę w tej samej chwili, kiedy je świadczy¹.

Seneka

Co wiemy o Ryszardzie Kapuścińskim? Co można jeszcze napisać o człowieku, o którym prawdopodobnie napisano już wszystko? Tomy książek, dziesiątki, a może setki artykułów poświęconych jemu, skromnemu reporterowi, z którym dane mi było spotkać się tylko raz. Było to dziesięć, a może i więcej lat temu, podczas jednego z wielu spotkań, na które tak chętnie – jak mówił – przybywał, w przeciwieństwie do tych wielkich, szumnych międzynarodowych imprez, konferencji i sympozjów, na które był zapraszany, a których tak unikał. To spotkanie z młodymi, ze studentami, którzy dopiero co odkrywali prozę jego pióra – reportaże ze świata tak odległego i nieznanego nam, mimo że żyjemy w wieku rewolucji informacyjnej, wszechobecnej i potężnej siły mediów, których rolą jest przecież przybliżanie nam tego świata. Jednak to nie z prasy, radia czy telewizji dowiadujemy się, jak ten świat jest skonstruowany, jak działa. Sceny opisane przez Kapuścińskiego pokazały nam prawdziwy obraz człowieka, jednostki zmagającej się ze strukturą codzienności, w której przychodzi jej żyć. Ale obrazy te mówią coś jeszcze, mówią o człowieku, który te obrazy szkicuje, o reporterze odkrywającym świat i swoje powołanie. Na spotkaniu, w barokowym wnętrzu Gmachu Głównego Uniwersytetu Wrocławskiego, z wielką pokorą i nieśmiałośc-

¹ Seneka, *Myśli*, Kraków 1987, s. 253.

cią Ryszard Kapuściński opowiadał o trudach swej reporterskiej pracy, o specyfice zawodu dziennikarza agencyjnego, o niebezpieczeństwach korespondenta wojennego. Mówił też o swej pierwszej podróży zagranicznej, która utwierdziła go w przekonaniu, że ten zawód to nie tylko relacjonowanie i przekazywanie informacji, ale przede wszystkim sposób na poznawanie świata, kultur, na poznawanie drugiego człowieka.

Na pytania dotyczące sensu jego pracy odpowiadał także w rozlicznych wywiadach, których udzielał nie tylko polskim, ale i zagranicznym mediom.

Dlaczego jestem pisarzem? Dlaczego tyle razy ryzykowałem życie, podchodziłem tak blisko do umierania? Czy po to, żeby złożyć sprawozdanie z tajemnic losu lub zarobić na pensję? Moja praca to powołanie, to misja. Nie poddałbym się tym niebezpieczeństwom, gdybym nie czuł, że jest to coś niezwykle ważnego, że dotyczy historii, nas samych – tak, że czułem się zmuszony przez to przejść. To więcej niż dziennikarstwo².

Ryszard Kapuściński przez poczucie głębokiej misyjności swojego zawodu nazywany jest prawdziwym reportażyście, reporterskim sumieniem świata, tłumaczem kultur. Zresztą to ostatnie określenie ukuł on sam dla całej kasty reportażyście. Dostrzegał przy tym nie tylko funkcyjność tego epitetu, ale także jego ułomność, która zawarta jest w ułomności ludzkiego rozumu i jestestwa. Mówił między innymi:

Wszystko, co możemy i powinniśmy zrobić [reporterzy – dop. K.K.], sprowadza się zatem do próby przybliżenia i opisanie tych odrębności. Pokazania, że żyjemy w świecie wielokulturowym. Im lepiej się poznamy, tym większa jest szansa na utrzymanie pokoju i współpracy. Jest takie łacińskie przysłowie, które mówi: Potępiają, ponieważ nie rozumieją. Rozumienie pozwala nam lepiej wczuć się i pojąć rację innego człowieka. Wtedy przestaje być w naszych oczach szaleńcem i staje się człowiekiem wyposażonym w swoje racje. Nie poznamy ich w stu procentach, ale przecież i siebie nigdy nie poznamy do końca³.

To wszystko, co zobaczy, co usłyszy i o czym pomyśli reporter, było zdaniem Kapuścińskiego niepowtarzalne, wyjątkowe. Człowiek, który wędruje po świecie, musi mieć przecież świadomość, iż możliwe jest, że więcej do tego miejsca nie wróci, dlatego zanotowanie tego, a potem przekazanie czytelnikowi uważał za misję reportera⁴. W wywiadzie dla „Gazety Wyborczej” powiedział:

Reporter naprawdę chce wszystko zrozumieć i opisać, stara się i jednocześnie wie, że to się nie uda. To mierzenie się z niemożliwością, próba zatrzymania świata, który jest w ciągłym ruchu i zmienności, jest fascynujące. Jesteśmy zdolni opisać tylko niewielką część tego, co widzieliśmy i przeżyli⁵.

² R. Kapuściński, *Autoportret reportera*, Kraków 2003, s. 20.

³ K. Janowska, P. Mucharski, *Czego o świecie nie wiemy*, „Tygodnik Powszechny” 27.03.2005, nr 13.

⁴ J. Haszczyński, *Rasowy reporter*, „Rzeczpospolita” 11.03.2005.

⁵ M. Radziwon, *Rozmowa z Ryszardem Kapuścińskim, finalistą konkursu „Nike”*, „Gazeta Wyborcza” 28.09.2005.

Po napisaniu *Podróży z Herodotem* wielokrotnie autor porównywany był do swego głównego bohatera, ale i on sam z nim się utożsamiał. Dostrzegał, iż to, co robił, było na swój sposób tak odległe od współczesnej cywilizacji, że tylko Herodot mógłby go zrozumieć. Myślenie o dziennikarstwie jako misji, czyli czymś – jak powiadał – czego owoce wychodzą poza nas samych⁶, wydaje się dziś odległym epickim uniesieniem, które nie ma nic wspólnego z rzeczywistością. Podejście to nie oznacza, że Ryszard Kapuściński nie rozumiał współczesnego świata, wręcz przeciwnie – znał go nazbyt dobrze i właśnie dlatego starał się przekonać nas, jego czytelników, do poszukiwania głębi sensu swego ludzkiego istnienia. A istotą egzystencji, o której pisał reporter w swoich pamiętnikach z podróży, był przecież drugi człowiek, były społeczeństwa i kultury, które nam przybliżał. Taką funkcję przypisywał zresztą całemu dziennikarstwu, w szczególności reportażowi, który miał być tą najbliższą człowiekowi, a przez to najważniejszą formą gatunku dziennikarskiego. Jednak codzienność dokonuje innego wyboru, zdaniem Kapuścińskiego reportaż jest spychany w kąat literatury, która coraz częściej jest jego jedyną przystanią i ostoją przed nicością. Pogłębiorny, analityczny reportaż został zastąpiony tyranią chwili, która

dezinformuje i deformuje obraz świata, wprowadza nasze umysły w stan chaosu. Przyczyną tego jest niewyobrażalna wprost obfitość nieuporządkowanych informacji. Ludzki umysł nie jest przygotowany na ich absorpcję, analizę. O ile kiedyś groził niedobór informacji lub cenzura, dziś mamy kłopot z ich nadmiarem. Największa bieda polega na tym, że nie poradziły sobie z tym problemem gazety, telewizje czy stacje radiowe, których zadaniem jest dostarczać bieżącej wiedzy o otaczającym nas świecie. Dziennikarstwo skoncentrowało się bez reszty na wydarzeniach, tracąc zupełnie z pola widzenia procesy. Nie potrafimy spojrzeć na świat trochę szerzej niż z perspektywy wieczornych wiadomości telewizyjnych [...] Dziennikarstwo, które kiedyś zajmowało się dostarczaniem wiedzy o świecie, dziś pochłonięte jest bez reszty taną sensacją albo makabrą, które sprzedaje się najłatwiej. Bardziej przypomina dziś działalność rozrywkową niż informacyjną⁷.

Ryszard Kapuściński dostrzegał przyczyny tego nieodwracalnego i destrukcyjnego dla reportażu procesu, upatrując ich w konsekwencjach rozwoju środków komunikacji masowej. Postęp technologiczny przyspieszył proces przekazu informacji i jednocześnie zwiększył jego zasięg, tym samym redukując kolejne ogniwa łańcucha informacyjnego. Jednocześnie nasiliły się działania globalistyczne międzynarodowego kapitału, o czym wspominał pisarz w wywiadzie dla hiszpańskiego dziennika „ABC”:

Warunki, w jakich funkcjonują media oraz życie korespondenta, bardzo różnią się od sytuacji sprzed lat. Wśród czynników, które o tym zadecydowały, na pierwszym miejscu wymienilibym postęp technologiczny, który w dużym stopniu ułatwił przekaz i operowanie informacją. Drugim byłoby odkrycie, dokonane przez sfery rządzące, że informacja to dobry biznes: wcześniej uważano, iż informowanie ma na celu przekazanie światu prawdy o tym, co zaszło; dziś informa-

⁶ R. Kapuściński, *op. cit.*, s. 20.

⁷ W. Jagielski, *Detronizacja Europy*, „Gazeta Wyborcza” 6–7.08.2005.

cja jest środkiem prowadzącym do zdobycia pieniędzy, a przekazujący nie pyta się dłużej, czy jest ona prawdziwa, lecz czy jest dostatecznie interesująca, żeby ktoś ją kupił. Dlatego właśnie wielki kapitał zainteresował się zawodem, który nigdy nie uchodził za lukratywny⁸.

Wraz z odkryciem, o którym mówił Kapuściński, doszło do umasowienia zawodu. Według reportera dziennikarstwo, które do tej pory było dość ekskluzywną profesją, stało się masowym zajęciem. Tysiące ludzi, nie mając żadnego doświadczenia, przygotowania profesjonalnego i co ważne – etycznego, zostały wchłonięte w maszynę produkcyjną. Sytuacja ta doprowadziła między innymi do powstania nowej grupy zawodowej w sferze mediów, tak zwanych media-workerów⁹, definiowanych przez Kapuścińskiego jako osoby pracujące dla mediów, dla których „ta praca nie jest związana z żadną powinnością społeczną czy obowiązkiem etycznym”¹⁰. Takie osoby zdają się dzisiaj większością, wobec mniejszości, którą Kapuściński nazywa dziennikarzami (*journalist*). Z wywiadów, których udzielił, wynika, że dzieje się tak nie tylko dlatego, że media w większości są instrumentem pałacowym, obsługującym elity tego świata¹¹, a główną rolą dziennikarza jest przynosić zyski swoim pracodawcom, lecz także dlatego, że zawód reportera jest zawodem trudnym, wymagającym stałej determinacji i ciągłej walki z przeciwnościami, a też, co podkreśla, nieprzynoszącym znacznych profitów mogących zachęcać do uprawiania tej profesji:

Pracować w tym zawodzie może tylko osoba, która chce coraz więcej wiedzieć. To trudna praca, gdyż wiąże się z nią duża odpowiedzialność, która sprawia, że dziennikarz żyje w nieustannym napięciu. W dodatku nie przynosi dużych dochodów. Motywacji dostarcza wyłącznie chęć poznania faktów, aby następnie je zinterpretować i przekazać czytelnikom¹².

Zresztą, zdaniem Kapuścińskiego, nawet pieniądze nie są największym problemem w reporterskiej pracy. One stają się ważne, dopiero gdy osiągnie się wysoki standard życia, gdy stają się celem samym w sobie.

Amerykański pisarz musi zarabiać milion dolarów, ja nie muszę. On musi mieć wille na Florydzie i w Kalifornii, ja – nie. On podróżował po świecie z całą światą, ja byłem sam [...] W efekcie siedzi przed telewizorem, podłączony do Internetu, z telefonem komórkowym w rękę. I brzuch mu rośnie.

⁸ R. Villapadierina, „Diario ABC”, SLU, 30.03.2003, cyt. za J. Żakowski, *Mam jeszcze tyle do napisania...*, „Forum” 27.04.2003.

⁹ W polskim języku brak odpowiednika terminu *media-worker*, określającego osobę, która poza wykonywaniem zadań na zlecenie firmy medialnej nie realizowałaby tego, co charakterystyczne dla dziennikarza (ang. *journalist*), a więc profesjonalisty mającego zarówno warsztat, czyli doświadczenie, jak i wiedzę, stale pogłębianą, a także kierującego się zasadami etycznymi w swej pracy.

¹⁰ K. Janowska, P. Mucharski, *Zawód dziennikarz*, „Kontrapunkt” 3.06.2001, nr 5/6 (54/55).

¹¹ K. Janowska, P. Mucharski, *Czego o świecie nie wiemy*, „Tygodnik Powszechny” 27.03.2005, nr 13.

¹² R. Villapadierina, *op. cit.*

Dlatego reportaż jest w zaniku, nad czym boleję. Po latach nie pamięta się nazwisk, nazw miejscowości, dat, ale zapamiętujemy jakąś scenę, jakiś obraz, na przykład spotkania przy ognisku czy rozmowy w cieniu mangowca¹³.

To dlatego Kapuściński dopatrywał się przyczyn zjawiska degradacji zawodu reportera między innymi na płaszczyźnie natury ideologicznej i psychologicznej jednostki, które to wpływają na los dziennikarza, na rozwój lub koniec jego zawodowej kariery.

Na początku dziennikarstwo nie przynosi wielkich profitów. Zresztą prawie wszyscy raczący dziennikarze to ludzie niezbyt zasobni, którzy przez wiele lat nie mają szansy cieszyć się dobrobytem. Panuje tu ściśle feudalny model: rangę zyskuje się z wiekiem, do tego potrzeba czasu. Wielu młodych dziennikarzy, których frustruje harówka za bardzo niskie wynagrodzenie, traci pracę i nie znajduje innej. To wszystko wchodzi w skład naszej profesji, więc trzeba być cierpliwym i pracować. Nasi czytelnicy, słuchacze i widzowie są ludźmi bardzo mądrymi, którzy szybko rozpoznają wartość naszej pracy i równie szybko zaczynają kojarzyć ją z naszym nazwiskiem. Oni wiedzą, od którego dziennikarza otrzymają coś wartościowego. I to jest właśnie ten moment, który nas kwalifikuje do pracy. To nie nasz szef o tym decyduje, lecz czytelnicy¹⁴.

Wiara Ryszarda Kapuścińskiego w mądrość człowieka musiała być potężna i nieskończona, a przekonanie o celowości własnego działania wręcz zadziwiające. Przez blisko dwadzieścia lat trwał on w ascetycznym przeświadczeniu, że książki, które napisał, znajdą wreszcie swego czytelnika, że misja przekazywania wiedzy i obrazów odległego świata zostanie wreszcie wypełniona. Sprawdzian wiary i wytrwałości posłannictwa był opłacony ciężką pracą w agencji prasowej oraz bytowaniem w niedostatku, o którym niejednokrotnie wspominał:

Wiedziałem, że to, co piszę – to nowy typ literatury, który nie pasuje do klasycznego reportażu ani do klasycznych opowiadań. Wiedziałem, że to jest inny typ pisarstwa, do którego czytelnik nie jest przygotowany, że on nie będzie tego akceptował. Zdawałem sobie sprawę, że muszę cierpliwie czekać [...], a więc czekałem na ten moment prawie dwadzieścia lat, nie odstępując od zasady, by kontynuować swój styl pisania. Nie chodzi tylko o to, że czekałem, ale jednocześnie bardzo biedowałem. Nie chciałem ustąpić, pójść na chałturę, pisać dla pieniędzy, chciałem, żeby było drukowane to, co napisałem¹⁵.

Na kartach życiorysu reportera ubóstwo zapisało wiele stron, ale jak sam pisał, właśnie dzięki takiemu doświadczeniu mógł z właściwą empatią zbliżyć się do ludzi, których spotykał w czasie swoich podróży po Afryce, Azji i Ameryce Łacińskiej. Ta wspólnota doświadczeń rodziła – jak mawiał – wewnętrzne pokrewieństwo z tamtym światem, w którym tak dobrze się czuł. Wiele z przypadłości trapiących jego mieszkańców znał z własnego życia. Gdy widział, że chodzą bez butów, wiedział, co to znaczy, bo też chodził bez butów.

¹³ K. Masłoń, *Na własne oczy. Rozmowa z Ryszardem Kapuścińskim*, „Rzeczpospolita” 2.10.2004.

¹⁴ R. Kapuściński, *op. cit.*, s. 103–104.

¹⁵ *Ibidem*, s. 103.

oni nie mają co do garnka włożyć, a ja pamiętam, że bywało, również chodziłem głodny; mieszkają w strasznych warunkach, ja też mam to doświadczenie za sobą. Gdy mnie zaproszą do Ritza, to się tam gubię, źle czuję, nie bardzo umiem się znaleźć w tym wszystkim. A tam w Trzecim Świecie, odnajduję się zaraz na drugi dzień¹⁶.

Ryszard Kapuściński uważał, że w ten sposób nie tylko jest się bliżej ludzi jako człowiek, ale także jako reporter. Kładł ogromny nacisk na zrozumienie odmienności kultury, do której przybywał. Za każdym razem starannie przygotowywał się do swych podróży:

Zawsze traktowałem podróż jako bardzo ważne źródło wiedzy, poznania. Dlatego każda jest dla mnie wysiłkiem i wyzwaniem. Do podróży zawsze przygotowuję się bardzo długo, najstaranniej jak tylko potrafię. Ciągłe też pamiętam, że o świecie wiele już napisano, więc książkę warto pisać tylko wtedy, gdy ma się głębokie poczucie, że się przez to coś wnosi, coś dopowiada. Dlatego, zanim wyruszę, chcę wiedzieć, co już zostało napisane, powiedziane, co już jest. A potem szukam białych plam: mentalnych, emocjonalnych czy jeszcze innych¹⁷.

Był zbieraczem najdrobniejszych informacji, które mogłyby mu choć w najmniejszym stopniu przybliżyć kulturę, pomóc wejść w jej struktury. Podejmował się nawet prób nauki języków narodów tak odległych europejskiej kulturze, jak język chiński. Sądził bowiem, że tylko doświadczenie przez kontakt bezpośredni i niekłamana chęć nawiązania relacji z ludźmi, których spotykał, mogą przynieść owoce jego pracy:

Zawsze uważałem, że jest niesłychanie ważne, by starać się żyć z miejscowymi ludźmi i tak jak oni. To bardzo trudne doświadczenie. Zapominamy, że ogromna większość rodziny ludzkiej żyje bardzo źle. I nie chodzi tylko o to, że panuje głód. Marne są mieszkania. Śpi się byle jak, pełno jest robactwa, brudu, chorób. Życie przeciętnego człowieka na naszej planecie jest bardzo trudne. Nie można inaczej tego poznać – trzeba z tymi ludźmi naprawdę mieszkać¹⁸.

Prawdziwy reporter nie mieszka w Hiltonie, ale śpi tam, gdzie śpią bohaterowie jego opowieści, je i pije to samo co oni. Tylko w ten sposób powstanie uczciwy tekst.

Hotele trzeciej klasy nierzadko były koniecznością, jako że zawsze podróżowałem więcej, niż było mnie na to stać. Ale również dzisiaj wolę je, ponieważ tam spotyka się bardziej interesujących ludzi.

W luksusowych hotelach mieszkają milionerzy, urzędnicy bankowi, biznesmeni, międzynarodowi biurokraci – towarzystwo nie zawsze ciekawe. W skromniejszych hotelach często można się natknąć na fascynujące osobowości¹⁹.

Kapuściński nie uskarżał się na życiowe doświadczenie biedą, wręcz przeciwnie, w niedostatku widział sojusznika, dzięki któremu lepiej mógł poznać

¹⁶ *Ibidem*, s. 56.

¹⁷ B. Białek, P. Żak, *Podróż jako źródło. O podróżowaniu, samotności reportera, fascynacji Trzecim Światem i ludziami tam spotkanych opowiada Ryszard Kapuściński*, „Charaktery” 2003, nr 6.

¹⁸ J. Haszczyński, *op. cit.*

¹⁹ R. Kapuściński, *op. cit.*, s. 53.

i zrozumieć świat. Pieniądze, o których nierzadko wspominał w swoich tekstach i udzielanych wywiadach, były nie tylko przyczyną ludzkiego dramatu, źródłem wszelkich nierówności na świecie czy wreszcie siłą konieczną egzystencji, były także środkiem umożliwiającym realizację wymarzonych celów jego podróży. Pisarz, niejednokrotnie wspominając początki swojej dziennikarskiej przygody, mówił, że to właśnie dzięki pracy w agencji prasowej mógł podróżować po świecie, poznawać nowe kultury, a potem pisać swoje książki:

Otóż właśnie z tego niedosytu, z poczucia ułomności i banału, jakim jest dziennikarstwo agencyjne (ale pracę w agencji opłacałem swoje podróże), zacząłem pisać książki. Każda z tych książek to niejako drugi tom pewnej całości, pewnego dyptyku, którego tom pierwszy to zalegające gdzieś w archiwach agencji PAP moje serwisy informacyjne z Azji, Afryki i Ameryki Łacińskiej²⁰.

Jak podkreślał, wyboru tego dokonał świadomie, bo przecież nie było wówczas innych możliwości na podróżowanie, na kolekcjonowanie doświadczeń, które były natenczas dobrem deficytowym i wyjątkowym:

Żaden dziennikarz, który pracuje dla gazet lub telewizji, nie musi przeżywać okropieństw kondycji korespondenta agencji prasowej. Pewnego dnia napiszę o nich, o tych anonimowych twórcach wydarzeń, tych ofiarach informacji, pracujących dzień i noc w najgorszych warunkach. Ale ja podjąłem się tej pracy dobrowolnie, wiedziałem bowiem, że pracując dla agencji prasowej, zobaczę więcej rzeczy i spotkam ludzi, którzy chętniej udzielają wywiadów korespondentowi agencyjnemu niż jakiemukolwiek innemu.

Tak więc pracując dla agencji mogłem podróżować. Polska, będąc krajem biednym, nie może pozwolić sobie na wielu korespondentów zagranicznych²¹.

Dla Kapuścińskiego wartość pieniądza wyznaczała zaledwie zakres możliwości zrealizowania postawionego celu. Podczas jednej z podróży po Tanzanii, w hotelu w Dar es Salam, został okradziony podczas snu (był wówczas chory i osłabiony) przez hotelowego posługacza. Kiedy po przebudzeniu odkrył brak stu dolarów – jak powiedział – był wdzięczny, że ten nie zabrał mu wszystkich pieniędzy, dzięki temu mógł ruszyć w dalszą podróż²². Istota pieniądza dla reportera nie tkwiła zatem w nim samym, lecz w tym, co mógł on zrobić:

W Trzecim Świecie trzeba mieć jedną z dwóch rzeczy: albo czas, albo pieniądze. To jest żelazna reporterska zasada. Można nie mieć czasu, ale gdy ma się pieniądze, można wszystko zrobić. Można nie mieć pieniędzy, ale gdy ma się czas, to też wszystko można zrobić²³.

Problem z tym, że czas stał się dzisiaj dobrem deficytowym, a pieniądze w dziennikarskim obiegu jest zbyt wiele. To prowadzi do destrukcji, zniszczenia właściwej wartości informacji, do nieodwracalnych zmian w porządku świata.

²⁰ *Ibidem*, s. 30.

²¹ *Ibidem*, s. 31.

²² J. Haszczyński, *op. cit.*

²³ R. Kapuściński, *op. cit.*, s. 56.

Od dzisiejszych korespondentów nie można oczekiwać reportaży literackich. Stawia im się zadania bezpośredniości i natychmiastowości, którym oni muszą sprostać. Jak najszybciej więc przekazują obraz i informację; na próżno czekamy na tło, głębię pokazywanego zdarzenia²⁴.

Od potęgi wpływu kapitału medialnego Kapuściński starał się trzymać na dystans, dostrzegając problem współczesnej informacji będącej towarem, przynoszącym potężne zyski możliwym tego świata. Dlatego uważał, że pojęcie *czwartej władzy* przestało być aktualne. Nawet tradycyjnie pojmowana niezależność mediów w praktyce już dla niego nie istniała:

Media są sprzęgnięte z gospodarką i kapitałem, a z punktu widzenia kapitału informacją rządzą takie same prawa jak reklamą. Prawda ma się przede wszystkim sprzedawać, czyli musi być atrakcyjna. Stąd tak wielki rozróż między mediami wysokimi, gdzie prawda, dochodzenie przyczyn, pokazywanie źródeł, przewidywanie skutków jest naturalnym imperatywem, a mediami masowymi, którym chodzi tylko o przyciągnięcie uwagi odbiorcy²⁵.

A przecież, jak już wiemy z rozmów z pisarzem, media nie powinny być tylko odbiciem stanu rzeczy, lecz powinny być przede wszystkim tłumaczem z kultury na kulturę. A prawdziwy dziennikarz winien traktować swój zawód jako sposób życia, jako część tożsamości:

To się ma w sobie. Prawdziwe dziennikarstwo jest rodzajem powołania. Jest zawodem na pograniczu misjonarstwa [...] Nie robimy tego tylko po to, by kupić samochód lub zbudować willę. Robimy to dla innych²⁶.

²⁴ K. Masłoń, *op. cit.*

²⁵ K. Janowska, P. Mucharski, *Zawód dziennikarz...*

²⁶ *Ibidem.*

BARTOSZ JASTRZĘBSKI
Uniwersytet Wrocławski

Pieniądze w strukturze codzienności

Pieniądze to temat pospolity, metafizycznie błahy i przyziemny. Trudno tu o wzbogacającą ludzkie istnienie wzniosłość, trudno o urokliwe meandry stylu wysokiego, który powoduje, iż chociaż przez chwilę wierzymy, że życie ludzkie jest czymś więcej i czymś lepszym niż rzeczywiście jest. A przecież może to właśnie tej wzniosłości, by nie rzec – sentymentalnie nieco – duchowego piękna i głębi, brakuje człowiekowi w jego znoej, cyklicznie przygniatanej rozmaitymi kryzysami codzienności, brakuje szybowania myślami w świecie dalekim od zwyczajnych, powtarzalnych czynności podtrzymujących fizyczną egzystencję i społeczno-ekonomiczne usytuowanie. Potrzeba zatem pogłosów i prześwitów z innego świata, by ten tutaj chciało się w ogóle podtrzymywać i troszczyć o niego, trzeba odległości, metapoziomu, by poziom „zero”, poziom manipulacyjno-zakupowej codzienności zobaczyć w jakiejś niefrustrującej i godnej uwagi perspektywie. O to jednak niełatwo. Skutecznie nas przekonano bowiem, że każde „meta”, czyli także każdy dystans, który się dzięki niemu osiąga, jest tylko słownikową ekstrawagancją szalonych marzycieli, znudzonych, zasobnych intelektualistów lub filozoficznie niedouczonej żalosnych naiwniaków, niepojmujących szlachetnych, odwiecznych zasad umysłowego *ergo* językowego konstruktoryzmu. Wymyślili sobie oni owe słowniki nie dlatego, że coś odkryli (nie ma bowiem odkrywania, jest tylko tworzenie), lecz po to, by samemu poczuć się „meta” jako tych niezwykłych słowników włodarze, szafarze prawd przekraczających zwykłą, ludzką mizериę i potwierdzających przez to ich własną wyjątkowość oraz roszczenie do władzy. W końcu jednak zdemaskowano uzurpatorów i wysmiano wszystkie ich sztuczki i językowe wygibasy zabaw w dualistyczną metafizykę. To właśnie usłyszeliśmy o wszelkich rzekomych metapoziomach ludzkiej egzystencji, o słowach wyrażających coś innego niż „zrazu” i „zwykle” powszedniego życia. Wygląda tedy na to, że owo życie w żaden sposób nie jest opromienione blaskiem boskiej chwały, że nie jest jutrznią wiecznej szczęśliwości, jak co niektóre z tych metafizyk ośmielały się twierdzić. Jest takie oto zwyczajne po prostu, w zwyczajności zanurzone jak ręka w kieszeni poszukująca portfela. Pozostaje więc do dyskusji namacalny konkret bieżących spraw rozpościerający się pomiędzy kuchnią, ubikacją, łóżkiem i tym wszystkim, co pozwala w niezakłócony sposób

korzystać zarówno z jednego, drugiego, jak i trzeciego, i co sprowadza egzystencję do kwestii podtrzymywania socjoneurobiologicznie rozumianego życia. A w samym sercu tego – pieniądze, czyli pospolitość i małostkowość handlu oraz codziennych szacunków opłacalności. Georg Simmel zauważa w tym kontekście:

faktycznie ekwiwalent, jakim jest powszechny środek wymiany – pieniądź – pozbawia rzeczy wartości także w wyższym sensie. Pieniądź jest „podły”, bo służy jako ekwiwalent dowolnej rzeczy: dostojęństwo przysługuje tylko temu, co indywidualne; to, co odpowiada wielu wartościom, odpowiada najniższej z nich i dlatego także najwyższą ściąga na najniższy poziom. Na tym polega tragizm wszelkiej niwelacji, że sprowadza całość do poziomu najniższego jej elementu¹.

Pieniądź zatem „spłaszcza” rzeczywistość, sprowadza byt do wspólnego mianownika, eliminuje inne wymiary sensów i znaczeń, jakby w myśl ekonomicznego odpowiednika brzytwy Ockhama: nie należy mnożyć sfer rzeczywistości (czy też schematów interpretacyjnych tejże rzeczywistości) nad potrzebę, zwłaszcza jeśli zasady ekonomiczne tłumaczą byt wystarczająco dobrze, by w nim funkcjonować. Równocześnie jednak, właśnie jako taka wszechwładna i jedyna skala wartości dla wszystkiego, jest pieniądź w dzisiejszym świecie nieodzowny, albowiem

pieniądz w przeciwieństwie do wszystkich specyficznych wartości jest czymś bezosobistym i bezbarwnym, i właśnie wskutek tego braku charakteru – coraz bardziej widocznego w toku rozwoju kultury, jako że pieniądź staje się ekwiwalentem coraz większej liczby coraz różnorodniejszych rzeczy – świadczy bezmierne usługi².

O tych usługach właśnie – kupowanych niemalym egzystencjalnym kosztem – będziemy tu mówić. One stanowią bowiem, że z teoretycznym także namysłem można się nad pieniądzem pochylać.

Jest zatem tak, że – pod nieobecność wieczności i wiecznych spraw, ku którym się ongiś z petyzmem zwracano – mowy o pieniądzach nie unikniemy, bo zakotwiczą nas one wśród rzeczy, a także ludzi, czyli po prostu w tym, co jest dla nas dzisiaj rzeczywistością. W rzeczywistość trzeba się jednak wkuścić. Czy raczej: rzeczywistość tę trzeba dopiero stworzyć z rzeczy zakupionych, bo przecież sami ich już robić nie potrafimy. Otoczyć się tedy przedmiotami, które pozwolą spełnić wymóg troski o swe własne bycie i uczynią to bycie znośnym, a najlepiej przyjemnym. Ponadto, przedmioty te – książki, płyty, zastawy, ubrania, obrazki, meble, samochody, domy w końcu – odwzorować mają i poświadczyć naszą tożsamość. Jakielwiek by były – są však nasze i przez nas wybrane. W przedmiotach nam poręcznych i codziennie współtowarzyszących chcemy ją nieustannie widzieć i afirmować, potwierdzić, iż jest czymś więcej niż nietrwałym obłokiem przypadkowych uwarunkowań. Ostatecznie to bibeloty i narzędzia codzienności określają naszą odmiennność, ustanawiają tożsamość,

¹ G. Simmel, *Pisma socjologiczne*, przeł. M. Łukasiewicz, Warszawa 2008, s. 109.

² *Ibidem*, s. 103.

a przynajmniej jakąś jej część, w sposób wymierny i widoczny dla wszystkich. Są ekspozycją jaźni. Ktoś, kto nie miałby nic, byłby w dzisiejszym świecie – pewnie też w każdym innym – nikim. Nawet kloszardzi, pozbawieni niemal wszystkiego, przywiązują się do swoich drobnostek, do swych drobnych śmieci: tępych nożyków, starych kubków, zardzewiałych dwukółek, kolorowych wycinków, szmat i kartonów. Każdy chce coś mieć, choćby dla innych owo coś nic nie znaczyło, w czym skraplałoby się jego pożądanie bytu, z czym mógłby złączyć jakąś historię, dokleić wyobrażenia, czemu mógłby nadać jakiś sens i zobaczyć refleksy tego, co ważne. Dostrzec przebliski świata innego niż ten, który go otacza. Niektóre spośród przedmiotów mogą o takich innych światach, innych czasach i miejscach przypominać. Słowem, mogą one stać się znakami, których *signifie* odsyła do głęboko zakorzenionych, konstytutywnych dla naszego jestestwa obrazów i uczuć. Przywiązanie do przedmiotów i ludzi poświadcza też, jak bardzo, na ogół, chcemy być. I nie zniknąć całkiem. Kultuwujemy przedmioty, bo wiemy, że niektóre z nich mogą trwać dłużej niż człowiek i o człowieku (wraz z jego światem) już nieistniejącym zaświadczać. Dlatego też z takim pietyzmem przechowujemy pamiątki, artefakty z przeszłości, że poświadczają one zwycięstwo ludzkiej myśli i sztuki nad okrucieństwem czasu. Kultura, materializująca się przecież w przedmiotach, jest tedy namiastką nieśmiertelności, pełni funkcję konsolacyjną w obliczu nieodwołalnego unicestwienia wszystkich ludzi. W rzeczach i przez nie zwyciężamy czas, i to nawet wówczas gdy – zamiast przechowywać – nieustannie wymieniamy przedmioty. Wtedy mamy bowiem dojmujące wrażenie, iż czas ów jest ich niewyczerpywalnym źródłem i łatwiej zapominamy, że jest także ich pełzającym kresem.

Tak tedy, po pierwsze, rzeczy. Przedmioty zapełniają nasz świat, przedmioty ten świat konstytuują. Tworzą jego smak, styl i konsystencję – jakość. Są źródłem estetycznego powabu, emanują swą dodaną, symboliczną wartością, sprawiają przyjemność samym swym istnieniem i przynależeniem do kręgu tego, co moje, kręgu, który z kolei jest miarą mej pracy i zaangażowania w świat. Przedmioty, w przeciwieństwie do ludzi, zawsze pozwalają się dotykać, oglądać i w pełni, bez reszty, mieć. W tym sensie są wdzięczne i urokliwe niczym patriarchalny ideał kobiety. Poprzez nie samookreślamy się, wyznaczając kontury naszej tożsamości. Wszak widzimy w nich historię swych pragnień, których koleje wyznaczają część wewnętrznych dziejów naszego bycia. Dzięki rzeczom odsuwamy ponurą prawdę o absurdalności egzystencji, jej braku jakiegokolwiek „skąd?” i „dokąd?”, braku ostatecznego, bezwzględnie obowiązującego celu, ku któremu myśl i działanie człowieka mogłyby się kierować. A rzeczy te nabywamy właśnie za pieniądze, za sprawą kupna, transakcji. Stąd też musi się pojawić i pojawia się myśl, że

nie ma nic poniżającego w kupowaniu i sprzedawaniu – nic poniżającego w pragnieniu posiadania tej koszuli (żeby ją założyć, żeby mnie w niej widziano) ani w pragnieniu posiadania tej książki (żeby ją przeczytać, żeby ją oznaczyć własnym imieniem i nazwiskiem), i nie ma nic poniżające-

go w udostępnianiu tych rzeczy za pewną cenę, jeżeli nawet jest to taka cena, że nie mogą kupić obydwóch tych rzeczy zarazem³.

W niektórych czasach i miejscach nie było nic poniżającego nie tylko w zakupie książki czy koszuli, lecz także żony na przykład. One też, żony, chciały – i pewnie nadal chcą, tylko w inny sposób – mieć wymierną wartość, mężczyźni zaś chcieli uczciwie nabyć to, co wartościowe, by ozdabiało im byt i potwierdzało ich status, a więc wzmacniało z kolei ich poczucie wartości. Wspomina o tym Simmel:

kobiety z ludu Kaffer nie uważają ich sprzedaży za poniżenie, wręcz przeciwnie – dziewczęta są z tego dumne, i im więcej wołów i krów kosztowały, tym bardziej wartościowe się czują [...] Czyni to zrozumiałym fakt, że w niektórych plemionach amerykańskich oddanie dziewczyny bez ceny uważane jest za istną degradację jej i całej jej rodziny, i nawet jej przyszłe dzieci nie są traktowane lepiej niż bękart⁴.

Mamy tu więc ów powracający motyw: pieniądź wprawdzie homogenizuje wartość, ale przynajmniej ją ustala i podtrzymuje.

Rzeczy owe, co ozdabiają i ulepszają istnienie, trzeba zatem nabyć, ludzi zaś – także niezbędnych do konstruowania naszego prywatnego świata – w taki czy inny sposób zjednać, czyli dowieść im, iż bycie z nami będzie dla nich źródłem psychicznego dobrostanu przy minimum cierpienia. Jak zauważa Michael Walzer:

O ile nie możemy wydawać pieniędzy na poziomie wyższym niż to, co uważa się za konieczne do przetrwania, o ile nie posiadamy jakiegś dozy wolnego czasu i komfortu, które można kupić za pieniądze, cierpimy niedostatek poważniejszy niż ubóstwo jako takie, cierpimy swego rodzaju głód znaczenia społecznego, cierpimy poczucie społecznego wydziedziczenia [...] O ile nie posiadamy pewnej liczby rzeczy wymaganych społecznie, nie możemy cieszyć się uznaniem społecznym i być uważani za osoby pełnosprawne⁵.

Przy czym nie chodzi tylko (i głównie) o dość ogólne uznanie społeczne, lecz także o to, w jaki sposób będziemy w stanie ułożyć nasze relacje z ludźmi, konkretnymi ludźmi, w tym z tymi bardzo dla nas ważnymi. Mianowicie, co będziemy mogli im zaoferować, jak bardzo będziemy w stanie ich zabezpieczyć, jakie przyjemności (lub nieprzyjemności) staną się ich udziałem, gdy będą blisko nas kroczyć. Zatem, jakimi będziemy mężami, kochankami, przyjaciółmi, rodzicami... Nie mam tu na myśli jakiegś wulgarnie rozumianej interesowności współlbycia, wykorzystywania lub pozwalania się wykorzystywać, lecz możliwą formę, jakość i przestrzeń tych relacji. To, czy będziemy mogli zaprosić kogoś do kina, kawiarni lub na dobry obiad, czy będziemy mogli mu kupić naszą ulu-

³ *Ibidem*, s. 174.

⁴ G. Simmel, *Filozofia pieniądza*, przeł. A. Przyłębski, Poznań 1997, s. 346.

⁵ M. Walzer, *Sfery sprawiedliwości. Obrona pluralizmu i wolności*, przeł. M. Szczubiałka, Warszawa 2007, s. 168.

bioną i ważną książkę. Czy będziemy w stanie zabrać go w piękne lub z innych przyczyn godne zobaczenia miejsce. Czy będzie w naszej mocy sprawić mu radość, na przykład tak jak dziecku, gdy kupujemy mu prezent, a szczęście jego jest wówczas autentyczne i przez to zniewalające, nawet jeśli jego przyczyna zdaje się marnej jakości. Uczynić więc radość, którą i my będziemy się cieszyć, bo łatwiej przecież i szlachetniej radować się z zadowolenia innych, niż generować je autotelicznie i pożywać samemu tylko. O to w końcu idzie, czy będziemy w stanie drugiemu coś dać lub pomóc, kiedy będzie tego potrzebował – ubrać go i nakarmić. Chodzi więc o rzeczy proste, zwyczajne, niezbyt wzniosłe, lecz ważne, w które pieniądze w sposób konieczny są uwikłane. Rzec dotyczy się możliwości ekspresji naszej istoty, dawania świadectwa naszym uczuciom, wyrażania i spełniania naszych i ludzi nam bliskich pragnień, nie tylko tych przyziemnych i trywialnych, ale także tych celujących (nieco) wyżej. Pieniądze zahaczają więc o rzeczy istotne i smak tej istotności w pewnej mierze im się udziela.

I pieniądze z jednego jeszcze względu są nieodzowne. Dzięki nim kupujemy usługi, czyli to, czego żadną miarą nie mamy ochoty – lub możliwości – sami robić. A przyznał to nawet Zygmunt Freud, że unikanie przykrości, tego, co bolesne lub wstrętne, bywa silniejszą pobudką działania niż poszukiwanie rozkoszy. Bo wyobraźmy sobie, jakim pasmem trudów, klęsk i zgryzot byłoby nasze życie, gdybyśmy wszystko – niczym ludzie archaiczni – musieli robić sami. Byłby to niekończący się koszmar nieudanych prób, piekło przymusu robienia tego, czego nie umiemy i nie lubimy robić. Pieniądze są tedy po to, aby się wykupić od tego, co niewdzięczne, niezdolne, męczące, nie wyłączając przymusu myślenia o nich właśnie, bo ten należy do najgorszych.

I tak, biorąc pod uwagę te wszystkie dobrodziejstwa, jakie za sprawą pieniędzy stają się naszym udziałem, łatwo zapominamy o początkowych zastrzeżeniach, podług których pieniądź spłaszcza i sprowadza do najniższego mianownika rzeczywistość i wszelkie wartości. Bo przecież dobrze byłoby mieć trochę gotówki. Zagarnąć ją jednym, sprytnym a zwycięskim, ruchem lub choćby uskładać powoli, jeśli już nie można inaczej. Na samą myśl o tym wyobrażnia zaczyna działać gorączkowo, jakkolwiek byśmy się od tego nie odżegnawali. Można byłoby myśleć wówczas ściślej, można byłoby działać efektywniej i bardziej „po naszemu”, załatwić z „ułańską” iście fantazją parę zaległych spraw i spełnić kilka zalegających od dawna gdzieś na dnie umysłu życzeń – wszak urok pieniędzy to w dużej mierze właśnie urok naszych pragnień i wizji. Dowieść więc niedowiarkom jak bardzo się mylili, pokazać wrogom, jaką potęgę mają naprzeciw siebie przy całej ich słabości. Można byłoby wówczas porzucić obmierzlą często pracę i oddać się błogiemu wylegiwaniu. Po prostu odpocząć w końcu, bo życie męczy, a zarabianie pieniędzy to już szczególnie źle w ekonomice sił się przedstawia. Ogólnie zatem nie chcemy wiele. Rzec można: minimum. Aż prosi się zacytować tu Heinricha Heinego, który też wyznaje ubóstwo swych życzeń:

Jestem człowiekiem o najbardziej pojednawczym sposobie myślenia. I takie są moje życzenia: skromny domek pod strzechą, przy tym jednak dobre łóżko, dobre jedzenie, mleko i masło bardzo świeże, przed oknami kwiaty, przed drzwiami kilka pięknych drzew, a jeśli dobry Bóg zechce mnie całkiem uszczęśliwić, to niech mi da ucieszyć się widokiem sześciu lub siedmiu moich wrogów wiszących na tych drzewach. Ze wzruszeniem wybaczę im przed śmiercią wszystkie krzywdy, jakie mi wyrządzili w życiu – tak, trzeba wybaczać swoim wrogom, ale nie wcześniej nim zawisną na gałęzi⁶.

I – jak powiedziano – my także skromne i całkiem ludzkie mamy życzenia, nieodbiegające daleko od tych, o których mówi poeta. I gdyby się dało spełnić je bez tykania przebrzydłej mamony, byśmy to na pewno chętnie zrobili. Ale się nie da i w tym problem.

Zważywszy więc na to, co powyżej, pojawia się tu takie, oczywiste, zagrożenie: że jako środek tak cenny i użyteczny pieniądz łatwo może stać się celem samym w sobie. Niczym klucz otwierający wszystkie drzwi i eminentnie zawierający już w sobie wszystko to, co za tymi drzwiami się znajduje, niczym czarodziejska różdżka, którą sprawić można wszystko – dobrobyt, spokój, bezpieczeństwo, szczęście po prostu. Zatem rację ma Simmel, gdy powiada, iż „żaden inny przedmiot, który ma wartość tylko jako środek, nie zdołał tak energicznie, tak kompletnie i z takimi konsekwencjami dla całości życia stać się – pozornie lub rzeczywiście – celem dążeń i samoistnym źródłem satysfakcji”⁷. Przysłania sobą, wówczas gdy tak się stanie, wszelkie widoki, ku którym miał nas prowadzić, nakazuje nieustanne gromadzenie, bo przecież nie można – tak po prawdzie – mieć za dużo pieniędzy, tak jak nie sposób cierpieć nadmiaru szczęścia czy przyjemności. Cieszy chłodnym ciężarem monety i dyskretnym, liściastym szelestem banknotu. Zmusza do biegu i gonitwy – wszak niepodobna być apatycznym i opieszałym w rozpromienianiu siebie i innych. Wślizguje się i instaluje nieusuwalnie w życie umysłu, rozmieniając myśli na drobne. Straszy po nocach swym własnym niedoborem, co ruiną jest spraw dużych i małych. Każe się szukać na wszelkich gościńcach rzeczywistości, które przemierzamy, próbując odnaleźć siebie i to, co własne. Trochę po protestancku rzecz można, iż staje się widomym znakiem przychylności bogów, za którą nieraz przecież tęsknimy. W swej obecności lub nie, to wszak wieczny towarzysz człowieka, lokator jego myśli, kieszeni i kont, jednako i władca, i służebny. Tak samo szatańska pokuśsa, symbol bezdusznego Imperium, zarówno dzwięczący diabelskim chichotem naszej własnej zachłanności, jak i moralnie czysty wdowi grosz. Słowem, bożek to o podwójnym obliczu i być może dlatego właśnie tak dobrze leżący nam w dłoni. I na języku, gdy w końcu staje się opłatą dla Charona.

⁶ Cyt. za: Z. Freud, *Człowiek, religia, kultura*, przeł. J. Prokopiuk, Warszawa 1967, s. 282.

⁷ *Ibidem*, s. 111.

Potęga i urok zakupów

Kupujesz, więc jesteś.

Wypadałoby zacząć od wypowiedzi jakiegoś klasyka badań tytułowej problematyki, którego z łatwością znaleźlibyśmy w gronie makro- czy mikroekonomistów, teoretyków marketingu, promocji sprzedaży czy nawet socjologów ekonomicznych, a która wprowadziłaby dyskutowane zagadnienie na odpowiednie tory. W każdym z wymienionych przypadków byłoby to jednak, niestety, redukowanie rzeczonyj problematyki do wąskiego jedynie wymiaru, użytecznego zapewne w określonych zastosowaniach i funkcjach, jak na przykład badania wzajemnej zależności podaży i popytu czy planowania struktury tortu marketingowego. Takiego natomiast użytecznościowego wymiaru pozbawione są podejścia od razu zamykające dyskusję stwierdzeniami o zwodzeniu konsumentów przez rynek czy pustej grze z pustymi znaczeniami uprawianej przez wydrążonych ludzi, reprezentowane bodaj najlepiej przez postmodernistyczne teorie Jeana Baudrillarda¹ czy Zygmunta Baumana². W odróżnieniu od tak radykalnego ujęcia ci pierwsi, którzy nie podchodzą do zagadnienia z gotowymi тезami z porządku krytyki ekonomii politycznej, uzyskują wprawdzie poręczne narzędzia analizy rynkowej, ich ujęcia nie mają jednak przekrojowości i całościowości spojrzenia, jakiego dostarcza – o czym nie trzeba przekonywać – antropologia. Jej perspektywa będzie zatem stanowić oś przedstawionej tutaj argumentacji.

Zauważmy od razu, że nie jest to problematyka obca tej dyscyplinie wiedzy i nic dziwnego, skoro zakupy to czynność, którą uprawia się wszędzie i jest ona w dodatku kulturowo zróżnicowana. Dość wskazać badania: meksykańskiego systemu towarowego, prowadzone przez Bronisława Malinowskiego i Julia de la Fuente³, form handlu w algierskiej Kabylji przez Pierre'a Bourdieu⁴ czy choćby roli karczmy w życiu wsi polskiej przez Józefa Bursztę⁵. Można by zauważyć,

¹ J. Baudrillard, *The Consumer Society. Myths and Structures*, London 1998.

² Z. Bauman, *Ponowoczesne wzory osobowe*, „Studia Socjologiczne” 1993, nr 2, s. 7–31.

³ B. Malinowski, J. de la Fuente, *Ekonomia meksykańskiego systemu targowego*, przeł. J. Barański, [w:] B. Malinowski, *Dziela*, t. 13, Warszawa 2004.

⁴ P. Bourdieu, *The Logic of Practice*, przeł. R. Nice, Stanford 1990.

⁵ J. Burszta, *Wieś i karczma: rola karczmy w życiu wsi pańszczyźnianej*, Warszawa 1950.

że to przykłady dotyczące „tradycyjnego” zakresu antropologii, którą zawsze interesowały nie tylko ludowe czy tubylcze formy organizacji życia społecznego, sztuki czy wierzeń religijnych, lecz i formy handlu typowe dla takich przednowoczesnych kultur; a przecież zakupy to domena nowoczesności. Mniejsza tutaj o to, kto ma monopol na zakupy – niech będzie, że dawniej handlowało się na targu, a dziś robi się zakupy w sklepie czy centrum handlowym; handlowym, a więc coś z tego handlu zostało. Istota rzeczy nie tutaj się jednak znajduje, a w fakcie wymiany dóbr, która – jak świat światem – była zawsze, nieważne, czy miała charakter naturalny, barterowy czy pieniężny.

Niekwestionowanym pionierem badań w tym zakresie, niwelującym możliwe podziały na wymianę przednowoczesną i nowoczesną, naturalną czy pieniężną, jest Mary Douglas; zresztą, jak wiadomo, także w paru innych dziedzinach. To ona, wraz z Baronem Isherwoodem, specjalistą z ekonometrii, wydała trzy dekady temu pracę, która okazała się przełomem w antropologii ekonomicznej⁶. Nie tylko zatem udało się obojgu autorom znaleźć pewien wspólny teoretyczny i metodologiczny mianownik dla wszelkich form wymiany i znaczeń dóbr w praktykach różnych społeczeństw, w tym współczesnego im społeczeństwa Zachodu, lecz wskazać na niezbywalną rolę wszelkich dóbr w kulturowej dynamice kontynuacji i zmiany. Nieco później, bo w latach 90., Douglas powróciła do tamtej problematyki, choć już z większą dozą socjologizującego, a nie ekonomizującego podejścia, umieszczając ją zresztą w samym centrum teorii kultury. Chodzi mianowicie o tezę, że kultura to miriady indywidualnych wyborów, które jednak dotyczą nie rodzajów dóbr samych, lecz rodzajów stosunków społecznych. Innymi słowy, badaczka wskazuje na przemożny fakt konieczności wyboru społeczeństwa, w którym chcemy żyć, podczas gdy wszystko inne zostaje temu podporządkowane. Rozmaite artefakty, praktyki, usługi, które są przedmiotem wymiany, są jednocześnie wyrazem tego pierwotnego wyboru i służą jego utrwalaniu⁷.

Ów durkheimowski, a zarazem woluntarystyczny rys tego podejścia może wzbudzać pewne wątpliwości, jeśli odwołamy się do podzielanego często wrażenia, iż owo nabywanie dóbr, zakupy, bywa praktyką kompulsywną, ba – istnieje już nawet pojęcie „zakupoholizm”, co wydaje się całkiem uprawnione, jeśli powołać się na badania Uniwersytetu Stanforda, że na przypadłość tę cierpi 5% Amerykanów⁸. Można przypuszczać, że podobne proporcje znajdziemy i w innych częściach świata, nie wyłączając Japonii, która zdaje się przewyższać w tym względzie nawet Amerykę. Jeśli tak jest – wbrew cokolwiek optymistycznemu i statecznie wiktoriańskiemu pogładowi Mary Douglas – to znaczy, że temat

⁶ M. Douglas, B. Isherwood, *The World of Goods*, Harmondsworth 1979. Praca ta nie doczekała się wprawdzie przekładu, lecz pewne odniesienia do niej znaleźć można w mojej książce na temat rzeczy (J. Barański, *Świat rzeczy: zarys antropologiczny*, Kraków 2007).

⁷ M. Douglas, *Objects and Objections*, Toronto 1992, s. 69–70.

⁸ I. Nyc, A. Niedek, *Zakupy szczęścia*, „Wprost” 2009, nr 14, s. 82–83.

jest interesujący dla antropologii nie tylko i nie tyle z powodu dosyć oczywistych strukturalnych prawidłowości, które może wskazać szkiełko i oko badacza, ile prawidłowości niestukturalnych – jakkolwiek kontrydiktorycznie to określenie mogłoby się przedstawiać. Chodzi tutaj w szczególności o przygodność, sprawczy charakter, okazjonalność, performatywność wielu praktyk codzienności, na którą składa się i robienie zakupów, do czego wrócimy w dalszej części tego tekstu.

Alfred Gell zauważył kiedyś, że z punktu widzenia pokrewnych dyscyplin wiedzy antropologię można uważać za powołaną do wyjaśniania rozmaitych „w oczywisty sposób irracjonalnych” ludzkich przekonań i idących za tym zachowań, jak słynne stwierdzenie Bororo, że są papugami ara⁹. Przykład z totemistycznym poglądem na temat związków ludzi z rzeczonymi papugami, jak i każdy, w którym postrzegamy te i podobne osobliwości z dystansu kulturowej odmienności, wydaje się wystarczająco odległy, by tę „irracjonalność” można było orzec. Rzecz przedstawia się trudniej, jeśli chodzi o przekonania i zachowania nas samych, gdy z braku owego dystansu skłonni jesteśmy za oczywiste uważać choćby istnienie ośmiogodzinnego dnia pracy, konieczność opłacania składek emerytalnych lub potrzebę przerwy w zawodowej codzienności, kiedy możemy do woli, nieograniczeni koniecznością stawienia się o oznaczonej godzinie za biurkiem lub warsztatem pracy, poprzyglądać się pluskającym falam morskim, kwitnącym kwiatom czy śpiewającym ptakom, jak choćby wspomnianym papugom, jeśli tylko wystarczy nam środków, by dotrzeć w rejony, które są ich ostoją.

Oczywistość ta jest jednak całkiem umowna, usankcjonowana – by tak rzec – stosowną umową społeczną, w myśl której ludzie pracują i odpoczywają zgodnie z pewnymi interwałami czasowymi, podobnie jak to, że jeżdżą samochodami czy noszą buty. Wprawdzie co do dwóch ostatnich praktyk będziemy mieli do czynienia ze znacznym rozrzutem upodobań, znajdujących zarówno przełożenie w ofercie rynkowej, jak i istniejących na skutek samej tej oferty, co będzie wyrażać się na przykład kupowaniem samochodu za dziesięć tysięcy złotych lub za milion, butów zaś za sto lub – odpowiednio – za tysiąc złotych. Codzienna statystyka, praktyka i pragmatyka podpowiadają, że niższe ze wskazanych cen oraz gotowość ich uiszczenia w zamian za odpowiedni produkt wyrażają większą dozę „racjonalności” w odróżnieniu od tych wyższych, które skłonni bylibyśmy określić jako „irracjonalne” (choć i tutaj znajdziemy wyjątki od reguły wyrażane na przykład powiedzeniem „co tanie, to drogie”). Z pewnego punktu widzenia wszakże posiadanie jakiegokolwiek samochodu czy nawet butów jest czymś równie „irracjonalnym”, a już na pewno jest tym fakt istnienia mnóstwa modeli, fasonów, kolorystyki, przeznaczenia na określone okazje, dla określonego wieku, płci kulturowej, zawodu, wykształcenia, klasy, wyznania religijnego, a nawet poglądów politycznych; równie „irracjonalne” wydaje się spędzanie ol-

⁹ A. Gell, *Art and Agency. An Anthropological Theory*, Oxford 1998, s. 10.

brzymiej ilości czasu w miejscach, w których te i inne dobra się nabywa. Taka konstatacja byłaby jednak przypadkiem klasycznego wylewania dziecka z kąpielą, podobnie jak byłoby nim stwierdzenie, że Bororo nie potrafią odróżnić ludzi od ptaków z powodu niedowładu taksonomii naturalnej.

Wszelki zatem przypadek nabywania dóbr czy usług może się jawić jako cokolwiek „irracjonalny”, choć z punktu widzenia lokalnych norm, wartości, zasad postępowania będzie on w pełni uzasadniony. Włączając perspektywę owych norm czy wartości, znaczeń, mitów, a może nawet i rytuałów towarzyszących zakupom, nieuchronnie uruchamiamy antropologiczne rozumienie człowieka, co wydaje się całkiem uzasadnione – wszak zakupy to, zważywszy choćby historyczne i geograficzne zróżnicowanie w ich praktykowaniu, równie kulturowa czynność jak przygotowywanie posiłków, uczestnictwo w kulcie religijnym czy stanowienie prawa. Nie wystarczy jednak tutaj poprzestać na przytoczeniu Benjaminowskiej figury flâneura, przechadzającego się po pasażach handlowych zakupowicza, wytworu nowoczesnych stosunków społecznych, produkcji i konsumpcji dóbr. Oczywiście tego zauważają i sami antropolodzy, jak na przykład Arjun Appadurai, który postrzega współczesne zakupy jako niezwykle złożoną czynność, polegającą na

odczytywaniu wciąż zmieniających się sygnałów o modnych trendach, na zabiegach związanych z obsługą zadłużenia, na opanowywaniu sztuki sprawnego radzenia sobie z nową skomplikowaną postacią domowych finansów, na zdobywaniu orientacji w złożonych kwestiach zarządzania pieniędzmi [...] – co w konsekwencji prowadzi nade wszystko do wytwarzania – świadomościowych warunków *zakupywania*¹⁰

co zawiera i komponent społeczny, i symboliczny.

Odnosnie do owej kulturowej złożoności nabywania dóbr mamy i ustalenia badaczy zajmujących się handlem w dawniejszych układach kulturowych. Pierre Bourdieu podaje przykład z przednowoczesnej, wiejskiej algierskiej Kabylii lat 50. minionego wieku, ilustrujący przypadek – jak ją określa – ekonomii „w sobie”. Otóż, chłopci tamtejsi zwykli kupować po żniwach drugie jarzmo dla wołów, co miało być komunikatem o dobrych zbiorach, jako że takie dodatkowe jarzmo było jakoby niezbędne do przeprowadzenia młocki (przypomnijmy, że w tamtym typie gospodarki rolnej młocka polegała na przepędzaniu wołów przez położone na twardym gruncie zboże). To dodatkowe jarzmo nie było zwykle w ogóle wykorzystywane i sprzedawano je tuż przed jesienną orką, wtedy gdy w istocie mogłoby być technicznie niezbędne. Irracjonalne z punktu widzenia zachodniej ekonomii działanie okazuje się zrozumiałe po uwzględnieniu istotnego pozaekonomicznego komponentu całości kontekstu kulturowego, mianowicie przypadających na koniec lata tradycyjnych swatów. Nabyte jarzmo okazuje się tu elementem – w terminologii Bourdieu – kapitału symbolicznego, ponieważ,

¹⁰ A. Appadurai, *Nowoczesność bez granic. Kulturowe wymiary globalizacji*, przeł. Z. Pucek, Kraków 2005, s. 125.

w odróżnieniu od rzeczywistych zbiorów, nie jest mierzalne w kategoriach ilościowych, lecz jakościowych. Wszelako, działanie to jest racjonalne w odniesieniu do całości tamtejszej kultury, albowiem małżeństwo jest też aspektem cyrkulacji ekonomicznej, której nie sposób rozważać jedynie w kategoriach dóbr materialnych¹¹. Słowem, rozróżnienie oczywiste dla zachodniego *homo economicus* na wartość znakową (jarzmo, małżeństwo) i wartość użytkową i/lub wymienną (techniczna użyteczność, wartość pieniężna) dla wieśniaka z Kabylii stanowiło jednolitą, nierozróżnialną całość.

W reprezentowanym zatem przez Bourdieu podejściu mamy ujęcie cech „kultury tradycyjnej”, na jakie wskazywał niegdyś Pawluczuk, jej: monokulturowość, wzajemne zharmonizowanie poszczególnych wytworów kulturowych i ich wielofunkcyjność¹². W obrębie stworzonej przez siebie teorii praktyki Bourdieu kwestię tę ujmuje następująco: „Teoria wąsko rozumianych praktyk ekonomicznych jest jedynie przypadkiem szczególnym ogólnej teorii ekonomii praktyki”¹³. Słowem, ustanowiona w epoce nowoczesnej dychotomia ekonomia/kultura jest przeciwstawieniem błędnym, które ruguje ze sfery wąsko pojętej ekonomii całość kontekstu kulturowego na nią oddziałującego i *vice versa*. Ekonomia – wypreparowana wprawdzie przez ekonomistów z tego, co nieekonomiczne (stosunki społeczne, wartości moralne, obyczaje itd.) – pozostaje wszak w sieci znaczeń, które konstytuują całość kultury (por. rozumienie kultury przez Geertza¹⁴). Wydaje się, że taki synkretyczny charakter, stanowiąc zarazem element w sieci wielu zależności, mają rozważane tutaj zakupy, a rozpowszechniony obraz w pełni świadomego, racjonalnego, podążającego za wyznaczonym celem zakupowicza, który nabywa to czy owo w ramach pewnego uświadamianego projektu siebie lub/i swej grupy, wydaje się nie do utrzymania (ujęcie racjonalistyczne); podobnie zresztą jak obraz konsumenta otumanionego przez specjalistów od marketingu i reklamę (ujęcie konstruktywistyczne). Zakupy wydają się praktyką *par excellence* kulturową i – co więcej, jak utrzymuje Rob Shields – składającą się na sam rdzeń zmiany kulturowej¹⁵. Przenieśmy się zatem na dobre do współczes-

¹¹ P. Bourdieu, *op. cit.*, s. 120.

¹² W. Pawluczuk, *Światopogląd jednostki w okresie rozpadu tradycyjnej społeczności terytorialnej*, „Studia Socjologiczne” 1968, nr 3–4, s. 243–266.

¹³ P. Bourdieu, *op. cit.*, s. 122.

¹⁴ C. Geertz, *Interpretacja kultur. Wybrane eseje*, przeł. M.M. Piechaczek, Kraków 2005, s. 19.

¹⁵ R. Shields, *Spaces for the subject of consumption*, [w:] *Lifestyle Shopping. The Subject of Consumption*, red. R. Shields, London 1992, s. 16. Owa zmiana dotyczy na przykład przesunięć akcentów w obrębie podziałów ze względu na takie odwieczne kryterium, jak płeć kulturowa. Autorki publicystycznej wypowiedzi na ten temat, Iga Nyc i Agnieszka Niedek, zauważają o współczesnych kobietach, co następuje: „Nie są już one wyrachowanymi kociakami, luksusowymi dodatkami do mężczyzny, które cały czas kombinują, jak zmotywować absztyfikanta, by ten kupił im kolejny cenny drobiazg. Współczesne materialistki są sfeminizowane i niezależne finansowo. Ubrań nie kupują, by się podobać facetom, tylko sobie. I innym kobietom, bo ci durnie nie potrafią

ności, w której szczególnie wyrazistymi miejscami zakupów są centra handlowe (hipermarkety, galerie handlowe) i na nich w szczególności się skoncentrujemy. Warto jednak wspomnieć i o tym, że pewne istotne elementy z porządku promocji sprzedaży, wystroju wnętrz, wystawy sklepowej, reklamy itd. przejmują od owych centrów także sklepy branżowe czy nawet do pewnego stopnia zwykłe narożne sklepy spożywcze.

* * *

Don Slater zauważa, iż robieniu zakupów nie towarzyszą wyłącznie, a może nawet w ogóle wysoce abstrakcyjne operacje porównywania krzywych podaży i popytu czy technik maksymalizacji zysku, co bywa na ogół udziałem analityków rynku, i – co więcej – samo nabywanie dóbr zdaje się stanowić mniejszą część całości uczestnictwa kupujących. Tak tedy i w tradycyjnych, i nowoczesnych miejscach handlu (place targowe, rynki, sklepy u zbiegu ulic, pasáže handlowe, hipermarkety) kupujący poddany był i wciąż jest oddziaływaniu wystaw, reklam, akcji promocyjnych, różnych form działalności pokrewnej (wyszynki, restauracje, kawiarnie, kina, place zabaw), grup ludzi (bezdumni, wagarowicze, inni kupujący) i pojedynczych osób, które przychodzą w takie miejsca, by coś zobaczyć i pokazać się zarazem. Miejsca te nie spełniają wyłącznie funkcji czysto komercyjnej, lecz także wiele funkcji kulturowych. Kupujący poświęcają spędzony tutaj czas nie tylko na nabywaniu dóbr, lecz też fantazjowaniu i oglądaniu wystaw, spotykaniu przyjaciół, jedzeniu i oglądaniu filmów czy niedzielnym wyprawom całą rodziną¹⁶. Należałoby zatem stwierdzić, że – z jednej strony – otoczenie komercyjne (sklepy, restauracje, hale targowe, centra handlowe itd.) denotuje fakt pomnażania kapitału przez pobudzanie zapotrzebowania u potencjalnych nabywców czy rozmaite akcje promocyjne, z drugiej – wprowadza wiele znaczeń konotatywnych.

Podobnie jak dawniej place targowe, tak dziś rolę miejsc spotkań ludzi odgrywają centra handlowe, których przewaga polega na tym, że nie tylko ich rozległe wnętrza chronią przed złą pogodą, lecz oferują jednocześnie rozmaite formy wspólnego spędzania czasu, oprócz robienia zakupów: pójścia do kina, restauracji, kręgielni, salonu gier czy powłóczenia się, co powszechnie czynią grupy nastolatków, jak również całe rodziny¹⁷. Odbywa się zatem tutaj proces bardzo podstawowej enkulturacji i zadzierzganiania/podtrzymywania więzi, i uczestnictwa w kulturze – nie tylko tej popularnej, skoro robieniu zakupów akompaniują cza-

nawet odróżnić butów Manolo Blahnika od Jimmy’ego Choo (nazywanych przez nie zdrobniale manolos albo choos” (*eadem, op. cit.*, s. 83).

¹⁶ D. Slater, *Consumer Culture and Modernity*, Cambridge 1997, s. 54.

¹⁷ Ta praktyka rodzinnego robienia zakupów w centrach handlowych spotyka się z krytyką ze strony zarówno środowisk zwalczających wszelkie formy populizmu kulturowego, jak i – w Polsce – niektórych katolików świeckich i duchownych, którzy nieodłączną pracę w centrach handlowych, a także wizyty w nich, postrzegają jako istotne naruszenie dobrych zasad życia religijnego i rodzinnego.

sem muzycy wykonujący utwory klasyczne. Fakt, iż główny ruch ma miejsce w czas weekendu, zbiega się z przejściowym, liminalnym charakterem tego okresu, stąd atmosfera rozluźnienia i ludyczności, zatrzymania czasu, a na pewno jego „zabijania”, którą można odczuć w centrach handlowych, wydaje się szczególnie uzasadniona. Wszystko to w kontekstach reklamy i estetyki kształtujących jednocześnie określone gusty i style.

Owa pograniczna nieokreśloność wyraża się też w nieokreśloności ludzkiej masy przepływającej w różnych kierunkach centrów handlowych. Wydaje się, że jedynym wyraźnym wyróżnikiem jest wiek, gubią się zaś wszelkie inne kryteria. Centrum handlowe jawi się niczym wiecowanie, pierwotne wspólnotowe uczestnictwo w życiu zbiorowym, w którym mowy wspólnotowych przywódców, zachęcających do wzięcia ich strony, przejmują „mowy” reklam, wystrojów butików reprezentujących poszczególne marki i mowy samych handlujących – tu dawniejszy targ nie stracił na swej funkcji. Ta pograniczność to – chciałoby się powiedzieć – „naturalny” teren współistnienia różnych porządków, doświadczeń i codzienności, bo marketing, promocja sprzedaży, reklama oraz inne narzędzia ekonomicznego oddziaływania mieszają się i warunkują nawzajem – z wystawową estetyką i retoryką, miarowym rytmem niezbędnego, wypełniającego akustyczną przestrzeń „muzaka”, z indywidualnymi emocjami i zbiorowymi interakcjami. „Mowy” te pisane są dziś w coraz większym stopniu przez marketingowców, designerów czy specjalistów od zarządzaniem markami aniżeli przez fachowców branżowych czy inżynierów. Ci ostatni byli demiurgami dawniejszej funkcjonalności, masowości, homogeniczności produkcji i konsumpcji, określanych w zachodnim kapitalizmie zbiorczym pojęciem fordyzmu, dziś jednak, w czasach postfordowskich, nawet kryteria klasy czy płci przestają odgrywać główną rolę, oddając pole rozmaitym wyobrażonym stylowym wskaźnikom¹⁸.

Pograniczność miejsca uzupełnia pograniczność czasu, co najlepiej bodaj reprezentują zakupy, które pełnią funkcję emblematycznych we współczesnej kulturze zachodu, mianowicie te związane ze świętami Bożego Narodzenia. Russel Belk i Wendy Bryce trafnie zauważają, iż główne doroczne zakupy nie przypadkiem mają miejsce w okresie zimowego przesilenia, które wśród rozlicznych ludów świętowane było jako czas przejściowy, jako – wraz z przybywającym dniem – zapowiedź przyszłego odrodzenia przyrody, a w kosmicznym cyklu – odrodzenia świata¹⁹. Bezpośredniego poprzednika chrześcijańskiego święta należałoby wskazać w rzymskich Saturnaliach, na które składały się maskarady, uczty, odwiedzanie znajomych i rodziny, obdarowywanie się prezentami czy rozmaite formy zawieszania lub odwracania istniejącego porządku społecznego. Podobne praktyki, tutaj poświęcone agrarnemu bogowi Saturnowi, znajdziemy prze-

¹⁸ D. Slater, *op. cit.*, s. 174.

¹⁹ R.W. Belk, W. Bryce, *Christmas shopping scenes: From modern miracle to postmodern mall*, „International Journal of Research in Marketing” 1993, nr 10, s. 292.

cież i w słowiańskiej – w tym polskiej – tradycji, w zbliżonym okresie zwanym Godami (od Bożego Narodzenia do Trzech Króli), przechodzącymi w karnawał (zapusty) – dopełnienie czasu wzmożonego świętowania, lecz także konsumpcji i zabawy. Belk i Bryce zauważają, że gdy mowa o Bożym Narodzeniu, w szczególności o sposobie świętowania w Ameryce, pierwszym skojarzeniem są zakupy właśnie, a centralne miejsce świętowania przesunęło się z kościołów do podmiejskich centrów handlowych²⁰. Dodajmy, że dotyczy to zachodniej części starego kontynentu, a tej wschodniej także w coraz większym stopniu.

A zatem mamy oto w porywach kilkutygodniowy okres dorocznego cyklu obrzędowego najnowszego chowu, w którym zakupowa hipertrofia uzupełnia liminalny „nadmiar” świętowania, konsumowania, kontaktów międzyludzkich, zabawy. Charakterystyczny wydaje się kontrast w spędzaniu czasu w centrum handlowym, w którym konsumpcja zdaje się iść ręką w rękę z wypoczynkiem, w porównaniu z rutyną codzienności poza nim. Widać tu wyraźnie niespieszne przemieszczanie się zakupowiczów pomiędzy butikami, nieskończone przeglądanie rozmaitych elementów garderoby czy gadżetów elektroniki, a w tym czasie posiadywanie na roztawionych regularnie ławkach, które mają przynieść ulgę strudżonym nogom. Swą ofertą kuszą liczne kawiarnie, restauracje czy salony piękności, które proponują korekty w takim elemencie jednostkowych ekspresji, jakim są włosy czy ciało. Ta powolność, wyczuwany nastrój rozluźnienia, czasem nawet zabijania czasu, odbija wyraźnie od pośpiechu, nerwowości, niecierpliwości i kalkulacyjności zarazem miejsc pracy, ulicy, a nawet domowego zacisza, w którym często praca znajduje swe przedłużenie, nie mówiąc już o codziennych obowiązkach porządkowych, kulinarnych, wychowawczych. Określenie „zabijanie czasu” wydaje się o tyle adekwatne do językowego uchwycenia istniejącego nastroju rozważanej sytuacji, że w istocie mamy tutaj do czynienia z pewną bezczasowością, zawieszeniem czasu.

Te i inne miejsca zakupów oraz wskazany wcześniej ich charakter każą myśleć o nich jako o wydzielonych przestrzeniach rytuału interpersonalnej i intrapersonalnej przemiany. To tutaj doznają materialnego dopełnienia społeczne afiliacje – dzięki nabywanym dobrom czyniącym z nieodróżnicowanej masy zakupowiczów: ludzi biznesu lub pracy manualnej, bywalców dyskotek lub sal koncertowych, nowoplemion motocyklistów crossowych lub miłośników *nordic walking*. Liczne sklepy firmowe, wspomagane reklamą i zabiegami marketingowymi, oferują gotowe wizerunki, w których obrębie konstytuują się określone zbiorowe tożsamości, często przebiegające w poprzek dawniejszych podziałów ze względu na klasę, wykształcenie, płeć kulturową czy nawet wiek. W tym sensie stają się cokolwiek spluralizowane i bardziej podatne na wielość zmiennych je kształtujących. Wspomniane marketing i reklama, bodaj podstawowe dziś formy komunikowania, często główne nośniki socjalizacji, internalizacji i eksterna-

²⁰ *Ibidem*.

lizacji treści kulturowych, zyskują rangę scenariuszy odbywających się kulturowo-rynkowych rytuałów, co z naciskiem podkreśla Dominique Bouchet:

Współczesna konsumpcja i reklama mogą być traktowane jako współczesna forma rytuału. Są to dynamiczne procesy, w których toku rozmaite pojęcia są nieustannie redefiniowane. Stanowią one część mechanizmu tworzenia nowych i przywoływania starych znaczeń. Jednostki i grupy posługują się konsumpcją, aby komunikować to, w jaki sposób organizują swój świat, odnosząc go do pewnej hierarchii wartości. We wszelkich relacjach między ludźmi – poczynając od lektury poezji, na kupowaniu chleba kończąc – można odnaleźć znaczenia²¹.

Zakupy wydają się pierwszym aktem współczesnych rytuałów, początkiem przemiany, która może uczynić z niczym niewyróżniającego się członka anonimowego tłumu bardziej lub mniej wyrazistego reprezentanta określonego zawodu, zapatrywań politycznych czy nawet orientacji seksualnej, o plemionach rynkowych czy stylowych nie wspominając²². W tym rozumieniu centra handlowe są współczesnymi centrami życia społecznego, przejmując tę rolę od dawniejszych miejsc targowych, które w coraz większym stopniu stają się lokalnymi osobliwościami dawniejszej kultury, a nawet atrakcjami turystycznymi²³. Porządek ów należy jeszcze do czasów nowoczesnych, a nawet przednowoczesnych, przywodzi bowiem na myśl charakter interakcji międzyjednostkowych charakterystycznych dla Tönniesowskiej *Gemeinschaft*, dla której typowe były wspólnotowe formy spędzania czasu zarówno pracy, jak i odpoczynku – w gronie znajomych czy rodziny, znaczna częstotliwość rozmaitych wieców i zgromadzeń, bezpośredni kontakt fizyczny²⁴.

Wszelako ponowoczesność (lub późna nowoczesność) naznaczona jest w coraz większym stopniu różnymi praktykami samodefiniowania, komunikowania i konstituowania znaczeń i tożsamości nie w obrębie grupy, lecz indywi-

²¹ D. Bouchet, *Marketing jako szczególna forma komunikacji*, [w:] *Komunikacja międzykulturowa. Zderzenia i spotkania*, red. A. Kapciak, L. Korporowicz, A. Tysza, przeł. K. Frieske, Warszawa 1996, s. 84.

²² Por. M. Maffesoli, *The Time of the Tribes. The Decline of Individualism in Mass Society*, przeł. D. Smith, London 1996; T. Polhemus, *Style Surfing. What to Wear in the 3rd Millennium*, New York 1996.

²³ Nie powinno zatem dziwić, że zakupy stają się jedną z głównych atrakcji turystycznych. Dotyczy to w szczególności egzotycznych – z punktu widzenia Europejczyków – miejsc targowych Bliskiego czy Dalekiego Wschodu, gdzie można doświadczyć doznań związanych z nieznanymi wcześniej smakami, zapachami sprzedawanych produktów, lokalnym handlowym gwarem i formami interakcji. Kupowanie w takich okolicznościach choćby nieużytecznych pamiątek, których główną późniejszą funkcją jest zbieranie kurzu, to rzeczywista praktyka zanurzenia się w kulturową inność (por. R. Shields, *The Individual. Consumption Cultures and the Fate of Community*, [w:] *Lifestyle Shopping...*, s. 110). Nawet w miejscach z europejskiego punktu widzenia dużo mniej egzotycznych, jak na przykład krakowskie centra handlowe (Galeria Krakowska, Galeria Kazimierz i in.), zauważymy liczne grupy zachodnioeuropejskich turystów robiących zakupy, zwabionych zapewne atrakcyjnymi cenami, wydaje się jednak, że istnieje tutaj też element owej liminalności czasu kanikuły, transgresji, w którym zakupy odgrywają istotną rolę.

²⁴ Por. *ibidem*.

dualnie, intrapersonalnie. Wspomniany wcześniej pluralistyczny i dynamiczny jej charakter sprawiają, że – jak to określają Miller *et al.* – jest ona czymś na kształt „dyskursywnie ustanowionego stosunku społecznego, wyrażanego poprzez indywidualne narracje”, które określają trajektorie uczestnictwa w rozmaitych sferach życia: pracy, rodzinie, narodzie, grupach nieformalnych itd.²⁵ Autor przytoczonego wcześniej cytatu, Dominique Bouchet, ma świadomość i tego faktu, powołując do życia w przyjętej przez siebie terminologii osobną klasę ludzi-kameleonów, typowych reprezentantów współczesnej kultury doby marketingu, reklamy i zakupów. Dominuje tutaj zmienność, nieokreśloność, okazjonalność, a znaczenia – wobec braku trwałych odniesień – konstytuują się głównie w trybie performatywnym²⁶. Nawet jeśli istnieje jakiś rodzaj uwzorowania codzienności w postaci określonego stylu życia, a zatem, istnieje element podzielenia, to ma on tendencję do nieustannego zanikania, przemiany, wprowadzania nowych jakości z dostępnego repertuaru wartości, znaczeń, norm. Tożsamości ludzi-kameleonów mają charakter nade wszystko wyobraźniowy i mgliście zarysowany, ich osobowości zaś podlegają nieustannym zmianom, podporządkowane raczej Riesmanowskiej zasadzie radaru niż dawniej nowoczesnego żyroskopu²⁷.

Przypomnijmy, że ów kulturowy radar to metafora takiego przypadku uczestnictwa w rzeczywistości, w którym obowiązuje nakaz nieustannego wychwytywania sygnałów przybywających z przestrzeni, albowiem pojawić się może w niej dowolny obiekt i trudno cokolwiek pewnego przewidzieć. To istotna zmiana w postrzeganiu rzeczywistości i uczestnictwa w niej w porównaniu z postacią wcześniejszą, żyroskopową, w której charakterystycznym rysem było wskazywanie dosyć niezmiennego celu, na przykład wykształcenia czy bogactwa, oraz sposobów jego osiągania, na co składa się względnie trwały repertuar środków, procedur, znaczeń. Semantyczna logika żyroskopu to relacja tego, co reprezentujące, i tego, co reprezentowane, natomiast logika radaru wyraża implozję rzeczywistości i znaku, denotacji i konotacji, która – jak utrzymywał Baudrillard – pozbawia doświadczenia „głębi”, będącego jeszcze w mocy, gdy działały w tej głębi zakotwiczone takie kategorie, jak klasa, płeć czy status majątkowy.

Pomijając Baudrillardowski hiperkrytycyzm (potraktujmy to jako analogon wprowadzonego przezeń pojęcia hiperrealności), wydaje się, że same zewnętrzne oznaki wszelkich kulturowych dyferencjacji, znaczenia i porządkujące je kody, podlegają coraz większej autonomizacji, zwiększając dozę „semantycznej mobilności” i nieprzewidywalności, okazjonalności. Ich żywot bywa krótki, w odróżnieniu od względnie trwałych struktur i znaczeń dawniejszych, przednowoczesnych i nowoczesnych form dających wyraz – często ponadpokoleniowo – przynależności etnicznej, religijnej, klasowej. Reprezentantów takich i innych

²⁵ Por. D. Miller *et al.*, *Shopping, Place and Identity*, London 1999, s. 20.

²⁶ Por. *ibidem*, s. 6.

²⁷ D. Riesman, *Samotny tłum*, przeł. J. Strzelecki, Warszawa 1996.

grup na niedysiejszym targu można było z łatwością rozpoznać po określonych zmysłowo uchwytynych „pakietach”, na które składał się: wygląd, sposób mówienia, poruszania się, gestykulacja. Wszyscy przybywali zresztą na ów targ, by ten pakiet uzupełnić czy odnowić, nie odbywało się to przy tym na co dzień – wystarczyło raz w tygodniu, a nawet rzadziej. Nie powinniśmy zatem się dziwić, że dziś jesteśmy świadkami takiego permanentnego targu. Wobec zniknięcia skromnych, lecz oferujących względnie kompletne kulturowe zestawy dawniejszych straganów współcześni nabywcy zmuszeni są do poświęcenia niepomrotnie większej ilości czasu i uwagi na tworzenie zestawów własnych; stąd zakupy jawią się momentami jako główna praktyka kulturowa człowieka współczesnego.

To, co tu powiedziano, stanowi jedynie bardzo ogólny i modelowy zrazem zarys krajobrazu kulturowego, w którym porusza się współczesny *flâneur*. Codziennosc dostarcza nam bowiem odniesień dużo bardziej złożonych. Niemniej pewien migotliwy, społecznie i semantycznie rozmyty, a zarazem zindywidualizowany rys tożsamości, choć nie występuje w formie klinicznej i czystej, to można go dostrzec przez przejawy pośrednie, być może nade wszystko w miejscach robienia zakupów. One to stają się bowiem głównym *teatrum* współczesnej konsumpcji, generując – jak to określa Sean Nixon – narcystyczną „wzrokową przyjemność” (*visual pleasures*) w obcowaniu robiących zakupy z własnymi wizerunkami²⁸. W szczególności ów estetyczny wzrokowy rys dotyczy ubiorów, które są bodaj najbardziej intymnymi, a zarazem podanymi do wglądu z zewnątrz materialnymi ekstensjami jednostkowych osobowości; także dotyczy to innych form upiększania ciała – fryzury, makijażu, biżuterii. Występowanie licznych luster wypełniających miejsca nabywania w szczególności takich dóbr potwierdza, że te i podobne komponenty patrzenia można odczytywać jako rodzaj autonadzorowania i autowizualizacji w obrębie środków wyrazu dostępnych w miejscach, w których się ogląda i kupuje²⁹. Należy wszakże zwrócić uwagę, że ten rodzaj autotysgnifikacji i autokomunikacji nie wystarcza do dopełnienia końcowego efektu, sformułowania jakiejś wizerunkowej, niewerbalnej, intuicyjnie jedynie przeżywanego i odczuwanego autodefinicji. Potrzeba jeszcze zwierciadeł oczu innych uczestników tego spektaklu, co dotyczy już często przestrzeni pozasklepowej, wszelako kurtyna podnosi się właśnie tutaj.

W celu przybliżenia sytuacji jednostki w sklepowym i pozasklepowym ob-ramowaniu posłużmy się poglądem George’a Meada, który jednostkową jaźń rozumiał na kształt „koncentrycznych kół” wzajemnego oddziaływania jednostki i świata ją otaczającego. Przypomnijmy tylko, że według Meada w jednostkowej osobowości istnieje swoiste rozdwojenie. Mamy zatem – po pierwsze – ja podmiotowe, wewnętrzne, sferę najintymniejszą i niedzieloną z innymi

²⁸ S. Nixon, *Have you got the look. Masculinities and shopping spectacle*, [w:] *Lifestyle Shopping...*, s. 150.

²⁹ *Ibidem*, s. 153.

jednostkami, bezpośrednią świadomość działającą w ramach marginesu swobody, jakim dysponuje jednostka, z drugiej zaś – ja przedmiotowe, które przychodzi niejako z zewnątrz w postaci wartości i norm kulturowych. Otoczenie w tym rozumieniu uczestniczy w kształtowaniu osobowości za pośrednictwem ja przedmiotowego, które składa się ze zbioru obrazów tego, jak postrzegają jednostkę inni. Ja podmiotowe nieustannie przegląda się w ja przedmiotowym, niczym w owych lustrach sklepowych, gdzie odbywa się ciągły proces negocjowania jednostkowej sprawczości w strukturach kontroli społecznej. Ujęcie to doprowadziło w konsekwencji do stworzenia pojęcia uogólnionego innego – społeczeństwa – lub społecznych oczekiwań i wzorów, które jednostka internalizuje. Nie mają one jednak sztywnego niezmiennego charakteru, lecz podlegają nieustannym negocjacjom z użyciem wciąż zmieniającego się repertuaru symbolicznego. W tym ujęciu także przymierzane w butiku ubrania czy oglądane gadżety stają się partnerem interakcji, oddziałują na Meadowskie ja przedmiotowe, stąd moment obcowania z nimi wywołuje wyzwolenie określonych jednostkowych cech ja podmiotowego, a zatem osobowości „właściwej”. Mają one tę samą ontologiczną wagę co ludzie sami, uważani zwykle za wyłącznych uczestników interakcji.

Istnieje zależność odwrotna. Jak powiada Mead: „W pewnym sensie organizm tworzy swoje środowisko [...] Taki rodzaj kształtowania środowiska jest oczywiście tak samo realny, jak wpływ środowiska na organizm”³⁰. Istnieje zatem wzajemny determinizm, który przedstawia się w sposób następujący:

Chociaż obiekty zewnętrzne istnieją niezależnie od doświadczenia jednostki, jednak mają one pewne charakterystyczne cechy wynikające ze związków z doświadczeniem jednostki lub z jej umysłem: których nie miałyby w innym przypadku lub w razie braku takich powiązań. Te cechy mają znaczenie dla tej jednostki i – na ogół – dla nas. Rozróżnienie między fizycznymi obiektami lub fizyczną rzeczywistością i umysłowym lub samo-świadomym doświadczeniem tych obiektów lub tej rzeczywistości – rozróżnienie między doświadczeniem zewnętrznym i wewnętrznym – polega na tym, że to ostatnie łączy się ze znaczeniem lub jest przez nie tworzone. Objęte doświadczeniem obiekty mają określone znaczenia dla jednostek myślących o nich³¹.

A zatem człowiek wprowadza swoje znaczenia i struktury do świata, które są rzeczywiste w takim samym stopniu, w jakim świat sam był rzeczywisty przed dodaniem tych nowych znaczeń³². Jeśli skrótowno ująć główną myśl w tym zakresie twórcy interakcjonizmu symbolicznego, należałoby stwierdzić, że w tej perspektywie to, co „jednostkowe”, „subiektywne”, jest nie mniej realne niż to, co „obiektywne”. Nabywane dobra okazują się w tej perspektywie równie ważne jak dobra dziedziczone czy otrzymywane w prezencie, choć tym dwóm ostatnim klasom zwykliśmy przypisywać znaczenie szczególne. Dzieje się tak, ponieważ

³⁰ G.H. Mead, *Umysł, osobowość i społeczeństwo*, przeł. Z. Wolińska, Warszawa 1975, s. 299.

³¹ *Ibidem*, s. 184.

³² E.D. McCarthy, *Toward a sociology of the physical world: George Herbert Mead on physical objects*, „Studies in Symbolic Interaction” 1984, nr 5, s. 112.

przypadki ostatnie z wymienionych dotyczą sytuacji o znacznej dozie kulturowej eksplicytności, określonej wskazaną tradycją czy scenariuszem rytuału, podczas gdy zakupy takiego uprawomocniającego, dającego się bezpośrednio wskazać kontekstu na ogół nie mają. (Choć i tutaj znajdziemy zmienne proporcje, zważywszy na przypadki typu dyskutowanych wcześniej zakupów świątecznych). Nie oznacza to, że owego kontekstu w ogóle nie ma – wszak Levi's, Vistula, Benetton, Rossignol czy Harley-Davidson dostarczają pewnych światopoglądowych czy estetycznych treści, pozostają one jednak nade wszystko w sferze znaczeń i treści implicytnych, głównie o charakterze indeksującym, a nie konwencjonalnym i narracyjnym. Wszelako dawniejsze „wielkie” symboliczne odniesienia w skali narodu czy klasy ustępują tym „małym”, w których próżno szukać wyrazistego znaczonego, znajdziemy natomiast pozytywne lub negatywne reakcje i odniesienia z porządku czegoś na kształt Shustermanowskiej etyki smaku³³.

W każdym razie, nasze konstytuujące się wyglądy czy autowizerunki wykuwają się niepostrzeżenie w napięciu między ja podmiotowym a ja przedmiotowym, choć oczywiście my sami oraz inni ludzie aktorzy tej sceny, jak również nie-ludzie (materialni, nadmysłowi), bywają do tego procesu niezbędni. To już w przestrzeni sklepowej nabywane dobra stają się „obiektywnymi korelatami” – jak je określa Grant McCracken – szerszych znaczeniowych

³³ R. Shusterman, *Sztuka życia a etyka postmodernistyczna*, [w:] *idem, Estetyka pragmatyczna. Żywe piękno i refleksja nad sztuką*, przeł. A. Chmielewski, Wrocław 1998. Dobrą ilustracją tej tendencji będzie przedstawiona na jednym z blogów internetowych relacja z zakupów, na które wybrały się dwie panie reprezentujące dość odległe przedziały wiekowe: „Tak więc rzuciłyśmy się na butiki oferujące specjalne cool T-shirty dla niezliczonych zastępów młodych indywidualistów. Szybko stało się jasne, że nasze wyobrażenia o estetyce znajdują się na dwóch odległych biegunach: – *Ciocia, dlaczego mi podajesz same szaro-bure ciuchy?* – marudziła Ola w przymierzalni. – *Bo to takie eleganckie, ekologiczne kolory* – odparłam spokojnie. – *A weź, daj spokój... jeszcze te napisy, normalnie kicha. Mogłabyś przynieść mi taką fioletową, która wisi koło lady?* Ola ostentacyjnie zbojkotowała moje odzieżowe faworytki...

W następnym sklepie nie było lepiej. W końcu weszliśmy do papuziego straganu, który wydał mi się rodzajem pstrokatego namiotu cyrkowego. Ola już w progu zapiszczała radośnie: – *Yes, yes, yes! To jest to!* W pięć minut wyszarpała stertę koszulek i z gorączkowym entuzjazmem przymierzała jedną po drugiej. – *Ej, no i jak myślisz, która jest najfajniejsza?* – wskazała trzy wyselekcjonowane top-kandydatki. Na pierwszej widniał slogan: „Sexy princess”, na drugiej „Pink, Crazy, Funky Girl”, a na ostatniej (przeróżliwie różowej i upstrzonej kryształkami) „Sweet Doll”. Nie podobała mi się ani jedna. Musiałam być jednak dyplomatką:

– *Kochanie, hmm... nie wiem, czy to dobry pomysł epatować takim napisem* – wskazałam pierwszą bluzeczkę. – *Ej, no ciocia, przecież znam angielski, co nie? Uczę się...* – przerwała Ola, jasno dając mi do zrozumienia, że co najwyżej mogę wypowiedzieć się na temat fasonu czy koloru. Westchnęłam. Moja siostrzenica wybrała... najbrzydszy podkoszulek. Sweet Doll. Z zadowoleniem (ona – bo kupiła wymarzony T-shirt, ja – bo doszłam do wniosku, że są na tym świecie rzeczy i sprawy, na które jestem już za stara i lepiej się w to nie mieszać) skierowałyśmy się do wyjścia. – *Nie przeszkadza ci ten napis „słodka lalka?”* – próbowałam drażnić temat, bo w sumie to jednak chciałam nie czuć się tak staro i obco. – *No co ty. To taka przenośnia i żart*” (<http://www.blog.helendoron.pl/tag/zakupy>, odczyt 23.12.2008).

całości, które stają się przedmiotem naszej afirmacji lub odrzucenia³⁴. W naszej imaginacji, a może nawet bardziej w sferze emocji ubranych w znaczenia, konsumenckich fantazji, pojawia się świat Levi'sa wraz z całym stylem życia z tą marką związanym: buntownika bez powodu, chwytającego chwile wrażliwca, romantycznego włóczęgi, wiecznie młodego subkulturowca; oczywiście Harley-Davidson może być – obok wielu innych artefaktów codzienności – doskonałym tego stylu uzupełnieniem. Podobnie – i inaczej – będzie z Vistulą, reprezentującą, obok analogicznych materialnych i wizerunkowych atrybutów, odpowiednio: stateczność, dostatek, sukces zawodowy, rozsądny konformizm, powodzenie itd.

McCracken zauważa przy tym, że poszczególne dobra, dopóki nie zostaną nabyte, stanowią rodzaj „mostu” łączącego kupującego z „nieobecnym znaczeniem” (*displaced meaning*), reprezentującym szerszy życiowy projekt będący przedmiotem aspiracji czy pożądania. Nawet zwyczajne przywołanie go w umyśle bywa wystarczającym bodźcem do nakierowania uwagi na inne obiekty związane z tym „wyjściowym”, wartości z nim skorelowane, emocje, możliwości itd.³⁵ Nabycie jednak owego dobra odbiera mu rolę pośrednika między „tym” a „tamtym” światem, między kupującym a pewnym nigdy niemożliwym do zrealizowania ideałem życiowym, zmusza jednak do wskazania innego produktu, który tę rolę przejmie³⁶. Dodajmy jednak, że współcześnie należałoby częściej mówić nie w kategoriach projektu, lecz – zgodnie z życiowym nastawieniem pokroju kameleona – zgoła chwilowych zachcianek.

W istocie, przestrzeń sklepową jest tą sceną, w której – jak się rzekło – kurtyna podnosi się po raz pierwszy. Właściwie należałoby uznać ją raczej za teatralną garderobę, w której aktorzy codzienności przysposabiają się do odgrywanych na scenie ról. Nie przypadkiem za atrybut tej profesji uważa się powszechnie maskę, będącą tu i ówdzie nieodłącznym elementem spektaklu, podobnie zresztą, jak i wspomnianego karnawału, a w bardziej pierwiastkowym wymiarze – rytuału. Przypomnijmy ponadto, że w rozmaitych kulturach maska bywa centralnym elementem doświadczenia ekstatycznego, podczas którego na przykład szaman nabywa mocy niezbędnej do uzdrowienia chorego czy podtrzymania ustanowionego porządku społecznego. Podobną rolę maski zdaje się odgrywać ubiór, liminalny kompleks sprowadzony tym sposobem do roli znaków, w istocie – rytualnych atrybutów służących wyrażaniu relacji inkluzji/ekskluzji wobec określonej zbiorowości, na przykład klanu, i jej kosmologii. Ubiór czy makijaż dzieli tutaj

³⁴ G. McCracken, *Culture and Consumption. New Approaches to the Symbolic Character of Consumer Goods and Activities*, Bloomington 1990, s. 110.

³⁵ Jeszcze w latach 70., a nawet 80. minionego wieku rzeczne levisy czy wranglery były przedmiotem zachwytów całej polskiej nastoletniej populacji. Ich cena, równa wówczas połowie przeciętnej płacy, skutecznie stymulowała do marzeń na jawie o świecie, który reprezentowały, w którego częście można było wszak zakosztować, jeśli już pożądane dżinsy udało się z wielkim wysiłkiem nabyć.

³⁶ G. McCracken, *op. cit.*, s. 110.

wspólną część z maską w obrębie cechy istotnej obu tym atrybutom. Służą one mianowicie ukryciu, ochronie jednostkowej jaźni, ujednoliceniu, które w znanych antropologom systemach totemicznych sprowadzało się do reprezentowania określonego klanu. Jednocześnie to właśnie maska służy wyodrębnieniu jednostki z klanu³⁷ – kształtowaniu osobowego habitusu. Miejsce zakupów odgrywa zatem rolę szczególną – to tutaj zaczynają się materializować wizerunki i style, które istotnie przyczyniają się do kształtowania kupujących – nie tylko materialnie.

* * *

Zarysowany tu krajobraz współczesnych lifestylowych, jak to określa dosyć osobliwy derywat, zakupów wskazuje na ich charakterystyczne cechy typowe dla ponowoczesności (późnej nowoczesności), w której zbiorowe czy jednostkowe, często narcystyczne samospełnienie, też przez nabywanie określonych dóbr, wydaje się jednym z najbardziej charakterystycznych rysów. Zakupy to jednak nie wynalazek ostatniej doby, lecz – jak się rzekło – w rozmaitych postaciach praktykę tę uprawiano od tysięcy lat. Wprawdzie w każdym okresie dostrzeżemy jakąś dozę autoafirmacji, zbiorowej czy jednostkowej, to jednak najczęściej kojarzą się z bardzo zwyczajną codziennością: udawaniem się na cotygodniowy targ, który – zdarzało się – odbywał się i o cały dzień drogi od miejsca zamieszkania zainteresowanych, codziennym chodzeniem do sklepu u zbiegu ulic czy wreszcie – znów – cotygodniowym popychaniem ciężkiego wózka po tysiącach metrów kwadratowych hipermarketu. Trudno w tych przypadkach doszukiwać się elementu narcystycznej kanikuli, nie mówiąc już o święcie, a raczej czegoś zgoła odwrotnego: nużącej, mozolnej pracy z elementami poświęcenia, zwykle dla dobra bliskich – dzieci czy współmałżonka. Konstatacja taka nie jest wcale tak oczywista, jak by się na pozór wydawało. Wiemy już, że pozorna zwyczajność ludzkich praktyk może być zwodnicza, co wielokrotnie przy rozmaitych okazjach wykazywali antropolodzy. Podobnie może być i z owymi „tradycyjnymi” zakupami, zresztą analogicznie jak w przypadku tych „niezwykłych”, często kompulsywnych czy dokonanych na pokaz, słowem – „irracyjnych”, jak by to określił Gell.

Wróćmy zatem do wskazanej wcześniej analogii świętowania, w szczególności tego związanego z rocznym cyklem obrzędowym, i kupowania, i zauważmy, iż nie było to wyłącznie efektowne porównanie, skoro mamy do czynienia z oczywistą czasową koincydencją. Daniel Miller na innym zgoła, głębinowym poziomie kultury dopatruje się istnienia takiego cokolwiek *quasi*-religijnego rysu zakupów, sięgając po bardziej ukryte strukturalne uwarunkowania, wskazujące na kulturową homologię tych dwóch form praktyk codzienności i niecodzienności zarazem, które w konsekwencji każą postrzegać zakupy jako rodzaj rytuału. Zauważa mianowicie, że zakupy można traktować jako współczesny

³⁷ M. Mauss, *Szkic o darze. Forma i podstawa wymiany w społeczeństwach archaicznych*, [w:] *idem, Socjologia i antropologia*, przeł. K. Pomian, Warszawa 1973, s. 211–421.

akt ofiarny, znany wszak niezliczonym kulturom, który – najogólniej rzecz ujmując – polega na poświęceniu czegoś w celu otrzymania czegoś innego³⁸. Czy to będą dawniejsze słowiańskie święta plonów, znajdujące współczesną kontynuację w tzw. dożynkach, czy przypadek kozła ofiarnego kultur Bliskiego Wschodu, ofiar z ludzi praktykowanych przez niektóre społeczeństwa Nowego Świata czy nawet męczeńska śmierć chrześcijańskiego boga-człowieka odnawiana w postaci liturgii ofiary, wszędzie aktowi temu towarzyszy ponadto jakaś postać destrukcji i/lub konsumpcji składanej ofiary. Można mówić tutaj o swoistym akcie wymiany, w którym uczestniczy człowiek i siły reprezentujące rzeczywistość nadzmysłową. Według Millera cechą taką mają też zakupy, w trakcie których wypracowany kapitał zostaje wymieniony na jakieś dobra, a zatem zużyty, skonsumowany, żeby nie powiedzieć – zdestruowany. Czy jednak jest to wystarczający powód, by zakupom przypisywać charakter ofiary? Partnerem typowej ofiarnej, nazwijmy to, „interakcji” jest bóstwo lub inna nadzmysłowa reprezentacja. Czy jednak w wypadku zakupów da się wskazać takiego transcendentnego adresata?

Aby odpowiedzieć na to pytanie, należy przywołać inną praktykę pokrewną zakupom, mianowicie obdarowywanie. Kategorię daru, znaną doskonale antropologii, można także interpretować jako rodzaj aktu ofiarnego (np. w chrześcijaństwie inkarnacja i w konsekwencji śmierć Jezusa interpretowane są jako dar Boga złożony człowiekowi), dlatego że i tutaj znajdziemy zwykle ów element odwzajemnienia. Miller odwołuje się do podzielanego doświadczenia, w szczególności okresu dzieciństwa (znanego również piszącemu te słowa), obdarowywania wnuków przez dziadków, często za sprawą znacznych wyrzeczeń tych drugich. Nie ma tutaj jednak mowy o dającej się wskazać czy zmierzyć wzajemności i – co więcej – nieobecne jest takie oczekiwanie. Istotą tego działania jest potrzeba nadania sensu ciągłości rodowej, a poniesiony wydatek to „dar ofiarny złożony przyszłości, który dla dorosłych służy uprawomocnieniu przeszłości”³⁹. Jest to prawdopodobnie – według Millera – pozostałość odczucia owej transcendencji i nieśmiertelności reprezentowanej przez rodzinę i dom, jakości w tej perspektywie bezcennej. Mamy zatem tutaj często wskazywany element wpisany w morfologię każdej ofiary, mianowicie jej społeczny i psychologiczny aspekt w rozumieniu odnowienia zbiorowego i/lub indywidualnego porządku. Tradycyjnie i cyklicznie w kulturze Zachodu odbywa się to przynajmniej raz w roku, właśnie w związku ze świętami Bożego Narodzenia, może wprawdzie występować częściej: na imieniny, urodziny, komunie czy nawet bez okazji, co praktykują liczni dziadkowie, dorzucając się choćby do kieszonkowego wnuków. Tę pokoleniową ciągłość w trybie najbardziej codziennym realizuje zresztą sam fakt

³⁸ D. Miller *et al.*, *A Theory of Shopping*, Ithaca 1998, s. 99.

³⁹ *Ibidem*, s. 102.

oszczędzania na poczet składanych prezentów. Miller nie waha się przypisać mu cech z porządku estetyki Kantowskiej przełożonej na język codzienności, mianowicie jest ono wyrazem odmowy zaspokojenia chwilowego, indywidualnego pożądanego na rzecz celu wyższego⁴⁰.

Dobłą historyczną pozaeuropejską ilustracją cyklicznego obdarowywania, którego przykłady znajdziemy też w kulturze współczesnej nie tylko w związku ze świętami Bożego Narodzenia, może być instytucja potlachu, rytualnego rozdawnictwa dóbr materialnych, praktykowana swego czasu przez Indian północno-zachodniego wybrzeża Ameryki Północnej. Jedną z jej cech było strukturalne usytuowanie obdarowywania w kulcie przodków, występujących w tamtejszych wierzeniach totemistycznych. Talizmany, tarcze herbowe czy wszelkie inne atrybuty rodowej ciągłości były przedmiotem wewnątrz- i międzypokoleniowej cyrkulacji, obdarzone zaś swoistą duchowością inkarnowały rodową genealogię. Jak zauważył badacz tej praktyki, Marcel Mauss: „rzeczy mają osobowość, a osobowości są niejako trwałymi rzeczami klanu”⁴¹. Dodajmy ponadto, że potlach jest przypadkiem porównywalnym z Bożym Narodzeniem nie tylko ze względu na religijny aspekt („uczestniczący w nim wodzowie ucieleśniają przodków i bogów, których imiona noszą, których tańce tańczą i których duchy nimi władają”⁴²), lecz także społeczny, rytualny – służy utrwalaniu istniejących społecznych hierarchii i więzi, w tym głównie tych rodowych.

Oczywiście, obdarowywaniu w obrębie innych układów międzyjednostkowych również można przypisać, z zachowaniem odpowiednich proporcji, ów ofiarny rys, z którym wiąże się doza poświęcenia, wyrzeczenia, czasem długotrwałego oszczędzania na poczet zaplanowanych zakupów; może to dotyczyć współmałżonka, przyjaciela, dziecka. Zresztą, wspomniany dar to przypadek pierwotnej wymiany naturalnej, która z kolei jest „przodkiem” współczesnych zakupów. Mamy zatem istotną gatunkową ciągłość, skoro niezbędnym poprzednikiem obdarowywania jest dokonanie stosownego zakupu. Lecz jeśli tak, zatem można zasadnie domniemywać, że zawartość sugerowanej przez Millera ofiarnej transcendencji – afirmacja osób i związanych z nimi wartości, uprawomocnionych przez sakralny stosunek wobec ciągłości rodowej – obecna jest w każdym akcie zakupów. Zauważmy przy tym, iż mimo ważnych zmian w strukturze współczesnych społeczeństw wciąż podstawowym podmiotem w tej sferze jest rodzina, reprezentowana przez techniczny termin „gospodarstwo domowe” (zob. badania

⁴⁰ *Ibidem*, s. 103.

⁴¹ M. Mauss, *op. cit.*, s. 276. Często współczesne formy kompulsywnych zakupów określane są jako rodzaj swoistego potlachu, zwłaszcza w porównaniu z jego schyłkową formą wyrażającą się niszczeniem dóbr, ogólnie – nadmierna konsumpcja społeczeństw współczesnego Zachodu jawi się jako bezcelowe marnotrawstwo, podobnie jak ów potlach; nie ta jednak dosyć powierzchowna analogia jest tutaj podstawą przedstawionego porównania (zob. np. Baudrillard, *op. cit.*).

⁴² M. Mauss, *op. cit.*, s. 264.

Millera *et al.*⁴³). Wszelkie najbardziej codzienne i zwyczajne zakupy dotyczą tej jednostki życia społecznego i ekonomicznego, choćby było to gospodarstwo jednoosobowe. Nie powinna dziwić zatem tendencja marketingowców czy specjalistów od reklamy do eksponowania właśnie rodzinnego charakteru zakupów.

W tym obramowaniu należy wszak wprowadzić pewne istotne rozróżnienie na: „rodzinne zakupy” i „rodzinny kontekst zakupów”⁴⁴. Te pierwsze, robione czasem w dni wolne od pracy, na przykład w niedzielę, stąd bywa, że potępiane lub przynajmniej wyśmiewane, okazują się często jedyną trwałą współczesną formą afirmacji rodziny i jej przesłania kultywowania i potwierdzania rodowej ciągłości oraz składających się na nią treści. Nade wszystko chodzi tutaj jednak o ujęcie reprezentowane przez ów „rodzinny kontekst zakupów”, obecny w sposób stały, a nie jedynie incydentalny jak w pierwszym przypadku, obecność rodziny w rozumieniu zarówno pewnej grupy osób połączonych więzami krwi, jak i cementujących ją wartości i uczuć. To ona jest w przypadku „zwykłych” zakupów, niekoniecznie tych lifestylowych, podstawowym odniesieniem, uprawnieniem i źródłem decyzji dotyczących tego, co, gdzie i kiedy należy nabyć. Miller dodaje jeszcze, że wspomniany element transcendentny zakupów wciela się w uczucie miłości wobec najbliższych, w szczególności wobec dzieci, wyrazicielem jej zaś jest osoba, która najczęściej zakupów dokonuje, jak też ma przypisaną rolę depozytariusza rodzicielskiej miłości – kobieta⁴⁵. Oczywiście nie chodzi tutaj o romantyczny ideał miłości, lecz miłość rozumianą jako ideologiczny fundament złożonych stosunków, w jakich pozostają członkowie gospodarstwa domowego.

Przywołajmy zatem otwierający te rozważania pogląd Mary Douglas, że kultura to miriady indywidualnych wyborów, które jednak dotyczą nie rodzajów dóbr samych, lecz rodzajów stosunków społecznych. Tędy też przebiega argumentacja Millera, gdy stwierdza, że jeśli ofiara jest wyrazem pragnienia bóstwa, to analogicznie zakupy są wyrazem pragnienia drugiego. Innymi słowy, celem zakupów jest nie tyle nabywanie dóbr przez ludzi upragnionych, ile zapewnienie sobie pozostawania w związkach z tymi, którzy ich pragną. Leży to nade wszystko w genderowej roli kobiet, twierdzi Miller, i – co więcej – funduje istotny element charakterystycznego dla tej płci kulturowej statusu i wynikającego z niego habitusu, zbioru dyspozycji, które najlepiej oddaje słowo „poświęcenie”, dopełniające zarysowany wcześniej ofiarny *habitus*. I nie jest to sytuacja przynależna wyłącznie pewnemu okresowi historycznemu, w którym można by wskazać szczególną dominację patriarchy. Postawa ta zakorzeniona jest nade wszystko w niezbywalnej potrzebie religijnego oddania, poświęcenia, które wtórnie upra-

⁴³ Zob. D. Miller *et al.*, *op. cit.*

⁴⁴ *Ibidem*, s. 92.

⁴⁵ Zob. D. Miller *et al.*, *op. cit.*, s. 108.

womocnia zarówno prehistorię patriarchatu, jak i posthistorię dziecka wymagającego opieki⁴⁶.

Sformułowane przez Millera tezy mogą wydawać się kontrowersyjne. W rzeczy samej, za takie można by uznać sformułowanie, że „zakupy dotyczą nade wszystko miłości”⁴⁷, co oznacza, że w istocie zakupy to zewnętrzny wyraz pewnego stanu jednostkowej duchowości i stanu relacji międzyludzkich. Ta kontrowersyjność przestanie jednak być tak oczywista, jeśli uświadomimy sobie, że ów ofiarny *habitus*, tak znamieny w szczególności dla jednej z płci kulturowych, to przypadek „drugiej natury” według Bourdieu, która skutecznie skrywa się pod oczywistością codzienności. Ta jednak oczywista nigdy nie jest, a uchwycenie jej możliwe jest tylko przez przyjęcie postawy radykalnej obcości, antropologicznego *epoché*, czego wywód Millera jest przykładem bodaj najdalej posuniętym. O postawę tę często niezwykle trudno, gdy przedmiotem namysłu jest kultura własna badacza, a wobec tego na przykład postulat Geertzowski gęstego opisanja jawi się wówczas cokolwiek kontradiktorycznie.

Aby tę aporię przezwyciężyć, wyobraźmy sobie, że nie jesteśmy członkami ponowoczesnego społeczeństwa konsumpcyjnego początku XXI w., lecz żyjemy w czasach starożytnych albo nawet biblijnych. To tam składanie ofiar praktykowano tak często i regularnie, że stanowiły nieodłączny element codzienności, niewyodrębniony w szczególny sposób z innych działań. Potwierdzają to zarówno źródła historyczne, podające, że w pewnych okresach starożytnej Grecji całość konsumowanego mięsa pochodziła z rytualnych ubojów, jak i przekazy starotestamentowe, które poświadczają wszechobecność ofiar składanych nie tylko w trakcie każdego rytuału cyklu dorocznego czy rodzinnego, lecz w codziennych sytuacjach zwyczajnych, a nawet – jak zauważa Miller – cokolwiek *ad hoc*⁴⁸. Można mówić tutaj o swoistym „spospolitowaniu” ofiary, jeśli uwzględnić ponadto liczne praktyki magiczne, w których jego składanie praktykowano, a co wymykało się często jakimkolwiek czasowemu, rocznemu czy dobowemu, porządkowi.

Należałoby zatem postawić pytanie: czy w czasach poprzedzających refleksję naukową Tylora i Frazera istniało autonomiczne, wyodrębnione pojęcie ofiary, które nie byłoby synkretycznie zrośnięte z całością praktyk zarówno religijnych, jak i tych niereligijnych? Czy my, jako hipotetyczni mieszkańcy tamtego świata, dysponowalibyśmy taką dawką autorefleksji, że potrafilibyśmy w przytomności umysłu rozróżnić techniczną/mistyczną użyteczność w obrębie takich działań, jak na przykład zasiew pól i poprzedzająca tę czynność całopalna obiata? Jeśli zgo-

⁴⁶ *Ibidem*, s. 149. W języku angielskim słowo *sacrifice* oznacza zarówno ofiarę, poświęcenie, jak i wyrzeczenie. Lecz to nie tylko językowa homonimia sprawia, że status kobiety i „status” ofiary okazują się tak bliskie, ale nade wszystko wzorce i wartości kulturowe (por. np. Bourdieu, *op. cit.*).

⁴⁷ D. Miller *et al.*, *op. cit.*, s. 150.

⁴⁸ *Ibidem*, s. 98.

dzimy się z poglądem, że w przednowoczesnym świecie człowieka nie ma mowy o znanych nam współcześnie postaciach obiektywizacji, które pociągałyby jakiegokolwiek przedmiotowe i pojęciowe ujęcie rzeczywistości⁴⁹, to winniśmy przyjąć, że ofiara jako rytualno-magiczna praktyka byłaby bezprzedmiotowa i bezcelowa, jeśli nie stanowiłaby elementu działań z naszego punktu widzenia tej jakości pozbawionych. Krwawe ofiary ze zwierząt, bezkrwawe z płodów rolnych czy chrześcijańska ofiara chleba i wina nie miały i nie mają sensu jedynie w swej autonomii, jeśli nie towarzyszą im stosowne działania w rodzaju odpowiednio zaplanowanego polowania, obsiania pola, kuracji stosownej do przypadku chorobowego czy codziennego stosunku wobec bliźniego. Im bardziej wstecz przesuwac się będziemy po ścieżce dziejów, tym bardziej ów związek okaże się tyleż nieodzowny co nieodróżnialny, tym bardziej natykać się będziemy na obecność wewnątrznie nierozróżnialnego wszechogarniającego sensu.

Nie oznacza to wszakże, iż od owego synkretycznego sensu jesteśmy dziś uwolnieni, a jedynie możemy mówić o deficycie dystansu poznawczego, niezbędnego do gruntownia dna takiej praktyki kulturowej, jaką są na przykład zakupy, prowadzącego do dostrzeżenia ich uwikłania w taki całościowy sens i w tym przypadku. Ponadto, silnie obecna Baudrillardowska metafizyka użyteczności⁵⁰, tak charakterystyczna dla naszych czasów, skłaniająca nas do widzenia świata raczej w kategoriach potocznie rozumianej techniki, pragmatyki, co najwyżej manipulacji społecznej czy psychologicznej, sprzyja skutecznemu utrzymywaniu nas w obrębie wyrosłych z niej nawyków myślowych, utrudniających zawieszenie oczywistości, które – w istocie – nie mają żadnej innej, jak jedynie kulturową proveniencję. Podobnego dystansu pozbawieni byli dawniejsi wyznawcy składania ofiar, a i współcześni, którzy wierzą na przykład w to, że śmierć chrześcijańskiego Boga jest nieodmiennie sakramentalnie uobecniana w trakcie eucharystii ofiary, lub ci, którzy wierzą, że samobójcza śmierć w obronie religii, na przykład islamu, jest najlepszym gwarantem zbawienia. Dotyczy to zresztą i innych „wiar”: w głupotę blondynek, prawdę słowa drukowanego („przecież w gazecie pisało”), pazerność Żydów, niezbędność eleganckiego wyglądu w pewnych sytuacjach („trza mieć buty na weselu”), wyższość wykształcenia nad jego brakiem, niewidzialną rękę rynku, niezawodność ustaleń nauki, warcholstwo Polaków i/lub ich fantazję itd. Dotyczy to wreszcie i wiary w to, że zakupy należy traktować albo jako czynność niezbędną do zapełnienia nam brzuchów, albo jako bezmyślne nabywanie dóbr stymulowane przez speców od marketingu i reklamy, albo też jedno i drugie. Wydaje się, że nie doceniamy całościowej, synkretycznej struktury świata współczesnego, zbyt pochopnie taksonomizujemy go i auto-nomizujemy jego sztucznie wyodrębnione składowe, a ogólnie – banalizujemy,

⁴⁹ Por. np. A.P. Kowalski, *Symbol w kulturze archaicznej*, Poznań 1999.

⁵⁰ J. Baudrillard, *For a Critique of the Political Economy of the Sign*, przeł. Ch. Levin, New York 1981.

co dotyczy także dyskutowanych zakupów, a następnie tak skonceptualizowaną rzeczywistość uznajemy za ontologiczną oczywistość. Ta jednak zawsze winna być w oglądzie badacza podejrzana, co potwierdzają powyższe ustalenia składające do sformułowania konkluzji, że przez to, co cenowo wymierne – zakupy, realizuje się coś, co uważa się wciąż za bezcenne⁵¹.

⁵¹ Znamienne jest to, że słynny w dobie obecnego kryzysu ekonomicznego *bailout*, kapitałowe wspomaganie przez państwo zagrożonych upadkiem firm czy banków, bywa określany jako „kupowanie zaufania”, a więc czegoś niemierzalnego i bezcennego zrazem; istotny okazuje się tutaj społeczny rys tego działania, „kupowanie” to służy bowiem utrwalaniu nie tyle powiązań ekonomicznych (na przykład poprzez udrożnienie systemu bankowego), ile więzi społecznych – nie w skali rodziny jednak, lecz w skali społeczeństwa.

WŁODZIMIERZ KAROL PESSEL

Uniwersytet Warszawski

Islandia – sprzedana wyspa. Przyczynek do antropologii gospodarczej

Obecny światowy kryzys ekonomiczny ma coś w sobie z wyobrażenia anioła stróża. Niby chodzi za każdym i każdemu towarzyszy w każdej czynności, skłaniając do przezorności, powściągliwości i umiarkowania, ale nikt go dotąd nie zobaczył, nie licząc wybranych, spekulantów bądź światłych ekonomistów, wpatrujących się w tabele z rachubami i aktualnym kursem walut twardych. Fizyczne przestrzenie tego kryzysu także są rozlane, nieostre. Z jednym szczególnym wyjątkiem: zbankrutowała Republika Islandii.

Można na ten upadek, oczywiście, spojrzeć jako na wyjątek potwierdzający regułę. Skrawek ziemi pośrodku Atlantyku, wyspa wielkości jednej trzeciej obszaru Polski, obywateli tylu, ilu stałych mieszkańców Lublina. Może nieco ponad trzysta tysięcy. Obowiązuje efemeryczna jednostka monetarna, islandzka korona, korona islandzka (ISK). Islandzki kryzys finansowy niemożliwy więc do spostrzeżenia! Zdarzyło mi się przekonywać polskich urzędników pocztowych co do tego, że niepozorna Islandia leży jeszcze w Europie i za przesyłkę nie muszę płacić wedle stawki międzykontynentalnej. Z innej jednak perspektywy bankructwo Islandii poważnie zasiłowało irracjonalność doświadczenia kryzysu. On się zbliża, jest już na kresach. Najpierw swoje szpony wbił w słabe miejsca Europy, krainę w pełni suwerenną od zakończenia drugiej wojny światowej, w kolebkę kultury nordyckiej, będącej drugim, oprócz kultury śródziemnomorskiej, fundamentem europejskiej cywilizacji.

I pomyśleć, że peryferyjne islandzkie korony całkiem do niedawna były najzupełniej bezpieczne. Republice Islandii pierwszy w historii napad na bank przydarzył się w 1995 r., ledwie półtora dekady temu. Czemu właściwie Islandia zbankrutowała, z medialnych doniesień, newsów i miczałków nie sposób było się dowiedzieć gruntownie. Spróbujmy więc niedostatek informacji teraz nadrobić. Nie będzie to rekonstrukcja hermetyczna, wyłącznie „islandologiczna”. Ma ona walor uniwersalny, gdyż „małą historię” bankructwa małej Islandii można odczytać i ku przestrodze (Polakom czy Europie), i jako znakomite potwierdzenie generalnych założeń badaczy, takich jak Maurice Bloch, Jonathan Parry czy Mar-

shall D. Sallins¹. Nie byłoby antropologii gospodarczej bez prostego przekonania, że do zmiany ilościowej potrzeba zmiany jakościowej; progresje lub regresy ekonomiczne odbywają się zawsze na tle rewaluacji, wymiany kategorii społecznych i poznawczych w szeroko pojętej sferze kultury.

Kapitalizm islandzki jest młody. Tak jak nasz polski. A z artykułu Jarosława Kuisza w „ResPublice Nowej” dowiedziałem się, że odtąd to kasus islandzkiego kryzysu, zamiast rebarbaryzacji Europy w XX w., zamiast Auschwitz i „niedopełnionego” oświecenia, ma stanowić dziejowy punkt odniesienia dla decydentów². Tym bardziej trzeba sprawdzić, w jaki sposób Islandia zawiniła. Do tego stopnia, że w kilku krajach dowcipnisie wystawili ją na aukcjach internetowych: „Islandię za jedną koronę sprzedam”. Przypomina to przehandlowywanie Kolumny Zygmunta na targu Kercelak w przedwojennej Warszawie. Dotychczasowa *prosperity* małej Islandii opierała się na rozwiniętym systemie bankowym. Jak łatwo się domyślić, rozwinięty ponad stan system bankowy pod ciężarem międzynarodowego kryzysu finansowego załamał się potężnie i boleśnie.

Winnego takiego obrotu spraw sami Islandczycy nieomal wskazali ostensywnie. David Oddson, bo o nim mowa, do niedawna zajmował stanowisko szefa islandzkiego banku centralnego (2005–2009). W latach 90. minionego stulecia, gdy urósł dostatek wyspiarzy, piastował urząd premiera (ściślej, od 1991 do 2004 r.). David Oddson przeprowadził wtedy wiele reform wolnorynkowych, wśród których podstawą był szeroko zakrojony program własnościowy. Doprowadził, między innymi, do prywatyzacji islandzkich banków. Zamierzył to jako wstęp do sprywatyzowania wszystkiego, co by się w małym państwie nadawało do przekazania w rękę prywatnych przedsiębiorców. Sektor finansowy na Islandii prędko wybuchał do tego stopnia, że usunął w cień resztę gospodarki, a następnie rozpoczął ekspansję „na południe”, inicjując współpracę międzynarodową. Można by tu mówić o historycznej ironii. Państewko, którego powstanie było rezultatem ucieczki grupy wikingów z kontynentu i mozolnej kolonizacji ziemi pokrytej lodowcami i wulkanami, po tysiącu latach dzielnie zaczęło podbijać finansowo stary kontynent, a nawet Amerykę³. Notabene, jedną z polskich sieci telefonii komórkowej (Play) zarządza firma kontrolowaną przez spółkę, której głównym udziałowcem jest Björgólfur Thor Björgólfsson, bodaj najbogatszy spośród zamożnych Islandczyków.

Brytyjczycy, starzy konkurenci na morzu, z którymi Islandia toczyła zacięte boje ekonomiczno-dyplomatyczne i potyczki na łowiskach, zwane wojnami dorszowymi (*cod wars*), zaczęli chętnie lokować swoje oszczędności w banku inter-

¹ Zob. *Badanie kultury. Elementy teorii antropologicznej*, red. M. Kempny, E. Nowicka, cz. IV: *Kulturowe wyznaczniki gospodarek ludzkich*, Warszawa 2003.

² Zob. J. Kuisz, *Islandia, nie Auschwitz*, „ResPublica Nowa” 2008, nr 4.

³ Por. G. Szelałowska, *Od kolonii do państwa niepodległego. Islandia od XIII do XX wieku*, [w:] *Islandia. Wprowadzenie do wiedzy o społeczeństwie i kulturze*, red. R. Chymkowski, W.K. Pessel, Warszawa 2009.

netowym Icesave. „Lodowy sejf”, kojarzący się ze skuteczną konserwacją środków pieniężnych, musiał brzmieć i oryginalnie, i obiecująco. Zamiast skarpety, banknoty „zasejfowane”, „zamrożone” w bryle islandzkiego lodu. Landesbanki, czołowy bank Islandczyków, otworzył przeto swoje filie w Wielkiej Brytanii. W 2008 r. aktywa wyspiarskich banków okazały się aż dziewięć razy większe od islandzkiego PKB, utrzymującego się, w przeliczeniu na walutę europejską, na poziomie czternastu miliardów euro. Na nieszczęście Islandczyków wiele długów okazało się toksycznych, co naraziło ich na wyjątkowo dotkliwie odczuwanie skutków światowego systemu kredytowego. Pomijając już to, że parę głównych banków w Republice Islandii ma zobowiązania przewyższające dochody kraju, trzeba zauważyć, że banki z peryferyjnej wyspy ochoczo inwestowały w amerykańskie papiery podwiązane do rynku kredytów hipotecznych, ostatnio w niezbyt dobrym stanie. Jeśli więc rzeczywiście istnieje system-świat, o którym piszą publicyści związani z nową lewicą, mamy tutaj niezły dowód na jego istnienie. Sprzeczności kapitalizmu ekspandują. Skłonność bankierów z metropolii Stanów Zjednoczonych do zmyślnej księgowości odbiła się na oszczędnościach hodowcy kuców islandzkich z bezludzia spod koła podbiegunowego. Doprawdy, niejeden Islandczyk w bieżący rok kalendarzowy wszedł z pustym rachunkiem oszczędnościowym, dosłownie pozbawiony oszczędności życia bądź, gorzej, z niespłacalnymi długami. Wyspiarze nie dostrzegli, że spożytkowywanie wolności pomnożonej przez pieniądź pozbawia zapasu wolności.

Ścieżka do dostatku wyznaczona przez Oddsona okazała się drogą wprost na złamanie karku. To szef banku centralnego nauczył Islandczyków brać kredyty, polecał wyspiarską chciwość, nakręcił sprężynę zadłużenia. Banki na przełomie stuleci wręcz wmawiały obywatelom atrakcyjne pożyczki, zasugerowały im, że finansowy raj nie będzie mieć końca. W efekcie Islandczycy dorobili się zadłużenia niezmiernie wysokiego. Ponad dwieście procent dochodu rozporządzalnego – to więcej niż u solidnie zadłużonych Amerykanów czy Brytyjczyków. W Islandii nie brakowało takich śmiazków, którzy brali olbrzymie kredyty po to tylko, by sfinansować, na przykład, grę na giełdzie. Ażeby przyciągnąć depozyty z innych krajów, wszak depozytów chciano mieć jeszcze więcej w porównaniu do tak skwapliwie udzielonych kredytów, podniesiono jakiś czas temu stopy procentowe. Atrakcyjne oprocentowanie w bankach miało zatem schłodzić rozgrzaną islandzką gospodarkę. Co za kulturowy oksymoron! Chłodziło do czasu. Po tym, jak problemy finansowe wystąpiły w USA, zagraniczni klienci islandzkich banków przestali ufać, że stopa zwrotu z ich depozytów będzie wysoka. Na wieść o kryzysie postanowili naraz wycofać pieniądze.

Tak oto Brytyjczycy zadali cios islandzkim „kapitalikom”. Jesienią 2008 r. premier Gordon Brown nakazał zamrozić aktywa oddziałów Landesbanki na terenie Wielkiej Brytanii. Co więcej, publicznie oświadczył, że rząd w Londynie nie zawaha się przed podjęciem ostrych działań wobec innych islandzkich firm w celu odzyskania pieniędzy zdeponowanych przez Brytyjczyków w „lodowym

sejfie”. Brown nie żartował, skoro jednocześnie podległy mu minister finansów Alistair Darling zajął się pilnie islandzką grupą finansową Kaupthing Singer and Friedlander, to znaczy – przejął spółkę zależną działającą na angielskim rynku finansowym i wyznaczył jej arbitralnie na administratora globalną korporację ubezpieczeniowo-bankową Ing. Pikanterii temu dodawał fakt, że premier Brown wykorzystał ustawę specjalną, w istocie służącą odcinaniu od zasobów ekonomicznych terrorystów. Islandia, która zuchwałe napady na banki zna z filmów amerykańskich, drobną zaś przestępczość poznała dzięki fali migracji zarobkowej z Polski, okazała się nagle groźna, niebezpieczna siłą własnych pieniędzy.

Dla kontrastu zauważmy, że ostatnio przetłumaczone na polski powieści autorów islandzkich są kryminałami (Yrsy Sigurðardóttir *Weź moją duszę, W proch się obrócisz, Trzeci znak*, Arniego Thorarinssona *Sztuka grzechu*, Arnaldura Indriðasona *W bagnie*). Yrsa Sigurðardóttir przyznała na spotkaniu z czytelnikami w warszawskiej kluboksięgarni Traffic na wiosnę 2008 r., że pisze powieści kryminalne, bo na Islandii, zgola nudnej od publicznego bezpieczeństwa, wyobrażane przez nią wyszukane przestępstwa nigdy nie zaistniały. Nedorzecznnością byłoby spodziewanie się, że nastąpią w najbliższej przyszłości. W zakładzie karnym w Reykjavíku przebywa siedmiu czy ośmiu więźniów.

John Gray przewrotnie poucza, że wytężona praca zarobkowa to kuriozalny wymysł nowoczesności, niezdolność presja cywilizacyjna, krzywda zadana społeczeństwom przez społeczeństwa złożone z ludzi niezdających sobie sprawy z nieprawości natury ludzkiej. Gray radzi, by brać przykład z uczestników kultur antycznych i plemiennych, więc pracować dokładnie tyle, ile potrzeba do wytworzenia środków utrzymania, minimalnie, bez ciułania i przesadnej akumulacji kapitałów⁴. Islandczycy mogliby sobie na to pozwolić, wszakże smakowanych przez nich łupaczy w Atlantyku nie brakuje, wód geotermalnych do ogrzania ekumeny także jest pod dostatkiem. Ale zmierzam tu do czegoś innego. Do tego mianowicie, że islandzkie bankructwo uwyrażnia się najlepiej na tle – przez porównanie do „zstępującego” – właśnie minionego stanu rzeczy. Islandia uchodziła bowiem za eldorado. Aczkolwiek zdarzały się tam w drugiej połowie XX w. zwykłe plajty firm, inflacja za lata 1975–1984 wyniosła blisko pięćdziesiąt procent.

Ale gdyby skandynawska wyspa szczęśliwa nie była, nasi rodacy nie pofatygowaliby się tam do pracy hurmem. Uściślając, najpierw były to nasze rodaczki. Islandczycy uważają pracę w przetwórnicy ryb za robotę głównie dla płci subtelniejszej, jak niegdyś przedzenie wełny i szydełkowanie podczas długich, ciemnych zimowych wieczorów czy w oczekiwaniu na powrót mężczyzny z połowu na wzburzonym oceanie. Polki więc wyjmowały ości i skrobały ryby, owoc pracy islandzkich mężczyzn, do czysta. Sytuacja zmieniła się po wejściu Polski do Unii Europejskiej. Wtedy Islandia przestała wymagać od Polaków-Europejczyków ze-

⁴ J. Gray, *Słomiane psy. Myśli o ludziach i innych zwierzętach*, przeł. C. Cieśliński, Warszawa 2003, s. 172–173.

zwoleń na legalną pracę, a wskaźnik bezrobocia w północnym kraju nie przekraczał jednego procenta. Przybysze z Polski raptem pojawili się na budowach, w hotelach, domach starców, warsztatach. Dziś Islandczycy szacują, że na wyspie przebywa legalnie grubo ponad dziesięć tysięcy Polaków. Nie rychtują się do masowych powrotów. Nie jest wcale medialną dykteryjką, że Polacy stanowią największą mniejszość w Republice Islandii⁵.

Wyobrażeniu o wyspie na dalekiej Północy jako przeoczzonej cudownej skarbonce poddała się nawet raz telewizja TVN. W dzienniku „Fakty”, i to wyemitowanym podczas świąt Bożego Narodzenia w 2007 r., z ust znanego reportera padło sformułowanie, że na prostym skrobaniu ryb można na Islandii zarobić do pięćdziesięciu tysięcy złotych miesięcznie. Potencjalnych chętnych w święta wielu siedziało przed telewizorami, a niektórzy spakowali wnet walizki. Do sprostowania hiperbolicznego przekłamania przyczyniał się piszący te słowa, namawiając tygodnik „Newsweek” na słowo napisane przeciwko słowu z ekranu. Reporter nie odliczył wysokiego, typowo skandynawskiego podatku, ani nie napomknął o horrendalnie wysokich kosztach utrzymania na wyspie (w Reykjavíku zjemy hamburgera trzy razy droższego niż w Warszawie). Jednak do dziennikarza TVN niepodobna żywić urazy. Wpisał się w logikę obecną, na przykład, w groszowym *Poradniku ksenofoba*. Przeczytamy tam:

W przeciwieństwie do wszystkich innych dworców lotniczych na Keflavíku [jedynym międzynarodowym lotnisku na wyspie – dop. W.K.P.] można kupować towary bez cła zarówno przy przyjeździe, jak i wyjeździe. Islandczycy czekają na wasze pieniądze!⁶

Ten sam instruktaż dla przezornych podróżnych zauważa, że wypiarze kierują się niepojętym imperatywem nadążania za modą. Nie liczą się z kosztami. „Żyją w klimacie, który w najlepszym razie można określić jako pożałowania godny. Ale zła pogoda nie przeszkadza im w noszeniu najmodniejszych ubrań. Jeżeli hitem sezonu są sandały bez palców, to Islandczyk będzie je nosił, nawet brodząc w śniegu po kolana”⁷. Jakby chciał całkiem pogrążyć się w kompensacji: tutaj, na samym środku Atlantyku, „my” mamy „też” ciuchy, komórki, samochody. Przy kasie skandynawscy konsumenci jakby są zupełnie innymi ludźmi od tych Islandczyków, którzy z własnej woli po pracy śpiewają w chórach, cytują z pamięci sagi spisane w XII w. bądź odwołują budowę jakiejś asfaltowej drogi, by poprosić elfy mieszkające pod pobliskim kamieniem o pozwolenie na inwestycję. Pieniądze! Żadnego codziennego realizmu magicznego!

Niemniej jednak w stereotypie islandzkiego sukcesu tkwi prawda. W 1991 r. PKB w przeliczeniu na głowę mieszkańca i solidną walutę wynosiło w Repub-

⁵ Por. A. Wojtyńska, *Islandia i Islandczycy oczami polskich imigrantów*, [w:] *Islandia. Wprowadzenie...*

⁶ Zob. R. Sale, *Poradnik ksenofoba. Islandczycy*, przeł. P. Łuków, M. Derlacz-Popławska, Warszawa 2002, s. 55.

⁷ *Ibidem*, s. 21.

lice Islandii ponad 22 tys. dolarów amerykańskich, czyli tyle samo co PKB *per capita* w Stanach Zjednoczonych. W 1994 r. islandzki dług publiczny szacowano na poziomie 58% PKB – to wynik lepszy od rezultatu gospodarki amerykańskiej. W tym samym czasie, na początku lat 90., badania Gallupa udowodniły, że respondenci z Islandii są jednymi z najszcześniejszych, najbardziej zadowolonych ze swojego życia mieszkańców Europy. Na dodatek, islandzka populacja ma bardzo niski wskaźnik umieralności. Opowiadanie Huberta Klimko-Dobrzanieckiego dotyczy zagadnienia pracy w domu starców, nie tylko dlatego, że jest to zajęcie społecznie skojarzone z migracją zarobkową, ale nade wszystko dlatego, że w Islandii żyje relatywnie dużo seniorów, którymi członkowie rodziny pochłonięci spłacaniem zadłużeń bankowych zajmują się niechętnie⁸. Natrafiamy w tym punkcie, jeśli wolno użyć modnego języka socjologicznego opisu, na „wyparty eksces”: to długowieczne dziś społeczeństwo w perspektywie „długiego trwania” zmagало się raczej z poważnymi czynnikami spowalniającymi reprodukcję. W połowie XIX stulecia niewiele ponad połowę dzieci przechodziło próg czter-nastego roku życia. Średnia długość życia mężczyzn tuż przed początkiem XX w. oscylowała na poziomie czterdziestu kilku lat (kobiet – pięćdziesięciu kilku).

We współczesnym islandzkim dramacie *Óhapp!*, drukowanym ostatnio na łamach „Dialogu”, głównym rekwizytem staje się karta kredytowa. Pani zabija pana, gdy mąż oddaje jej wreszcie przedmiot braku, przedmiot pożądania – kartę kredytową. W pierwszej zaś scenie Johanna dopytuje męża o załatwienie sprawy w banku, tak jak gdyby egzekwowała przyniesienie ciasteczek z piekarni: „A co z bankiem? Przecież jutro miałeś załatwić pożyczkę...”⁹. Co ciekawe, Hall-dor, bohater sztuki Bjarniego Jónssona, wydobywa plastikowy pieniądz z bryły lodu ukrytej w domowej zamrażarce. Lód, pomijając jego funkcję w pocztówkowym reprezentowaniu Islandii, jest w mitologii nordyckiej materią pierwotnego chaosu. Z lodowego bloku krowa Audumla wylizała Buriego, praojca bogów. Bjarni nie tworzy w ten sposób symbolicznego uproszczenia ani niedyskretnej aluzji do komercjalizacji stylu życia. Na Islandii karta kredytowa zastąpiła dowód osobisty. Noszę przy sobie plastikowy pieniądz, *ergo* istnieję. Sam podczas podróży po Islandii nie posiadałem się ze zdziwienia, gdy policjant zatrzymujący obcokrajowca, kierującego samochodem, którym jechałem, za przekroczenie prędkości w drugim słowie po „Góðan dag” (dzień dobry) poprosił bez pardonu o Vişę. Obyło się bez okazywania paszportu i ustalania personaliów. Króna jako bilet islandzkiego banku narodowego uległa wirtualizacji¹⁰. Podczas dokonywania płatności za jedną filiżankę kawy na stacji benzynowej w odległym interiorze prędzej poproszą nas o kartę kredytową niż islandzkie banknoty i monety. Znow zacytuję instruktywny *Poradnik ksenofoba*:

⁸ Zob. H. Klimko-Dobrzaniecki, *Krýsuvík. Dom Róży*, Wołowiec 2006, s. 8.

⁹ B. Jónsson, *Wypadek*, przeł. H. Klimko-Dobrzaniecki, „Dialog” 2009, nr 4.

¹⁰ Zob. W.K. Pessel, *Kraina uchronii*, „Dialog” 2009, nr 4.

Styl dużo kosztuje. Jest jednak rzeczą w życiu Islandczyka podstawową. Żyje on więc z kart kredytowych i za pożyczone pieniądze. Zaraz po samochodzie i elektronice najbliższa sercu Islandczyka jest jego wiarygodność kredytowa. Karty kredytowe przyjmuje się we wszystkich hotelach i sklepach, a nawet w najmniejszych kioskach. Dochodzi do tego, że jeśli chcecie zapłacić gotówką za pastę do zębów, sprzedawca uzna, że nie macie żadnych możliwości kredytowych, i wskaże was innym sprzedawcom w obawie, że macie zamiar coś gwizdnąć¹¹.

Jeszcze gdy w 2003 r. wycofywano z użycia aurary, drobne monety, mogli zasobni Islandczycy sądzić, że na tak drobne naprawdę ich nie stać. Jeszcze z opowiadania Huberta Klimko-Dobrzanieckiego *Dom Róży* z 2006 r., skądinąd niezmiernie złośliwego wobec manier i obyczajów autochtonów, wyłania się obraz islandzkiej beztroski, satysfakcji z izolacji i autarkii, obraz społecznego samozadowolenia. Gazety cierpią brak rewelacji: „bo ostatnio tylko wypisują, że śledzie odpłynęły do Norwegii. Cholerne, zbuntowane śledzie, jak one tak mogły, przecież u nas jest najlepiej na świecie, przynajmniej premier ciągle to powtarza w radio i telewizji”¹². A dzisiaj? Nie w kaprysach śledzi największy problem. Zamiast nadwyżek budżetowych, jak w początkach XXI w. (5% w 2006 i 2007 r.), Islandczycy spodziewają się wielkiego deficytu, około 12%, i wzrostu długu publicznego aż do 109% PKB¹³. W 2008 r. korona islandzka zmarginalizowała się, jej wartość spadła niepomniernie. Jesienią 2006 r. za 1 euro wypłacano około 90 koron, w 2008 r. – 200 i niekiedy więcej (na wiosnę 2009 r. około 170 koron za 1 euro). Handel w koronach zamrożono. W efekcie w bankach zabrakło twardych walut, czyli tych, w których Polacy zabierają lub przekazują do kraju swoje islandzkie dochody. Wyspa błyskawicznie utraciła potencjał inwestycyjny. Nastąpił drastyczny spadek zarobków, o jedną czwartą w stosunku do stawek z ostatnich lat. Pociągnął za sobą spadek popytu, chociaż jednocześnie ceny żywności wzrosły nawet o jedną trzecią. Specjaliści prognozują, że bezrobocie może sięgnąć 10% (w 2009 r.). Ostatni „news” z Islandii, na jaki natrafiłem, ostatnia nowina z „poligonu kryzysowego” (radio RMF, 8 maja 2009 r.) dotyczy sprawy buntu kilkunastu polskich rybaków. Nie chcieli zejść z kutra, ponieważ właściciel jednostki ogłosił upadłość, przedtem nie wypłaciwszy im zaległych pensji.

Aby ocalić kraj od doszczętnego upadku, rząd islandzki pod koniec 2008 r. wynegocjował z Międzynarodowym Funduszem Walutowym specjalny pakiet pomocowy w wysokości dziesięciu miliardów dolarów. Przedtem ciesząc się ze swojej niezależności i wyobcowania z dyskursów europejskich wyspa żyje teraz na kredyt światowy, na mocy kulturowego upokorzenia. Dla obserwatorów z zewnątrz pożyczka ratunkowa z Funduszu znaczy cichą nacjonalizację. Rządowy nadzór finansowy natychmiast przecież przejął pieczę nad trzema najwięk-

¹¹ Zob. R. Sale, *op. cit.*, s. 23.

¹² H. Klimko-Dobrzaniecki, *op. cit.*, s. 87.

¹³ Szczegółowe dane, a także regularnie aktualizowane informacje i prognozy dotyczące stanu islandzkiej gospodarki zob. <http://www.iceland.org/info>, przygotowane przez rząd republiki.

szymi islandzkimi grupami bankowymi (Landesbanki, Kaupthing, Glitnir). Toteż wkroczył w dziedzinę, za którą uprzednio odpowiadała awangarda przedsiębiorczości. Natomiast islandzka opinia publiczna wietrzy w tym prędkiej ukradkową integrację z Unią Europejską. Będący u władzy socjałowie i zieloni, po wyborach pod koniec kwietnia 2008 r., przekonują wszakże, że innego ratunku dla wyspy poza wspólnymi strukturami europejskimi nie ma.

Ileokroć egzegezy Zygmunta Baumanu na temat tzw. późnej fazy nowoczesności są przykładane do polskich realności, tyle razy zastanawiam się, czy teorie Baumanowskie w ogóle kultury polskiej dotyczą. W przypadku islandzkim jest jednakże inaczej, Islandia ze swoim młodym kapitalizmem wydaje się swoistym laboratorium społecznej krytyki długu frywolnego. Po pierwsze, mamy tu do czynienia rzeczywiście z kryzysem, a nie jedynie depresją. Podług Baumanu depresja jest to coś, co jeszcze mieści się w ramach zwykłego myślenia i zwykłych praktyk finansowych, zatem nie prowadzi do wykołowania pociągu gospodarki. Ten pociąg raz przyspiesza, innym razem na gwałt hamuje, ale ciągle trzyma się na torach. Tymczasem w kryzysie ludzie stają się bezradni, z dnia na dzień tracą fortuny i jasną wizję przyszłości. Kryzys „wykołaja”, oznacza przebranie się miarki. A to spotkało jesienią wyspiarzy z Północy. Islandzki rząd upadł. Kryzys finansów zdobył dla siebie bardzo konkretną ofiarę. Po drugie, kazu Islandii pokazuje dowodnie, czym może skończyć się wypuszczenie neoliberalnego „dżina z butelki”. Tak Zygmunt Bauman określa politykę deregulacji.

Kiedyś banki musiały odkładać do sejfu sumę, która wystarczałaby na pokrycie pożyczek, których udzielały. Bariery, zakazy, zabezpieczenia były rozliczne, a wszystkie kępowały swobodę banków w poszukiwaniach i produkowaniu nowych ziem dziewiczych [...] ¹⁴.

Tę ziemię dziewiczą dojrzano w kredycie. Baumanowskie „niechaj każdy będzie dłużnikiem” David Odsson, szef islandzkiego skarbu, mógłby zrazu uczynić dewizą własną. Sposobem akumulacji kapitału w młodym islandzkim kapitalizmie uczyniono pożyczkę, nie zaś odkładanie na później. Na rzucające się w oczy hummery krążące po Reykjavíku i ich właściciele nie wydobyli gotówki ze skarpety czy z sekretnych zaskórniaków. Są jako żywo oznakami „poprawnych” zdolności kredytowych (dla porównania – w Polsce podstawowy model H2 kosztuje nieco ponad trzysta tysięcy złotych).

Wreszcie, po trzecie, potwierdza się w przypadku Islandii wysuwana przez Baumanu teza o zbiorowym doświadczeniu kryzysu kredytowego jako poznawczego dysonansu. Bauman zauważa, że w takich razach wzrasta prawdopodobieństwo reakcji irracjonalnych, gorączkowych, desperackich. W samej rzeczy charakterystyczne tupanie nogą przez prezydenta Ólafura Ragnarsa

¹⁴ *Koniec orgii*, rozmowa Tomasza Kwaśniewskiego z Zygmuntem Baumanem, „Gazeta Wyborcza” 10.02.2009. Por. *O pożądanym. Rozkosze życia nowoczesnego*, rozmowa Jarosława Małkowskiego z Zygmuntem Baumanem, [w:] *Dziesięć ważnych słów. Rozmowy o Dekalogu*, Kraków 2002, s. 155–156.

na na forum międzynarodowym, straszenie świata zachodniego nawiązaniem współpracy z Moskwą czy śmiałe dyskutowanie z Międzynarodowym Funduszem Walutowym na temat warunków „pakietu ratunkowego” zakrawało na reakcję spowodowaną niemałym poznawczym dysonansem. Probierzem klimatu opinii islandzkiej niech będzie też to, że na przełomie 2008 i 2009 r. Polacy przebywający na wyspie w korespondencji wysyłanej do kraju zapytywali nader histerycznie, czy i Polska zamierza odwrócić się od biedniejących z dnia na dzień Islandczyków. Wywiązanie się pośród nich dyskursu europejskiego, unijnego było już dostatecznym upokorzeniem. W takim kontekście do rozpatrzenia jest buńczuczna islandzka koncepcja połowicznej integracji: wejście do strefy euro – tak, wstąpienie do Unii Europejskiej – nie!¹⁵

Przez Islandię przetoczyła się „rewolucja rondli”. Tak nazwana, gdyż wypiarze swoją elitę władzy „wyklaskali”, używając kuchennych naczyń. Nastąpiła szczególna wymiana znaków statusowych, „rzeczy domu”. Już nie Visa, lecz garnki reprezentują „rzeczy Islandczyków”. Podczas demonstracji zdesperowani wypiarze użyli także przeciwko premierowi i innym przedstawicielom swojego rządu jajek. Policja interweniowała z użyciem gazu łzawiącego. Trzeba wyjaśnić, że w Republice Islandii ostatni raz w ten sposób rozpędzono demonstrację uliczną dokładnie przed półwieczem. W roku 1949 był to, oczywiście, protest przeciwko ustanowieniu bazy wojsk NATO w Keflaviku. Mało tego, nie licząc rebelii ekologicznych, wyrażania sprzeciwu wobec industrializowania wyspy i wznoszenia kolejnych hut aluminium, radykalne protesty były dotychczas na wyspie równie mało prawdopodobne co doświadczenie w centrum Reykjavíku prawdziwego tłumu. Za spowodowane przez kryzys *novum* winniśmy także poczytać wyniki sondażu z jesieni 2008 r. Blisko połowa respondentów w wieku od 18 do 24 lat przyznała się do tego, że myśli o emigracji z powodu kryzysu ekonomicznego. Oznaczałoby to dla Islandii bolesny uszczerbek w „stanie posiadania”, odliczenie od trzystu tysięcy obywateli około piętnastu tysięcy emigrantów. W tak małej, nieustannie zagrożonej pod względem demograficznym populacji dzieci należały do „wszystkich” – do społeczeństwa. Podczas klęsk żywiołowych Islandczycy dlatego przedsięwzięli najpierw zabezpieczenie manuskryptów ze „starożytnościami nordyckimi”, jedynych zabytków na wyspie, i dzieci!¹⁶

Nie bez powodu najbardziej cenionym przez Islandczyków dziełem w dorobku noblisty Haldora Laxnessa, rodzajem narodowej epopei, jest powieść *Niezależni*. Oto kryzys finansów obnażył podstawowy element islandzkiego habitusu – niezależność. Jesienią 2008 r. islandzki bank centralny wydał zaskakujący komunikat o otrzymaniu od Rosji kredytu w wysokości niebagatelnej, czterech miliardów euro. Przez udzielenie kredytu z terminem spłaty odwleczonym na

¹⁵ Por. A. Pietrzkiewicz, *Islandia i Unia Europejska*, [w:] *Male państwa Europy Zachodniej i terytoria o statusie specjalnym*, red. R. Żelichowski, Warszawa 2008, s. 115–116.

¹⁶ Zob. S. Dúna Kristmundsdóttir, *Public view and private voices*, [w:] *The Anthropology of Iceland*, red. P. Durrenberger, G. Pálsson, Iowa 1999, s. 108.

za kilka lat rząd Putina miałyby bohatercko wesprzeć istotnie osłabioną koronę islandzką i pomóc ustabilizować wyspiarski sektor bankowy, osamotniony i lekceważony przez Zachód. Rosyjskie ministerstwo finansów, co prawda, z miejsca zdementowało taką informację i oświadczyło, że Republika Islandii ani nie dostała kredytu, ani o kredyt nie wystąpiła, ani także nie prowadzono żadnych negocjacji, to jednak islandzki blef był symbolicznie wydajny. Zimnowojenna baza wojsk amerykańskich na Islandii została zlikwidowana ostatecznie dopiero w 2006 r. Istniała od lat 40. To stamtąd dowództwo Paktu Północnoamerykańskiego śledziło ruchy wojsk radzieckich, monitorowało manewry lotnicze i morskie. W najgorszym razie, za cenę utrzymania swojej izolacji kraj z trzystoma tysiącami mieszkańców gotów niejako wymienić patronów, Amerykanów, na Rosjan. Reykjavík obiegała plotka o tym, że jesienne pogłębianie basenu portowego stanowiło element przygotowania do zacumowania ciężkich rosyjskich okrętów.

Taką możliwość konsekwentnie, choć dość ostentacyjnie i teatralnie, uprawdopodobnił prezydent Grímsson, gdy podczas spotkania z ambasadorami w Reykjavíku wpadł w gniew i jął stronników z NATO oraz Szwedów obrażać. Jeśli wierzyć lewicowemu norweskiemu dziennikowi „Klassekampen” (*klassekampen* – walka klasowa), prezydent Ólafur Ragnar Grímsson w wyjątkowo ostrych słowach skrytykował państwa zachodnie za bierność wobec nieszczęścia Islandii. „Północny Atlantyk jest istotny dla północy, USA i Wielkiej Brytanii. Doprawdy kraje te wydają się o tym zapominać. W takim razie Islandia powinna poszukać sobie nowych przyjaciół” – stwierdził prezydent¹⁷. Następnie miał zapowiedzieć oddanie Rosjanom w dzierżawę opuszczonej bazy pod miasteczkiem Keflavík. Na jej terenie znajduje się wygodne lotnisko wojskowe zbudowane przez amerykańskich żołnierzy. Jednakże dla antropologów i kulturoznawców w takim „treningu logik absurdalnych”, jak o teraźniejszych lokalizacjach nieznanego w wyobrażeniach społecznych powiada Roch Sulima, nie ma zaskoczenia¹⁸. Generowanie współczesnych legend-straszków, choćby miejskiej legendy o moskiewskich pieniądzach w Reykjavíku, to dobre narzędzie pragmatycznego oddziaływania na opinię, podobnie jak rytualne docinanie i prowokowanie obrazy. Współczesne, potoczne islandzkie „gadanie” uczy, że po Amerykanach miejscowym zostały jedynie wszy w Keflavíku. Tymczasem w Islandii tradycyjnej nie dość, że wszy były powszechne, to w dodatku uznawano je za immanentnie przynależne ludzkiemu ciału, rodzaj jego normalnego wytworu. Dotykamy tu kolejnego wyparte-go ekscesu kultury islandzkiej.

Na stronie warto dodać, że na polskie władze politycy z Islandii akurat nie mieli sposobności się obrazić. Ponieważ Polska zaoferowała Islandii kredyt w wysokości dwustu milionów dolarów, a obietnicy dotrzymała, islandzki mini-

¹⁷ A. Skjeseth, *Inviterer Russland*, „Klassekampen” 12.11.2008. Por. M. Kuźmicz, *Prezydent Islandii obraził się na Zachód*, „Gazeta Wyborcza” 13.11.2008.

¹⁸ Por. *Kuchenne metafizyki*, Kasia Kalinowska rozmawia z Rochem Sulimą, „Wyspa” 2009, nr 1.

ster spraw zagranicznych w Strasburgu na szczycie NATO (na początku kwietnia 2009 r.) wylewnie dziękował prezydentowi Lechowi Kaczyńskiemu. Wedle informacji Konsulatu Generalnego RP w Reykjavíku Össur Skarphéðinsson miał wtedy powiedzieć: „Jest to ogromnie ważne szczególnie w czasach, kiedy ci, których uważaliśmy za bardzo bliskich towarzyszy, nawet nie ruszyli palcem”¹⁹.

Manifestowanie wyspiarskiej niezależności wszakże jeszcze nie wyczerpuje powodu, dla którego społeczeństwo islandzkie na swoją niewypłacalność zareagowało tak nerwowo i pompatycznie zarazem. Należy, po drugie, wskazać na groźbę powrotu do chłopskiej kultury biedy. Co byłoby dla Islandczyków jednoznaczne ze skrajnym upokorzeniem, jawnym regresem cywilizacyjnym, głównie odczuwanym przez zniesienie możliwości uposażania się w modne, drogie bądź ekskluzywne nowinki techniczne. Kryzys bankowy rozdrapał islandzkie kompleksy w dziedzinie kultury materialnej, wyłączył mechanizm kompensacji, który zdążył udatnie włączyć się w rutynę codziennych zachowań. Wyspiarze przywykli w drugiej połowie drugiej połowy XX w., że *per capita* przodują w wielu sferach. W 1990 r., na przykład, zgromadzili rekordową liczbę magnetowidów, rzecz jasna, w przeliczeniu na głowę mieszkańca. Ale kultura islandzka przez wieki była definitywnie kulturą ubóstwa. Michael Oakeshott mógłby napisać, że Islandia w sposób niepowtarzalny przechowywała ducha konserwatywnego. Działo się tak jednak nie ze względu na szczególne konserwatywne usposobienie wyspiarzy, wrodzoną wśród islandzkich chłopów niechęć do zmiany, jaka, podług Oakeshotta, znaczy zawsze traumę określonej straty, lecz w rezultacie wielowiekowego odcięcia, odizolowania od procesów zmiany zachodzących na kontynentach. Ale odkąd wyspiarze zasmakowali w innowacjach, wykazują miłość do mody, zatem tego, co konserwatywny myśliciel nazywa „beźmyślnym zachwytem zmianą dla niej samej, niezależnie od tego, co przynosi”²⁰.

Czy to Rawls, czy Marks, schemat rozwoju cywilizacji zachodniej jest w zasadzie jednakowy. Najpierw odkrycia geograficzne i kolonizacja, potem uprzemysłowienie i utowarowienie, na koniec – odpowiednio – rewolucja bądź zatrzymanie się dziejów na kapitalizmie. Natomiast historia Islandii ma zupełnie inny porządek. Najpierw wczesnośredniowieczny „złoty wiek”. Wikińska kolonizacja wyspy, konkretyzowana jako zajmowanie ziemi, ustanowienie demokracji wiecowej, pielęgnowanie kultury oralnej, a po chrystianizacji – pieczołowite spisywanie sag. Potem wojna domowa, utrata politycznej niezależności, najpierw na rzecz Norwegii, a po zawiązaniu Unii Kalmarskiej – Królestwa Danii, przemiana dawnych wikingów w skromnie żyjących chłopów walczących z zawistnymi siłami przyrody, rosnąca z czasem polityczna apatia. Ten drugi okres trwał, bagatela, od końca XIII do końca XIX w.! Wprawdzie niepodległość wyspa od-

¹⁹ Materiały prasowe polskich służb dyplomatycznych na stronie Konsulatu Generalnego RP w Islandii, zob. <http://www.reykjavik.polemb.net/index.php?document=91>.

²⁰ M. Oakeshott, *O postawie konserwatywnej*, przeł. A. Lipszyc, [w:] *idem, Wieża Babel i inne eseje*, Warszawa 1999, s. 202.

zyskała dopiero po prawie siedmiuset latach, na tle historii dwóch wojen światowych, na drogę do nowoczesności wstąpiła właściwie na początku XX stulecia. Pieniądz pojawił się w życiu Islandczyków dopiero w tym trzecim okresie. Gdy Karol Marks pracował nad antykapitalistycznym manifestem, Islandia jeszcze w ogóle kapitalizmu nie zaznała. Właściwie nie miała zorganizowanej gospodarki. Pieniądz obowiązywał obcy, bo obracały nim ręce kupców spoza islandzkiego uniwersum. Nie było miast, dróg ani wsi w zwykłym rozumieniu (lokalnych społeczności agrarnych), tylko farmy rozsiane w interiorze, głównie wzdłuż linii brzegowej. Zatem społeczność islandzka w warunkach tradycyjnych nie spełniała też warunku prokemii: bliskości, korespondencji społecznej obliczonej na wzajemne udzielanie sobie wsparcia, wtedy gdy trudno o pieniądze i zarobek²¹.

Wydawałoby się, że pieniądz jako medium wymiany towarowej, warunek aprowizacji wyspy, powinien być Islandczykom wielce potrzebny i użyteczny dużo wcześniej. Kraj oddalony od Europy leży wszakże w połowie szlaku transportowego z Europy do Ameryki Północnej. A jak powiada Simmel, to właśnie pieniądz czyni wymianę na odległość dogodną²². Rzecz w tym, że Islandczycy w kilku stuleciach stagnacji ze światem zewnętrznym kontaktowali się sporadycznie. Handel islandzki sprawowali Brytyjczycy, później, gdy Kopenhaga zaostrzyła kurs eksploatacji swojego zamorskiego terytorium, duńscy handlarze – i to wybrani, dopuszczani przez dwór do monopolu. Zważmy, że formalnie Islandia nigdy nie stała się duńską kolonią, status miała terytorium zależnego. Jednak nie ma wiele przesady w stwierdzeniu, że Islandczycy nie znali żadnych realnych obcych, z którymi mogliby się konfrontować, poznawać siebie w ich lustrze. U północnych wyspiarzy wygasła potrzeba styczności ze światem zewnętrznym – z kontynentami. W 1905 r. grupa farmerów specjalnie przybyła do Reykjavíku, aby zaprotestować przeciwko podjętej przez Althing decyzji o założeniu sieci telefonicznej i przeprowadzeniu odpowiedniego kabla pod dnem oceanu.

Kirsten Hastrup zauważyła, że islandzka kultura nie wynikała wyłącznie z duńskiego ucisku i wyzysku czy klęsk żywiołowych, takich jak potężne erupcje wulkaniczne. Duńska badaczka pisze, że syndromy peryferyjności wzmocniła islandzka samoizolacja. Wszelkie problemy w dziedzinie ekonomicznej, gospodarczej i praktyczno-technicznej występujące na wyspie są głęboko zakorzenione w historii kultury, która ma swego rodzaju rys destrukcyjny. Hastrup sformułowała koncepcję Uchronii²³. Głosi ona, że Islandczycy przed swoją niedolą „schro-

²¹ Por. M. Maffesoli, *Czas plemion. Schyłek indywidualizmu w społeczeństwach ponowoczesnych*, przeł. M. Bucholc, Warszawa 2008, s. 54.

²² G. Simmel, *Pieniądz w kulturze nowoczesnej*, [w:] *idem, Pisma socjologiczne*, przeł. M. Łukasiewicz, Warszawa 2008, s. 102.

²³ Zob. K. Hastrup, *Island of Anthropology. Studies in Past and Present Iceland*, Odense 1990; *eadem, Culture and History in Medieval Iceland. An Anthropological Analysis of Structure*, Oxford 1985.

nili się w czas wyobrażony”, zatem w sprzeczne z bieżącym doświadczeniem społecznym wyobrażenia „czasu początku”.

Pojedynczy Islandczyk, który nie potrafił zapanować nad własnym przeznaczeniem podczas „ciemnych” wieków, nie umiał w podobny sposób – objaśnia Hastrup – wpłynąć na szerszą historię islandzkiego społeczeństwa. Prawdziwa historia brała początek w przestrzeni poza kontrolą, podczas gdy równocześnie islandzki sen odtwarzany był na nowo w postaci islandzkiej Uchronii²⁴.

Islandczycy zwykli konstruować swoją historię w sposób powodujący wyraźną rozbieżność między uświadomieniem lokalnej rzeczywistości a realiami politycznymi i bytowymi. Kultura biedy wykształciła się na wyspie, dlatego że Islandczycy wpatrzeni w świetność czasu wczesnośredniowiecznej kolonizacji, w swój mit genetyczny o „zajmowaniu ziemi” opisanym w księdze *Landnámabók*, przeoczyli fakt, co powinno i naprawdę mogło być wydajnym źródłem ich utrzymania, przedmiotem zarobku i sprężyną postępu cywilizacyjnego. Skoncentrowali się na ideale „bycia chłopami”, kompletnie zaś zaniedbali rentowne rybołówstwo²⁵. Rybaków (*fiskimenn*) wprost stygmatyzowano. W ciągu uchronicznych stuleci wymyślono wiele sztucznych praw mających uczynić połowy zadaniem jak najmniej atrakcyjnym, ażeby nie stanowiło alternatywy służby w gospodarstwach rolnych, zaniedbanych wobec braku naturalnych środków utrzymania, pożywienia, ograniczonego arealu ziemi uprawnej w „krajach lodu i wulkanów” i erozji. Ci, którzy takie prawa stanowili, należeli do niezmiernie wąskiej „elity wpływu”, nieźle władali duńskim. Byli właścicielami majątków, absolwentami szkół w Danii. W ich interesie w XV w., na przykład, zaczął obowiązywać absurdalny zakaz używania robaków na przynętę. Uderzająco długo islandzkie rybołówstwo wykorzystywało łodzie wiosłowe i liny obsługiwane manualnie. W 1868 r. na trzy tysiące islandzkich łodzi ogółem tylko 64 miały zamknięte (kryte), bardziej bezpieczne pokłady²⁶.

Tedy tak archaiczne społeczeństwo jawi się jako bezklasowe. Pieniądz zniszczył „komunitariański kapitał” Islandczyków, w znacznym stopniu zepsuł wyspiarski *habitus*. Nadal jednak istnieją specyficzne rezydwa kultury islandzkiej „nieskażonej” gospodarką towarowo-pieniężną. Weźmy tylko dania uważane w tradycji kulinarnej wyspiarzy za smakołyki. Choćby smaczny *skyr*, rodzaj zagęszczonego jogurtu czy serka, wedle starej receptury wyrabianego przy zastosowaniu podpuszczki żołądkowej jagnięcia nieodstawionego jeszcze od wymion matki (*skyr* jest bodaj najtańszym artykułem żywnościowym dostępnym w islandzkich sklepach spożywczych, ale lepiej nie dociekać teraźniejszej technologii jego produkcji). Przypomnijmy także bieda-kiszkę podrobową, przygotowywa-

²⁴ K. Hastrup, *Droga do antropologii. Między doświadczeniem a teorią*, przeł. E. Klekot, Kraków 2008, s. 126.

²⁵ Zob. A. Pietrzkiewicz, *Obcy z brzucha wieloryba*, „Dialog” 2009, nr 4.

²⁶ T.G. Lacy, *Ring of Seasons. Iceland, Its Culture and History*, Ann Arbor 2000, s. 214.

na z mieszanki baraniego łożu, zastygłej owczej krwi, wątróbek, nerek i innych resztek z wnętrzości zwierzęcych. Albo wyrzucane na brzeg oceanu jadalne wodorosty, mlecze, korzenie dzięgla i warzuchę lekarską jako zieleninę i źródło niezbędnych witamin, o które na lądzie pokrytym mchami, lodem i pyłem wulkanicznym niełatwo. Bohater popularnego kryminalnego filmu fabularnego *Bagno* (na podstawie powieści Arnaldura Indriðasona) w reżyserii Baltasara Kormákura z 2006 r., komisarz Erlendur, delektuje się baraniami łbami kupowanymi „na wynos” w plastikowych opakowaniach, z lubością je najpierw rozłupuje. Nie skąpi grosza, jest Islandczykiem co się zowie, funkcjonariuszem i państwa, i społeczeństwa.

Ponadto, dowodem na zasadniczą rolę ubóstwa w dziejach islandzkiej kultury jest jej warstwa materialna. Metalowe rondle, za pomocą których wyspiarze symbolicznie odebrali społeczną legitymizację swoim poprzednim władzom, jeszcze sto lat temu byłyby drewniane. Ale przechowywano je razem z innymi utensyliami na półkach zawieszonych nad miejscem do spania. Chłopi z Islandii posiłki spożywali bowiem, siedząc na łózkach. Z powodu niedostatku drewna, będącego wypadkową niekorzystnych warunków klimatycznych i historycznego procesu eksploatacji drzewostanu w celach pozyskania surowca opałowego, tradycyjne mikroskopijne islandzkie domy (*torfhús*) budowano z darni i kamieni układanych bez zaprawy murarskiej; drzewo oszczędzano na krokwie i kalenice. Podłogę w torfowych domach tworzyło zwykłe klepisko. Pod koniec XIX w., po tym, jak wskutek silnego trzęsienia ziemi w 1896 r. zawaliło się wiele domów, wyspiarze odkryli, że wszystkimi tego kulturowymi, całościowymi konsekwencjami, blachę falistą jako tani, uniwersalny surowiec budowlany, od drewna bardziej funkcjonalny w tzw. sidingu, bo nienasiakający wodą (z topniejących śniegowych czap). Jak pisze antropolog Terry G. Lacy, „wszędobylskość” karbowanego metalu nawet dodaje islandzkim krajobrazom niepowtarzalnego uroku²⁷. Beton, traktowany jako tworzywo dość wyszukane, przeciwstawiające się zabudowie prowizorycznej wymuszonej przez potęgę islandzkich sił natury, upowszechnił się w XX w. Usytuowany na wzgórzu, więc zewsząd w Reykjavíku widoczny, charakterystyczny kościół św. Hallgrima, w oczach zewnętrznego obserwatora przypominający ciężką betonową masę uformowaną w kształt rakiety kosmicznej, stanowi dla Islandczyków znak ich kapitału gospodarczego obróconego w kapitał kulturowy, emblemat bogatej nowoczesności. Pożytecznie porównać to z faktem, że gdy w 1913 r. na wyspę po raz pierwszy sprowadzono kalosze, Islandczycy zaczęli gumiaki nosić jako buty codziennego użytku bardziej niż specjalną ochronę przed wilgocią. Niektórzy próbowali robić sobie kalosze domowym sposobem, na przykład z części gumowych zużytych instalacji technicznych.

²⁷ *Ibidem*, s. 222.

Swoiste, że gdy już Reykjavík z drewnianej osady powoli przemieniał się w miasteczko murowane, przedłużenie pryncypalnej uliczki Laugavegur nazwano nie, dajmy na to, Główną, ale Bankastraeti (Bankową) – od mieszczącego się przy niej Banku Narodowego, założonego w dwudziestoleciu międzywojennym. Powstaje tedy pytanie, co doprowadziło do tego, że Islandia przełamała uchroniczość swoich wizji, kulturę ubóstwa pośpiesznie opuściła – jak uzbierała kapitał ekonomiczny będący podstawą budowania w ostatnich latach nieproporcjonalnie dużego sektora usług bankowych? Godzi się tu wymienić dwie sprawy. Przede wszystkim odkrycie, już w pierwszej połowie XX w., pożytków z przemysłu rybnego, spostrzeżenie, że zanik umiejętności w rolnictwie nasilał się równoległe z zaprzepaszczaniem wydajnego połowu ryb. Komercjalizacja i stopniowe uprzemysłowienie rybołówstwa wymusiły ukształtowanie się islandzkiej gospodarki rynkowej (*market economy*). W 1929 r. ogólny tonaż wyłowionych przez Islandczyków ryb był sześć razy większy niżeli w roku 1909²⁸. Rozpoczęcie akumulacji na sposób racjonalno-kapitalistyczny, jak argumentuje antropolog Gísli Pálsson, wygenerowało znaczne zmiany dotyczące kategorii kulturowych. Było to śpieszne przejście od oceanu nadnaturalnego, groźnego, wypełnionego różnymi dziwnymi istotami, do morza naturalnego, eksploatowanego, wypełnionego towarem, dzięki któremu można konkurować, zarobić, posiadać²⁹. Ryba przestała być darem od nieprzewidywalnego, kapryśnego żywiołu, a stała się ekwiwalentem pieniądza. Zapomniano o wielorybie przypominającym wyglądem konia i wprawiającym marynarzy w przestrach swoim rzeniem, natomiast zaczęto zapuszczać sieci na gatunki drzewiej wzgardzone bądź objęte tabu pokarmowym, m.in. na śledzie. Islandczycy przy tym wyrobili swoje oddzielne poczucie ekologicznej przyzwoitości. Widok brzegu powalanego krwią odławianych waleni dzieli Islandię i Unię Europejską.

Jako drugą przyczynę podźwignięcia się wyspy z uchronicznej nędzy należy wspomnieć przyjęcie ekonomicznego zastrzyku w ramach planu Marshalla. Tak to wyraził reżyser Árni Ólafur Ásgeirsson (notabene absolwent szkoły filmowej w Łodzi):

Przed wszystkim po odzyskaniu niepodległości bardzo prężnie rozwijał się przemysł rybny. Drugim powodem, którego Islandczycy wolą nie wspominać, jest to, że w ramach planu Marshalla Islandia otrzymała najwyższą pomoc w przeliczeniu na osobę ze wszystkich krajów europejskich, mimo że wyspa nie poniosła prawie żadnych strat w wyniku działań wojennych³⁰.

Odsłaniamy tutaj jeszcze jeden eksces wyparty: „pakiet ratunkowy” od Funduszu Walutowego i nordyckich sąsiadów korzysta z precedensu. Ten precedens

²⁸ *Ibidem*, s. 235.

²⁹ G. Pálsson, *Coastal Economies, Cultural Accounts. Human Ecology and Icelandic Discourse*, Manchester-New York 1991, s. 160–162.

³⁰ Por. Á.Ó. Ásgeirsson, Ł. Bukowiecki, *Zjedanie sag. Krótka historia kinematografii nieznaney*, [w:] *Islandia. Wprowadzenie...*, s. 218.

przekreśla sensowność ekonomii romantycznej. Isaiah Berlin wspomina, że niektórzy niemieccy idealisci „wierzili w konieczność stworzenia państwa odizolowanego, w którym celem ekonomii, w miejsce obrotu pieniędzmi i handlu, byłoby pielęgnowanie wartości, duchowe samodoskonalenie się ludzi”³¹. Kазus islandzki pokazuje natomiast, że taka izolacja jest w pojęciu bezwzględny nie do ziszczenia. Także na kresach Europy istnieją obiektywnie ważne prawa ekonomii będące poza ludzką kontrolą. Obrót pieniężny i handel muszą mieć granice, lecz i muszą mieć swój początek. Emisja korony islandzkiej ruszyła po 1918 r. Ten „początek”, jeśli chodzi o okoliczności związania Islandii z planem Marshalla i Paktem Północnoatlantyckim, oprócz wymiaru ekonomicznego miał ważny aspekt kulturowy. Obecni na wyspie obcy żołnierze stopniowo wprowadzali tubylców w kulturę masową. Islandczycy w kulturze masowej ulegli socjalizacji gruntownej, oddolnej, z „najlepszego” amerykańskiego źródła. Amerykanie imponowali im manierami, innego typu oglądą, zainteresowaniem kulturą artystyczną, chodzeniem na tańce. Obcość i dolary okazały się atrakcyjne.

Kryzys finansowy zdemaskował to, że pieniądze Islandczykom szczęścia nie dały. Uśpiły ich czujność, wzmożyły zachłanność. Państwo opiekuńcze, zamiast odwoływać się do tradycji braku wyraźnej stratyfikacji społecznej i wspierać wspólnotową aktywność obywatelską, zajęło się kontrolowaniem poziomu dobrobytu³². Na historyczną ironię zakrawa, że powojenne diagnozy społeczne pisarzy zaangażowanych, komunizującego Laxnessa i zainspirowanego psychoanalizą zbiorowej nieświadomości Agnara Thórdarsona, nabrały po latach retorycznej, i nie tylko retorycznej, mocy³³. Straszak „sprzedanej wyspy” powrócił. W oryginale „powieść satyryczna” noblisty Laxnessa zwie się *Atomstóðin*, co znaczy „baza atomowa”. Niegdyś straszak „bazy” służył jankesom, a teraz służy użytkownikom Allegro. Islandczyków wszelako ratuje uchroniczny trening gruboskórności, umiejętność przetrwania przy poprzestawianiu na małym. „Boom finansowy ostatnich lat sprawił, że na wyspie, gdzie tradycyjnie nie było klas ani wielkich podziałów społecznych, pojawili się bogacze [...]. Nad głowami latały nam prywatne samoloty. Zachowywali się trochę jak rosyjscy oligarchowie” – zwierzył się reżyser Árni Ólafur Ásgeirsson reporterce „Gazety Wyborczej”³⁴.

Teraz, zupełnie jak w idei wczesnego Floriana Znanieckiego, kryzys krajowi zwróci równowagę. Islandia stanie się znów islandzka. Uchronia obróci się w swoje pozytywne przeciwieństwo. Ludzie z nudy czy przygnębienia zaczną chodzić do kin na islandzkie filmy, czytać powieści, uczyć się starych sag na pa-

³¹ I. Berlin, *Korzenie romantyzmu*, przeł. A. Bartkiewicz, Poznań 2004, s. 186–187.

³² Por. M. Walzer, *Komunitariańska krytyka liberalizmu*, [w:] *idem, Polityka i namiętność. O bardziej egalitarny liberalizm*, przeł. H. Jankowska, Warszawa 2006.

³³ Zob. A. Thórdarson, *Jeśli miecz Twój krótki*, przeł. A. Jankowski, Poznań 1965; H. Laxness, *Sprzedana wyspa. Powieść satyryczna*, przeł. Z. Szczygielski, Warszawa 1955.

³⁴ D. Pszczółkowska, *To nie był raj dla chciwych ludzi*, „Gazeta Wyborcza” 21.10.2008.

mieć. Bynajmniej nie dla epickiego żartu w nagradzanej poza Islandią opowieści Sjóna, gdy pastor Baldur został podczas polowania zaskoczony przez lawinę, w obliczu zagrożenia zrobił dokładnie to, co robi każdy Islandczyk w sytuacji bez wyjścia. „Zaczął rymy układać, wygłaszać wierszyki i poezje, śpiewać głośno i genialnie sobie samemu [...]”³⁵.

Na fali kryzysu zbankrutowana wyspa zbiła kapitał symboliczny. Nowym premierem została Jóhanna Sigurðardóttir. Po raz pierwszy lesbijka, po raz pierwszy w Islandii. Wcześniej, w latach 80., także Islandka, Vigdís Finnbogadóttir, była pierwszą kobietą wybraną na stanowisko prezydenta. Polacy, ci, którzy najpierw wyjechali w popłochu, wrócili. Wolą islandzkie bezrobocie od zasiłków w Polsce. W każdym razie w Republice Islandii *nie dzieje się aż tak źle jak w państwie duńskim*.

³⁵ Sjón, *Skugga Baldur. Opowieść islandzka*, przeł. J. Godek, Gdańsk 2009, s. 94. Zob. także D. Kristjánsdóttir, *O lisach, wilkach, księżętach i księżniczkach. Najkrótsze wprowadzenie do literatury islandzkiej*, przeł. N. Radomski, [w:] *Islandia. Wprowadzenie...*, s. 186.

MAGDALENA MACHOWSKA

Uniwersytet Jagielloński

Wizerunek Cyganów rumuńskich zebrzących w Krakowie między 1990 a 2008 r. Szkic

Jan Yoors, który za zgodą rodziców jako dwunastoletni chłopak przyłączył się do wędrujących Cyganów i spędził z nimi, z przerwami, kilka lat, wyznał:

któregoś dnia przyłapałem siebie na słowach „my Cyganie....” i zarazem pojąłem jak dalece zaangażowałem się w ich sprawę [...] widziałem, słyszałem, byłem tego częścią...¹

Podobnie może powiedzieć o sobie Paweł Lechowski. Wśród przyjaciół znany jako „Paszka”, cyganolog, kolekcjoner i nieformalny „konsul” rumuńskich Cyganów.

Wybrałam go na swojego przewodnika w podjętej tu próbie zrozumienia i opisanego świata cygańskich żebraków z Rumunii, którzy od 1990 r. są obecni w Polsce, ponieważ wiedziałam, że przez zaangażowanie w pomoc dla nich, aż do przyjęcia kilkusobowej rodziny romskiej na pięć lat do swojego mieszkania, jest bliżej nich niż ktokolwiek inny.

Stanisław Marmuszewski w pionierskiej książce na temat współczesnego żebractwa w Polsce² pominął rumuńskich Cyganów z powodu bariery językowej, która stała się przeszkodą uniemożliwiającą prowadzenie wywiadów biograficznych, jednego z zasadniczych elementów podjętych badań. Tym szkicem chcę uzupełnić lukę w tej znakomitej pracy, zwłaszcza że dla mnie też największą barierę w kontaktach z omawianą grupą stanowi dialekt, odmienny od znanego mi dialektu Polskiej Romy, i dlatego pomoc Pawła Lechowskiego okazała się bezcenna.

O zbliżaniu się w poznawaniu „cygańskiego świata” świadczy P. Lechowski całym swoim życiem³.

¹ J. Yoors, *Cyganie*, przeł. H. Czajkowski, Kraków 1973, s. 12.

² S. Marmuszewski, A. Bukowski (red.), *Żebracy w Polsce*, Kraków 1995.

³ Biografię Pawła Lechowskiego odtwarzam na podstawie notatek sporządzonych po rozmowach z nim między 2006 a 2009 r. Jej rekonstrukcja została autoryzowana 10 maja 2009 r.

Obrazek pierwszy, z lat 50.: jedzie tramwajem z matką, z okien widać obozowiska na Błoniach. Drugie wspomnienie wiąże się z pobytem pod Przeworskiem u wujka leśniczego, u którego straszono go: „jak nie zjesz kolacji, to ci się Cyganie przyśnią”. Tam widział w okresie żniw, jak dziewczyny przebrane za Cyganki zbierały datki.

Wkrótce, w czasie studiów, na początku lat 70., poznał ludzi z innej grupy cygańskiej Bergitka Roma. W Krakowie, w Prokocimiu na Rżące, w tym czasie koczowało wiele cygańskich rodzin. Rozbili się pod mostem, pod którym nie mogła ich namierzyć policja i mieli naturalne schronienie przed deszczem.

Chodził tam najpierw z aparatem fotograficznym i znajomość z nimi zaczęła się od robienia zdjęć dzieciom, potem dorosłym. Ponieważ miał opory przed spisywaniem rozmów, dlatego starał się jak najwięcej zapamiętać. Próbował nagrywać ich muzykę, piosenki. Te nagrania są dziś w muzeum tarnowskim⁴. Nie narzucał sobie żadnego filtru: nagrywał wszystko.

Język cygański, romanes, poznawał ze słownikiem zamieszczonym w *Cyganach na polskich drogach* Jerzego Ficowskiego⁵, ale wówczas były to tylko słowa i zwroty. Zaczął mówić w romanes w 1990 r. dzięki rumuńskim Cyganom. Wtedy jeszcze pracował w tarnowskim muzeum. Na weekendy jeździł do Krakowa, spotykał ich na tamtejszym dworcu, nawiązał z nimi kontakt i to był początek jego społecznej działalności na rzecz poprawy jakości ich życia w Polsce.

Po kilku latach tej pracy skromnie o sobie mówił, że:

Ja tylko pośredniczę. Przekazuję potrzeby, prośby i problemy Rumunów. Bezpośrednią, konkretną już pomoc świadczą ludzie działający w różnorodnych instytucjach i organizacjach. Choć przyznaję, że w Krakowie jestem niestety jednoosobową instytucją i na co dzień aż za bardzo odczuwam „braki kadrowe” i wynikające z tego uciążliwości nadmiaru spraw i problemów spadających na moją głowę. Zbyt często muszę dokonywać wyboru, które ze spraw w danym dniu załatwić, a które odłożyć. Są to decyzje trudne i niekiedy dosłownie bolesne, jak w przypadku osób oczekujących mego pośrednictwa w uzyskaniu pomocy medycznej [...] Z własnego doświadczenia znam przypadki, gdy bardzo łatwo bywają pomawiani o dokonanie kradzieży, a po bliższym rozeznaniu okazuje się to zupełnie niesłuszne albo bardzo wątpliwe⁶.

Podejmował wiele mozolnych działań, takich jak wielokrotne redagowanie listów interwencyjnych⁷ do prezydenta Krakowa, wojewody krakowskiego, komendanta wojewódzkiego policji, redakcji lokalnych gazet w sprawie zapewnienia minimum bezpieczeństwa rumuńskim Romom przebywającym w Krakowie. Pisał o ich skandalicznej sytuacji bytowej i aktach agresji skierowanych przeciwko nim.

⁴ Muzeum Etnograficzne w Tarnowie.

⁵ J. Ficowski, *Cyganie polscy. Szkice historyczno-obyczajowe*, Warszawa 1953.

⁶ T. Kornaś, *Gdy przechodzimy obok... Z Pawłem Lechowskim o sytuacji Cyganów rumuńskich w Krakowie rozmawia Tadeusz Kornaś*, „Gazeta Krakowska” 1994, nr 112.

⁷ Listy i pisma urzędowe opiniowane przez Stowarzyszenie Romów są w prywatnym archiwum Pawła Lechowskiego.

Opisywał i wyjaśniał powody, dla których Romowie wybierali dworce i miejsca nad Wisłą na miejsca noclegowe. I dla nich, i dla niego było oczywiste, że kierowało nimi poczucie bezpieczeństwa. Miejsca publiczne są patrolowane przez policję i służby bezpieczeństwa, zatem zmniejszało się prawdopodobieństwo napaści.

Choć akurat w wypadku Romów rumuńskich okazało się to złudne. Byli bezwzględnie usuwani z terenu dworca, a napadano na nich zarówno w miejscach publicznych, jak i na terenie ich koczowisk nad Wisłą. Skalę zagrożenia obrazuje przykład grupy rodzinnej, złożonej głównie z kobiet i dzieci, na którą w ciągu dwóch tygodni kilkakrotnie (!) napadała kilkunastoosobowa banda uzbrojona w drewniane pałki, kije, łańcuchy i noże. Ten obraz utkany jest z wielu tragicznych historii tych ludzi⁸.

Na przykład: Dumitru Streji zatrzymano bezprawnie paszport w szpitalu, gdzie urodziła dziecko. Ponieważ była nieubezpieczona, miała zapłacić za pobyt astronomiczną dla niej kwotę. Wydanie paszportu uzależniono od uiszczenia tej opłaty, a bez paszportu nie można zgłosić urodzenia dziecka w ambasadzie Rumunii. Zatem formalnie dziecko nie istniało. Dumitru przebywała w Polsce z trójką dzieci. Żebracze dochody odkładała na lepsze życie w Rumunii. Tu, na okres wiosna-lato, mieszkała w skleconym przez siebie prowizorycznym szałasie nad Wisłą, by trochę zaoszczędzić. Wynajmowane w zimie mieszkanie pochłaniało trzy czwarte jej dochodów z żebrania.

Równie skomplikowana okazała się historia Danieli Ciurary, która 26 października 2002 r. uzyskała pełnoletność i dzięki temu mogła odebrać swoje dziecko z domu dziecka i wrócić z nim i jego ojcem do Rumunii. Jej przedłużający się nielegalny pobyt w Polsce łączył się z jeszcze jednym wydarzeniem – od półtora roku nie mogła pochować swojego dwumiesięcznego dziecka, prawo polskie nie zezwala bowiem na wydanie zwłok niepełnoletnim osobom, nawet jeśli niepełnoletni są już rodzicami. W takim wypadku zwłoki mogą odebrać opiekunowie lub rodzice niepełnoletniego. Rodzice Danieli żyli w Rumunii i nie mogli przyjechać do Polski. Gehenna skończyła się, gdy Daniela skończyła 18 lat.

To dzięki interwencjom Pawła Lechowskiego Wojewódzki Ośrodek Pomocy Społecznej w Krakowie, na jakiś czas w 1994 r., dał Romom zakwaterowanie w domach przy ulicy Łanowej, które trochę zdewastowali i zostali z nich usunięci. Mimo to ta sama instytucja na kilka tygodni zakwaterowała 50-osobową grupę w innym, przeznaczonym do remontu budynku. Dla tych, którzy pobyt w Polsce traktowali jako etap w drodze do Niemiec, było to doraźne, wygodne wyjście, ci, którzy chcieli zostać w Polsce dłużej, szukali innych rozwiązań. Zakładali koczowiska na Salwatorze, w Niepołomicach, na Ruczaju i opalając kozą prymitywnie sklecone z dykty, papy, tektury i blachy domki, mieszkali w nich

⁸ Te historie odtwarzam z dokumentów będących częścią archiwum Pawła Lechowskiego.

z dziećmi nawet zimą. Trzeba pamiętać, że przez wielu Romów rumuńskich próba zinstytucjonalizowanej pomocy była odbierana jako wstęp do deportacji.

Ogólnie można powiedzieć, że do 2008 r. na terenie Krakowa przebywało do 100 osób, które okresowo przemieszczały się też poza Kraków, np. do Tarnowa, Nowego Sącza, Zakopanego. Ci, których bliżej poznał Paweł Lechowski, pochodzili z okolic Braşov, Siedmiogrodu, Alba Julia. Trzy grupy rumuńskich Cyganów żebrzących w Krakowie, które choć połączone rodzinnymi więzami, trzymały się raczej osobno, liczyły do 2000 r., każda, po 30–50 osób. Po 2000 r. w Krakowie ta liczba spadła do kilkunastu osób, choć po 2007 r. znów nieznacznie wzrosła⁹.

W 2008 r. służby porządkowe zlikwidowały koczowisko na Ruczaju, które mieściło się za ogródkami działkowymi w pobliżu Tesco.

Wielu Romów po zarobieniu oczekiwanej sumy wracało do Rumunii i kupowało tam dom lub inwestowało pieniądze np. w handel. Zwłaszcza w latach 1990, 1991, gdy ich widok budził spore zainteresowanie i szok, bywało, że jedna osoba zbierała nawet milion złotych dziennie, ale zazwyczaj te kwoty nie przekraczały czterystu tysięcy dziennie. Od 1994 r. użebране kwoty nie były już tak imponujące, kilkadziesiąt tysięcy dziennie uznawano za dobry zarobek.

Cyganie rumuńscy przyjeżdżający na zarobek do Polski wykształcili własny repertuar żebraczy, osobiście różny od wersji polskiej, uprawianej przez żebrzących Polaków¹⁰.

Ustalenie typologii zachowań i owego repertuaru żebraczego umożliwia klucz chronologiczny, który początek zjawiska osadza w 1990 r.

W listopadzie 1990 r. na terenie Dworca Głównego w Krakowie pojawili się mężczyźni i kobiety, którzy jeszcze bez tabliczek z informacją o powodach żebrania klęczą na ziemi i zawodzą po *romanes*¹¹. Inna, nieco odmienna sytuacja, bo z innymi „aktorami”, miała miejsce w sierpniu tegoż roku, przed wejściem na Bazar Różycykiego w Warszawie: Lechowski zapamiętał dziewczynki około 10–11-letnie w tradycyjnych strojach, które kręciły się wśród ludzi i prosiły o pieniądze: wystarczył gest wyciągniętej, otwartej ręki lub pogłaskanie się po brzuchu, by życzliwie odbierane otrzymywały datki od rozbawionych ludzi.

Niedługo później – pod sam koniec 1990 r. i na początku 1991 – napłynęło do Polski więcej rumuńskich Cyganów, którzy profesji żebraczej zaczęli uczyć się w Polsce. Trzeba pamiętać o tym, że przed 1989 r. żebractwo w Polsce podlegało sankcjom. Zdaniem Lechowskiego żaden z żebrzących Cyganów rumuńskich nie robił tego w Rumunii. Był świadkiem, jak żebrzący krępują się i wstydzą, gdy

⁹ Dane pochodzą z jedyne go dostępnego źródła – statystyki prowadzonej przez Pawła Lechowskiego.

¹⁰ Charakterystykę polskiego repertuaru żebraczego dają S. Marmuszewski i A. Bukowski (red.), *op. cit.*

¹¹ Obserwacje P. Lechowskiego.

w pobliżu pojawiał się ktoś z ich znajomych. Natomiast żebrzący wobec gadziów stosowali cały repertuar gestów i zachowań, który miał zniechęcić nie-Cyganów do nawiązywania z nimi bliższych kontaktów, a jednocześnie skutecznie wyprosić datkę.

Okolo 1997 r. w Polsce pojawili się żebrzący mężczyźni chromi lub z widocznym kalectwem, którzy byli raczej celowo dobierani niż specjalnie okaleczani, co nierzadko sugerowała prasa.

Miedzy 1990 a 1997 r. na ulicach dało się zauważyć dzieci i dorosłych, którzy wzbogacili repertuar żebraczy o kolejny element – muzykowanie. Jeszcze na początku lat 90. spotykało się niewielu muzykujących żebrzących Cyganów rumuńskich lub nie było ich wcale. Prawdopodobnie wynikało to z tego, że na granicy rumuńskiej i ukraińskiej celnicy odbierali instrumenty tym, którzy je ze sobą wzięli. Ci, którzy pojawili się w Polsce, na ogół grali kilka standardów typowych ich zdaniem dla muzycznego gustu Polaków. Stąd bardzo często w Krakowie słychać było *Hej, hej, hej sokoły omijajcie góry lasy, pola, doły i Krakowiaczek jeden miał koników siedem*. Ci pierwsi muzykanci zazwyczaj nie wychodzili poza ten ubogi repertuar, za to ośmielili się tak, by grać w tramwajach. Tu było kilka możliwości: gdy grał dorosły (zwykle mężczyzna), to dziecko lub inny dorosły chodzili wśród pasażerów z czapką lub plastikowym kubkiem z prośbą o datkę, gdy grało dziecko (także dziewczynki), to po prośbie chodziło dziecko lub dorosły.

Jednak z czasem w Polsce pojawili się profesjonalni muzycy, którzy mogli wywodzić się z rumuńskich Lautarów, od wieków specjalizujących się w muzycznej profesji. Pod koniec lat 90. i na początku 2000 r. w Warszawie można było spotkać Lautarów grających na instrumentach dętych, którzy, odwrotnie niż ich niezawodowi prekursorzy, wykonywali nie tylko polskie standardy, ale wykraczali poza nie, choć rzadko.

Na podstawie tych bardzo ogólnych ustaleń można stwierdzić, że rumuńscy Cyganie uczyli się żebractwa w Polsce. Jeśli tak było, jaki repertuar żebraczy wypracowali? Jednym z uniwersalnych, bo znanych nie tylko im, środków było unikanie kontaktu wzrokowego i dobieranie odpowiednich środków wyrazu – w okolicy kościoła skuteczna okazała się postawa klęcząca, natomiast w miejscu neutralnie nacechowanym można było przysiąść na piętach lub poruszać się wśród ludzi z charakterystyczną tekturową tabliczką. Typowe dla Cyganów było opatrzenie tabliczki uaktualnianą – w zależności od tła historyczno-politycznego lub społecznego – informacją, że żebrzący jest ofiarą wojny w b. Jugosławii lub powodzi (takie treści pojawiły się w 1997 r.), albo dotycząca tego, kto choruje na nowotwór czy zbiera na operację chorej nogi/ręki. Charakterystyczne było dołączanie przez Cyganów świadectw choroby w postaci dokumentów medycznych¹² opatrzonych pieczętami lekarskimi i instytucji.

¹² Dokumenty z archiwum P. Lechowskiego.

Najbardziej charakterystyczne z nich wyglądały następująco¹³: biała, prostokątna kartka, o szerokości 20 cm, długości 28 cm, zalaminowana, opatrzona dwiema pieczętkami: Z-Ca Dyrektora ds. Lecznictwa Lek. med. Adama Filipka oraz Uniwersytet Jagielloński Collegium Medicum Państwowy Szpital Kliniczny Klinika Onkologii Przychodnia Przykliniczna 31-501 Kraków, ul. Kopernika 19 tel. 18-84-39.

Treść kartki, wypełniona drukowanymi, czarnymi literami:

SERDECZNI/ MAM DVOICH DZIECI./ EDNO Z NICH MA/ RAKA. ZBIERAM PIENIEANDZE /NA IEGO LECZENIE. / NIECH BÓG WAM WY-/ NAGRODZI ZA POMOC.

Inną typową jest biała kartka, złożona na pół, której forma przypomina legitymację, 14,5/10,5, laminowana. W części lewej jest umieszczona kolorowa legitymacyjna fotografia mężczyzny, po lewej stronie zdjęcia wpisano datę: ur. 27.06.1978 (cyfra 8 poprawiona niebieskim długopisem na 7). Na zdjęciu okrągła pieczęć kościoła rzymskokatolickiego, pod zdjęciem nieczytelny podpis Mirosław Cin...?. Nad zdjęciem w górnej części napis: KOMITET CHARYTATYW- NY przy ARAFI RZYMSKO-KATOLICKIEJ w Witaszyczach. Prawa strona wypełniona jest następującą treścią:

ZASWIADCZENIE

Zaświadcza się, że/ Mirosław Cristo/

Jestem emigrantem z Jugosławi, gdzie toczy się teraz wojna, w trakcie której stracił/a cały swój dobytek. Wyżej wymieniony/a jest praktykującym katolikiem/czką. Prosi się wszystkich ludzi dobrej woli, do których zwróci się On/Ona prośbą o pomoc, o okazanie Jemu/Jej chrześcijańskiego Miłosierdzia. Bóg zapłać. Nieczytelna pieczęć i wydrukowany podpis: ks. Jan Stadni.

Jeszcze inną jest biała kartka o wymiarach 14,5 na 13,5 cm, laminowana, opatrzona fotografią mężczyzny i okrągłą pieczęcią o treści: Jugosławia Chorwacji. W środku pieczęci widnieje zamazane słowo i nieczytelny podpis. Treść kartki:

JUGOSŁAWIA

Serdecznie proszę o pomoc! Zbieram pieniądze na operację raka płuc dla 14-letniej siostry. Niech Bóg Wam wynagrodzi za pomoc!

Pod apelem dodano drukiem jakby spisana z pieczęci treść:

Uniwersytet Jagielloński Collegium Medicum Państwowy Szpital Kliniczny Klinika Onkologii Kraków, ul. Kopernika 10

Paweł Lechowski niejedną raz pisał tabliczki, ale tak, by „było w tym jak najmniej naciągania, by informacja pokrywała się z faktami”¹⁴. Wie o tym, że nie-

¹³ Dokumenty stanowią część archiwum P. Lechowskiego, udostępnionego mi w marcu i kwietniu 2008 r.

¹⁴ W rozmowie ze mną w kwietniu 2009 r.

rzadko bywało, iż oryginały były powielane i służyły większej grupie. W jego zbiorach znajduje się tabliczka pocięta przez policjanta, jest i taka, która została skopiowana z oryginału, a pismo odręczne zostało zastąpione szablonowymi czarnymi, podklejanymi literami.

Polaków bulwersował widok żebrzących Cyganek z małymi dziećmi, które w powszechnym odbiorze były odbierane jako żebraczy rekwizyt, mający wzbudzić litość. Charakterystyczne, że od kilku lat można zaobserwować podobne zjawisko wśród żebrzących Polek. Z doświadczenia Lechowskiego, który przyjął do swojego krakowskiego mieszkania w 1994 r. na pięć lat chorą na nowotwór rumuńską Cygankę Rozalię C. z jej pięciorgiem dorastających i dorosłych dzieci, wynika, że tego rodzaju decyzje o tym, czy zabrać ze sobą do „pracy” dziecko, czy pozostawić je bez opieki w domu, nie były łatwe. Był wielokrotnie świadkiem decyzji Rozalii, by zwłaszcza w czasie brzydkiej pogody dzieci mimo wszystko zostały w domu. Był też świadkiem tego, jak dzieci, które zbyt nachalnie domagały się od gadziów pieniędzy, były za to surowo karcone przez rodziców.

Można ogólnie powiedzieć, że najczęściej żebrały kobiety, ale bywało, że także mężczyźni, natomiast gdy podejmowano decyzję, że dziecko będzie samodzielnie prosić o datki, to zwykle nadzorował je ktoś z dorosłych, głównie ze względów bezpieczeństwa, ponieważ zdarzało się, że żebrzące dzieci były zabierane wprost z ulicy przez instytucje (policja, pogotowie) i kierowane np. do domów dziecka.

Jak bardzo żebractwo uprawiane przez Cyganów rumuńskich przylega do „cygańskiej pracy” *bući*? Jeśli *bući* rozumieć jako podjęcie krótkotrwałego, ale efektywnego wysiłku, który pozwoli w krótkim czasie osiągnąć spore zyski, a przy tym wymaga posłużenia się sprytem, to wyraźnie widać, że wzbogacanie repertuaru żebraczego o kolejne elementy: od określonej, modyfikowanej w zależności od jakości przestrzeni, postawy ciała, przez wzbogacanie mowy ciała dodatkowymi czytelnymi znakami ubóstwa: tabliczek ze szczegółowym opisem sytuacji życiowej i celu zbiórki, dostosowywanie ich treści do kontekstu polityczno-społecznego, potem przez wystawianie ludzi z widocznymi oznakami kalectwa aż do wykonywania usług muzycznych na rzecz darczyńców, widać, że potęgowanie środków i coraz większe zaanagażowanie żebrzących umożliwiło im pracę i przetrwanie w Polsce przez prawie 20 lat. W porównaniu do ustaleń D. Niedźwiedzkiego¹⁵, dotyczących indywidualnych decyzji o żebraniu przebadanych Polaków, które są wynikiem: choroby, kalectwa, życiowej niefrasobliwości, przestępstwa, pecha, życiowej niezaradności, decyzje podjęte przez rumuńskich Cyganów mogą się pokrywać z nimi, jednak wydaje mi się, że różnić się mogą w uzasadnianiu decyzji o podjęciu żebrania. Mam wrażenie, że żebractwo traktowane jest przez Romów rumuńskich jako doraźny efektywny sposób na do-

¹⁵ D. Niedźwiedzki, *Zostać żebrakiem*, [w:] S. Marmuszewski, A. Bukowski (red.), *Żebracy w Polsce*, s. 87–100.

robienie się określonego majątku, który zmieni ich życie po powrocie z Polski. Gra podjęta między żebrzącym rumuńskim Romem a przechodniem-gadziem jest nie tylko grą o możliwość lepszego życia – idzie i o to, by grać tak, by tę palącą wstydem wobec swoich pracę wykonywać z godnością i efektywnie.

Polscy żebracy swoją decyzję o żebraniu podejmowali w sytuacji: zagrożenia biologicznej egzystencji, gdy krótkotrwale żebractwo miało pomóc w osiągnięciu osobistego, ważnego celu (np. zebranie pieniędzy na alkohol – „zbieram na piwo”) czy w zebraniu pieniędzy na leki dla siebie lub dla bliskiej osoby. Podejmowano żebractwo i wtedy, gdy miało być dodatkową fuchą uzupełniającą mizerne stałe dochody. Mogło być też formą kontestacji porządku społecznego, formą przełamania samotności i wynikiem przymusu (ten ostatni przypadek dotyczy kalek, chorych umysłowo i dzieci)¹⁶.

Również typologia figur żebraczych ustalona przez Marmuszewskiego i Światłowskiego nie przylega w pełni do świata rumuńskiego: wspólna jest figura Kaleki i Kwestarza, o ile ten zbiera na rzecz kogoś, ale Nikt, Ofiara Losu, Dziad, Menel, Żebrak Okazjonalny i Wędrowiec są odległe od wyraźnych, choć różniących się w swej ekspresji i wyglądzie figur rumuńskich, bo ani Matka z Dzieckiem, ani Muzykant, ani Dziecko nie są tak bierne i neutralne, by wtopić się w tło, co więcej, ich strój, uroda i język są na tyle odmienne, że wymuszają wręcz wypracowanie właściwej tak wyraźnym figurom ekspresji.

Cele żebractwa też wydają się odmienne: o ile dla żebrzących Polaków żebractwo było koniecznością życiową i umożliwiało po prostu przeżycie, o tyle Romowie podejmowali tę profesję, by podnieść swój status materialny: kupić dom, auto lub uzbierać na wyjazd i pobyt w Niemczech.

Przykładem może być rodzina Rozalii C., która początkowo nie miała jakiegось określonego celu, na który odkładać uzbierane pieniądze. Z czasem uznali, że kupią samochód, by swobodnie przemieszczać się do innych miast, ale w połowie ich pobytu zarysowała się możliwość kupienia domu w Rumunii i tak z czasem się stało.

Inni, znani Lechowskiemu Cyganie, podobnie jak rodzina Rozalii, zbierali albo na dom, albo na jakąś inwestycję, ale byli i tacy, którzy grając między sobą w karty lub bilard, tracili wszystkie oszczędności, a nierzadko były to ogromne sumy.

W jednym z tekstów o Paszce Muzeum Etnograficzne, w którym wówczas pracował, nazwano „konsulatem przy Krakowskiej”. Jego zaś żartobliwie określono mianem „rumuńskiego konsula”. Okresowo muzeum zamieniło się w rodzaj depozytu rumuńskich paszportów i cenniejszych rzeczy. Bywało, że przed budynkiem Cyganie koczowali. W zamian zbiory muzealne wzbogaciły się o wrzeczona tkackie, torby z wełny, narzędzia kotlarskie i kowalskie. Kupiono również osobliwość – *posyci* – „złodziejską kieszeń”, zdobioną koralikami, łańcuszkami

¹⁶ D. Niedźwiedzki, *op. cit.*, s. 87–110.

oraz krzyżykami, noszoną przez Cyganki pod fartuchem, w której przechowują wróżbiarskie akcesoria i otrzymane dary¹⁷.

Jego przyjaciele Romowie mieszkają w Czarnej Górze, Nowej Hucie, Rumunii, Bułgarii, Albanii...

¹⁷ Za: „Tarnowskie Echo” 17.10.1991.

Twórczość za pieniądze безпеki

Słowo „konsultant” brzmi niewinnie, kojarząc się ze światem nauki lub medycyny. Oznacza zwykle pracownika o wysokich kompetencjach zawodowych, pozwalających mu pełnić funkcję eksperta, służyć odpowiednim instytucjom w roli niezależnego, przychodzącego z zewnątrz specjalisty. Konsultant (KT) w aparacie bezpieczeństwa był agentem niewiele na pozór różniącym się od zwykłego tajnego współpracownika (TW), ale za to obdarzonym znacznie większą autonomią od przeciętnego KTW, KP, KO, KS czy innego OZI¹. KT werbowani byli z kręgu ludzi zaufanych, funkcjonujących od dawna w środowisku literackim, należących niemalże z zasady – choć było to regulaminowo zabronione – do partii, a także z uniwersytetów, wydawnictw, redakcji czasopism, w razie zaś braku odpowiednich kandydatur – spośród dziennikarzy, plastyków, muzyków czy działaczy kultury. W przeciwieństwie do innych typów agentury na ogół nie byli pozyskiwani do współpracy metodą szantażu, ponieważ ślady tego typu nacisków są rzadkie w tym kręgu. Na współpracę godzili się przeważnie z chęci dodatkowego zarobku, rachuby na karierę, pobudek ideowych, potrzeby pozostawania w kręgu władzy oraz wpływania na bieg wypadków. Jak ważny w tym wszystkim był dla nich goły wymiar finansowy donosielskiej działalności, trudno określić, bo – jak łatwo się domyślić – poza pokwitowaniami odbioru określonych sum nie istnieją żadne wyznania agentów na ten temat. Swoją funkcję cenili wysoko, zabiegali o nią i oddawali się jej z prawdziwym poświęceniem, bez oglądania się na dotkliwe ekspensy czasowe. Choć, oczywiście, otrzymywali od oficerów prowadzących konkretne zadania, w rzeczywistości nie potrzebowali żadnych instrukcji, wykazywali się bowiem inicjatywą, tryskali energią i chęcią działania, czyli mówiąc językiem bezpieczeństwa: „zadaniowali się sami”².

Jak wspominałem, każdy konsultant pobierał za pisanie raportów sowite wynagrodzenia. Był to absolutny fundament działalności agentury. Słynne „zarządzenie 006/70”, nazywane „biblią SB”, będące fundamentem działania tajnej policji w PRL, nie pozostawia najmniejszej wątpliwości co do tego, że podsta-

¹ KTW (Kandydat na Tajnego Współpracownika), KO (Kontakt Operacyjny, Kontakt Obywatelski), KP (Kontakt Poufny), KS (Kontakt Społeczny), OZI (Osobowe Źródło Informacji).

² Por. F. Musiał, *Podręcznik bezpieczeństwa. Teoria pracy operacyjnej Służby Bezpieczeństwa w świetle wydawnictw resortowych Ministerstwa Spraw Wewnętrznych PRL (1970–1989)*, Kraków 2007, s. 333.

wowymi motywami współpracy z bezpieką był skuteczny szantaż i oczywiście pieniądze³. Jak wysokie były to sumy? W wypadku superekspertów, takich jak np. Lesław Maleszka („Ketman”, „Tomek”, „Return”)⁴, Kazimierz Koźniewski („Szcz”, „Szczotka”, „Harcemistrz”, „33”, „KK”, „K. Koź.”, „Kazik”) czy Wacław Sadkowski („Wacław”, „Olcha”), były one pokaźne (ok. 1000–2000 zł za donos), w wypadku KT regionalnych mniej oszałamiające, choć były to też sumy znaczące w budżecie każdego krytyka, pisarza czy dziennikarza (500–1000 zł)⁵. Inna rzecz, że oddziały regionalne miały pewną autonomię finansową, więc mogły płacić agentom według swojej „wyceny”. W efekcie za pojedynczą recenzję konsultant zarabiał nieraz nawet 2000 zł, ale kiedy indziej tylko 500 zł. Innym razem z kolei za kilkunastostronicową charakterystykę twórczości grupy pisarzy dostawał 1000 zł. W żaden sposób nie da się tego powiązać z nakładem pracy. Być może był to element jakiejś „wyższej” strategii, ale ponieważ w esbeckich dokumentach nie ma na ten temat żadnej dyspozycji, przyjąć należy, że po prostu „łaska pańska na pstrym koniu jeździła”.

Ile zarabiał np. „Ketman”, który był podobno najlepiej opłacanym agentem w Polsce? On sam minimalizuje swoje zarobki w SB, mówiąc: „To były kwoty tak naprawdę rzędu 100, 200, 300 zł. Może raz dostałem 700 zł”⁶. Inaczej oceniają te informacje byli funkcjonariusze SB: „W 1977 r. nie płacono mu jednorazowo mniej niż 3 tys.) – orzekają”⁷.

Sprawozdanie z kontroli finansowej w krakowskim oddziale SB wykazuje, że nie było ani aż tak różowo, jak twierdzą koledzy-esbecy, ani tak skromnie jak twierdzi Maleszka, bo np. w 1980 r. zarobił 30 900 zł, co w skali miesięcznej daje sumę 2575 zł. W tym samym wydziale TW „Marco” zarobił 45 000 zł (a zatem więcej niż „Ketman”), co daje średnią 3750 zł, a TW „Rawicz” 20 100 zł (1675 zł miesięcznie)⁸. Dla porównania warto podać – idąc dalej za Terleckim, który

³ Por. H. Głębocki, *Policja tajna przy robocie. Z dziejów państwa policyjnego w PRL*, Kraków 2005, s. 99.

⁴ L. Maleszka nie posiadał statusu konsultanta, tylko tajnego współpracownika, tymczasem jego donosicielski dorobek ma charakter jednoznacznie ekspercki, co dowodzi, że kwalifikacje esbeckie były dość umowne.

⁵ Aby nie dać się zwieść pozornie małej różnicy tych kwot, trzeba dodać, że statystycznemu TW wypłata 1000 zł zdarzała się niezwykle rzadko (standard stanowiło 500 zł, choć trafiało się 200–300 zł), podczas gdy dla KT była ona sumą podstawową. Poza tym należy pamiętać, że renowani konsultanci otrzymywali zlecenia często, a tajni współpracownicy w zależności od aktualnych potrzeb. Wyliczenie opieram na Sprawozdaniu z przeprowadzonej kontroli w Wydziale III KWMO [...] w Krakowie... z roku 1981, dotyczącym roku 1980 (*ibidem*, s. 133–148); oraz R. Terlecki, *Trochę strachu za duże pieniądze*, „Rzeczpospolita” 6.07.2002.

⁶ <http://www.trzech-kumple.blog.onet.pl/Historia-trzech-przyjaciol,2,ID324788897,n>.

⁷ *Ibidem*. Trzeba tu też uwzględnić liczne premie z różnych okazji, np. na ślub przyznano mu 4 tys. zł (P. Gontarczyk, *Prawdziwa twarz Lesława Maleszki* „Gazeta Polska” 27.07.1975).

⁸ Por. R. Terlecki, *Trochę strachu za duże pieniądze. Jak płaciła Służba Bezpieczeństwa*, [w:] *Agentura w akcji*, red. F. Musiał, J. Szarek, Warszawa 2007, s. 147–151.

ujawnił wysokości zarobków donosicieli w Krakowie – że asystent w Polskiej Akademii Nauk zarabiał w tym czasie 3945 zł⁹, fiat 126p kosztował w tak zwanym trybie ekspresowym 150 000 zł, a roczna średnia zarobków w kraju wynosiła wtedy 72 480 zł. Oznacza to, że donosiciele z pierwszej linii literackiego frontu dorabiali na pisaniu raportów od 1/3 do 2/3 dochodu rocznego przeciętnego Polaka.

Jak wypadali na tym tle szeregowi donosiciele? Ponieważ dzięki sprawozdaniu SB znamy ogólną sumę przeznaczoną przez Wydział III w roku 1980 na opłacenie 70 TW, 3 KO i 1 KT (280 857 zł), po odjęciu wspomnianych już zarobków „Ketmana”, „Marco” i „Rawicza” otrzymamy na głowę sumę 3820 zł rocznie. Oznacza to, że SB powiększało miesięcznie budżet domowy szarego krakowskiego donosiciela o sumę 318 zł. Przyznać trzeba, że nie jest to suma nokautująca, choć na pewno licząca się bardzo w budżetach domowych z trudem wiążących koniec z końcem literatów, dziennikarzy czy wykładowców.

Widzimy też tutaj, że różnica pomiędzy honorariami wyrobników agentury (KO, TW) a jej elitami (KT) była dość znaczna, ponieważ sprawny konsultant potrafił na swych donosach-ekspertyzach zarobić miesięcznie kwotę odpowiadającą średniej pensji miesięcznej w sferze budżetowej¹⁰, natomiast przeciętny donosiciel w środowisku literackim musiał się nieraz obejść tylko podarunkiem w postaci butelki wódki, wina lub koniaku (jak łatwo się domyślić, rosyjskiego lub bułgarskiego). Dla konsultantów judaszowe srebrniki były więc w tej sytuacji jedynie dodatkiem do ich znakomitych na ogół pensji, pobieranych w redakcjach czasopism, wydawnictwach lub instytucjach kultury. A także do licznych honorariów wydawniczych.

Aby mieć już całkowicie pełny i wiarygodny obraz, przyjrzyjmy się jeszcze zarobkom jednego z konsultantów wrocławskich. Aleksander Soszyński zarobił w latach 1975–1982 za analizy twórczości oraz oceny sytuacji politycznej w środowisku literackim sumę 42 000 zł. Oznacza to, że statystycznie „dorabiał” sobie donosami 6000 zł rocznie, a zatem ok. 500 zł miesięcznie¹¹, co w tamtych latach stanowiło sumę honorarium za pięciostronicową recenzję do pisma typu „Twórczość” lub „Miesięcznik Literacki”. Jak to się miało do jego oficjalnych zarobków? W roku rozpoczęcia swej „kariery” w SB zarabiał w Ossolineum na stanowisku kierownika działu literatury współczesnej 5300 zł, ale za sublokatorkę, w której

⁹ Przeciętne roczne wynagrodzenie w roku 1980 wynosiło 72 480 zł, tj. 564,00 dol. (47,00 dol./m-c), średni kurs dolara 128,50 zł. Zob. J. Baczyński, *Ile za dolara?*, „Polityka” 1984, nr 34 (1425), dod. „Export-Import” nr 8 (147); D. Ledwodowski, B. Wyżnikiewicz, *Polskie Eldorado*, „Polityka” 1987, nr 25 (1572), dod. „Export-Import” nr 12 (215).

¹⁰ Por. H. Głębocki, *op. cit.*, s. 121–148.

¹¹ SB wypłacało przeciętnie agentowi Soszyńskiemu „raty” w wysokości 1000–2000 zł (z precyzyjną specyfikacją rodzaju honorowanej sumy). Por. dane szczegółowe: AIPN Wr, 0095/4430 (mkf).

mieszkał ze swoją kochanką, płacił 1700 zł i tyle samo alimentów na dwójkę dzieci¹², co oznacza, że te dodatkowe pieniądze mocno ważyły w jego domowym budżecie. Choć trudno oprzeć się prostej konstatacji, że równie dobrze mógł taką samą sumę zarobić, pisząc artykuły i recenzje do pism literackich.

Do czego byli potrzebni konsultanci? Przede wszystkim do fachowej analizy utworów pisarzy partyjnych, podejrzewanych o oddalanie się od linii PZPR, do oceny stopnia radykalizmu poglądów twórców ongiś wiernych partii, ale w miarę upływu lat tracących z nią kontakt, do ustalenia zagrożenia ze strony literatów indyferentnych politycznie oraz niebezpiecznie dryfujących w kierunku obozu literatów niechętnych „ludowym porządkom”, wreszcie nawet – co здаwać się może absurdem – do określania wrogości wobec PRL-owskiego socjalizmu utworów pisarzy jawnie antykomunistycznych (pisanie takich recenzji było, jak się wydaje, ulubionym zajęciem konsultantów). Wiarygodność takiej analizy opierała się na sprawności KO w wyławianiu z tekstów faktycznych (zaszyfrowanych) znaczeń, politycznych aluzji i kontekstów, a wreszcie na ich spostrzegawczości w określaniu na bieżąco kierunków ewolucji poglądów autorów i ich stosunku wobec komunistycznych porządków. Równie ważnym zadaniem, jakie powierzano konsultantom, było systematyczne diagnozowanie tego, co dzieje się w Związku Literatów Polskich (szczególnie w jego decydenckich gremiach), ocena poziomu ryzyka utraty nad nim kontroli przez pisarzy wiernych partii, a także przewidywanie posunięć grupy autorów opozycyjnych i podsuwanie strategii, mającej zagwarantować władzom możliwość narzucania związkowi posłusznego im zarządu (na ogół przez wcześniejsze „ustawianie” wyborów).

Do dokonania tego typu ekspertyz potrzebni byli specjaliści naprawdę dobrze znający środowisko i jego mechanizmy, dysponujący niezłym warsztatem analitycznym, a przede wszystkim inteligencją. Tego wszystkiego nie mógł zagwarantować bezpiece pospolity denuncjator ani nawet etatowy funkcjonariusz SB. Takie zadania im naturalnie powierzano, ale kiedy zawodzili lub zachodziła potrzeba sprawdzenia słuszności ich tez, zawsze sięgano po analityka, czyli konsultanta. Tam, gdzie trzeba było rozwiązać trudny problem, np. rozszyfrować na podstawie paru tekstów autora publikującego pod pseudonimem w podziemiu lub na emigracji, jednoznacznie określić stosunek „zdezorientowanego” pisarza do władz lub spojrzeć na problem związku z wysokiej perspektywy (np. miejsca członków ZLP w rodzącej się opozycji lub „Solidarności”) – byli niezastąpieni.

Konsultanci bowiem to intelektualny sztab agentury. Ich ekspertyzy wyróżnia kompetencja, profesjonalizm analizy, precyzja i skuteczność dowodzenia,

¹² Wyliczenie to nie uwzględnia dodatkowych premii agenta. Na przykład w maju 1976 r. Soszyński otrzymał z kasy SB dodatkowe 4000 zł (za cały ten rok współpracy dostał 12 000 zł). Por. Teczka personalna TW „Zenon”. Karta 20, Arkusz wypłat i świadczeń; AIPN Wr, 0095/1256 d., mkf.

publicystyczna werwa, znakomite rozeznanie we wszystkich sprawach środowiska pisarskiego, a także umiejętność wpływania na decyzje jego związkowych gremiów (niekiedy zdolność publicznego artykułowania stanowiska władz jako rzekomej woli pisarzy partyjnych i „neutralnych”). Ich kierownicze funkcje w wydawnictwach, redakcjach najważniejszych periodyków oraz centralnych i terenowych ogniwach ZLP dawały im prestiż i możliwość wpływania na większość spraw rozgrywających się w środowisku literatów oraz na poszczególnych pisarzy. Wielu spośród konsultantów usytuowanych zostało w takich miejscach, by ułatwić im – niebudzący podejrzeń – kontakt z jak największą liczbą osób, obserwację jak najszerzego pola sceny literackiej, a wreszcie możliwość wyjazdów i kontaktów zagranicznych (np. Wacław Sadkowski pełnił funkcję redaktora naczelnego „Literatury na Świecie”, Kazimierz Koźniewski – redaktora naczelnego „Tu i teraz”). Jest zdumiewające, jak poważnie traktowali swoją działalność „usługową” dla SB. Pracując w końcu ofiarnie na swych redakcyjnych etatach, oddając się z poświęceniem działalności związkowej, a także – co oczywiste – własnej karierze literackiej, pozostawili jednocześnie ogromny dorobek agenturalny (np. zarówno „Olcha”, jak i „33” po pięć opasłych tomów donosów, zawierających ok. 1300 raportów, z których każdy liczył sobie od kilku do kilkudziesięciu stron¹³). Przeważają w nich materiały o charakterze analiz środowiskowych oraz wypowiedzi recenzenckie. W mniejszym stopniu niż „szeregowi” agencji poświęcali się pospolitemu donosicielstwu, choć nigdy nie wzdragali się przed przekazywaniem tego typu informacji i często nawet w raportach o charakterze ogólnym znaleźli sposobność, by wspomnieć, że ten czy ów pisarz ma chorego ojca lub matkę (konieczność zdobywania leków zagranicznych!), stałą kochankę, silny pociąg do alkoholu lub przystojnych chłopców. Nietrudno dociec, że były to wiadomości ogromnie przydatne do wszelkiego rodzaju szantaży.

Równie łatwo domyślić się, że pozyskiwanie tego typu informacji wymagało silnego zaangażowania towarzyskiego, konieczności bywania, spotykania się, utrzymywania licznych przyjaźni, spędzania wielu godzin w kawiarniach i klubach. Nic dziwnego więc, że instrukcje płynące z Warszawy do naczelników wydziałów terenowych, „opiekujących się” środowiskiem pisarzy, podkreślały konieczność dysponowania wśród miejscowej agentury przynajmniej jednym lub dwoma konsultantami¹⁴. Ta sama zasada obowiązywała w stolicy, gdzie zatrudniono wspomnianych już powyżej „stachanowców”, którzy sami wystarczali za cały sztab donosicieli.

Jak już powiedzieliśmy, była to grupa agentów wyjątkowo ceniona przez bezpiekę i przez najwyższe władze partyjne. To uznanie dla ich pracy skutkowało

¹³ Zob. J. Siedlecka, *Kryptonim „Liryka”. Bezpieka wobec literatów*, Warszawa 2009, s. 155, 242.

¹⁴ Tezy na naradę krajową kierowników Sekcji IV Wydziałów III KWMO z 27 X 1978, AIPN BU, 0296/62, t. 1.

niezwykłą wręcz stabilnością ich pozycji, ponieważ na ogół pełnili swoje „dyżury” przez długie dziesięciolecia, niezależnie od składu Biura Politycznego i Komitetu Centralnego, stanowiąc bardzo trwałe fundament informacyjny i analityczny aparatu państwowego. Zmieniali się pierwsi sekretarze partii, członkowie jej najwyższych gremiów, szefowie służb tajnych, nawet oficerowie prowadzący, a oni zostawali, służąc kolejno: Bierutowi, Gomułce, Gierkowi, Kani, Jaruzelskiemu, Rakowskiemu. Najbardziej zasłużeni spośród z nich działali w pięciu dużych miastach: w Krakowie – Jacek Kajtoch („Jacek”), Henryk Karkosza („Monika”), Lesław Maleszka („Ketman”), „Jerzy Rawicz”, Michał Ronikier („Zygmunt”), Stanisław Stanuch („Filolog”); we Wrocławiu – Lech Isakiewicz („Kasander”) i Aleksander Soszyński („Zenon”); w Szczecinie – „IGK”; w Łodzi – „M.J.”; w Warszawie – Krzysztof Gąsiorowski („KG”), Władysław Huzik („Matrat”), Kazimierz Koźniewski („33”), „KS”, „MJ”, Aleksander Nawrocki („AN”, „Aleksander”), „S”, Waław Sadkowski („Olcha”), „Stanisław”, „Tatra”, Marek Wawrzekiewicz („MW”), Grzegorz Wiśniewski („WSW”), Andrzej Zaniewski („Witold Orłowski”). Nie ulega wątpliwości, że ich liczba była znacznie większa¹⁵. Dzisiaj znamy nazwiska i pseudonimy 22 KT, ale trzeba pamiętać, że każdy prawie miesiąc prac archiwalnych w IPN przynosi nowe informacje o tym „tajnym ramieniu” partii.

Pozostał po nich bogaty ilościowo dorobek, co wnioskujemy szczególnie na podstawie opastych akt Koźniewskiego i Sadkowskiego, choć wciąż jeszcze dalecy jesteśmy od ustalenia atrybucji wielu raportów, a co za tym idzie – wskazania, kto kryje się pod znanymi już kryptonimami. Tę grupę tajnych współpracowników wyróżnia kompetencja, inteligencja, spostrzegawczość, profesjonalizm analizy, precyzja i skuteczność dowodzenia, a przede wszystkim ogromna pracowitość, potwierdzona wielką liczbą recenzji i opinii, głównie na temat utworów pochodzących z niezależnego obiegu oraz z emigracji. Ktoś złośliwy mógłby nawet powiedzieć, że swoją aktywnością biją na głowę recenzentów literackiego podziemia. I faktycznie, wykonywali niemałą pracę. Kierownictwo SB ceniło ich za pracowitość, pryncypialność, mobilność oraz manewrowość, a zatem zdolność do działania w różnych środowiskach zawodowych, a także kilku naraz miastach. Bez wątpienia nie byłoby to możliwe bez ich energii, wszędobylstwa, wrodzonych talentów towarzyskich oraz (niekiedy) dyplomatycznych, a także daru naturalnego wtapiania się w środowiskowe tło.

Ich agenturalne piarstwo wyróżniają: sprawny i sugestywny język, łatwość narracji (wręcz swada), elegancja i staranność stylu (choć niekiedy połączone z kliszami nowomowy – u różnych agentów w różny sposób). Wyrażało się to najczęściej w używaniu struktur frazeologicznych zaczerpniętych z języka partyjnej propagandy, co być może miało na celu wykazanie, że ekspertyzę napisał „swój”, „towarzysz” (nie jakiś „cywilny” ekspert), ale być może było to czysto lizusow-

¹⁵ *Ibidem*.

ską nadwyżką, bo w końcu nikt od nich tego nie oczekiwał, a może nawet za to nimi pogardzał.

Nie mamy wciąż jeszcze dostępu do teczek wielu konsultantów, rozpracowujących środowisko literackie (zwłaszcza w mniejszych ośrodkach), więc ogląd ich dorobku jest ciągle fragmentaryczny, niepełny, niemniej możliwe są już pewne wstępne ustalenia i spostrzeżenia. W niniejszym szkicu skoncentruję się na opisie donosicielskiego „dorobku” dwóch KT, osadzonych w literackim środowisku Wrocławia, choć jak zobaczymy, działających także w roli „spadochroniarzy” w innych miastach, a nawet poza granicami kraju.

Aleksander Soszyński (KT „Zenon”) nie od razu dochrapał się statusu konsultanta i przez długi czas pracował jako szeregowy TW¹⁶. Jako kierownik Redakcji Literatury Współczesnej w Wydawnictwie Ossolineum we Wrocławiu miał spore kompetencje, znakomite zakorzenienie w środowisku i naturalne możliwości kontaktowania się z dużą liczbą autorów. Jego rozliczne spotkania i rozmowy z pisarzami nie mogły budzić żadnych komentarzy i być przedmiotem dociekań. Jak świadczą raporty drugiego wrocławskiego konsultanta i paru innych tajnych współpracowników, „Zenon” obdarzony był ponadto wrodzonym zmysłem intrygi i potrzebą aktywności środowiskowej oraz związkowej, co czyniło z niego ważną postać miasta¹⁷. Jeśli dodać do tego, że w jego rękach pozostawały decyzje o wydawaniu lub odrzucaniu książek w największym wydawnictwie Dolnego Śląska, ich wstępnym (ale za to równie zasadniczym jak w GUKPPiW) cenzurowaniu oraz terminach ukazania się, a trzeba przypomnieć, że w tamtych latach na druk czekało się latami, to uzyskamy obraz konsultanta jak marzenie. Soszyński miał do tego – jak głosiła esbecka fama – spore zdolności analityczne, połączone ze skłonnością do psychoanalitycznego czytania utworów, choć nie we wszystkich raportach czynił z nich użytek. Jako urodzony plotkarz, węszył chętnie za pikanterią, więc nierzadko jego raporty wzbogacane były dodatkowymi akcentami obyczajowymi. Zlecano mu głównie analizę zjawisk, które rodziły podejrzenie krytycyzmu wobec rzeczywistości PRL, a kiedy wnioski takie nie potwierdzały się lub okazywały się nie dość mocno udokumentowane, Soszyński koncentrował się na literackich przejawach pesymizmu (niekiedy diagnozował depresję), ponieważ one również zwiastować mogły brak akceptacji ustroju lub uleganie modnym kierunkom na Zachodzie.

Trzeba przyznać, że „Zenon” nie kierował się w swoich analizach łatwizną i nie wystarczało mu wykazanie, że ten czy ów z pisarzy jest po prostu niezadowolony z ustrojowych realiów. Jego oceny wykazują ponadstandardową (w stosunku do poziomu reprezentowanego przez TW) ambicję, mają charakter typowych dla

¹⁶ Został zwerbowany jako konsultant (wcześniej przez rok był kandydatem) w czerwcu 1976 r., a wyłączony z sieci w czerwcu 1984 r.

¹⁷ Zob. np. A. Soszyński, *Życie literackie powojennego Wrocławia*, [w:] *Wrocław. Jego dzieje i kultura*, pod red. Z. Świętochowskiego, Warszawa 1978.

czasopism literackich recenzji, wyposażonych w sporą liczbę konkluzji, które aparatowi do niczego potrzebne być nie mogły. Czytając je dzisiaj, zastanawiać się nawet można, czy ich adresaci nie tracili czasem cierpliwości (ale pewnie nie, ponieważ służbowe dopiski wyrażają zadowolenie z agenta¹⁸). Analizując np. lirykę Marianny Bocian, w związku ze sprawą operacyjnego sprawdzenia „Warchoła”, Soszyński popełnił wnikliwą i obszerną recenzję¹⁹, wyjaśniając, że jej hermetyczna i przepełniona buntem poetyka w integralny sposób zrośnięta jest z jej psychiką, w mniejszym zaś stopniu stanowi wyraz jej poglądów politycznych. Posługując się cytatami, które pracowicie wynotował z jej niepublikowanego tomiku (w wypadku innych wrocławskich autorów też chętnie posługiwał się taką wiedzą), dowodził, że w jej przypadku nie ma mowy o „zwykłym” antykomunizmie, ale buncie totalnym, który z równym powodzeniem objawiłby się w Polsce, jak i w każdym innym kraju, w tym również kapitalistycznym, ponieważ korzenie problemu tkwią nie w polityce, ale w urazach pisarki z dzieciństwa, przypadłościach psychicznych, nieprzystosowaniu oraz w niezaspokojonym głodzie erotyki. Oczywiście, Soszyńskiemu najłatwiej byłoby orzec, że Bocian po prostu żywi gwałtowną niechęć do systemu i należy jej zamrozić możliwości druku, bo w końcu taki język najlepiej rozumiano w bezpieczeństwie, a mimo to, odwołując się do psychoanalizy oraz wiadomości *stricte* prywatnych, pracowicie wyjaśniał swojemu zwierzchnikowi, kpt. Stefanowi Jędrzejczakowi, że ma tu do czynienia z przypadkiem integralnej samotności i poczucia kamiennej, dojmującej obcości, co niejako siłą faktu przeradza się w agresję (także przeciwko sobie) i bunt przeciwko socjalizmowi, który jest jedynym światem pisarki.

Przyczyną takiego stanu wyobcowania, który Soszyński dostrzega zresztą nie tylko u Bocian, ale również u innych pisarzy (np. Wojciecha Śmigielskiego, Urszuli Benki, Salomei Kapuścińskiej, Czesława Sobkowiaka²⁰), są oczywiście postępujące zmiany osobowościowe, niemożność pełnego zrealizowania się w roli pisarza oraz dezintegracja literackiego środowiska Wrocławia. Jest ono – zdaniem „Zenona” – zatowiszowane i rozbite. Odpowiedzialność za ten stan rzeczy w kręgu pisarzy „zawodowych” ponoszą przede wszystkim redaktorzy „Odry”, Zbigniew Kubikowski i Urszula Kozioł, ponieważ rzekomo nie chcą drukować młodych, co popycha piszącą młodzież w kierunku kontestacji, w Kole Młodych zaś – Andrzej Więckowski, który skłócił wszystkich do tego stopnia, że stracili

¹⁸ Zob. np. AIPN Wr, 0095/4430, mkf, k 2 („Inteligentny, posiadający sporą wiedzę w zakresie współczesnej literatury. Sam zajmuje się publicystyką”); AIPN Wr, 0095/4430, k. 13, mkf („Mając na uwadze fakt usytuowania »Zenona« [...] jego autorytet, przygotowanie fachowe i wykształcenie, zaangażowanie po stronie socjalizmu i jego aktualnej polityki, wyrażone zdecydowaną wolą wykonywania zleconych zadań – wydaje się, że stwarza to nam szczególnie dogodne warunki do wykonywania wielokierunkowych zadań”). Notatka służbowa dot. kandydata na konsultanta, 20 V 1976, podpisał kpt. Stefan Jędrzejczak.

¹⁹ „Zenon”, Ocena..., AIPN Wr, 053/2221, s. 168.

²⁰ Por. Ocena..., AIPN Wr, 054/1247, s. 207–210.

poczucie identyfikacji z ogniwem związku i przenieśli się do Instytutu Filologii Polskiej, pod skrzydła Lothara Herbsta i Jacka Łukasiewicza. W niedostatkach pracy organizacyjnej upatruje też Soszyński przyczyny tak dużej popularności Nowej Fali – którą zresztą nisko ceni jako ofertę artystyczną.

Wnioski tego typu grzeszą oczywiście wyjątkową naiwnością i przypominają diagnozy niektórych partyjnych egzekutyw, które unikając mówienia po imieniu np. o katastrofalnym stanie polskiej gospodarki i rosnącym niezadowoleniu społecznym, stwierdzały, że sytuacja ogólna spowodowana jest niewłaściwą pracą wychowawczą w tzw. dołach partyjnych (POP). Często było to zresztą pretekstem do konkretnych rozgrywek personalnych. Bez wątpienia tak samo było z Soszyńskim, który – skonfliktowany z częścią środowiska wrocławskiego – najchętniej o całe zło świata oskarżyłby zespół „Odry”, co zresztą robił z wyjątkową konsekwencją, donosząc na jego liderów praktycznie bez przerwy. Jego uwikłanie w gry, których celem było przejęcie kontroli nad miejscowym ogniwem Związku Pisarzy Polskich (a w perspektywie i czasopiśmem), znakomicie widać na przykładzie entuzjastycznej recenzji dorobku Franciszka Sikorskiego, przedstawionego zwierzchnikom przez konsultanta jako arcytalent i ofiara politycznego oraz towarzyskiego ostracyzmu ludzi z „Odry”. Soszyński pisze o nim w poetyce laudacji, uznając jego twórczość za zjawisko rangi światowej. Przyczynę tej kompletnie oderwanej od rzeczywistości opinii wyjaśnia nam dopiero dopisek pod raportem, sporządzony przez kpt. Jędrzejczaka. Wynika z niego, że Sikorski był szykowany przez bezpiekę do wejścia do Zarządu Oddziału ZLP²¹. Jednocześnie widać tu, że wrocławski konsultant w niczym nie przypomina klasycznego TW, gdyż jego celem nie jest wyłącznie donoszenie i czerpanie z tego profitów, ale czynne wpływanie na środowisko literackie swojego miasta i regionu.

Gdyby spoglądać na raporty „Zenona” z obecnego dystansu historycznoliterackiego, można by powiedzieć, że jest to „dorobek”, który daje ciekawy ogłęd sytuacji we wrocławskim oddziale ZLP w latach 70., ale jako próbka warsztatu krytycznoliterackiego zaskakuje i drażni, bo obok analiz wnikliwych (np. na temat Bocian czy W. Śmigielskiego), obszernie okraszanych cytatami, napisanych ze swadą i chęcią faktycznego wgryzienia się w istotę omawianych utworów, napotykamy opisy żenująco słabe, pisane na poziomie analitycznym przeciętnego nauczyciela języka polskiego z liceum. Przykładem takiego tekstu jest wspomniana wcześniej Ocena z 1975 r., w której Soszyński tłumaczy zwierzchnikom, że w nowofalowym „mówieniu wprost” (którego zresztą śladów nie umie rozpoznać w liryce młodych wrocławskich poetów) nie należy „dopatrywać się negacji rzeczywistości”²², a postawy kontestatorskie wygasłyby na pewno, gdyby we wrocławskim Kole Młodych zapanowały braterstwo i miłość w wyniku wyboru nowego prezesa.

²¹ Informacja kons., AIPN Wr, 053/2234, s. 14.

²² Ocena..., s. 206–207.

Niestety, aspiracje Soszyńskiego nie idą w parze z talentami literaturoznawczymi, bo jego dorobek „ekspercki” jest dość prowincjonalny, zarówno w kwestii wycucia hierarchii wartości, w przyjmowanych kryteriach selekcji, jak i w perspektywie widzenia wrocławskich ofert literackich (KT postrzega je wyłącznie w kontekście miejscowych autorytetów i zjawisk). W końcu prezentowanie np. Bernarda Antochewicza, Lothara Herbsta, Wojciecha Śmigielskiego, Bogusława S. Kundy, Michała Fostowicza, Salomei Kapuścińskiej, Henryka Gały, Mieczysława Machnickiego i Henryka Wolniaka jako jednych z „najważniejszych polskich zjawisk” zdradza kompletny brak wycucia konsultanta, jego artystyczną niewrażliwość, a być może po prostu niekompetencję. Ale widocznie z punktu widzenia bezpieki Soszyński dobrze spełniał jej oczekiwania, bo w jednym z raportów kpt. Stefan Jędrzejczak (kierownik wrocławskiej Sekcji IV, Wydz. III) pisał: „Dużym osiągnięciem operacyjnym w ostatnim okresie było pozyskanie konsultanta z zakresu twórczości literackiej ps. »Zenon«”²³.

Za najcenniejszą postać w środowisku wrocławskiej agencji literackiej bezpieki uważała jednak Lecha Isakiewicza (KT „Kasander”), autora ponad 100 donosów, z których część dotyczyła innych miast, a nawet zagranicy, co świadczy o dużej operatywności agenta i jego talentach towarzyskich. Cechowały go wszędobylstwo, pewien typ misiowatej jowialności, rozległe znajomości w różnych środowiskach (nie tylko literackich), manewrowość, niezłe kontakty w kręgu pokolenia Nowej Fali, do którego zresztą wiekowo należał, zdolność szybkiej adaptacji, poruszania się w kompletnie obcych i nowych środowiskach (Szwecja²⁴), wreszcie szybkość wyprowadzania trafnych diagnoz z obserwacji. Oceniając postępy prac wywiadowczych na terenie Wrocławia i województwa dolnośląskiego, kpt. Jędrzejczak pisał: „Na pozytywne rezultaty naszych celów [...] w ramach spraw operacyjnych wpłynęła dobra praca z osobowymi źródłami informacji, a szczególnie z tw. ps. »Kasander«, który z uwagi na poważny autorytet środowiskowy, możliwości docierania do interesujących nas osób może wykonywać wielokierunkowe zadania”²⁵.

Jak zatem widzimy, była to postać ważna dla wrocławskiej bezpieki, a dla obserwacji literatów kluczowa. Faktycznie, był to agent niezwykle pożyteczny. Pisał donosy ciekawe i pełne swady (co rzadkie w tym gatunku, poza produkcją paru KT), wykazując się zmysłem kompozycji oraz talentem do prowadzenia narracji. Wyrazisty, dosadny i śmiały w sądach, nie ukrywał swojego stosunku do wrocławskiego Parnasu, który uważał za konstrukcję *z papier mâché*, ukrywającą pustkę i koszmar beztalencia. Co więcej, pozwalał sobie również na krytykę postępowania władz, dowodząc, że „administracyjnymi metodami same antago-

²³ IPN 054/1247, s. 82.

²⁴ „Kasander”, Informacja TW, AIPN Wr, 053/2222, s. 88–93.

²⁵ Kpt. S. Jędrzejczak, Analiza, AIPN Wr, 054/1247, s. 82.

nizują środowisko młodych pisarzy”, a później się dziwią, że wzbudziły w nim niepokoję²⁶. Bez wątpienia był dobrym i złośliwym obserwatorem, potrafiącym zachować spory krytycyzm w ocenie otaczającego go świata, zwłaszcza że natura obdarzyła go zmysłem praktycyzmu, który pozwalał mu spoglądać na rzeczy z dystansu i bez sentymentów opisywać inwigilowane środowiska. Na pewno był utalentowanym, choć nieodkrytym publicystą oraz reporterem, mającym smykałkę do pisania o ludziach i ich utworach. Robił to z wrodzoną weną i fantazją. W dodatku wykazywał dar zdobywania informacji, co musiało łączyć się z umiejętnością towarzyskiej (a może i przyjacielskiej) konwersacji. Pozwalało mu to operować swobodnie w kręgach literackich Krakowa, Warszawy, Poznania, Łodzi i oczywiście Wrocławia. Znajdując się za granicą, radził sobie równie dobrze. Jego dorobek literacki nie mógł być przepustką do snobistycznych środowisk, więc zapewne nadrabiał to dezynwolturą, otrząskaniem, znajomościami i esbeckim researchem. Szczególnie dobrze sobie radził wśród artystycznej „młodzieży”²⁷. Aby podnieść jego wydajność, motywowano go finansowo: na „delegację” dostawał 1000 zł, za wykonanie kilku zadań miejscowych 500 zł.

Przyjrzyjmy się na przykład kilku agenturalnym pracom Isakiewicza. W przeciwieństwie do swego starszego kolegi Soszyńskiego (przypominam: redaktora prestiżowego wydawnictwa) miał dobre wyczucie wartości i nie wpadał w emfazę, opisując lokalne zjawiska literackie i miejscowych gwiazdorów. Niemalże z zasady zachowywał wobec nich rezerwę, a większość z nich uważał za miernoty. Tak było też z oceną dorobku Ugrupowania 66, który uznawał za zbiorową grafomanię, co kazało mu postawić tezę, iż właśnie brak talentu popchnął jego czołowych reprezentantów (Ernest Dyczek, Jerzy Pluta) do szlifowania wspólnego programu, bo tylko jako grupa byli w stanie wygospodarować sobie przestrzeń wśród PRL-owskich instytucji życia literackiego (własne pismo, etaty redakcyjne, wieczory autorskie, wzajemne obdarzanie się nagrodami). Ta skłonność do bezceremonialności nie hamowała go, gdy pozwalał sobie na przytaczanie przy okazji wyjątkowo drastycznych plotek na temat życia osobistego członków grupy (Pluta) oraz formułowanie supozycji, że niektórzy z nich pracują – tak samo jak on – dla bezpieki²⁸.

Tę samą esbecką pryncypialność zachował, pisząc o Stanisławie Srokowskim jako redaktorze działu kulturalnego tygodnika „Wiadomości”, donosząc, że doprowadził pismo do katastrofального stanu, zapelniając 2/3 każdego numeru swoją produkcją pod kilkoma pseudonimami, a pozostałą 1/3 oferując gronu znajomych, pozbawionych jakichkolwiek kwalifikacji do pisania o czymkolwiek²⁹. Ciekawe jednak, że omawiając np. poezję Marianny Bocian, której jako osoby

²⁶ TW „Kasander”, Informacja, IPN 054/1247, s. 30–31.

²⁷ Należy tu przypomnieć, że za czasów PRL do Koła Młodych Pisarzy należało się nawet do 45. roku życia.

²⁸ TW „Kasander”, Informacja, AIPN Wr, 054/1247, s. 57.

²⁹ TW „Kasander”, Informacja, AIPN Wr, 032/784, t. 2, s. 168.

w sposób wręcz organiczny nie znosił, czynił to z powagą, jakby doceniał impetyczność – z lekka tylko zamaskowaną hermetyczną poetyką – z jaką wyrażała swe niezadowolenie z życia w Polsce, krytyczny stosunek do ustroju i przekonanie o braku wolności³⁰. I tu – znów przeciwnie niż kunktatorski KT „Zenon”³¹ – nie miał najmniejszych wątpliwości, że psychiczne problemy poetki nie stanowią żadnego zakłócenia w ocenie komunistycznej rzeczywistości, co najwyżej intensyfikują jej odbiór, nakazując artykułować sprzeciw w mowie poetyckiej. Trafnie też przy tym wskazywał na jej egocentryzm, megalomanię, impulsywność, niezdolność do utrzymywania harmonijnych kontaktów zawodowych (nienawiść do Urszuli Kozioł, z wzajemnością zresztą), wreszcie niezdolność do oparcia się roznoszącym ją emocjom. Kreśląc jej poetycką sylwetkę, „Kasander” przytaczał ciekawe wiadomości na temat jej bliskich związków z zakonnicami i klerem (KIK), z pisarzami emigracyjnymi (Czesław Miłosz, Marian Czuchnowski, Jan Brzękowski) oraz opozycyjnymi (Jacek Bierezin, Witold Sułkowski), czym oczywiście potwierdzał wielopoziomowość jej negatywnego stosunku do PRL. Bez wątpienia działał w ten sposób na jej szkodę, redukując szanse na druk kolejnych utworów poetki, a tym samym jej wyleczenie, ale czytając tę jego niszczyielską ekspertyzę z perspektywy czasu, odnosi się nieodparte wrażenie, że potraktował ją wrogo, ale z pewnym respektem dla jej bezkompromisowości. Była to wypowiedź przeciwnika, ale takiego, który nie lituje się nad ofiarą, ale też się nad nią nie pastwi (np. wyzłośliwiając się, co było standardem innych lokalnych TW). Po prostu profesjonalnie zabija, nie próbując nawet udawać współczucia. A ponieważ zawodowcom nic nie umyka z pola widzenia, kończąc swój donos o poetce, dołącza w ostatnim akapicie, kompletnie nie *à propos*, przywiezioną świeżo z KGHM informację, że przeciwnicy komunizmu masowo zapisują się do PTTK, by pod płaszczykiem państwowo zorganizowanej turystyki knuć przeciwko Polsce Ludowej³². Nic dodać, nic ująć: fachowiec od demaskowania wrogów ustroju czuwa zawsze, nie ogranicza się tylko do pisarzy.

„Kasander” – znów w przeciwieństwie do KT „Zenona” – dostrzega siłę poetyckiego nurtu kontestacji, nie lekceważy go, ale nie obawia się groźby proliferacji jego poetyckiej „metody” (w czym bez wątpienia się mylił), widząc niezliczonych epigonów, „którzy w imię odfałszowania rzeczywistości będą zafałszowywać wszystko dookoła brakiem poetyckiego talentu, a wiersze [...] będą przypominać szpalty gazet...”³³, a więc zdewaluują ze szczeniem to, co jest literacką wartością Nowej Fali. Być może kłopotem Isakiewicza była niezdolność dostrzeżenia wśród swoich rówieśników, na ogół kolegów, materiału na prawdziwych pisarzy. Kiedy pisał bowiem np. na temat wyborów do wrocławskiego zarządu Koła Młodych,

³⁰ TW „Kasander”, Informacja TW, AIPN Wr, 053/2221, s. 165–167.

³¹ Zob. omówienie twórczości Bocian przez KT „Zenona” (Ocena, AIPN Wr, 053/2221, s. 168).

³² TW „Kasander”, Informacja TW, *op. cit.*, s. 167.

³³ TW „Kasander”, Informacja, AIPN Wr, 054/1247, s. 96.

bez ceregieli rozdzielał cierpkie opinie na temat swoich kolegów od kieliszka³⁴. Nie masz proroków między swymi, stara to prawda. Otaczają mnie nieudacznicy – zdawał się mówić konsultant – a jeśli już mają odrobinę talentu, topią go w alkoholu (Janusz Gałek) lub we frustracjach (Andrzej Więckowski). Na ogół jednak to beztalencia i epigoni (np. Jan Strządała).

Niewiele więcej rewerencji odnajdziemy w Informacji TW na temat Mieczysława Orskiego, mimo jego dorobku krytycznego i literackiego, który nakazywałby agentowi Wydziału III większy respekt. Przeszkadzała mu w tym – jak pisał – jego śliskość, ostrożny konformizm i wyrachowanie. Szans na jego powrót do literackiej formy konfident nie widział, ponieważ możliwość kontynuacji poetyki Orientacji przez Orskiego – jego zdaniem – się skończyła, podjęcie zaś dyskursu nowofalowego przekraczało jego zamierzenia i możliwości³⁵. Poza tym pozostawał jeszcze jeden problem: redaktorowi „Odry” nie podobał się socjalizm, a to przypadłość, która ogromnie przeszkadza w karierze.

Jak widzimy, i w tym punkcie „Kasander” się pomylił, jednak szkicując sylwetkę Zbigniewa Kubikowskiego i jego roli w literackim środowisku Wrocławia, udało mu się chyba trafić w istotę rzeczy. Jego Informacja operacyjna³⁶ cofa się chronologicznie do roku 1956 i pokazuje początek problemu, jakim był okres koegzystencji i rywalizacji „starych” (Henryk Worcell, Tymoteusz Karpowicz, Tadeusz Lutogniewski, Kubikowski) z „młodymi” (Andrzej Bartyński, Kapuścińska, Jan Czopik, Urszula Koziół). Jak łatwo dostrzec, różnice wieku były raczej symboliczne niż rzeczywiste. Potwierdził to zresztą *casus* Koziół, która oderwała się od „młodych”, by stworzyć twórczy alians z Karpowiczem, Józefem Kelera, Łukasiewiczem i właśnie Kubikowskim, wkrótce prezesem oddziału ZLP (dwie kadencje). Już w 1972 r. powołano go na stanowisko redaktora naczelnego „Odry”, którą zresztą już wcześniej rządził z kolegami jak szewc kopytem, tworząc żelazną koalicję, czyniącą z pisma bastion obronny przed młodszymi. Ponieważ udało im się w dodatku – twierdzi konsultant – rozgłosić na całą Polskę opinię, że „we Wrocławiu liczyły się tylko nazwiska Koziół, Kubikowski, Łukasiewicz, Kelera i Karpowicz”³⁷, pismo przekształciło się w rodzaj elitarnego dworu. Młode talenty (o ile takie Wrocław w ogóle kiedykolwiek posiadał – powątpiewa „Kasander”), aby móc drukować, skupiły się pod przewodnictwem Lothara Herbsta wokół „Agory”. Konkurencję Kubikowski spacyfikował dwoma ściągniętymi ruchami: jedną ręką skaperował do „Odry” paru autorów z „Agory” (ale ich nie drukował, trzymając teksty w szufladzie, bo chodziło mu tylko o osłabienie rywala), drugą zaś ściągnął do redakcji „legię cudzoziemską” w postaci Stanisława Barańczaka i Adama Zagajewskiego, co miało potwierdzić

³⁴ TW „Kasander”, Informacja TW, AIPN Wr, 054/1247, s. 100–104.

³⁵ TW „Kasander”, Informacja TW, AIPN Wr, 053/2210, s. 72–75.

³⁶ TW „Kasander”, Informacja operacyjna, AIPN Wr, 00191/489, s. 78–82.

³⁷ *Ibidem*, s. 78.

opinię, że „we Wrocławiu nie ma zdolnych młodych pisarzy”. Stało się to początkiem jego końca, bo w 1976 r. został zwolniony ze stanowiska.

Jak widzimy, historia serii intryg z Kubikowskim w roli głównej, opowiedziana przez Isakiewicza, brzmi jak prowincjonalna odyseja, ale prezentuje autora *Bezpiecznych małych mitów* jako utalentowanego działacza, sprawnego redaktora i mistrza środowiskowych gier. Jak na wizerunek ideologicznego wroga jest to wcale nie najgorsza opinia, bo w końcu donosiciel nie opisał go jako „niebezpiecznego reakcjonisty”, „zacieklego wroga Polski Ludowej” czy „ideologicznego dywersanta”, a mógł, przecież takim językiem i z taką pianą na ustach pisywali gwiazdorzy agentury – Sadkowski oraz Koźniewski. Czytając raporty „Kasandra”, odnosi się wrażenie, że mimo ich ewidentnej szkodliwości nie pisał ich oślepiiony ideologią fanatyk czy strateg władzy, ale zimny technokrata agentury, który solidnie i z fantazją wykonywał swoją pracę, bo mu to po prostu się opłacało, ale nie wyżywał się ponad miarę. A że niszczył? Kombajn strzyże pole, więc to i owo na polu poniszczy.

Konsultanci byli wyjątkowo stabilnym elementem systemu esbeckiej informacji na temat środowiska literackiego. Ich pracowitości i panoramicznemu systemowi oglądu aparat zawdzięczał wyjątkowo precyzyjny obraz najważniejszych spraw, jakie go interesowały. Pisali z zaangażowaniem i werwą do końca – szukali rozwiązań, pouczali, wyrażali pewność odbicia się od dna. Nie wszyscy oczywiście w jednakowy sposób, bo np. jeden z tytanów donosicielstwa – Sadkowski – w połowie lat 80. utracił jakby wcześniejszą produktywność i wigor, ale już na pewno w żaden sposób nie da się tego powiedzieć np. o Koźniewskim. Zresztą są to już lata, gdy i w szeregi najwyższych funkcjonariuszy partii wkraadały się nastroje defetystyczne. Niemniej, spoglądając ogólnie, trzeba powiedzieć, że erozja wiary w odzyskanie kontroli nad społeczeństwem wśród konsultantów postępowała najwolniej. W czasach, gdy nikt już nie traktował ustroju poważnie, oni wciąż rozsnuwali świetliste plany osłabienia wpływów opozycji w środowisku literackim, „rozmiękczenia” niezdecydowanych i lękliwych, przeciągnięcia wreszcie na „naszą stronę” pisarzy programowo politycznie niezaangażowanych (słusznie zapewne podejrzewali, że czekają na to, kto będzie górą i co im się bardziej opłaci). Niestrudzenie doradzali przeprowadzanie z nimi rozmów, stosowanie ekonomicznych nacisków, wprowadzanie systemu profitów za jasną deklarację i popieranie władz, wreszcie zdecydowane zawężanie pola wyboru. Oddanie, przekonanie i żar, z jakimi doradzali swoim zwierzchnikom kolejne rozwiązania, mogłyby wzbudzać wzruszenie, gdyby tak nieprawdopodobnie nie rozmijały się z nastrojami i potrzebami społecznymi. Stały one na antypodach tego, czym żyło i czego dopominało się radykalizowane i zbuntowane środowisko literackie.

Ta betonowa wiara w swą kompetencję i nieomyślność, które zmieniałyby na lepsze (w sensie: na gorsze) świat, gdyby tylko odpowiednie czynniki na czas wcieliły w czyn ich wizje, jest nawet w jakiś sposób zabawna, ponieważ zdradza

silną frustrację i poczucie wymykanie się konsultantom rzeczywistości z palców, ale jednocześnie też rodzi przerażenie – bo była to grupa ludzi, która otaczający świat traktowała jako rodzaj szachownicy. Na niej – kompletnie lekceważąc potrzeby i aspiracje obywateli (w ich pojęciu figur) – rozgrywali swoje strategiczne i taktyczne symulacje, doradzając ich praktyczną aplikację. Oczywiście cudzymi rękami. Kiedy efekty okazywały się inne od zamierzonych, wyjaśnienie zawsze znajdowali poza sobą – w nieudolności lub kunktatorstwie władz oraz w „dobrych wiatrach”, które pomagają opozycji. Do końca jednak nie tracili nadziei na odmianę sytuacji. Ktoś, kto dysponuje tak potężnym i wszytkowiedzącym aparatem – rozumowali – może przeżywać tylko chwilowe trudności, wynikające z uwarunkowań globalnych lub czasowej zapaści ekonomicznej, podgrzewającej społeczne niepokoje, nie może jednak utracić władzy.

Wszystkie rozważania na temat przyczyn tak mocnego zaangażowania konsultantów w donosielską pracę obciążone są dużym stopniem niepewności. Zawsze najłatwiej przyjąć, w zgodzie zresztą z najlepszą wiedzą bezpieki w tej sprawie, że wynikało to z pobudek finansowych. I trudno z tym dyskutować. Elementarny jednak rozsądek nakazuje przyjąć, że nie mogły to być wyłącznie motywy pieniężne, bo ostatecznie konsultanci nie byli zwykłymi donosiicielami, ale ludźmi owładniętymi poczuciem misji, co potwierdza sposób ich pracy: nie uprawiali chałtury (choć mogli) i pisali swoje raporty z zacięciem oraz rozmachem, tracąc na to bardzo wiele czasu (ich donosy to kilkunastostronicowe elaboraty, redagowane z wyraźną troską o precyzję, barwność lub elegancję języka), choć przecież byli ludźmi bardzo zajętymi, działającymi na wielu polach. Niejednokrotnie w swoje donosy-ekspertyzy dosłownie wkładali serce. Niektórzy z nich, jak stwierdziłem w szkicu *SB jako krytyk literacki*, pisali nawet lepsze literacko raporty niż własne utwory krytycznoliterackie³⁸. Oznacza to, że nie traktowali swej „pracy” wyłącznie jako działalności przyziemnej, czysto zarobkowej. Ale jaka to była misja? Czy chodziło w niej o piękno i uczciwość polskiej literatury współczesnej? Czy chodziło o to, by Polska poezja, dramat i proza były jak „zwierciadło przechadzające się po gościńcu” i odbijające wiernie to, co się dzieje w kraju? Niestety, czytając ich raporty, nie można się dopatrzeć nawet cienia takich intencji. Ich celem nie była – by użyć myśliwskiej analogii – troska o różnorodność, zdrowie i piękno żyjącej w lesie zwierzyny, ale stała kontrola ich leży, rozpoznanie ścieżek, jakimi się porusza, by w każdej chwili można było ją odłowić, uwięzić w rakarskiej zagrodzie lub po prostu odstrzelić.

³⁸ S. Bereś, mps w posiadaniu autora, napisany na zamówienie IPN do projektu „Aparat bezpieczeństwa wobec środowisk twórczych, dziennikarskich i naukowych”.

Podziękowania za wpłaty – specyficzna rubryka gazet podziemnych

Lata 80. ubiegłego wieku były okresem rozkwitu prasy podziemnej. W pierwszym roku stanu wojennego ukazało się kilkaset wydawanych tajnie nowych czasopism. W całym okresie końca lat 70. i lat 80. było wydanych 4338 tytułów¹. Ogromna skala tego zjawiska świadczy o jego wyjątkowości.

Wydawanie gazet podziemnych wiązało się nie tylko z ryzykiem kary w razie wykrycia przez organy bezpieczeństwa. Do wydawania gazet podziemnych potrzebne były także pieniądze. Szczepan Rudka, opisując wrocławską prasę bezdebitową, tak przedstawił finansowy aspekt wydawania prasy podziemnej:

Wydawanie czasopism bezdebitowych, zwłaszcza drukowanych w większych nakładach, wiązało się z poważnym obciążeniem finansowym. W przeciwieństwie do książek, których koszty publikacji zwracały się zazwyczaj po sprzedaży, pisma bezdebitowe rzadko „zarabiały” na siebie. Większość z nich rozprowadzano bowiem bezpłatnie (zwłaszcza te o objętości do 4 stron), ponieważ dzięki temu zwiększał się krąg ich odbiorców. Dużo kosztowały materiały poligraficzne, przede wszystkim papier; bardzo drogie były profesjonalne maszyny poligraficzne, które kupowano jednak bardzo rzadko ze względu na ograniczone fundusze, jakimi dysponowała większość wydawnictw bezdebitowych².

Jednym ze źródeł finansowania prasy podziemnej były datki, które przekazywali czytelnicy. System przekazywania i potwierdzania odbioru pieniędzy polegał na tym, że czytelnicy przekazywali stosowną kwotę kolporterowi, on zaś tym samym kanałem, którym otrzymywał prasę, przekazywał pieniądze do redakcji. Redakcja, po otrzymaniu pieniędzy, drukowała potwierdzenie, że je otrzymała. Potwierdzenia zwykle były zamieszczane w specjalnej rubryce, która najczęściej miała tytuł *Podziękowania za wpłaty*³. Rubryka ta jest charakterystycznym ele-

¹ Cyt. za *Bibliografia niezależnych wydawnictw ciągłych z lat 1976–1990*, red. S. Skwirowska, Warszawa 2001.

² S. Rudka, *Poza cenzurą. Wrocławska prasa bezdebitowa 1973–1989*, Warszawa 2001, s. 87.

³ W prasie podziemnej funkcjonują także inne nazwy tejże rubryki, np. *Dziękujemy* („Z dnia na dzień”, „Region”); *Dziękujemy za wpłaty* („Z dnia na dzień”, „Solidarność. Głos Ślą-

mentem gazet podziemnych lat 80. ubiegłego wieku. Współcześnie z podziękowaniami za wpłaty można się zetknąć w kwartalniku „Karta”, który rozpoczął swoją działalność jako pismo podziemne w styczniu 1982 r. Rubryka w „Karcie” ma tytuł *Dziękujemy przyjaciółom* i zawiera nazwiska⁴ oraz kwotę w złotych przekazaną na rzecz „Karty”.

Podziękowania za wpłaty jako genr mowy

Każdy tekst reprezentuje gatunek wypowiedzi, czyli „kulturowo i historycznie ukształtowany oraz ujęty w społeczne konwencje sposób językowego komunikowania się”⁵. Rubryka *Podziękowania za wpłaty* funkcjonuje w przestrzeni komunikacji medialnej, w której mamy do czynienia z nadawcą (redakcja czasopisma) i odbiorcą (czytelnicy) w konkretnej, wpływającej na komunikację sytuacji społecznej, jaką był stan wojenny oraz okres po jego zakończeniu do końca lat 80.

„W teorii pragmatyki językowej [...] akt mowy jest jednostkowym przypadkiem działania (zachowania się) przez mowę”⁶. W akcie takim można wyodrębnić trzy aspekty: lokucyjny, illokucyjny, perlokucyjny. Pierwszy z nich dotyczy płaszczyzny językowej wypowiedzi, czyli procesu wydawania dźwięków, które łączą się w wyrazy, a te, zgodnie z zasadami gramatycznymi, w większe całości. Ten aspekt skierowany jest przede wszystkim na tworzywo aktu mowy. Aspekt illokucyjny odnosi się do intencji nadawcy. Wyraża pragnienia, zamiary, cele, które chce osiągnąć nadawca poprzez akt mowy. Illokucją może być rozkaz, prośba, obietnica, pytanie, ostrzeżenie itp. Aspekt perlokucyjny sprowadza się do skutków, jakie wywołuje wypowiedź u odbiorcy, a szczególnie „związany jest z ubocznymi, wtórnymi celami i rezultatami aktu komunikacyjnego”⁷.

Anna Wierzbicka zaproponowała zastąpienie terminu „akty mowy” Bachtinowskim pojęciem „genre mowy”:

Nie chodzi tu bynajmniej o zmianę terminologiczną. Nie chodzi też wcale o przeciwstawienie czegoś statycznego, czemuś dynamicznemu. ‘Genre mowy’, jak go rozumie Bachtin, jest działaniem, a nie wytworem (ściślej mówiąc, jest skodyfikowaną formą działania). Słowo

sko-Dąbrowski”); *Wpłaty na działalność związkową* („Tygodnik Mazowsze”); *Potwierdzenia* („Region”, „Horyzont”, „CIA”); *Danke* („Ściek”); *Podziękowania* („Iskra Wolności”, „Solidarność Hutników”); *SWOK* (Solidarność Walcząca Oddział Katowice – R.W.) *dziękuję* („WiS”); *Potwierdzenia wpłat* („KOS”).

⁴ Jeżeli wpłacający nie życzył sobie publikowania swego nazwiska, pojawiała się określenie „Anonim”.

⁵ S. Gajda, *Gatunkowe wzorce wypowiedzi*, [w:] *Encyklopedia kultury polskiej XX wieku*, t. 2: *Współczesny język polski*, red. J. Bartmiński *et al.*, Wrocław 1993, s. 245.

⁶ W. Pisarek, *Akt mowy*, [hasło w:] *Encyklopedia języka polskiego*, Wrocław 1999, s. 16.

⁷ D. Zdunkiewicz, *Akty mowy*, [w:] *Encyklopedia kultury polskiej XX wieku*, t. 2, s. 261.

‘genre’ jest jednak lepsze, mniej mylące dla językoznawcy niż słowo ‘akt’, bowiem ‘akt’ sugeruje wypowiedź krótką, jednorazową (a zatem, na ogół wzięwszy, jednozdaniową). W rezultacie badanie działań mownych człowieka przeradza się często (by nie powiedzieć: ‘wyradza’) w badanie t y p ó w z d a ń – w szczególności tych typów zdań, które wyspecjalizowały się jako narzędzia określonych genrów⁸.

Implikuje to rozszerzenie przedmiotu badań z obiektów tak wąskich jak zdanie na obiekty znacznie obszerniejsze i liczniejsze. W grupie obiektów badań mogą się zatem znaleźć stosunkowo proste w budowie, takie jak prośba, groźba, a także bardziej rozbudowane składniowo i objętościowo – referat, wykład czy wywiad. Bachtin utrzymywał, że nasze zachowanie językowe to posługiwanie się nie tylko określonymi fonemami, słowami według zasad gramatyki, ale nieustanne posługiwanie się genrami mowy, bo każda wypowiedź jest w formie jednego z bardzo wielu genrów mowy. „Nawet w najbardziej swobodnej rozmowie ‘odlewamy’ naszą mowę w formy określonych genrów [...] Te genry dane nam są tak, jak dany nam jest język ojczysty”⁹.

Rozważania te można odnieść również do *Podziękowań za wpłaty*. Wydaje się, że w stosunku do nich właśnie termin „genry mowy” jest najbardziej odpowiedni. Można się pokusić o utworzenie na wzór formuł przedstawionych przez Annę Wierzbicką¹⁰ definicji interesującego nas gatunku. Proponowana formuła *Podziękowań za wpłaty* będzie następująca:

Podziękowania za wpłaty

piszemy to, bo chcemy potwierdzić, że otrzymaliśmy od was pieniądze lub inne wartości, chcemy także podziękować wam za nie.

Cel Podziękowań za wpłaty

Zasadniczym celem rubryki było potwierdzenie wpłat dokonywanych na działalność podziemną. Określenie „działalność podziemna” jest bardzo pojemne i obejmowało różne formy oporu. Przede wszystkim pieniądze były zbierane na druk niezależnych wydawnictw. Jednak w rubryce tej odnotowywano też pomoc osobom represjonowanym (na Fundusz Pomocy Represjonowanym), czyli ukaranym za udział w strajkach, manifestacjach, akcjach protestacyjnych, za niezależną działalność wydawniczą.

Składki były dobrowolne. Interesujący jest w tym kontekście dopisek pod omawianą rubryką w jednym z numerów „Z dnia na dzień”: „Przypominamy, że wszystkie numery »ZDnD« są bezpłatne. Prosimy o nieorganizowanie zbiorów

⁸ A. Wierzbicka, *Genry mowy*, [w:] *Tekst i zdanie. Zbiór studiów*, red. T. Dobrzyńska, E. Janus, Wrocław 1983, s. 127.

⁹ *Ibidem*, za M. Bachtin, *Estetika słowiesnego tworczestwa*, Moskwa 1979, s. 257.

¹⁰ *Ibidem*, s. 129–134.

pieniędzy dla nas przez sprzedawanie gazetki. Ewentualne składki muszą być DOBROWOLNE”¹¹. Wynika z niego, że zdarzały się przypadki sprzedawania czasopisma, mimo iż nie miało ono wydrukowanej ceny.

Material badań

Materiałem badań są rubryki zawierające podziękowania w wydawanym we Wrocławiu czasopiśmie „Z dnia na dzień”. Było ono najdłużej ukazującym się czasopiśmie niezależnym lat 80. Pierwszy numer ukazał się 6 lutego 1981 r. Periodyk nosił wtedy tytuł „Serwis Informacyjny »Solidarność«”. Jego wydawcą był Międzyzakładowy Komitet Założycielski „Solidarność”. Zmiana tytułu nastąpiła 23 sierpnia 1981 r., kiedy to numer 1/73 ukazał się pod tytułem „Z dnia na dzień”. Ogółem ukazały się 543 numery, z czego 394 w podziemiu¹².

Analizę oparto na wydaniach podziemnych „Z dnia na dzień”. Wybrano co dziesiąty numer. Pierwszy jest z 4–6.02.1982 r., ostatni zaś z 22–23.02.1990. Wybór pierwszego numeru był zdeterminowany tym, że we wcześniejszych, wydawanych od wprowadzenia stanu wojennego, nie było omawianej rubryki.

W „Z dnia na dzień” rubryka ta początkowo miała tytuł *Dziękujemy*. W drugiej połowie roku 1982 zmieniała się jej nazwa na *Dziękujemy za wpłaty*. W niektórych numerach nie ma analizowanej rubryki, np. nr 70/218 z 2–4.07.1982; nr 71/219 z 6–8.07.1982. W jednym z numerów – 20/279 z 19–26.05.1983 – opisywana rubryka nazywa się *Podziękowania*.

Podziękowania za wpłaty zwykle były umieszczone w charakterystycznym miejscu – zazwyczaj był to dół ostatniej strony. W tym też miejscu są one umieszczone w „Z dnia na dzień”.

Zawartość rubryki

Zawartością rubryki były oczywiście potwierdzenia wpłat darczyńców. Jednak nie używano nazwisk. Wpłacający ukrywali się pod pseudonimami, co wynikało z zasad konspiracji i służyło ukryciu tożsamości wpłacających. Pod pseudonimami mogły się kryć zarówno pojedyncze osoby, jak i całe grupy, np. komisje zakładowe zdelegalizowanej „Solidarności”, które zbierały składki w określonym zakładzie. Pseudonimu mogli używać także kolporterzy, zbierający składki

¹¹ „Z dnia na dzień” 28.04–1.05.1982, nr 51/199, s. 4.

¹² A. Adamski, *Z dnia na dzień*, [hasło w]: *Encyklopedia Solidarności*, http://www.encyklopedia-solidarnosci.pl/wiki/index.php?title=R00101_Z_dnia_na_dzie%C5%84_Wroc%C5%82aw,17.07.2009.

na działalność podziemną przy okazji rozprowadzania nielegalnych wydawnictw w określonej miejscowości lub środowisku.

W analizowanych rubrykach można się zetknąć z kilkoma kategoriami pseudonimów. Największą grupę stanowią imiona:

- imiona (np. „Krzysztof”, „Maja”, „Andrzej”, „Ewa”, „Konstancja”, „Leokadia”, „Renata”, „Tadeusz”, „Teresa”, „Marek”, „Emil”, „Anna”, „Czesław”);
- imiona zdrobniałe (np. „Franek”, „Krysia”, „Ela”, „Zenek”, „Poldek”, „Kłocia”, „Hanusia”, „Danusia I”, „Tola”, „Jędrek”, „Iga”, „Danka”);
- imiona zgrubiałe (np. „Aga”, „Bacha”);
- imiona obcojęzyczne (np. „Peter”, „Pedro”);
- imiona z inicjałem (np. „Tadek B.”, „Zenio B.”, „Ewa C.”, „Jan D.”, „Adam P.”).

Kolejną dużą grupę pseudonimów stanowią nazwy roślin i zwierząt:

- nazwy roślin (np. „Szarotka”, „Fiołek”, „Jodła”, „Pierwiosnik”, „Topola”, „Jodełki”, „Jarzębina”, „Brzoza”, „Mak”, „Dąb”, „Gerbera”, „Bezik”, „Lipa”, „Róża”);
- nazwy zwierząt (np. „Rak”, „Skorpion”, „Kos”, „Kot”, „Mrówki”, „Rybka”, „Ważka”, „Pszczółka”, „Miś”, „Łania”, „Pantera”, „Żółwie”, „Rekin”, „Śledź”, „Boleń”).

Następną grupą pseudonimów są inicjały. Wśród nich można wyróżnić:

- inicjały jednoliterowe (np. „M”, „Z”, „Y”, „J”);
- inicjały dwuliterowe („K.W.”, „K.K.”, „G.S.”, „W.K.”, „E.T.”);
- inicjały wieloliterowe (np. „F.P.K.”).

Oprócz inicjałów należy zwrócić uwagę na jedyny odnotowany w omawianej rubryce skrótowiec: „MPK”. Wskazuje on na Miejskie Przedsiębiorstwo Komunikacji, w którym była siedziba komitetu strajkowego w sierpniu 1980 r., co miało swoje symboliczne znaczenie dla mieszkańców Wrocławia i Dolnego Śląska.

W niektórych pseudonimach są użyte nazwy miejscowości lub obszaru geograficznego: „Emerytka z Kielc”, „Emmy z Londynu”, „Rewizjonistka z Wołyń”, „Siostra z Poznania”, „Ciocia z Paryża”, „Marek z USA”, „Nowa Sól”, „Mietek z Nowej Rudy”, „Bolesławiec”, „Kujawy”. Wydaje się, że zachowanie zasady tajności nie pozwala na stosowanie nazw miejscowości, są one bowiem wskazówką, skąd wpłata pochodzi. Jednak nazwy te wskazują na tak duże miasta lub regiony, że trudno odnaleźć nadawcę wpłaty. Zastosowanie nazwy miejscowości jest wyróżnieniem nadawcy. Jest także znakiem dla innych czytelników, że w danej miejscowości jest opozycja. Dodatkowo może świadczyć o tym, że „Z dnia na dzień” swoim zasięgiem obejmuje daną miejscowość.

Wśród pseudonimów pojawiają się także imiona mitologiczne, literackie, filmowe, bajkowe i historyczne („Ikar”, „Syzyf”, „Wokółski” (*sic!*), „Siłaczka”, „J-23”, „Rumcajs”, „Arystoteles”, „Kopernik”, „Słowacki”), nazwy narodowości („Litwin”) czy nazwy mieszkańców regionów („Wielkopolanin”).

Dużą grupę pseudonimów stanowią nazwy zawodów lub profesji: „Kolejarze”, „Budowlani”, „Elektronik”, „Flisacy”, „Józek Rolnik”, „Inżynierowie”, „Adwokat”, „Chemik”, „Gajowy”, „Rolnik”, „Wróżbitka”. Można przypuszczać, że pod pseudonimami z tej kategorii mogli się ukrywać przedstawiciele zawodów lub grupy czytelników „Z dnia na dzień” w zakładach pracy.

Osobną grupą są nazwy, które trudniej skategoryzować: „Nieznajoma”, „Trzynastka”, „Początek”, „Złoty Klucz”, „Miłośnicy Książek”, „Przyjaciel mieszkańca”, „Lojalność”, „Pan”, „Z-2-Z”, „Bezimiennie”, „2 Braci”, „Rewizjonistka”, „Wieża”.

Oprócz pseudonimów rubryka zawierała informacje o przekazanych pieniądzach. Zwykle były to kwoty w złotych, ale bywały też wpłaty z markach zachodnioniemieckich, dolarach oraz funtach. Początkowo stosowano pełny zapis, ale nie uwzględniano groszy, np. „»Franek« 1250, »Foka« 155, »Gucio« 500”. Od numeru 100/250 z 14–17.10.1982 zaraz za nazwą rubryki pojawiała się informacja „w tysiącach”, w rubryce zaś zaczęto stosować zapis skrócony, który obejmował tysiące, zaś po przecinku ułamki tysiąca, np. „»Emerytki« 3, »Pierwiosnki« 1,7, »Nurski« 0,5, »Z« 1,3”.

Rubrykę wypełniały podziękowania nie tylko za pieniądze. W wydaniach z początku lat 80. jest wyrażana wdzięczność za walory, które stanowią o specyfice tamtego okresu. Takimi specyficznymi wtedy datkami, które przekazywali czytelnicy redaktorom podziemnych czasopism, były na przykład trudno dostępne w sklepach produkty żywnościowe: cukier, kawa, herbata, wołowina, miód. Były także produkty już przetworzone, jak: wędliny, przetwory, świeże kotlety. Oprócz żywności przekazywano kartki żywnościowe. Innym deficytowym towarem lat 80. były papierosy, które też przekazywano drukarzom.

Często podziękowania dotyczą materiałów drukarskich: papieru, matryc, ramek, farby. Były one trudne do kupienia i jednocześnie bardzo cenne dla drukarni, stale potrzebujących materiałów poligraficznych.

Podziękowania za wpłaty zawierały również słowa wdzięczności za wartości niematerialne. Przykładem mogą być podziękowania za „słowa otuchy”, „dobre pomysły”.

Nietypowym podziękowaniem jest podziękowanie za mszę świętą: „Pani Stasi za zamówienie mszy św. na Jasnej Górze w intencji W. Frasyniuka, P. Bednarza i J. Piniora. Msza odbyła się 9 VI o godz. 6 rano”. Ukazało się ono w „Z dnia na dzień” nr 72/220 z 8–10.07.82.

Rubryka służyła też do komunikacji zwrotnej nie tylko w kontekście potwierdzenia wpłat czy otrzymania innych datków. Drukowano w niej także komunikaty, np. „Tym razem bez opóźnień, przepraszamy za pomyłkę”; „Do potwierdzenia prosimy o krótsze hasła”; „»Nieznajoma« – 1000 zł, żywność, papierosy (jak tak dalej pójdzie, to my utyjemy, a Pani umrze z głodu)”.

Zakończenie

Rubryka *Podziękowania za wpłaty* służyła do potwierdzania przekazywanych do wydawnictwa wpłat i w związku z tym jej zasadniczą treścią były podziękowania za przekazane pieniądze, co wyrażało się w drukowanych w niej pseudonimach oraz kwotach. Jednak nie była to jej jedyna funkcja. Była także swego rodzaju kanałem komunikacji i to chyba jej ważniejsze zadanie. Funkcja komunikatywna zakłada istnienie nadawcy i odbiorcy komunikatu. Nadawcą jest oczywiście redakcja, odbiorcą zaś czytelnicy. Jednak ta relacja odwraca się, gdy czytelnicy wysyłają komunikat do redakcji, stają się nadawcą, redakcja zaś odbiorcą. Komunikację tę można zrekonstruować następująco: redakcja wydaje numer czasopisma i jest to swego rodzaju inicjacja aktu komunikacji. Następnie czytelnicy przekazują pieniądze, czyli odpowiadają na przekaz ze strony czasopisma i stają się z odbiorców nadawcami. Kolejnym etapem są zamieszczane w rubryce komunikaty od redakcji i wtedy następuje kolejna zamiana odbiorcy w nadawcę, ale tym razem dotyczy ona redakcji periodyku. Powstaje w ten sposób specyficzny dialog między redakcją a czytelnikami.

Chociaż zasadniczo używanie pseudonimów miało realizować zasadę konspiracji, to jednak niektórzy z darczyńców wykorzystywali właśnie pseudonimy, aby ujawniać pewną część informacji o sobie. Oczywiście, tylko w takim zakresie, który nie doprowadzał do ich dekonspiracji. Podawanie nazw miejscowości wskazywało na zasięg kolportażu oraz na obecność w tych miejscowościach ludzi związanych ze zdelegalizowaną opozycją.

Nie można nie wspomnieć, iż w analizowanej rubryce są także informacje, które z dzisiejszego punktu widzenia możemy odczytać jako świadectwo warunków życia codziennego lat 80. ubiegłego wieku. Świadczą o tym podziękowania za żywność, kartki żywnościowe, papierosy, czyli produkty w tamtym czasie trudno dostępne. Informacje takie miały także inną funkcję – zbliżały czasopismo do czytelników, którzy także w swoim codziennym życiu borykali się z trudnościami zaopatrzeniowymi. Dla odbiorców czasopismo, którego redakcja ma podobne jak oni problemy, w którym jest odbicie zwykłych, ludzkich spraw, mogło być wiarygodniejsze.

Wszystkie wymienione czynniki można umieścić w kontekście oddziaływania perswazyjnego. Omawiana rubryka nie miała perswazji jako funkcji prymernej, jednak z pewnością perswazja jest obecna także w *Podziękowaniach za wpłaty*, albowiem przez swoistą dialogiczność oraz zbliżenie z czytelnikami skuteczniej można oddziaływać na odbiorcę.

O korzyściach z deklarowanej szczodrości. Pragmatyczna uprzejmość reklamy

Gdyby z naiwnością dziecka spojrzeć na świat współczesnej reklamy, okazałoby się, że nie brakuje szczodrych producentów i sprzedawców gotowych udostępnić swoje usługi i produkty za darmo lub prawie za darmo, obsypać klienta prezentami niejako w podzięcie za zaufanie, jakim klient daną firmę obdarza. „Telefon za złotówkę”, „darmowy abonament”, „dodatkowe doładowania”, „Toyota Urban Cruiser już od 330 złotych”, „Nowy Harley za 50% ceny”... Na ogół, nauczeni rynkowym doświadczeniem, domyślamy się, iż obietnica tkwiąca w owych komunikatach jest w rzeczywistości obwarowana dodatkowymi wymogami, a spełnić je może jedynie wąska grupa klientów – np. takich, którzy gotowi są na spore wydatki w przyszłości, na związanie się długoterminową umową *etc.* Dla pozostałych dostęp do obiecywanych prezentów czy promocyjnych atrakcji okazuje się niezwykle trudny, nabycie towaru za bezcen czy choćby za połowę ceny rynkowej – prawie lub całkowicie niewykonalne. Niemniej korzyść z deklarowanej hojności, z rzekomego altruizmu i rozdawnictwa jest wielka. Ale nie doświadczy jej raczej przeciętny odbiorca komunikatu reklamowego zapatrzoney w spot czy billboard, a przede wszystkim ich zlecniodawca – ów producent wprowadzający rzecz lub usługę do świata naszych potrzeb, wyobrażeń i – rzecz jasna – do tzw. obrotu.

Posługiwanie się udawaną szczodrością nie jest zabiegiem nowym, wykonywanym w kręgu nowoczesnego marketingu i reklamy. Bo przecież *argumentum ad crumenam*, etymologicznie oznaczające odwołanie się do trzосу, a więc do przekupstwa, a jeszcze bardziej *argumentum ad carotam*, do marchewki zatem, polegające na „stosowaniu obietnic w celu nakłonienia kogoś do określonego działania”¹, to narzędzia perswazji znane ekonomii i polityce od tysiącleci. Nie da się ukryć, że wizja korzyści odniesionych bez większego wysiłku, nie po-

¹ K. Szymanek, *Sztuka argumentacji – słownik terminologiczny*, Warszawa 2005, s. 50.

nosząc żadnych prawie kosztów lub znacznie je ograniczając, była i jest uwodzicielska. Bez zdolności do wytwarzania owych wizji i ulegania im niemożliwy byłby hazard, w jakiegokolwiek zresztą formie, bez niej nie do pomyślenia są giełdy papierów wartościowych, wszelkie „agresywne” formy pomnażania kapitału i śmielsze inwestycje. Dziś obietnice wielkich zysków i jednoczesnego ograniczenia kosztów stosowane są przez banki, doradców finansowych i handlowców z taką samą zapewne intencją pomnożenia zysków własnych i z takim samym przekonaniem o skuteczności takich chwytów jak niegdyś. Sugerowanie, że możemy osiągnąć coś, co nie jest w zasięgu naszych zdolności finansowych, lub obiecywanie korzyści dużo większych niż to, czego spodziewamy się po danym towarze lub usłudze, rozbudza ciekawość i chęć posiadania. Dlatego banki, proponując konsolidację kredytów i pożyczek, obiecują nie tylko jedną, łatwiejszą do ogarnięcia, a zatem mniej doskwierającą ratę, ale też prezent w postaci gotówki. Kwoty tej darowizny nie są wielkie, sięgają zwykle kilkuset złotych. Któż jednak nie chciałby zostać obdarowany, a co za tym idzie, doceniony i nagrodzony (bo i o takich asocjacjach wyzwalanych przez spoty reklamowe nie należy zapominać)? Tym podobnych sugestii, wspartych odpowiednimi środkami wyrazu, nie brakuje oczywiście w innych jeszcze tekstach reklamowych.

Wydaje się, że w jakimś stopniu dzięki sceptycyzmowi, którego fundament – oprócz zdolności do racjonalnej kalkulacji – może być wcześniejsze rozczarowanie nazbyt szczodrymi i niewiarygodnymi ofertami, mamy szansę zapanować nad rozbudzonymi reklamą pragnieniami. W niewielkim stopniu pomagają w tym także regulacje prawne, nakazujące informować potencjalnego konsumenta o pełnych kosztach usługi lub towaru. I choć informacje te podawane są w sposób zawoalowany: małą czcionką, stawiając naszej percepcji za wysokie wymagania, zawsze w tej samej części kadru, powodując powstanie efektu habituacji², ich istnieniu trudno przeczyć. Tak czy inaczej, całkowita odporność na reklamę jest jednak iluzją. Nawet najbardziej inteligentni i wykształceni odbiorcy ujawniają tu znany psychologom społecznym paradoks: „wiedzą wprawdzie, że reklamy często są manipulacją, ale i tak kupują prezentowane w nich artykuły. Oczywiście żywią przy tym iluzoryczne przekonanie, że czynią to z zupełnie innych powodów niż te, które zasugerowała im treść reklamy”³. Nie ma powodów sądzić, że odbiorcy spotów, banerów czy billboardów obiecujących rozliczne gratyfikacje, darmowe dodatki, niewiarygodnie niskie ceny nie podlegają tym samym mechanizmom. Co więcej, podlegają mechanizmom dodatkowym, które łatwo opisać, stosując narzędzia pragmatyki językowej.

Odporność na reklamę wydaje się złudna. Ale nawet gdy spot czy plakat podsuwa sugestywne obrazy (wsparte odpowiednią topiką, znajomością konsu-

² „Ponieważ zawsze pojawia się ten sam napis, zawsze umieszczany w tym samym miejscu, człowiek z czasem przestaje go dostrzegać”, D. Doliński, *Psychologiczne mechanizmy reklamy*, Gdańsk 2008, s. 56.

³ *Ibidem*, s. 16.

menckich upodobań, modną estetyką), nakłonienie kogoś do konkretnych działań, takich jak zakup towaru czy usługi, może napotkać rozliczne przeszkody. Świadomi tego są zarówno psychologowie społeczni, jak i teoretycy komunikacji oraz językoznawcy. Na polu pragmatyki językowej, która celowość i skuteczność aktów mowy uznaje za najważniejszy przedmiot swoich zainteresowań, chętniej mówi się np. o intencjach niż o następstwach owych aktów, o zamierzonych, nie zaś wywołanych skutkach. To aspekt illokucyjny stanowi rdzeń rozważań i analiz pragmatycznych. Efekty perlokucyjne, takie jak zakup konkretnego towaru, odnoszące się więc do sfery wydarzeń, wykraczające poza ramy komunikacji, uznaje się za domniemane, uzależnione od spełnienia niezwykle złożonych warunków ekonomicznych, społecznych, a także od rozmaitych zjawisk akcydentalnych.

Podobną ostrożność zachowują psychologowie, dla których głównym problemem okazuje się wyobrażnia i nie do końca przewidywalne skutki jej stymulowania. Z jednej strony stanowi ona wytrych do naszych zachowań konsumenckich. Łatwo ją rozbudzić, stosując interesujące nas w podjętych tu rozważaniach obietnice: prezentów, gratisów, darmowych dodatkowych usług lub innych korzyści znacznie wykraczających poza oczekiwania nabywcy. Gdy w przekazie ikonycznym lub filmowym reklamowany przedmiot ukazany zostanie wyraźnie, gdy w roli uszczęśliwionych posiadaczy umieści się postaci archetypowe lub do potencjalnego konsumenta podobne, imaginacja zadziała na korzyść reklamodawcy. Z drugiej jednak strony staje się ona często przeszkodą. Nad wyobrażnią trudno wszak całkowicie zapanować.

Prawdziwym problemem dla praktyków – jak twierdzi Dariusz Doliński – bywa zatem najczęściej nakłonienie ludzi, by zechcieli sobie wyobrazić, że kupują najróżniejsze, często przecież zupełnie im niepotrzebne rzeczy. A jednocześnie, by nie zapragnęli sobie równie spontanicznie wyobrazić, że wówczas zabraknie im pieniędzy na to, czego potrzebują rzeczywiście⁴.

Obawy przed pochopną decyzją, przed sięgnięciem po przedmiot tak naprawdę zbędny należą do tych mechanizmów ludzkiej psychiki, których działanie autor reklamy będzie próbował przezwyciężyć lub przynajmniej osłabić. Osłabia go np. slogan zawierający obietnicę lub nawet przyrzeczenie znikomych kosztów i darmowych dodatków do oferty podstawowej. Skoro coś nie kosztuje prawie nic, skoro można uzyskać tak wiele po dumpingowej wręcz cenie, lęk zostaje oddalony (zatem ciągle odwołujemy się do poziomu świadomości odbiorcy, do wpływu na jego sposób postrzegania świata). Reklamodawca ma do dyspozycji cały arsenał innych jeszcze środków językowych (m.in. implikatury i presupozycje) i retorycznych (figury, tropy, toposy, przykłady *etc.*). Odwołać się może wreszcie do manipulacji, do jej najczęstszych i sprawdzonych form, takich choćby jak niedomówienie i kłamstwo (wtedy balansuje już na granicy świadomości i nieświadomości odbiorcy). Może jednak posłużyć się spragmatyzowaną uprzejmością, a więc taką, której aspekt etyczny pozostaje niejako na dalszym planie,

⁴ *Ibidem*, s. 134.

prowadzić ma ona bowiem przede wszystkim do osiągnięcia zamierzonych w danym akcie mowy celów, czyli – jak mówi Piotr H. Lewiński – „spowodowania określonego skutku w świadomości odbiorcy”⁵. Jakie to skutki? Zawierzenie nadawcy, zaufanie mu, rozbudzenie chęci posiadania, modyfikacja postaw, przekonania i sądów wobec obiektu będącego przedmiotem konwersacji.

Deklarowana w reklamach szczodrość, ten ujmujący, acz udawany altruizm, jest oczywiście bardzo ważnym aspektem komunikacji międzyludzkiej, powiązany ściśle z zamiarami reklamodawcy. Ma ona również związek z zamierzonymi efektami perlokucyjnymi, choćby dlatego, że „uprzejmość – jak pisze Roman Kalisz – jest w oczywisty sposób zorientowana na adresata”⁶. Mimo iż projektowanie następstw reklamy, jej rynkowych i przeliczalnych na zysk skutków to dość złożony i nie zawsze udany proces, uprzejmość wyrażona niezwykle kuszącymi obietnicami staje się nierzadko tym składnikiem komunikacji, w którym nadawcy widzą szansę na dotarcie do odbiorcy, szansę na pokierowanie jego decyzjami konsumenckimi.

Nie chodzi tu oczywiście o wykorzystanie uprzejmości na wszystkich poziomach konwersacji zdefiniowanych w pragmalingwistyce⁷. Obietnice, o jakich mówimy, przynależą przede wszystkim do rejestru współzawodniczącego (wyrażają go m.in. takie akty mowy, jak prośba, domaganie się czegoś, rozkaz, błaganie). Rejestr ten obejmuje taki typ konwersacji, w którym zamiary nadawcy w pewnym sensie konkurują ze stanem, w jakim znajduje się odbiorca. Gdy reklamodawca próbuje zwrócić uwagę na swój produkt, utrwalić jego markę, wzbudzić zadowolenie i pozytywne emocje z nim związane, a ostatecznie wyzwolić potrzebę posiadania czegoś, zmierza do istotnych zmian w postawie i zachowaniach odbiorcy. Jego uprzejmość, wyrażająca się w rzekomym altruizmie, szczodrości i poświęceniu, ma charakter instrumentalny. Dlatego nietrudno zauważyć, że akty mowy opierające się na obietnicach: prezentów, gratisów, daleko idących obniżek cen, próbują wymknąć się z owego rejestru. Udają, oczywiście na poziomie dosłownym, konwersację towarzyską (typową dla takich aktów mowy, jak podziękowania, zaproszenia, gratulacje, oferowanie czegoś, życzenia itp.). Chodzi o to, by odbiorca reklamy uległ pewnej iluzji. Rejestr towarzyski charakteryzuje bowiem zgodność pomiędzy zamiarami nadawcy a społecznie akceptowanym celem konwersacji i stanem akceptowanym przez odbiorcę. Na tym poziomie uprzejmość ma charakter kurtuazyjny, jest oczywistym i pożądanym składnikiem konwersacji. Odbiorca nie tropi w niej chwyty, nie widzi intencji innych niż te wyrażone wprost lub wynikające z przestrzegania tzw. dobrych

⁵ P.H. Lewiński, *Retoryka reklamy*, Wrocław 1999, s. 61.

⁶ R. Kalisz, *Pragmatyka językowa*, Gdańsk 1993, s. 98–99.

⁷ Geoffrey Leech wyróżnia cztery poziomy konwersacji uzależnione od roli uprzejmości w realizacji celów illokucyjnych danych aktów mowy i jej wpływu na relacje społeczne: *competitive* (współzawodniczący), *convivial* (towarzyski), *collaborative* (współpracujący), *conflictive* (konfliktowy). Zob. *idem, Principles of Pragmatics*, New York 1990, s. 104.

manier. Reklamodawca, oferując coś rzekomo bardzo korzystnego dla odbiorcy, zapraszając go do skorzystania z obniżki, odebrania promocyjnego prezentu, na poziomie dosłownym sytuuje swój przekaz w rejestrze towarzyskim. Wiemy jednak, że ta uprzejmość nie ma na ogół charakteru grzecznościowego, a raczej instrumentalny, bo podyktowana jest chęcią wprowadzenia istotnej zmiany w postawie, przekonaniach i sądach odbiorcy wobec reklamowanego towaru. Ma go prowadzić od braku zainteresowania do bacznego przyjrzenia się ofercie, od obojętności lub sprzeciwu do akceptacji, od nieodczuwania danej potrzeby do jej rozbudzenia *etc.* Tego typu komunikacja nie osiąga więc rejestru towarzyskiego, lecz współzawodniczący, a uprzejmość pojawia się w niej po to, żeby „pośredniczyć w inherentnie niekurtuazyjnym celu”⁸.

Pragmatyka językowa dostarcza wielu narzędzi przydatnych do opisu i analizy sloganów reklamowych, przede wszystkim zaś dostarcza terminologii pozwalającej na syntetyzujące wnioskowanie w tym obszarze badań komunikologicznych. I tak, z perspektywy pragmatycznej wszelkie obietnice zasilają tę grupę aktów mowy, których oddziaływanie na odbiorcę (ilokucja) wyraża się przez powzięcie jakiegoś zobowiązania. Zalicza się do nich przysięgi, przyrzeczenia i obietnice właśnie, a za Searle’em nazywa się je komisywami (*commissives*). Nie wszystkie interesujące nas slogany reklamowe należą do grupy komisywów, ale nawet te, które są np. dyrektywami („Połącz kredyty... w jeden z mniejszą ratą i dodatkową gotówką”⁹) lub asercjami („Nowy Harley za 50% ceny”¹⁰) zdają się czasem coś mniej lub bardziej konkretnego obiecywać. Nie można ich więc uznać za komisywy w rozumieniu ściśle językoznawczym – brakuje im przecież formalnych cech obietnicy czy przyrzeczenia – działają jednak na wyobraźnię, rozbudzają ciekawość, kreują oczekiwania konsumenta, a potęgują swoje działanie, sugerując dość często gotowość nadawcy do hojnych gestów (jak w podanych przykładach reklam: GE Money Banku i dilerów motocykli).

Sedno sloganów, które deklaracjami szczodrości próbują zainteresować odbiorcę, można uchwycić, odwołując się do tzw. maksym uprzejmości Geoffreya Leecha¹¹. Dzięki nim łatwo zauważyć, że jedną z podstawowych intencji komunikatu reklamowego jest ukrycie oczywistych korzyści własnych nadawcy. Próbuje się je maskować, stosując przede wszystkim dwie ze wspomnianych tu maksym.

Pierwsza z nich to maksyma taktu (*tact maxim*), która wyraża się w minimalizowaniu wysiłku odbiorcy i maksymalizowaniu jego zysków. Do tej maksymy odwołuje się np. reklama Eurobanku, eksponowana na jego stronie WWW. Warto przytoczyć ją w całości:

- promocja: kredyt w 15 minut
- od 500 zł do 120 000 zł

⁸ R. Kalisz, *op. cit.*, s. 93.

⁹ <http://www.gemoneybank.pl/pl/>, 13.08.2009.

¹⁰ <http://www.v-force.pl/archiwum.php?skok=30>, 7.08.2009.

¹¹ G. Leech, *op. cit.*, s. 132.

- formalności w 15 minut
- umowa w trakcie jednej wizyty w banku
- promocja: 50% ulga kredytowa dla kredytów od 500 zł do 6000 zł, rozłożonych na maks. 36 rat¹².

Ten sam mechanizm dostrzeżemy w reklamie operatora telefonii komórkowej Orange:

Nokia 6030. Zetafon za 1 zeta.

Tego jeszcze nie było! Zetafon w POPie, czyli telefon na kartę na 1 zeta! Wystarczy, że aktywnie będziesz korzystać z telefonu. Doładowujesz jak chcesz, kiedy chcesz i wartością jaką chcesz. A do tego wszystkie promocje jak w POPie: 1 grosz za sms-a i 15 groszy za minutę. POPaki tak mają!¹³

Struktura informacyjna przedstawionych reklam jest starannie wyprofilowana. Ich treść nie może przeczyć maksymie taktu. Przemilcza się to, co zwiększałoby wysiłek odbiorcy (w przypadku reklamy banku: informacje o wymaganych zabezpieczeniach kredytu, o kosztach ubezpieczenia pożyczki spowodowanych dużym ryzykiem transakcji, o wymaganych dokumentach, które należy zgromadzić przed wizytą w banku; w przypadku operatora sieci telefonii komórkowej: informacje o konieczności podpisania 36-miesięcznej umowy, o ograniczeniu promocji cenowych do sieci Orange), podkreśla się natomiast to, co dla odbiorcy jest niewątpliwie korzystne. Obiecywana maksymalna kwota pożyczki robi wrażenie, podobnie jak niskie opłaty za esemes i minutę rozmowy. Obie oferty wydają się więc niezwykle kuszące – dostępne na wyciągnięcie ręki, klarowne i wygodne, a przede wszystkim bardzo tanie. Klient nie jest co prawda obdarowywany, ale oferuje się mu usługi po pozornie zaniżonych kosztach. Zysk banku czy operatora powinien być zatem znikomy. Do takich wniosków skłania reklama.

Druga z maksym, która pozwala producentowi zachować podstawowe tabu reklamy – tabu własnego zysku – to maksyma szlachetności (inaczej: wspaniałości). Wyraża się ona na dwa sposoby: przez minimalizowanie korzyści własnych i maksymalizowanie własnego wysiłku, doskonale uwidocznione we fragmencie oferty firmy Exima, zajmującej się importem win bałkańskich:

W ramach usługi EWS (Exclusive Wine Service):

- pomożemy Ci wyselekcjonować wina do Twojej karty win lub oferty sklepowej,
- sprowadzimy dla Ciebie wino z każdego zakątka świata,
- załatwimy za Ciebie wszystkie formalności prawne,
- przechowamy wybrane przez Ciebie wina i dostarczymy je na życzenie pod wskazany adres¹⁴.

¹² <http://www.eurobank.pl/produkty,kredyty-gotowkowe,kredyt-w-15-minut,1,6.html>, 13.08.2009.

¹³ <http://www.biuroprasowe.tp.pl/pr/59552/od-dzis-w-orange-wyjatkowa-oferta-zetafon-z-telefonami-na-karte-tylko-za-1-zl?changeLocale=PL>, 7.08.2009.

¹⁴ <http://www.exima-wina.com/pl/firma/exclusive-service.php>, 10.08.2009.

O korzyściach własnych (np. o cenniku) w ogóle nie ma mowy ani w cytowanym tu fragmencie oferty, ani w jej pozostałych punktach, natomiast zakres prezentowanych usług, wyrażony pod postacią klasycznej komisowy, rzeczywiście imponuje.

Na wyeksponowanie cennika w reklamie (a to w cenie wyraża się najpełniej jako korzyść własna) nie decyduje się zbyt wielu producentów. Często spotykamy się natomiast z podawaniem kosztów towaru lub usługi po radykalnej przecenie, w cenie promocyjnej. Mówi się o wysokości pojedynczej raty lub o cenie cząstkowej (np. w kredycie 50/50). Reklamodawcy chętnie informują również o wyprzedażach. To najlepszy dowód presji, z jaką działa maksyma szlachetności. „Poniżamy ceny” – głosi slogan sieci sklepów Avans. Implikuje wysiłek, jaki wkładają sprzedawcy w to, by zadowolić klienta. Obniżają ceny jakby na przekór sobie, wiele ryzykując (podkreśla to motyw spadającego samolotu), wręcz poniżej opłacalności.

To, że przemilcza się powody wyprzedaży czy opustu, a często ich stopień, jest również sposobem na kamuflowanie korzyści własnych. A przecież w ekonomii i handlu nic nie dzieje się bez powodu – niższą cenę towaru łatwo uzasadnić (np. wysokimi kosztami jego zalegania, wpływającym terminem przydatności do spożycia artykułów żywnościowych, wreszcie nowymi trendami w modzie *etc.*). Sprzedawcy wolą jednak uchodzić za hojnych, gotowych do rezygnacji z części lub nawet całości swojego zysku. I mimo że doświadczenie uczy, iż ta uprzejmość ma, jak już mówiliśmy wcześniej, charakter instrumentalny, wynika z wyrachowania, pragmatyzmu, wielu odbiorców ulega jej powabom.

Na pozór wydaje się, że w nabywaniu towarów i usług nie ma nic trudnego, że podstawowe zasady ekonomii, takie jak kierowanie się racjonalnymi kryteriami opłacalności i zysku, popytu i podaży, trudno podważyć. Akceptujemy dominującą dziś formę handlu – wymianę towarów i usług za pieniądze. Nie dziwi też, że uczymy się negocjować ich ceny, bo mamy do tego prawo. Ale mimo jasności i przystępności tych zasad chętnie poddajemy się urokowi komunikatów, które ekonomicznym rudymentom próbują w niezwykle uprzejmy sposób zadać kłam. Jest bowiem coś urzekającego w przekonaniu, że uda nam się zdobyć coś za darmo lub po okazyjnej cenie: że zaawansowany technologicznie telefon kosztuje złotówkę, że bank obniży nam ratę pożyczki i wręczy jeszcze kilkaset złotych gotówką, że za kilogram bananów zapłacimy jedyne dziewięćdziesiąt dziewięć groszy. Być może podstawą tegoż zadowolenia, a na nim opierają się autorzy reklam, jest nieuświadomiony atawizm. Z jakiegoś przecież powodu amatorów tanich zakupów, promocji i wyprzedaży nazywamy łowcami okazji, tak jakby zakupy były współczesnym polowaniem, towar – zwierzyną, do tego taką, która sama lezie w sidła.

Sprzedaż wysyłkową publikacji
Wydawnictwa Uniwersytetu Wrocławskiego
prowadzi
Dział Handlowy
Wydawnictwa Uniwersytetu Wrocławskiego Sp. z o.o.
50-137 Wrocław, pl. Uniwersytecki 15
tel./fax (71) 3752507, tel. (71) 3752885
e-mail: marketing@wuwr.com.pl
www.wuwr.com.pl

Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego Sp. z o.o.
zaprasza do swoich księgarni:

- Księgarnia internetowa: www.wuwr.com.pl
 - Księgarnia Uniwersytecka
50-138 Wrocław, ul. Kuźnicza 49/55, tel. (71) 3752923
 - Księgarnia Naukowa im. Mikołaja Kopernika
50-138 Wrocław, ul. Kuźnicza 30/33, tel. (71) 3432977
- Księgarnia prowadzi również sprzedaż wysyłkową wszystkich książek znajdujących się w jej ofercie handlowej.

